

Trzeci tom **ŚWIATOWEGO BESTSELLERA**  
Jest jeszcze mroczniej i niebezpieczniej!



TUNELE  
**OTCHŁAN**

*Roderick Gordon & Brian Williams*

Roderick Gordon  
Brian Williams

Tunele  
**Otchłań**

(FreeFall)



Przełożył: Janusz Ochab



2009

*By stać się tym, czym nie jesteś, Musisz przejść drogą, po której  
nie szedłeś. A to, czego nie wiesz, to jedyna rzecz ci znana.  
Posiadasz to, czego nie posiadasz, I jesteś tam, gdzie cię nie ma.*

T.S. Eliot „East Coker III”,  
„Cztery kwartety”

*Tylko tędy przechodzimy, nim dotrzemy do następnego etapu.  
Nie wiemy dokąd, choć wszystko jest już zapisane. Tylko tędy  
przechodzimy, lecz musimy dokonać wyłomu.*

*Powinniśmy iść dalej czy trzymać się z dala?*

Joy Division  
„From Safety to Where...?”

Część pierwsza

Blżej, dalej

# Rozdział pierwszy



– Uuuch... – jęknął cicho Chester Rawls. Miał tak sucho w ustach, że dopiero po chwili udało mu się wypowiedzieć kilka słów. – Au, mamó, daj mi spokój, proszę cię mruknął z lekkim zniecierpliwieniem, choć bez złości.

Coś łaskotało go w kostkę, zupełnie jak robiła to jego mama, gdy nie zareagował na dźwięk budzika i nie zwał się z łóżka. Wiedział, że łaskotanie nie ustanie, dopóki nie odrzuci kołdry i nie zacznie przygotowywać się do wyjścia.

– Mamó, proszę, jeszcze tylko pięć minut – błagał, wciąż nie otwierając oczu.

Było mu tak ciepło i miło, że marzył tylko o tym, by leżeć jak najdłużej, rozkoszując się każdą sekundą. Prawdę mówiąc, często udawał, że nie słyszał budzika, wiedział bowiem, że wcześniej czy później mama przyjdzie sprawdzić, czy już wstał. Lubił te chwile, gdy otwierał zaspane oczy, a ona siedziała na skraju łóżka. Uwielbiał jej uśmiech, radosny i promienny niczym poranne słońce. Była taka zawsze, każdego ranka, bez względu na to, jak wcześnie musieli wstać.

– Jestem rannym ptaszkiem – oświadczała pogodnie. – Ale twój stary, zrzędlawy ojciec potrzebuje kilku filiżanek kawy, żeby dojść do siebie.

W tym momencie mama robiła groźną minę, pochylała się i wydawała z siebie głucho pomruki, niczym zraniony niedźwiedź. Syn

robił to samo, po czym oboje wybuchali śmiechem.

Chester uśmiechnął się do siebie, jednak w tej samej chwili obudził się także jego zmysł powonienia, który natychmiast stał wyraz zadowolenia z twarzy chłopca.

– Tfu! Mamo, co to jest? Ohyda! – wydyszał, gdy w jego nozdrza uderzył jakiś paskudny smród.

Obraz mamy znikł nagle, jakby ktoś wyłączył telewizor. Chester natychmiast otworzył oczy, zaniepokojony.

Ciemność.

– Co...? – mruknął.

Zewsząd otaczała go gęsta, nieprzenikniona czerń. Potem dojrzał coś kątem oka – jakiś nikły blask. „Dlaczego tu jest tak ciemno?” – pomyślał. Choć nie widział niczego, co mogłoby potwierdzić, że znajduje się w swojej sypialni, jego umysł pracował intensywnie, by go przekonać, że tak właśnie jest. „Czy to światło dochodzi zza okna? A ten zapach... Czy coś wykipiło na kuchenkę? Co tu się dzieje, u diabła?”.

Ostry fetor wypełniający nozdrza Chestera przypominał woń siarki; kryło się w nim jednak coś jeszcze... kwaśna nuta zgnilizny, od której zbierało mu się na wymioty. Chłopiec próbował podnieść głowę i rozejrzeć się dokoła. Nie mógł – coś przytrzymywało jego głowę, a także ręce i nogi; czuł się tak, jakby ktoś starannie go skrępował. W pierwszej chwili pomyślał, że jest sparaliżowany. Nie krzyknął, lecz wziął kilka głębokich oddechów, by zapanować nad przerażeniem. Uzmysłowił sobie jednak, że nie stracił czucia, nawet w palcach, więc prawdopodobnie nie jest sparaliżowany. Otuchy dodało mu też to, że mógł przebierać palcami u rąk i nóg, choć tylko trochę. Wydawało się, że otacza go jakaś twarda, nieustępliwa substancja.

Znów coś połaskotało go w kostkę, jakby rzeczywiście siedziała przy nim matka. Oczami wyobraźni ponownie ujrzał jej uśmiechniętą

twarz.

– Mama...? – spytał niepewnie.

Łaskotanie ustało, a w ciemności rozległ się cichy, żalony dźwięk, przypominający raczej głos zwierzęcia niż człowieka.

– Kto to? Kto tam jest? – pytał drżącym głosem Chester.

Tym razem odpowiedziało mu głośniejsze i wyraźne miauknięcie.

– Bartleby?! – zawołał. – Bartleby, to ty?!

Gdy tylko wypowiedział imię kota, wspomnienia wydarzeń znad Czułości wróciły do niego z pełną mocą. Zachłysnął się ze zgrozy, przypomniał sobie, jak Granicznicy otoczyli jego, Elliott, Willa i Cal nad krawędzią olbrzymiego otworu zwanego Czułością.

– O Boże... – jęknął.

Czekała ich wtedy pewna śmierć z rąk żołnierzy Styksów. Wspomnienia tamtych chwil były niczym obrazy ze złego snu, który nie chce odejść nawet na jawie. Wszystko to wydawało mu się tak świeże i wyraźne, jakby wydarzyło się zaledwie przed kilkoma minutami.

Potem pojawiły się kolejne przebłyski pamięci.

– O Boże! – westchnął Chester, przypominając sobie chwilę, gdy Rebeka, dziewczyna Styksów umieszczona w rodzinie Willa, ujawniła, że ma siostrę bliźniaczkę. Pamiętał, jak obie siostry bezlitośnie szydziły z Willa i z nieskrywaną, okrutną radością opowiadały o planach zgładzenia większości Górnoziemców za pomocą śmiertelnego wirusa o nazwie Dominium. Pamiętał, jak bezwzględne bliźniaczki namawiały Willa, by się poddał, i jak jego brat Cal wyszedł zza kamienia, błagając, by pozwolono mu wrócić do domu.

Potem przypomniał sobie grad pocisków, które uderzyły w bezbronnego chłopca.

Cal nie żył.

Chester aż zadrżał na całym ciele, przemógł się jednak i spróbował

sobie przypomnieć, co się działo dalej. Znow ujrzał swego przyjaciela Willa – wyciągali do siebie ręce, a Elliott coś krzyczała; wszyscy związani byli razem liną. Chester zrozumiał wtedy, że jeszcze mieli szansę... Ale dlaczego? Dlaczego mieli szansę...? Nie pamiętał. Znaleźli się wówczas w beznadziejnej sytuacji, pozbawieni jakiegokolwiek drogi odwrotu.

Chłopiec był wciąż tak otumaniony, że dopiero po kilkunastu sekundach zdołał uporządkować myśli. Tak! Teraz już wiedział! Elliott chciała poprowadzić ich w głąb Czeluści... Mieli jeszcze dość czasu... Mogli uciec.

Ale wszystko znowu ułożyło się nie tak, jak to sobie zaplanowali...

Chester zacisnął mocniej powieki, przypomniawszy sobie ogniste rozbłyski i oślepiającą biel eksplozji pocisków z ciężkiej broni, którymi ostrzelali ich Granicznicy. Znow poczuł, jak ziemia kołysze się pod jego stopami, a rozbudzona pamięć podsunęła mu kolejny obraz – Will wyrzucony w powietrze siłą wybuchu, szybujący nad jego głową, za krawędź Czeluści.

Przypomniawszy sobie również ślepanie panikę, która ogarnęła go w chwili, kiedy próbował wraz z Elliott zatrzymać się na brzegu, nie dopuścić, by ciężar ciał Cala i Willa pociągnął ich w bezdenną otchłań. Jednak ich wysiłki spełzły na niczym; nim zrozumieli, co się z nimi dzieje, wszyscy czworo już lecieli w dół, w mrok Czeluści.

Przypomniawszy sobie świszczący wiatr, pęd powietrza, który zapierał dech w piersiach...

rozbłyski czerwonego światła i palący żar... Ale teraz...

... Ale teraz z...

... Teraz powinien być już martwy.

Więc co się właściwie stało? Gdzie on jest, u diabła?

Bartleby miauknął ponownie, a Chester poczuł jego ciepły oddech na twarzy.



– Bartleby, to t y, prawda? – spytał niepewnie.

Wielki łeb zwierzęcia znajdował się zaledwie kilka centymetrów od głowy chłopca.

Oczywiście, to musiał być ich Łowca. Chester zapomniał, H olbrzymi kot skoczył razem z nimi w głąb Czeluści, w otchłań... dlatego mógł znaleźć się tutaj, tuż obok niego.

Nagle po policzku unieruchomionego chłopca przesunął się wilgotny, szorstki język.

– Wynocha! – wrzasnął Chester. – Przestań!

Kocur polizał go jeszcze energiczniej, uradowany, że doczekał się reakcji na swoje zabiegi.

– Odejdź ode mnie, ty głupi kocie! – krzyknął Chester, coraz bardziej zdenerwowany.

Nie mógł się w żaden sposób bronić przed natrętnym zwierzęciem, a dotyk jęzora szorstkiego jak papier ścierny sprawiał mu ból. Ponownie zebrał siły i raz jeszcze spróbował się poruszyć, wrzeszcząc przy tym wściekle.

Jego krzyki nie robiły na Bartlebym najmniejszego wrażenia. Chłopcu nie zostało więc nic innego, jak tylko pluć i syczeć ze złością. W końcu jego wysiłki przyniosły skutek i kot się odsunął.

Chestera znów otoczyła całkowita ciemność i cisza.

Próbował nawoływać Elliott, a potem Willa, chociaż nie wiedział, czy którekolwiek z nich przeżyło upadek. Zrobiło mu się zimno na myśl, że być może jako jedyny uszedł z życiem – oczywiście prócz kota. Takie rozwiązanie wydawało mu się jeszcze gorsze: on jeden, sam na sam z tym wielkim, śliniącym się zwierzęciem.

Nagle uderzyła go pewna przerażająca myśl... Czyżby jakimś cudem wylądował na samym dnie Czeluści? Przypomniał sobie, co mówiła im kiedyś Elliott: ta olbrzymia przepaść ma nie tylko ponad kilometr szerokości, lecz jest przy tym tak głęboka, że tylko jeden

człowiek – jak głosiła legenda – zdołał się z niej wydostać. Chłopiec znów zaczął gwałtownie drzeć – na tyle, na ile pozwalała mu substancja, która więziła jego ciało. Znalazł się w samym środku swojego najgorszego koszmaru...

Był pogrzebany żywcem!

Tkwiał w jakimś płytkim grobie o kształcie idealnie dopasowanym do swego ciała, uwięziony we wnętrzu Ziemi. Jak zdoła się wydostać z Czeluści i wrócić na powierzchnię? Kiedy przebywał w Głębi, wydawało mu się, że trafił do samych piekieł, a przecież teraz znajdował się jeszcze dalej. Perspektywa powrotu do domu, do rodziców i do miłego, przewidywalnego życia stawała się jeszcze odleglejsza.

– Proszę, chcę tylko wrócić do domu – bełkotał do siebie chłopiec, przenikany na przemian falami klaustrofobii i wszechogarniającego przerażenia, które pokryły jego ciało warstwą zimnego potu.

Jednak kiedy tak leżał, bliski ostatecznego załamania, jakiś nikły głos w jego głowie powiedział mu, że nie może ulec strachowi. Przestał bełkotać. Wiedział, że musi się uwolnić z tej substancji, która oblepiała go niczym szybkoschnący beton, i znaleźć pozostałych. Być może potrzebowali jego pomocy.

Po dziesięciu minutach napinania i rozluźniania mięśni oraz minimalnych, robaczkowych ruchów udało mu się częściowo uwolnić głowę i jedną rękę. Wreszcie, gdy po raz kolejny napiął mięśnie, rozległ się paskudny, mlaszczący dźwięk i ręka wysunęła się nagle z gąbczastej, przylegającej ściśle materii.

– Tak! – krzyknął Chester, rozradowany.

Choć wciąż nie mógł całkiem swobodnie poruszać wolną ręką, sięgnął nią do twarzy i piersi.

Wyczuł paski plecaka i rozpiął oba. Myślał, że może dzięki temu łatwiej będzie mu się uwolnić. Skupił się wyłącznie na

wyswobodzaniu reszty ciała; zlany potem, sapał i dyszał, bez ustanku wijąc się i kręcąc w miejscu niczym larwa. Czuł się tak, jakby wysuwał się powoli z ciasnej, glinianej formy. Choć wszystkie jego starania były mocno ograniczone, powoli zaczęły przynosić skutek.

Wiele kilometrów nad Chesterem, na krawędzi Czeluści, stał stary Styks. Mężczyzna wpatrywał się w ciemny otwór otchłani, nie zważając ani na nieustanną mżawkę, która oblepiała wilgocią twarz i ciało, ani na wycie psów dochodzące z oddali.

Choć jego twarz poznaczona była głębokimi zmarszczkami, a włosy – poprzetykane siwizną, nie wydawał się kruchy ani słaby, jak wielu innych ludzi w równie zaawansowanym wieku.

Trzymał się prosto jak struna, okryty długim, skórzanym płaszczem zapiętym pod samą szyję.

Jego małe oczy lśniły niczym dwa kawałki wypolerowanego gagatu, a od całej postaci biło poczucie siły i władzy, które przenikało nawet otaczające go ciemności.

Starzec przywołał do siebie gestem innego mężczyznę, który stanął tuż obok niego, na krawędzi Czeluści. Człowiek ten był niezwykle podobny do starego Styksa, choć jego oblicza jeszcze nie znaczyły zmarszczki, jego włosy zaś wciąż były kruczoczarne. Ściągnął je do tyłu tak mocno, że można je było wziąć za obcisłą czapkę.

Ludzie ci, należący do sekretnej rasy Styksów, badali wypadek, który niedawno miał tutaj miejsce. W wyniku tego zdarzenia stary Styks stracił swe wnuczki bliźniaczki, które zostały zepchnięte w ciemną głębię Czeluści.

Chociaż mężczyzna wiedział, że żadna z nich nie miała większych szans na ocalenie, na jego twarzy nie było najmniejszego śladu smutku czy bólu. Niewzruszony niczym skała, wyrzucał z siebie krótkie rozkazy, przypominające trzask wystrzałów.

Granicznicy stojący na krawędzi Czeluści natychmiast przystąpili

do wykonywania jego poleceń. Byli to żołnierze należący do specjalnej formacji, która szkoliła się w Głębi i wykonywała tajne operacje na powierzchni. Pomimo wysokiej temperatury wszyscy nosili mundury polowe złożone z ciężkiej kurtki i grubych spodni. Ich szczupłe, skupione twarze nie wyrażały żadnych emocji, gdy spoglądali w otchłań przez lunety zamocowane na karabinach albo też opuszczali w głąb otworu świetlne kule obwiązane sznurem. Szanse na to, że bliźniaczki zdołały jakoś uniknąć upadku na samo dno i zatrzymały się przy ścianie Czeluści, były znikome, ale Styks musiał mieć całkowitą pewność.

– Znaleźliście coś? – zapytał głośno w ich nosowym, chrapliwym języku.

Jego słowa odbiły się echem od ścian Czeluści i popłynęły w górę zbocza, gdzie inni żołnierze zajęci byli demontażem ciężkiej broni, która spowodowała ogromne zniszczenia wokół krawędzi przepaści.

– Na pewno zginęły – powiedział cicho stary Styks do swego towarzysza, po czym odwrócił się do żołnierzy i krzyknął: – Szukajcie przede wszystkim fiolek! – Miał nadzieję, że przynajmniej jedna z bliźniaczek, jeśli nie obie, zdążyła zrzucić zawieszane na szyi szklane pojemniczki, nim runęła w głąb otchłani. – Potrzebujemy ich!

Starzec spojrzał surowo na Graniczników, którzy kręcili się w pobliżu, pochyleni nisko nad ziemią. Przeszukiwali każdy centymetr kwadratowy gruntu, podnosili każdy kawałek strzaskanych skał, przeczesywali drobiny spalonej gleby, nad którą wciąż unosił się dym – pozostałość kanonady dziesiątek dział i karabinów. Od czasu do czasu resztki jakiegoś pocisku wybuchały nagle gwałtownym płomieniem, który jednak znikał równie szybko, jak się pojawił.

Ktoś krzyknął ostrzegawczo, a kilku Graniczników rzuciło się do tyłu. Sekundę później fragment gruntu oderwał z głuchym pomrukiem odbrzegu Czeluści. Tony skał i gleby, naruszonych ostrzałem

artyleryjskim, zsunęły się w przepaść. Choć wszyscy omal nie zginęli, po chwili żołnierze spokojnie podnieśli się z ziemi i ponownie przystąpili do pracy, jakby nic się nie stało.

Stary Styks odwrócił się i wbił wzrok w ciemności zalegające nad szczytem zbocza.

– To na pewno była ona – stwierdził jego młodszy towarzysz, spojrzawszy w to samo miejsce. – To Sara Jerome zabrała ze sobą bliźniaczki.

– A któż inny mógłby to zrobić? – warknął starzec, kręcąc głową. – Niezwykłe jest tylko to, że zdołała tego dokonać, choć była śmiertelnie ranna. – Odwrócił się do pomocnika. – Igraliśmy z ogniem, kiedy napuściliśmy tę kobietę na jej synów, no i się sparzyliśmy. Jeśli chodzi o Willa Burrowsa, to nic nie jest łatwe ani proste. Jeśli chodziło – sprostował szybko, zakładał bowiem, że Will także nie żyje. Zamilkł na moment, marszcząc brwi, po czym wzięł głęboki oddech i zapytał: – Powiedz mi tylko, jak Sara Jerome dotarła aż tutaj. Kto odpowiadał za ten rejon? – dodał, wskazując palcem na zbocze. – Chciałbym z nim porozmawiać.

Młody Styks skłonił głowę, przyjmując rozkaz, i prędko się oddalił.

Na jego miejscu natychmiast pojawiła się inna postać, tak zniekształcona i przygarbiona, że na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, czy to człowiek. Spod sztywnej od brudu chusty wysunęły się dwie sękaty dłonie, które chwyciły skraj materiału i podniosły go powoli. W blasku lamp ukazała się straszliwie zdeformowana głowa, pokryta grubymi naroślami, tak licznymi, że miejscami jedne wyrastały na drugich. Kępki cienkich, rzadkich włosów okalały twarz, w której lśniło dwoje zupełnie białych oczu. Gałki oczne, pozbawione tęczówek i źrenic, obracały się w różne strony, jakby mimo wszystko coś widziały.

– Kondolencje... i tego... z powodu straty... – wychrypiąła

przygarbiona postać.

– Dziękuję ci, Cox – odparł stary Styks, przechodząc na angielski. – Każdy sam buduje swoją przyszłość i każdemu przytrafiają się różne nieszczęścia.

Cox nagle podniósł rękę do poczerńiałych ust i wierzchem dłoni otarł strużkę mlecznobiałej śliny, rozsmarowując ją na szarej skórze. Potem wysunął patykowatą rękę do przodu, podniósł ją jeszcze wyżej i postukał szponiastym paznokciem w wielką narośl na czole.

– Przynajmniej te pańskie dziewczuchy zajęły się Willem Burrowsem i tą świnią Elliott – powiedział. – Ale jeszcze oczyści pan Głębię z reszty renegatów, prawda?

– Dzięki twoim informacjom pozbędę się ich wszystkich, co do jednego – odparł stary Styks, posyłając mu nieodgadnione spojrzenie. – A właściwie dlaczego o to pytasz?

– Bez szczególnego powodu – odrzekł szybko mężczyzna.

– Hm... a ja myślę, że masz swoje powody. Martwisz się, bo jak dotąd nie udało nam się złapać Drake'a, a wiesz, że wcześniej czy później on cię znajdzie i będzie chciał wyrównać rachunki.

– A niech mnie znajdzie, będę gotowy na to spotkanie oświadczył Cox z pewnością siebie, choć pulsowanie grubej, niebieskiej żyły pod jego okiem wyraźnie przeczyło tym słowom. – Drake mógłby wszystko zepsuć.

Stary Styks podniósł rękę, żeby nakazać mu milczenie, i odwrócił się do młodego asystenta, który przyprowadził ze sobą trzech Graniczników. Żołnierze ustawili się w szeregu i wyprężyli na baczność. Wszyscy trzej trzymali karabiny równo wzdłuż tułowia i patrzyli prosto przed siebie. Dwaj z nich byli młodymi podoficerami, trzeci zaś oficerem, siwowłosym weteranem o wieloletnim stażu.

Zaciskając pięści, stary Styks przeszedł powoli wzdłuż szeregu i zatrzymał się przy weteranie.

Wolno odwrócił się do żołnierza i przysunął twarz do jego twarzy, tak że niemal jej dotykał. Przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, po czym spuścił wzrok na mundur oficera. Z materiału tuż nad kieszenią na piersiach wystawały trzy krótkie, kolorowe nici, odznaczenia za bohaterskie czyny – odpowiedniki górnoziemskich orderów.

Okryta rękawicą dłoń starego Styksa zamknęła się na niciach, wyrwała je i rzuciła w twarz Granicznika. Weteran nawet nie mrugnął okiem.

Starzec odsunął się o krok i wskazał na Czeluść, gestem równie niedbałym, jakby oganiał się od natrętnej muchy. Trzej żołnierze oparli karabiny kolbami o ziemię, ustawiając je w koziół.

Potem odpięli pasy ze sprzętem i ułożyli je starannie obok broni. Nie czekając na dalsze rozkazy Styksa, podeszli w równym szyku do krawędzi otchłani i jeden po drugim weszli prosto w przepaść. Żaden z nich nawet nie krzyknął. Żaden z ich towarzyszy pracujących w pobliżu nie przerwał też wykonywanych zadań, by chociaż odprowadzić ich spojrzeniem.

– Sroga sprawiedliwość – stwierdził Cox.

– Nasi żołnierze mają pracować perfekcyjnie, inaczej nie nadają się do tej służby – odparł Styks. – Oni zawiedli. I tak nie byli nam już do niczego potrzebni.

– Być może dziewczyny wcale nie zginęły – odważył się zasugerować Cox.

Na te słowa starzec odwrócił się do renegata i spojrzał na niego z uwagą.

– To prawda. Twoi ludzie rzeczywiście wierzą, że jeden człowiek tam wpadł i przeżył, tak?

– To nie są m o i ludzie – mruknął mężczyzna z wyraźną niechęcią.

– Opowiadają jakieś bajki o cudownym, rajskim ogrodzie na dnie – dodał Styks z uśmiechem.

– Bzdury! – odburknął Cox i zaniósł się kaszlem.

– Nigdy nie miałeś ochoty sam się o tym przekonać? – Nie czekając na odpowiedź, stary Styks klasnął w dłonie i odwrócił się do młodego pomocnika. – Wyślij oddział do Bunkra, niech pobiorą próbki Dominium z ciał, które zostały w laboratorium. Jeśli uda nam się odtworzyć wirus, będziemy mogli dalej realizować nasz plan. – Przekrzywił głowę i uśmiechnął się złośliwie do Coksa. – Nie chcielibyśmy, żeby Górnoziemcy musieli długo czekać na dzień sądu, prawda?

Cox wybuchł chrapliwym śmiechem, rozsiewając dokoła krople białej śliny.

Chester nie pozwolił sobie nawet na chwilę odpoczynku. Substancja, która więziła jego ciało, była nieprzyjemnie oleista i zapewne to ona stanowiła źródło tego paskudnego smrodu. Gdy chłopiec napiął mięśnie, by uwolnić drugą rękę, ramię po przeciwnej stronie wysunęło się nagle z materii, a sekundę potem wolna była już cała górna część jego tułowia. Krzyknął triumfalnie i usiadł prosto, czemu towarzyszył głośny, mlaszczący dźwięk.

Szybko przesunął rękami wokół siebie, próbując choć trochę zorientować się w terenie.

Zewsząd otaczała go jakaś gąbczasta substancja, przekonał się jednak, że gdy sięgnie wyżej, jego dłoń trafia na krawędź otworu. Oderwał stamtąd kilka wąskich pasków owej materii – była włóknista i tłusta w dotyku. Chłopiec nie miał pojęcia, czym jest ta dziwna masa, lecz wyglądało na to, że właśnie ona zamortyzowała jego upadek i że tylko dzięki niej jeszcze żyje.

– Nie ma mowy! – mruknął pod nosem, odsuwając od siebie tę szaloną myśl.

Był to zbyt daleko idący wniosek; z pewnością istniało jakieś inne wyjaśnienie.



Latarka przyczepiona do jego kurtki gdzieś znikła, więc Chester sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu zapasowych świetlnych kul.

– A niech to...! – zawołał, odkrywszy, że kieszeń się rozdarła, a cała jej zawartość, łącznie z kulami, przepadła.

Dodając sobie otuchy nieustanną paplaniną, spróbował się podnieść.

– Och, dajże już spokój! – “zachnął się, kiedy zrozumiał, że jego nogi nadal mocno tkwią w dziwnej substancji.

Nie była to jednak jedyna rzecz, która bezlitośnie trzymała go w miejscu.

– Co to jest? – mruknął do siebie chłopiec, dotykając sznura oplatającego go w pasie.

Była to lina Elliott, którą powiązali się wszyscy razem jeszcze na krawędzi Czeluści. Teraz lina ograniczała jego ruchy – zarówno po lewej, jak i prawej tkwiła mocno w gąbczastej materii. Chester nie mógł skorzystać z noża, nie pozostało mu więc nic innego, jak rozsupłać węzeł. Nie było to łatwe zadanie, tym bardziej że jego dłonie, pokryte oleistą mazią, raz za razem ześlizgiwały się ze sznura.

Po długich zmaganiach, przy akompaniamencie głośnych narzekania i przekleństw, zdołał w końcu rozwiązać węzeł i powiększyć pętlę zaciśniętą na ciele.

– Nareszcie! – krzyknął i oswobodził obie nogi, czemu towarzyszył dźwięk podobny do tego, jaki wydaje ktoś pijący resztki napoju przez rurkę. Jeden but został na dole, uwięziony w ciasnym otworze. Chester musiał pochwycić go obiema rękami i szarpnąć z całych sił, nim w końcu mógł znów go włożyć i wstać.

Dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, jak bardzo boli go każda część ciała – zupełnie jakby właśnie skończył najtrudniejszy w życiu mecz rugby, rozgrywany przeciwko drużynie wyjątkowo agresywnych goryli.

– Au! – syknął, rozcierając ręce i nogi. Przekonał się przy okazji, że lina boleśnie otarła mu dłonie i szyję.

Jęcząc głośno, rozprostował plecy i mocno odchylił głowę, jakby chciał zobaczyć, skąd spadł.

Najdziwniejsze było i to, że od chwili rozpoczęcia lotu w głąb Czeluści, gdy pęd powietrza nie pozwalał mu oddychać, aż do momentu, kiedy obudził go Bartleby, właściwie niczego nie pamiętał.

– Gdzie ja jestem, u diabła? – powtarzał chłopiec raz za razem, jeszcze nie wychodząc z wgłębienia, w którym tkwiło jego ciało.

Wypatrzył kilka obszarów emanujących bardzo bladym blaskiem. Choć nie wiedział, co może być źródłem światła, ów widok podniósł go nieco na duchu. Gdy jego wzrok przywykł jeszcze bardziej do ciemności, Chester dostrzegł kota, który krążył wokół niego niczym jaguar skradający się do ofiary.

– Elliott! – zawołał. – Jesteś tu, Elliott?!

Zauważył, że z lewej strony dochodzi go wyraźne echo, z prawej zaś głos ginie w ciemnościach. Krzyknął jeszcze kilka razy, robiąc co jakiś czas przerwę i czujnie nadstawiając uszu.

– Elliott, słyszysz mnie?! Will! Halo, Will! Jesteś tam?!

Nikt nie odpowiadał.

W końcu Chester powiedział sobie, że nie może przez całą wieczność siedzieć w tej dziurze i tylko krzyczeć. Zorientował się, że jeden z jaśniejszych punktów znajduje się całkiem niedaleko, i postanowił tam dotrzeć. Wygramolił się z wgłębienia. Ponieważ cały wysmarowany był oleistym płynem, wolał nie podnosić się na nogi, lecz przemieszczał się na czworakach. Przesuwając się po sprężystej, gładkiej powierzchni, zauważył coś jeszcze: jego ciało wydawało się dziwnie lekkie, jakby unosił się na powierzchni wody. Przez chwilę się zastanawiał, czy to efekt upadku i uderzenia w głowę, potem jednak stwierdził, że na razie powinien skupić się na bieżącym

zadaniu. Przesuwał się do przodu drobnymi, starannie odmierzonymi ruchami, sięgając w stronę poświaty. Nagle przekonał się, że blask pada na jego otwartą dłoń opartą na podłożu, i zrozumiał, że dochodzi on z wnętrza gąbczastej materii. Podwinął rękaw i sięgnął w głąb.

– Tfu! – prychnął z obrzydzeniem, wyjmując rękę oblepioną kleistą substancją.

W dłoni trzymał latarkę Styksów. Nie wiedział, czy należała wcześniej do niego czy do któregoś z towarzyszy, ale teraz nie miało to znaczenia. Podniósł latarkę i poświecił nią dokoła. Pokrzepiony nieco na duchu, znalazł w sobie dość odwagi, by wstać.

Chłopiec przekonał się, że stoi na szarawej powierzchni, która wcale nie była gładka, lecz poźłobiona i nierówna; fakturą przypominała skórę słonia. Blask latarki odsłonił wbite w tę substancję małe kamyki, a także spore odłamki skalne. Najwyraźniej uderzyły w materię z dużą siłą i utkwily w niej na dobre, podobnie jak on.

Chester podniósł latarkę wyżej i zobaczył, że grunt ciągnie się na wszystkie strony łagodną, lekko pofałdowaną równiną. Stąpając ostrożnie, by nie stracić równowagi, wrócił do swej dziury i przyjrzał się jej dokładniej. Obraz, który ukazał się jego oczom, wywołał grymas zdumienia i rozbawienia na jego twarzy. Chłopiec widział przed sobą dokładny obrys własnego ciała, odcisnięty głęboko w gąbczastym materiale. Od razu przypomniała mu się kreskówka o wyjątkowo pechowym kojocie, który niemal w każdym odcinku spadał z dużej wysokości i zostawiał w ziemi głęboki dół w kształcie swojej sylwetki. Tymczasem on miał przed sobą taki odcisk – odcisk idealnie pasujący do własnego ciała! Kreskówka z kojotem już nie wydawała mu się taka zabawna...

Kręcąc z niedowierzaniem głową, wskoczył z powrotem do

zagłębienia, by wyjąć plecak, co okazało się dość pracochłonnym zadaniem. Kiedy wreszcie uwolnił plecak z oleistej substancji, zarzucił go na ramię i wygramolił się na zewnątrz. Potem pochylił się i pochwycił linę.

– W lewo czy w prawo? – zapytał sam siebie, patrząc na krańce sznura, które nikły w ciemnościach.

Wybrawszy wreszcie kierunek na chybił trafił, ruszył śladem liny. Wyciągając ją powoli z podłoża, myślał z niepokojem o tym, co znajdzie na końcu.

Przeszedł jakieś dziesięć metrów, gdy nagle sznur ustąpił, a on sam poleciał do tyłu i usiadł ciężko. Ciesząc się w duchu, że gąbczasta substancja znów zamortyzowała upadek, podniósł się i spojrzął na koniec liny. Była postrzępiona, jakby ktoś ją uciął. Mimo to mógł iść dalej, kierując się śladem odcisniętym w podłożu. Po chwili dotarł do głębokiego otworu. Stał na krawędzi i oświetlił go promieniem znalezionej latarki.

Bez wątplenia była to dziura pozostawiona przez czyjeś ciało, choć nie zachowała tak idealnego kształtu jak jego odcisk – ktoś zapewne wylądował tutaj na boku.

– Will! Elliott! – zawołał ponownie chłopiec.

Wciąż nie słyszał żadnej odpowiedzi, lecz nagle znowu pojawił się obok niego Bartleby.

Wielki kot przystanął dość blisko i wbił w niego przenikliwe spojrzenie okrągłych, nieruchomych oczu.

– O co chodzi? Czego chcesz?! – warknął Chester.

Łowca odwrócił łeb w przeciwnym kierunku i pochyłony nisko nad gąbczastą materią, zaczął powoli przesuwać się do przodu.

– Chcesz, żebym poszedł za tobą, tak? – spytał chłopiec, zrozumiawszy, że Bartleby zachowuje się tak, jakby kogoś podchodził.

Chester szedł za kotem, dopóki nie dotarli do pionowej

powierzchni – ściany szarego, gumowatego materiału, po którym spływały strużki wody.

– Gdzie teraz? – zapytał, zastanawiając się, czy zwierzak nie zakpił sobie z niego. Nie chciał oddalać się zbyt daleko, by nie zabłądzić, choć z drugiej strony wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał przystąpić do działania i zbadać całą okolicę.

Tymczasem Bartleby wyprostował ogon i zwrócił pysk w stronę otworu w ścianie. Wejście do szczeliny kryło się za kaskadą wody ściekającej z ciemności nad ich głowami.

– Tam? – Chester oświetlił ścianę latarką Styksów.

Jakby w odpowiedzi Łowca przeszedł przez zasłonę wody, więc chłopiec ruszył jego śladem.

Po chwili znalazł się we wnętrzu jaskini. Nie był tu sam. Ktoś inny siedział skulony na ziemi, w otoczeniu porozrzucanych kartek papieru.

– Will! – zawołał Chester, ogarnięty uczuciem ogromnej ulgi, która niemal odbierała mu głos.

Will podniósł głowę i rozluźnił palce zaciśnięte na świetlnej kuli, pozwalając, by smugi światła padły na jego twarz. Milczał, wpatrując się tępo w przyjaciela.

– Will...? – powtórzył Chester. Zaniepokojony milczeniem kolegi, przykucnął obok niego. – Jesteś ranny?

Will wciąż tylko patrzył na niego. Potem przesunął dłonią przez swe białe włosy, pokryte teraz oleistą mazią, skrzywił się i przymrużył jedno oko, jakby mówienie było dla niego zbyt dużym wysiłkiem.

– Co się stało? Powiedz coś, Will!

– Nic mi się nie stało. Wziąwszy pod uwagę okoliczności... – odpowiedział w końcu monotonnym głosem. – Tylko okropnie bołą mnie głowa i nogi. I mam zatkane uszy – dodał, przełknąwszy kilkakrotnie ślinę. – To pewnie przez zmianę ciśnienia.

– Moje też są zatkane – odparł Chester, po czym natychmiast sobie uzmysłowił, jak mało istotne było to w tej chwili. – Długo tu jesteś?

– Nie wiem – wzruszył ramionami kolega.

– Ale dlaczego... co... ty... – zaciął się Chester, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiednich słów. – Will, udało nam się! – zawołał wreszcie i roześmiał się głośno. – Udało nam się, rozumiesz?!

– Na to wygląda – odparł przyjaciel beznamiętnie i mocno zacisnął usta.

– Co się z tobą dzieje? – spytał Chester, zdumiony.

– Nie wiem – wymamrotał Will. – Naprawdę nie wiem, co się dzieje i co powinno się dziać. Nic już nie wiem...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Myślałem, że znów zobaczę tatę... – odparł przyjaciel, pochylając głowę. – Przez cały czas, kiedy spotykały nas te okropne rzeczy, jedna myśl dodawała mi sił... Naprawdę wierzyłem, że znów spotkam mojego tatę. – Podniósł brudną szczoteczkę do zębów z Myszką Miki. – Ale ten sen już się skończył. Tata nie żyje, a została po nim tylko ta głupia szczoteczka, którą mi podkradł, i... te bzdury, które zapisywał w dzienniku. – Sięgnął po jedną z wilgotnych kartek i przeczytał nabazgrane na niej zdanie: – „Drugie Słońce... w środku Ziemi?”. Co to znaczy? – westchnął ciężko. – Przecież to nie ma żadnego sensu.

Chłopiec umilkł i siedział przez chwilę w bezruchu.

– I Cal... – Jego ramiona zadrżały w bezgłośnym szlochu. – Zginął przeze mnie. Mogłem coś zrobić, żeby go uratować. Powinienem być poddać się Rebecce... – cmoknął z niesmakiem i się poprawił: – Rebekom. – Podniósł głowę, a jego przygasłe spojrzenie spoczęło na Chesterze. – Kiedy tylko zamykam oczy, widzę te dwie twarze... jakby wciskały mi się pod powieki, w ciemność... Dwie nikczemne, paskudne twarze, które mi wymyślają i krzyczą na mnie. Nie mogę się ich stąd pozbyć – dodał, Uderzając się otwartą dłonią w czoło. – Au,

to bolało – jęknął. – Dlaczego to zrobiłem?

– Ale... – zaczął Chester.

– Równie dobrze możemy już dać sobie spokój. Jaki to ma sens? – przerwał mu Will. – Nie pamiętasz, co Rebeki mówiły o tym spisku i Dominium? Nie możemy nic zrobić, żeby powstrzymać ich przed wypuszczeniem tego wirusa. – Powolnym, uroczystym ruchem przesunął szczoteczkę nad brudną kałużę i wrzucił ją do niej, jakby topił w ten sposób Myszkę Miki namalowaną na uchwycie. – Jaki to ma sens? – powtórzył.

Chester zaczynał już tracić cierpliwość.

– A taki, że jesteśmy tutaj, jesteśmy razem i że utarliśmy nosa tym wstrętnym krowom!

To jak... to jak... – zaciął się, szukając właściwych słów – jak gra wideo, w której dostajesz jeszcze jedno życie... no wiesz, jeszcze jedną szansę. Dostaliśmy ją po to, żeby powstrzymać Rebeki i uratować wszystkich tych, którzy żyją na powierzchni. – Wyjął szczoteczkę z kałuży, otrzepał ją z wody i podał Willowi. – Chodzi o to, że nam się udało, że wciąż żyjemy, do cholery!

– Wielka mi rzecz – mruknął kolega.

– Oczywiście, że wielka rzecz! – Chester pochwycił przyjaciela za ramiona i potrząsnął nim. – Daj spokój. Will, przecież to ty zawsze kazałeś nam iść dalej, ciągnąłeś nas za sobą, to ty byłeś tym wariatem, który... – podekscytowany, zrobił krótką pauzę, by zaczerpnąć powietrza – ... który zawsze musiał zobaczyć, co jest za następnym zakrętem. Nie pamiętasz już?!

– Czy to właśnie nie dlatego wpakowaliśmy się w to bagno? – odpowiedział pytaniem Will.

Chester wydał z siebie coś pomiędzy „hm” i „tak”, po czym pokręcił energicznie głową.

– Chcę też, żebyś wiedział... – zaczął drżącym głosem, ale umilkł i

odwrócił wzrok.

Przez chwilę stał w milczeniu, z pochyloną głową, i bawił się kamykiem leżącym obok jego buta. – Will... – odezwał się wreszcie. – Byłem idiotą...

– Teraz to już nie ma znaczenia – odrzekł przyjaciel.

– Owszem, ma. Zachowywałem się jak ostatni dureń. Miałem dość wszystkiego... także ciebie. – Głos Chestera znów nabrał mocy i pewności. – Powiedziałem mnóstwo rzeczy, które wcale nie były prawdą. A teraz proszę cię, żebyś się nie poddawał, i obiecuję, że już nigdy nie będę narzekał. Przepraszam.

– Nic się nie stało – wymamrotał Will, nieco zakłopotany.

– Rób to, w czym jesteś najlepszy... wyciągnij nas stąd zachęcał go kolega.

– Spróbuję.

Chester spojrzał na niego z powagą.

– Liczę na to, Will. Liczą na to także wszyscy ludzie na powierzchni. Nie zapominaj, tam są moja mama i mój tata. Nie chcę, żeby zachorowali i umarli.

– Nie, oczywiście, że nie – odparł chłopiec natychmiast.

Słowa przyjaciela otrzeźwiły go i ponownie przywołały do rzeczywistości. Will wiedział, jak bardzo Chester kocha rodziców, a ich los, podobnie jak los wielu setek tysięcy jeśli nie milionów – innych ludzi zależał tylko od tego, czy Styksowie zdołają zrealizować swój plan.

– Więc chodźmy, partnerze – powiedział Chester, podając przyjacielowi rękę i pomagając mu wstać.

Wyszli z jaskini i stanęli na gąbczastej powierzchni.

– Chester – odezwał się Will, odzyskując dawną pewność siebie – jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Co takiego?



– Zauważyłeś tu coś dziwnego? – spytał, rzucając koledze zagadkowe spojrzenie.

Zastanawiając się, od czego właściwie zacząć. Chester potrząsnął energicznie głową. Jego długie włosy, pokryte oleistą mazią, zawirowały w powietrzu, a jeden z kosmyków wpadł mu prosto do ust. Chłopiec wyjął go natychmiast, krzywiąc się z obrzydzeniem, i splunął kilkakrotnie.

– Nie, nic oprócz tego, że to świństwo, na którym wylądowaliśmy, okropnie śmierdzi i ohydnie smakuje.

– Przypuszczam, że jesteśmy na olbrzymim grzybie – pokiwał głową Will. – Wylądowaliśmy na czymś w rodzaju półki, która wyrasta ze ściany Czeluści. Widziałem kiedyś coś podobnego w telewizji: w Ameryce znaleziono olbrzymi grzyb, który ciągnął się pod ziemią przez tysiąc mil.

– Czy o tym właśnie chciałeś...?

– Nie. Chodziło mi raczej o to. Patrz uważnie.

Chłopiec podrzucił w górę świetlną kulę, którą trzymał w ręce. Chester obserwował ze zdumieniem, jak przedmiot powoli opada na dłoń Willa.

Wyglądało to jak scena odtworzona w zwolnionym tempie.

– Hej, jak to zrobiłeś?

– Sam spróbuj – odrzekł kolega, wręczając mu kulę. – Tylko nie rzucaj za mocno, bo ją zgubisz.

Chester wziął kulę od przyjaciela i wyrzucił ją do góry. Jednak włożył w ten ruch trochę za dużo siły i kula poszybowała na wysokość około dwudziestu metrów – oświetlając na moment coś, co wyglądało jak kolejna grzybowa półka nad ich głowami – po czym powoli opadła.

– Jak...? – zdumiał się, otwierając szeroko oczy.

– Nie czujesz tej... ee... lekkości? – spytał Will, szukając przez

chwilę właściwego słowa. – To słaba grawitacja. Przypuszczam, że około jednej trzeciej tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni na powierzchni – wyjaśnił, wskazując palcem w górę. – To właśnie dzięki temu, no i dzięki miękkiemu podłożu, na którym wylądowaliśmy, nie jesteś teraz płaski jak naleśnik. Ale uważaj, jak się poruszasz, bo możesz się oderwać od tej półki i polecieć dalej w głąb Czeluści.

– Słaba grawitacja – powtórzył Chester, próbując ogarnąć myślami to, co właśnie usłyszał od przyjaciela. – Co to właściwie oznacza?

– To oznacza, że spadaliśmy bardzo długo.

Chester spojrzał na Willa pustym wzrokiem, ponieważ nadal niczego nie rozumiał.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co jest w środku Ziemi...? spytał Will.

## Rozdział drugi



Drake przemykał się wzdłuż tunelu, gdy nagle doszedł go jakiś dźwięk. Przystanął i wyteżył słuch.

– Musiałem się przesłyszeć... – mruknął do siebie po chwili, po czym odpiął od pasa manierkę.

Przełykał powoli wodę, wpatrując się w ciemność i rozmyślając o tym, co wydarzyło się niedawno przy Czeluści.

Odszedł stamtąd, nim jeszcze stary Styks kazał Granicznikom skoczyć w przepaść, widział jednak straszliwe wypadki, które doprowadziły do tej sytuacji. Ukryty na zboczu nad Czeluścią, nie mógł zrobić nic, aby ocalić Cala przed nagłą i okrutną śmiercią. Młodszy brat Willa został bezlitośnie zastrzelony przez żołnierzy Styksów, kiedy wpadł w panikę i wyszedł prosto na linię ognia. Drake był równie bezradny kilka minut później, gdy nad otchłanią rozpętało się prawdziwe piekło. Mógł tylko przyglądać się w milczeniu, jak ciężka broń Styksów zasypuje ziemię gradem pocisków, a siła eksplozji rzuca Elliott, Willa i Chestera prosto do wnętrza Czeluści.

Drake przeżył razem z Elliott tyle trudnych chwil, że zwykle potrafił się domyślić, co jego przyjaciółka robi w danych okolicznościach. Chociaż tym razem sytuacja wydawała się wyjątkowo trudna, renegat zachował jeszcze cień nadziei, że dziewczyna zdołała jakoś zakotwiczyć siebie i chłopców na krawędzi olbrzymiej przepaści, dzięki czemu uratowała ich wszystkich przed śmiertelnym upadkiem. Został więc na zboczu nad Czeluścią, zamiast

zrobić to, co podpowiadał mu instynkt, i jak najszybciej opuścić teren, na którym aż roiło się od Styksów i ich groźnych psów.

Podczas gdy Granicznicy przeszukiwali obrzeża Czeluści, Drake nasłuchiwał w napięciu, wciąż się łudząc, że lada moment dotrą do niego głosy uratowanych chłopców i dziewczyny.

Oznaczałoby to, oczywiście, że wpadli w łapy Styksów, ale wtedy przynajmniej miałyby szansę jakoś ich później uwolnić.

Jednak w miarę jak mijały kolejne minuty bezowocnych poszukiwań, mężczyzna coraz bardziej podupadał na duchu. Musiał pogodzić się z myślą, że Elliott i chłopcy przepadli na dobre, że zginęli na dnie Czeluści. Oczywiście znał starą opowieść o człowieku, który wpadł do tej otchłani, a potem jakimś cudem wrócił na Stację Górników, by opowiadać niestworzone historie o fantastycznych krainach w środku Ziemi, lecz nigdy nie wierzył w te bzdury. Zawsze uważał, że to plotka rozpuszczona przez Styksów, którzy chcieli w ten sposób zająć czymś Kolonistów. Nie, on dobrze wiedział, że nikt nie może przeżyć upadku do wnętrza przerażającej Czeluści.

Coraz bardziej obawiał się też, że zostanie wytropiony przez psy Styksów – brutalne i bezwzględne bestie, obdarzone świetnym węchem i uchodzące za doskonałych tropicieli.

Zwierzęta jeszcze nie znalazły jego tropu tylko dlatego, że nad gruntem wciąż unosiły się kłęby dymu – pozostałość po kanonadzie urządzonej przez Styksów. Jednak wiatr już rozwiewał tę nikłą zasłonę, przez co Drakeowi zostawało coraz mniej czasu na ucieczkę.

Zastanawiał się właśnie, czy nie powinien już ruszyć w drogę, kiedy usłyszał jakiś hałas, odgłosy zamieszania.

Wiem, że dziewczyna zdołała jakoś zakotwiczyć siebie i chłopców na krawędzi olbrzymiej przepaści, dzięki czemu uratowała ich wszystkich przed śmiertelnym upadkiem. Został więc na zboczu nad Czeluścią, zamiast zrobić to, co podpowiadał mu instynkt, i jak

najszybciej opuścić teren, na którym aż roiło się od Styksów i ich groźnych psów.

Podczas gdy Granicznicy przeszukiwali obrzeża Czeluści, Drake nasłuchiwał w napięciu, wciąż się łudząc, że lada moment dotrą do niego głosy uratowanych chłopców i dziewczyny.

Oznaczałoby to, oczywiście, że wpadli w łapy Styksów, ale wtedy przynajmniej miałyby szansę jakoś ich później uwolnić.

Jednak w miarę jak mijały kolejne minuty bezowocnych poszukiwań, mężczyzna coraz bardziej podupadał na duchu. Musiał pogodzić się z myślą, że Elliott i chłopcy przepadli na dobre, że zginęli na dnie Czeluści. Oczywiście znał starą opowieść o człowieku, który wpadł do tej otchłani, a potem jakimś cudem wrócił na Stację Górników, by opowiadać niestworzone historie o fantastycznych krainach w środku Ziemi, lecz nigdy nie wierzył w te bzdury. Zawsze uważał, że to plotka rozpuszczona przez Styksów, którzy chcieli w ten sposób zająć czymś Kolonistów. Nie, on dobrze wiedział, że nikt nie może przeżyć upadku do wnętrza przerażającej Czeluści.

Coraz bardziej obawiał się też, że zostanie wytropiony przez psy Styksów – brutalne i bezwzględne bestie, obdarzone świetnym węchem i uchodzące za doskonałych tropicieli.

Zwierzęta jeszcze nie znalazły jego tropu tylko dlatego, że nad gruntem wciąż unosiły się kłęby dymu – pozostałość po kanonadzie urządzonej przez Styksów. Jednak wiatr już rozwiewał tę nikłą zasłonę, przez co Drake owi zostawało coraz mniej czasu na ucieczkę.

Zastanawiał się właśnie, czy nie powinien już ruszyć w drogę, kiedy usłyszał jakiś hałas, odgłosy zamieszania.

Przekonany, że w końcu ktoś znalazł Elliott i chłopców, uniósł się na łokciach i wyjrzał zza menhiru, który osłaniał go przed wzrokiem wrogów. Dzięki temu, że nad krawędzią otchłani kręciło się mnóstwo żołnierzy z odsłoniętymi latarkami, bez trudu mógł dojrzeć, co jest

powodem owego zamieszania.

Ktoś pędził prosto ku przepaści, rozkładając przy tym szeroko ręce.

– Sara? – wyszeptał mężczyzna do siebie.

Tak, postać ta bez wątpienia wyglądała jak Sara Jerome, matka Willa. Drake nie miał jednak pojęcia, jak zdołała się podnieść, a tym bardziej, jak była w stanie biec. Odniosła przecież tak ciężkie obrażenia, że właściwie powinna być już martwa.

Widział jednak na własne oczy, że Sara żyje i ma jeszcze dość sił, by pędzić po nierównym gruncie. Obserwował, jak zaskoczeni Styksowie biegną w jej stronę, jednocześnie podnosząc karabiny. Jednak żaden nie zdążył oddać strzału, nim Sara skoczyła w Czeluść, pociągając za sobą dwie drobne postaci. Cała trójka po prostu znikła za krawędzią przepaści.

– A niech mnie... – mruknął pod nosem Drake, słysząc przeraźliwe wrzaski dobiegające z wnętrza otchłani. Był pewien, że to przedśmiertne wołanie Sary.

Nad zboczem rozległy się inne krzyki, głosy dziesiątek Styksów, którzy biegli w stronę przepaści, mijając kryjówkę Drake'a zaledwie o kilka metrów. Renegat schował się odruchowo za menhirem, jednak nie mógł się oprzeć pokusie i wyjrzał zza niego raz jeszcze.

Wszyscy Granicznicy zgromadzili się w miejscu, z którego Sara skoczyła do Czeluści. Jeden ze Styksów stanął na kamieniu i zaczął wykrzykiwać rozkazy do żołnierzy tłoczących się wokół. Wydawał się starszy od pozostałych, a przy tym był ubrany w czarny płaszcz i białą koszulę, a nie w mundur polowy Graniczników. Drake widział go już kiedyś w Kolonii – bez wątpienia był to ktoś z najwyższego szczebla ich hierarchii, ktoś bardzo ważny. Ze swobodą i sprawnością człowieka przywykłego do wydawania rozkazów szybko podzielił Styksów na dwie grupy: jedna miała badać krawędź Czeluści, natomiast druga – przeczesać z psami okolicę.

Drake zrozumiał, że na niego już czas.

Bez trudu dotarł niezauważony na szczyt zbocza, a potem opuścił jaskinię. Gdy znalazł się w korytarzach powulkanicznych, poruszał się z większą ostrożnością, także dlatego, że miał ze sobą tylko pistolety rurowe – bardzo prymitywną broń palną.

Teraz jednak, gdy pociągnął ostatni łyk z manierki, jego umysł wciąż pochłonięty był analizowaniem tego, co wydarzyło się przy otchłani.

– Sara... – powiedział głośno, myśląc o tym, jak zabrała ze sobą do grobu dwójkę Styksów.

Nagle wszystko zrozumiał.

To nie Sara wydawała te piskliwe, histeryczne wrzaski, lecąc w głąb przepaści.

Krzyczały te dwie młode dziewczyny. Bliźniaczki! Sara zemściła się na Rebekach! Ponieważ miała świadomość, że zostało jej już prawdopodobnie tylko kilka chwil życia i że los jej synów jest przesądzony, Sara dokonała zemsty doskonałej.

To było to!

Poświęciła się, by wyeliminować bliźniaczki.

Drake wiedział, że Rebeki mają przy sobie fiołki ze śmiertelnościami wirusem Dominium, chwaliły się tym bowiem przed Willem. Mówiły mu o swoich planach wymordowania Górnoziemców i sugerowały, że wystarczy do tego jedna fiołka. Sara twierdziła, że któraś z bliźniaczek otrzymała pojemnik z wirusem tuż po tym, jak przybyła do Głębi.

Renegat gotów był się założyć o każdą sumę, że była to jedyna próbka wirusa, którą posiadali Styksowie. Wynikało z tego, że Sara – być może całkiem nieświadomie – pozbawiła Styksów największego atutu i udaremniła ich spisek przeciwko Górnoziemcom.

To było idealne rozwiązanie!

Kobieta osiągnęła to, co Drake'owi wydawało się w zasadzie niemożliwe.

Kręcąc głową, mężczyzna ruszył ponownie, zatrzymał się jednak w pół kroku, tknięty nagłą myślą.

– O Boże, jakież ze mnie głupiec! – wykrzyknął.

Omiał nie przeoczyć jednego, ale jakże ważnego szczegółu. Sytuacja nie była aż tak idealna, jak się początkowo wydawało. Sara rozpoczęła dzieło zniszczenia, ale to on musiał je dokończyć.

– Bunkier – mruknął, uświadomiwszy sobie, że cząsteczki wirusa wciąż mogą się znajdować w zamkniętych szczelnie celach, w samym środku olbrzymiego, betonowego kompleksu. Styksowie wypróbowali tam skuteczność szczególnie zjadliwego gatunku na kilku pechowych Kolonistach i renegatach, a ich martwe ciała wciąż mogły zawierać żywy wirus. Drake był pewien, że Styksowie także o tym pomyślą, musiał więc zdążyć do Bunkra przed nimi i pokrzyżować im plany.

Poderwał się do biegu, układając jednocześnie plan działania. Po drodze powinien zabrać trochę środków wybuchowych z tajnej skrytki. Niewykluczone, że Granicznicy patrolowali Wielką Równinę, ale on musiał jak najszybciej dostać się do cel w Bunkrze, kierując się tam najprostszą trasą – nie miał czasu na podchody i troskę o własne bezpieczeństwo.

Stawka była zbyt wysoka.



Pani Burrows stała, mocno niezdecydowana, na środku korytarza Humphrey House. Ta część jej natury, która domagała się telewizji, nie odezwała się w to sobotnie popołudnie ze swoją zwykłą” mocą. Co prawda kobieta pamiętała, że chciała coś obejrzeć, jednak nie mogła sobie przypomnieć co. Wydawało się to dość niepokojące – zazwyczaj nie zdarzało jej się zapominać o takich rzeczach.

Kręcąc głową, ruszyła powolnym krokiem w stronę pokoju



dziennego, gdzie był jedyny telewizor w całej placówce.

– Nie – powiedziała, zatrzymując się niespodziewanie.

Kiedy tak stała w bezruchu, słuchając głosów i dźwięków dochodzących z różnych części budynku, odległych i niezrozumiałych niczym hałasy wypełniające publiczną łaźnię, poczuła się nagle bardzo samotna. Mieszkała w tym bezbarwnym domu wraz z podobnymi sobie chorymi ludźmi i z profesjonalnym personelem, jednak w rzeczywistości nikogo tu nie obchodziła. Oczywiście, pracownicy placówki z obowiązku interesowali się samopoczuciem pacjentki, lecz byli jej zupełnie obcy, tak jak ona im. Była tylko kolejnym kuracjuszem, którego we właściwym czasie, po ukończeniu leczenia, zamierzali odesłać do domu, by zrobić miejsce dla następnych.

– Nie! – powtórzyła kobieta, podnosząc dłoń zaciśniętą w pięść. – Stać mnie na więcej! – oświadczyła głośno w momencie, gdy obok przechodził sanitariusz.

Mężczyzna nawet na nią nie zerknął – ludzie mówiący do siebie byli w tym miejscu normą.

Pani Burrows obróciła się na pięcie i ruszyła w głąb korytarza, z dala od pokoju dziennego, jednocześnie szukając w kieszeni wizytówki policjanta. Minęły już trzy dni, odkąd z nim rozmawiała, miał więc dość czasu, by się dowiedzieć czegoś konkretnego. Dotarłszy do budki telefonicznej, spojrzała na cienką wizytówkę z tanim nadrukiem.

– Detektyw inspektor Rob Blakemore – mruknęła do siebie.

Pomyślała przez moment o nieznanym kobiecie, która odwiedziła ją kilka miesięcy wcześniej. Udawała ona, że jest z opieki społecznej, ale pani Burrows przejrzała podstęp i odkryła jej prawdziwą tożsamość. Była to biologiczna matka Willa, która oskarżyła go o zamordowanie jego własnego brata. Jednak to nie ten przedziwny

zarzut prawdziwy czy nie – był największym zmartwieniem pani Burrows. Znacznie bardziej nurtowały ją dwie inne kwestie. Po pierwsze, nie mogła zrozumieć, dlaczego matka Willa postanowiła spotkać się z nią tak późno, dopiero kiedy chłopiec znikł bez śladu. Po drugie, ogromne wrażenie zrobiła na niej determinacja, z jaką się zachowywała ta dziwna kobieta. Określenie jej mianem „zdesperowanej” byłoby sporym niedopowiedzeniem.

Ostatecznie jednak to właśnie ta wizyta wyrwała panią Burrows z jej bezpiecznego, leniwego świata, niczym podmuch zimnego wiatru z nieznanego kraju. Podczas krótkiej rozmowy z biologiczną matką Willa mignęło jej na moment przed oczami coś bardzo odległego od przetrwanego obrazu rzeczywistości, którym karmiła ją telewizja... coś bardzo realnego i bliskiego, coś, czemu nie mogła się oprzeć.

Włożyła kartę telefoniczną do aparatu i wybrała numer.

Ponieważ właśnie trwał weekend, detektyw Blakemore jak można się było domyślić – nie pracował w swoim biurze. Mimo to pani Burrows zostawiła długą i zawiłą wiadomość policjantce, która odebrała telefon.

– Posterunek policji w Highfield. W czym mogę...?

– Tak, mówi Celia Burrows. Inspektor Blakemore obiecywał, że skontaktuje się ze mną w piątek, ale tego nie zrobił. Więc chciałabym, żeby koniecznie zadzwonił do mnie w poniedziałek, bo obiecał, że obejrzy to nagranie z kamery przemysłowej, które zabrał ze sobą, i że spróbuje jakoś wydobyć z niego zdjęcie tej kobiety, żeby potem zrobić z niego portret i rozesłać do wszystkich posterunków policji, bo może akurat ktoś by ją rozpoznał. A poza tym chciał też przekazać to mediom, może by to w czymś pomogło. A jeśli nie usłyszała pani mojego nazwiska, to przypominam, że nazywam się Celia Burrows”?

Wypowiedziawszy to wszystko niemal na jednym oddechu i nie dawszy policjantce szans na jakąkolwiek reakcję, pani Burrows z

trzaskiem odłożyła słuchawkę.

– Dobrze – pogratulowała samej sobie i sięgnęła po kartę telefoniczną.

Jednak w ostatniej chwili się rozmyśliła i wykręciła numer siostry.

– Jest sygnał! – zdziwiła się głośno.

Już samo to było nie lada osiągnięciem, ponieważ przez kilka miesięcy abonent był niedostępny (siostra pani Burrows zapewne zapomniała zapłacić rachunek, jak to się już wcześniej zdarzało).

Telefon dzwonił uparcie, ale wciąż nikt nie odbierał.

– Odbierz, Jean, odbierz! – wrzasnęła pani Burrows do słuchawki.  
– Gdzie tyje...?

– Halo? – odpowiedział jej niezadowolony żeński głos. – Kto mówi?

– Jean? – spytała Celia.

– Nie znam żadnej Jean. Ma pani zły numer – odparła z gniewem kobieta.

Pani Burrows słyszała chrupanie, jakby jej siostra właśnie jadła tost.

– Posłuchaj mnie, mówi Ce...

– Nie wiem, co sprzedajesz, ale niczego nie chcę!

– Nieee! – krzyknęła pani Burrows, gdy jej krewna odłożyła słuchawkę, i odsunęła się od aparatu, rozwścieczona. – Jean, ty głupia krowo!

Już miała ponownie wybrać numer, kiedy w głębi korytarza dostrzegła sylwetkę siostry przełożonej, chudej jak patyk. Odłożyła słuchawkę, wyjęła kartę i stanęła przed siwowłosą pielęgniarką, podjąwszy decyzję pod wpływem impulsu. Wiedziała już, co powinna zrobić.

– Odchodzę.

– Tak? A czemuż to? – spytała siostra. – Z powodu śmierci starej pani L.?

Chociaż nie zdarzało się to często, pani Burrows wahała się, co właściwie ma odpowiedzieć.

Otworzyła usta, lecz zamknęła je z powrotem, kiedy przypomniła sobie pacjentkę zarażoną tajemniczym wirusem, który ogarnął najpierw cały kraj, a potem – resztę świata. U większości osób choroba objawiała się kilkudniową infekcją oczu i ust, jednak w przypadku pani L.

wirus przedostał się do mózgu i ją zabił.

– Tak, przypuszczam, że po części także dlatego – przyznała wreszcie pani Burrows. – Gdy ona umarła tak nagle, uświadomiłam sobie, jak cenne jest życie i jak wiele czasu straciłam, żyjąc w zamknięciu – dodała.

Pielęgniarka skinęła głową ze zrozumieniem.

– I przez te wszystkie miesiące bez żadnych wieści o mężu lub synu zapomniałam, że został mi przecież jeszcze jeden członek rodziny: córka Rebeka – mówiła dalej pacjentka.

-Mieszka u mojej siostry, a ja od kilku miesięcy nie zamieniłam z córką nawet słowa. Czuję, że powinnam z nią być. Na pewno mnie potrzebuje.

– Rozumiem, Celio. – Siostra przełożona ponownie skinęła głową i poprawiła siwe włosy, zaczesane w nienagannie ułożony kok.

Kobieta odpowiedziała jej uśmiechem. Siostra nie musiała wiedzieć, że pani Burrows nie zamierza czekać bezczynnie, aż policja znajdzie jej zaginionego męża i syna. Była przekonana, że dziwna nieznajoma, która złożyła jej wizytę kilka miesięcy wcześniej, była kluczem do rozwiązania tej zagadkowej sprawy; być może nawet to właśnie ona porwała Willa. Policjanci powtarzali bez ustanku, że „są na tropie” i że „robią wszystko, co mogą”, ale Celia postanowiła rozpocząć własne śledztwo. Nje mogła jednak robić tego tutaj, mając do dyspozycji jedynie automat telefoniczny.

– Wie pani, właściwie powinnam panią nakłonić, żeby porozmawiała pani najpierw ze swoim doradcą, ale... pielęgniarka zrobiła krótką pauzę, by spojrzeć na zegarek – ... byłoby to możliwe dopiero w poniedziałek, a widzę, że pani już podjęła decyzję. Zaraz przyniosę z gabinetu dokumenty, które musi pani podpisać przed odejściem. – Odwróciła się i ruszyła do swego biura, potem jednak zatrzymała się jeszcze na moment. – Muszę powiedzieć, że będzie mi brakowało naszych pogawędek, Celio.

– Mnie też – odparła pani Burrows. – Może jeszcze kiedyś tu wrócę.

– Mam nadzieję, że jednak do tego nie dojdzie, dla pani własnego dobra – odpowiedziała z powagą siwowłosa siostra i poszła dalej.

– Musimy znaleźć Elliott – powiedział Chester, robiąc kilka niepewnych kroków.

– Poczekaj chwilę. – Will zaczął podnosić rękę, a potem jęknął głucho, jakby ogarnięty wielkim bólem.

– Co się dzieje?

– Moje ręce, ramiona, dłonie... – skarżył się chłopiec. – Wszystko boli jak diabli.

– Mnie nie musisz o tym mówić – westchnął Chester, kiedy przyjaciel w końcu zdołał podnieść rękę do szyi, pojękując przy tym cicho.

– Chcę sprawdzić, czy to jeszcze działa. – Will zaczął odplątywać urządzenie umożliwiające widzenie w ciemności, które podczas upadku zsunęło mu się na szyję.

– Okular Drake'a? – upewnił się Chester.

– Drake! – zawołał chłopiec, nieruchomiejąc. – Pamiętasz, co powiedziały Rebeki?

Myślisz, że chociaż ten jeden raz mówiły prawdę?

– Co...? Że to nie jego zastrzeliłeś? – spytał przyjaciel z wahaniem. Po raz pierwszy rozmawiał z Willem o kanonadzie na Wielkiej

Równinie, a temat ten wprawiał go w niemałe zakłopotanie.

– Chester, właściwie nie wiem, kogo torturowali tam Granicznicy, ale jestem pewien, że go nie trafiłem.

– Och... – wymamrotał niepewnie Chester.

– Gdyby złapali lub zabili Drake’a, Rebeki nie omieszkałyby mi o tym powiedzieć – rozmyślał głośno Will.

Jego kolega wzruszył ramionami.

– Może im nie uciekł, tylko gdzieś go przetrzymują. Może to było tylko jedno z tych ich paskudnych, małych kłamstw.

– Nie, nie sądzę – odparł Will, a jego oczy nagle rozbłysły nadzieją.

– Co mogłyby zyskać takim oszustwem? – Spojrzał na towarzysza. – Więc jeśli Drake rzeczywiście przeżył...

i jakoś uciekł Granicznikom... ciekaw jestem, gdzie jest teraz.

– Może zaszył się gdzieś na Wielkiej Równinie? – podsunął Chester.

– A może wyszedł na powierzchnię. Nie pytaj mnie dlaczego, ale miałem wrażenie, że mógł wychodzić do Górnoziemia, gdy tylko chciał.

– Cóż, bez względu na to, gdzie jest, przydałaby się nam teraz jego pomoc – westchnął chłopiec, omiatając wzrokiem otaczające ich ciemności. – Szkoda, że go tu z nami nie ma.

– Nie życzyłbym tego nikomu – odparł Will z powagą.

Podniósł urządzenie nad barki, tłumiąc kolejny bolesny jęk. Założył pasek na głowę, zacisnął go mocniej, a potem umieścił soczewkę na prawym oku. Gdy sięgnął do kieszeni, przekonał się, że kabel odłączył się od schowanego tam pudełka, więc wetknął przewód z powrotem na miejsce i dopiero wtedy włączył okular.

– Na razie idzie nieźle – mruknął, gdy soczewka zapłonęła przytłumionym, pomarańczowym blaskiem. Zamknął lewe oko i popatrzył przez urządzenie, czekając, aż rozmazany obraz nabierze ostrości. – Chyba działa... tak... wszystko w porządku – zwrócił się do

Chestera.

Teraz wreszcie widział całą powierzchnię grzyba, która w okularze Drake'a wyglądała tak, jakby była skąpana w cytrynowym blasku.

– O kurde, Chester, wyglądasz naprawdę dziwnie – zachichotał, spojrzawszy na przyjaciela. – Jak porządnie obity grejpfrut... z afro!

– Mną się nie przejmuj – odparł niecierpliwie chłopiec. – Tylko mów, co widzisz.

– Cóż, ten grzyb jest płaski i całkiem spory – relacjonował Will. – Wygląda trochę jak...

jak... – zawahał się, szukając odpowiedniego porównania – ... jak plaża tuż po odpływie. Niby gładki, ale tu i ówdzie widać jakieś wydmy.

Stali na łagodnie pofałdowanej równinie, mierzącej mniej więcej tyle co dwa boiska piłkarskie, choć trudno było dokładnie określić jej rozmiary.

Will dostrzegł w pobliżu duży występ skalny, podbiegł do niego kilkoma długimi susami i wskoczył na szczyt, co przy zmniejszonej sile grawitacji nie wymagało szczególnego wysiłku.

– Chyba widzę krawędź... jakieś trzydzieści metrów stąd.

Z wysokości swojego punktu obserwacyjnego chłopiec zobaczył wyraźnie, gdzie się kończy ogromny grzyb. Jednak dzięki okularowi mógł sięgnąć wzrokiem znacznie dalej, w głąb Czeluści, a nawet ku jej przeciwległej ścianie, która wydawała mu się poszarpana i lśniąca, jakby spływała po niej woda.

– Kurde, Chester, wpadliśmy do naprawdę wielkiej dziury! – wyszeptał, oszołomiony ogromem otchłani.

Pomyślał, że zapewne czułby się podobnie, spoglądając na Mount Everest przez okno przelatującego obok samolotu. Ochłonawszy nieco, spojrzął w górę.

– Nad nami jest następna półka.

Chester popatrzył do góry, jednak gęsta zasłona ciemności skutecznie wszystko skrywała przed jego wzrokiem.

– Hm, jest trochę mniejsza od naszej – poinformował go Will. – I są w niej jakieś dziury.

– Przyjrzał im się uważniej, ciekaw, czy to spadające kamienie i odłamki skalne podziurawiły wielki grzyb.

– Coś jeszcze? – spytał przyjaciel.

– Poczekaj – mruknął chłopiec, powoli omiatając spojrzeniem krajobraz.

– No? – niecierpliwił się kolega. – Co tam...?

– Przymknij się na chwilę, co? – zgasił go Will, dojrzwawszy nagle jakieś intrygujące obiekty. Miały regularne kształty i z pewnością nie zostały stworzone przez naturę, nawet za sprawą tych tajemniczych sił podziemnego świata, które nigdy nie przestawały go zadziwiać.

Po prostu nie pasowały do tego miejsca. – Tam jest coś bardzo dziwnego – powiedział, wskazując ręką na tajemnicze twory. – Na samym skraju półki.

– Gdzie? – spytał Chester.

Will musiał odczekać kilka sekund, aż obraz w okularze, który zasnuł się nagle mgiełką zakłóceń elektrostatycznych, ponownie nabierze ostrości.

– Tak, jest ich tam całe mnóstwo. Wyglądają jak... – umilkł nagle, jakby nie był pewien, czy może ufać własnym oczom.

– No jak? – ponaglał przyjaciel.

– Wydaje mi się, że to są siatki umocowane w jakichś wielkich ramach – stwierdził. – Co oznacza, że być może wcale nie jesteśmy tu sami – dodał. – Bez względu na to, jak głęboko spadliśmy.

Chester przetrawił tę informację, po czym spytał niepewnym tonem: – Myślisz, że to Styksowie? – Nagle przeraził się, że może znów grozi im niebezpieczeństwo.



– No... nie wiem, ale tam... – zaczął ponownie Will i znowu umilkł.

-Co?

Kiedy odezwał się po chwili, kolega ledwie go usłyszał.

– W jednej z nich ktoś chyba leży – mruknął cicho.

Domyślając się, co nastąpi za chwilę, Chester obserwował w milczeniu, jak przyjaciel zaczyna drżeć.

– O Boże, to chyba Cal! – jęknął Will, wpatrując się z przerażeniem w nieruchome ciało zawieszony na sieci.

– Ee... Will – zaczął niepewnie Chester, który nie widział ani siatki, ani uwięzionego w niej ciała.

-Tak?

– Może to nie Cal, tylko Elliott.

– Być może, ale wygląda raczej na Cala – odparł chłopiec z wahaniem.

– Ktokolwiek to jest, musimy poszukać jeszcze jednej osoby. Jeśli to rzeczywiście Cal, Elliott może wciąż... – Chester urwał pośpiesznie, lecz Will bez trudu się domyślił, co chciał powiedzieć przyjaciel.

– Może wciąż żyjedokończył. Odwrócił się do towarzysza, dysząc ciężko z emocji. – Boże! Posłuchaj tylko, co my mówimy! Rozmawiamy o życiu i śmierci, jakbyśmy się zastanawiali nad wynikami jakiegoś egzaminu. Od tego wszystkiego pomieszało nam się w głowach!

Chester próbował mu przerwać, lecz kolega nie dał mu dojść do głosu.

– Tam prawdopodobnie leży mój brat, martwy. Mój tata, wuj Tam, babcia Macaulay...

oni wszyscy... też nie żyją. Wszyscy, z którymi się stykamy, umierają. A my żyjemy sobie dalej, jak gdyby nigdy nic. Co się z nami stało, Chester?

Chester miał już dość.

– Teraz i tak nie możemy z tym nic zrobić! – wrzasnął na Willa. – Gdybyśmy wpadli w śmierdzące łapska bliźniaczek Styksów, wszyscy bylibyśmy już martwi i nie prowadzilibyśmy tej poronionej rozmowy. – Jego głos odbijał się echem od ścian otchłani, a Will wpatrywał się ze zdumieniem w przyjaciela, zaskoczony tym raptownym wybuchem gniewu. – A teraz złaź stamtąd i pomóż mi odnaleźć jedyną osobę, która może nas stąd wyciągnąć!

Will rozważał przez moment słowa kolegi, po czym zeskoczył ze skały.

– Tak, masz rację – stwierdził. – Jak zwykle.

Obaj zgodnym krokiem ruszyli przed siebie, choć perspektywa odszukania Elliott napęłniała ich obu coraz większym strachem.

– Tutaj spadłem – powiedział Chester, wskazując na znajome zagłębienie w gąbczastej materii.

Przykucnął i pociągnął za linę, która mogła doprowadzić ich do dziewczyny, jeśli tylko nie zerwała się podczas upadku. Gdy za nią szarpnął, wysunęła się z powierzchni grzyba, chłopcy zaś z ociąganiem podążyli jej śladem. Wkrótce potem natknęli się na Elliott. Wylądowała na boku, podobnie jak Will, a jej drobne ciało wbiło się głęboko w miękką i lepłą plechę.

– O nie, całą twarz ma schowaną w tym świństwie! – wykrzyknął Chester. Rzucił się, próbując obrócić głowę dziewczyny i wyciągnąć jej usta i nos z grzyba. – Szybko! Nie wiadomo, czy przez to można oddychać!

– Czy ona...? – spytał niepewnie Will, zajmując pozycję po drugiej stronie ciała Elliott.

– Nie wiem. Pomóż mi ją wyciągnąć!

Chester pochwycił tułów dziewczyny, a kolega zaczął ją szarpać za nogę. Po chwili ciało oderwało się od grzyba z głośnym mlaśnięciem.

– O Boże! – krzyknął chłopiec, ujrawszy zranioną rękę dziewczyny.

Wyglądało na to, że Elliott podczas całego lotu kurczowo trzymała przy sobie karabin, co zemściło się na niej, gdy prowadzilibyśmy tej poronionej rozmowy. – Jego głos odbijał się echem od ścian otchłani, a Will wpatrywał się ze zdumieniem w przyjaciela, zaskoczony tym raptownym wybuchem gniewu. – A teraz złaź stamtąd i pomóż mi odnaleźć jedyną osobę, która może nas stąd wyciągnąć!

Will rozważał przez moment słowa kolegi, po czym zeskoczył ze skały.

– Tak, masz rację – stwierdził. – Jak zwykle.

Obaj zgodnym krokiem ruszyli przed siebie, choć perspektywa odszukania Elliott napędzała ich obu coraz większym strachem.

– Tutaj spadłem – powiedział Chester, wskazując na znajome zagłębienie w gąbczastej materii.

Przykucnął i pociągnął za linę, która mogła doprowadzić ich do dziewczyny, jeśli tylko nie zerwała się podczas upadku. Gdy za nią szarpnął, wysunęła się z powierzchni grzyba, chłopcy zaś z ociąganiem podążyli jej śladem. Wkrótce potem natknęli się na Elliott. Wylądowała na boku, podobnie jak Will, a jej drobne ciało wbiło się głęboko w miękką i lepłą plechę.

– O nie, całą twarz ma schowaną w tym świństwie! – wykrzyknął Chester. Rzucił się, próbując obrócić głowę dziewczyny i wyciągnąć jej usta i nos z grzyba. – Szybko! Nie wiadomo, czy przez to można oddychać!

– Czy ona...? – spytał niepewnie Will, zajmując pozycję po drugiej stronie ciała Elliott.

– Nie wiem. Pomóż mi ją wyciągnąć!

Chester pochwycił tułów dziewczyny, a kolega zaczął ją szarpać za nogę. Po chwili ciało oderwało się od grzyba z głośnym mlaśnięciem.

– O Boże! – krzyknął chłopiec, ujrawszy zranioną rękę dziewczyny.

Wyglądało na to, że Elliott podczas całego lotu kurczowo trzymała przy sobie karabin, co zemściło się na niej, gdy uderzyła w grzyb. Pasek broni owinięty był wokół jej nienaturalnie wykręconego przedramienia.

– Co się stało z jej ręką?

– Jest paskudnie złamana – stwierdził Will pośepnie, starannie czyszcząc twarz dziewczyny z grzyba i wyjmując oleistą maź z jej ust i nozdrzy. – Ale żyje. Oddycha – poinformował Chestera, który wciąż nie mógł oderwać wzroku od pogruchotanej kończyny.

Przestąpił nad ciałem Elliott, odsunął kolegę na bok i delikatnie zdjął pasek karabinu z połamanej ręki.

– Ostrożnie – chrapliwym szeptem przykazał mu Chester.

Will podał mu broń, potem zaś rozwiązał sznur oplatający dziewczynę w pasie i zsunął plecak z jej ramion, sięgnąwszy najpierw do paska przy zdrowej ręce.

– Zabierzmy ją stąd – powiedział, po czym podniósł bezwładne ciało i przeniósł do jaskini.

Chłopcy ułożyli Elliott na swoich ubraniach. Oddychała miarowo, ale wciąż była nieprzytomna.

– Co teraz? – spytał Chester, mimowolnie zerkając na jej wygiętą rękę.

– Nie wiem. Poczekamy pewnie, aż się ocknie – odparł Will, wzruszając ramionami. – Pójdę do Cala – oświadczył nagle i wstał.

– Może po prostu zostawisz go w spokoju? – zaproponował przyjaciel. – Teraz i tak nie ma to żadnego znaczenia.

– Nie mogę tego zrobić. To mój brat – odrzekł Will krótko i wyszedł z groty.

Krążył dłuższą chwilę przed jaskinią, przyglądając się wyższej

półce, aż wypatrzył w niej wyjątkowo duży otwór. Przygotował się do skoku, a potem mocno odbił od podłoża. W innych okolicznościach to, że mknie w powietrzu niczym pocisk, napełniłoby go dziką radością. Teraz jednak w ogóle się nad tym nie zastanawiał – myślał tylko i wyłącznie o tym, co zamierzał za chwilę zrobić.

Kiedy już przeleciał przez otwór w półce, zrozumiał, że odepchnął się zbyt mocno i że siła rozpędu niesie go dalej. Szybował po trajektorii, która prowadziła go wysoko nad powierzchnię grzyba.

– Aaaaa! – wrzasnął, przerażony, i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, próbując zmienić kierunek lotu.

Wreszcie zatoczył szeroki łuk i zaczął opadać. Zorientował się, że zmierza prosto na skupisko wysokich struktur przypominających maszty, wyrastających z powierzchni grzyba. Każdy z grubych słupów o wysokości około sześciu, siedmiu metrów zwieńczony był czymś, co przypominało piłkę do koszykówki. Głos dobiegający z jakiejś odległej części umysłu Willa poinformował go uprzejmie, że są to zarodnie – pamiętał, że tak się nazywają organy rozmnażania grzybów. Teraz jednak nie miał czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać: wleciał prosto w gąszcz gumowatych słupów i próbował się ich złapać, by w ten sposób zmienić trajektorię lotu. Choć większość z nich łamała się niczym zapalki, a oderwane od szczytów piłki śmigwały na wszystkie strony, pomogły mu trochę zwolnić tempo opadania.

W końcu chłopiec wyleciał z gęstwiny wysokich łodyg na otwartą przestrzeń i opadł na grzyb. Jego sytuacja jednak wcale się nie poprawiła – ślizgał się na kolanach po oleistej powierzchni, zmierzając prosto ku krawędzi. Po drodze nie było już żadnych zarodni, których mógłby się chwycić, więc opadł na brzuch i wbił palce i czubki butów w gładką skórę grzyba.

Zawył przeraźliwie, pewien, że za kilka sekund wpadnie prosto w czarną pustkę Czeluści, jednak w ostatniej chwili zdołał się zatrzymać.

– Kurde, niewiele brakowało – wysapał, leżąc w kompletnym bezruchu.

Rzeczywiście, brakowało naprawdę niewiele: głowa Willa wystawała za krawędź grzyba na tyle daleko, że chłopiec widział półkę położoną poniżej.

Will odsunął się od brzegu i jeszcze przez chwilę nie ruszał z miejsca.

– Trzeba iść – stwierdził w końcu.

Powoli się podniósł i stawiając ostrożnie małe kroczki, podszedł do ram z rozciągniętymi siatkami. Po swoim ostatnim wyczynie nie zamierzał wykonywać już żadnych gwałtownych ruchów.

Konstrukcje miały kształt prostokątów wielkości mniej więcej pola bramkowego, wykonane były z pni młodych drzew o średnicy około dziesięciu centymetrów, powiązanych ze sobą w każdym rogu. Jeśli rzeczywiście było to drewno – Will nie miał co do tego pewności – to wydawało się dziwnie czarne, jakby wcześniej płonęło w ognisku. Siatki rozpięte na ramach zostały zrobione z grubych, luźno powiązanych sznurków. Były włókniste i twarde w dotyku; chłopiec przypuszczał, że jest to zewnętrzna warstwa jakiejś rośliny, może nawet samego grzyba. Kiedy szedł wzdłuż kolejnych ram, zauważył, że w wielu miejscach sieci były rozerwane, jednak ta, w której wisiał Cal, wydawała się nienaruszona.

Will zatrzymał się dopiero przy zwłokach brata, zmusił się do spojrzenia na nie, po czym szybko odwrócił wzrok. Przygryzł nerwowo usta, zastanawiając się, czy nie powinien po prostu wrócić do Chestera. W końcu i tak niczego już nie mógł zrobić... Może po prostu powinien zostawić Cal'a tu, gdzie leżał.

Nagle usłyszał tubalny głos Tama, tak wyraźnie, jakby wuj stał tuż obok: „Bracia, ha, bracia, moi siostrzeńcy”. Tam wypowiedział te słowa, kiedy Will i Cal po wielu latach rozłąki spotkali się ponownie

w Kolonii, w domu rodziny Jerome'ów.

A tuż przed tym, jak poświęcił życie, by Will i Cal mogli uciec, Tam kazał chłopcu obiecać, że będzie się opiekował młodszym bratem.

– Tak mi przykro, wuju – powiedział głośno Will. – Nie dotrzymałem słowa...

Zawiodłem cię.

„Zrobiłeś, co tylko mogłeś, mój chłopcze. Nie można było działać nic więcej...” – odpowiedział mu z powagą głos wuja Tama.

Chociaż Will miał pełną świadomość, że to jedynie wytwór jego wyobraźni, słowa te podniosły go nieco na duchu. Jednak wciąż stał nieruchomo, zastanawiając się, czy podejść do Cala, czy też zostawić go w spokoju.

– Nie, nie mogę tego zrobić. To byłoby podłe – powiedział w końcu do siebie.

Westchnął ciężko, postawił jedną stopę na siatce i sprawdził, czy rama utrzyma jego ciężar.

Prostokątna konstrukcja zaskrzypiała cicho pod naciskiem, wydawało się jednak, że jest solidnie przymocowana do grzyba. Will opadł na ręce i na czworakach powoli wszedł na siatkę. Cal leżał w rogu po drugiej stronie. Gdy włóknisty sznurek ugiął się nieco pod ciężarem Willa, chłopiec zaczął przemieszczać się jeszcze wolniej. Wymagało to sporej odwagi, ponieważ rama sięgała daleko w głąb Czeluści. Will próbował pocieszać się myślą, że nawet gdyby siatka się zerwała, po prostu spadłby na półkę poniżej. Oczywiście, gdyby dopisało mu szczęście...

Przysunął się bliżej do brata, który leżał na brzuchu – Will dziękował w duchu losowi, że oszczędził mu widoku twarzy zmarłego. Ciało wciąż było przepasane liną. Chłopiec przyciągnął do siebie luźny koniec i po krótkich oględzinach stwierdził, że lina pękła

albo przetarła się na czymś. By nie myśleć o tym, że tuż obok leżą zwłoki brata, próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Cal najwyraźniej utknął w tej sieci, a pozostała trójka, czyli on, Chester i Elliott, opadli na półkę poniżej. Ciało brata zadziało jak kotwica i prawdopodobnie to uratowało im życie, ponieważ tylko dzięki temu nie polecili dalej, w głąb Czeluści.

– Tak mi przykro, wuju – powiedział głośno Will. – Nie dotrzymałem słowa...

Zawiodłem cię.

„Zrobiłeś, co tylko mogłeś, mój chłopcze. Nie można było działać nic więcej...” – odpowiedział mu z powagą głos wuja Tama.

Chociaż Will miał pełną świadomość, że to jedynie wytwór jego wyobraźni, słowa te podniosły go nieco na duchu. Jednak wciąż stał nieruchomo, zastanawiając się, czy podejść do Cala, czy też zostawić go w spokoju.

– Nie, nie mogę tego zrobić. To byłoby podłe – powiedział w końcu do siebie.

Westchnął ciężko, postawił jedną stopę na siatce i sprawdził, czy rama utrzyma jego ciężar.

Prostokątna konstrukcja zaskrzypiała cicho pod naciskiem, wydawało się jednak, że jest solidnie przymocowana do grzyba. Will opadł na ręce i na czworakach powoli wszedł na siatkę. Cal leżał w rogu po drugiej stronie. Gdy włóknisty sznurek ugiął się nieco pod ciężarem Willa, chłopiec zaczął przemieszczać się jeszcze wolniej. Wymagało to sporej odwagi, ponieważ rama sięgała daleko w głąb Czeluści. Will próbował pocieszać się myślą, że nawet gdyby siatka się zerwała, po prostu spadłby na półkę poniżej. Oczywiście, gdyby dopisało mu szczęście...

Przysunął się bliżej do brata, który leżał na brzuchu – Will dziękował w duchu losowi, że oszczędził mu widoku twarzy



zmarłego. Ciało wciąż było przepasane liną. Chłopiec przyciągnął do siebie luźny koniec i po krótkich oględzinach stwierdził, że lina pękła albo przetarła się na czymś. By nie myśleć o tym, że tuż obok leżą zwłoki brata, próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Cal najwyraźniej utknął w tej sieci, a pozostała trójka, czyli on, Chester i Elliott, opadli na półkę poniżej. Ciało brata zadziało jak kotwica i prawdopodobnie to uratowało im życie, ponieważ tylko dzięki temu nie polecili dalej, w głąb Czeluści.

Will trzymał w dłoni poszarpany koniec liny, nie wiedział, co robić dalej. Cal, ułożony w nienaturalnej, powykręcanej pozycji, wydawał się drobny i bezbronny. Will powoli wyciągnął rękę i czubkiem palca delikatnie dotknął przedramienia brata, potem szybko cofnął dłoń.

Skóra była zimna i twarda, zupełnie niepodobna do skóry Cala.

Umysł chłopca wypełniły żywe, wyraźne obrazy z przeszłości, niczym różne sceny z filmu ułożone w przypadkowej kolejności. Przypomniał sobie radosny śmiech brata w czasie, gdy obserwowali Czarny Wiatr z okien jego sypialni. Później pojawiały się kolejno wspomnienia kilku miesięcy, które spędzili razem w Kolonii, łącznie z chwilą pierwszego spotkania, gdy Cal przyjechał do aresztu i zabrał go do domu, by mógł wreszcie poznać rodzinę, o której istnieniu do tej pory nie miał pojęcia.

– Zawiodłem ich wszystkich – warknął Will przez zaciśnięte zęby. – Wuję Tama, babcię Macaulay, nawet moją prawdziwą matkę – dodał, przypominając sobie, jak musieli zostawić śmiertelnie ranną Sarę w pustym tunelu. – A teraz ciebie, Cal... – zwrócił się do ciała, kołysanego lekkimi podmuchami wiatru.

Nagle chłopca ogarnął głęboki, dojmujący żal, a z jego oczu popłynęły szerokie strumienie łez.

– Przepraszam, Cal – szlochał raz za razem.

Wtem usłyszał głucho wycie i otarłszy łzy, spojrział na półkę

poniżej. Ślepia Bartleby ego lśniły niczym dwa talerzyki z polerowanej miedzi – wpatrywały się prosto w niego. Will nie sam jeden opłakiwał śmierć Cala. „Co teraz?” – pomyślał, a potem zadał to samo pytanie na głos: – Powiedz mi, co powinienem teraz zrobić, Tam.

Tym razem głos wyobraźni milczał, ale Will wiedział doskonale, co jego wuj zrobiłby w takiej sytuacji – trzeba było działać praktycznie, nawet jeśli była to ostatnia rzecz, którą miał ochotę teraz zrobić.

– Sprawdź, czy nie ma przy sobie jakichś przydatnych rzeczy – wymamrotał i starając się nie ruszać ciała, zaczął je przeszukiwać.

Znalazł scyzoryk, torebkę orzeszków ziemnych i kilka zapasowych świetlnych kul. W jednej z kieszeni odkrył również zniekształcony, ale wciąż szczelnie zamknięty batonik „Caramac”.

Opłakany stan batonika świadczył o tym, że Cal nosił go ze sobą przez dłuższy czas.

– Mój ulubiony! Cal, ukrywałeś go przede mną! – powiedział Will, uśmiechając się przez łzy.

Schował batonik do kieszeni, a potem, ponieważ nie chciał przewracać ciała na plecy, przeciął pasek bukłaka zawieszzonego na ramieniu brata. Następnie rozpiął pasy plecaka i go zdjął. Kiedy przekładał plecak na bok, zauważył w nim jakieś dziury. W grubym płótnie widniało mnóstwo drobnych otworów, a kiedy chłopiec dotknął jednego z nich, uświadomił sobie z przerażeniem, że jego dłonie poplamione są ciemną, lepką substancją. Krwią Cala.

Szybko wytarł ręce w spodnie. Miał dość – nie zamierzał już dłużej przeszukiwać zwłok.

Siedział przy Calu jeszcze przez jakiś czas, wpatrując się weń w milczeniu. Od czasu do czasu obok ramy przelatywały ze świstem skalne odłamki albo bezkształtna masa wody, rozpryskująca się na miriady drobnych kropel, które migotały w ciemności niczym

gwiazdy uwięzione pod ziemią. Oprócz tych sporadycznych opadów na krawędzi grzyba panowały całkowita cisza i spokój.

Nagle od strony ściany Czeluści dobiegł Willa głuchy huk. Półka zakołysała się raptownie, a sieć pod nim zadrżała na całej długości.

– Co to było, u diabła?! Głaz?! – wykrzyknął, rozglądając się nerwowo dokoła.

Szybko się domyślił, że z góry musiał zlecieć jakiś wyjątkowo ciężki obiekt, który zatrząsł całą grzybową półką.

Chłopiec potraktował to jako znak, że powinien w końcu ruszyć się z miejsca – krucha drewniana rama mogła nie wytrzymać kolejnej tego rodzaju próby. Wiedział już, co powinien zrobić. Mocniej uchwycił się siatki i stopami przesunął ciało Cala na skraj konstrukcji.

Will zajrzał w bezdenną otchłań i wzdrygnął się mimowolnie, gdy wyobraził sobie, jak spada w mroczną pustkę. Potem ponownie zerknął na brata.

– Nigdy nie lubiłeś wysokości, prawda? – wyszeptał.

Wziął głęboki oddech, krzyknął: „Zegnaj, Cal!”, wyprostował gwałtownie nogi i zepchnął zwłoki za krawędź ramy. Później obserwował z zapartym tchem, jak ciało sunie w poprzek Czeluści, prawie w ogóle nie opadając przy tym w głąb. Obracając się powoli wokół własnej osi, szybowało majestatycznie w powietrzu, za nim zaś powiewał urwany sznur. Zaczęło się przechylać w stronę dna dopiero w pewnej odległości od grzyba, a potem zatoczyło obszerny łuk i pomknęło w dół. Will patrzył, jak oddala się coraz bardziej, zamienia się w małą kropkę i w końcu znika w mroku zalegającym w głębi przepaści.

– Żegnaj, Cal! – zawołał chłopiec raz jeszcze, a jego głos rozpląnął się w ogromie Czeluści, by po chwili odpowiedzieć nikłym echem, odbitym od przeciwległej ściany.

Bartleby zawył przeciągle, jakby i on wiedział, że jego pan zmierza

już na miejsce swego wiecznego spoczynku.

Will, ogarnięty czarną rozpaczą i poczuciem winy, odwrócił się i ruszył w drogę powrotną, ciągnąc za sobą plecak Cala. Nagle zastygł w bezruchu. Zamknął oczy i przycisnął dłonie do czoła, jakby przeszył go ostry, nieustępliwy ból. Lecz to był ból zupełnie innego rodzaju...

– Nie, zamknij się – wydyszał chłopiec. – Przestań!

Jakiś głos w głowie mówił mu, że powinien podążyć za bratem, że on także powinien skoczyć. Najpierw Will myślał, że to poczucie winy, przekonanie, że to on odpowiada za śmierć Cala – że mógłby go ocalić, gdyby zachował się inaczej. Przyszło mu także do głowy, że może nagle zaczął bać się wysokości, podobnie jak Cal. Wkrótce jednak zrozumiał, że ani jedno, ani drugie nie jest prawdą: że to coś zupełnie innego. Głos w jego głowie stał się natrętny, pragnienie tak silne, że z trudem mu się opierał. Bardzo chciał ulec temu impulsowi.

Nagle ujrzał siebie samego z boku, jakby wyszedł poza własne ciało. Widział wyraźnie, jak robi to, do czego namawiał go głos szaleństwa. Gdy patrzył na to z perspektywy osoby postronnej, wyzutej z wszelkich emocji, skok w przepaść wydawał mu się idealnym rozwiązaniem. Byłaby to odpowiedź na wszelkie dręczące go wątpliwości, a zarazem byłby to koniec jego bólu, smutku i niepewności. Will, zastygły w bezruchu, zmagał się z tym impulsem, wyteżał wszystkie siły, by stawić mu opór.

– Przestań, idioto! – błagał przez zaciśnięte usta.

Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Podczas gdy w jego głowie toczył się ten zażarty pojedynek, ciałem wstrząsały dreszcze, których nie mógł powstrzymać. Jakaś niepojęta siła przejmowała kontrolę nad jego kończynami, zmuszała go do ruchu, powoli, lecz nieubłaganie obracała jego ciało z powrotem w stronę przepaści. Jednak chłopiec wciąż miał w tej kwestii coś do powiedzenia, wciąż panował nad dłońmi – zaciskały się na siatce z taką siłą, że sprawiało mu to ból, ale

dzięki temu przynajmniej wciąż tkwił w miejscu. Wciąż mógł zrobić cokolwiek, by zapobiec temu szaleństwu.

– Do cholery, co z tobą, Burrows?! – wrzasnął na samego siebie, drżąc jeszcze mocniej Nagle pomyślał o Chesterze, który czekał na niego w dole. Być może właśnie dzięki tej myśli, a może dzięki temu, że wygrał pojedynek toczący się w jego głowie, odzyskał władzę nad własnym ciałem. Zwolnił kurczowy chwyt dłoni i wrócił w pośpiechu na półkę, ponieważ się obawiał, że było to tylko chwilowe zwycięsko.

Szedł na czworakach jeszcze przez kilka chwil, zanim pozwolił sobie stanąć na nogi. Był zlany zimnym potem i prawdziwie przerażony. Nie mógł pojąć, co się z nim stało – nigdy dotąd nie doświadczał podobnych pragnień, nigdy dotąd nie powodowała nim chęć autodestrukcji.

Tymczasem na dole Chester ocierał twarz Elliott jedną ze swych zapasowych koszul. Gdy zwilżył jej usta kilkoma kroplami wody, wymamrotała coś niezrozumiałego. Chłopiec omal nie upuścił manierki, kiedy dziewczyna uniosła powieki i próbowała coś powiedzieć.

– Elliott – wyszeptał Chester i ujął jej dłoń.

Ranna wciąż próbowała mu coś przekazać, lecz z jej ust wydobywał się tylko niezrozumiały szept.

– Nic nie mów. Wszystko jest w porządku. Musisz odpocząć – przekonywał chłopiec kojącym tonem, lecz ona zacisnęła gniewnie usta, jakby zirytowana jego słowami. – O co chodzi? – spytał.

Jednak dziewczyna zamknęła oczy, a jej głowa opadła bezwładnie na podłogę. Znowu straciła przytomność. W tym momencie do jaskini chwiejnym krokiem wszedł Will.

– Elliott ocknęła się na chwilę... Powiedziała kilka słów poinformował go Chester.

– To dobrze – odparł przyjaciel bez entuzjazmu.

– A potem znów straciła przytomność. – Dopiero teraz Chester zauważył zmianę w zachowaniu kolegi. – Will, ty też nie wyglądasz najlepiej. Było ci ciężko... z Calem?

Will poruszał się dziwnie ospale, jakby był zupełnie wyczerpany z sił i marzył tylko o odrobinie snu.

– Elliott się z tego wyliże, Chester. Jest twarda – powiedział, unikając odpowiedzi na pytanie. – Wyleczymy ją – dodał, sięgając do plecaka Cala. Rzucił towarzyszowi bukłak z wodą i paczkę orzeszków ziemnych. – Dołóż to do naszych zapasów – polecił, a potem podszedł do ściany i osunął się powoli na podłogę.

Zza zasłony wody wyłonił się Bartleby. Wielki kot obrzucił obu chłopców posępnym spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, że żaden z nich nie jest Calem. Otrząsnął się z wody, podszedł do Willa i zwinął obok niego w kłębek, a wielki łeb położył na jego udzie. Chłopiec podrapał go w roztargnieniu za uszami, dzięki czemu Chester miał po raz pierwszy okazję ujrzeć, jak jego przyjaciel okazuje kocurowi choć odrobinę czułości.

– Nie odpowiedziałeś mi – stwierdził. – Co z Calem?

– Zająłem się nim – odparł Will beznamiętnym tonem, po czym westchnął przeciągle i zamknął oczy. Natychmiast zapadł w głęboki sen.

## Rozdział trzeci



Drake wreszcie opuścił tunel i wszedł do jaskini, jednak nagle znieruchomiał, ujrawszy samotnie stojącego żołnierza.

– A niech to... – mruknął pod nosem, wycofując się pośpiesznie do korytarza.

Żołnierz ubrany był w szarozielony mundur Brygady Styksów. Członkowie tej formacji z reguły nie zapuszczali się do Głębi – ich zadaniem było patrolowanie granic Kolonii oraz Wiecznego Miasta. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy, rozmyślał renegat, nic nie działało się zgodnie z regułami. Pociągi przybywające na Stację Górników przywoziły nie tylko zastępy przerażających Graniczników, lecz także żołnierzy Brygady. Drake nigdy wcześniej nie widział w Głębi tak dużej aktywności Styksów.

Pochylił się i ostrożnie wyjrzał zza krawędzi tunelu. Żołnierz stał w niedbalej pozie, z karabinem opartym o ziemię, zwrócony do niego plecami. Najwyraźniej nie spodziewał się żadnego zagrożenia. Jednak Drake wiedział, że gdyby zdecydował się na atak, podjąłby spore ryzyko. Skrzywił się ze złością. Tylko tego mu brakowało... Gdyby zawrócił i spróbował dostać się na Wielką Równinę innym tunelem, straciłby co najmniej godzinę.

Nagle w ciszę wdarł się warkot silnika, który wypełnił jaskinię ogłuszającym hukiem.

Renegat wysunął się z korytarza, by zobaczyć, skąd dochodzi ów dźwięk. Okazało się, że nieco dalej stoi jedna z tych wielkich maszyn,

których Koprolici używali do drążenia tuneli. Z licznych rur wydechowych umieszczonych z tyłu pojazdu wydobywały się kłęby dymu, tworzące siną chmurę, w której widać było kilku Koproliatów. Wyglądało na to, że żołnierz nadzoruje jakieś prace górnicze.

Drake miał świadomość, że musi zniszczyć laboratorium w Bunkrze, nim dotrą tam Styksowie. Liczyła się każda minuta, a on nie widział innego rozwiązania, jak tylko rozprawić się z żołnierzem.

Wyprostował się powoli i zaczął skradać wzdłuż ściany. Dzięki temu, że ryk silnika zagłuszał wszelkie inne odgłosy, a żołnierz obserwował Koproliatę wychodzącego z maszyny, renegat zdołał podejść go niepostrzeżenie. Unieszkodliwił strażnika jednym ciosem w kark. Gdy tylko Styks osunął się bezwładnie na ziemię, Drake chwycił jego karabin. Odciągnął zamek, by sprawdzić, czy broń jest naładowana, po czym uśmiechnął się do siebie. Czuł się o wiele lepiej, wiedząc, że ma wreszcie do dyspozycji prawdziwą broń i że nie musi polegać wyłącznie na prymitywnych pistoletach rurowych.

Przewiesił karabin przez ramię i odwrócił się do czterech Koproliatów, stojących w grupie niedaleko miejsca, gdzie padł nieprzytomny żołnierz. Tak jak się tego spodziewał, w żaden sposób nie zareagowali na jego czyn. Trwali w całkowitym bezruchu, z wyjątkiem jednego, który kiwał powoli i rytmicznie głową, co pnapominało ruch gałęzi kołysanej bryzą. Drake nigdy nie mógł się nadziwić, jak spokojne i bezwolne są te łagodne istoty. Koprolici byli świetnymi górnikami, pracowali bardzo ciężko, by zaopatrzyć Kolonię w węgiel, rudę żelaza i inne niezbędne surowce, podczas gdy Styksowie traktowali ich jak niewolników, rzucając im ochłapy w postaci nieregularnych dostaw owoców i warzyw oraz minimalnej liczby świetlnych kul, których Koprolici potrzebowali, by przeżyć w Głębi. Kule te umieszczali w hełmach grubych, brunatnych skafandrów, obok okularów, dzięki czemu zawsze wiadomo było, w



którą stronę dana osoba kieruje wzrok. W tej chwili wszyscy czterej patrzyli wszędzie, tylko nie na nieprzytomnego Styksa, Drakea i potężną maszynę, do której zapewne zamierzali wejść.

– Zmywajcie się stąd, chłopaki! – zawołał Drake, przekrzykując ryk silnika. – Wracajcie do swojej osady. Styksowie będą wiedzieć, że zrobił to renegat, więc nie zemszczą się na was – dodał, wskazując ręką na unieszkodliwionego żołnierza. – Idźcie do domu!

Sam odwrócił się do maszyny z silnikiem parowym. Była to olbrzymia bestia o cylindrycznym kadłubie wykonanym z arkuszy grubej stali, poruszająca się na trzech solidnych gąsienicach. Z przodu znajdowała się okrągła tarcza wiertnicza z diamentami, mierząca jakieś dziesięć metrów średnicy – z pewnością mogła ona wydrążyć tunel nawet w najtwardszej skale.

Tylny właz był otwarty. Kiedy Drake to dostrzegł, w jego głowie zaczął kiełkować pewien pomysł. Mężczyzna chciał jak najszybciej dostać się do Bunkra, a dzielił go od niego jeszcze szmat drogi, którą musiał pokonać na piechotę.

– Ciekaw jestem... – powiedział głośno.

Choć nigdy dotąd nie prowadził takiego pojazdu, kilkakrotnie widział jego wnętrze, a pulpit sterowniczy nie wydawał mu się zbyt skomplikowany. Poza tym maszyna była uruchomiona i gotowa do pracy – czteroosobowy zespół Koprolitów najwyraźniej szykował się już do odjazdu, gdy on unieszkodliwił ich nadzorcę.

Drake podszedł do włazu, dostał się do środka i rozejrzał dokoła. Wnętrze pojazdu wykonane było z gołej blachy, czarnej od brudu, z wyjątkiem często używanych miejsc, gdzie lśniła jak wypolerowana stal.

Spojrzenie mężczyzny spoczęło na dźwigniach sterowniczych i zegarach umieszczonych obok.

– Warto spróbować – stwierdził i już miał zamknąć klapę, gdy

nagle pochwyciła ją dłoń okryta grubą rękawicą.

Właz otworzył się ponownie. Na zewnątrz stał Koprołita, który patrzył prosto na intruza.

– Co?! – wykrzyknął renegat.

Było to coś naprawdę niezwykłego. Choć postać w obszernym skafandrze o gorejących oczach wyglądała dość złowrogo, Drake nie czuł się zagrożony. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Koprołita mógłby go zaatakować. Zbyt dobrze ich znał – wiedział, że nie są w stanie nikogo skrzywdzić. Poza tym od wielu lat starał się im pomagać w miarę możliwości, wymieniając świetlne kule na jedzenie. Zarówno on, jak i sami Koprołici dobrze rozumieli, że była to tylko symboliczna wymiana, ponieważ on wcale nie potrzebował ich jedzenia, natomiast im zawsze brakowało świetlnych kul.

Koprołita stał w bezruchu, wciąż zaciskając dłoń na krawędzi klapy, a tymczasem dołączył do niego jeszcze jeden członek załogi, potem zaś dwóch pozostałych. Niczym grupa robotów, którym ktoś wydał rozkaz, wszyscy jednocześnie ruszyli naprzód.

– Co wy robicie? Tu nie jest bezpiecznie! – krzyknął zdziwiony Drake, ale ponieważ widział, że Koprołici chcą wejść do pojazdu, odsunął się na bok.

Gdy ostatni z nich zatrzasnął właz, wszyscy zajęli swoje miejsca. Dwaj usiedli w fotelach po obu stronach włazu i zapięli pasy. Dwaj pozostali przeszli do przedniej części kabiny, a jeden z nich odwrócił się do Drake'a. Renegat rozpoznał Koprołitę, który wcześniej kiwał głową – był o kilka centymetrów wyższy od pozostałych.

– Nie powinno was tutaj być. To zbyt ryzykowne – powiedział mężczyzna, na co Koprołita położył ręce na fotelu kierowcy i go obrócił, jakby zapraszając do zajęcia miejsca.

Drake pokręcił głową. Była to rzecz niespotykana. Koprołici zawsze trzymali się na uboczu i zachowywali całkowitą neutralność, wiedzieli

bowiem dobrze, że pomagając renegatowi, nie tylko narażają się na pewną śmierć, lecz także mogą sprowadzić surową karę na całą swoją osadę. Ci czterej narażali własne kobiety i dzieci. A mimo to bez słowa postanowili mu pomóc!

Mężczyzna wzruszył ramionami, po czym podszedł do pulpitu i usiadł w fotelu. Wysoki Koprołita zajął miejsce drugiego pilota. Jego towarzysz usadowił się za czymś, co było zapewne konsolą nawigatora – świadczyły o tym mapa rozłożona na blacie oraz rząd kompasów ustawionych na wysokości głowy.

Drake się zawahał, spoglądając na szereg różnych dźwigni i kontrolki, po czym nacisnął największy z pedałów wystających z podłogi. Silnik ryknął głośniej, ale poza tym nic się nie stało. Siedzący obok Koprołita pochylił się do przodu, by wcisnąć i przekręcić drążek na tablicy sterowniczej, i pojazd ruszył do przodu.

– Rozumiem! – krzyknął renegat, wciskając pedał gazu i pociągając za lewy drążek sterowniczy.

Maszyna zaczęła powoli zakręcać. Gdy reflektory oświetliły ścianę jaskini, Drake skierował pojazd ku tunelowi, który miał ich wyprowadzić na Wielką Równinę. Musiał mocno wyteżać wzrok, by przez maleńką, kryształową szybę dojrzeć, dokąd jedzie. Zadania nie ułatwiało mu to, że szybka była porysowana i zakurzona, a w dodatku widoczność ograniczała także wielka, diamentowa tarcza zamontowana z przodu. Renegat kilkakrotnie otarł bokiem maszyny ścianę tunelu, omal nie wyrzucając przy tym Koprołitów siebie samego z foteli.

Chwilę później, gdy wreszcie opuścili korytarz i wjechali na Wielką Równinę, Drake mocno wcisnął pedał gazu. Pojazd poderwał się do przodu – mężczyzna był zaskoczony prędkością, z jaką pędził przez księżycowy krajobraz ogromnej równiny. Ponad ryk silnika wybijał się chrzęst kamieni rozgniatanych ciężkimi gaśnienicami. Żar bijący z

tylnej części kabiny świadczył o tym, że dwaj pracujący tam Koprolici bez ustanku dorzucają węgla do paleniska pod kotłem.

Przejechali już ładnych parę kilometrów, gdy nagle renegat usłyszał głośny trzask. Coś uderzyło w kryształową szybę. Po chwili kolejny pocisk uderzył w kadłub, który zabrzączał niczym pęknięty dzwon. Mężczyzna zrozumiał wtedy, że ktoś do nich strzela.

W świetle reflektorów dojrzał Granicznika, który trzymał w rękach karabin podniesiony do strzału. Drake się roześmiał – wyglądało to tak, jakby komar próbował pokonać słonia.

Przełożył jedną z dźwigni, by zmienić kurs i skierować pojazd na Granicznika, który tymczasem oddał kolejny strzał. Żołnierz musiał ogromnie się zdziwić, gdy zrozumiał, że olbrzymia maszyna pędzi prosto na niego. Wystraszony, poderwał się do biegu: kluczył po ogromnej równinie i zmieniał gwałtownie kierunek ucieczki, niczym zając ścigany przez psa.

Ale Drake nie zamierzał puścić go wolno. Nauczył się już posługiwać dźwigniami sterowniczymi i bez trudu nadążał za coraz bardziej przerażonym Granicznikiem, który w końcu się potknął i przewrócił. Renegat ruszył prosto na niego, lecz żołnierz w ostatniej chwili odtoczył się na bok. Nie zdążył jednak zabrać karabinu, który został zgnieciony na miazgę.

– Miałeś szczęście, kolego! – krzyknął Drake, przestawiając dźwignie sterownicze i wracając na właściwy kurs.

Dwa kilometry dalej zobaczył ścianę Bunkra, a po chwili nie widział już nic poza szarą, betonową wstęgą ciągnącą się przez Wielką Równinę. Zwolnił i zatrzymał się tuż przed murem. Ponieważ nie wiedział, co właściwie powinien robić dalej, spojrzął na Koprolicę siedzącego obok. Ten ponownie pochylił się ku niemu i pchnął kolejny dźwignik. Cały pojazd zadrżał, gdy zamontowana z przodu tarcza wiertnicza zaczęła się obracać.

Drżenie z każdą chwilą przybierało na sile, a gdy koło tnące rozpedziło się do maksymalnej prędkości, Koprołita wskazał na pedał gazu. Drake nacisnął go delikatnie i pojazd ruszył do przodu. Tarcza dotknęła ściany Bunkra, diamentowe zęby wwierciły się w beton, wyrzucając na boki chmury kurzu. Renegat obserwował z zafascynowaniem, jak koło wbija się w mur niczym gorący nóż w masło. Gdy diamentowe zęby natknęły się na żelazne pręty zbrojeniowe, olbrzymia tarcza wiertnicza pokazała w pełni swą nieprawdopodobną moc, po prostu wyrywając ze ściany wielkie kawałki betonu.

Wystarczyło pięć minut, by maszyna przedarła się przez zewnętrzną ścianę Bunkra, potem zaś ruszyła w głąb budynku, przecinając ścianki działowe z taką łatwością, jakby były wykonane z papieru. Uznawszy, że zajechał już wystarczająco daleko, renegat skierował pojazd na korytarz i zahamował. Rozpiął pas i podszedł do tylnego wjazdu. Gdy podniósł klapę, ujrzał dzieło zniszczenia, które zostawiła po sobie potężna machina. Na podłodze leżały kolumny podtrzymujące sufit oraz wielkie płyty betonu, które zapadły się do wnętrza budowli. Styksowie musieliby się trochę namęczyć, żeby przejść śladem pojazdu.

Mężczyzna odwrócił się do Koprołitów.

– Nie wiem, jak mam wam dziękować – powiedział.

Jeden z Koprołitów stojących obok paleniska skinął głową. Drake nie mógł powstrzymać chichotu. Jak na Koprołitę osobnik ten był wyjątkowo „gadatliwy”. Renegat zasalutował towarzyszom podróży i wyszedł przez wjazd.

Nie szukał długo korytarza z celami, na które natknął się wraz z Elliott i Calem. Musiał zmrużyć oczy, oślepiony jasnym blaskiem. W odróżnieniu od innych części Bunkra, które przez dziesięciolecia w ogóle nie były używane i popadły w ruinę, ten pokój był czysty i

zadziwiająco biały. Po obu stronach sali, mierzącej jakieś dwadzieścia na dziesięć metrów, ciągnął się szereg drzwi zaopatrzonych w okienka z grubego szkła. Wystarczyło tylko zerknąć przez nie do cel ukrytych za drzwiami, by zrozumieć, że nie został w nich nikt żywy.

Rozkładające się zwłoki leżały w kałużach płynów. Drake pokręcił głową. Styksowie bez wątplenia znaleźli to, czego szukali – jeśli ci nieszczęśnicy, pełniący funkcję królików doświadczalnych, mieli stanowić miarę skuteczności wirusa Dominion, to rzeczywiście był on śmiertelnie niebezpieczny i stanowił prawdziwe zagrożenie dla Górnoziemców.

Drake pomyślał, że mógłby pobrać próbkę wirusa z któregoś z ciał – dzięki temu byłoby możliwe przygotowanie szczepionki i tym samym udaremnienie planu Styksów. Jednak drzwi wszystkich cel zostały starannie zaspawane, więc musiałby wysadzić je w powietrze, by dostać się do środka. Gdyby to zrobił, zapewne nie tylko sam by się zaraził, lecz także wypuścił wirus do atmosfery. Istniało ryzyko, że wówczas prądy powietrzne zniosłyby zarazę do Górnoziemia. Renegat pokręcił głową, odrzucając ten pomysł, potem zaś przyjrzał się uważnie sprzętowi laboratoryjnemu na stole pod ścianą. Nie znalazł tam niczego, co przypominałoby fiolki z wirusem.

– Nie ma czasu – mruknął do siebie, świadom, że w każdej chwili w Bunkrze mogą pojawić się Styksowie.

Wykorzystał wszystkie materiały wybuchowe, które miał ze sobą – podłożył ładunki pod każdą z cel. Nie zamierzał zostawiać niczego przypadkowi – eksplozja musiała być naprawdę potężna, żeby pożar powstały w jej wyniku zabił wirus i wysterylizował cały ten obszar, który tak czy inaczej miał zniknąć pod tysiącami ton betonu i skał.

Drake podpalił lonty i rzucił się do ucieczki. Był już w sporej odległości od laboratorium?

gdy ładunki eksplodowały, jednak fala uderzeniowa okazała się tak

silna, że rzuciła go na ziemię i na chwilę pozbawiła tchu. Nie przejmował się tym – czuł jedynie ulgę, że osiągnął swój cel. Jeśli Sara Jerome rzeczywiście unicestwiła jedyne pozostałe próbki Dominium, kiedy pociągnęła za sobą w otchłań bliźniaczki Styksów, to zagrożenie zostało zażegnane.

Mężczyzna wiedział jednak, że ta sytuacja nie będzie trwać wiecznie i że niebezpieczeństwo powróci, gdy Styksowie znajdą w Wiecznym Mieście kolejne gatunki groźnych wirusów lub stworzą je sami w swoich laboratoriach.

Drake przebył Wielką Równinę na piechotę i po niecałych dwóch dniach wędrówki dotarł do Stacji Górników. Tam ukrył się w jednym z pustych wagonów gdzieś w połowie pociągu. Nie musiał długo czekać na odjazd – kilku żołnierzy z Brygady Styksów wsiadło do wagonu strażników, po czym pociąg opuścił stację. Renegat trzymał w pogotowiu karabin zabrany Granicznikowi, na wypadek gdyby któryś z żołnierzy chciał sprawdzić resztę składu; jednak żaden z nich tego nie zrobił, co w ich przypadku było przejawem wyjątkowego rozluźnienia dyscypliny.

Kiedy pociąg wjechał na stację w Kolonii, Drake nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Gdy wygramolił się z olbrzymiego wagonu i zeskoczył na ziemię obok torów, stwierdził ze zdumieniem, że dworzec jest zupełnie niestrzeżony. Bez trudu dostał się na ulice Kolonii, lecz kiedy już tam dotarł, przekonał się, że powietrze przesycone jest gęstymi, czarnymi oparami.

Szerokie słupy dymu wyrastały z samego środka Kolonii, wypełnione tu i ówdzie ognistą czerwienią, która podświetlała skalny sufit jaskini.

wirus i wysterylizował cały ten obszar, który tak czy inaczej miał zniknąć pod tysiącami ton betonu i skał.

Drake podpalił lonty i rzucił się do ucieczki. Był już w sporej odległości od laboratorium, gdy ładunki eksplodowały, jednak fala uderzeniowa okazała się tak silna, że rzuciła go na ziemię i na chwilę pozbawiła tchu. Nie przejmował się tym – czuł jedynie ulgę, że osiągnął swój cel.

Jeśli Sara Jerome rzeczywiście unicestwiła jedyne pozostałe próbki Dominium, kiedy pociągnęła za sobą w otchłań bliźniaczki Styksów, to zagrożenie zostało zażegnane.

Mężczyzna wiedział jednak, że ta sytuacja nie będzie trwać wiecznie i że niebezpieczeństwo powróci, gdy Styksowie znajdą w Wiecznym Mieście kolejne gatunki groźnych wirusów lub stworzą je sami w swoich laboratoriach.

Drake przebył Wielką Równinę na piechotę i po niecałych dwóch dniach wędrówki dotarł do Stacji Górników. Tam ukrył się w jednym z pustych wagonów gdzieś w połowie pociągu. Nie musiał długo czekać na odjazd – kilku żołnierzy z Brygady Styksów wsiadło do wagonu strażników, po czym pociąg opuścił stację. Renegat trzymał w pogotowiu karabin zabrany Granicznikowi, na wypadek gdyby któryś z żołnierzy chciał sprawdzić resztę składu; jednak żaden z nich tego nie zrobił, co w ich przypadku było przejawem wyjątkowego rozluźnienia dyscypliny.

Kiedy pociąg wjechał na stację w Kolonii, Drake nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Gdy wygramolił się z olbrzymiego wagonu i zeskoczył na ziemię obok torów, stwierdził ze zdumieniem, że dworzec jest zupełnie niestrzeżony. Bez trudu dostał się na ulice Kolonii, lecz kiedy już tam dotarł, przekonał się, że powietrze przesycone jest gęstymi, czarnymi oparami.

Szerokie słupy dymu wyrastały z samego środka Kolonii, wypełnione tu i ówdzie ognistą czerwienią, która podświetlała skalny



sufit jaskini.

– Slumsy – wyszeptał do siebie mężczyzna.

Bez wątpienia w dzielnicy biedoty działo się coś bardzo niedobrego, a Drake musiał zobaczyć to na własne oczy. Przemknął się na same obrzeża Slumsów, gdzie ujrzał rzesze żołnierzy Brygady, trzymających w dłoniach zapalone pochodnie. Widział też osoby, które rozpaczliwie próbowały się wydostać z płonącej dzielnicy i przebić przez szczelny kordon Styksów; słyszał ich przedśmiertne krzyki. Raz za razem zrozpaczeni mieszkańcy, z twarzami czarnymi od dymu, w płonących ubraniach, usiłowali uciec z tego piekła, jednak gdy tylko wybiegali na ulicę, ginęli z rąk żołnierzy, którzy bezlitośnie cięli ich wielkimi nożami, niczym rolnicy w czasie żniw.

Inni Styksowie, w długich czarnych płaszczach z białymi kołnierzami, przechadzali się wzdłuż szeregów żołnierzy, wykrzykując rozkazy. Systematyczna likwidacja Slumsów nie ustawała ani na moment – przez stulecia Styksowie pozwalali buntownikom i malkontentom kryć się w tym getcie, teraz jednak najwyraźniej postanowili pozbyć się raz na zawsze tego wrzodu na tkance Kolonii. Drake obserwował ze zgrozą, jak czteropiętrowa kamienica wali się na ziemię. W lawinie kamieni dostrzegł ludzi... Co najgorsze, były wśród nich dzieci... ich drobne rączki wymachiwały bezradnie, a potem nikły pod zwałami gruzu.

Ukryty w cieniu renegat, człowiek, który mężnie znosił tortury z rąk Styksów, który przeżył wiele lat w ekstremalnych warunkach Głębi, załamał się i wybuchł szlochem. Nie mógł się pogodzić z bestialstwem, które dokonywało się na jego oczach. Nie mógł też nic zrobić – sam jeden nie był w stanie powstrzymać Styksów i zapobiec masakrze.

Czarna taksówka wypełniona nieznośnym upałem oraz głośną turecką muzyką mknęła przez Londyn. Kierowca musiał chyba znać

synchronizację świateł na wszystkich skrzyżowaniach, ponieważ za każdym razem przejeżdżał je na żółtym świetle, tuż przed zmianą na czerwone. Wydawało się też, że w ogóle nie wadzi progów zwalniających na drodze, w związku z czym pani Burrows raz po raz podskakiwała na tylnym siedzeniu, jakby dosiadała wielbłąda.

Padał gęsty deszcz, lecz pasażerka opuściła szybę i oparła się o ramę okna, wystawiając twarz do wiatru. Rozkoszując się dotykiem świeżego powietrza i kropel deszczu, spoglądała nieobecnym wzrokiem na mokre chodniki. Wpatrywała się w chaotyczne linie i nieregularne plamy światła odbicia mijanych witryn sklepowych. Nie myślała o niczym szczególnym, czuła się jednak prawdziwie wolna po długim pobycie w Humphrey House.

Podniosła oczy, uświadomiwszy sobie z pewnym zaskoczeniem, dokąd dojechali.

– Highfield?

– Tak, dziś na ulicach jest pusto – odparł taksówkarz.

– Mieszkałam tu kiedyś – wspomniała kobieta, gdy minęli drogę, która zaprowadziłaby ich do Braodlands Avenue.

– Mieszkałam? – zdziwił się kierowca. – Ale już tu pani nie mieszka?

-Nie.

Sprzedła dom, kiedy ceny nieruchomości akurat zwyżkowały, dzięki czemu mogła odłożyć przyzwoitą sumkę. Mimo że już nie była właścicielką posiadłości, nagle poczuła ogromną ochotę, by wrócić tam przynajmniej na moment, po raz ostatni rzucić okiem na swój były dom. Choć ten rozdział jej życia był już zamknięty, pozostało mnóstwo nierozwiązanych spraw.

– Już nie mieszkam – wyszeptała pani Burrows, dodając w myślach, że nie czas teraz na sentymentalne wizyty. Miała pilniejsze rzeczy na głowie.

Kiedy jechali wzdłuż High Street, patrzyła na dobrze znane sklepy. Dostrzegła pralnię i kiosk, w którym kupowali gazety. Potem zauważyła, że okna sklepu Ciarke'a zabite są deskami, jakby został zlikwidowany. Staromodny zieleniak był ulubionym sklepem Rebeki, co zawsze wydawało się pani Burrows dosyć dziwne, sama wolałaby bowiem korzystać z pobliskiego supermarketu, dostarczającego zakupione towary do domu. W końcu minęli muzeum, w którym niegdyś pracował jej mąż, ale w tym momencie kobieta odwróciła głowę. Dla niej to miejsce symbolizowało porażkę, było pomnikiem jej niespełnionych oczekiwań.

Potem opuścili Highfield i wkrótce dotarli do skrzyżowania z północną obwodnicą. Kiedy zatrzymali się na światłach, na pasie obok przystanął poobijany biały samochód rozbrzmiewający ogłuszającą muzyką. W środku tłoczył się tłum pasażerów. Młoda dziewczyna siedząca przy otwartym oknie wbiła w panią Burrows wyzywające spojrzenie.

Była zapewne niewiele starsza od Rebeki, może o dwa lub trzy lata, miała podkrążone, zmęczone oczy oraz brudne włosy, opadające tłustymi strąkami aż na ramiona. Wciąż wpatrywała się lodowatym wzrokiem w pasażerkę taksówki i w pewnej chwili wypluła gumę do żucia, która uderzyła w drzwi auta.

– Co ty wyprawiasz, ty brudna świnió! – wrzasnął taksówkarz, wygrażając dziewczynie.

Wściekły, zwiększył raptownie obroty silnika. – Mojej córce nie pozwoliłbym tak się zachowywać.

Nastolatka wciąż bezskutecznie próbowała zmusić panią Burrows do odwrócenia wzroku.

– Ja też nie – zgodziła się – nim kobieta. – Zawsze wiem, gdzie jest moja córka: w domu, cała i zdrowa – dorzuciła.

– Jasne, ale ci ludzie nie mają za grosz szacunku – stwierdził

mężczyzna, pochylając się nad kierownicą i spoglądając gniewnie na sąsiedni samochód. – Za grosz szacunku powtórzył, po czym wcisnął pedał gazu i zostawił białe auto w tyle, trąbiąc przy tym głośno.

Czterdzieści minut później przejechali przez rzekę i znaleźli się kilka przecznic od osiedla domów komunalnych, zdominowanego przez trzy wieżowce. Pani Burrows się wydawało, że wie, w którym z nich mieszka Jean, wciąż jednak nie mogła wskazać ulicy, która zaprowadziłaby ich do tego bloku. Kierowca przestał już nawet spoglądać na mapę i zdał się całkowicie na pasażerkę.

– Wygląda mi to znajomo – mruknęła kobieta.

– Południowy Londyn. Tu wszystko wygląda tak samo zachichotał taksówkarz.

– Chwileczkę, pamiętam to... Proszę skrócić w lewo – poinstruowała go pani Burrows. – Tak, jestem pewna, że to tutaj – dodała, patrząc na wieżowiec, który rzeczywiście był poszukiwanym przez nią Mandela Heights.

Taksówka wjechała w ślepą uliczkę i zatrzymała się z piskiem opon.

– Jesteśmy na miejscu – stwierdził kierowca.

Pasażerka wysiadła z samochodu i wyjęła z bagażnika swoje torby. Potem wręczyła taksówkarzowi należność z bardzo sutym napiwkiem.

– Niech Bóg błogosławi panią i pani rodzinę – zawołał za nią mężczyzna, gdy zaciągnęła swe torby do wejścia.

Spojrzała na długie rzędy guzików domofonu, w większości zniszczonych, potem jednak zobaczyła, że drzwi i tak stoją otworem. Weszła do środka i przekonała się, że winda działa – cud nad cudami! – chociaż śmierdziała równie paskudnie, jak podczas jej ostatniej wizyty. Po krótkiej, pełnej zgrzytów i pojękiwań podróży winda zatrzymała się na trzynastym piętrze.

– Na miłość boską! – mruknęła pod nosem pani Burrows, gdy po

otwarciu ciężkich drzwi dźwiguomal nie weszła prosto w kałużę wymiocin.

Nacisnęła guzik dzwonka i czekała. Potem spróbowała ponownie, tym razem dłużej trzymała palec na przycisku.

Po chwili usłyszała szuranie po drugiej stronie drzwi i zorientowała się, że siostra patrzy na nią przez judasz.

– Otwórz wreszcie, Jean! – powiedziała Celia prosto do wizjera.

Drzwi nadal pozostawały zamknięte, więc kobieta nie zdejmowała palca z guzika dzwonka.

Dopiero po kilku minutach jej siostra raczyła otworzyć.

– Za kogo ty się uważasz, u diabła?! – wrzasnęła od razu, dysząc ciężko.

W kąciuku jej ust, jak zawsze, tkwił tłący się papieros. Była ubrana w stary płaszcz, a jej siwe włosy sterczały w górę z jednej strony, jakby na tym boku spała.

– Witaj, Jean – przywitała się pani Burrows.

Kobieta spojrzała na nią spod przymrużonych powiek, a potem cofnęła się o krok, jakby tylko w ten sposób mogła skupić wzrok na stojącej przed nią osobie.

– Celia! To ty! – krzyknęła, otwierając usta tak szeroko, że papieros oderwał się od jej wargi i zleciał ciasną spiralą na wytarty dywan.

– Więc mogę wejść?

– Oczywiście, oczywiście, że możesz. – Musiała najpierw zgasić papierosa, który wypalał dziurę w dywanie. – Skąd wiedziałaś, że będę w domu?

– A kiedy ty gdziekolwiek wychodzisz? – odpowiedziała pytaniem jej siostra, podnosząc torby.

Przedpokój jak zawsze był zawalony stertami starych gazet; w powietrzu unosił się nieprzyjemny, kwaśny zapach.

– Powinnaś była najpierw zadzwonić, na wszelki wypadek –

stwierdziła gospodyni, po czym głośno zakasłała.

– Dzwoniłam, ale odłożyłaś słuchawkę.

Wydawało się, że Jean nie usłyszała tej uwagi.

– Napijesz się kawki? – zaproponowała, wchodząc do kuchni. – Myślałam, że jesteś w Herbert House, czy jakoś tak, z tymi wszystkimi lekarzami. Wypuścili cię, co?

– Sama uznałam, że czas już odejść – odparła pani Burrows, ogarniając jednym spojrzeniem straszliwie zaniedbaną kuchnię. – A ja myślałam, że Rebeka od razu wypucuje ci mieszkanie. No i gdzie ona właściwie jest? W swoim pokoju?

Jean odwróciła się do niej i zamrugwała.

– Nie – odpowiedziała krótko, choć brzmiało to raczej jak połączenie „nie” i pełnego zaskoczenia „och”.

-Co?

– Odeszła.

– Jak to odeszła? – Pani Burrows pobladła i zrobiła krok w stronę siostry, po drodze strącając ze stołu przepelnioną popielniczkę i drewnianą misę z na wpół przegniłymi bananami.

– Zabrała się stąd już parę tygodni temu. Spakowała swoje graty i poszła, tak po prostu.

– Jean nie patrzyła Celi w oczy, jakby wiedziała, że zrobiła coś złego. – Przykro mi, ale nie chcę mieć z tą dziewczuchą nic wspólnego. Ta mała szuja zniszczyła mi wszystkie szlugi i...

– Jean! – Pani Burrows chwyciła siostrę za ramiona i potrząsnęła nią mocno. – Miałaś się nią opiekować. Na miłość boską, ona ma tylko dwanaście lat! Kiedy i dokąd poszła?

Krewna nie śpieszyła się z odpowiedzią.

– Mówiłam ci: to było dawno temu. I nie wiem, dokąd poszła. Powiedziałam o tym kobiecie z opieki społecznej, ale ona nawet nie oddzwoniła.

Pani Burrows puściła siostrę i wyciągnęła krzesło spod kuchennego stołu, strącając przy tym kolejnych kilka przedmiotów. Opadła ciężko na stołek. Poruszała ustami, lecz nie wydawała z siebie żadnych dźwięków.

Jean oparła się o zlew i wymachując rękami, bełkotała coś niezrozumiale, po czym nagle przerwała monolog i poinformowała: – A potem przyszedł Will ze swoim kuzynem.

Pani Burrows powoli odwróciła się do siostry.

– Słucham? Czy powiedziałaś Will? Mój syn Will?

– Tak, zjawił się tu z kuzynem. I przyprowadzili ze sobą tego ślicznego kota Bartleby ego...

– Ale Will zaginął pół roku temu! Wiesz o tym. Policja w całym kraju szuka jego i Chestera.

– Nie wiem, co z Chesterem, ale mogę ci powiedzieć, że Will był tutaj jakieś dwa miesiące temu. Nie czuł się wtedy najlepiej, ale ten Cal, cudowny chłopak, opiekował się nim, no i w końcu twój syn jakoś doszedł do siebie. No i ten Bartleby! Nigdy nie widziałam takiego wielkiego kota, może tylko w zoo.

– Wielki kot? – powtórzyła pani Burrows chłodnym tonem. – Wielki kot...?

Sięgnęła po jedną z wielu pustych butelek po wódce stojących na stole i wzięła ją do ręki.

Milczała przez chwilę, wpatrując się w czerwonosrebrną etykietę. W ciszy słychać było jedynie niski pomruk układu chłodzącego lodówki.

– Nie wiem, czy słyszałaś, ale nasza Bessie też ma problemy ze swoim najstarszym.

Niedawno wplątał się w taką historię... – Jean umilkła, widząc, że nie uda jej się odwrócić uwagi siostry za pomocą rodzinnych plotek.

Pani Burrows, wciąż wpatrzona w etykietę, pokręciła tylko głową

w milczeniu. Jean, coraz bardziej poruszona, nie wytrzymała w końcu i wybuchła: – Celio, powiedz coś! Skąd mogłam wiedzieć, że jego ciągle nie ma? Dlaczego nic nie mówisz?

Matka Willa odstawiła pustą butelkę, przesuwając ją ostrożnie po blacie stołu, jakby to była jakaś wyjątkowo cenna ozdoba. Wzięła głęboki oddech, wypuściła powoli powietrze i wreszcie spojrzała na siostrę.

– Ponieważ, Jean, w tej chwili nie wiem, czy powinnam zadzwonić na policję... czy też odesłać cię w jakieś bezpieczne miejsce, bo najwyraźniej całkiem pomieszało ci się w głowie.

A może powinnam zrobić jedno i drugie.



W reakcji na sensacyjne wiadomości, którymi pani Burrows zasypywała komisariat policji w Highfield, ktoś w końcu odszukał inspektora Blakemorea. Detektyw natychmiast oddzwonił do kobiety, która odbyła z nim długą rozmowę i zrelacjonowała wszystko, czego się właśnie dowiedziała. Już pół godziny później funkcjonariusz pojawił się w mieszkaniu siostry Celi Burrows wraz z drugim detektywem oraz ekipą dochodzeniową.

– Wygląda na to, że ktoś już nas uprzedził – stwierdził, gdy tylko wszedł do przedpokoju i spojrzał na listy i gazety rozrzucone po podłodze.

– Och, cudownie – mruknął z irytacją jeden z towarzyszących mu policjantów. – Mamy tu kogoś o naturze chomika, chłopaki – rzucił do kolegów. – Lepiej zadzwońcie do żon i uprzedźcie, że będziecie dzisiaj dłużej pracować.

Już po chwili policjanci zaczęli przeszukiwać mieszkanie, a pani Burrows i jej siostra zostały przewiezione na komisariat, gdzie każda z osobna została poddana przesłuchaniu, a potem musiała jeszcze złożyć oficjalne zeznania.



Dopiero w niedzielę, późnym rankiem, policyjny samochód odwiózł je do domu. Okazało się, że policjanci zabrali ze sobą sporo rzeczy Jean, zapakowanych w foliowe torby. Mieszkanie, choć wciąż zabałaganione, wyglądało znacznie schludniej niż przed przeszukaniem.

Funkcjonariusze przynajmniej ułożyli gazety i listy w równe sterty i zabrali z kuchni worki ze śmieciami, by zbadać ich zawartość. We wszystkich pomieszczeniach zostały resztki proszku do pobierania odcisków palców, choć trudno było dostrzec ten pył w zalegającej wszędzie grubej warstwie kurzu.

Obie siostry, nie kłopotując się zdejmowaniem płaszczy, opadły ciężko na fotele w salonie.

Obie wydawały się skrajnie wyczerpane.

– Muszę zapalić – oświadczyła Jean, po czym sięgnęła do leżącej obok paczki i wyjęła z niej papierosa. – Och... od razu lepiej – westchnęła, zaciągnąwszy się głęboko. Ściskając papierosa w ustach, rozglądała się przez chwilę dokoła, aż wreszcie namierzyła pilota do telewizora. – Proszę cię bardzo – powiedziała, wręczając go gościowi. – Oglądaj, co chcesz.

Pani Burrows odruchowo wzięła pilota i przez chwilę przebierała palcami nad guzikami, jednak nie nacisnęła żadnego.

– Teraz straciłam nie tylko męża, lecz także oboje dzieci. A policja... uważa, że to ja jestem winna... Ze ja to zrobiłam...

Jean wysunęła do przodu szczękę, wypuszczając jednocześnie gęstą chmurę dymu, która niemal całkowicie przesłoniła jej twarz.

– Nie mogą tak myśleć...

– Mogą i myślą, Jean – przerwała jej głośno siostra. – Kazali mi złożyć pełne zeznania.

Jeden z nich użył nawet sformułowania „puścić farbę”. Ubzdurali sobie, że moi „wspólnicy” porwali Willa, ale on zdołał jakoś uciec i

przyszedł tutaj. Nie pytaj nawet, co ich zdaniem zrobiłam z Rogerem, Rebeką i ehesterem. Pewnie uważają mnie za pierwszego seryjnego mordercę w Highfield!

Jean próbowała parsknąć z oburzeniem, jednak z jej ust wydobył się tylko suchy, nieprzyjemny kaszel.

– Jesteś pewna, że Will w ogóle nie wspominał, gdzie był? spytała pani Burrows, gdy siostra w końcu przestała kasłać.

– Ani słówkiem. Ale wydawało mi się, że chce tam wrócić – odparła po namyśle. – I zabierał ze sobą tego chłopaczka, kuzyna Cala.

– Tłumaczyłam ci już, że w rodzinie ze strony Rogera nie ma żadnego Cala.

Jean westchnęła ze znużeniem.

– Skoro tak mówisz – mruknęła. – Pamiętam, że Calowi nie bardzo się tutaj podobało.

Chciał wrócić do siebie, na południe.

– Na południe? – powtórzyła pani Burrows w zamyśleniu. – I powiadasz, że ten młodszy chłopiec był kubek w kubek podobny do Willa?

Siostra skinęła głową.

– Jak dwie krople wody.

Celia Burrows wpatrywała się w ciemny ekran telewizora, analizując różne możliwości.

– Jeśli owa tajemnicza kobieta, która wtedy pojawiła się w Humphrey House, była matką Willa, to może ten chłopiec był jego bratem? – spytała głośno.

Jean uniosła brwi.

– Jego bratem?

– Tak, czemu nie? – odparła Celia. – To wcale nie jest wykluczone. Mówisz, że Will był wściekły na Rebekeę?

– O tak – przytaknęła jej siostra, wypuszczając kolejny obłok dymu.  
– Zachowywał się tak, jakby jej nienawidził... i jakby się jej trochę bał.

Pani Burrows pokręciła głową, zdezorientowana.

– Trzeba rozwiązać tę zagadkę. Czuję się tak, jakbym przegapiła pierwszą część filmu i musiała sama się domyślić, co było na początku.

Jean wymamrotała coś o drinku i ziewnęła szeroko.

– A żeby zrozumieć tę historię, muszę wrócić do miejsca, w którym wszystko się zaczęło – oświadczyła matka Willa, podnosząc się z fotela. Spojrzała na pilota, którego wciąż trzymała w dłoni. – I na pewno nie będę potrzebowała tegododała, po czym rzuciła pilota na kolana siostry i wyszła z pokoju.

– Jak sobie chcesz – mruknęła Jean, odpalając kolejnego papierosa od tego, który wcale się jeszcze nie skończył.

## Rozdział czwarty



**K**oń cięty batem, kiedy w błocie tkwi... („Koń cięty batem, kiedy w biocie tkwi Niebiosa wzywa, żąda ludzkiej krwi” – fragment wiersza „Wróżby niewinności” („Auguries of Innocence”) Williama Blake’a (w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka)) – mruknął stary Styks, pochylając się nad szerokim śladem, odcisniętym w podłożu przez maszynę Koproliatów.

Powędrował wzrokiem wzdłuż śladu, aż do niemal idealnie okrągłego otworu wyciętego w gładkiej i poza tym całkiem nienaruszonej ścianie Bunkra. Przeszedł nad stertą gruzu i przystanął obok otworu. Dotknął wnętrza ściany dłonią w czarnej rękawicy. Potem odsunął rękę i roztarł kurz między czubkami palców.

Z wnętrza budowli wysunęła się przygarbiona sylwetka.

– Koprolici nigdy nie zrobiliby czegoś takiego z własnej woli – stwierdził Styks. – Prawda, Cox?

– Nigdy – zgodził się z nim renegat, wsuwając się niechętnie w krąg światła rzucanego przez latarkę Styksa.

Tymczasem z Bunkra wymaszerował Granicznik, który zatrzymał się obok starego mężczyzny i przyjął pozycję na baczność.

– Jak wygląda sytuacja? – spytał starzec, przechodząc na swój nosowy język.

– Potężna eksplozja spowodowała zawalenie się stropu na cele i sąsiednie korytarze.

Odkopywanie tych pomieszczeń może potrwać nawet kilk

tygodni, ale...

– Ale co? – przerwał mu Styks, zniecierpliwiony.

Żołnierz zaczął mówić jeszcze szybciej: – Materiały wybuchowe zostały podłożone przy celach laboratoryjnych, więc wysoka temperatura najprawdopodobniej całkowicie zniszczyła wirus Dominionum.

Starzec wziął głęboki oddech, wciągając powietrze przez wąskie usta.

– Zatem to strata czasu. Niczego tam nie znajdziemy. Zostawcie to! – rozkazał.

Cox nie zrozumiał ani słowa z tej krótkiej rozmowy, wyczuł jednak zmianę nastroju Styksa, zwrócił więc ku niemu swe niewidzące oczy.

– Złe wieści? – spytał.

Styks wziął jeszcze jeden głęboki oddech i ponownie przeszedł na angielski.

– Tak. I chyba obaj wiemy, kto to zrobił.

– Drake – skinął głową Cox. – Trzeba z nim zrobić porządek raz na zawsze.

– Co ty powiesz... – warknął stary Styks.

– Powinniśmy jeszcze raz się tutaj rozejrzeć – stwierdził Will, gdy wyszli przed jaskinię.

– Upewnić się, że niczego nie przegapiliśmy.

– No jasne – zgodził się z nim Chester. Podniósł karabin Elliott, przyłożył lunetę do oka i powiodł spojrzeniem po powierzchni grzyba.

– Teraz przynajmniej coś widzę dodał, uradowany, że nie musi już polegać wyłącznie na kulach, które oświetlały tylko niewielką przestrzeń.

Chłopcy rozeszli się w przeciwne strony, wypatrując rzeczy, które mogły wysypać się z ich plecaków podczas upadku. Przemierzając gąbczastą powierzchnię, Will zauważył, że wielki kot ani na moment

go nie odstępuje. Wyglądało na to, że po śmierci Cala Bartleby przeniósł swe uczucia właśnie na niego. Musiał przyznać, że obecność zwierzaka dodawała mu otuchy.

– Znalazłem jeszcze jeden karabin! – zawołał Chester.

– Świetnie! – odkrzyknął Will, obserwując, jak przyjaciel wyciąga coś z grzyba.

Po chwili Chester dodał: – Celownik jest zepsuty, ale poza tym jest okay.

Will kontynuował poszukiwania: udało mu się znaleźć pustą butelkę na wodę, kawałek liny i świetlną kulę, którą musiał wykopać z plechy. Potem obejrzał się za siebie, by zobaczyć, dokąd zaszedł przyjaciel. Jak się okazało, Chester stał po drugiej stronie grzyba i wykonywał dziwne, królicze skoki, sprawdzając działanie zmniejszonej grawitacji. Z boku jego próby wyglądały co najmniej absurdalnie.

– Hej, hej, astronauto! – zawołał Will z nutką złośliwości w głosie.

– Robota skończona?!

– Tak! – odkrzyknął kolega, po czym ruszył w jego stronę. Dzięki obniżonej sile grawitacji mógł sadzić wielkie susy, przypominające ruchy jakiegoś obłąkanego kangura.

Wykonawszy ostatni, zadziwiająco długi skok, zatrzymał się raptownie obok towarzysza. – To jest super! – wykrzyknął. – Zupełnie, jakbyśmy byli na powierzchni Księżyca!

– Raczej na planecie Zog ( Planeta Zog to synonim miejsca odległego, niezrozumiałego i dziwnego. Kosmici z tej planety to jedni z bohaterów serii brytyjskich książek popularnonaukowych dla dzieci pt.

„Murderous Maths” („Zabójcza matma”)) – odparł uszczypliwie Will.

– Ale pomyśl tylko: to tak, jakbyśmy mieli jakąś niezwykłą moc,

jakbyśmy byli superbohaterami, czy coś w tym stylu. Możemy przeskakiwać nad budynkami i tak dalej...

– Jasne, gdyby tu tylko były jakieś budynki... – mruknął do siebie kolega, przewracając oczami, po czym obaj wrócili do jaskini.

Will sięgnął po kawałek liny, który znalazł przed chwilą na grzybie, i zachowując dalece posuniętą ostrożność, przywiązał złamaną rękę Elliott do jej tułowia. W czasie tych zabiegów dziewczyna nie poruszyła się ani nie wydała najmniejszego choćby dźwięku.

– To powinno wystarczyć – stwierdził chłopiec, mocując ostatni węzeł. – A teraz spakujmy wszystko i zabierajmy się stąd. I to już.

Zapinał właśnie pasek bocznej kieszeni plecaka, kiedy Chester powiedział niepewnie: – Posłuchaj, przeszukałem rzeczy Elliott i znalazłem całą masę ładunków i pistoletów rurowych.

– Rozumiem. I co? – spytał Will, ponieważ nie wiedział, do czego właściwie zmierza jego przyjaciel.

– No, tak sobie pomyślałem... Zostały nam jeszcze jakieś fajerwerki?

– Rzymskie ognie?

– Nie, rakiety.

Will skinął głową.

– Owszem, dwie. A dlaczego pytasz?

– Tak tylko, bo... gdybyśmy je odpalili, ktoś na zboczu Czeluści mógłby je zobaczyć i wysłać pomoc.

Kolega zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Właściwie czemu nie, możemy spróbować – przyznał w końcu. – Nie wiem tylko, czy te rakiety jeszcze się do czegoś nadają; mogły całkiem zamoknąć. – Chłopiec pogrzebał chwilę w swoim plecaku, wyjął z niego dwie rakiety i powąchał. – Chyba nic im nie jest – ocenił. – Mam nadzieję, że pręty się nie połamały. – Ponownie sięgnął

do plecaka i przekonał się po chwili, że jeden z patyków ułamał się przy końcu i jest trochę za krótki. – Szkoda – stęknął z rozczarowaniem, lecz mimo to nasadził obie rakiety na pręty.

Kiedy z Chesterem podeszli na skraj półki, Willa ogarnęło to samo irracjonalne pragnienie, którego doświadczył już przedtem, gdy jakaś niezrozumiała siła ciągnęła go w głąb Czeluści. Zwolnił tempo marszu.

Choć miał ogromną ochotę opowiedzieć Chesterowi o tym, co czuje, uznał, że lepiej będzie nie martwić go bez potrzeby. Poza tym przyjaciel mógłby pomyśleć, że Will dostał pomieszania zmysłów, co być może wcale nie było tak dalekie od prawdy. Chłopiec marzył teraz jedynie o tym, by zawrócić i schować się ponownie w jaskini. Jednak nie poddał się temu impulsowi, lecz opadł na kolana i dalej już szedł na czworakach, przez co znacznie utrudnił zadanie tajemniczej sile pchającej go w przepaść. Dzięki temu poczuł się nieco pewniej.

– Co ty tam robisz? – spytał Chester, zdumiony zachowaniem kolegi.

– Ty także powinieneś uważać; nad samą krawędzią jest bardzo silny wiatr – skłamał Will. – Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

Chester rozejrzał się dokoła i wzruszył ramionami, nie czuł bowiem nic prócz lekkiej bryzy.

– Skoro tak mówisz – stwierdził i też opadł na kolana.

Gdy tylko wyszli spod półki zawieszanej nad ich głowami, Will zaproponował, by się zatrzymali – nie chciał się bardziej zbliżyć do otchłani. Sięgnął po scyzoryk i przebił w dwóch miejscach skórę grzyba.

– Nie mamy butelek po mleku, więc to będzie musiało nam wystarczyć – powiedział, po czym w otwory wbił pręty, na których zamocował rakiety, i wycelował je pionowo w górę.



– Ustaw je pod dobrym kątem – poradził mu towarzysz.

– Dziękuję panu, profesorze Hawking<sup>3</sup> – odparł Will przyjacielskim tonem.

Poprawił jeszcze raketę na krótszym patyku i sprawdził, czy obie wymierzył prosto w środek Czeluści.

<sup>3</sup> Stephen William Hawking (ur. 8 stycznia 1942 r.) – znany brytyjski astrofizyk, kosmolog, fizyk teoretyk; laureat wielu nagród i doktoratów honoris causa.

– Zaczynam odliczanie – poinformował z udawanym amerykańskim akcentem i sięgnął po zapalniczkę.

– Mam nadzieję, że ktoś je zauważy i zejdzie tu po nas odparł Chester głosem pełnym optymizmu.

– Hm, posłuchaj, Chester... – odchrząknął Will, wracając do normalnego tonu. – Dwie sprawy. Po pierwsze, przelecieliśmy pewnie ładnych parę kilometrów, więc nawet gdyby ktoś zauważył te rakiety, musiałyby do nas strasznie długo schodzić. Po drugie, możemy tu ściągnąć kogoś, kogo wcale nie chcielibyśmy widzieć, zwłaszcza jeśli nad Czeluścią ciągle są Styksowie...

Chester przysunął się bliżej przyjaciela, jakby chciał go powstrzymać.

– W takim razie może nie powinniśmy...

– Ale chciałbym zobaczyć, jak wysoko polecą – przerwał mu Will z chłopięcym entuzjazmem.

– Masz rację, niech się dzieje, co chce.

– Nie wiadomo, czy w ogóle uda się je odpalić – mruknął Will, przystawiając płomień zapalniczki do lontu rakiety na krótszym drążku. – No, wreszcie – ucieszył się, kiedy papier nasączony saletrą w końcu zajął się ogniem.

Koledzy odsunęli się od ładunku, spoglądając na niego wyczekująco.

Rakieta oderwała się z głośnym sykiem od podłoża, jednak tuż po starcie zakreśliła gwałtownie w stronę ściany Czeluści. Półka nad ich głowami uniemożliwiła im obserwację końcowej części lotu, ale po chwili usłyszeli przytłumiony huk i dostrzegli lekką, czerwonałą poświatę.

– Do niczego – westchnął Will. – Mam nadzieję, że z drugą pójdzie nam lepiej.

Tym razem lont zapalił się bez problemu, a rakieta wystrzeliła prosto w ciemność. Wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż chłopcy musieli mocno odchylić głowy, by obserwować jej lot.

Wyglądało to zupełnie niczym start rakiety kosmicznej, szybującej w nocne niebo. Pocisk pokonał co najmniej kilkaset metrów, zanim eksplodował z hukiem i rozpałił mrok feerią barw. Kolorowe rozbłyski następowały jeden po drugim, dzięki czemu chłopcy mieli okazję ujrzeć ściany Czeluści i czarne kształty, które mogły być kolejnymi grzybami wyrastającymi ze skalnej powierzchni. Kiedy ciemność pochłonięła już ostatni promyk światła, od ścian przepaści jeszcze przez chwilę odbijały się echa wybuchu. Jednak wkrótce i one ucichły, a ciszę przerywały jedynie wycie wiatru i odgłos kapiących kropeł wody.

Will opuścił okular na oko i odwrócił się do Chestera. Kolega wydawał się przybity, jakby ten moment ekscytacji uświadomił mu jeszcze wyraźniej, jak ogromna odległość dzieli ich od powierzchni i jak poważna jest ich sytuacja. Will poklepał go po ramieniu.

– Hej! Nie przejmuj się. Nigdy nie wiadomo, może jednak ktoś to zobaczył.

Kiedy eksplodowała pierwsza rakieta, Rebeki szły właśnie ku krawędzi grzybowej półki, na której wylądowały w Czeluści. Obie bliźniaczki ubrane były w identyczne, ciemnobrązowe stroje maskujące, a można je było odróżnić tylko po tym, że jedna kuśtykała

i musiała się opierać na ramieniu drugiej.

– Fajerwerki? – spytała kulejąca siostra, gdy przystanęły na skraju grzyba.

Podniosły głowy i wbiły wzrok w ciemność. Moment później niedaleko wybuchła druga rakietka.

– Tak, fajerwerki – odpowiedziała sama sobie.

Przez kilka chwil obie nasłuchiwały i wpatrywały się w otchłań, czekając na ciąg dalszy.

– Tylko jeden człowiek jest dość głupi, by zrobić coś takiego – stwierdziła w końcu kulawa Rebeka.

– Tak, sprytne... bardzo sprytne – zgodziła się z nią druga Rebeka.

– Nas drogi braciszek wysłał nam zaproszenie, i srogo tego pożałuje.

Dziewczęta wybuchły śmiechem, lecz kulejąca bliźniaczka natychmiast spoważniała i odwróciła się do siostry.

– Strasznie dziwnie mówisz! Co ci się stało? – spytała bez cienia współczucia w głosie. – Seplenisz.

Druga Rebeka natychmiast dotknęła ust.

– Chyba złamałam sobie parę zębów.

– Zabierz rękę, obejrzę to – nakazała kuternoga, po czym oświetliła latarką twarz siostry.

– Tak, masz wyłamane górne siekacze – oznajmiła beznamiętnym tonem.

Dziewczyna przesunęła palcem po okaleczonym dziąśle.

– Musiałam je złamać przy upadku – stwierdziła z irytacją. – Zajmę się tym, kiedy wrócimy do Górnoziemia.

– Jeśli wrócimy – poprawiła ją siostra. – A co się stało z twoją ręką?

– Chyba wypadła ze stawu.

– To nie problem. Pomogę ci. Zajmijmy się tym w pierwszej kolejności.

Kulawa bliźniaczka wyjęła sierpowaty nóż z bezwładnej ręki drugiej Rebeki. Przez chwilę wpatrywała się w złowrogą broń: piętnastocentymetrowe, zakrzywione ostrze o wypolerowanej powierzchni, pokrytej teraz warstwą śliskiej, szarawej mazi. Nagle dziewczyna podniosła nóż do ust i go ucałowała.

– Mój kochany – powiedziała z czułością, okazując w ten sposób wdzięczność broni, dzięki której nie leciała nadal, wraz z siostrą, w ciemną otchłań Czeluści. Sepleniąca bliźniaczka zdołała zamachnąć się szeroko i uderzyć ostrzem w krawędź grzybowej półki, obok której właśnie przelatywały. Choć mknęły tak szybko, że nóż zsunął się gładko po powierzchni grzyba, udało im się zmienić trajektorię lotu i opaść na półkę poniżej.

Choć ten błyskawiczny manewr uratował im obu życie, sporo kosztował sepleniącą dziewczynę – jej ramię musiało przez moment utrzymać zarówno ją, jak i siostrę, a ten ciężar okazał się dla niego zbyt wielki.

Demonstracja wdzięczności kulawej bliźniaczki nie trwała jednak zbyt długo.

– Tfu! To jest ohydne! – krzyknęła, spluwając z obrzydzeniem, gdy oleisty sok z grzyba dostał się jej do ust.

Pochwyciła nóż mocniej i rzuciła go przed siebie, zręcznie wyginając dłoń w nadgarstku.

Jakieś dziesięć metrów dalej z powierzchni grzyba wyrastała kępka zarodni. Nóż szybował przez moment w powietrzu, obracając się wokół własnej osi, po czym wbił się głęboko w kulę na wierzchołku grubej łądygi. Rebeka zapewne nie przez przypadek wybrała cel, który znajdował się mniej więcej na takiej samej wysokości jak głowa Willa.

– Hm... dobry zut – pogratulowała siostrze druga Rebeka, spoglądając na rozkołysaną zarodnię. – Ale nie ma mowy o żadnym

jeśli. Musimy się wydostać z tego miejsca – dodała.

– Wiem o tym – skinęła głową kuternoga. – A teraz przestań już seplenić i pokaż mi tę rękę. – Pomogła siostrze zdjąć kurtkę i obejrzała zwichnięte ramię. – Tak, wypadła ze stawu, bez dwóch zdań. Wiesz, co się teraz stanie. – Wręczyła latarkę bliźniaczce, ta zaś wsunęła ją pod pachę. Potem kulawa Rebeka stanęła obok siostry i chwyciła ją mocno, kładąc dłonie na jej ręce, na kości ramiennej. Wzięła głęboki oddech. – Gotowa?

– Owsem. – Dziewczyna pokręciła głową i zmarszczyła brwi, koncentrując się. – Och, przepraszam, chciałam powiedzieć: owszem.

Jednym płynnym ruchem kulejąca bliźniaczka przyciągnęła rękę siostry do jej tułowia. Kość ramienna obróciła się na cylindrycznej latarce i wskoczyła do stawu z cichym odgłosem przypominającym trzask łamanej gałązki. Pomimo że zabieg ten musiał być niezwykle bolesny, siostra nawet nie jęknęła.

– Gotowe – oświadczyła kutefnoga. – Teraz powinno być już dobrze.

– Chcesz, żebym obejzała twoją nogę? – zaofiarowała się sepleniąca bliźniaczka, ocierając pot z czoła.

– Nie, to tylko skr... – Rebeka urwała w pół słowa, ujrzawszy coś w ciemnościach ponad ich głowami. Odwróciła się szybko w tamtą stronę. – Patrz! – zawołała do siostry.

Sepleniąca dziewczyna odgarnęła z twarzy kosmyk lśniących, kruczoczarnych włosów i zmrużyła oczy.

– Tak, widzę. Światło.

– To nie mogą być resztki tych fajerwerków. Raczej...

– Świetlna kula...

– A może... latarka... nasza latarka?

Obydwie obserwowały w milczeniu, jak grawitacja powoli niesie ku nim jasny punkt. Gdy światło niemal zrównało się z nimi,

zobaczyły, że rzeczywiście jest to latarka Styksów, tyle że przymocowana do ciała człowieka.

Bliźniaczki nie musiały się naradzać: obie myślały dokładnie o tym samym, gdy zaczęły wydawać rozkazy w nosowym języku Styksów.

Choć spadający Granicznik znajdował się w sporej odległości od grzyba, usłyszał polecenia.

Słyszał je wyraźnie i rozumiał każde słowo, podobnie jak w chwili, gdy stary Styks kazał mu skoczyć w przepaść. Głos Rebek doszedł także do drugiego żołnierza, który szybował śladem swego towarzysza kilkadziesiąt metrów wyżej. Niestety, trzeci Granicznik, oficer, jeszcze kilka kilometrów wcześniej odebrał sobie życie. Dwaj podoficerowie zastanawiali się, czy nie zrobić tego samego, nie widzieli już bowiem powodu, dla którego mieliby żyć dalej. Teraz jednak otrzymali nowe rozkazy, więc ich życie ponownie nabrało sensu. Ułożywszy odpowiednio ręce i nogi, niczym wytrawni spadochroniarze poszybowali w stronę półki, na której stały bliźniaczki.

Sepleniąca Rebeka uśmiechnęła się do siostry.

– Scęście spsyja sprawiedliwym – stwierdziła.

– O tak, to prawda – skinęła głową kuternoga, dotykając fiolki z Dominium, zawieszanej na szyi.

Druga Rebeka zrobiła to samo, choć jej fiolka zawierała coś innego – szczepionkę przeciw wirusowi.

Siostry nie musiały mówić nic więcej; obie jednocześnie obróciły się na pięcie i ruszyły ku tylnej części grzyba. Obie szczyrzyły zęby w takim samym, pełnym zadowolenia uśmiechu.

Wiedziały, że teraz, gdy mogą liczyć na pomoc dwóch swoich żołnierzy, mają znacznie większe szanse na wydostanie się z Czułości i uratowanie śmiercionośnej próbki. Sprawy wyglądały coraz lepiej.

## Rozdział piąty



Otak wczesnej porze na ulicach Hampstead panował bardzo mały ruch. Drake przejechał obok Szpitala Świętego Edmunda, w górę zbocza Rosslyn Hill. Skręcił w Pilgrims Lane, pokonał szybko całą aleję i zatrzymał się dopiero prawie na samym jej końcu. Zaparkował przy wrzosowisku, w miejscu zwanym Preachers Hill. Rosnące tu długie trawy i nieliczne drzewa pokryte warstwą szronu wyglądały tak, jakby ktoś posypał je cukrem pudrem.

Sięgnął do stacyjki, by wyłączyć silnik, znieruchomiał jednak, gdy spiker w radiu zaczął mówić o ultrawirusie i wielomilionowych stratach, które poniosła gospodarka w wyniku nieobecności pracowników złożonych chorobą.

– Ha! Oni zawsze myślą tylko o pieniądzach! – parsknął pogardliwie mężczyzna, po czym zamknął oczy i opadł na oparcie fotela. – Nic nie rozumieją.

Ziewnął szeroko. Nie spał porządnie już od wielu dni, podrzemując głównie w samochodzie, kiedy nadarzała się okazja. Pozwolił, by jego głowa oparła się o szybę, i natychmiast zapadł w sen.

Obudził się raptownie, gdy w torbie leżącej na fotelu pasażera zaczęła nagle wibrować komórka. Zlany zimnym potem, potrzebował kilku chwil, by się zorientować, gdzie właściwie jest. Silnik wciąż pracował, a w radiu grała cicho muzyka, co oznaczało, że przegapił końcówkę raportu o ultrawirusie.

– Weź się w garść! – warknął głośno, wściekły, że pozwolił sobie na

sen.

Wciąż przeklinał pod nosem, przerzucając komórki w torbie, aż znalazł tę, która dzwoniła.

Chwycił ją i odebrał połączenie, a drugą ręką wyłączył silnik i radio.

– Halo – odezwał się schrypniętym głosem, pocierając jednocześnie zaspaną twarz.

– Halo? – odpowiedziała mu jakaś kobieta, jednak się nie przedstawiła.

-Tak?

– Dzwonię w imieniu...

– Żadnych nazwisk! – przerwał jej ostro Drake. – Wiem, kim pani jest. Dlaczego on nie zadzwoni do mnie sam?

– Jest... niedostępny – odparła głucho rozmówczyni.

– A niech to! – wykrzyknął renegat, ponieważ doskonale wiedział, co w rzeczywistości oznaczają te słowa. Jego kontakt nie żył albo zaginął. Żaden z jego agentów, z którymi współpracował do tej pory, nie był aktywny. Cała siatka została rozbita.

– I proszę nie iść do Hill Station – dodała kobieta twardym, rzeczowym tonem.

– Ale dlaczego? – spytał mężczyzna, ściskając telefon tak mocno, że plastikowa obudowa zaczęła trzeszczeć.

– Jest nieczynna – odparła nieznajoma i się rozłączyła.

Drake patrzył jeszcze przez chwilę na aparat, na małe paski oznaczające moc sygnału sieci komórkowej. Później odwrócił telefon, zsunął część obudowy i wyjął kartę SIM. Kiedy wysiadł z samochodu, rzucił kartę na ziemię i mocno nadepnął na nią obcasem. Rozejrzał się uważnie dokoła, po czym przeszedł na tył rangę rovera i otworzył bagażnik. Wyjął z torby pistolet i schował go szybko do kieszeni. Potem zamknął samochód i ruszył w górę zbocza, zostawiając w



oszczonej trawie wyraźne ślady butów.

Kiedy już wyszedł na górę, rozejrzał się raz jeszcze. Zatrzymał spojrzenie na celu swej wędrówki. Hill Station, jak nazywali go między sobą członkowie jego siatki, był dużym domem w stylu edwardiańskim, stojącym na skraju szeregu podobnych budowli. Drake zszedł z trawiastego zbocza i wrócił na drogę. Choć kobieta przekazała mu przed momentem jednoznaczny wiadomość, on musiał zobaczyć to na własne oczy. Musiał też przy tym zachować ostrożność – dom mógł być obserwowany. Minął go więc, obrzucając tylko obojętnym spojrzeniem. Wystarczyło, że zobaczył zablokowany wjazd i znak z napisem: „Nie wchodzić – budynek grozi zawaleniem” oraz okna zabite deskami. Dla niepoznaki szedł jeszcze przez chwilę wzdłuż ulicy, po czym spojrzał na zegarek, jakby się gdzieś spóźniał, i zawrócił.

Dotarłszy do zamkniętego wjazdu, bez wysiłku przeskoczył barierę w białoczerwone pasy.

Trzymając się blisko zaniechanego żywopłotu z bukszpanów, przeszedł wzdłuż zwirowego podjazdu do bocznej ściany domu. Kiedy stanął przed wejściem do piwnicy, przekonał się, że nie ma tam już drzwi, lecz została tylko nadpalona rama. Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął pistolet.

Wszedł ostrożnie do środka, gotów w każdej chwili użyć broni. W osmolonej piwnicy zostały tylko metalowe szkielety biurka i małe kałuże stopionego plastiku, znaczące stanowiska, gdzie niegdyś stały komputery. Wszystko inne zamieniło się w popiół. Ściany były czarne od dymu, a sufit zapadał się w miejscach, w których ogień przepalił belki stropowe. Całość wyglądała tak, jakby we wnętrzu domu szalała burza ogniowa.

Drake wiedział, że straciłby czas, szukając sprzętu albo nagrań – czegokolwiek, co ocalało z pożaru. Dlatego wyszedł z piwnicy i wrócił

do samochodu.

Styksowie działali z właściwą sobie starannością; podczas gdy on przebywał w Głębi, zniszczyli całkowicie jego siatkę. Renegata ogarnęło przytłaczające poczucie bezradności.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to skontaktować się z którąś spośród innych tajnych grup działających niezależnie na terenie całego kraju, choć tym samym narażałby je na niebezpieczeństwo.

Był jednak zdesperowany.

– Więc jedziemy do Walii – westchnął ze znużeniem i uruchomił silnik.

– Mogę ją ponieść, jeśli chcesz – zaproponował Chester, gdy Will się pochylił, by wziąć na ręce Elliott.

Kolega pokręcił głową.

– Przecież to i tak nie ma większego znaczenia, prawda? Tutaj waży tyle co piórko.

Chester przerzucił przez ramiona trzy plecaki. Na powierzchni nie byłby w stanie unieść takiego ciężaru, ale teraz, nawet gdy podskoczył parę razy w miejscu, niemal w ogóle go nie czuł. Pochylił się, wziął karabin w dwa palce i wyciągnął go przed siebie na długość ramienia.

– Tak, to niesamowite. Waży nie więcej niż ołówek. Masz rację, tutaj podnoszenie ciężarów to żaden problem!

Chłopcy ruszyli w głąb jaskini, która ciągnęła się dalej w postaci szerokiego korytarza. Nie mieli pojęcia, dokąd właściwie idą, wiedzieli tylko, że tunel prowadzi ich coraz głębiej w skalną ścianę Czeluści.

Nawet gdy przeszli już ładnych parę kilometrów, wciąż stąpali po sprężystej powierzchni grzyba, który porastał również ściany korytarza.

Jakiś czas później wyszli zza rogu i stanęli przed pionową, brunatną przegrodą.

– Ślepa uliczka... wyrosła nagle jak grzyb po deszczu zażartował Chester.

– Bardzo śmieszne. Poza tym to wcale nie jest ślepa uliczka – mruknął Will, wskazując na szeroką szczelinę nad ich głowami. – Przystoń na moment latarkę – poprosił, kładąc Elliott na ziemi, po czym spuścił okular na oko. – Wygląda na to, że ciągnie się dość wysoko – poinformował przyjaciela. – Ale nie widzę, co jest na samej górze.

– No to nasza wycieczka zakończona – stwierdził kolega, zniechęcony.

– Zapominasz o czymś.

Will wziął krótki rozbieg, odbił się mocno i skoczył w górę, znikając Chesterowi z oczu.

Bartleby nie miał zamiaru zostać sam i skoczył za swoim nowym panem.

– No tak, świetnie, zostawcie mnie tutaj całkiem samego – wycedził Chester, rozglądając się dokoła.

Zwiększył nieco moc latarki i zaczął pogwizdywać, by dodać sobie otuchy. Jednak Will wciąż nie wracał, a jego ogarniał coraz większy niepokój.

– Hej! – krzyknął wreszcie. – Co się tam dzieje?! Nie zostawiaj mnie tu samego!

Will spłynął powoli z góry i wylądował obok przyjaciela.

– Jest tam co najmniej kilka otworów, do których możemy wlecieć. Chodźmy!

– Więc teraz potrafimy jeszcze latać – mruknął Chester. – Cóż, człowiek powinien spróbować w życiu wszystkiego.

Chłopcy natknęli się na jeszcze kilka takich pionowych szczelin i choć niemal wszystko pokryte było grubą warstwą grzyba, Will zorientował się po jakimś czasie, że tworzą one pewien wzór.

Wydawało się, że ułożone są w serii koncentrycznych kręgów, odchodzących od Czeluści. Wyobraził to sobie jako geologiczny odpowiednik zmarszczek powstałych na wodzie po wrzuceniu kamienia i zastanawiał się, czy szczeliny utworzyły się w wyniku nagłego stygnięcia skalnego podłoża.

– Więc wewnątrz Ziemi wcale nie jest takie jednolite – mówił do Chestera, gdy przemierzali kolejny korytarz. – Przypomina raczej olbrzymi ser szwajcarski: jest pełne dziur.

– Proszę cię, nie mów nic o jedzeniu – brzmiała odpowiedź przyjaciela.

Will zaczynał jednak podejrzewać, że takich szczelin może być znacznie więcej i że w ciągu tysiącleci zarosły one nieustannie powiększającym się grzybem. Ze zdumieniem, a nawet niemal z zachwytem rozmyślał o tym, że grzyb jest prawdopodobnie jednym olbrzymim organizmem, ciągnącym się na przestrzeni setek kilometrów zarówno w Czeluści, jak i w otaczających ją skałach.

– Wiesz, być może właśnie przebywamy we wnętrzu największego organizmu na świecie – rozważał głośno, przyjaciel jednak nie zareagował na to stwierdzenie.

W końcu chłopcy doszli do miejsca, gdzie korytarz rozgałęział się na trzy tunele. Przystanęli, by się zastanowić, który z nich wybrać.

– No i masz, osiołkowi w żłoby dano... – westchnął Will.

Chester pokiwał potakująco głową.

– Posłuchaj, Chester, szczerze mówiąc, jest mi dokładnie wszystko jedno, którądy pójdziemy – powiedział Will. – W sumie to żadna różnica: przecież i tak wyglądają tak samo, prawda?

Ponownie spojrzął na trzy rozgałęzienia – miały podobne rozmiary i ciągnęły się w poziomie, ale i tak nie mogli wiedzieć, co kryje się za najbliższym zakrętem każdego z nich.

Kilkakrotnie byli już zmuszeni zawrócić, gdy się okazywało, że

przejście całkiem zarosło grzybem albo jest tak wąskie, że przecisnęłaby się przez nie tylko najbardziej uparta i najlepiej chuda mysz.

– Ja wybierałem ostatnio. Twoja kolej – stwierdził Chester.

– Prawdę mówiąc, wcale nie wybierałeś ty, tylko Bartleby – przypomniał mu przyjaciel.

– Więc niech zrobi to jeszcze\*faz.

Obaj jednocześnie odwrócili się do Bartleby ego, który trzymał łeb wysoko w powietrzu i węszył, wymachując przy tym ogonem.

– Śmiało, Bart, decyduj – zachęcał go Will.

-Bart?– zdziwił się Chester. – Ty to wymyśliłeś?

– Nie, Cal – odparł cicho.

– Ach, no tak, jasne.

Chester zerknął ukradkiem na kolegę, zastanawiając się, jak ten radzi sobie ze śmiercią brata.

Wydawało się jednak, że Will jest całkowicie skupiony na wędrówce przez tunele, jakby w głowie miał już gotowy plan. Jeśli nawet przejmował się ich obecną sytuacją równie mocno jak Chester, to w żaden sposób tego nie okazywał. Dzięki odkryciu siatek na krawędzi grzybowej półki chłopcy wiedzieli, że byli tu kiedyś ludzie, nie mieli jednak pewności, czy ludzie ci nadal żyją. Poza tym wędrówka podziemnymi korytarzami właściwie niczemu nie służyła, nie mieli bowiem zielonego pojęcia, dokąd zmierzają. Jednak Chester nie miał zamiaru czynić wyrzutów przyjacielowi, przecież w końcu musieli coś zrobić.

– Skoro nie możesz się zdecydować, to ja wybiorę drogę powiedział Will do kota, który wciąż węszył w powietrzu.

Jakby w odpowiedzi na te słowa Bartleby poderwał się z miejsca i popędził w głąb jednego z tuneli. Przebiegł krótki odcinek i nagle się zatrzymał. Chłopcy, którzy szli tuż za nim, przystanęli również

raptownie.

– O kurde! – wydyszał Will, gdy w jego nozdrza uderzył smród zgnilizny. – Tutaj zdechło coś naprawdę dużego!

Chester tymczasem zwrócił uwagę na odgłos, jaki wydawały jego buty, gdy stąpał po dnie tunelu.

– Na dnie jest jakaś maź. Wygląda paskudnie.

– Popatrz na to – wyszeptał Will, dojrawszy jakieś konstrukcje na ścianie.

Wzdłuż korytarza ciągnęły się cztery masywne drewniane ławy, przypominające rzeźnickie stoły o grubych blatach i mocnych nogach. Wrażenie to potęgował jeszcze fakt, że blaty były poplamione krwią i pokryte czymś, co przypominało kawałki starego, wysuszonego mięsa. W jednym z nich tkwiła głęboko wbita siekiera, zupełnie jak gdyby jej właściciel zostawił ją tu na moment i zamierzał wkrótce użyć jej ponownie.

– O nie! – Chester przełknął ciężko, gdy tylko zobaczył siekiere, i spojrzał ze zgrozą na przyjaciela.

W pierwszej chwili Will przypuszczał, że natknęli się na plemię podziemnych kanibali, choć nie zamierzał dzielić się tą myślą z towarzyszem struchlałym ze strachu. Gdy zrobił krok do tyłu, jego stopa ugrzęzła w brei pokrywającej dno tunelu. Zachwiał się i opadł na kolana, z trudem utrzymując Elliott. Z tej pozycji mógł się lepiej przyjrzeć podłożu, po którym chodzili.

Wyglądało to jak mnóstwo odrąbanych części ciała, choć na pierwszy rzut oka chłopiec nie umiał zidentyfikować żadnej z nich.

– Czyżby zwierzęta...? – zastanawiał się głośno, dostrzegłszy olbrzymie oko złożone z mnóstwa oczek i fragmenty czarnych, przegubowych nóg pokrytych włosami o grubości równej niemal grubości jego małego palca. – Zaraz, zaraz... to owady... olbrzymie owady! – wychrypiął z niedowierzaniem.

Największa nienaruszona część, jaką udało mu się wypatrzeć, składała się z dziesięciu lśniących owadzych segmentów; po obu stronach każdego z owych członów ciągnął się rząd nóg. Mogły to być części jakiejś olbrzymiej stonogi, lecz skoro każda z nich miała pół metra długości, Will wolał się nawet nie zastanawiać, ile mierzyło całe stworzenie.

– Wynosimy się stąd, natychmiast – oświadczył Chester tonem nieznoszącym sprzeciwu i pomógł przyjacielowi wstać. – Najdalej, jak się da.

Chłopcy popędzili z powrotem do rozgałęzienia tuneli.

Chester wskazywał właśnie na wejście do innego korytarza, gdy w ciemności rozległ się krzyk mrozący krew w żyłach.

– Co to było, u diabła? – wyszeptał, kiedy ponownie zapadła cisza.

Wszyscy trzej, obaj koledzy i kot, natychmiast spojrzeli w górę i dopiero teraz zauważyli, że nad ich głowami ciągnie się szeroka szczelina. W tym samym momencie mrok znowu przeszyły piskliwe odgłosy, przypominające zgrzyt paznokci przeciąganych po tablicy.

Dźwięk ten nie tylko budził trwogę, lecz także sprawiał chłopcom fizyczny ból. Potem krzyki znów ucichły w oddali.

– To nie ma nic wspólnego z pękaniem skał, prawda? spytał cicho Chester, ochłonawszy z przerażenia.

Will nie odpowiedział mu od razu, zajęty obserwacją Bartleby'ego, który zrobił się bardzo niespokojny.

Ze szczeliny znów dobiegły przeszywające wrzaski, głośniejsze niż poprzednio.

– Nie – wyszeptał w końcu. – To nie skały. Może ma to coś wspólnego z tymi szczątkami zwierząt. – Odwrócił się do kolegi i powiedział nagłym tonem: – Przygotuj karabin. I pistolety rurowe.

Will mocniej chwycił Elliott i wszedł do tunelu po lewej. Bartleby skradał się nisko przy podłożu, tak blisko nóg chłopca, że ten omal się

przez niego nie przewrócić.

Chester szedł tyłem, mocując się z karabinem i próbując odciągnąć zamek. W końcu zdołał go odsunąć i wprowadzić pocisk do komory. Odpiął klapkę na ładownicy przymocowanej do uda, w której znajdowały się pistolety rurowe. W następnym momencie wszyscy trzej przeżyli ogromne zaskoczenie.

Will usłyszał nagle świst liny przecinającej powietrze. Coś podcięło mu nogi i uniosło go nad ziemię, obracając jednocześnie głową w dół. Przygarnął mocniej dziewczynę, myśląc tylko o tym, by jej nie upuścić. Krzyknął z przerażenia, gdy coś zamknęło się wokół jego ciała. Kątem oka dojrzał, że była to sieć, podobna do tych, jakie widział na krawędzi grzybowej półki. Został schwytyany w pułapkę.

Bartleby syczał i miotał się, uwięziony z Willem w jednej siatce. Tymczasem chłopiec uświadomił sobie, że im bardziej się szamocze, tym mocniej zaciska się sieć, która w końcu całkiem uniemożliwiła mu ruchy. Był pewien, że oprócz własnych krzyków i skrzypienia pułapki, do jego uszu dochodzi jeszcze jakiś metaliczny dźwięk, przypominający grzechot puszek uderzających o siebie. Ciasno opleciony linami, z ramieniem Elliott wbitym w oko i wierzgającym Bartlebym u stóp, nie był w stanie stwierdzić, czy to Chester wydaje ów odgłos. Próbował podnieść głowę i zobaczyć, czy przyjaciel także nie wpadł w pułapkę, zaczął się jednak kręcić wokół własnej osi z taką prędkością, że świat zawirował mu przed oczami.

Kiedy Chester zobaczył, że kolega ma kłopoty, w pierwszym odruchu chciał rzucić mu się na pomoc. Krzyki Willa upewniły go jednak, że nie stało się nic poważnego, a w tym momencie bardziej niepokoiło go to, co działo się w szczelinie powyżej. Z góry spadały odłamki skalne i luźna ziemia, jakby coś strącało je po drodze, zmierzając ku wejściu do tunelu. Piskliwe wrzaski były coraz głośniejsze i powtarzały się z coraz większą częstotliwością. Chłopiec



zrzucił plecaki na ziemię, zrobił kilka kroków do tyłu i skierował karabin w górę.

Całe szczęście, że to zrobił.

Przez lunetę karabinu zobaczył, jak coś wypada ze szczeliny, bezszelestnie niczym cień przemykający po ścianie. Spojrzał szybko na miejsce, w którym wylądował ów tajemniczy kształt.

– Co, u...! – wykrzyknął, próbując objąć rozumem to, co właśnie zobaczył.

Przerażające „coś” miało około trzech metrów średnicy i więcej nóg, niż Chester mógł zliczyć na pierwszy rzut oka. Nogi te wyrastały z grubego, okrągłego tułowia. W części korpusu zwróconej do chłopca widniały trzy plamy o regularnych kształtach, które lśniły w ciemności, jakby wysadzone kocimi oczami. Jednak najbardziej widoczna była długa macka wyrastająca powyżej, zakończona szpicem, który emanował przytłumionym, żółtym blaskiem.

Stworzenie przypadło niżej do podłoża, lekko przy tym kołysząc świecącym wyrostkiem.

Potem zaczęło się powoli podnosić na swych niezliczonych nogach.

Chester zacisnął mocniej dłonie na karabinie. Nie znosił wszelkiego pełzającego paskudztwa, a to monstrum było ucieleśnieniem jego najgorszych koszmarów z dzieciństwa. Wzdrygnął się, przeniknięty falą obrzydzenia.

– Już nie żyjesz! – warknął. – Nienawidzę... – słowa zamarły mu na ustach, gdy potwór ponownie przypadł do ziemi, jakby szykował się do skoku.

Żadna siła nie mogła powstrzymać chłopca przed pociągnięciem za spust.

– CHOLERNY PAJĄK! – wrzasnął z całych sił, strzelając prosto w okrągły tułów.

Pocisk uderzył w sam środek korpusu, rozłupując go na dwie

części. Chester obserwował z satysfakcją, jak rozszczerzone połówki opadają na boki, a nogi potwora wyginają się w śmiertelnych drgawkach. Podwyższony poziom adrenaliny i chwilowe poczucie ulgi sprawiły, że chłopiec wybuchł nienaturalnym, histerycznym śmiechem.

Piskliwe wrzaski ucichły, słyhać było jedynie krzyki Willa uwięzzonego w siatce.

Chester wyprostował się i już miał odstawić karabin, kiedy na dnie wylądowało kolejne monstrum, dokładnie w tym samym miejscu co poprzednie. Chłopiec kierowany instynktem wycelował i nacisnął spust.

Usłyszał dźwięk, który zmroził mu krew w żyłach.

Zamek szczęknął głucho, lecz broń nie wypaliła.

Chester, zdesperowany, próbował go przesunąć, jednak bez powodzenia – wyglądało na to, że zamek zaciął się na dobre. Tymczasem bestia podnosiła się powoli na członowanych odnóżach. Choć chłopiec wiedział, że tylko traci czas, spróbował wystrzelić ponownie.

Odpowiedział mu kolejny suchy trzask.

W akcie desperacji zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy – zamachnął się szeroko i z całej siły uderzył karabinem w olbrzymiego pająka, ale ten podniósł przednią nogę i jednym szybkim ruchem zablokował cios. Chłopiec zdążył jeszcze zobaczyć, jak karabin odlatuje do tyłu i znika w ciemnościach.

Zostali więc sam na sam, potwór i on. Chester wbił przerażone spojrzenie w ślepia stworzenia – złowrogie, kryształowe kule, lśniące w blasku latarki niczym olbrzymie krople wody. Nagle wielki pająk z cichym sykiem otworzył paszczę, odsłaniając szereg przerażających białych kłów wielkości kciuka.

– O nie! – zachłysnął się ze strachu chłopiec i upadł na plecy,

próbując jednocześnie wyszarpnąć pistolet rurowy z ładownicy na udzie. Wciąż wpatrywał się w bestię, gdy zdołał w końcu wyciągnąć jeden z pistoletów, choć przy okazji drugi upuścił na ziemię. Zaklął pod nosem, próbując sobie przypomnieć, co mówił im Drake, gdy uczył ich korzystać z tej broni. – Trzymaj go pewnie – przykazał sobie głośno, sprawdzając najpierw, czy pistolet zwrócony jest we właściwym kierunku. Zaciskał właśnie palec na dźwigni spustowej, gdy pajak ruszył do ataku.

W momencie, gdy potwór rzucił się na niego, Chester przesunął dźwignię wstecz i zwolnił mechanizm spustowy. Pistolet odskoczył do tyłu, a pocisk trafił w stworzenie szybujące nad ziemią. Chłopiec nie musiał się bardzo starać, by w nie trafić, dzieliło ich bowiem zaledwie kilka metrów. Bestia rozpadła się na drobne kawałki, obryzgując całego Chestera krwią.

– Boże wszechmogący – wychrypiał chłopiec, przerażony. Otarł twarz i spojrzał na cprzruczone dokoła szczątki stworzenia. Kilka nóg leżało na nim – i wciąż się ruszało. Odnóża wyglądały jak łapy olbrzymiego, oskubanego kurczaka, pokryte były jednak ciemną, zrogowaciałą skórą, a miejscami porośnięte również ostrą, czarną szczeciną. Chester zrzucił je z siebie, z trudem hamując przy tym wymioty. Potem przesunął się do tyłu, jak najdalej od zakrwawionych szczątków.

W tym momencie bełkotał już coś tylko nieskładnie pod nosem i nie był w stanie odpowiedzieć na przytłumione, rozpaczliwe krzyki Willa. Był u kresu wytrzymałości, coraz szybciej zbliżał się do punktu, w którym mógł tylko zwinąć się w kłębek, zakryć głowę rękami i uciec przed tym wszystkim. Przy zmysłach utrzymywała go tylko myśl, że musi uratować z pułapki przyjaciela i Elliott. Potem usłyszał kolejne przytłumione plaśnięcie.

– NIE! DOŚĆ! – krzyknął.

Nie musiał patrzeć przed siebie, by wiedzieć, co go czeka. Natychmiast podniósł się na kolana i zaczął gorączkowo szukać drugiego pistoletu rurowego, jednak szczątki i krew zabitego zwierzęcia pokrywały nierówne dno tunelu jednolitą, ciemną masą.

Chłopiec zmusił się do podniesienia wzroku. Tułów następnego potwora kołysał się lekko na pałakowatych nogach. „Zaraz skoczy” – pomyślał. Monstrum oderwało się od ściany i runęło prosto na niego. W tej samej chwili jakiś ognisty przedmiot uderzył w środek jego korpusu.

W okamgnieniu płomienie objęły całe ciało. Potwór wierzgał rozpaczliwie odnóżami, wydając przy tym przeraźliwe wizgi.

Choć Chester nie miał pojęcia, co właściwie dzieje się wokół niego, wstał. Szedł powoli chwiejnym krokiem w stronę siatki więżącej Willa i pozostałych, gdy w tunelu pojawił się następny stwór. W tym samym momencie powietrze rozstało się z sykiem przed drugim ognistym pociskiem, który przemknął tuż obok głowy chłopca. Chester, przekonany, że strzał przeznaczony był dla niego, natychmiast przypadł do ziemi. Jednak już w następnej chwili zobaczył, że ogień obejmuje olbrzymiego pajaka, który pada na dno tunelu, obok swego poprzednika.

Był tak poruszony widokiem dwóch płonących zwierząt, że nie mógł ruszyć się z miejsca.

Zza zasłony dymu wysunęła się mroczna sylwetka.

– Styks? – spytał krótko Chester, patrząc na tajemniczą postać, która trzymała w dłoniach coś w rodzaju kuszy z płonącym pociskiem nałożonym na cięciwę. Tym razem broń wymierzona była prosto w jego pierś.

Postać ruszyła w jego stronę.

– Ale... ale ty jesteś tylko chłopcem... – rozległ się szorstki głos pełen zdumienia, należący bez wątpienia do kobiety.

Nieznajoma miała na sobie poszarpany płaszcz, a dolną część jej twarzy zakrywała chusta z lżejszego materiału.

– Jesteś Styksem? – wykrztusił niepewnie Chester.

– Cóż za okropne przypuszczenie... – zabrzmiała ostra odpowiedź.

Nagle kobieta roześmiała się głośno i odwinęła chustę. Zdmuchnęła ogień na czubku pocisku i opuściła kuszę.

Chłopiec przyglądał się jej falowanym, rudym włosom i pełnej, dużej twarzy. Była to sympatyczna, uśmiechnięta twarz. Chester nie miał pojęcia, ile lat ma nieznajoma, ale dałby jej czterdzieści kilka. Gdyby nie dziwaczne ubrania, wyglądałaby zupełnie tak samo jak koleżanki jego matki, które czasem podwoziły ją do domu, kiedy wracała z wieczornych kursów.

– Masz szczęście, że akurat dzisiaj sprawdzałam pułapki, inaczej byłbyś już tylko paszą dla pajęczych małąp – stwierdziła kobieta, wyciągając rękę do chłopca. – Wstawaj, kochany.

– Więc nie jesteś Styksem? – spytał niepewnie Chester, patrząc jej w oczy.

– Nie, nie jestem Styksem – odparła, nie zwracając uwagi na przytłumione krzyki Willa.

– Zresztą z nas dwojga to nie ja strzelałam do małąp z karabinu Graniczników. – Jej głos był lekko zachrypnięty, jakby nie mówiła zbyt często.

– Ten nie mój karabin... to znaczy... – jąkał się chłopiec, próbując coś wyjaśnić.

– Nie martw się, mój drogi, widzę przecież, że nie jesteś Styksem. – Kobieta zajrzała mu głęboko w oczy. – Och, nawet nie wiesz, jakie to miłe – westchnęła.

– Co takiego? – spytał, chwytając jej rękę i pozwalając, by pomogła mu wstać.

– Patrzeć na inną osobę! – odparła takim tonem, jakby to było

całkiem oczywiste.

Wciąż trzymała go za rękę, gdy Will znów zawołał.

– Ee... moi przyjaciele potrzebują pomocy – przypomniał jej Chester, zabierając dłoń.

Ciągle przypatrywał się nieznajomej ze zdumieniem, tymczasem ona przewiesiła kuszę przez ramię. Potem sięgnęła do grubego pasa, oplatającego jej obfitą talię, wyjęła z niego szczyptę jakichś wysuszonych liści i rozsypała je na dopalających się szczątkach pająkowatych stworzeń. Powietrze natychmiast wypełniło się intensywnym, chociaż całkiem przyjemnym zapachem.

– To odstraszy te potwory – poinformowała kobieta, po czym ruszyła w stronę tunelu, w którym wisiała sieć. Odplątała linę ukrytą gdzieś w ciemności i opuściła na ziemię wierzgający tobołek z Willem, Elliott i kotem.

– Nie martwcie się, wyciągnę was stąd w try miga – powiedziała, rozwiązując supeł na górze siatki.

Pierwszy z pułapki wyskoczył Bartleby. Zasyczał gniewnie i obnażył kły.

– Łowca! – zawołała kobieta, wypuszczając sieć z dłoni i klaszcząc radośnie. – Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę Łowcę!

Bartleby uznał, że nieznajoma nie stanowi żadnego zagrożenia, i przeszedł obok, obwąchawszy ją tylko pobieżnie. Znacznie bardziej interesowały go pajęczce mały, jak nazywała je ich wybawicielka. Zbliżył się do nich i zaczął je ostrożnie okręzać, wyraźnie zaintrygowany.

Nie czekając na pomoc, Will wyplątał się z pułapki. Zerwał się na równe nogi i potarł po udzie.

– Ten głupi kot mnie ugryzł! Chester, co się sta... – umilkł raptownie, gdy jego spojrzenie spoczęło na nieznajomej. – Kim jesteś, u diabła?

– Nazywam się Marta – odpowiedziała kobieta. – Ale ludzie mówią do mnie Ma.

– Marta? – powtórzył Will, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ma?

– Tak, Ma. Tak właśnie do mnie mówili – odparła, przyglądając się chłopcu. – Proszę, proszę. Białe włosy i te śliczne jasne oczy. To oczywiste, że urodziłeś się p o d trawą.

– Co to znaczy? – spytał Chester ze zdumieniem.

– Ze urodziłem się w Kolonii – wyjaśnił mu przyjaciel. – No wiesz, pod trawą, we wnętrzu Ziemi.

– Ach tak, rozumiem – skinął głową Chester.

Marta zauważyła nieruchome ciało Elliott w siatce.

– Ach, więc jest was tu jeszcze więcej! Co mu się stało? spytała, marszcząc z z troskaniem brwi. – Mam nadzieję, że to nie przez moją pułapkę...

Will otrząsnął się wreszcie ze zdumienia i natychmiast pochylił się, by wyplatać dziewczynę z lin i wziąć ją na ręce.

– Ejże, przecież to młoda kobieta! – wykrzyknęła Marta, ujrawszy twarz Elliott. – Co się jej stało?

– Cóż... ee... pani... ee... Ma... Marto – zaczął niepewnie Will, po czym opowiedział pokrótce o walce z Granicznikami i salwie artyleryjskiej, która wrzuciła ich do Czułości.

Marta skrzyżowała ręce na piersiach i słuchała z uwagą przez jakąś minutę, a potem uciszyła chłopca, podnosząc jedną dłoń.

– Przykro mi, kochany, ale nic z tego nie rozumiem przyznała, kręcąc głową. – Wiecie, kiedy ostatnio słyszałam ludzki głos? – Nagle wyprostowała ręce, wsunęła jedną pod płaszcz i podrapała się energicznie pod pachą w sposób absolutnie nieprzystający damie.

– Chyba bardzo dawno temu? – odparł Will, spoglądając na nią z ukosa.

Kobieta w końcu przestała się drapać, po czym włożyła palce do

ust i je possała.

– Zgadza się, mój drogi – przytaknęła. – Lepiej chodźmy stąd wszyscy, ale najpierw pozbierajmy jedzenie. Wygląda na to, że będziemy go potrzebować. Więcej gęb do wykarmienia.

Przyjaciele wymienili porozumiewawcze spojrzenia, gdy Marta odpięła od pasa torbę, mrużąc coś o tym, że nie ma czasu na opracowanie mięsa.

– Więc to jest twoje? – spytał Will, wskazując na okrwawione stoły.

Kobieta nie odpowiedziała mu jednak. Zwróciła się za to do Chestera, którego obdarzyła czułym uśmiechem: – Wielkie z ciebie chłopisko. Przypominasz mi mojego syna. – Westchnęła głęboko. – Przytrzymasz mi to, kochany? – spytała, podając mu worek. Potem zaczęła zbierać dymiące wciąż szczątki pajęczych małp i ładować je do worka.

Chester wyszeptał bezgłośnie: „jedzenie?”, zwracając się do Willa. Trzymał torbę jak najdalej od siebie i krzywił się okropnie, jakby lada moment miał zwymiotować.

Chłopiec jednak nie odpowiedział, tylko przyglądał się szczątkom dziwnych stworzeń z nieskrywaną ciekawością.

– Niezwykłe... Wyglądają na owady... a może pajęczaki. Czy te lśniące, białe wyrostki to zęby?

– Tak, to ich kły – odparła kobieta, wciąż kręcąc się w tunelu i zbierając zakrwawione kawałki. – Używają ich również do wabienia ofiar, podobnie zresztą jak tego światełka na macce.

– Fascynujące – mruknął Will, po czym bez chwili wahania zajrzał do wnętrza torby, która budziła takie obrzydzenie w jego przyjacielu.

– Zaczyna się – mruknął Chester do siebie.



# Rozdział szósty



– Szczegóły tkwią w ziemi... szczegóły tkwią w ziemi... – powtarzał raz za razem doktor Burrows, klęcząc przed na wpół zagrzebanym ludzkim szkieletem.

W skupieniu odrywał kawałki grzyba i odgarniał maź, by odsłonić więcej kości. Nagle przerwał, ponieważ usłyszał jakiś odległy, przytłumiony odgłos. Nie miał pojęcia, co mogło być jego przyczyną, jednak podniósł się i krzyknął na całe gardło: – Halo! Halo! Jest tam kto?!

Choć przeszedł już wiele kilometrów, zawsze kierował się w dół, by mieć pewność, że nie oddali się zbyt od Czeluści. Za nic w świecie nie chciałby teraz zabłądzić.

Potem znalazł prawdziwy skarb: zobaczył szkielet i zaczął go odkopywać.

Jeszcze przez chwilę stał w bezruchu, nasłuchując. Jednak dokoła panowała całkowita cisza, uznał więc, że musiał się przesłyszeć. Wzruszył ramionami i ponownie zajął się swoim znaleziskiem. Gdy oderwał kolejny fragment grzyba i oczyścił stare kości z nalotu pleśni, jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Co my tu mamy...? – rozmyślał głośno, spoglądając na przedmiot zamknięty w dłoni szkieletu.

Ostrożnie odchylając kolejne paliczki – kości, które kiedyś tworzyły palce – uwolnił intrygujący obiekt. Było to naczynie przypominające lampę dzina, z dziobkiem i przykrywką, która mocno tkwiła na swoim

miejscu.

– Knot był pewnie tutaj – stwierdził głośno mężczyzna. – Zatem wy, Fenicjanie, czy kim tam byliście, używaliście lamp olejnych.

Odłożywszy przedmiot na bok, znowu przystąpił do odkopywania, choć ręce drżały mu z podniecenia i głodu. Pochylony nisko nad ziemią, pogwizdywał cicho, mrużąc oczy w blasku świetlnej kuli. Jego okulary były lekko przekrzywione – uszkodziły się podczas upadku do Czeluści a te części twarzy, których nie zakrywała krzaczasta broda, były podrapane i posiniaczone. Koszula rozpruła się na plecach, a naderwany rękaw wisiał już tylko na kilku nitkach. Choć doktor zawsze był dość drobnej budowy, ostatnio jeszcze stracił na wadze i coraz bardziej przypominał szkielet, który właśnie wygrzebywał.

– Bingo! – zawołał, natrafiwszy na coś, co wyglądało jak drewniane pudełko.

Podekscytowany, szarpnął nieco za mocno i pudełko rozpadło mu się w rękach. Ocalała jednak jego zawartość płaskie kamienne tabliczki wielkości kart do gry, o zaokrąglonych rogach.

– Łupek, bez wątpienia obrobiony – mruknął mężczyzna, wycierając rękawem jedną z płytek.

Potem przyjrzał jej się badawczo i dostrzegł, że na powierzchni kamienia wyryte są maleńkie litery o znajomych kształtach. Wyglądały tak samo jak znaki, które znalazł wcześniej w Głębi i zdołał odczytać z pomocą kamienia doktora Burrowsa – ciekawego obiektu, który upamiętnił własnym nazwiskiem. Choć podczas upadku w otchłań stracił swój notatnik, przypuszczał, że przypomni sobie dość, by z grubsza zrozumieć, co jest napisane na tabliczkach.

Jednak mimo że starał się mocno skoncentrować, maleńkie litery bez ustanku tańczyły mu przed oczami, a odczytanie kilku słów zajęło całe wieki; Doktor zdjął okulary, by je przetrzeć; uważał przy tym, by nie wytrącić soczewek z powyginanych oprawek. Niestety, i ten

zabieg nie przyniósł zmiany, więc po chwili mężczyzna poddał się ostatecznie.

– Co się ze mną dzieje? – mruczał pod nosem, oglądając pozostałe tabliczki. Odkrył, że na niektórych znajdują się maleńkie diagramy. – Kierunki... czy to może oznaczać... kierunki...? – zastanawiał się głośno, obracając kamienie na wszystkie strony. – Och, nie wiem – westchnął w końcu, zniechęcony, wciąż bowiem nie rozumiał, czego dotyczą napisy na łupkach.

Owinął je w chusteczkę, włożył ostrożnie do kieszeni, po czym powrócił do odkopywania szkieletu.

Wkrótce się okazało, że grzyb nie kryje już żadnych ciekawych przedmiotów, chyba że można by do nich zaliczyć przegniłe skórzane sandały.

Doktor wstał i ponownie ruszył w drogę. Powłócząc nogami, przechodził przez połacie grzyba, który ustępował czasem miejsca nagiej skale lub warstwie szlamu. Burrows zastanawiał się nieustannie, czy w pobliżu kryją się jakieś inne obiekty – być może znalazłby coś, co pasowałoby do mapy wyrytej na tabliczkach, jeśli rzeczywiście to była mapa.

Wypatrując jakichś charakterystycznych punktów, uświadomił sobie nagle, że rozrastający się przez tysiąclecia grzyb mógł je wszystkie przesłonić. Zastanawiał się również, czy ten biedak, którego szkielet odkrył przed chwilą, zakończył tu swój żywot, ponieważ wylądował na niewłaściwym poziomie Czeluści i zabłądził. Jeśli tak było w istocie, to on sam również znalazł się w niewłaściwym miejscu, a mapa była bezużyteczna.

Doktor zatrzymał się raptownie, przypomniawszy sobie lot w otchłań, a także przerażenie, z jakim wpatrywał się w nieprzeniknioną, nieskończoną ciemność, zanurzając się w niej coraz głębiej i głębiej, dopóki nie wylądował na grzybowej półce. Nie

odniósł żadnych poważnych ran, ale stracił plecak z wodą i jedzeniem, sprzęt oraz dziennik, nad którym tak długo pracował, co oznaczało, że w ogóle nie jest przygotowany do prowadzenia dalszych prac badawczych.

Ruszył ponownie w głąb tunelu, starając się nie zwracać uwagi na żałosne burczenie, które wydobywało się z jego brzucha. Wiedział, że gdyby nie zmniejszona grawitacja, być może nie miałby nawet siły, by kontynuować wędrówkę. Pragnienie nie dokuczało mu zbytnio, po drodze pił bowiem wodę ściekającą po ścianach; musiał jednak coś zjeść, i to szybko.

Po jakimś czasie dotarł do wielkiej szczeliny i zajrzał do niej, przejęty strachem.

– Zawsze w dół... zawsze w dół – przypominał sobie, wyciągając do przodu rękę ze świetlną kulą i próbując dojrzeć, jak głęboko sięga skalny rozstęp.

Zawędrowawszy tak daleko w głąb Ziemi, nie mógł się przecież poddać. Ogromnie zależało mu na tym, by znaleźć więcej dowodów na istnienie starożytnej rasy, a szkielet z tabliczkami upewnił go w przekonaniu, że jest już blisko celu. Zastanawiał się czasami, czy w końcu znajdzie wielką stertę szkieletów, miejsce ostatniego spoczynku zabłąkanych dusz, które zginęły, poszukując Ogrodu Drugiego Słońca, opisanego w zrujnowanej świątyni.

– Mam nadzieję, że lądowanie będzie miękkie – mruknął, przygotowując się do skoku.

Zebrał się w sobie, po czym skoczył w sam środek szczeliny. Przez jakiś czas leciał jednostajnym tempie w dół, mijając po drodze pasma grzyba i warstwy różnych skał.

Wreszcie wylądował z głośnym pluskiem w niewielkiej sadzawce, uginając nogi w kolanach i przetaczając się na bok, by zamortyzować upadek.

– Udało się – stwierdził, chociaż w jego głosie nie było słycać wielkiej ulgi.

Cały przemoczony, podniósł się. Dopiero wtedy zakrećilo mu się w głowie i nieprzytomny znów runął na ziemię.

– Tato! Tato! – usłyszał doktor Burrows, kiedy ktoś wyciągnął go z wody, podniósł mu obolałą głowę i poprawił okulary na nosie.

Mężczyzna otworzył oczy i spróbował skupić wzrok. Rozmazany obraz nabrał na moment ostrości, po czym znów zamienił się w bezkształtną plamę.

– Rebeka – słabo wyszeptał doktor. – Śnię... to tylko sen.

– Nie, tato, wcale nie śnisz. To ja.

Burrows ponownie otworzył oczy i wyęzając wszystkie siły, skupił wzrok.

– Majacę.

– Nie, nie majaczysz. To ja – powtórzyła dziewczyna. Ścisnęła mocno jego rękę. – Czujesz? Jestem realna.

– Rebeka? Co... co ty tutaj robisz...? – spytał ojciec, wciąż nie wierząc własnym oczom.

– Słyszałam twoje krzyki – odparła.

Dopiero teraz doktor zobaczył, co nosi jego córka.

– Ubranie Granicznika... Styksa...? – Potarł dłonią czoło, skonfundowany.

– Tak, tato, jestem Styksem – odparła dziewczyna bez wahania. – A ty wyglądasz tak, jakbyś chętnie coś przekąsił. – Pstryknęła palcami, a z cienia wyszła jakaś postać.

– Granicznik? – wychrypiał Burrows.

Żołnierz o zapadniętych policzkach spojrział obojętnie na doktora i podał coś Rebecce.

– Proszę, zjedz trochę tego mięsa. Nie chciałbyś wiedzieć, skąd je mam, ale wcale nie smakuje tak źle, jeśli się je odpowiednio ugotuje –

powiedziała córka, odrywając kawałek mięsa i wpychając go ojcu do ust.

Ten z wdzięcznością przyjął poczęstunek i przeżuwał kęs przez chwilę, jednocześnie przyglądając się Granicznikowi i Rebecce. Wreszcie przełknął ostatni kawałek i usiadł prosto, w błyskawicznym tempie odzyskując siły.

– Jak się...? – zaczął.

– Może jeszcze trochę? – przerwała mu dziewczyna i zanim zdążył odpowiedzieć, wepchnęła mu do ust kolejną porcję mięsa.

– Nie rozumiem, co ty tu robisz. Powinnaś być w domu pouczyć ją doktor, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ponieważ mówił z pełnymi ustami. – Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – spytał surowym tonem.

Rebeka nie mogła stłumić chichotu.

Pani Burrows siedziała przy stoliku i mówiła do mikrofonu. Mocne reflektory świeciły jej prosto w oczy, a bijący od nich żar sprawiał, że obficie się pociła. Nigdy nie przypuszczała, że tak będzie przebiegać jej pierwszy wywiad pokazany na małym ekranie. Właśnie spełniało się jej życiowe marzenie – występowała w telewizji! Jednak ważniejsze było to, że jej sprawa wreszcie została potraktowana z należytą uwagą.

Prośba o informacje dotyczące jej zaginionej rodziny była ostatnim punktem policyjnego programu. Pani Burrows czekała na swoją kolej w wielkim studiu, pełnym ludzi z notatnikami w rękach i słuchawkami w uszach, którzy kręcili się chaotycznie po całym pomieszczeniu, jakby nie wiedzieli, gdzie właściwie powinni być. Pani Burrows zauważyła także kilku policjantów związanych ze „sprawą rodziny z Highfield”, jak ją tu nazwano, którzy snuli się bezczynnie po kątach. Kiedy próbowała zaczepiać ich wzrokiem, odwracali oczy. Była pewna, że nadal jest główną podejrzaną, choć nie mieli

przeciwko niej żadnych dowodów.

Jeśli jednak nie wierzyli w to, co im powiedziała, to dlaczego?.

Ten z wdzięcznością przyjął poczęstunek i przeżuwał kęs przez chwilę, jednocześnie przyglądając się Granicznikowi i Rebecce. Wreszcie przełknął ostatni kawałek i usiadł prosto, w błyskawicznym tempie odzyskując siły.

– Jak się...? – zaczął.

– Może jeszcze trochę? – przerwała mu dziewczyna i zanim zdążył odpowiedzieć, wepchnęła mu do ust kolejną porcję mięsa.

– Nie rozumiem, co ty tu robisz. Powinnaś być w domu pouczyć ją doktor, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ponieważ mówił z pełnymi ustami. – Czy twoja matka wie, gdzie jesteś? – spytał surowym tonem.

Rebeka nie mogła stłumić chichotu.

Pani Burrows siedziała przy stoliku i mówiła do mikrofonu. Mocne reflektory świeciły jej prosto w oczy, a bijący od nich żar sprawiał, że obficie się pociła. Nigdy nie przypuszczała, że tak będzie przebiegać jej pierwszy wywiad pokazany na małym ekranie. Właśnie spełniało się jej życiowe marzenie – występowała w telewizji! Jednak ważniejsze było to, że jej sprawa wreszcie została potraktowana z należytą uwagą.

Prośba o informacje dotyczące jej zaginionej rodziny była ostatnim punktem policyjnego programu. Pani Burrows czekała na swoją kolej w wielkim studiu, pełnym ludzi z notatnikami w rękach i słuchawkami w uszach, którzy kręcili się chaotycznie po całym pomieszczeniu, jakby nie wiedzieli, gdzie właściwie powinni być. Pani Burrows zauważyła także kilku policjantów związanych ze „sprawą rodziny z Highfield”, jak ją tu nazwano, którzy snuli się bezczynnie po kątach. Kiedy próbowała zaczepiać ich wzrokiem, odwracali oczy. Była pewna, że nadal jest główną podejrzaną, choć nie mieli

przeciwko niej żadnych dowodów.

Jeśli jednak nie wierzyli w to, co im powiedziała, to dlaczego pozwolili jej wygłosić apel o pgrioc? Czyżby liczyli na to, że w ten sposób uspią jej czujność i sprowokują do ujawnienia jakiejś ważnej informacji? Kobieta nie mogła zrozumieć, dlaczego zadają sobie aż tyle trudu.

„Skup się” – przykazała sobie w duchu, czytając ostatni akapit tekstu, który przygotowała z pomocą policyjnego psychologa.

– ... bo ktoś musi wiedzieć, dokąd wyjechali albo co się z nimi stało – powiedziała, wypuszczając z drzeniem powietrze. Przerwała na moment i spojrzała prosto w obiektyw kamery, jakby wzruszenie nagle odebrało jej mowę. – Jeśli więc macie państwo jakiegokolwiek informacje na ten temat, proszę, powiadomcie jak najszybciej policję. Chciałabym wreszcie odzyskać rodzinę.

Czerwona lampka na kamerze zgasła, natychmiast jednak zapaliła się inna, gdy głos zabrał detektyw Blakemore. Ubrany był w swój najlepszy garnitur, specjalnie na tę okazję zmienił również fryzurę. Kiedy mówił do kamery, unosił jedną brew, jakby uważał się za Jamesa Bonda. Pani Burrows nie widziała, by robił to kiedykolwiek wcześniej.

– Wciąż badamy okoliczności zaginięcia doktora Rogera Burrowsa, Willa, Rebeki i Chestera Rawlsa, szkolnego kolegi Willa. Sprawa ta niewątpliwie budzi wiele wątpliwości i podejrzeń.

Pani Burrows spoglądała na monitor z boku kamery, ukazujący aktualnie nadawany obraz.

Inspektor nadal opowiadał o szczegółach śledztwa, podczas gdy na ekranie pojawiały się zdjęcia zaginionych członków rodziny, udostępnione przez panią Burrows. Na koniec ukazało się również zdjęcie Chestera ubranego w szkolny mundurek Highfield High School. Potem na ekranie znów pojawił się detektyw Blakemore.



Policjant zrobił dramatyczną pauzę, a jego brew powędrowała jeszcze wyżej, jakby chciała zupełnie oderwać się od czoła.

– Oto powiększony obraz z filmu zarejestrowanego przez kamery ochrony w ośrodku. – Na ekranie pojawiło się ziarniste, czarnobiałe zdjęcie. – Pokazuje on kobietę, z którą chcielibyśmy porozmawiać o tej sprawie. Jest szczupła, ma około metra siedemdziesięciu wzrostu i ciemne, farbowane włosy, choć w rzeczywistości są one prawdopodobnie bardzo jasne, wręcz białe. Ma około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i być może nadal przebywa w Londynie. Oto sporządzony przez artystę portret, który dokładniej ukazuje jej twarz. – Na ekranie pojawił się kolejny obraz. – Jeśli znają państwo aktualne miejsce pobytu tej kobiety, proszę dzwonić pod numer...

Pani Burrows przestała go słuchać, dojrawszy na skraju podestu rodziców Chestera. Pan Rawls podpierając żonę wyglądała ona tak, jakby płakała i nie była w stanie ustać własnych siłach.

Matka Willa pożegnała się z detektywem Blakemore'em pozostałymi policjantami. Szła właśnie w stronę rodziców Chestera, kiedy pan Rawls, wciąż obejmujący czule swoją żonę, odwrócił się do niej i zmierzył ją gniewnym spojrzeniem, potrząsając przy tym głową. Pani Burrows stanęła jak wryta. Wpadła na niego raz czy dwa w komisariacie w Highfield, jednak ojciec Chestera traktował ją zawsze z lodowatym chłodem. Jeden z policjantów powiedział jej później, że rodzice Chestera byli wściekli, gdy się dowiedzieli, że w dniu zaginięcia dzieci Celia leżała nieprzytomna, nafaszerowana środkami nasennymi. Mieli do niej żal, że nie pilnowała chłopców. Pani Burrows nie czuła się jednak winna – Will zawsze chodził własnymi drogami. Przynajmniej zwykle zajmował się kopaniem, a nie łobuzował na ulicy z innymi dzieciakami.

Teraz jednak była wstrząśnięta reakcją pana Rawlsa. Gdy wreszcie ochłonęła, dojrzała z boku sceny automat z zimną wodą i podeszła do

niego, by się napić. Kiedy popijała wodę małymi łykami, usłyszała rozmowę dochodzącą zza półki ze sprzętem.

– To znaczy, przypuszczasz, że ona to zrobiła? – spytał jeden z głosów.

– No pewnie. To jasne jak słońce – odpowiedział drugi głos ze szkockim akcentem. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć zabójcą jest ktoś z rodziny. Ile razy było tak, że wysłuchiwaliliśmy tutaj opowieści szlochających krewnych, a miesiąc później się okazywało, że to właśnie oni są wszystkiemu winni?

– Tak, to prawda.

– Przyjrzałeś jej się dobrze? Ta Burrows to stara, zgorzkniała nieudacznica, widać to na pierwszy rzut oka. Typowa kobieta z przedmieść, pełna tłumionej złości i do bólu znudzona swoim bezcelowym, nijakim życiem. Pewnie miała kogoś na boku, a ponieważ jej mąż się o tym dowiedział, załatwiła go. Dzieciaki wiedziały za dużo, więc i z nimi zrobiła porządek. A najlepszy kumpel jej syna, ten biedak Charley, czy jak mu tam, wplątał się w to przypadkiem i skończył tak jak reszta.

Pani Burrows wyszła zza regału, by zobaczyć, kto o niej rozmawia. Niski, tęgi mężczyzna z ogoloną głową i krzaczastą brodą związał właśnie kabel i mówił do drugiego chudego osobnika w bawełnianej koszulce, który słuchał go z uwagą, stukając przy tym mikrofonem w udo.

Najwyraźniej byli to zwykli technicy, pracujący w studiu.

– Tak, wyglądała na niezłą żonę – stwierdził chudzielec, drapiąc się po głowie końcówką mikrofonu.

W tej chwili brodacz dojrzał panią Burrows i odchrząknął głośno.

– Lepiej sprawdź, czego od nas chcieli w studiu 13, Billy powiedział do kolegi.

Chudzielec opuścił powoli mikrofon i zmarszczył brwi, bardzo

zdziwiony.

– Przecież my nie mamy studia 13... – odparł, kiedy jednak zerknął na bok i zobaczył panią Burrows, zrozumiał natychmiast, co chciał mu powiedzieć kolega. – Już tam idę, Dave, już lecę – mruknął i ruszył pośpiesznie do wyjścia, wpadając przy tym na brodacza, który także chciał jak najszybciej opuścić studio.

Matka Willa stała w bezruchu, odprowadzając ich wzrokiem i zaciskając dłoń na zgniecionym plastikowym kubku.

Część druga

Chata Marty

## Rozdział siódmy



Marta z zadziwiającą prędkością przemieszczała się wzdłuż tunelu, odbijając się od ścian niczym piłka zamknięta w rurze. Wbrew temu, co sugerował jej wygląd, poruszała się z gracją i prędkością lamparta; bez wątpienia żyła w środowisku z obniżoną grawitacją już od długiego czasu i świetnie się do niego przystosowała.

Bartleby przyglądał się z zainteresowaniem i próbował naśladować jej ruchy, przeskakując z jednej strony tunelu na drugą. Co jakiś czas odbijał się zbyt mocno i pozbawiony kontroli nad własnym ciałem leciał na przeciwną ścianę lub sufit. Will i Chester przyzwyczaili się już do widoku bezradnego kota mknącego od ściany do ściany i wydającego z siebie żałosne miauknięcia.

Chłopcy starali się dotrzymać kroku Marcie, choć jednocześnie Will nie chciał iść zbyt szybko, by nie zrobić krzywdy Elliott. Kiedy ich wybawczyni przystanąła, żeby na nich poczekać, przyjaciele usłyszeli, jak mamrocze coś pod nosem. Trudno było zrozumieć, co właściwie mówi, a Will uzmysłowił sobie, że być może robi to całkiem nieświadomie.

– Jak możemy pomóc tej dziewczynie? – mruknęła kobieta, po czym odwróciła się od nich.

– Jak już mówiłem, ma złamaną... – zaczął Chester.

– Co? – przerwała mu.

– Pytałaś o Elliott. Ma złamaną rękę.

– O nic nie pytałam, a ty już mi mówiłeś o złamanej ręce odparła Marta, spoglądając podejrzliwie na chłopca, jakby to on dziwnie się zachowywał. – Czas na następną porcję stwierdziła.

Ponownie wyjęła z pasa garść zaszuszonych, pokruszonych liści, przysunęła je do pochodni, a gdy zaczęły się palić, rzuciła na podłogę. Tunel natychmiast wypełnił się ostrym zapachem.

– Rety! – powiedział Will, marszcząc nos. – To jest naprawdę mocne. Przypomina mi lukrecję, albo coś w tym rodzaju.

– To prawda. Nazywa się anyżkowy ogień. – Marta spojrzała na niego ze zrozumieniem.

– Masz nos Kolonisty, prawda, kochany? Węch jak pies tropiący, co?

– Tak, pewnie tak – przyznał chłopiec. – Ale właściwie dlaczego palisz to zielsko?

– Kiedy ich nie widzisz, pajęczce mały zbierają się w pionowych szczelinach i skaczą zniechęca na ciebie. Zapach anyżkowego ognia je przegania. Uprawiam go u siebie w ogrodzie – powiedziała kobieta, po czym ponownie ruszyła dalej.

– W ogrodzie?! W twoim ogrodzie?! – zawołał za nią Chester. W tym przedziwnym miejscu to słowo brzmiało dziwnie swojsko i pocieszająco. – Ona naprawdę powiedziała „ogród”? – zwrócił się do Willa.

– Kto wie? – wyszeptał przyjaciel, robiąc zeza, by pokazać swemu towarzyszowi, że ich wybawczynie prawdopodobnie ma trochę nierówno pod sufitem.

– Musicie tutaj uważać – ostrzegła chłopców, gdy się z nią zrównali. – Wiatr jest silny, pałka wąska.

– Pałka? – powtórzył Chester.

– Tak, jest wąska.

– Ona mówi chyba o półce— szepnął Will do kolegi.

Po chwili rzeczywiście wyszli na grzybową półkę o szerokości co najwyżej jednego metra, za którą otwierała się czarna otchłań.

– Czeluść? – spytał sam siebie.

Miał jednak wrażenie, że to miejsce różni się nieco od Czeluści. Powietrze było tu niezwykle wilgotne, nie słyszał też kapania wody, a wszędzie dokoła unosiły się kłęby pary. Gdy spojrzał na drugą stronę, przekonał się, że wszystko skąpane jest w intensywnym, czerwonym blasku. Kiedy poczuł na twarzy podmuch rozpalonego powietrza, wiedział już z pewnością, że to nie Czeluść.

W tym momencie odezwał się Chester, przerywając jego rozmyślenia: – Czy nie stąd właśnie przyszliśmy? – spytał. – To chyba nie jest Czeluść, co?

Marta zachichotała.

– Nie, to nie Czeluść, to inna z Siedmiu Sióstr. Nazwaliśmy ją Sapiąca Mary. – Odwróciła głowę, lecz chłopcy usłyszeli jeszcze, jak mruczy pod nosem: – Prawda, Nat?

Chester spojrzał z niepokojem na Willa, który dobrze wiedział, co myśli jego przyjaciel. Bez wątpienia znaleźli się w rękach obłąkanej kobiety, która nie była w stanie nawet zapamiętać ich imion.

Wędrowcy, trzymając się blisko ściany, stąpali ostrożnie po półce śliskiej od wody. Blask rzucany przez pochodnię Marty i świetlną kulę Chestera tylko w niewielkim stopniu rozpraszał mrok, Will miał jednak wrażenie, że ta przepaść jest równie wielka jak Czeluść.

Starał się nie patrzeć w ciemności za krawędzią półki, lecz czuł, jak otchłań przyciąga go do siebie. Znów odczuwał to niewytłumaczalne pragnienie, znów musiał się zмагаć z tą dziwną siłą, która nakłaniała go, by skoczył z półki. Nie był to nawet wewnętrzny głos, lecz coś znacznie silniejszego i też głębiej zakorzenionego – niepowstrzymany pierwotny instynkt, który próbował zawładnąć ciałem i umysłem chłopca.

– Nie – wymamrotał Will przez zaciśnięte zęby. – Weź się w garść!  
– Musiał przecież opiekować się Elliott. Co on właściwie sobie myślał?  
Co w niego wstąpiło?

Po dwudziestu minutach wędrówki wzdłuż półki Will mógł wreszcie odetchnąć z ulgą – Marta wprowadziła ich ponownie do jakiegoś tunelu. Gdy zostawili za sobą ognistą przepaść, Will popędził nagle kilka metrów do przodu i wpadł na przyjaciela.

– Nic ci nie jest? – spytał Chester.

– Nie, tylko się potknąłem – odparł chłopiec, wędrując śladem kobiety w głąb długiego korytarza.

Warstwa wszechobecnego grzyba robiła się coraz cieńsza i cieńsza, aż w końcu tu i ówdzie zaczęły spod niego wystawać pierwsze pasma gołej skały. Po jakimś czasie grzyb znikł zupełnie, a pod ich stopami zachrzęściły drobne kamienie.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczyła Marta, kiedy pokonawszy niewielkie wzniesienie, weszli do wielkiej jaskini.

Wzdłuż jednej ze ścian, na długości około trzydziestu metrów, od dna do sufitu ciągnęło się coś w rodzaju wygiętej barykady albo szanca. Marta poprowadziła ich do środkowej części owej bariery, która była wykonana z wielu ułożonych pionowo pasów metalu, zachodzących na siebie i zespawanych razem. Poszczególne metalowe części nie pasowały do siebie, niektóre były matowe, inne wypolerowane na wysoki połysk, a niektóre nawet perforowane.

Kilka płyt wyraźnie różniło się od pozostałych, zachowały się na nich bowiem resztki niebieskiej lub zielonej farby.

Obok czegoś, co wyglądało na drzwi, znajdował się ciężki, mosiężny dzwonek, zawieszany na wsporniku na wysokości głowy. Kobieta uderzyła w niego dwukrotnie. Chłopcy czekali w milczeniu na jakąś reakcję, jednak metaliczne echo ucichło w oddali, a przy zamkniętym wejściu nadal nikt się nie pojawiał.



– Siła przyzwyczajenia – poinformowała ich Marta, otwierając drzwi.

– Nie zamykasz ich na klucz? – zaciekał się Will, kiedy Bartleby przemknął obok niego.

– Nie, piaskowe szczeniaki nie są aż tak sprytne – odparła.

– Piaskowe co? – zdziwił się chłopiec, lecz przewodniczka już weszła do środka.

Gdy przyjaciele poszli jej śladem, za bramą ich oczom ukazał się fantastyczny widok. Grunt nadal łagodnie się wznosił, podobnie jak sufit jaskini, a jakieś czterdzieści metrów dalej stał parterowy domek. Do budynku prowadziła wąska ścieżka, po obu jej stronach ciągnęły się rzędy przepięknych roślin. Poszczególne grządki aż lśniły różnymi odcieniami żółci, fioletu, błękitu i czerwieni, a skumulowany blask roślin wypełniał przestrzeń delikatną, piękną poświatą.

– Mój ogród – oświadczyła z dumą Marta.

– Niesamowity! – zachwycił się Chester.

– Podoba ci się? – spytała kobieta.

– Tak, jest naprawdę super! – odparł.

Kiedy Marta odwróciła się do niego, miał wrażenie, że podobnie jak rośliny, ona również aż promienieje z zadowolenia.

– Ale hoduję je tutaj nie tylko ze względu na wygląd.

– Tak jak tę, którą palisz? – domyślił się Chester.

– Tak, gdybym nie odkryła jej niezwykłych właściwości, nie byłoby mnie tutaj.

– Tylko skąd wzięłaś te wszystkie cuda? – wypytywał podekscytowany chłopiec.

– Nathaniel zbierał dla mnie próbki, gdy tylko wyruszał na jakąś wyprawę. Muszę jeszcze trochę lepiej poznać ich właściwości, ale czas to chyba jedyna rzecz, której mi tutaj nie brakuje.

– Kto to jest Nathaniel? – wtrącił Will.

– Mój syn. Jest na wzgórzu – odpowiedziała Marta, zerkając na szczyt wzniesienia.

Chłopiec spojrział z zaciekawieniem w tę samą stronę, licząc w duchu na to, że zobaczy tam kogoś jeszcze, kogoś, kto będzie mógł im pomóc.

– Poznamy...?

– Wnieśmy dziewczynę do środka, okay? – przerwała mu kobieta opryskliwie, zamykając drzwi i zasuważąc rygiel.

Chester pochwycił spojrzenie kolegi, który chciał zwrócić jego uwagę na wózek ustawiony przy drzwiach. Leżały na nim spawarka i dwie butle z gazem, porośnięte jakąś płożącą rośliną. Zarówno plamy rdzy na butlach, jak i oplatająca je roślina świadczyły o tym, że już od długiego czasu nikt nie używał spawarki, która bez wątplenia została tu sprowadzona z Górnoziemia.

– Nathaniel... Czy to on zbudował tę barierę? – spytał niepewnie Chester.

Marta skinęła głową i odwróciła się, by poprowadzić ich w górę ścieżki skąpanej w eterycznym blasku.

W połowie drogi Bartleby zatrzymał się nagle, wpatrzony w jeden punkt. Will przystanął za nim i usłyszał szmer spływającej wody.

– Strumień? – spytał.

Marta przeszła na bok ścieżki.

– Za domem jest źródło ze słodką wodą – wyjaśniła, gdy chłopiec dostrzegł niewielką strugę, w której odbijał się purpurowy blask maleńkich kwiatów zbitych w ciasne kiście.

Wszystko to wyglądało wręcz niezmiernie.

– To miejsce jest po prostu niesamowite – westchnął Will.

– Dziękuję – odparła kobieta. – To moje małe sanktuarium. Przypuszczam, że postawili tu sobie chatę właśnie ze względu na strumień.

– Jacy oni? Kto zbudował ten dom? – dopytywał się podekscytowany chłopiec.

– Żeglarze.

– Żeglarze?

– Tak. Sam zobaczysz, kiedy wejdiesz do środka.

Przed parterowym domkiem znajdowała się weranda, na którą prowadziło kilka stopni. Will wszedł na nie i przystanął, żeby przyjrzeć się grubym belkom podpierającym dach tej przybudówki.

– Dąb – stwierdził, przesunąwszy palcem po drewnie poczerniałym ze starości.

Powierzchnia belki pokryta była niezliczonymi rowkami i dziurami wydrążonymi przez korniki. – Bardzo stary dąb – dodał, po czym przyjrzał się badawczo samej chacie. Przekonał się, że szkielet domu zbudowany jest z takich samych grubych belek, a ściany wykonane z równie starych desek łączonych na wpust i pióro. – Skąd to wszystko się tu wzięło? – spytał, napierając stopą na jedną z desek, która zaskrzypiała pod naciskiem.

– Przypuszczamy, że żeglarze zabrali je ze swojego statku. Kiedy tu przyszliśmy, dom stał pusty.

Z boku werandy piętrzyły się jakieś beczki i wielkie kufry, a pod oknem, ukrytym za okiennicą, stały ława i dwa proste krzesła.

Drzwi frontowe były otwarte, więc Marta od razu weszła do środka. Przyjaciele, nie czekając na zaproszenie, ruszyli jej śladem. Nim ich wzrok przywykł do ciemności, widzieli tylko kamienne palenisko, w którym żarzyły się węgle, i piecyk dobudowany z boku.

– Dorzuć drewna do ognia, kochany – kobieta poprosiła Chestera. – Możecie się tu ogrzać i wysuszyć, a ja zrobię nam w tym czasie coś do picia – dodała, zapalając dwie lampki olejne zawieszane pod sufitem. Ich żółty blask odsłonił przed oczami chłopców resztę pokoju.

– Tak, jasne – odparł Chester, tkwił jednak w miejscu, zdumiony

rozmiarami pomieszczenia, które okazało się zaskakująco duże.

– Przygotuję łóżko dla dziewczyny – poinformowała gospodyni, znikając w korytarzu.

Wkrótce potem z głębi korytarza dotarła kakofonia brzęków i pochrząkiwań, którym towarzyszyła nieustanna paplanina, jakby kobieta z kimś rozmawiała.

– Spójrz tylko na ten pokój... coś niesamowitego! – wykrzyknął Chester, rozglądając się dokoła.

– Kufry na mapy – zauważył Will, dojrzawszy pod ścianą trzy niskie skrzynie z mosiężnymi okuciami na rogach.

Na skrzyniach stało kilka drewnianych przedmiotów: chłopiec dostrzegł figurkę z karabinem w dłoni, a obok krowę jaskiniową – olbrzymiego pajęczaka, który żył w Głębi. Kiedy przesunął spojrzeniem dalej, przekonał się, że w rogach pokoju wiszą przeróżne akcesoria żeglarskie – harpuny, sznury i bloczki, mała sieć, a nawet sekstans z zaśnieżonego mosiądzu.

Wypatrzył również kilka szpad o szerokich, lekko zakrzywionych ostrzach.

– To kordy! Nie wierzę! – wykrzyknął. – Więc ona mówi prawdę. To wszystko wygląda tak, jakby pochodziło ze statku, i to bardzo starego. Może z galeonu...? – zwrócił się do Chestera. – Spójrz na te belki – dodał, wskazując na sufit. – Są bardzo stare, jakby zabrano je z „Mary Rose” (Szesnastowieczny żaglowiec, flagowy okręt floty wojennej króla Henryka VIII)

– Ale okręt... tutaj...? – zdumiał się przyjaciel. – Jak to jest możliwe?

– Nie wiem. A jak dostała się tutaj Marta? – odpowiedział pytaniem Will w chwili, gdy kobieta weszła do pokoju.

– Co? Jeszcze nie dołożyłeś drewna, kochany? – zgałiła Chestera, choć robiła to w łagodny, spokojny sposób, niczym matka, która

przypomina niesfornemu synowi o drobnych pracach domowych.

– Przepraszam – odparł chłopiec. – Zaraz to zrobię.

– Dobry chłopak! – Skinęła gjpwą, po czym zwróciła się do Willa: –  
Więc chciałbyś wiedzieć, jak tu trafiłam?

Will zawstydził się, że ich gospodyni usłyszała jego słowa. Spłonął rumieńcem i pochylił głowę, wbijając wzrok w podłogę.

– Mój mąż zepchnął mnie do Czeluści – wyjaśniła krótko.

– Och... – zdołał tylko odpowiedzieć chłopiec, zaskoczony jej bezpośredniością.

– Wygnano nas z Kolonii i przez lata żyliśmy w Głębi jako renegaci. Nie było to łatwe, mówię wam, zwłaszcza że w tym piekle musiałam wychować dziecko. Aż pewnego dnia mój mąż doszedł do wniosku, że ma nas dość – mówiła kobieta, podnosząc pokrywę kosza i wyjmując z niego koce. – Można to nazwać swego rodzaju rozwodem.

Opowiadała o tym z taką swobodą, że Will poczuł się nieco mniej zakłopotany.

– Spotkałaś innych renegatów? – spytał. – Elliott była jednym z nich. Mieszkała z mężczyzną o imieniu Drake. Może go znałaś?

Kobieta wyprostowała się, trzymając przed sobą naręcze koców, i spojrzała na chłopca w zamyśleniu.

– Drake... Nie, nie pamiętam nikogo takiego. Pewnie pojawił się tam już po mnie.

– A Tom Cox? – próbował dalej Will. – To był największy wróg Drake'a.

Marta zacisnęła dłonie na kocach, a jej twarz stężała w grymasie czystej nienawiści.

– O tak, znałam tę kanalię aż za dobrze. Zawsze uważałam, że mój mąż dał mu się omamić... To Cox namówił go, by to zrobił... by się nas pozbył – syknęła przez zęby. Potem rozluźniła dłonie zaciśnięte w

pięści, a jej twarz przybrała swój zwykły, pogodny wyraz.

Pociągnęła głośno nosem, a potem wytarła go w rękaw. – Przynieście tu dziewczynę, żebym mogła jej się lepiej przyjrzeć.

Will wniósł Elliott do małego, bocznego pokoju. Chociaż na środku stało duże łóżko z dwiema cienkimi poduszkami, pomieszczenie bez wątpienia służyło za magazynek. Pod jedną ze ścian leżała sterta różnych przedmiotów, zrzuconych na jedno miejsce. Chłopiec dojrzał wśród nich kilka skórzanych walizek, stary cynowy kufer z ozdobnym napisem na wieku oraz wiele beli tkaniny. W powietrzu unosił się lekki zapach oleju, wydzielany przez lampę zawieszoną pod sufitem.

– Tutaj – poleciła Marta, rozłożywszy koce na łóżku. – Tylko uważaj.

Gdy Will ułożył Elliott, kobieta usiadła obok niej. Odwiązała sznur przytrzymujący złamaną rękę przy ciele i bardzo ostrożnie położyła ją na pościeli.

– Mocno się uderzyła – oceniła, obejrzawszy głowę dziewczyny. Potem znowu zajęła się ręką, bez ustanku mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem. – Nie wygląda to ładnie – stwierdziła wreszcie, po czym przyjrzała się dłoni, a szczególnie czubkom palców. – Ale krążenie nie ustało, Bogu dzięki.

– Wiesz, jak wyleczyć rękę Elliott? – spytał Will. – Możesz założyć jej łubki, albo coś w tym rodzaju?

Marta znów mruknęła coś do siebie, położyła dłoń na czole chorej i zadowolona skinęła głową.

– Nie ma gorączki.

Podłożyła kilka poduszek pod głowę dziewczyny, a potem podeszła do okna. Przez kilka chwil wpatrywała się w jakiś punkt, po czym powiedziała: – Muszę się napić herbaty.

– Herbaty? – powtórzył Will z niedowierzaniem.

Kiedy wrócili do dużego pokoju, a woda w czajniku się zagotowała,

ich gospodyni rzeczywiście wyjęła coś, co przypominało herbatę; nabrała łyżeczkę ciemnych liści z poobijanej puszki i wsypała je do czajnika. Miała też cukier, kawę i cały arsenał przypraw, pochowanych w drewnianych pudełeczkach, w kredensie przy piecyku.

Rozlali herbatę do poobijanych filiżanek, przenieśli je na stół i usiedli na krzesłach ustawionych dokoła. Na środku blatu znajdowało się popiersie chłopca, naturalnej wielkości, wyrzeźbione prawdopodobnie z jednej ze starych belek. Chłopiec uśmiechał się pogodnie, spoglądając w górę. Przy popiersiu stały dwie mniejsze figurki: dorosły człowiek i dziecko, trzymający się za ręce. Ta rzeźba nie była jeszcze skończona, obok niej leżało kilka dłutek i garść wiórów. Kiedy Will przyjrzał się uważnie obu posążkom, zrozumiał, że większy przedstawia Martę.

Świeże drewno w kominku zaczęło się już palić, czerwone płomyki lizały wielkie polano od dołu i z boku. Blask ognia mieszał się z ciepłym, żółtym światłem lamp olejnych.

– Miło tu – stwierdził Chester, przyglądając się wyraźnie zadowolonemu Bartleby'emu, który podszedł do wytartego dywanika przed kominkiem.

Wysunąwszy pazury, wielki kot zaczął przebierać łapami w jednym miejscu, jakby ugniatał dywan. Jego potężne łopatki przesuwały się na przemian pod cienką skórą, niczym tłoki jakiejś maszyny. W końcu opadł na chodniczek, mrużąc przy tym nieprawdopodobnie wręcz głośno. Przewrócił się na grzbiet i ziewnął szeroko, wyciągając jednocześnie na pełną długość swe chude ciało.

– Bart jest szczęśliwy. Znalazł swoje miejsce – stwierdził Will i uśmiechnął się szeroko.

Scena ta tak bardzo przypominała chwilę, gdy chłopiec po raz pierwszy zobaczył olbrzymiego Łowcę w mieszkaniu Jerome'ów w

Kolonii, że nagle ogarnęło go ogromne wzruszenie. Czuł się niemal tak, jakby wrócił do domu. Kiedy zerknął na Chestera, przekonał się, że on również zapomniał na moment o wszelkich zmartwieniach. Cała ta sytuacja wydawała się tak cudownie swojska i normalna, zupełnie jakby chłopcy wpadli w odwiedziny do cioci – wrażenie to pogłębiał jeszcze smak herbaty z cukrem, pomimo że brakowało w niej mleka.

– Skąd pochodzą wszystkie rzeczy wiszące na ścianach? odważył się zapytać Will. – Naprawdę były na statku?

Marta potaknęła.

– Większość była tu już wcześniej, ale Nathaniel przyniósł też trochę z galeonu leżącego w jednej z Siedmiu Sióstr.

– Galeon! Tak właśnie myślałem – ucieszył się Will. – A wiesz może, jak on tu w ogóle trafił?

Kobieta pokręciła głową, nie patrząc na żadnego z chłopców. Odchrząknęła tak głośno, że Chester aż wyprostował się na swoim krześle, po czym ponownie wysiąkała nos w rękaw.

– Możesz nas do niego zabrać? – spytał Will, który jak zwykle chciał się jak najwięcej dowiedzieć o skarbach i tajemnicach ukrytych pod ziemią.

– Nathaniel znalazł też inne okręty. Czasami nie było go przez kilka tygodni, potem wracał z masą różnych rzeczy i pracował tu nad nimi. Ten chłopak miał naprawdę złote ręce.

Wszystkie materiały, z których zbudował barykadę, pochodzą z metalowego statku.

Will zmarszczył brwi i spojrzał wymownie na Chestera, wymawiając bezgłośnie: „metalowy statek?”. Jednak w tej chwili nie zamierzał drążyć dalej tego tematu – bardziej interesowała go inna sprawa.

– A Nathaniel... – zagadnął niepewnie. – Gdzie jest teraz?

Marta podniosła się z krzesła, stękając przy tym ciężko.



Podreptała do lampki, zdjęła ją z haczyka, a potem pokazała chłopcom, by poszli nią.

Przystanęła na ganku, by spojrzeć na kwiaty, odchyliła głowę do tyłu i wciągnęła powietrze w nozdrza. Will także pociągnął nosem, by przez chwilę rozkoszować się całym bukietem słodkich kwiatnych zapachów.

– Cudowne – stwierdziła kobieta, po czym sprowadziła gości na krętą ścieżkę, wiodącą w górę zbocza, ku tylnej ścianie jaskini.

Kiedy po drodze mijali grządkę kwiatów przypominających łąbiny, które pulsowały delikatnym blaskiem, przechodzącym od jaskrawej czerwieni do stonowanej żółci, gospodyni powiedziała: – Nie zbliżajcie się do plujących czapek. Mogą was nieźle urządzić.

Chłopcy nie wiedzieli, czy mówi poważnie, mimo to nie zamierzali ryzykować i przesunęli się na drugą stronę ścieżki. Nagle obok nich pojawił się Bartleby, który najwyraźniej nie chciał stracić okazji do przechadzki.

Kilka sekund później stanęli przed rzeźbionym, drewnianym aniołem. Posąg był wzrostu dorosłego mężczyzny, miał spokojną, łagodną twarz i długie, rozpuszczone włosy, które opadały na ramiona i łabędzie skrzydła wyrastające z pleców.

– Nathaniel – wyszeptała Marta. – Tutaj go położyłam. – Opuściła zamglone oczy na stos kamieni starannie ułożonych u stóp anioła.

– Więc... on... on... nie żyje – stwierdził Will głucho.

– Tak, umarł dwa lata temu – odparła kobieta chropawym głosem, wciąż wpatrzona w ziemię.

Tymczasem Bartleby podszedł do anioła, obwąchał go, a potem zaczął podnosić tylną łapę.

Przyjaciele obserwowali jego poczynania, obaj zawstydzeni tym, co najwyraźniej zamierzał zrobić. Kot zauważył, że chłopcy patrzą na niego, i się zawahał. Potem parsknął i podniósł nogę wyżej, a Will

zrozumiał, że musi coś zrobić, by zapobiec katastrofie.

– Bart! Nie! – syknął, rozpaczliwie pokazując kocurowi, że powinien odejść.

Bartleby zrozumiał. Spoglądając gniewnie na swego pana, opuścił nogę i pomknął na tyły domu.

Marta nadal milczała, więc Will uznał, że powinien jakoś wypełnić przedłużającą się ciszę, i zapytał: – To ty wyrzeźbiłaś dla niego anioła?

– Nie, pochodzi ze statku, z dziobu, ale zmieniłam jego twarz na... twarz mojego synka – odparła w roztargnieniu, drapiąc się po głowie. – Wybrałam to miejsce, bo Nathaniel lubił tutaj przesiadywać. To było jego miejsce. A przy murze, tam... – przechyliła lampę, by oświetlić ziemię za aniołem – ... są inne groby. Nathaniel twierdził, że tutaj pogrzebani są ludzie, którzy zbudowali dom.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną, jakby powiedziała już wszystko, co było trzeba. Nagle zatrzymała się w pół kroku i znieruchomiła.

– Jest coś, o czym powinniście wiedzieć. Podczas jednej z tych swoich wypraw Nathaniel wpadł do rozpadliny. Złamał sobie kilka żeber. Zbiegła się cała gromada pajaków.

One wyczuwają, kiedy ktoś jest ranny albo osłabiony. Zaatakowały go całą chmarą. – Spojrzała na Willa, a potem na Chestera. – Nathaniel zabrał ze sobą za mało anyżkowego ognia, ale i tak udało mu się uciec i wrócić do domu. – Umilkła na moment. – Potrafię leczyć choroby i opatrywać rany. W Głębi trzeba się szybko uczyć. – Zmarszczyła brwi. – Żebra Nathaniela się zrastały, wracał szybko do zdrowia, kiedy... kiedy nagle dopadła go gorączka.

Paskudna. Robiłam wszystko, co mogłam. – Wydała z siebie drżące westchnienie i wytarła w spódnicę palce oblepione brudem. – I tak to się skończyło. Miał dziewiętnaście lat. Był moim jedynym dzieckiem.

Po prostu odszedł.

– Przykro mi – wymamrotał Chester.

Marta zacisnęła mocno usta, jakby próbowała powstrzymać płacz. Milczenie się przeciągało. Will chciał jakoś pocieszyć kobietę, lecz nie miał pojęcia, co właściwie powinien powiedzieć. W końcu to ona odezwała się ponownie, już spokojniejszym głosem: – Nathaniel był starszy od waszej przyjaciółki i silny jak tur, ale w tutejszym powietrzu jest coś paskudnego. Ono jak pająki czeka, aż coś ci się stanie, a potem wchodzi w ciebie.

Dopadło go. Mam tylko nadzieję, że to samo nie przydarzy się dziewczynie.

– Chwileczkę, wyjaśnijmy to sobie raz, a dobrze: zawsze byłaś Styksem – powiedział doktor Burrows, siedząc naprzeciwko Rebeki.

– Urodziłam się jako Styks. Styksem nie staje się ot tak sobie, dla psyjemności – odparła, tracąc powoli cierpliwość.

– Znów seplenisz. Coś się...? – zaczął pytać doktor.

– Złamałam sobie kilka zębów, kiedy opadałam w Czeluści – przerwała mu, wymawiając starannie każde słowo. – A skoczyłam do niej, bo chciałam ci pomóc.

Mężczyzna pomilczał przez chwilę, przyglądając się jej sceptycznie, po czym odezwał się ponownie: – Więc ty jesteś Styksem, a Will jest Kolonistą... – Zdjął okulary i zaczął masować grzbiet nosa. – Ale ty... on... ty jesteś... on był... – zaciął się całkiem, nie panując nad natłokiem myśli i przypuszczeń. Ochłonął dopiero w chwili, gdy włożył z powrotem okulary, jakby ta prosta czynność pomogła mu się wreszcie skupić. – Więc jak to się stało, że adoptowaliśmy was oboje?

– Czysty przypadek. Zaadoptowaliście Willa, a Styksowie uznali, że ja także powinnam się u was znaleźć, żeby mieć go na oku – odparła Rebeka, uśmiechając się lekko. – Uwazas, że jest w tym coś słego?

– Cóż, prawdę mówiąc, t a k... Uważam, że ktoś powinien nas o

tym poinformować – naburmuszył się doktor.

Dziewczyna roześmiała się drwiąco.

– Ale wy nie powiedzieliście mnie ani Willowi, że jesteśmy adoptowani – odparowała. – Nie sądzisz, że mieliśmy prawo znać prawdę?

– To coś zupełnie innego. Wygląda na to, że i tak o tym doskonale wiedziałaś, zresztą zamierzaliśmy wyjaśnić to wam w odpowiednim czasie. – Burrows zmarszczył brwi i spojrzał na złamany paznokieć, starając się przetrwać to, czego się właśnie dowiedział.

Rebeka wyjawiała mu tę część prawdy, którą uznała za stosowną. Nie zamierzała mówić mu jednak o kilku istotnych sprawach, a już na pewno nie o tym, że ma siostrę bliźniaczkę.

– To wszystko wydaje się jakieś dziwne – stwierdził po chwili doktor, zerkając przez krzywe okulary na milczącego Granicznika, który przez cały czas stał za dziewczyną.

– Postępowaliśmy zgodnie z procedurą adopcyjną, więc nie mam pojęcia, jak do nas trafiłaś.

– Mówisz o tym, jak o kupnie używanego samochodu.

– Nie bądź niemądra, Rebeko. To wcale tak nie wyglądało – odparł z irytacją mężczyzna. – Po prostu nie rozumiem, jak do tego doszło.

– A mnie, prawdę mówiąc, wcale to nie obchodzi – stwierdziła Rebeka, nieco już znudzona tą rozmową. – Mieliśmy przyjaciół w ośrodku adopcyjnym. Mamy ich wszędzie.

– Ale czuję się tak, jakbyśmy zostali oszukani... Jakby ktoś paskudnie wykorzystał twoją matkę oraz mnie – wyjaśniał Burrows. – I wcale mi się to nie podoba – dodał kategorycznym tonem.

– I pewnie nie podobają ci się też moi rodacy? – spytała dziewczyna.

– Twoi... rodacy...? – powtórzył niepewnie ojciec, dosłyszawszy nutę irytacji w jej głosie.

– Tak, moi rodacy. Nie traktowali cię źle w Kolonii, prawda? Chcesz powiedzieć, że nie pochwalasz ich metod? – pytała Rebeka z coraz większą agresją.

Granicznik za jej plecami poruszył się niespokojnie, jakby przygotowywał się do działania.

Doktor Burrows podniósł ręce w pokojowym geście.

– Nie, nie, wcale nie miałem tego na myśli. Nie zamierzam nikogo osądzać. Moim zadaniem jest tylko obserwacja i notowanie; nie angażuję się w to, co opisuję.

Dziewczyna ziewnęła przeciągle, po czym wstała z ziemi i otrzepała ubranie.

– Więc jesteś moim przybranym ojcem i mówisz, że się nie angażujesz? Jak mam to rozumieć? – Wydawało się, że jej nastrój nagle całkowicie się zmienił, jakby niedawny wybuch gniewu był tylko złudzeniem.

Mężczyzna wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, kompletnie zdezorientowany. Relacje rodzinne zawsze były dla niego dość trudną materią, teraz jednak okazało się, że ta rezolutna osoba – którą do niedawna uważał za swoją małą córeczkę – jest kimś onieśmiałającym. Choć nie chciał przyznać tego nawet przed samym sobą, czuł się zastraszony przez Rebeke, zwłaszcza że nieustannie spoglądały na niego martwe oczy żołnierza Styksów, oczy zabójcy.

– No dobrze, tato – odezwała się dziewczyna, wymawiając słowo tata tak, jakby chciała podkreślić, że nie przywiązuje do tej nazwy żadnej wagi. – Skoro już cię nakarmiłam, jak za starych dobrych czasów, i skoro już trochę doszedłeś do siebie, powiedz mi coś o tym – zażądała, wyjmując z kurtki małe kamienne tabliczki.

Doktor Burrows natychmiast dotknął kieszeni spodni i przekonał się, że jest pusta.

– Wyglądają jak mapa, a tego nam właśnie potrzeba mówiła dalej

Rebeka. – Pomożesz nam wydostać się z tego miejsca, a my pomożemy ci to zrobić.

– Och, to świetnie – odparł chłodno mężczyzna, biorąc od niej tabliczki.

# Rozdział ósmy



– Cześć, Jean – wydyszała pani Burrows, odbierając telefon od siostry. Wyraźnie podenerwowana, maszerowała szybkim krokiem wzdłuż High Street w Highfield. – Czy jestem zdyszana? Tak, byłam właśnie na siłowni – powiedziała, poprawiając pasek torby, który ześlizgiwał jej się z ramienia. Odsunęła komórkę od ucha, gdy głośnik eksplodował śmiechem Jean na tyle głośnym, że usłyszał go mężczyzna idący w przeciwnym kierunku. – Tak, nawet nie wiesz, jak dobrze się po tym czuję. Zarezerwowałam sobie już cały miesiąc treningów z osobistym trenerem. Ty też powinnaś spróbować.

To oświadczenie wywołało kolejną salwę śmiechu, która wystraszyła siedzącego nieopodal gołębia.

Gdyby Will zobaczył w tej chwili swą matkę, byłby zdumiony zmianą, jaka zaszła w jej postawie. Poruszała się z lekkością, o jaką nigdy by jej nie podejrzewał. Wydawała się o co najmniej kilka lat młodsza. Słuchając jednym uchem paplaniny Jean, pani»Burrows spojrzała na zegarek.

– Ciągle nie mam żadnych wieści od policji, a teraz naprawdę nie mogę rozmawiać. Czekam na przesyłkę, powinnam być już w domu – powiedziała, kończąc rozmowę, nim siostra zdążyła odpowiedzieć.

Kiedy wyszła zza rogu, zobaczyła, że ciężarówka firmy przewozowej stoi pod jej domem.

– O Boże, przepraszam za spóźnienie! Coś mnie zatrzymało! – zawołała, podbiegając do mężczyzny w niebieskich spodniach, który

już miał wsiadać do samochodu.

Otworzyła drzwi mieszkania, a dostawca wniósł kilkanaście kartonowych pudeł. Pani Burrows, nie zwlekając, przecięła taśmę na jednym z nich i zajrzała do środka.

– Wprowadza się pani? – spytał mężczyzna, stawiając kolejną paczkę na szczycie sterty.

– Tak, oddałam to wszystko do magazynu, a sama szukałam sobie jakiegoś kąta – odparła kobieta w roztargnieniu, wyjmując kilka spośród starych kaset wideo i wrzucając je od razu do worka na śmieci. – Czas na porządki. Generalne porządki.

Kiedy dostawca się pożegnał i znikł za drzwiami, pani Burrows zabrała się do pracy i przez całe popołudnie przeglądała zawartość pudeł. Było ich tak wiele, że z trudem znajdowała sobie między nimi miejsce, w końcu jednak dotarła do sterty opatrzonej napisem „Sypialnia 3”.

– Rzeczy Willa – mruknęła do siebie, otwierając pierwszą z paczek.

Odwinęła biały papier, w który zapakowała ważne i cenne eksponaty z pokoju syna – z póltek, które nazywał swoim muzeum. Było tam tyle wiktoriańskich talerzyków, pękniętych glinianych fajek i buteleczek po perfumach, że kobieta wprost nie mogła ich utrzymać i musiała znaleźć dla nich miejsce na podłodze.

Potem przeszła do pudła z książkami i posapując z wysiłku, przeciągnęła je do stolika przy oknie. Najpierw przeglądała każdą książkę z osobna, trzymając ją za grzbiet i potrząsając energicznie, by sprawdzić, czy coś nie kryje się między kartkami. W końcu jednak, znużona bezskutecznymi poszukiwaniami, zaczęła po prostu przekładać książki z pudła na stół, nie zaglądając do środka. Niemal na samym dnie leżał tom w obwolucie z napisem „Geologiczny przewodnik po Wyspach Brytyjskich”. Sądząc po staromodnym wzornictwie, książka wydana została w latach sześćdziesiątych lub



siedemdziesiątych. Pani Burrows nie zwróciła na nią szczególnej uwagi. Kiedy jednak spojrzała na kolejny wolumin, zmarszczyła brwi. Tom ten nie miał obwoluty, lecz nieco już wytarty, złożony tytuł na płóciennej okładce brzmiał tak samo: „Geologiczny przewodnik po Wyspach Brytyjskich”.

– Hm... dwie takie same książki? – mruknęła do siebie Celia Burrows i ponownie sięgnęła po tom w obwolutie. Otworzyła go. Strony nie były zadrukowane, lecz zapelnione odręcznym pismem.

– Witaj – powiedziała, natychmiast rozpoznawszy charakter pisma.

Autorem tych zapisków bez wątpienia był jej mąż. Doktor Burrows. Szybko zdjęła papierową obwolutę, by zobaczyć, co jest pod spodem. Był to notatnik w marmurkowej, brązowej okładce, na której znajdowała się nalepka z ozdobnym napisem „Ex libris” i wizerunkiem sowy w okrągłych okularach. Na tej samej naklejce ktoś nabazgrał słowo „Dziennik”. Pani Burrows ponownie rozpoznała niestaranne pismo swojego męża.

– Więc to jest to. W końcu się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi – oświadczyła, wodząc wzrokiem po książkach porozkładanych po całym pokoju.

Nie odeszła od stołu, dopóki nie przeczytała dziennika od deski do deski. Z przejściem odwracała kolejne strony, na których widniały odciski ubłoconych palców.

– Will – uśmiechnęła się cęjile, wiedziała bowiem dobrze, kto zostawił te ślady.

W miarę jak zagłębiała się w lekturze, ogarniało ją coraz większe podekscytowanie. W końcu dotarła do informacji, które poznali Will i Chester tuż przed tym, jak obaj zaginęli. Choć nie wiedziała nic o tunelw, który chłopcy odkopali pod jej byłym domem przy Broadlands Avenue, ani nie miała pojęcia, czy rzeczywiście ich zniknięcie ma coś wspólnego z odkryciami jej męża, czuła, że

wreszcie robi jakieś postępy. Z wypiekami na twarzy czytała uwagi doktora o dziwnych ludziach, których spotykał w Highfield, o świetlnej kuli znalezionej w domu pani Tantrumi, a także o miejscowym biznesmenie z osiemnastego wieku, niejakim sir Gabrieli Martineau. Kiedy dotarła do opisu budynków, które ów człowiek wznosił w starej części Highfield, łącznie z rynkiem noszącym jego nazwisko, przerwała czytanie i wpatrywała się przez chwilę w widok za oknem, po czym ponownie zanurzyła się w lekturze. W końcu doszła do ostatnich zapisków i zwróciła uwagę na datę umieszczoną obok.

– To był ten wieczór... to było wtedy, gdy znikł Roger – powiedziała z napięciem.

Jej spojrzenie padło na stwierdzenie: „Muszę tam pójść”. Przeczytawszy ostatnie zdania w dzienniku, jeszcze raz wróciła do tych słów.

– Co on chciał przez to powiedzieć? Dokąd musiał pójść?

Przejrzała puste strony na końcu zeszytu, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczyła. Na wewnętrznej stronie tylnej okładki znalazła wypisane ołówkiem nazwisko i numer telefonu. „Pan Ashmi – archiwum miejskie” – przeczytała.

Chłopcy spędzili noc w głównym pokoju – Will na stercie dywanów, które Marta rozłożyła na podłodze, przy skrzyni z mapami, jego przyjaciel zaś na meblu, który kobieta nazywała „szezlongiem”. Chester ucieszył się ogromnie, gdy gospodyni poinformowała go o tym, przekonany, że prześpi się na czymś, co przypomina prawdziwe łóżko. Niestety, czekało go gorzkie rozczarowanie. Kiedy Marta posprzątała bałagan na szezlongu, okazało się, że jest on dla chłopca za krótki – jego stopy wystawały za krawędź mebla – a przy tym twardy jak skała. Mimo to kojący trzask ognia i ogromne zmęczenie sprawiły, że obaj koledzy zasnęli w ciągu kilku sekund.

Ze snu wyrwał ich brzęk czajnika, którym Marta uderzała o palenisko.

– Dobry wieczór! – zawołała radośnie, kiedy podnieśli obolałe ciała i przyszli do stołu. – Herbata – powiedziała, wręczając chłopcom filiżanki. Potem położyła na stole deskę do krojenia, na której leżały pęczek szarych łądyg oraz białe korzenie różnych rozmiarów i kształtów. – Może małe śniadanko? Na pewno obaj umieracie z głodu – stwierdziła, zabierając się do siekania zieleniny.

Chester ledwie spojrzał na nieapetyczną stertę warzyw i jęknął słabo: – Ee... nie, dziękuję, Marto. Trochę mi niedobrze.

– Mnie też – dodał Will.

Gospodyni zmarszczyła brwi.

– Może dlatego, że jesteście tu od niedawna – zasugerowała. – Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. – Nagle nóż wyslizgnął jej się z dłoni i poleciał w górę, wykonując w powietrzu kilka obrotów. – A niech to...! – mruknęła, pochwyciła narzędzie i skończyła siekanie. – Pamiętam, że Nathaniel i ja przechodziliśmy przez to samo.

– Słaba grawitacja – pokiwał głową Will, który uważnie obserwował to, co się działo z nożem. – Tak, masz rację. Właśnie dlatego czujemy się tak fatalnie. Musimy po prostu przywyknąć.

– Cóż, zjecie śniadanie, czy wam się to podoba czy nie. Musicie nabrać sił – oświadczyła kobieta, po czym podeszła do piecyka i zsunęła warzywa do garnka z wrzącą wodą. – Talerz zupy to właśnie to, Czego wam teraz potrzeba – dodała z mocą.

– A co z Elliott? – spytał nagle Will. – Jak ona się czuje?

– Już wy się o to nie martwcie – odparła. – Zaglądałam do niej w nocy, ale na razie ciągle jest nieprzytomna.

– Czy możesz zrobić coś z jej ręką? – odważył się zapytać Chester.

– To pierwsza rzecz, jaką zamierzam się dziś zająć – odpowiedziała gospodyni, dłubiąc palcem w zębie trzonowym. Przyjrząwszy się

czemuś, co stamtąd wygrzebała, wsadziła to z powrotem do ust i przeżuła z wyrazem zamyślenia na twarzy.

Chester, który przyglądał się temu ukradkiem, z niesmakiem odsunął od siebie filiżankę z herbatą. Jeśli chwilę przedtem wydawał się blady, to teraz zrobił się całkiem zielony.

Przełknął głośno ślinę.

– Nie, ja naprawdę nie chcę żadnej zupy, Marto.

– A jednak powinienes zjeść choć trochę – poradził mu przyjaciel. – Od wieków nie jedliśmy przyzwoitego posiłku. Dzięki temu może wszystko zacznie funkcjonować jak należy – wyjaśnił, zerkając na swój brzuch.

– Tego akurat nie musiałeś mówić – burknął Chester.

Godzinę później wszyscy weszli do pokoju Elliott. Will i Chester przystanęli przy drzwiach, podczas gdy Marta dokładnie zbadała chorą dziewczynę.

– Dlaczego ciągle jest nieprzytomna? – spytał Chester.

Gospodyni przesunęła dłonią po głowie Elliott, a potem kciukiem uniosła jej powiekę, by przyjrzeć się źrenicy.

– Doznała wstrząśnienia mózgu. Bardzo mocno uderzyła się w głowę. Zresztą i tak lepiej, żeby była nieprzytomna, kiedy będę nastawiać jej rękę. Pomóżcie mi, dobrze?

Przyjaciele podeszli do niej, zerkając po sobie niepewnie. Obok ręki Elliott kobieta ułożyła łubki gotowe do użycia.

– Weź to – zwróciła się do Chestera, podając mu z fartucha kilka rolek bandaża. – Will, ty przejdź na drugą stronę łóżka. Chwyć ją za ramiona i mocno przytrzymaj.

Chłopiec wykonał to polecenie. Wtedy Marta ujęła rękę dziewczyny w nadgarstku i pociągnęła za nią kilkakrotnie. Usłyszeli zgrzyt kości ocierających się jedna o drugą.

– Och... – jęknął Chester. – To okropne...

Za plecami Willa rozległ się głuchy odgłos.

– Co to było? – spytał chłopiec, który wciąż mocno trzymał Elliott za ramiona.

– Twój przyjaciel właśnie zemdłał. Zostaw go na razie; teraz musisz trzymać dziewczynę – poleciła mu Marta. – Trzeba zrobić z tym porządek.

Ponownie pociągnęła za rękę chorej, napinając ją i obracając delikatnie w różne strony.

Pracowała bez ustanku przez dłuższy czas, mamrocząc coś pod nosem i ocierając raz po raz czoło zroszone potem.

– Wygląda o wiele lepiej – stwierdził Will.

Kobieta skinęła głową.

– Przez tę opuchliznę trudno cokolwiek wyczuć, ale wydaje mi się, że wszystkie kości są już na swoim miejscu powiedziała.

Jeszcze przez kilka chwil badała spuchniętą rękę, po czym ponownie skinęła głową, wyraźnie usatysfakcjonowana. Ostrożnie przyłożyła do ręki łubki i obwiązała je ciasno kilkoma rolkami bandaża. Wreszcie wstała i westchnęła. Will także podniósł się z łóżka. Gdy się odwrócił, ujrzał Chestera leżącego bezwładnie na podłodze.

– Lepiej wynieśmy go do drugiego pokoju – zachichotała Marta.

– „Głos Highfield”, dziewiętnasty czerwca 1895 roku przeczytała głośno pani Burrows, pochylając się nad starą gazetą, rozłożoną na stole. – Panie Ashmi, czego właściwie mam tu szukać?! – zawołała.

Znajdowała się w archiwum miejskim Highfield, gdzie przechowywano dokumenty pochodzące nawet z dziesiątego wieku. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, raz jeszcze przejrzała gazetę i zatrzymała wzrok na wyblakłym tytule umieszczonym gdzieś w połowie strony.

– „Duchy Ziemi”. To rozumiem, taki tytuł od razu przyciąga

uwagę!

– Bez wątpienia. Ten właśnie artykuł powinna pani przeczytać – doszła ją wtedy przytłumiona odpowiedź z drugiego krańca piwnicy, zza szeregów wysokich regałów, na których leżały olbrzymie ilości plików dokumentów i kartonowych pudeł.

Pan Ashmi, gminny archiwista, przestał grzebać w jednym z owych pudeł i wychylił się zza regału, by spojrzeć na kobietę. W jego okrągłych okularach o rogowej oprawce odbijał się żółty blask lampy zawieszanej pod sufitem.

– To jeden z typowych incydentów – powiedział.

– W porządku – zgodziła się pani Burrows. – Ale mam nadzieję, że kiedy już skończę, powie mi pan, dlaczego powinnam to przejrzeć. – Ponownie przeniosła spojrzenie na gazetę i zaczęła głośno czytać: – „Prace przy drążeniu nowego tunelu pod stację Highfield & Crossly zostały przerwane po incydencie, który miał miejsce we wczesnych godzinach rannych w ostatni wtorek. Bracia Harrisowie z Kanady, znani specjaliści od drążenia tuneli, wspomagani przez zespół czterech robotników, umieścili ładunki wybuchowe w złożu piaskowca.

Robotnicy wycofali się z zagrożonego terenu i nadali sygnał ostrzegawczy”.

– Następny fragment przechodzi do sedna – mruknął pan Ashmi, po czym podniósł pudło z dokumentami i umieścił je na środkowym regale, by potem przejść do innej części archiwum.

Pani Burrows odchrząknęła i kontynuowała czytanie: – „Kiedy już zdetonowano liczne ładunki wybuchowe, bracia Harrisowie oraz robotnicy, którym towarzyszył także Wallace, geodeta z firmy Northern & Counties Railways, weszli ponownie na teren wykopów. Gdy czekali, aż opadnie kurz, żeby zobaczyć, jak wygląda przodek, usłyszeli jakieś dziwne zgrzyty dochodzące spod ich stóp. Przekonani,

że to odgłosy towarzyszące osiadaniu gruntu, wycofali się pośpiesznie z tunelu. Jednak zgrzytliwe dźwięki przybrały jeszcze na sile, a spod ziemi wyplął nagle silny blask. Wszyscy świadkowie tej sceny twierdzą, że w podłożu skalnym otworzyły się szerokie włazy, z których wymaszerowała armia upiornych postaci”. – Przerwała na moment. – To miał być jakiś żart? – spytała.

– „The Times” potraktował to na tyle poważnie, że następnego dnia przedrukował cały artykuł – odparł pan Ashmi zza regału. – Proszę kontynuować.

– Skoro pan tak mówi... – Kobieta wzruszyła ramionami i pochyliła się nad gazetą. – „Pan Wallace twierdzi, że owe postacie ubrane były w ciemne, barchanowe lub gabardynowe płaszcze i że ich szyje okrywały białe kołnierze. W dłoniach trzymały kule emanujące zielonym światłem. Kiedy te złowrogie zjawy ruszyły w ich stronę, pan Wallace oraz jego robotnicy rzucili się do ucieczki, zdjęci strachem. Bracia Harrisowie wykazali się większą odwagą i pozostali na miejscu. Thomas Harris uzbroił się w żelazny stempel długości dziesięciu stóp, podczas gdy jego młodszy brat Joshua sięgnął po kilof”.

– Jak pani myśli, co się stało z braćmi? – spytał archiwista. Jego głos brzmiał teraz wyraźniej, jakby stał blisko.

– Nigdy więcej ich nie widziano? – odparła pani Burrows, zerkając na najbliższy regał.

– Bingo! – pogratulował jej mężczyzna.

Kobieta porzuciła próby zlokalizowania nieuchwytnego rozmówcy i powróciła do artykułu.

– „Policjanci wezwani na miejsce budowy zeszli z panem Wallacem do tunelu.

Stwierdzili naocznie, że sufit nad przodkiem się zapadł, a zarówno bracia Harrisowie, jak i widmowe postacie znikli bez śladu. Pomimo

długich poszukiwań nie odnaleziono ciał braci”.

– Nigdy ich nie znaleziono – wtrącił pan Ashmi. – Dziwne, nie uważa pani?

– Tak, bardzo dziwne.

– No dobrze, a teraz proszę spojrzeć na to. To także artykuł z „Głosu Highfield”, napisany po nalocie niemieckiej Luftwaffe latem 1943 roku. – Archiwista przeszedł obok stołu, rzucając na blat kolejną starą gazetę.

– Dlaczego? – spytała pani Burrows, zwracając się do pleców rozmówcy.

– Proszę spojrzeć na ostatnie akapity – odparł, machając niedbale ręką.

Kobieta westchnęła.

– „Raport z wczorajszego nalotu” – przeczytała tytuł, po czym pobieżnie przejrzała główną część artykułu. – „Bomby zapalające spadły na Vincent Square... zniszczony dach kościoła Św. Józefa...”, o, chyba już mam: „W południe na Lyon Corner House spadła mina lądowa, która zabiła dziesięć osób; ta sama eksplozja zniszczyła sklep z kapeluszami, w którym zginęło troje ludzi, oraz dom numer 46. Mieszkańcy wspomnianego domu, państwo Smithowie wraz z dwójką dzieci w wieku lat czterech i siedmiu, również zginęli. Kiedy jednak spod gruzów wydobywano ciała członków rodziny Smithów, odkryto także zwłoki pięciu niezidentyfikowanych mężczyzn. Podczas nalotu przebywali oni zapewne w piwnicy.

Łączyło ich uderzające podobieństwo: wszyscy byli krępi i mieli blade twarze. Wszyscy też nosili cywilne ubrania o nietypowym i niespotykanym w Wielkiej Brytanii kroju, co natychmiast wzbudziło podejrzenia, że byli to nazistowscy szpiedzy. Sprawą od razu zajęła się Żandarmeria Wojskowa, która miała przetransportować ciała pięciu mężczyzn do kostnicy św. Pankracego i tam poddać je dalszym



badaniom; jednak zwłoki zaginęły gdzieś po drodze. Służąca rodziny Smithów, Daisy Heir, szczęśliwie uszła z życiem, ponieważ podczas nalotu odbierała tygodniowe racje mięsa w sklepie przy Disraeli Street. Podczas przesłuchania zeznała, że w domu nie przebywali żadni goście i że nie ma pojęcia, kim byli tajemniczy mężczyźni i skąd się wzięli. Sugerowała, że to szabrownicy, którzy zakradli się niepostrzeżenie do domu i ukryli w piwnicy”.

Pani Burrows podniosła wzrok znad gazety i zobaczyła, że pan Ashmi stoi obok.

– To wszystko niesamowite historie – stwierdziła. – Ale czy może mi pan w końcu powiedzieć, dlaczego mój mąż zapisał pański adres i telefon w swoim dzienniku?

– Właśnie ze względu na te relacje – odparł archiwista, siadając na krześle po drugiej stronie stołu. – Od początku dziewiętnastego wieku pojawiają się doniesienia o tych dziwnych, przysadzistych mężczyznach, a także o wyższych „zjawach” w czarnych płaszczach i białych kołnierzykach. Nie są to odosobnione przypadki: powtarzają się z zadziwiającą regularnością po dziś dzień.

– I...? – drążyła dalej kobieta.

Pan Ashmi podsunął jej kartki wypełnione pismem maszynowym.

– Przez kilka miesięcy przed zaginięciem pani mąż badał ze mną te przypadki.

Przysporzyło mu to sporo pracy, ale w końcu sporządził tę listę.

Pani Burrows przerzuciła zadrukowane kartki; musiała przyznać, że sama liczba raportów i doniesień była zdumiewająco duża.

– Dziwna sprawa... – zaczął mężczyzna, pochylając się, jakby się obawiał, że ktoś może ich podsłuchać.

– Co takiego? – spytała kobieta, także pochylając się nad stołem, choć nie miała całkowitej pewności, czy rozmawia z człowiekiem w pełni władz umysłowych.

– Jedną z kopii tej listy trzymałem u siebie w biurze, pod kluczem.  
– Archiwista przesunął dłonią w powietrzu, jakby wykonywał jakąś magiczną sztuczkę. – Ale znikła. – Nachylił się jeszcze niżej i dodał ściszym głosem: – Znikła też spora część artykułów wymienionych w tym spisie. Gdyby nie to, że używam dość specyficznego systemu archiwizacji, znanego tylko mnie, zginęłoby ich prawdopodobnie znacznie więcej.

– Och... – odparła cicho pani Burrows, ponieważ nie wiedziała, co innego może powiedzieć w takiej sytuacji. Gdy ponownie spojrzała na listę, zauważyła, że przy niektórych punktach widnieją odręczne notatki sporządzone nieznanym jej charakterem pisma. – Pan to dopisał? – spytała, wskazując na zapiski.

– Nie, to Ben Wilbrahams, ten Amerykanin. On również bada te przypadki; chce nakręcić film, czy coś takiego. Powinna pani z nim porozmawiać; zawsze jest na piętrze. – Pan Ashmi wskazał palcem w górę, na parter, gdzie mieściły się miejscowa biblioteka i czytelnia.

– Tak, oczywiście, rozmawiam z nim – odpowiedziała, choć nie miała najmniejszego zamiaru tego robić.

Pani Burrows z ulgą opuściła zakurzone archiwum, ściskając w ręku kopie artykułów, które wetknął jej pan Ashmi. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak jej mąż ślęczy w tym miejscu godzinami, z zapartym tchem przeglądając artykuły ze starych gazet. Obraz ten przywoływał zbyt wiele wspomnień z dawnych dni, gdy jej życie wypełnione było melancholią i apatią.

Wydawało jej się wtedy, że Roger pragnie jedynie zaszyć się w jakimś wyimaginowanym, sztucznym świecie, gdzie mógłby udawać przed samym sobą, że jest poważnym naukowcem i robi coś istotnego. Wspinając się po schodach na parter, aż zazgrzytała zębami z frustracji; wiedziała, że jej męża stać było na znacznie więcej niż posada kustosza miejscowego muzeum, tyle że nie chciało mu się

wziąć w garść i poszukać jakiejś ciekawszej i – co dla niej szczególnie ważne – lepiej płatnej pracy.

Złożyła kopie artykułów i wsunęła je do torby. Chociaż archiwista wyraźnie starał się ją przekonać, że w Highfield dzieje się coś dziwnego, cała ta historia wydawała się pani Burrows zbyt fantastyczna, by mogła w nią uwierzyć. Zastanawiała się, czy jej mąż dał się ponieść zaraźliwemu entuzjazmowi pana Ashmi i czy to właśnie za jego sprawą zaczął wypisywać te przedziwne spostrzeżenia, które znalazła w jego dzienniku.

Aby wyjść z budynku, musiała przejść przez bibliotekę i tam właśnie dostrzegła człowieka, o którym, jak jej się wydawało, mówił archiwista. Chociaż miał starannie przystrzyżoną brodę, jego czarne, długie włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wstał z łóżka i nie zdążył ich nawet przyczesać. Mężczyzna siedział sam, w otoczeniu kilku otwartych książek rozłożonych na blacie biurka, i obracał w palcach ołówek. Podniósł oczy, spojrzał na panią Burrows zza okularów w drucianych oprawkach i uśmiechnął się do niej szeroko. Zrozumiawszy, że została przyłapana na podglądaniu, kobieta natychmiast odwróciła wzrok i pośpiesznie ruszyła do drzwi.

# Rozdział dziewiąty



– Poddaj się, szubrawcze! Już! – zawołał Will do Chestera w chwili, gdy ten wyszedł na ganek.

Will kroczył w jego stronę po ścieżce, jedną rękę trzymając na biodrze, drugą zaś wymachując kordem.

Przyjaciel uśmiechnął się najpierw szeroko, a następnie zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, co to właściwie znaczy.

– Co c o właściwie znaczy?

– „Szubrawcze”. Czy to ma coś wspólnego z szubienicą?

– Nie wiem, ale to na pewno jakieś okropne wyzwisko. Więc lepiej broń swojego honoru, ty tchórzliwa flądro!

Will nagle przestał wymachiwać mieczykiem i przyjrzał mu się badawczo.

– Biorąc pod uwagę, że ma już pewnie kilkaset lat, jest w idealnym stanie. Widać nawet maleńki grawerunek, krzyż i gałązkę, a obok jakieś słowa po łacinie – powiedział, spoglądając na półkolisty kawałek metalu, który ciągnął się od gardy do głowicy i stanowił dodatkową ochronę dłoni walczącego. Potem spróbował odczytać napis, jednak zacinał się przy każdym słowie. – „Soli Deo Gloria” – wydukał w końcu, po czym spojrział na kolegę i wzruszył ramionami.

– A może Solidarna Gloria...? – zasugerował Chester w roztargnieniu, pochłonięty oglądaniem całej kolekcji broni, którą przyjaciel rozłożył na ganku. – Skoro chcesz pojedynku... – zaczął, po

czym podniósł sztylet o długim ostrzu i wypróbował go, dźgając kilkakrotnie powietrze. – Nie, to mi nie pasuje mruknął, a jego wzrok padł na największy okaz w zebranych zbiorze: metalowy drążek o długości niemal dwóch metrów, zakończony ostrym szpikulcem i głowicą topora. – O, to już prędzej – stwierdził. – A co to właściwie jest?

– Halabarda – wyjaśnił kolega.

– Haliburda – roześmiał się Chester, ważąc broń w dłoni. – Uwaga, strzeż się! – wrzasnął, zbiegając ze schodów i zatrzymując się tuż przed Willem. – Wybiła twoja godzina, Białobrody!

Ogród wypełnił się szczękiem oręża, gdy Will wykonał kordem kilka pchnięć, które jego towarzysz zablokował halabardą. Potem Chester przeszedł do kontrataku i machnął parę razy bronią, starając się jednak nie wkładać w te ruchy zbyt dużo siły. Drugi chłopiec wykorzystał słabą grawitację – dzięki temu bez trudu unikał ciosów przyjaciela (po prostu wyskakiwał wysoko ponad ziemię).

Chester jeszcze kilkakrotnie zamachnął się halabardą, a Will za każdym razem podskakiwał.

Po chwili Chester się rozchichotał i nie mógł już dłużej walczyć.

– To wygląda zupełnie jak w tych zwariowanych filmach kungfu. Wiesz, kiedy bohaterzy skaczą, jakby mieli sprężyny w nogach.

Will starał się zachować srogą minę bezwzględnego pirata, lecz i on nie zdołał powstrzymać śmiechu.

– Tak, masz rację. Jak się nazywał ten film? „Skaczący smok, trzepocząca kaczka”, czy jakoś tak...

– Przygotuj się, Białobrody! – znowu zawołał Chester. – Zaraz będziesz miał do czynienia z największym na świecie otwieraczem do konserw. – Ponownie się zamachnął.

Aby uniknąć ataku, Will wykonał idealne salto do tyłu i wylądował na ścieżce nieco dalej w głębi ogrodu.

– Ha! – wykrzyknął, zachwycony swoim wyczynem. – Nie tak łatwo mnie zabić, co, ninja Rawls?

– Pozer – mruknął tylko jego kolega.

Jeszcze przez jakiś czas chłopcy toczyli udawaną walkę, skacząc po ścieżkach między grządkami kwiatów i przemieszczając się stopniowo na tyły domu, pomiędzy różne mniejsze zabudowania.

– Przestańmy na chwilę, muszę złapać oddech – wydyszał Chester, lądując obok Willa.

– Zgoda – odparł przyjaciel, zakreślając kordem idealną ósemkę. – To jest niesamowite, prawda? – stwierdził, uśmiechając się do Chestera.

Przyjaciel odpowiedział mu tym samym i skinął głową.

W miarę upływu dni przyzwyczajali się do zmniejszonej grawitacji, a nudności, które męczyły ich na początku, znikły już niemal bez śladu. Marta troszczyła się o nich, jak umiała, a świadomość, że w tym miejscu nie grozi im atak ze strony Styksów, pozwoliła chłopcom po raz pierwszy od dłuższego czasu naprawdę się zrelaksować.

By wypełnić jakoś czas, znaleźli sobie nowe zajęcia i rodzaje aktywności. Will wyszukał w jednym z kufrów misternie rzeźbione szachy z kości słoniowej, grali więc sobie z ehesterem do późnej nocy, pochłaniając przy tym całe morze herbaty. Gospodyni z wielką ochotą opowiadała im o właściwościach różnych roślin z ogrodu i zabawiała ich opowieściami o Kolonii i Głębi. Początkowo nie chciała użyć im swojej kuszy, w końcu jednak uległa ich nieustannym namowom. Choć chłopcy potrzebowali trochę czasu, by nauczyć się posługiwać tą bronią, w końcu nabrali wprawy i strzelali do różnych celów, które ustawiali pod barykadą, na końcu ogrodu. Nie mogli nadziwić się precyzji, z jaką pociski kreśliły idealną, niemal doskonale prostą trajektorię lotu – był to jeszcze jeden z efektów mniejszej grawitacji.

– W porządku, kapitanie Snow5, bierzmy się do roboty! zawołał

Chester, gdy obaj doszli do siebie po walce.

– Dobra, tylko najpierw musisz mnie złapać – prowokował przyjaciela Will, przeskakując nad domem i lądując na ścieżce przed gankiem. Potem ukrył się za krzewami, które w odróżnieniu od innych roślin wokół nie emanowały światłem.

Chester wybiegł zza rogu chaty i omiół spojrzeniem cały ogród. Domyśliwszy się od razu, gdzie kryje się kolega, ruszył do ataku, wydając przerażający okrzyk wojenny.

Will wypadł zza krzaków, gotów do odparcia ataku. Przyjaciel miał już do niego doskoczyć, gdy nagle coś opadło na ścieżkę tuż przed nim.

– Co...? – zdumiał się chłopiec.

Był to Bartleby. Wielki kot wygiął grzbiet w łuk i napiął wszystkie mięśnie, jakby szykował się do skoku. Przesunął się do przodu i syknął na Chestera z taką złością, że ten wypuścił z dłoni halabardę. Wystraszony chłopiec zrobił krok do tyłu, potknął się i wpadł na grządkę maleńkich kwiatów promieniujących różowawym blaskiem. Kocur, wciąż przyczajony do skoku niczym pantera, przysunął się bliżej.

– Jezu! Zrób coś, Will! – wrzasnął Chester. – Zabierz tego cholernego zwierzaka!

– Bart! Przestań! – krzyknął przyjaciel.

Bartleby zerknął na swego pana, by się upewnić, że ten mówi poważnie, po czym opadł na ziemię. Jednak wciąż obserwował chłopca z uwagą, jakby nie do końca mu ufał.

– Niemądry kot – powiedział Will, czule głaszcząc Łowcę po głowie. – No i dlaczego to zrobiłeś? Chyba nie myślałeś, że Chester naprawdę chce mnie zaatakować, co?

5 Kapitan Snow – sowa śnieżna, jeden z bohaterów popularnej serii książek fantasy „Redwall” autorstwa Briana Jacques’a.

Chester był więcej niż dotknięty, że przyjaciel traktuje ten incydent tak lekko.

– Will, przysięgam, on chciał mnie zaatakować! Wysunął te swoje wielkie pazury.

– Jestem pewien, że nie posunąłby się tak daleko.

– Co ty nie powiesz... – mruknął Chester, podnosząc się z ziemi i sięgając po halabardę.

Spojrzał gniewnie na kota, który pod czułym dotykiem swego pana zaczął głośno mruczeć. – Wiesz co? – dodał.

– Co takiego?

– Właśnie sobie uświadomiłem, jak bardzo obaj przypominacie Shaggyego i Scooby Doo.

Will obmyślał właśnie jakąś odpowiednio niegrzeczną odpowiedź, gdy na ganku pojawiła się Marta.

– Lepiej tu przyjdźcie! – zawołała.

Chłopcy przeszli na ganek i podążyli za nią do domu. Ich gospodyni stanęła przy stole, wyraźnie zmartwiona.

– Marto, co się stało? – spytał Chester.

– Niestety, obawiam się, że mogło się zacząć – odparła bezbarwnym głosem. – Sprawdzalam kilkakrotnie i nie jestem całkiem pewna, ale myślę, że jednak tak, jednak się zaczyna – dodała.

Will rzucił kord na stół i zrobił krok w stronę Marty.

– Mówisz o Elliott, prawda? Co się stało?

– Pamiętacie, jak opowiadałam o Nathanielu i jakimś zarazku, który go zabił? – odpowiedziała pytaniem.

– Elliott ma gorączkę? – wybełkotał Chester. – O nie, Will, ją też to dopadło...

– Chwileczkę – przerwała mu kobieta, podnosząc brudne ręce. – Nie jestem jeszcze całkiem pewna; być może to coś innego, ale gołym okiem widać, że jest gorzej. Prawdę mówiąc, nie wygląda to najlepiej.



Wszyscy przeszli w milczeniu do drugiego pokoju.

– O Boże... – wyszeptał Chester.

Natychmiast zrozumieli, że stan nieprzytomnej dziewczyny znacznie się pogorszył. Jej spocona, lśniąca twarz pokryła się niezdrowym rumieńcem, a pot przesiąknął całe jej ubranie i pościel. Marta podeszła do Elliott i podniosła flanelową szmatkę leżącą na jej czole.

Zanurzyła ją w misce z wodą, stojącej obok łóżka, wykręciła i ponownie ułożyła na głowie chorej.

– Mówiłaś, że ręka ładnie się goi... – powiedział Will, szukając jakichś pozytywów w tej sytuacji.

– Tak, to przedziwne, ale kości zrosły się bardzo szybko. Zupełnie jakby... – gospodyni umilkła, nie kończąc zdania.

Przyjaciele spojrzeli na nią pytająco.

– W Kolonii powiedzieliby, że uzdrowił ją dotyk kapłana.

– Kapłana? Myślałem, że wszyscy kapłani są Styksami stwierdził Will z konsternacją, przypominając sobie uroczystości religijne, w których musiał uczestniczyć podczas pobytu w Kolonii. – To nie może być nic dobrego.

– Wręcz przeciwnie. Widzisz, Styksowie nie są tacy jak inni ludzie – odparła kobieta. – Zdrowieją dwa razy szybciej niż ja czy wy. Kości tej dziewczyny zrosły się błyskawicznie i mogłam już zdjąć łubki.

Chłopcy byli tak przejęci dramatyczną wiadomością o gorączce, że nie zauważyli, iż złamana ręka Elliott owinięta jest teraz jedynie bandażem.

– Ale ta gorączka... – jęknął Chester. – Czuję się okropnie winny; zostawiliśmy cię z tym całym kramem, a sami się wygłupialiśmy... Powiedz, jak możemy ci pomóc.

– Przede wszystkim musimy zbijać temperaturę; okład na jej głowie trzeba zmieniać mniej więcej co dziesięć minut – odparła

kobieta.

– Jasne – skinął głową Wilt? Idź, odpocznij sobie trochę, teraz my popilnujemy Elliott.



Will siedział na krześle przy łóżku chorej. Dopiero co zaczął kolejną trzygodzinną zmianę, zwolniwszy wcześniej Chestera, który poszedł spać na szezlong. Po chwili przyłapał się na tym, że i on zaczyna drzemać i osuwa się na krześle coraz niżej i niżej.

– Przestań – burknął do siebie, po czym kilkakrotnie uderzył się otwartą dłonią w twarz, żeby pokonać senność.

Aby zająć czymś głowę i ręce, zaczął przeglądać szkice, które narysował podczas poprzedniego dyżuru. Starał się na nich odtworzyć wygląd Czeluści oraz innych ogromnych otworów, które jego zdaniem sięgały niegdyś powierzchni, potem jednak zostały zatkane. W tym celu musiał przypomnieć sobie wszystko, czego uczono go kiedyś o tektonice płyt i o zjawiskach zachodzących pomiędzy dwiema poruszającymi się płytami.

– Granice rozbieżne, zbieżne i przesuwcze – mruczał pod nosem, skupiony.

Na samym dole strony, gdzie poniosła go już nieco wyobraźnia, narysował galeon sunący prosto w głąb olbrzymiego wiru na środku oceanu. Przymknął oko, przyglądając się krytycznie swemu rysunkowi, i zorientował się nagle, że pogwizduje przez zęby. Natychmiast przestał.

– O kurde, zamieniam się we własnego ojca – mruknął znowu, otwierając notatnik na następnej, czystej stronie.

Próbował zapisać swoje obserwacje z zeszłego tygodnia, tyle że właściwie nie miał czego notować, ponieważ nie wydarzyło się w tym czasie nic nowego ani interesującego. W końcu zaczął wypełniać marginesy strony różnymi bezkształtnymi bazgrołami, których liczba

odpowiadała niemal dokładnie liczbie jego ziewnięć.

Godzinę później odłożył notatnik i pochylił się nad Biblią w grubej skórzanej okładce – znalazł ją kilka godzin wcześniej w jednej ze skrzyń. Suche kartki szeleściły jak stare liście, kiedy je przekładał. Od czasu do czasu zatrzymywał się przy jakimś zdaniu, które – jak mu się wydawało – potrafiłby przetłumaczyć, potem jednak wzdychał tylko z rozczarowaniem, zde gustowany własną niewiedzą.

– Dlaczego nie uczyłem się w szkole hiszpańskiego? – spytał sam siebie, zamykając Biblię.

Obrócił się na krześle i spojrzał na szachownicę leżącą na stoliczku obok łóżka. Po chwili zastanowienia przesunął królową na inną pozycję, ale nie odrywał palców od figury.

– Nie... to jest głupi ruch – burknął i odstawił królową na miejsce. Zerknął z ukosa na wymagowanego przeciwnika. – Przepraszam, nie mogę się skupić.

Nagle Elliott się poruszyła i powiedziała coś cicho. Chłopiec natychmiast znalazł się przy niej.

– Elliott, to ja. Will. Słyszysz mnie?

Ujął jej dłoń i zamknął w swoich rękach. Oczy dziewczyny poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami, a jej twarz, zazwyczaj blada, miała teraz dziwną, niepokojącą barwę, jakby ktoś posypał ją szkarłatnym pyłem, który zebrał się w kilku miejscach grubszą warstwą, szczególnie wokół popękanych ust.

– Wszystko dobrze – powtarzał Will kojącym tonem.

Wargi Elliott wykrzywiły się, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie miała sił, by zaczerpnąć powietrza. Potem zmarszczyła brwi, jakby w jej głowie toczył się wewnętrzny konflikt, jakby próbowała rozwiązać jakiś trudny problem. Chwilę później wymamrotała kilka ledwie zrozumiałych słów. Pierwsze z nich brzmiało jak „Drake”, następne zaś, wypowiedziane parę minut później, przypominało nazwę

„Granicznik”.

– Jesteś bezpieczna, Elliott. Nic nam tu nie grozi – mówił łagodnym tonem Will, przypuszczając, że dziewczyna ponownie przeżywa wydarzenia znad Czeluści.

Raz jeszcze wypowiedziała imię Drake’a, tym razem wyraźniej, a jej powieki zadrżały, jakby miała je unieść.

przy jakimś zdaniu, które – jak mu się wydawało – potrafiłby przetłumaczyć, potem jednak wzdychał tylko z rozczarowaniem, zdegustowany własną niewiedzą.

– Dlaczego nie uczyłem się w szkole hiszpańskiego? – spytał sam siebie, zamykając Biblię.

Obrócił się na krześle i spojrzał na szachownicę leżącą na stoliczku obok łóżka. Po chwili zastanowienia przesunął królową na inną pozycję, ale nie odrywał palców od figury.

– Nie... to jest głupi ruch – burknął i odstawił królową na miejsce. Zerknął z ukosa na wymaginanego przeciwnika. – Przepraszam, nie mogę się skupić.

Nagle Elliott się poruszyła i powiedziała coś cicho. Chłopiec natychmiast znalazł się przy niej.

– Elliott, to ja, Will. Słyszysz mnie?

Ujął jej dłoń i zamknął w swoich rękach. Oczy dziewczyny poruszały się gwałtownie pod zamkniętymi powiekami, a jej twarz, zazwyczaj blada, miała teraz dziwną, niepokojącą barwę, jakby ktoś posypał ją szkarłatnym pyłem, który zebrał się w kilku miejscach grubszą warstwą, szczególnie wokół popękanych ust.

– Wszystko dobrze – powtarzał Will kojącym tonem.

Wargi Elliott wykrzywiły się, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie miała siły, by zaczerpnąć powietrza. Potem zmarszczyła brwi, jakby w jej głowie toczył się wewnętrzny konflikt, jakby próbowała rozwiązać jakiś trudny problem. Chwilę później wymamrotała kilka ledwie

zrozumiałych słów. Pierwsze z nich brzmiało jak „Drake”, następne zaś, wypowiedziane parę minut później, przypominało nazwę „Granicznik”.

– Jesteś bezpieczna, Elliott. Nic nam tu nie grozi – mówił łagodnym tonem Will, przypuszczając, że dziewczyna ponownie przeżywa wydarzenia znad Czeluści.

Raz jeszcze wypowiedziała imię Drake’a, tym razem wyraźniej, a jej powieki zadrżały, jakby miała je unieść.

– Drake owi też nic nie jest – zapewnił ją chłopiec, choć wcale nie był tego pewien.

Wtedy Elliott zaczęła coś bełkotać. Czuwającemu przy niej chłopcu wydawało się, że jest to sekwencja jakichś liczb. Powtarzała je raz za razem przytłumionym, ledwie słyszalnym szeptem. Will sięgnął szybko po notatnik i zaczął zapisywać liczby obok swoich bazgrołów.

Zorientował się, że jest to powtarzająca się seria cyfr; nie miał jednak pewności, czy zapisał ją prawidłowo.

W tym momencie do pokoju wszedł Chester.

– To chyba jeszcze nie twoja kolej? – zdziwił się Will.

– Nie – odparł cierpko kolega. – Tylko nie mogłem spać.

– Dlaczego?

– Ten twój kocur tak chrapie, że budziłem się co chwila, bo wydawało mi się, że zaraz przejedzie mnie skuter.

– No to po prostu go obudź – zaproponował przyjaciel, uśmiechając się mimowolnie. – Może wyszepczesz mu do ucha słowo „pies”? To mogłoby poskutkować...

– Jasne, a potem musiałbym chodzić z odgryzionym nosem – burknął Chester. Spojrzał na Elliott. – Co z nią?

– Jest niestety bardzo rozpalona, ale próbuje coś powiedzieć. Wspominała o Drakeu, ma też chyba senne koszmary, bo powiedziała „Granicznik”. No i powtarzała ciągle jakieś liczby.

Nie wiem, co znaczą, ale zapisałem te, które dosłyszałem...

– Takie jak te? – przerwał mu kolega i wyciągnął z kieszeni pogniecioną kartkę.

Will wziął ją od niego i porównał z sekwencją zapisaną w swoim notesie – notatki Chestera były pełniejsze.

– Świetnie! Myślisz, że to już wszystkie?

– Tak mi się wydaje; powtarzała je kilka razy. Pewnie są dla niej bardzo ważne.

– Jedenaście cyfr... – zastanawiał się Will. – Może to jest jakiś kod?

– No... co ty nie powiesz, Sherlocku – mruknął Chester, po czym ziewnął przeciągle i ułożył się na podłodze za łóżkiem, poza zasięgiem wzroku przyjaciela.

– Och... no to dobrej nocy – odpowiedział mu Will, ogromnie rozczarowany.

Miał nadzieję, że Chester dotrzyma mu towarzystwa podczas czuwania. Tymczasem chłopiec natychmiast zapadł w sen i zaczął smacznie chrapać. Nie zwracając uwagi na jednostajny akompaniament, Will przyglądał się sekwencji cyfr i próbował doszukać się w niej jakiegoś wzoru.

Pani Burrows wyszła z biura pośrednictwa pracy i przystanęła na chodniku, by schować do torby wszystkie kartki z informacjami.

– Burrows – dobiegło nagle do jej uszu. – Kiepska sprawa... – powiedział ktoś, lecz nie dosłyszała reszty zdania.

Odwróciła się i zobaczyła dwie młode kobiety otoczone gromadką dzieci. Najwyraźniej ją rozpoznały, przyglądały się bowiem z ciekawością. Jedna natychmiast odwróciła głowę i zaczęła się oddalać, ciągnąc za sobą swoje pociechy. Natomiast druga wbiła w panią Burrows gniewne spojrzenie i wydeła usta w pogardliwym grymasie, zaciskając jednocześnie dłonie na rączkach dziecięcego wózka. Miała na sobie tandetną bawełnianą koszulkę bez rękawów,

dzięki czemu widać było w pełnej okazałości wielkie, szkarłatne serce wytatuowane na jej ramieniu oraz wypisane poniżej imię Kev.

– Dzieciobójczynie – warknęła, po czym zawróciła wózek w miejscu i ruszyła śladem koleżanki.

Celia Burrows osłupiała ze zdumienia.

Po telewizyjnym apelu o pomoc, w ogólnokrajowych brukowcach ukazało się kilka wzmianek dotyczących tej sprawy, dość powściągliwych w tonie. Jednakże lokalne gazety skwapliwie podchwyciły temat i zamieściły serię artykułów o jej zaginionej rodzinie. Potem ukazał się dwustronicowy wywiad z rodzicami Chestera, w nim zaś kilka aluzji do matki Willa i jej umiejętności wychowawczych. Nic dziwnego, że wkrótce jej nazwisko okeyło się złą sławą.

Starając się jak najszybciej zapomnieć o przykrym incydencie, pani Burrows ruszyła powoli wzdłuż High Street, a po chwili zdecydowanie przyspieszyła. Nie chciała się spóźnić na swoją pierwszą rozmowę kwalifikacyjną.

# Rozdział dziesiąty



Marta siekała pęczek suszonych roślin, który przyniosła z jednej z przybudówek. Następnie obiema rękami wzięła z koszyka grzyb wielkości piłki nożnej i położyła na kuchennym stole.

– Wygląda dość podejrzanie – stwierdził ostrożnie Will, marszcząc nos.

– Te grzyby to w naszych okolicach wielka rzadkość – odparła kobieta, poklepując okaz, niczym piekarz uklepujący ciasto. Potem zaczęła zdejmować skórę tak, jakby obierała wielką pomarańczę. – Wiecie, co to jest?

Chłopiec skinął głową. Był to borowik, choć w porównaniu z borowikami hodowanymi w Kolonii wyglądał dość żałośnie. Jego skóra była twarda i popękana, a do tego zapadł się, jakby ktoś wydrążył go w środku.

– Czy on się czasem nie zepsuł? – spytał podejrzliwie.

– Nie, to suszony borowik.

– Suszony?

– Tak. Wieszam je na kilka miesięcy, dzięki temu mają intensywniejszy smak – odrzekła Marta, po czym zaczęła siekać grzyb na drobne kawałki i wrzucać je do garnka.

– Dla mnie wygląda po prostu na zgniły – stwierdził chłopiec, obracając w miejscu jedno z dłut gospodyni.

– Posłuchaj, czy nie masz przypadkiem czegoś ważnego do zrobienia? – spytała Marta łagodnie.



– Prawdę mówiąc, nie – odparł Will apatycznie.

– Nudzisz się, bo nie możecie bawić się z ehesterem tyle co przedtem?

– My się nie bawimy, zabawa jest dla małych dzieci. My się wygłupiamy – odparł nastolatek ostrym tonem, potem zmiarkował się jednak i dodał nieco grzeczniej: – Nie możemy. Ze względu na Elliott. Jakoś nie wypada...

– A mnie się zdaje, że chodzi o coś więcej, prawda, chłopcze? Masz w oczach niepokój; taki sam miał Nathaniel, nim ruszał na którąś z tych swoich ekspedycji. Nie możesz usiedzieć na miejscu, co? – dodała, spoglądając na niego znacząco, po czym ponownie zajęła się krajaniem borowika.

– Tak, chyba tak... – mruknął Will i poprawił się na krześle. – Marto... wiesz, że my... ja i Chester... nie możemy zostać tutaj na zawsze. Musimy jakoś wrócić do Górnoziemia, i to szybko. Jeśli Styksowie zrealizują swój plan...

– Wiem, wiem – kobieta pokiwała głową ze współczuciem. – Will, naprawdę jestem ostatnią osobą, która chciałaby wam to mówić, ale marnujecie czas. Kto wie, czy już nie jest za późno.

– To nieważne – odparł chłopiec ostro. – Tak czy inaczej, musimy tam wrócić; być może uda nam się jeszcze jakoś ich powstrzymać.

– Co do powrotu na górę, nikomu jeszcze się to nie udało i nikomu się nie uda. Stąd nie ma drogi powrotnej – wyjaśniła gospodyni, wbijając nóż w grzyb. – Nie można wyjść na górę z Czeluści ani z żadnej innej spośród Siedmiu Sióstr. Musielibyście wspinać się przez wiele mil. Nigdy wam się to nie powiedzie. – Umilkła na moment i spojrzała Willowi prosto w oczy. – Nie myśl, że nie próbowaliśmy.

– A co z tym... jak mu tam... de Jaybo? – spytał, gdy Marta znów zajęła się gotowaniem.

– Jemu się udało, prawda?

– Ach... – zaczęła, po czym przerwała na chwilę, by podłubać w nosie. Will przewrócił oczami. – Na pewno nie raz słyszeliście tę historię. Ten człowiek twierdził, że spadł do Czułości i leciał, leciał, leciał, aż dotarł do tajemniczego miejsca, gdzie widział przedziwne i straszliwe rzeczy: inny świat, w którym również świeciło słońce.

– Tak, słyszałem o tym.

– Inny świat z własnym słońcem... – powtórzyła Marta, kręcąc głową. – Niektórzy w Kolonii uważali, że ten człowiek miał pomieszane w głowie, że przypadkiem wydostał się do Górnoziemia i że wszystkie niesamowite rzeczy, o których opowiadał, to...

– Brednie – dokończył za nią chłopiec, przypominając sobie, co mówił na ten temat wuj Tam.

– Właśnie: brednie. Albo jedno wielkie oszustwo – zgodziła się z nim gospodyni. – Niektórzy są przekonani, że to Styksowie rozpuszczają te plotki, żeby ludzie jeszcze bardziej bali się Interioru.

– Mój tata uważał, że tam jednak coś może być – stwierdził Will tęsknie. – W swoim dzienniku wspominał o podziemnej świątyni oraz napisach, które dotyczyły Ogrodu Drugiego Słońca. – Zadrzał mimowolnie, gdy o tym pomyślał. – Tata musiał być tym ogromnie podniecony, ale nic dobrego mu z tego nie przyszło... – Pochylił głowę, przejęty nagłym smutkiem.

Marta potarła dłonie, by oczyścić je z grzyba, przeszła na drugą stronę stołu i poklepała chłopca po plecach.

– Teraz masz nową rodzinę – powiedziała czule. – Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Will podniósł głowę i spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszedł stąd na chwilę, a nam przydałoby się świeże mięso. Cały czas karmię chorą Elliott rosołem, ale już mi się kończą zapasy. Pozbieraj więc swoje rzeczy i powiedz Chesterowi, że wychodzimy.

– Ach... – zaczęła, po czym przerwała na chwilę, by podłubać w nosie. Will przewrócił oczami. – Na pewno nie raz słyszeliście tę historię. Ten człowiek twierdził, że spadł do Czułości i leciał, leciał, leciał, aż dotarł do tajemniczego miejsca, gdzie widział przedziwne i straszliwe rzeczy: inny świat, w którym również świeciło słońce.

– Tak, słyszałem o tym.

– Inny świat z własnym słońcem... – powtórzyła Marta, kręcąc głową. – Niektórzy w Kolonii uważali, że ten człowiek miał pomieszane w głowie, że przypadkiem wydostał się do Górnoziemia i że wszystkie niesamowite rzeczy, o których opowiadał, to...

– Brednie – dokończył za nią chłopiec, przypominając sobie, co mówił na ten temat wuj Tam.

– Właśnie: brednie. Albo jedno wielkie oszustwo – zgodziła się z nim gospodyni. – Niektórzy są przekonani, że to Styksowie rozpuszczają te plotki, żeby ludzie jeszcze bardziej bali się Interioru.

– Mój tata uważał, że tam jednak coś może być – stwierdził Will tęsknie. – W swoim dzienniku wspominał o podziemnej świątyni oraz napisach, które dotyczyły Ogrodu Drugiego Słońca. – Zadrzał mimowolnie, gdy o tym pomyślał. – Tata musiał być tym ogromnie podniecony, ale nic dobrego mu z tego nie przyszło... – Pochylił głowę, przejęty nagłym smutkiem.

Marta potarła dłonie, by oczyścić je z grzyba, przeszła na drugą stronę stołu i poklepała chłopca po plecach.

– Teraz masz nową rodzinę – powiedziała czule. – Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Will podniósł głowę i spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszedł stąd na chwilę, a nam przydałoby się świeże mięso. Cały czas karmię chorą Elliott rosołem, ale już mi się kończą zapasy. Pozbieraj więc swoje rzeczy i powiedz Chesterowi, że wychodzimy.

– Ach... – zaczęła, po czym przerwała na chwilę, by podłubać w nosie. Will przewrócił oczami. – Na pewno nie raz słyszeliście tę historię. Ten człowiek twierdził, że spadł do Czułości i leciał, leciał, leciał, aż dotarł do tajemniczego miejsca, gdzie widział przedziwne i straszliwe rzeczy: inny świat, w którym również świeciło słońce.

– Tak, słyszałem o tym.

– Inny świat z własnym słońcem... – powtórzyła Marta, kręcąc głową. – Niektórzy w Kolonii uważali, że ten człowiek miał pomieszane w głowie, że przypadkiem wydostał się do Górnoziemia i że wszystkie niesamowite rzeczy, o których opowiadał, to...

– Brednie – dokończył za nią chłopiec, przypominając sobie, co mówił na ten temat wuj Tam.

– Właśnie: brednie. Albo jedno wielkie oszustwo – zgodziła się z nim gospodyni. – Niektórzy są przekonani, że to Styksowie rozpuszczają te plotki, żeby ludzie jeszcze bardziej bali się Interioru.

– Mój tata uważał, że tam jednak coś może być – stwierdził Will tęsknie. – W swoim dzienniku wspominał o podziemnej świątyni oraz napisach, które dotyczyły Ogrodu Drugiego Słońca. – Zadrzał mimowolnie, gdy o tym pomyślał. – Tata musiał być tym ogromnie podniecony, ale nic dobrego mu z tego nie przyszło... – Pochylił głowę, przejęty nagłym smutkiem.

Marta potarła dłonie, by oczyścić je z grzyba, przeszła na drugą stronę stołu i poklepała chłopca po plecach.

– Teraz masz nową rodzinę – powiedziała czule. – Jesteśmy razem i tylko to się liczy.

Will podniósł głowę i spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszedł stąd na chwilę, a nam przydałoby się świeże mięso. Cały czas karmię chorą Elliott rosółem, ale już mi się kończą zapasy. Pozbieraj więc swoje rzeczy i powiedz Chesterowi, że wychodzimy.



Chester wcale nie był zadowolony, że Will i Marta zostawiają go samego z Elliott.

– A co, jeśli nie wrócicie? – pytał. – Co wtedy zrobię?

Will jednak cieszył się ogromnie, że może wyjść za barykadę choćby na kilka godzin. Kiedy Marta prowadziła go w głąb tunelu, zaopatrzona w porcję anyżkowego ognia i kuszę gotową do strzału, przebierał zwawo nogami, uradowany, że wreszcie może się trochę poruszać.

– A teraz staraj się nie hałasować – ostrzegła kobieta, gdy weszli do kolejnej części korytarza. – To kraina pajaków.

Kilkanaście metrów dalej zwolniła kroku i podniosła kuszę. Chłopiec szedł tuż za nią, rozglądając się niespokojnie.

– Uwaga – szepnęła, gdy zbliżyli się do skrzyżowania tuneli.

Najwyraźniej nie przeszkadzało jej to, że Will używa latarki, więc nawet nie próbował zmniejszyć natężenia światła. Potem zobaczył pułapkę – była to taka sama sieć, w jaką wpadł z Bartlebym i Elliott. Zwisiała z sufitu na pojedynczej, grubej linie. Kiedy podeszli bliżej, zobaczył pajęcze łapy wystające z siatki.

– Coś nam się złapało – wyszeptała Marta.

Kiedy zbliżyli się do siatki, pajęcza mała wyczuła ich obecność i zaczęła gwałtownie przebierać nogami, aż cała pułapka podskakiwała w górę i w dół.

– Blee, ależ paskudnie śmierdzi! – wykrzyknął chłopiec i zatkał sobie nos.

– Tak, pajaki robią to, gdy czują się zagrożone. To ich ostatni mechanizm obronny – poinformowała go kobieta, wyjmując nóż. Podeszła do wierzgającego zwierzęcia, starannie wybrała miejsce uderzenia i wbiła ostrze. Stworzenie natychmiast znieruchomiało.

– To jest naprawdę ohydne! – stwierdził Will, jeszcze mocniej

zaciskając nos.

Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie zjeść mięso pajęczej mały. Jednak gdy tylko Marta rozplątała sieć, uległ ciekawości i podszedł bliżej, zapomniawszy o odrażającym zapachu.

– Te oczy naprawdę są niesamowite – zauważył, pochylając się nad schwytanym zwierzęciem i oglądając trzy okrągłe plamy na jego tułowiu.

– To nie są oczy, tylko uszy.

– Naprawdę?

– Tak. Widzisz te dwa kolce nad zębami? – spytała Marta, wskazując nożem na dwa wyrostki, które Will wziął wcześniej za wyjątkowo grube włosy. – To one wydają ten piskliwy dźwięk, który odbity od przeszkody wraca do uszu.

– Naprawdę? – powtórzył chłopiec. – Więc orientują się w przestrzeni tak jak nietoperze?

– Jak nietoperze – potwierdziła. – Ale Nathaniel mówił, że za ich pomocą wyczuwają również ranne albo umierające zwierzęta.

Odłożywszy nóż, wtłoczyła martwego pajaka do worka. Podała go Willowi, po czym poprowadziła ich dalej. Szli od pułapki do pułapki, zataczając – jak się wydawało – wielkie koło. Po jakimś czasie chłopiec niósł na plecach już nie jednego, lecz trzy martwe pajaki.

W końcu dotarli do drewnianych ław, na których zalegały kawałki starego mięsa.

– Hej, poznaję to miejsce – stwierdził Will.

– Oczywiście – skinęła głową Marta. Wzięła od niego torbę i wysypała pajaki. Potem wyjęła z pasa okazałą porcję anyżkowego ognia. – Rozsyp to. Do tej pory dopisywało nam szczęście, ale nie będę dłużej ryzykować. Mogą się tu zbiec, kiedy tylko wyczują krew.

Chłopiec wykonał jej polecenie i rozrzucił pokruszone liście, które lśniły delikatnie w blasku latarki i wypełniały tunel odurzającym

zapachem.

– Czas pobawić się w Sweeneya Todda ( Sweeney Todd – fikcyjna postać stworzona przez angielską prasę w połowie XIX wieku, później także bohater słynnego musicalu oraz wielu jego adaptacji telewizyjnych i filmowych (m.in. filmu Tima Burtona „Sweeney Todd: Demoniczny golibroda z Fleet Street” z 2007 roku, z Johnnym Deppem w roli głównej). Sweeney Todd był golibrodą, który podrzynał gardła klientom. Jego przyjaciółka, Nellie Lovett, robiła z ich ciał mięsne ciasteczka, które później sprzedawała w swoim zakładzie.) – mruknęła kobieta pod nosem, układając zwierzęta na ławie i sięgając po tasak rzeźniczy. – Radziłabym ci odsunąć się parę kroków – ostrzegła Willa, podnosząc rękę uzbrojoną w tasak. – To dość brudna robota.

W drodze powrotnej Marta nagle zadecydowała, że nieco zboczą z trasy.

– Bo trwa sezon piaskowych szczeniaków – wyjaśniła.

Will nie zapytał, co ma na myśli, przekonany, że wkrótce i tak się tego dowie. Kobieta zaprowadziła go na stromy nasyp ziemny pod ścianą szerokiego tunelu. Chłopiec wziął do ręki garść ziemi i przesywał ją między palcami była tłusta i wilgotna, dokładnie taka, o jakiej marzy każdy ogrodnik. Spojrzał na Martę, która pochylała się nisko nad podłożem, jakby czegoś szukała, po czym przypadła do małego otworu i zaczęła go rozkopywać gołymi rękami.

Kiedy już wykopała dołek o głębokości około pół metra, wydała z siebie triumfalny okrzyk i wyciągnęła z ziemi jakieś wijące się zwierzę o barwie i rozmiarach małego prosiaka.

Przytrzymała je za kark, by Will mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Miało pulchne, krągły tułów i cztery krótkie kończyny. Trudno było dopatrzeć się u niego oczu, miało jednak maleńkie, różowobiałe uszy ułożone wzdłuż tułowia. Wyglądało jak przekarmiony, łysy chomik.

Wiło się i szarpało w żelaznym uścisku Marty, bez ustanku poruszając białymi wąsami i otwierając pyszczek, z którego jednak nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Więc to jest piaskowy szczeniak – stwierdził chłopiec ze zdumieniem. – Rzeczywiście jest szczeniakiem?

– Nie, to dorosły osobnik.

– Wygląda jak mały Bartleby. Jak młode Bartleby ego! roześmiał się Will, potem zamrugał gwałtownie i aż cofnął się o kilka kroków, gdy Marta przysunęła zwierzę bliżej.

-Boże! On śmierdzi... śmierdzi...

– Sikami – dokończyła za niego. – Tak, ich kolonie są tym przesiąknięte. Najwyraźniej jakoś im to nie przeszkadza.

– Ależ to jest smród, aż łzawią mi oczy – skarżył się Will. – Czy tu wszystko musi tak paskudnie śmierdzieć?

– Właśnie dlatego piaskowe szczeniaki żyją w spokoju, ten fetor je chroni. Ale ich mięso jest naprawdę smaczne... smakuje jak wątróbka.

– Nie cierpię wątróbki, a od tego zapachu robi mi się niedobrze – odparł chłopiec, myśląc jednocześnie o tym, że i Marta nieszczególnie dba o higienę. Prawdę mówiąc, nie widział do tej pory, żeby chociaż raz się umyła.

Gdy zbliżali się już do domu, Will zachichotał.

– O co chodzi? – zdziwiła się kobieta.

– Nic takiego, pomyślałem tylko, że lepiej, by Chester nie widział tego mięsa, nim włożysz je do garnka – powiedział, podnosząc okrwawiony worek, który niósł na plecach.

-Inaczej nie tknie jedzenia przez kilka tygodni.

Doktor Burrows opuścił bezradnie ręce.

– To nie ma sensu – oświadczył. – Potrzebuję moich notatek, żeby zrozumieć, co to wszystko znaczy – dodał, spoglądając na rozłożone kamienne tabliczki.



– A gdzie są te twoje notatki? – spytała Rebeka, obchodząc go powoli.

– Przecież już ci opowiadałem. Mój dziennik został na górze, na skraju Czeluści – odparł doktor piskliwie, oburzony i zirytowany ciągłymi pytaniami dziewczyny.

– To bardzo lekkomyślnie z twojej strony – warknęła, stukając ze zniecierpliwieniem butem. – Ale twierdziłeś też, że sporo pamiętasz i że powinieneś sobie poradzić.

– Powiedziałem jedynie, że mam nadzieję odparował mężczyzna. Zdjął okulary, przetarł oczy i ponownie włożył szkła na nos. – Ale wygląda na to, że jednak sobie nie poradzę. Poza tym ciągle mi przerywasz i nie mogę...

Rebeka zrobiła krok w jego stronę, jakby chciała go uderzyć, zamarała jednak w bezruchu, gdy powietrze przeszył piskliwy wrzask.

– To pewnie znowu jeden z tych dziwacznych pajaków. – Strzeliła palcami na Granicznika. – Załatw to! – rzuciła do postaci kryjącej się w mroku.

Żołnierz podniósł włócznie – prowizoryczną broń, zbudowaną z noża Styksów przymocowanego do zarodni – i znikł w głębi tunelu.

– Nie rozumiem... jak możesz zwracać się do niego w ten sposób? – ośmielił się zapytać Burrows, gdy zostali sami. – To żołnierz.

– Och, on jest kimś znacznie więcej niż tylko żołnierzem. Jest Granicznikiem...

członkiem Drużyny Hobba – oświadczyła dziewczyna z dumą, siadając naprzeciwko doktora.

-To najlepszy, najodważniejszy i najbrutalniejszy wojownik na świecie. Uwielbiasz historię, co? Myślisz, że Spartanie byli największymi twardzielami w dziejach?

– Cóż... – zaczął mężczyzna, wzruszając ramionami.

– Nie, Spartanie byli zwykłymi harcerzykami – stwierdziła,

uśmiechając się pogardliwie.

– Daj mi batalion Graniczników, a w ciągu tygodnia Londyn będzie mój.

– Nie bądź niemądra, Rebeko! – zachnął się doktor Burrows. – Dlaczego mówisz takie rzeczy?

– Skup się na mapie, tato, żebyśmy mogli wrócić do domu. Bo tak bardzo tęsknię za domkiem – dodała sztucznym, szczebiotliwym głosem małej dziewczynki.

– W ogóle mnie nie słuchasz! Myślę, że te kamienie pokazują raczej drogę w dół, nie na powierzchnię – odrzekł.

– Nieważne. Wszędzie jest lepiej niż tutaj – warknęła.

– Muszę powiązać mapę z jakimś miejscem, znaleźć charakterystyczny punkt zaznaczony na mapie. – Przełknął ślinę. – Całkiem zaschło mi w gardle. Dostanę coś do picia?

Rebeka pokręciła głową.

– Spróbujmy najpierw dojść do jakichś konkretów, zgoda?

– Ale mnie się chce pić – poskarżył się doktor Burrows.

W tym samym momencie coś opadło z głuchym plaśnięciem u jego boku. Mężczyzna aż się wzdrygnął, ujrawszy dwie martwe pajęczki mały.

– O... mój... Boże... – wyjąkał. – Cóż to jest? Jakiś pajak?

– Raz panienska mała na trawce siedziała, jadła kaszkę z mlekiem – wyrecytowała dziewczyna. – Pewnie tego nie znasz, bo nigdy nie miałeś czasu, żeby uczyć nas wyliczanek.

Zawsze mówiłeś, że jesteś zajęty, i chowałeś się w tej swojej głupiej piwnicy, ze swoimi głupimi książkami... w jej głosie brzmiał autentyczny żal.

Zerknęła na Granicznika, jakby zawstydzona, że straciła czujność i odsłoniła swe prawdziwe, ludzkie uczucia.

Ale doktor Burrows wcale jej nie słuchał; wpatrywał się z

niepokojem w pająki, szarpane przedśmiertnymi drgawkami. Odsunął się, gdy z ich ciał zaczęła wyciekać krew.

– Jeśli jesteś spragniony, możesz napić się tego – oświadczyła Rebeka, na której widok potwornych stworzeń najwyraźniej nie robił żadnego wrażenia. – Jeśli nie, to musisz poczekać do wieczoru – dodała belferskim tonem. – Najpierw zajmiemy się zadaniem domowym.

# Rozdział jedenasty



– Siemasz! – zawołał Chester, gdy wyszedł z domu i zobaczył przyjaciela wylegającego się na werandzie. – Marta mnie wyrzuciła. Myje Elliott.

– Jak ona się czuje? – spytał Will.

Chłopiec ziewnął szeroko i się przeciągnął.

– Udało nam się wmusić w nią trochę zupy – powiedział, opadając na krzesło obok Willa. – Marta robi wszystko, co może, żeby ją wzmocnić.

– Dobrze. Ale na razie chyba nie widać poprawy, co?

Chester odchrząknął z zakłopotaniem i osunął się na krzesło. Żaden z nich nie mówił o tym wprost, jednak obaj się bali, że Elliott umrze, jak kiedyś Nathaniel. Był to dla nich niemal temat tabu.

– Nie – odparł w końcu.

Przez chwilę chłopcy siedzieli w milczeniu. Pograżeni w rozmyślaniach, nawet nie zwracali uwagi na fantastyczną paletę kolorów pulsujących nad ogrodem niczym miniaturowa wersja zorzy polarnej. Wreszcie Will odchrząknął i powiedział: – Ekhm... Słuchaj, Chester, martwi mnie pewna sprawa.

– O co chodzi? – spytał przyjaciel z troską w głosie.

Will ściszył głos do szeptu i zerknął na drzwi.

– Marta tego nie słyszy, prawda?

– Siedzi u Elliott – potwierdził kolega. – No, co jest?

– Hm, cóż... – zaczął Will niepewnie. – Wiem, że ona jest świetna i

że robi wszystko, co może dla Elliott, ale czy my nie moglibyśmy zrobić więcej?

Chester wzruszył ramionami.

– Na przykład co?

– Siedzimy tu już od kilku tygodni i tak uzależniliśmy się od Marty, że nawet nie zastanawialiśmy się, czy w pobliżu nie ma kogoś jeszcze; kogoś, kto mógłby naprawdę pomóc Elliott.

– Ale Marta mówi... – zaczął Chester.

– Wiem, co ona mówi – przerwał mu Will. – Tylko że właściwie wcale jej nie znamy, prawda? A jeśli gdzieś w pobliżu żyją inni ludzie, którzy mają lekarstwa, albo ktoś taki jak Imago, kto mógłby uratować Elliott?

Przyjaciel spojrzał na niego w osłupieniu.

– Ale dlaczego Marta miałaby to przed nami ukrywać, do cholery?! – spytał.

– Bo jest samotną kobietą, której los podarował nagle dwóch chłopców w miejsce jej zmarłego syna – odrzekł.

– Mocne słowa.

– Tak, ale prawdziwe. Nie odnosisz czasem wrażenia, że jesteśmy tutaj więźniami?

Marta mówi nam, że w okolicy nikt nie mieszka, że nie powinniśmy wychodzić sami ze względu na pająki, że wyprawa do statków, które znalazł jej syn, byłaby ogromnie niebezpieczna, że nie da się wyjść z powrotem do Głębi, a w dole nic nie ma... – Will przerwał na moment, by zaczerpnąć powietrza. – Mam wrażenie, że robi wszystko, co może, żeby nas tutaj zatrzymać. – Postukał palcem w poręcz krzesła, jakby chciał w ten sposób podkreślić wagę i trafność swych słów. Potem przyjrzał się badawczo Chesterowi, ciekaw, czy ta przemowa wzbudziła jakieś wątpliwości w jego umyśle.

Przyjaciel skinął lekko głową.

– Jeśli nawet masz rację, to co? – spytał. – Mamy zostawić Martę i pójść sobie w ciemność? Wyciągniemy z łóżka chorą dziewczynę, licząc na to, że po drodze spotkamy kogoś, kto jej pomoże?

Will wypuścił głośno powietrze.

– Może się mylę i może byłby to ogromny błąd, ale chyba obaj wiemy, jak to się skończy, prawda?

Jego kolega milczał.

– Posłuchaj, Chester. Jeśli nic nie zrobimy, nasza przyjaciółka skończy tak samo jak syn Marty. Umrze. Nie ma się co oszukiwać, taka jest prawda. Być może, tylko być może, moglibyśmy zabrać Elliott ze sobą i znaleźć kogoś, kto potrafi jej pomóc. Może udałoby nam się wrócić do Głębi i skontaktować się z Drakiem albo z innym renegatem.

Chester opadł ciężko na oparcie krzesła.

– Boże, sam nie wiem, Will... – mruknął.

– Przecież nie mamy nic do stracenia, prawda? A właściwie to Elliott nie ma nic do stracenia – stwierdził z desperacją chłopiec.

Przez następny tydzień stan Elliott się nie poprawił. Will, Chester i Marta czuwali nad nią na zmianę, karmili ją i starali się zbijać gorączkę. W chwilach, gdy chłopcy byli sami, żaden z nich nie wspominał o odejściu.

Wydawało się, że dom Marty opanowała jakaś mroczna, przytłaczająca siła, która nie pozwalała im bawić się ani śmiać; liczyła się tylko świadomość, że ich przyjaciółka balansuje na krawędzi życia i śmierci. Chłopcy mówili przytłumionym głosem nawet wtedy, gdy znajdowali się z dala od Elliott, jakby się obawiali, że będą jej przeszkadzać. Ten ponury nastrój udzielił się nawet Bartleby emu, który przez większość dnia spał przed kominkiem lub grzebał w ziemi za domem.

Kiedy Will nie czuwał przy dziewczynie, nadal grywał z samym

sobą w szachy. Zajął się także porządkowaniem kartek z dziennika taty, starając się ułożyć je we właściwej kolejności.

Przywiązywał do tego dużą wagę – ponieważ zapiski były dziedzictwem jego ojca i mogły się okazać istotne, gdyby jednak kiedyś zdołał wrócić na powierzchnię.

Wiele kartek było pomiętych, więc chłopiec wygładzał je najlepiej, jak mógł. Jeśli tu i ówdzie pismo i rysunki doktora Burrowsa wyblakły lub rozmazały się w wodzie, pieczołowicie je odtwarzał, wodząc ołówkiem po oryginalnych liniach. Gdy wreszcie skończył, ułożył uporządkowane kartki na podłodze, by się przekonać, czy zdoła odczytać z nich coś pożytecznego. Jednak choć bardzo się starał, dziwne litery i hieroglify zapisane przez ojca nic mu nie mówiły.

Kiedy Will przeglądał resztę przedmiotów, które zostały jeszcze w jego plecaku, natrafił na aparat. Stwierdziwszy ze zdumieniem, że on wciąż działa, wykonał kilka zdjęć kartek z dziennika, po czym ułożył je starannie w jednej ze skrzyń. Uznał, że tam nie zagrożą im wilgoć ani Marta, która miała w zwyczaju wrzucać do ognia wszystko, co tylko można było spalić.

Potem udał się do jednego z ulubionych miejsc – małej przybudówki zastawionej skrzyniami, w której mieściły się przeróżne przedmioty zebrane przez syna Marty podczas jego licznych ekspedycji. Will był w swoim żywiole, kiedy mógł bez przeszkód grzebać w stertach drobiazgów, związanych głównie z żeglarstwem. Starał się nie robić tego zbyt szybko i ograniczał się do jednej lub dwóch skrzynek dziennie, rozciągając w ten sposób tę przyjemność w czasie. Znajdował, co prawda, głównie jakieś kawałki metalu – żelazne zawiasy, grube bolce, bloczki, a nawet armatnie kule – ale nie tylko.

Któregoś dnia natrafił na wielki kompas okrętowy. W tej samej skrzyni znajdował się również zniszczony skórzany futerał, w nim zaś

– wspaniała mosiężna luneta. Chłopiec nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. Natychmiast wyniósł lunetę przed dom, by ją wypróbować. Choć w ciemnej, ograniczonej przestrzeni ogrodu nie mógł zobaczyć zbyt wiele, wcale się tym nie przejmował.

Gdy spoglądał w okular, myślał o żeglarzach, którzy niegdyś używali tego przyrządu i którzy, być może, zbudowali również ten dom.

Na dnie innej skrzynki znalazł także stetoskop, wykonany z matowosrebrnego metalu oraz plastiku lub gumy, która nie wykazywała najmniejszych oznak zniszczenia. Zdaniem Willa stetoskop wyglądał całkiem współcześnie. Posłuchał za jego pomocą bicia własnego serca, po czym wrzucił go z powrotem do skrzyni i nie myślał już o nim więcej, zajęty poszukiwaniami bardziej egzotycznych przedmiotów.



# Rozdział dwunasty



W drodze powrotnej z pracy pani Burrows wstąpiła do miejscowego kiosku, by kupić wieczorną gazetę. Pracowała na pół etatu jako recepcjonistka w firmie prawniczej, gdzie zajmowała się głównie przepisywaniem i wypełnianiem dokumentów. Właściwie nie potrzebowała dodatkowych pieniędzy, ponieważ zyskała na sprzedaży domu znacznie więcej, niż się spodziewała, lecz praca dawała jej poczucie celu; lubiła też przebywać w towarzystwie innych ludzi w biurze. Ponieważ pracowała tylko dwa lub trzy dni w tygodniu, miała dość czasu, aby kontynuować prywatne śledztwo i naprzykrzać się policji, od której nieustannie domagała się konkretnych wyników.

Gdy płaciła za gazetę, zauważyła, że sprzedawca przygląda jej się z zainteresowaniem.

– Przepraszam, ale czy pani nie jest żoną doktora Burrowsa? – odważył się w końcu zapytać mężczyzna.

Kobieta nie odpowiedziała od razu; najpierw przyjrzała się uważnie jego twarzy, szukając na niej oznak wrogości. Po incydencie przed biurem pośrednictwa pracy zaczęła zachowywać większą ostrożność w kontaktach z okolicznymi mieszkańcami. Widziała, jak patrzą na nią niektórzy z nich, gdy robi zakupy albo idzie na siłownię.

– Tak – odpowiedziała w końcu. – Jestem Celia Burrows.

– Świetnie. Mam tu coś dla niego – poinformował sprzedawca, po czym schylił się pod ladę i wyciągnął stamtąd spory plik czasopism. – „Miesięcznik Kustosza”, jeden... dwa... trzy numery – mówił,

przeoglądając gazety i kładąc je przed klientką. – Pozwoliłem sobie anulować jego zamówienia po kilku miesiącach... Ale mam tu też kilka numerów „Współczesnych Wykopalisk” i trochę...

– Wie pan, że on odszedł... że zaginał – poprawiła się szybko pani Burrows.

Mężczyzna, wyraźnie zakłopotany, spuścił wzrok i zaczął nerwowo przekładać pozostałe czasopisma.

– Wiem, ale pomyślałem, że może zechce je pani zabrać, na wypadek... – zamilkł i odchrząknął niepewnie.

– Na wypadek gdyby wrócił? – dokończyła za niego.

Miała już dodać: „Nie sędzę, żeby do tego kiedykolwiek doszło”, uznała jednak, że nie byłoby to rozsądne. Opinia publiczna, i tak już wrogo do niej nastawiona, mogłaby opacznie zrozumieć te słowa, a sprzedawca mógłby pomyśleć, że ona wie więcej, niż przyznaje. Nie zwlekając dłużej, wyjęła z portfela kilka banknotów i podała je kioskarzowi.

– Dobrze, wezmę je. Zapłacę od razu za wszystkie.

Sprzedawca wydał jej resztę w krępującej ciszy. Nie czekając, aż mężczyzna zapakuje gazety do reklamówki, pani Burrows porwała je z kontuaru i ruszyła do drzwi.

Kiedy wyszła na zewnątrz, niebo przecięła błyskawica, a nad ziemią przetoczył się głuchy grzmot.

– W samą porę – mruknęła pod nosem, gdy na chodnik zaczęły spadać grube krople deszczu.

Wyjęła jedno z czasopism i przykryła nim głowę, chroniąc się w ten sposób przed ulewą, po czym ruszyła w górę High Street. Przeszła ledwie kilka kroków, gdy śliskie i wilgotne gazety zaczęły wysuwać jej się spod pachy. Gdy wypadły jej drugi raz, zobaczyła w pobliżu kosz na śmieci.

– Przykro mi, Roger – mruknęła i wyrzuciła gazety.

Klnąc pod nosem na nieustający deszcz, przeszła na skraj chodnika i przystanęła na krawężniku, by sprawdzić przed przejściem, czy ulicą nie nadjeżdża żaden samochód. Gdy obracała głowę, zerknęła przypadkiem w kierunku, z którego właśnie przyszła.

– Go, u diabła! – krzyknęła.

Przy koszu, do którego przed momentem wrzuciła czasopisma, stało dwóch mężczyzn, zwróconych do niej plecami. Widziała, że wydobywają wszystkie gazety, przeglądają starannie ich pierwsze strony, a potem chowają do walizki. Obaj byli krępi i nosili ciemne płaszcze z dziwną pelerynką na ramionach – wyglądali jak zjawy z innej epoki.

Panią Burrows ogarnął nagle ogromny, niewytłumaczalny gniew.

Nie miała pojęcia, kim są ci mężczyźni. „Za dobrze ubrani na kloszardów” – pomyślała.

Uznała, że być może są to kierowcy ciężarówek – nie z Anglii, lecz z kontynentu, o czym świadczyły ich dziwne ubrania. Pod wpływem impulsu zaczęła wrzeszczeć i ruszyła biegiem w ich stronę.

– Co robicie?! Zostawcie to!

Chociaż sama wyrzuciła te gazety, niegdyś były one tak ważną częścią życia jej męża, że nie wyobrażała sobie teraz, by ktokolwiek inny mógł z nich korzystać. Wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie – nie potrzebowała więcej śmieci Rogera, jej mieszkanie i tak było nimi wypełnione niemal po brzegi. Jeśli jednak jej mąż nie mógł przeczytać tych czasopism, to nikt inny również nie miał prawa tego robić – a już szczególnie ludzie, którzy z całą pewnością nie doceniliby ich tak jak on.

– Zostawcie to, do cholery! To gazety Rogera! Kupcie sobie własne, jak chcecie! – wrzeszczała.

Przez zasłonę deszczu widziała, że obaj mężczyźni mają płaskie kapelusze. Gdy jeden z nich zareagował na krzyki i odwrócił się do niej, zobaczyła, że ma również ciemne okulary, co o tej porze dnia,

pod sam wieczór, wydawało się zupełnie bezsensowne. Gdy niebo rozświetliła na moment kolejna błyskawica, pani Burrows ujrzała wyraźnie jego twarz. Była ona przerażająco biała. Kobieta zatrzymała się raptownie.

-Ci bladolicy ludzie – wyszeptała, przypominając sobie natychmiast zapiski z dziennika męża.

Teraz patrzyło na nią już dwóch mężczyzn. Celia stała dość blisko, by dojrzeć ich szerokie szczęki i usta zaciśnięte w ponurym grymasie. Jeden z nich zamknął z trzaskiem walizkę, po czym obaj ruszyli równym krokiem w jej stronę. Gniew pani Burrows w jednej chwili zamienił się w przerażenie. Celia nie miała najmniejszych wątpliwości, że idą właśnie po nią.

Rozejrzała się szybko po ulicy, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc. Okazało się jednak, że deszcz skutecznie przegonił wszystkich przechodniów. Celia odwróciła się i poderwała do biegu, ślizgając się na mokrym chodniku. Po drodze zerknęła na witryny okolicznych lokali w nadziei, że znajdzie w którymś z nich schronienie, lecz sklep Clarke'ów już dawno został zlikwidowany, a kawiarnia Golden Spoon była jeszcze nieczynna.

Nie pozostało jej nic innego, jak przebiec przez ulicę i skrócić w boczną alejkę, która zaprowadziłaby ją do mieszkania. Tam byłaby bezpieczna.

Słyszała coraz wyraźniej tupot nóg za plecami, a narastający strach jakby nagle otworzył jakąś klapkę w jej umyśle. Przypomniała sobie incydent z ubiegłego roku, kiedy to trzech mężczyzn weszło przez taras do jej salonu. Działo się to w czasie, gdy była pogrążona w depresji i przesypiała całe dni w ulubionym fotelu przed telewizorem.

Zaskoczyła włamywaczy, ci zaś wyciągnęli ją do przedpokoju. Potem zaskoczyła ich jeszcze bardziej. Wypełniona niemal nadludzką

siłą, właściwą komuś, kto nie jest w pełni władz umysłowych, zaczęła okładać ich po głowach patelnią, aż w końcu zdołała przepędzić napastników. Policja stwierdziła później, że złodzieje musieli obserwować dom z błoni i że chodziło im zapewne o to co zwykle – telewizor, komórki i leżące luzem pieniądze.

Jednak teraz coś w zachowaniu i ruchach ścigających ją mężczyzn przypomniało pani Burrows właśnie tamtą noc.

Kiedy dobiegła do Jekyll Street, rozległ się ogłuszający grzmot. Zdesperowana, popędziła przez ulicę, nie rozglądając się na boki. Gdy zobaczyła nadjeżdżający samochód, było już za późno. Usłyszała przeraźliwy pisk hamulców i zakryła głowę rękami, oślepiona blaskiem reflektorów. Na szczęście auto zdołało niemal całkowicie wyhamować, jednak potrafiło ją przednim zderzakiem, więc runęła jak długa na jezdnię.

Kierowca natychmiast wyskoczył z samochodu i znalazł się obok niej.

– Boże, nie widziałem pani! Wybiegła pani tak nagle... Nic pani nie jest?

Celia Burrows usiadła prosto i obejrzała się przez ramię, wypatrując dziwnych mężczyzn.

– Gdzie oni są? – wymamrotała.

– Coś panią boli? Może pani iść? – dopytywał się zatroskany kierowca.

Kobieta odgarnęła z twarzy mokre włosy i spojrzała po raz pierwszy na jego twarz. Był to brodaty Amerykanin, którego widziała wcześniej w bibliotece.

– Znam pana – stwierdziła.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko, przykucnąwszy obok niej. Jego ciemne oczy przyglądały jej się badawczo.

– Naprawdę?

– Ben... coś tam.

– Tak – przyznał, zaskoczony.

– Pan Ashmi z archiwum powiedział, że powinnam z panem porozmawiać. Jestem Celia Burrows – przedstawiła się.

– Ben Wilbrahams. – Mężczyzna zmarszczył brwi, a potem uniósł je nad krawędź drucianych oprawek. – Więc jest pani żoną doktora Burrowsa – stwierdził, gdy kobieta podniosła się z jezdni i skrzywiła z bólu, próbując stanąć na lewej stopie.

– Chyba skręciłam nogę w kostce – powiedziała.

– Proszę posłuchać: jest pani kompletnie przemoczona, a ja mieszkam niedaleko stąd, przy końcu Jekyll Street. Jeśli pani pozwoli, zabiorę panią do siebie i opatrzę.

Amerikanin mieszkał w imponującym wiktoriańskim domu. Pomógł rannej wejść do holu, a potem do salonu. Posadził ją na sofie i zapalił ogień w kominku. Później podał jej jeszcze ręcznik i poszedł zrobić kawę. Pani Burrows pokuśtykała do szerokiego, marmurowego kominka i obejrzała stare obrazy zdobiące ściany pokoju – głównie klasyczne angielskie krajobrazy. Salon był naprawdę duży – miał wysoki sufit i ciągnął się przez całą długość domu.

Ciągle wycierając włosy, Celia przeszła powoli do drugiej części pokoju, wychodzącej na ogród. Choć wciąż zalegały tu ciemności, dojrzała kilka tablic ustawionych na sztalugach.

Odszukała przełącznik i włączyła światło. W pokoju stało w sumie sześć tablic. Do każdej z nich przyczepionych było mnóstwo map i małych karteczek pokrytych starannymi zapiskami.

Jedynie na ostatniej tablicy znajdowały się tylko fotografie i właśnie jedna z nich wzbudziła zdumienie pani Burrows. Pokuśtykała bliżej. Czarnobiałe zdjęcie przedstawiało jej męża.

– Wydrukowałem je ze strony internetowej muzeum Highfield – powiedział Wilbrahams, wchodząc do salonu z tacą w dłoniach. –

Jeszcze jej nie zaktualizowali.

– Spotkał go pan kiedyś? – spytała. – Mojego Rogera?

– Nie, nie miałem tej przyjemności – odparł gospodarz.

Zauważył, że kobieta przygląda się z zainteresowaniem również innym fotografiom przypiętym obok zdjęcia jej męża. Jedna z nich przedstawiała uśmiechniętą, szczęśliwą rodzinę; jak głosił umieszczony na zdjęciu napis, była to rodzina Watkinsów.

– Wszyscy ci ludzie także zaginęli – poinformował ją Ben, stawiając tacę z kawą na stole.

– Co to ma znaczyć? Co pan tu właściwie robi? – pytała pani Burrows podejrzliwie, przeskakując od jednej tablicy do drugiej. Oparła się o poręcz krzesła i przyjrzała mapie Highfield upstrzonej czerwonymi nalepkami.

– Nie jest pani dziennikarką, pisarką czy kimś w tym rodzaju? – spytał Wilbrahams z udawaną powagą.

– Jeszcze nie – odparła.

– Świetnie, bo nie chciałbym, żeby ktoś ukradł mi pomysł. Przyjechałem do Anglii pięć lat temu, żeby napisać scenariusz jednego odcinka nowego serialu telewizyjnego o czasach wiktoriańskich, a potem także go wyreżyserować. Odcinek opowiadał o cmentarzach, ale gdy go skończyłem, nie wróciłem do domu. Tym się właśnie zajmuję: robię filmy fabularne i dokumentalne.

– Naprawdę? – kobieta była pod wrażeniem. Pomyślała własnej kariery telewizyjnej i o tym, ile poświęciła, gdy zaadoptowali z Rogerem Willa.

Ben Wilbrahams rozlał kawę do filiżanek.

– W tej chwili prowadzę badania dotyczące Highfield wszystkich tych szalonych, a może wcale nie tak szalonych historii, które fascynowały też pani męża.

– Może by mi pan coś o nich powiedział? – zaproponowała pani

Burrows.

Will usiadł prosto i przetarł oczy, przekonany, że słyszał dźwięk dzwonka. Jeśli rzeczywiście tak było, to mógł dzwonić tylko ten przy drzwiach barykady.

Chłopiec obserwował z szezłonga, na którym spał tej nocy, zachowanie Bartleby ego. Wielki kot drzemał dotąd smacznie, zwinięty w kłębek przed kominkiem, teraz jednak podniósł łeb i spojrzał leniwie na ogród. Po chwili ponownie położył głowę na dywanie i natychmiast zasnął. Will pomyślał, że skoro Bart jest taki spokojny, to jemu po prostu musiało się coś przyśnić. Więc również opadł na posłanie i zamknął oczy.

W tym momencie z sąsiedniego pokoju wyszedł zdenerwowany Chester, który czuwał przy Elliott.

- Nie leż tak! – krzyknął.
- Co? – spytał sennie Will.
- Dzwonek! Na pewno go słyszałeś.

Chłopiec zwłókł się z szezłonga i popatrzył na Chestera stojącego w drzwiach.

- Jesteś pewien, że to był dzwonek? – spytał, kiedy obaj spojrzeli w stronę barykady.
- Całkowicie.
- Może to Marta – zasugerował Will. – Może wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić pułapki.

Przyjaciel nie musiał odpowiadać – w tym samym momencie do salonu wpadła Marta i bez słowa popędziła w stronę schodów. Wciąż miała na sobie brudną, białą, sięgającą kostek koszulę nocną, co świadczyło o tym, że i ona została wyrwana ze snu. Zdążyła jednak zabrać ze sobą kuszę, a w drodze do bramy nałożyła pocisk.

- Wygląda na to, że spodziewa się kłopotów – zauważył ponuro Chester.



Dotarłszy do barykady, kobieta wyjrzała przez wizjer. Zerknąwszy w stronę chłopców, odsunęła zasuwę i otworzyła grube drzwi. Potem postąpiła krok do przodu, mierząc przed siebie z kuszy. Wyglądała na spiętą.

– Co mogło pociągnąć za dzwonek? – zastanawiał się głośno Will. – Pajęcze małpy?

– Pst! – syknął Chester. – Posłuchaj. Marta chyba z kimś rozmawia.

– Marta nigdy nie przestaje rozmawiać – odparł kolega. – Nawet jeśli nie ma z kim.

– Will! – zawołała nagle gospodyni. – Chodź tutaj! Ktoś pyta o ciebie.

Chłopcy spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Mówi, że jest twoją siostrą – dodała kobieta.

– O kurde! Nie wierzę! – wybuchł Chester, uderzając pięścią w futrynę. – Twoja cholerna siostra! Te wredne krowy, morderczynie, przyszły za nami aż tutaj! – Odwrócił się i znikł we wnętrzu domu.

Jednak Will już szedł do bramy, przejęty jednocześnie ciekawością i strachem.

Marta patrzyła prosto przed siebie, wciąż trzymając broń gotową do strzału.

– Znasz ją? – spytała Willa przez zaciśnięte usta.

Chłopiec ostrożnie wysunął głowę za drzwi.

To była Rebeka!

Przed barykadą stała jedna z bliźniaczek. Trzymała przed sobą splecione dłonie, a jej twarz cała była brudna i wilgotna od łez.

– Och, Will! – wychrypiała, kiedy tylko go zobaczyła. – Pomóż mi! Proszę... proszę, pomóż mi!

Chłopiec zaniemówił z wrażenia.

– Ma na sobie mundur Granicznika – warknęła Marta, zaciskając palce na kuszy z taką siłą, że aż zbieleły jej kłykcie. – Jest Styksem!

Chłopiec wreszcie odzyskał głos.

– Tak... Styksem. Mówiłem ci, że jest Styksem – zwrócił się do kobiety. Potem odezwał się do Rebeki: – O co chodzi?! Po co tu przyszłaś?!

– Och, Will – błagała kulejąca bliźniaczka. – Musisz mi pomóc. Ona wrzuciła mnie do Czułości!

– Jesteś sama? Są tu z tobą inni Styksowie? – spytał Will, odzyskawszy w końcu zdolność logicznego myślenia. Spojrzał w ciemność za plecami dziewczyny. – Nie wiadomo, czy nie ma tutaj jej siostry albo innego Styksa. To może być pułapka – mówił szybko do gospodyni.

Wciąż mierząc do bliźniaczki, Marta podeszła do przodu i zajrzała do wnętrza tunelu.

– Nie widzę nikogo więcej – stwierdziła.

Rebeka cofnęła się o kilka kroków, gdy kobieta ją minęła. Will zauważył wtedy, że dziewczyna utyka, jakby coś stało się jej w nogę. Wyglądało też na to, że wręcz panicznie boi się Marty.

– Jestem sama... – zaczęła bełkotać, zwracając się do brata. – Jej tutaj nie ma... Mojej siostry... To ona wrzuciła mnie do otchłani...

– Na kolana, ręce na głowę! – rozkazała ostro Marta.

– Moja siostra... ona... zepchnęła mnie do Czułości – bełkotała nadal Rebeka, lecz wykonała polecenie.

– Dlaczego miałyby to zrobić? – spytał Will.

– Bo nie chciałam jej już słuchać. Ona jest szalona... Powiedziałam jej, że nie będę brała w tym udziału. – Z oczu dziewczyny płynęły strumienie łez, a jej ramiona drżały od płaczu. – Ona jest chora, Will. To ona kazała mi to wszystko robić. Musiałam... Groziła, że mnie zabije, wiele razy. – Wciąż trzymając ręce na głowie, podniosła zapłakane oczy na brata.

– Masz nas chyba za kompletnych idiotów! – wrzasnął Chester.

(Will nawet nie zauważył, że przyjaciel do niego dołączył). – Ty kłamliwa krowo! – ryknął znowu, ogarnięty furia, rozsiewając kropelki śliny. Zrzucił z ramienia karabin i wymierzył w klęczącą dziewczynę.

– Nie! Chester! – zawołał Will, doskakując do niego.

Zdołał podbić lufę ułamek sekundy przed strzałem. Pocisk uderzył w skałę gdzieś za plecami Rebeki. Dziewczyna rzuciła się na ziemię, skamląc ze strachu.

Tymczasem chłopiec już odciągał zamek, przygotowując się do drugiego strzału. Nie zastanawiając się wiele, Will go odepchnął. Chester był tak zaskoczony, że zwolnił chwyt na karabinie i pozwolił, by Will wyrwał mu broń z rąk.

– Co robisz?! Oddaj to! – zażądał Chester i zgarbił się lekko, niczym rugbista szykujący się do ataku.

– Spokojnie, Chester! – zawołał Will i zasłonił się karabinem, gotów w razie potrzeby odeprzeć atak.

– Ona jest Styksem – dobiegł go zza pleców pełen nienawiści głos Marty.

Odwrócił się i odruchowo uderzył kolbą karabinu w kuszę kobiety. Pocisk przeciął ze świstem powietrze i trafił w kamienie tuż obok drżącego ciała dziewczyny.

– Boże! Przestańcie oboje! – krzyknął chłopiec. – Natychmiast przestańcie!

Teraz miał przeciwko sobie zarówno Chestera, jak i Martę. Patrząc na ich miny, nie mógł wcale wykluczyć, że pokonają jego opór i w końcu dopadną Rebeke.

– Co się z wami dzieje?! Omal jej nie zastrzeliliście!

– Zgadza się – odparł chłodnym, nienawistnym tonem jego przyjaciel. – Niestety, nie zastrzeliliśmy.

– Ale... – zaczął Will.

– Ale co?! Nie byłeś w więzieniu tyle co ja. Nie przeszedłeś przez to co ja. – Chester wskazał palcem na Rebeke. – Ta podła krowa była tam, kiedy mnie bili! Ona też mnie biła.

Śmiała się, jakby to był świetny żart. – Spojrzał gniewnie na dziewczynę. – Teraz chętnie bym z nią tak samo po-żartował!

Will wyprostował się i spojrzał przyjacielowi w oczy.

– Nie możemy jej tak po prostu zabić. Nie tutaj i nie w ten sposób. Może mówi...

– Prawdę? Że to nie ona, tylko jej siostra? – przerwał mu Chester. – Daj spokój, Will, oprzytomniej! One obie są dokładnie takie same: złe do szpiku kości. A co z Calem, z Tamem, co z twoją babcią? Zapomniałeś już, że ci psychole też ich zabili? A co z wszystkimi innymi ludźmi, których wymordowali? Ona musi umrzeć!

– Nie pozwolę, żebyś to zrobił – odparł Will. Wyjął magazynek, sprawdził, czy komora jest pusta, po czym oddał karabin koledze. – Nie z zimną krwią.

– Dlaczego nie? – zgrzytnął zębami Chester. – Zgadzasz się ze mną, Marto, prawda?

Kobieta skinęła głową.

– Całkowicie. Trzeba z nią skończyć – potwierdziła.

– Nie – odparł chłopiec drżącym głosem. – Nie. Nie jesteśmy tacy jak Styksowie.

Gdybyśmy ją zabili, stalibyśmy się tacy sami jak oni.

Chester wbił w przyjaciela ciężkie spojrzenie, po czym splunął na dziewczynę i wrócił za barykadę.

Marta stała w bezruchu, trzymając kuszę tak, jakby się zastanawiała, czy nie załadować jej ponownie.

– No dobrze, wyjaśnijmy to sobie – zwróciła się do chłopca. – To jest jedna z tych bliźniaczek, o których mówiłeś, jedna z oszustek, która udawała, że jest twoją siostrą, i robiła wszystko, co mogła, żeby

zamienić twoje życie w piekło... żeby cię dopaść i zabić. A ty chcesz pozwolić, żeby uszło jej to na sucho...?

Will kilkakrotnie przeciągnął dłonią przez swe białe włosy, jakby nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Ja... nie wiem... ale powinniśmy najpierw wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Marta pokręciła głową i uśmiechnęła się cierpko.

– Obiecuj mi coś, Will.

– Co takiego?

– Pozwolisz jej powiedzieć, co tylko chce, a kiedy już wysłuchasz tych wszystkich kłamstw, przyprowadzisz ją tutaj z powrotem i sam ją wykończysz?

– Ja... ja... – jąkał się chłopiec.

– Tak to się właśnie zaczyna. – Kobieta opuściła głowę, jakby nagle ogarnęło ją wielkie znużenie. – Białe Szyje wciskają się do środka i nim się zorientujesz, budzisz się z nożem tych bydlaków na gardle. – Wzięła głęboki oddech i spojrzała Willowi w oczy. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, kochany.

Chłopiec był całkiem zdezorientowany.

– Nie, prawdę mówiąc, nie – przyznał. Usłyszał chlipanie Rebeki i odwrócił się w jej stronę. – Wstawaj, Rebeko, czy jak się tam nazywasz. Idziesz z nami.

Dziewczyna nie drgnęła.

– Powiedziałem, wstawaj!

Bliźniaczka podniosła się wolno z ziemi, drżąc ze strachu i wpatrując się z przerażeniem w chłopca.

– Marto? – zaczął Will.

– Słucham – burknęła kobieta, przesywając dziewczynę pogardliwym spojrzeniem.

– W rzeczach, które Nathaniel przyniósł z galeonu, znalazłem

kajdany na nogi.

– Wreszcie zaczynasz mówić do rzeczy – warknęła gospodyni, chwytając Rebeke za rękę i wykręcając ją jej za plecy. Potem pchnęła chlipiącą dziewczynę w stronę domu.

Will przystanął jeszcze na moment, by ogarnąć spojrzeniem ciemności zalegające przed barykadą, po czym wszedł do środka i zatrzaskał drzwi.

Granicznik ukryty w tunelu odsunął się od ściany, wykonawszy misję. Wysunął prowizoryczną włócznie przed siebie, gotów rozprawić się z następnymi pajakami, które stanęłyby mu na drodze.

– Dziecinna igraszka – mruknął ponuro, ruszając w głąb korytarza na spotkanie ze swoim towarzyszem. Być może odnosił się do faktu, że znał już układ korytarzy równie dobrze jak blizny na własnej dłoni, a może do tego, że pająki i inni przedstawiciele miejscowej fauny okazali się nadspodziewanie łatwą zdobyczą.

# Rozdział trzynasty



Chester wyszedł na werandę z kubkiem w dłoni. Usiadł na krześle obok przyjaciela i skrzyżował nogi, wydając przy tym przeciągłe „hm...”.

– Wszystko w porządku? – spytał Will niepewnie.

– Chyba tak – mruknął Chester, nie patrząc na kolegę. – Will... to jest... – zaczął, po czym zerknął na niego z ukosa i pociągnął łyk herbaty.

– Co? – spytał Will, choć dobrze wiedział, jakiej odpowiedzi może się spodziewać.

Herbata Chestera była najwyraźniej znacznie cieplejsza, niż sądził; musiał wziąć kilka szybkich oddechów, by ochłodzić usta, nim zdołał odpowiedzieć.

– Ta dziewczyna zrobiła z naszego życia piekło – mówił, gniewnie zaciskając wargi. – A ty jej to wszystko odpuszczasz, jakby nic się nie stało.

– Nie odpuszczam jej – zaprotestował od razu Will. – Chodzi tylko o to...

– O co?! – przerwał mu Chester, jeszcze bardziej rozzłoszczony. – Daj spokój, Will!

Zachowujesz się jak... sam nie wiem... jak mięczak!

– Wcale nie – odrzekł przyjaciel, starając się za wszelką cenę zachować spokój.

– A mnie się wydaje, że popełniasz właśnie największy błąd w

swoim życiu. – Chester zamyślił się na moment. – A przynajmniej jeden z największych – dodał.

– Posłuchaj, Chester, musisz to zrozumieć – zaczął Will, masując sobie czoło, by złagodzić ból głowy, który dopadł go po incydencie z Rebeką. – A przynajmniej spróbuj zrozumieć. Mógłbym bez problemu odsunąć się na bok i pozwolić, żebyście ją zabili.

– Owszem, więc dlaczego tego nie zrobiłeś? – dopytywał się kolega.

– Bo potem byś tego żałował. Nie masz już dość zabijania? Gdybyśmy wykończyli Rebeke, nie różnilibyśmy się niczym od niej i innych Styksów. Nie możemy się zniżyć do tego samego poziomu.

– Nie porównuj nas z nimi! – warknął Chester, rozgniewany. – My jesteśmy dobrzy.

– Jeśli strzelimy w głowę dwunastoletniej dziewczynce, już nie będziemy dobrzy – odparł Will.

Chester cmoknął z irytacją.

– Nie zapominasz przypadkiem, że ona jest cholernie niebezpieczna? A jeśli jej siostra już czeka za barykadą z całą armią Graniczników? Jeśli czeka tylko na sygnał, żeby przypuścić szturm i zabić nas wszystkich? Co wtedy? Co? – Prychnął przez nos jak rozwścieczony byk, choć teraz przynajmniej już nie krzyczał.

– A niby dlaczego miałyby z tym czekać? Mogą zrobić to w każdej chwili – odparował Will.

Jego kolega machnął ręką, jakby odsuwał tę odpowiedź na bok, po czym nagle zmienił taktykę.

– A jeśli chodzi o zabicie Rebeki... Znasz chyba takie przysłowie? Kto mieczem wojuje...

– Od miecza ginie – dokończyła Marta, która właśnie wyszła na werandę i postawiła metalową tacę na podłodze obok Willa. – Jedzenie dla twojego więźnia.





Kiedy się odwróciła i weszła z powrotem do domu, chłopiec zauważył, że gospodyni wgiąź nosi ze sobą kuszę. Najwyraźniej obawiała się pojawienia się innych Styksów równie mocno jak Chester.

Will spojrział na tacę, ale po nią nie sięgnął.

– Myślisz, że ja nie pragnę zemsty, Chester? Do cholery, spójrz tylko, co zrobili z Calem, wujem Tamem, moją prawdziwą mamą i babcią Macaulay! Przez nich zginął również mój tata. Ale zabicie Rebeki nie jest... nie jest rozwiązaniem. – Uderzył pięścią w oparcie krzesła kolegi. – Nie słuchasz mnie. Spójrz na mnie, dobrze?

– Co? – mruknął przyjaciel i popatrzył na niego.

– Musisz mi uwierzyć: nie przebaczyłem jej. Nawet na sekundę.

Chester skinął lekko głową.

Will wstał i zabrał jedzenie.

– Poza tym nigdy nie wiadomo, może ona będzie mogła nam jakoś pomóc. Może wie, jak wyjść z Czeluści. Moglibyśmy wtedy zdobyć lekarstwa dla Elliott. Gdybyśmy po prostu zabili Rebeke, niczego byśmy się nie dowiedzieli.

– Może i masz rację – przyznał kolega. – Poproś ją o trzy bilety na ekspres do Highfield, zgoda? – Potarł nos wierzchem dłoni i dodał: – W pierwszej klasie.

– Zrobię to. – Will czuł ogromną ulgę, że ta sytuacja nie poróżniła go na powrót z przyjacielem. Od czasu pobytu w Głębi miał już dość wszelkich sprzeczek i dąsów. – I przepraszam, że cię tak mocno popchnąłem i że wyrwałem ci karabin.

– W porządku – skinął głową Chester.

Will ruszył w dół schodów, jednak jeszcze przystanął na moment i odwrócił się do przyjaciela.

– A przy okazji: nie oparzyłeś się czasem tą herbatą w jezor? – spytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Spadaj! – roześmiał się głośno chłopiec.



Rebeka została uwięziona w komórcie na drewno – najsolidniejszej spośród przybudówek na tyłach domu. Marta osobiście dopilnowała, by dziewczyna nie miała żadnych szans na ucieczkę: przyglądała się uważnie poczynaniom Willa, gdy ten przeszukał najpierw swoją przyszywaną siostrę, a potem zamknął na jej nogach potężne klamry, zapięte równie masywnymi kłódkami. Jakby tego było mało, kobieta przeciągnęła między kajdanami gruby łańcuch, który przymocowała do belki w rogu składowiska.

– Bliźniaczki... – mruknął Will, niosąc tacę do komórki.

Choć widział je na własne oczy na skraju Czełusci, wciąż musiał przypominać samemu sobie, że są dwie Rebeki. Przez wszystkie te lata na zmianę szpiegowwały go w Highfield. Były do siebie podobne jak dwie krople wody, nie miał więc pojęcia, która kiedy to robiła.

Gdy wszedł do komórki, Rebeka siedziała po turecku na ziemi, ze zwieszoną nisko głową.

Słyszając zgrzyt otwieranych drzwi, podniosła wzrok. Jej włosy – zawsze perfekcyjnie ułożone – były teraz brudne i rozczochrane, a twarz pokryta warstwą kurzu. Chłopiec przystanął, naprawdę poruszony tym widokiem – przez wszystkie lata w Highfield dziewczyna nigdy nie pozwalała sobie nawet na najmniejsze zaniedbanie. Z kolei podczas pobytu w Kolonii Rebeka nosiła czarną suknię z białym kołnierzem – mundur Styksów, który dodawał jej powagi i sprawiał, że biło od niej poczucie siły i władzy. Teraz jednak, zapłakana, obszarpana i brudna, nie wydawała się już wcale tak silna i groźna. Wyglądało na to, że jedna z piekielnych siostrzyczek upadła naprawdę bardzo nisko.

Ostrożnie, jakby zbliżał się do bardzo niebezpiecznego zwierzęcia, Will postawił przed nią tacę z jedzeniem, a potem cofnął się o krok.

– Dziękuję ci, Will – odezwała się słabo. – I dziękuję za to, co zrobiłeś przed wejściem.

Uratowałeś mi życie. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Przestań! – warknął chłopiec, podnosząc rękę. – Wcale nie chcę twojej wdzięczności.

– Dobrze – odparła cicho Rebeka, grzebiąc w jedzeniu bez większego apetytu. – Ale mam nadzieję, że mi wierzysz. Musiałam zrobić to, co kazali mi siostra i inni Styksowie.

Gdybym odmówiła, torturowaliby mnie albo nawet zabili. Nie masz pojęcia, jak to jest żyć tyle czasu w strachu.

– Doprawdy? Wydawało mi się, że twoi ludzie zdążyli mi pokazać, do czego są zdolni – odpowiedział chłopiec z kamienną twarzą.

– To nie zależało ode mnie, Will.

– Przestań! – wybuchł nagle, ponieważ już nie mógł dłużej powstrzymać gniewu. Jego twarz nabiegła krwią. – Co, myślisz może, że uwierzę teraz w każde twoje słowo?! Nie jestem aż taki głupi!

– Tylko wykonywałam rozkazy – szepnęła Rebeka, kuląc się odruchowo. – Musisz mi uwierzyć, Will.

– Och tak, świetnie, zostanemy na nowo bratem i siostrą. Możemy pobawić się w szczęśliwą rodzinę, jak kiedyś parsknął drwiąco chłopiec. – Mów sobie, co chcesz, i tak nic ci z tego nie przyjdzie.

Gdy wypowiadał te słowa, stanęły mu przed oczami różne obrazy z minionego życia w Highfield. Tyle razy Rebeka dokuczała mu w sposób właściwy tylko młodszemu rodzeństwu, aż całkiem tracił cierpliwość – o co jej zresztą chodziło. Teraz, gdy serce znów biło mu jak szalone i z trudem łapał powietrze, czuł się dokładnie tak jak wtedy, pomimo wszystkich straszliwych wydarzeń, które miały miejsce od tamtego czasu.

Nagle do komórki wpadł Bartleby, wymachując energicznie ogonem. Podbiegł prosto do Rebeki i usiadł obok niej.

Dziewczyna zgarnęła trochę mięsa z tacy i podała mu je prosto z ręki. Gniew Willa ustąpił zaskoczeniu, gdy kot bez wahania wziął od niej jedzenie, jakby dobrze ją znał i jej ufał.

Rebeka zauważyła zdumioną minę brata.

– Opiekowałam się nim w Kolonii – wyjaśniła. – Bartleby był w fatalnym stanie, kiedy przywieźliśmy go do domu. – Podążyła kotu kolejną porcję jedzenia, pozwalając, by sos skapywał jej na ubranie.

„To zupełnie niepodobne do Rebeki” – pomyślał mimowolnie chłopiec.

Bartleby przełknął mięso i zaczął głośno mrużyć.

– Miłość z wyrachowania – stwierdziła smutno Rebeka, zerkając na Willa.

– Mam do ciebie kilka pytań – odezwał się chłopiec. – Jeśli uznam, że mnie okłamujesz, oddam cię w ręce Chestera i Marty. Zrozumiałaś?

Dziewczyna skinęła głową z powagą.

– Naprawdę jesteś tutaj sama?

– Tak – odparła z przekonaniem.

– Więc nie ma gdzieś w pobliżu twojej siostry ani żadnego innego Styksa?

– Jestem zupełnie sama – potwierdziła.

– I wpadłaś do Czułości tak jak my?

– Zostałam do niej wepchnięta – sprostowała Rebeka.

Will miał wrażenie, że jej dolna warga drży lekko, jakby dziewczyna miała się rozpłakać.

Jednak nim zdążył się upewnić, sięgnęła po jedzenie.

– Musimy jak najszybciej wydostać się z Czułości. Elliott jest w kiepskim stanie, potrzebuje lekarza – poinformował zwięźle chłopiec.

– Przykro mi to słyszeć, ale nie wiem, jak można się stąd wydostać – odparła Rebeka, przeżuując.

– A co z tym de Jaybo? – nie dawał za wygraną Will. – Naprawdę udało mu się stąd wyjść?

– Tak, choć nikt nie wie, jak tego dokonał – odrzekła. – Podobno tata bardzo chciał obejrzyć jego rysunki, ale mu odmówiono.

Will natychmiast się najeżył. Jego zdaniem Rebeka nie miała najmniejszego prawa nazywać doktora Burrowsa ojcem. Dziewczyna wyczuła jego złość i opuściła niżej głowę, jakby nagle ogarnął ją głęboki smutek.

– Ja też za nim tęsknię – wymamrotała. – Robiłam wszystko, co mogłam, żeby nikt nie wyrządził mu krzywdy, gdy przebywał w Kolonii.

– Widziałas go tam?

– Nie pozwolono mi. Och, Will, żałuję, że nie mogłam zrobić dla niego nic więcej.

Chłopiec zamknął oczy i przycisnął powieki palcami. Ból głowy wciąż nie ustępował. Marzył o tym, żeby wrócić do domu i zapaść w głęboki sen, odciąć się od wszystkiego.

– Musisz mi uwierzyć, Will. Zmuszano mnie, żebym robiła te okropne rzeczy. Nie miałam wyjścia.

Chłopiec w końcu otworzył oczy.

– Jak mam cię przekonać, że mówię prawdę? – spytała.

Will wzruszył ramionami.

– A gdybym ci dała to? – Palcami brudnymi od sosu sięgnęła za kołnierz i wyjęła dwie szklane fiolki zawieszane na cienkim sznurku.

– Gdybym w geście dobrej woli dała ci Dominion i szczepionkę? – Jednym ruchem dłoni zerwała sznurek i podała je chłopcu. – Proszę, weź je. To jedyne próbki, jakie mieliśmy, a teraz... teraz są twoje.

Will bez słowa przyjął szklane pojemniczki i podniósł je do światła, by się przyjrzeć przezroczystej cieczy zamkniętej w środku.

– Skąd mogę wiedzieć, czy to naprawdę jest Dominion? zapytał w końcu.

– Bo jest – odparła krótko Rebeka, wzruszając ramionami. Łańcuchy na jej chudych nogach zabręczały głośno, gdy zmieniała pozycję tak, by mogła patrzeć na rozmówcę, nie wykręcając szyi.

– Ale dlaczego w ogóle trafiły w ręce twoje i twojej siostry?  
Dlaczego właśnie wy?

– Bo jesteśmy ważne – wyjaśniła spokojnie dziewczyna.

– Co masz na myśli?

– Jestem pewna, że podczas pobytu w Kolonii zorientowałeś się, że nie żyjemy w rodzinach jak Górnoziemcy. Kiedy mój tata zginął z rąk twojego wuja Tama...

-Moskit? przerwał jej. – Więc on był waszym ojcem!

Oczy Rebeki zapłonęły na moment żywym ogniem, jakby ogarnęła ją niepokonana furia, którą pragnęła wyładować na Willu. Ten zaś domyślił się w tym momencie, że powtarzając przezwisko, którym Tam i jego gang określali znienawidzonego Styksa, obraził pamięć jej zmarłego ojca. Dziewczyna zamrugła jednak szybko i odwróciła wzrok. Gdy po chwili spojrzała na chłopca, była już spokojna i opanowana.

– Moja siostra i ja wraz z naszym dziadkiem mieliśmy dokończyć dzieła oczyszczenia.

Dlatego dostałyśmy te fiołki.

– Oczyszczenie? O czym ty mówisz? – ponownie zdziwił się chłopiec.

– Tak nazywaliśmy nasz plan. Chodziło o to, by wypuścić Dominium w Górnoziemiu i wypełnić proroctwo Księgi Katastrof.

Will grzebał przez chwilę w pamięci, starając się przypomnieć sobie, czy podczas pobytu w Kolonii widział dziadka Rebeki albo o nim słyszał, lecz nagle nasunęło mu się pytanie.

– Kiedy byliśmy nad Czeluścią ty i twoja siostra miałyście po jednej fiołce. Jak to się stało, że teraz masz je obie?

– Dała mi swoją na przechowanie. Ta z czarną zatyczką to wirus, ta z białą to szczepionka.

– Chwileczkę – przerwał jej Will. – To bez sensu. Skoro ty miałas

obie fiołki, to dlaczego zepchnęła cię do otchłani?

Dlaczego miałyby zrobić coś równie głupiego? – pytał, pewien, że przyłapał Reбекę na kłamstwie.

– Bo byliśmy na siebie naprawdę wkurzone. Kłóciłyśmy się, a ona całkiem straciła panowanie nad sobą i popchnęła mnie, nie myśląc wcale o wirusie – odparła dziewczyna bez wahania.

– O co się kłóciłyście?

– Już ci mówiłam: kiedy wszyscy wpadliście do Czeluści, stwierdziłam, że mam dość.

Powiedziałam jej, że nie będę dłużej brać w tym udziału. Ze napatrzyłam się już na śmierć i cierpienie. Wtedy wpadła we wściekłość.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? A może twój dziadek i siostra mają inne próbki wirusa i spokojnie realizują plan, podczas gdy my siedzimy tutaj bezczynnie?

– Nie mają. Ciecz zamknięta w tej fiołce to jedyna próbka wirusa, wystarczająco duża, żeby wywołać pandemię.

– Dlaczego nie mieliby zrobić po prostu trochę więcej tej substancji? – dziwił się Will, spoglądając na pojemnik z czarną zatyczką.

– To nie takie łatwe. Mogą spróbować ją odtworzyć, ale wyhodowanie takiego samego szczepu zajmie im co najmniej kilka miesięcy, a nawet lat. Możesz mi wierzyć albo nie, ale przysięgam, że ta fiołka zawiera jedyną próbkę wirusa. – Zamilkła na moment i otarła twarz brudną ręką. – Teraz masz więc klucz.

– Naprawdę?

– Tak. – Czarne jak węgiel oczy Rebeki popatrzyły na niego z niezachwianą pewnością.

– Oddaj te próbki odpowiednim ludziom na powierzchni, a oni przygotują szczepionkę dla wszystkich mieszkańców Górnoziemia.

Jeśli później jakimś cudem wirus zostanie odtworzony, a plan oczyszczenia zostanie zrealizowany, nie przyniesie żadnego, ale to żadnego skutku. Masz teraz możliwość unieszkodliwić Dominionum.

– Jasne, wszystko pięknie, tylko jak dostanę się z powrotem na powierzchnię? – spytał Will.

– Sam musisz na to wpaść. Zawsze umiałeś radzić sobie w takich sytuacjach. A kiedy już ci się to uda, musisz zabrać mnie ze sobą – oświadczyła dziewczyna. – Bo mogę ci się przydać. Mogę opowiedzieć ludziom o wszystkim. – Westchnęła głęboko i spojrzała na Bartlebyego, który drzemał u jej boku. – Wiem, że mi nie uwierzysz, ale naprawdę okropnie tęsknię za tatą. Przecież jest też moim ojcem.

– Pośpiesz się, ty stary pierdzielu – mruknęła Rebeka pod nosem.

– Mówiłaś coś? – spytał doktor Burrows, pochylony nad kamiennymi tabliczkami, i zerknął niepewnie na Granicznika, który bez ustanku krążył wokół niego.

– Nie, nic – odparła dziewczyna niewinnym tonem. – Jak idzie, kończysz już?

– Ha! – wykrzyknął mężczyzna. – Prosisz mnie o niemożliwe. Dotąd udało mi się odczytać tylko coś o siedmiu...

– Siedmiu czym? – przerwała mu.

– Nie wiem. Umiem tylko odczytać słowo „siedem” albo „siódmy”, ale nie wiem, do czego się to odnosi. To naprawdę żmudna praca; czasem udaje mi się odczytać parę słów, lecz nadal nic nie rozumiem. – Doktor poprawił okulary i spojrzał na Rebeke, która przysiadła na grzybowym kopcu.

– Och, daj spokój, to nie może być aż tak skomplikowane – ponaglała go.

– Mówiłem ci to już parę razy, ale ty mnie w ogóle nie słuchasz. Muszę mieć rysunek kamienia doktora Burrowsa z mojego dziennika – odrzekł mężczyzna, zniechęcony. – Tu jest zbyt wiele zmiennych i



niewiadomych, żebym mógł zrobić to szybko. Trzeba mnóstwa czasu, żeby złożyć to wszystko w całość; chyba że masz tu gdzieś pod ręką szyfranta z dobrym komputerem.

Granicznik powiedział coś do Rebeki w nosowym języku Styksów. Dziewczyna skinęła głową.

– No dobrze – zaczęła, zsuwając się z grzyba. – Jakie mamy możliwości? Na tych tabliczkach jest mapa; nawet jeśli nie potrafisz odczytać słów, to chyba możemy ją wykorzystać, bo wskazuje jakąś drogę.

– Cóż... – zaczął doktor Burrows, jeszcze bardziej przybity.

– No śmiało, wyrzuć to z siebie, co możemy zrobić? – ponaglała go Rebeka.

– Możemy prowadzić poszukiwania, dopóki nie znajdziemy czegoś, co wiąże się z rysunkami na mapie. Wtedy, być może, uda nam się znaleźć drogę wyjścia.

Dziewczyna zastanawiała się nad tym przez moment.

– Chwileczkę, bo nie jestem pewna, czy dobrze cię rozumiem... Chcesz, żebyśmy całymi dniami włóczyli się po tych brudnych tunelach w nadziei, że znajdziemy coś znajomego, najlepiej z wielkim napisem SIEDEM? To wszystko, co potrafisz wymyślić? – spytała zjadliwie.

– A masz jakiś lepszy pomysł? – odpowiedział pytaniem mężczyzna. – Możemy zacząć od miejsca, w którym znalazłem szkielet z tabliczkami. Potem możemy zataczać coraz większe kręgi, przeczesując każdy centymetr tuneli... szukając czegoś, co byłoby wskazówką.

Rebeka nie wyglądała na przekonaną.

– Jakoś to do mnie nie przemawia – stwierdziła.

Doktor Burrows spojrzał na nią z konsternacją.

– Rebeko, dlaczego nagle tak bardzo chcesz mi pomagać? Przez

wszystkie te lata, gdy mieszkaliśmy w Highfield, w ogóle nie interesowałaś się moją pracą.

– Chcę tylko wrócić do domu, do moich rodaków, tato odparła dziewczyna przymilnym tonem. – Albo przynajmniej wydostać się z tego paskudnego miejsca. No dobrze zaczęła, zerkając na Granicznika – wypróbujemy plan B, choć nie chciałabym oddalać się za bardzo.

– To świetnie – skinął głową doktor, zawijając tabliczki w chustkę. – A po drodze opowiesz mi coś więcej o swoich rodakach. Tak mało o nich wiem...

– Ty i reszta świata – westchnęła Rebeka. W języku Styksów dodała: – Tak zawsze było i tak zawsze będzie.

Kiedy Will wrócił do domu, w salonie już nie było Chestera. Pomyślał, że przyjaciel czuwa przy Elliott. Właściwie było mu to na rękę – musiał przemyśleć sobie kilka spraw.

Bartleby przeszedł obok niego, zmierzając prosto na dywanik przed kominkiem, gdzie przeciągnął się rozkosznie, jak potrafią tylko koty.

– Dobry, stary Bart – pokiwał głową chłopiec i usiadł na dywanie obok niego.

Wyjął z kieszeni fiolki, związał ponownie supeł na sznurku, rozerwany przez Rebeke, i patrzył na nie przez chwilę, zastanawiając się, czy rzeczywiście zawierają Dominion. Trzask ognia nasunął mu pewien pomysł: jak łatwo byłoby wrzucić do niego oba pojemniczki.

Chłopiec wiedział, że wysoka temperatura zniszczyłaby wirus, a gdyby nawet jego część wydostała się na zewnątrz, najprawdopodobniej zarazki nie dotarłyby aż do Górnoziemia.

Po krótkim namyśle Will uznał jednak, że nie jest to dobry pomysł – ani on, ani jego towarzysze nie uszliby daleko, gdyby wirus mimo wszystko wymknął się z płomieni. A przecież nie chciał umierać jak zamknięci w celach ludzie, o których opowiadał mu Cal. Być może, rozmyślał, lepiej byłoby namówić Martę, by rozpałała ogień z dala od

domu i tam spaliła fiolki – na wszelki wypadek.

Nie mógł jednak zignorować tego, co mówiła Rebeka gdyby rzeczywiście zdołał wynieść fiolki do Górnoziemia, udaremniłby ostatecznie wszelkie plany Styksów zmierzające do wywołania pandemii. Biorąc to pod uwagę – rozumował – postąpiłby bardzo pochwycie, niszcząc obie fiolki.

Uświadomił sobie również, że, teraz po prostu musi jak najszybciej powrócić na powierzchnię i wynieść tam ten śmiertelny wirus. Nie miał pojęcia, jak tego dokona ani co właściwie robi, gdy znajdzie się już w Górnoziemiu, ale musiał spróbować.

Bartleby ziewnął szeroko.

– Dlaczego moje życie nie może być takie jak twoje, Bart? Miłe i proste – mówił Will, drapiąc kota za uszami. – Chcesz się zamienić?

Łowca potarł pyskiem o jego dłoń i zaczął głośno mruczeć. Jego chudy ogon przesuwiał się powoli z boku na bok, co do złudzenia przypominało wychudzonego węża kwitującego tuż nad podłogą.

– Dobry chłopak – uśmiechnął się Will, a kocur otworzył swe wielkie ślepia i spojrzał na niego z czułością. – Więc co mam zrobić? – spytał głośno, choć żadnej innej osoby nie było w pokoju.

Podniósł fiolki i patrzył jeszcze przez chwilę na przezroczystą ciecz, za którą tańczyły języki ognia.

Bartleby uznał zapewne, że jego pan chce się z nim pobawić, więc pacnął pojemniczki wielką łapą, próbując strącić je na podłogę.

– Aaaj! Nie! – Chłopiec szybko zamknął fiolki w dłoni. – O kurde, niewiele brakowało! – wykrztusił, wyobrażając sobie brzęk szkła i śmiertelnie groźną ciecz rozlewającą się po podłodze.

Bartleby przestał mruczeć i przyglądał się mu z irytacją, rozczarowany zapewne, że popsuł taką dobrą zabawę.

Will natychmiast podszedł do najbliższej skrzyni i wysunął górną szufladę.

– Jest – mruknął do siebie, odnalazłszy mały, skórzany kapciuch, który wypatrzył tam wcześniej. Ostrożnie owinął fiolki kawałkiem juty, a potem włożył zawiniątko do kapciucha.

– Świetnie. To powinno ochronić naczynka przed uderzeniami... i kotami – dodał, ważąc woreczek w dłoni i spoglądając z ukosa na Barta.

Potem zmarszczył brwi i zamyślił się na moment. – Chester powinien o tym wiedzieć – stwierdził i ruszył w stronę pokoju Elliott.

Kiedy wszedł do środka, przyjaciel siedział na krześle obok łóżka chorej. Zanurzył szmatkę w miednicy, wykręcił ją i otarł czoło dziewczyny.

– Jest bardzo odwodniona – powiedział. – Spójrz tylko na nią. Zrobiła się okropnie chuda. Zresztą i tak nigdy nie była zbyt duża.

– Odchodzi – skinął głową Will, powtarzając to, co powiedziała Marta o swym zmarłym synu.

– Tak – zgodził się z nim Chester. – Może miałeś rację. Może rzeczywiście powinniśmy stąd odejść i poszukać ratunku na zewnątrz. Nic by nam się nie stało, gdybyśmy zabrali ze sobą anyżkowy ogień do obrony przed pajakami. A gdyby nam się nie udało, może Marta zechciałaby przyjąć nas z powrotem.

– Wątpię – mruknął Will. – Zwłaszcza gdybyśmy wycięli trochę jej ukochanych roślin.

– Och, sam nie wiem, co powinniśmy zrobić – westchnął ciężko Chester.

– Ja też nie – przyznał kolega.

– Dowiedziałeś się czegoś ciekawego od tej dziewczyny Styksów? – spytał Chester, zmieniając temat.

– Dostałem od niej to – odparł Will, wyciągając kapciuch i odwijając jutę.

Chłopiec zamrugał ze zdumienia oczami, ujrawszy dwie szklane

fiolki.

– Dominion? Dała ci Dominion? – zapytał głośno, po czym skrzywił się z niedowierzaniem. – Nie. Nie wierzę w to. To jakieś oszustwo.

– Chcesz je obejrzeć? – spytał kolega, wyciągając ku niemu dłoń z pojemniczkami.

– Ee... nie – odmówił Chester. – Nie chcę mieć z tym paskudztwem nic wspólnego.

Arny? tą wstrętną krową! – Włożył szmatkę do wody i wytarł ręce w ubranie, nim odezwał się ponownie: – Naprawdę wierzysz, że dała ci prawdziwy wirus?

– Nie mam jak tego sprawdzić. Pewnie moglibyśmy jakoś to wypróbować – dodał. – No wiesz, jeden z nas mógłby być królikiem doświadczalnym.

Chester zerknął nań z ukosa, jakby nie był całkiem pewny, czy przyjaciel żartuje, czy też mówi całkiem poważnie.

– Moglibyśmy rozstrzygnąć, kto z nas nim zostanie, za pomocą partyjki szachów – zaproponował Will, który nie mógł już dłużej powstrzymać uśmiechu.

Drugi chłopiec także się uśmiechnął.

– Nie ma mowy. Za dużo ostatnio ćwiczyłeś. Prędzej wygrałbym w marynarza – odparł Chester. Potem spoważniał i przysunął się bliżej kolegi. – No dobra, powiedz mi teraz, co mówiła Rebeka. Umieram z ciekawości.

– Cóż... przede wszystkim zarzeka się, że to jej siostra jest winna i że to ona zmuszała ją do wszystkiego. – Will podniósł rękę, w której trzymał fiolki. – Twierdzi też, że to jedyna próbka Dominion, jaką mają Styksowie, więc na razie nie mogą zrealizować swojego planu.

Chester uniósł brwi.

– Czy to możliwe?

– Mówiła też, że nawet jeśli w to nie wierzymy i Styksowie mają tego więcej, możemy przekazać fiołki odpowiednim ludziom na powierzchni, a oni przygotowują szczepionkę.

– Wszystko to brzmi jak jeden wielki stek bzdur, nie wspominając już o tym, że nie możemy wydostać się na powierzchnię. Nie wierzę w ani jedno jej słowo – oświadczył stanowczo Chester.

– Chwileczkę – powstrzymał go Will. – Przemyślmy to. Może to Dominium jest prawdziwe, ale ona wie, że w żaden sposób nie możemy się dostać na górę, więc właściwie nie ma to znaczenia. A może naprawdę wierzy, że uda nam się to zrobić, więc próbuje się wkupić, bo chce wrócić do domu. A może mówi prawdę i rzeczywiście do wszystkiego zmuszała ją siostra, a to ma być dowodem jej uczciwości.

Przyjaciół pokręcił głową.

– Chyba nie nadążam.

– Posłuchaj, to proste. Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa na to, żebyśmy uratowali miliony ludzi na powierzchni, a przy okazji jeszcze Elliott, to czy nie powinniśmy zrobić wszystkiego, żeby wydostać się z Czeluści?

– Jeśli przedstawiasz to w ten sposób, to oczywiście powinniśmy – zgodził się z nim Chester. – A co z bliźniaczką? Zostawimy ją tutaj, u Marty?

– Nie, zabierzemy ją ze sobą. Obiecała, że opowie nam więcej o Styksach i ich planach.

Chester potarł brodę w zamyśleniu.

– Więc trzeba spakować rzeczy i ruszać w drogę.

Obaj aż podskoczyli ze strachu, gdy od drzwi nagle dobiegł znajomy głos.

– Mówiłam, żeby nie wpuszczać tutaj tej dziewczyny Styksów – powiedziała Marta. – I miałam rację. Tak to się właśnie zaczyna...

Kobieta odwróciła się na pięcie i wyszła.

## Rozdział czternasty



Marta nie wspomniała ani słowem o tym, co usłyszała w pokoju Elliott, a chłopcy w miarę możliwości starali się jej unikać przez kilka najbliższych dni. Will nadal czuwał przy nieprzytomnej dziewczynie, grał sam ze sobą w szachy i przeglądał rzeczy ukryte w przybudówce, a dodatkowo jeszcze zajmował się Rebeką.

Jednak nadal jego myśli zaprzętała głównie Elliott – i jej pogarszający się stan. Z bólem przyglądał się jej nieruchomemu ciału i kroplom potu spływającym z czoła rozpalonego gorączką. Od czasu do czasu dziewczyna bełkotała coś w malignie, bez ustanku powtarzała imię Drake'a i recytowała serię liczb, które nic chłopcom nie mówiły.

Will popadał w coraz większe przygnębienie, aż nie był w stanie myśleć o niczym innym niż o chorobie Elliott. Nawet gdy nie musiał pełnić przy niej dyżuru, często dotrzymywał towarzystwa Chesterowi i przesiadywał z nim w milczeniu obok łóżka. Przy jednej z takich okazji przyjaciel powiedział: – Will, nie przestajesz ziewać i wyglądasz na kompletnie wyczerpanego. Może poszedłbyś się trochę przespać?

– Dobra... – wymamrotał kolega, podniósł się z krzesła i powlókł do sąsiedniego pokoju.

– Ssotam?

Will nie miał pojęcia, jak długo spał, obudził się jednak gwałtownie, ponieważ wydawało mu się, że ktoś go wołał. Usiadł



prosto i rozejrzał się po mrocznym pokoju. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, nasłuchiwał więc przez chwilę, jednak dochodziło do niego jedynie chrapanie Chestera, który spał na dywanach przy kominku.

Chłopiec odrzucił koc na bok i poszedł do sąsiedniego pokoju, do Elliott. Rozpalona gorączką dziewczyna rzucała głową na boki i poruszała nerwowo rękami, jakby z czymś lub kimś walczyła. Kiedy Will pochylił się nad nią i dotknął jej czoła, mruzczała coś pod nosem, nie mógł jednak zrozumieć z tego ani słowa.

– Za gorąco – stwierdził szeptem. – Dalej, Elliott, musisz pokonać chorobę.

Obserwował ją przez kilka minut, żałując, że nie może ulżyć jej cierpieniom. Potem wrócił do głównego pokoju i wyszedł przed dom. Zatrzymał się na werandzie i przysiadł na najwyższym stopniu. Wystawił twarz ku delikatnym podmuchom, które ciągnęły w górę zbocza, i zamknął oczy, rozkoszując się dotykiem wiatru.

Gdy ponownie otworzył oczy, odniósł wrażenie, że blask bijący od ogrodu jest jaśniejszy niż zwykle i że wypełnia jaskinię cudowną paletą barw. Widok ten przywołał mu na myśl letnie wieczory, gdy w Highfield gościło wesołe miasteczko – światła lunaparku oglądane z daleka przypominały fantasmagorię, którą obserwował w tej chwili.

Kiedy przyglądał się poszczególnym rzędom kwiatów po obu stronach ścieżki, zdumiało go, że niektóre co jakiś czas świecą jaśniej, podczas gdy inne przygasają, jakby ktoś przesuwiał nad nimi czarodziejską różdżkę. Te różnice były na tyle wyraźne, że powodowały zmiany kierunku i natężenia światła padającego na werandę i sprawiały, że jego cień przemieszczał się w różne strony.

Will przesiadł się na najniższy stopień i wyciągnął ręce przed siebie, aby podziwiać mieniające się na nich barwy, sięgające od żółci, przez różne odcienie pomarańczowego i czerwieni, aż po głęboki

błękit. Znów pomyślał o wesołym miasteczku. Nie musiał się zbytnio natrudzić, by wyobrazić sobie wesołą muzykę, wybuchy śmiechu i krzyki rozbawionych dzieci, dokazujących w wysokiej trawie.

– Tęsknisz za domem? – przemówił jakiś głęboki głos.

Chłopiec odwrócił głowę i zmrużył oczy. W ciemności dostrzegł osobę siedzącą kilka stopni wyżej.

Był to mężczyzna, wysoki mężczyzna o znajomym profilu. Czyżby to...

– Wuj Tam! – zawołał głośno Will, zastanawiając się, czy ten widok bardziej go zaskakuje czy może przeraża. – Ale... ale ty przecież nie żyjesz!

– Ach, to by tłumaczyło, dlaczego ostatnio czuję się tak niewyraźnie – odparł cierpko Tam.

– Czy to sen? Czy ja śnię? – spytał chłopiec.

– To całkiem możliwe – odparł wuj, przesuwając dłonią w górę twarzy, a potem na czubek głowy, gdzie zaczął się energicznie drapać.

– Pewnie znów mam wszy – mruknął.

-Małe paskudztwa.

– Tak, na pewno śnię – zdecydował Will i obrócił się na stopniu, by patrzeć prosto na zjawę.

– Powiedz mi, co powinienem zrobić, wuju Tamie. Musisz mi powiedzieć.

– Wpakowałeś się w niezłe bagno, mój chłopcze, prawda? – pokiwał głową mężczyzna.

Will zmarszczył brwi, przypominając sobie, że miał wujowi coś ważnego, bardzo ważnego do powiedzenia.

– Cal... Tak mi przykro z powodu Cala...

– Nic nie mogłeś zrobić. Wiem o tym, Will, wiem – odparł Tam uspokajająco, po czym wyjął fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem. – Sam cudem uniknąłeś śmierci.

– Ale co mogę zrobić dla Elliott? – pytał chłopiec, podczas gdy wuj potarł zapalką o paznokiec kciuka, a małeńki płomień oświetlił na moment jego twarz. – Jest ciężko chora, a ja czuję się całkiem bezradny. Nie potrafię jej pomóc... Co powinienem wybrać?

– Chętnie bym ci pomógł, chłopcze, ale nie znam tego miejsca. – Tam powiódł wzrokiem po jaskini, przygryzając cybuch fajki. – Tym razem nie mogę dać ci żadnej mapy.

Sam zdecyduj, co powinieneś robić. Będiesz wiedział, jakie rozwiązanie jest najlepsze. I tego się trzymaj.

– Proszę, wuju – błagał Will, zwracając się do mrocznej sylwetki. – Potrzebuję czegoś więcej.

Mężczyzna wypuścił z ust chmurę dymu, która zawisała na dłuższy czas w powietrzu, podświetlana pulsującym, tęczowym blaskiem.

– Posłuchaj swego serca – powiedział, gdy dym w końcu się rozwiął.

– Co to znaczy? – spytał chłopiec, głęboko rozczarowany tą odpowiedzią. – To mi nic nie mówi!

Tam wydmuchał tylko jeszcze większy obłok dymu, który objął całą jego postać.

– Co ty tu robisz? – spytała Marta.

– Hę? – Will odwrócił się raptownie, zaskoczony.

– Słyszałam jakieś głosy – powiedziała kobieta, spoglądając na ogród z wysokości werandy.

– Nie mogłem spać, więc sprawdziłem, co u Elliott, a potem wyszedłem zaczerpnąć trochę świeżego powietrza wyjaśnił chłopiec.

– Wcale nie byłeś u Elliott. Siedziałam przy niej przez cały czas, więc bym cię widziała.

Nic ci nie jest, Will? – spytała, zatroskana.

Will spojrzał na miejsce, na którym przed chwilą siedział Tam, jednak zamiast swego wuja ujrzał Bartleby'ego, przyglądającego mu

się z ciekawością.

– Chyba musiałem się zdrzemnąć – wymamrotał niepewnie, wstając. Minął Martę i wszedł do chaty, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Kiedy później, w ciągu dnia, Will czuwał przy chorej, wydawała się jeszcze bardziej niespokojna niż ostatnio. Rzucała głową na boki i napinała mięśnie, prostując ręce i nogi. Od czasu do czasu otwierała na moment oczy. Chłopiec był przerażony – nie miał pojęcia, co to oznacza ani co powinien zrobić. Gdy próbował ją uspokoić i przemawiał do niej kojącym tonem, oczy Elliott patrzyły prosto na niego, wiedział jednak, że wcale go nie widzą były nieruchome i obwiedzione czerwienią, zupełnie niepodobne do jej prawdziwych oczu.

Po jakimś czasie zaczęła bełkotać i wykonywać gwałtowne ruchy, a w kącikach jej ust pojawiła się piana. Potem krzyknęła przeraźliwie i zadrżała konwulsyjnie, jakby przez jej ciało przebiegł prąd. Wołając o pomoc, Will próbował ułożyć chorą na łóżku, była jednak całkiem sztywna; jej ciało wygięło się w łuk, zaciśnięte razem nogi odpychały ją od materaca.

Chłopiec dojrzał na moment jej twarz: rumieniec, który gościł tam od długiego już czasu, znikł nagle bez śladu. Dziewczyna była teraz trupio blada.

– Na miłość boską! Chodźcie tu szybko! – wrzasnął przeraźliwie.

Chester i Marta wbiegli do pokoju w tej samej chwili – najwyraźniej jego krzyki wyrwały ich oboje z głębokiego snu.

Kobieta zareagowała błyskawicznie. Podniosła miednicę i wylała wodę na Elliott, potem podała puste naczynie Chesterowi i kazała mu je natychmiast napełnić. Gdy chłopiec wyszedł z pokoju, dołączyła do Willa i starała się wraz z nim pomóc dziewczynie.

– Co się dzieje? Dlaczego Elliott to robi? – dopytywał Will głosem

drżącym z przejęcia.

– To przez gorączkę. Wkrótce powinno minąć – wyjaśniła gospodyni. Zajrzała do ust Elliott: dziewczyna mocno zaciskała zęby.

– Trzeba uważać, żeby nie przegryzła sobie języka.

– O Boże... Spójrz na jej oczy... – wydyszał Will.

Gałki oczne chorej obróciły się tak, że widać było jedynie białka. Wyglądało to przerażająco.

– To minie – zapewniła Marta.

Chester wbiegł do pokoju z miską napelnioną wodą, a kobieta wylała ją na dziewczynę. Jej ciało powoli zaczęło się rozluźniać, aż całkiem bezwładne opadło na łóżko, a na policzki wróciła normalna barwa.

– Biedna Elliott – mruknął cicho Will. – To było po prostu straszne.

– Miała atak. To rezultat długotrwałej gorączki – wyjaśniła Marta.

– Oddziałuje niekorzystnie na mózg.

Przyjaciele wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Możemy jakoś temu zapobiec? – spytał Chester.

– Obawiam się, że nie. Prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej – westchnęła kobieta. – Dokładnie to samo działo się z Nathanielem.

Gdy tylko pani Burrows wyszła z mieszkania, zauważyła dwóch podejrzanie wyglądających wyrostków, opartych o barierki na środku placu. Na głowy mieli naciągnięte kaptury i błękitne czapki bejsbolowe z wielkimi daszkami, więc trudno było zobaczyć ich twarze. Lecz kiedy jeden z nich, ten większy, podniósł ukrytego w dłoni papierosa, by się zaciągnąć, pani Burrows dojrzała jego twarz.

Zwolniła, a potem podeszła do chłopca z papierosem.

– Ja ciebie znam, prawda? – spytała, marszcząc brwi.

– Raczej nie – odparł burkliwie nastolatek, wyrzucając niedopałek do kanału.

Pochylił głowę i odwrócił się, by wraz z kumplem oddalić się w

jakieś ustronniejsze miejsce.

– To przez gorączkę. Wkrótce powinno minąć – wyjaśniła gospodyni. Zajrzała do ust Elliott: dziewczyna mocno zaciskała zęby.

– Trzeba uważać, żeby nie przegryzła sobie języka.

– O Boże... Spójrz na jej oczy... – wydyszał Will.

Gałki oczne chorej obróciły się tak, że widać było jedynie białka. Wyglądało to przerażająco.

– To minie – zapewniła Marta.

Chester wbiegł do pokoju z miską napelnioną wodą, a kobieta wylała ją na dziewczynę. Jej ciało powoli zaczęło się rozluźniać, aż całkiem bezwładne opadło na łóżko, a na policzki wróciła normalna barwa.

– Biedna Elliott – mruknął cicho Will. – To było po prostu straszne.

– Miała atak. To rezultat długotrwałej gorączki – wyjaśniła Marta.

– Oddziałuje niekorzystnie na mózg.

Przyjaciele wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Możemy jakoś temu zapobiec? – spytał Chester.

– Obawiam się, że nie. Prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej – westchnęła kobieta. – Dokładnie to samo działo się z Nathanielem.

Gdy tylko pani Burrows wyszła z mieszkania, zauważyła dwóch podejrzanie wyglądających wyrostków, opartych o barierki na środku placu. Na głowy mieli naciągnięte kaptury i błękitne czapki bejsbolowe z wielkimi daszkami, więc trudno było zobaczyć ich twarze. Lecz kiedy jeden z nich, ten większy, podniósł ukrytego w dłoni papierosa, by się zaciągnąć, pani Burrows dojrzała jego twarz.

Zwolniła, a potem podeszła do chłopca z papierosem.

– Ja ciebie znam, prawda? – spytała, marszcząc brwi.

– Raczej nie – odparł burkliwie nastolatek, wyrzucając niedopałek do kanału.

Pochylił głowę i odwrócił się, by wraz z kumplem oddalić się w

jakieś ustronniejsze miejsce.

mm m – Ależ na pewno cię znam! W czwartej klasie pobiłeś się z Willem, uderzył cię łopata. Musiałam przyjść do szkoły na rozmowę z dyrektorką, byłeś tam wtedy z rodzicami.

Przezywają cię Spike czy Spider, czy jakoś tak, prawda?

Nastolatek zatrzymał się w pół kroku, powoli odwrócił głowę i zmierzył panią Burrows gniewnym spojrzeniem pełnym oburzenia.

– Spider? Co to za przezwisko?! – parsknął. Wykrzywił usta w grymasie, który miał być zapewne pogardliwym uśmieszkiem, wyglądał jednak raczej jak mina poprzedzająca kichnięcie. – Nazywam się Speed, proszę pani, Speed. – Dopiero wtedy, gdy dotarł do niego sens słów wypowiedzianych przez kobietę, zmarszczył brwi i zaczął przyglądać się jej z większym zainteresowaniem. – Will... Will Burrows. Jest pani mamą Willa?

– Zgadza się – potwierdziła.

Speed wymienił spojrzenia ze swoim kumplem Bloggsym i podszedł bliżej.

– Myślałem, że gdzieś panią zamknęli – oświadczył bez ogródek.

– Owszem. Sporo wycierpiałam, ale teraz wyszłam już na prostą.

– Mojego ojczyrna też nieźle pokręciło. Wie pani, o czym mówię? Depresja i te sprawy, tyle że mama go wywaliła. Lubił czasem przyłożyć bratu albo mnie – dodał chłopiec, zaciskając i rozprostowując dłonie.

– Przykro mi to słyszeć – odparła pani Burrows.

Speed raz jeszcze zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując się dłużej na jej nowych, sportowych butach.

– Nieźle – pokiwał głową z uznaniem. – Nieźle pani wygląda, pani B. Ćwicz pani coś?

Skinęła potakująco.

– Wróciła pani po Willa, tak? – spytał nastolatek. – Szuka go pani?

– Tak, właśnie idę na spotkanie z policjantami, choć i tak nie powiedzą mi nic nowego, będą tylko powtarzać te same wymówki. Zupełnie jakbym rozmawiała z Keystone Cops<sup>8</sup>.

Speed pokiwał głową ze zrozumieniem.

– A co oni mogą pani powiedzieć? Nikt z nimi nie rozmawia. O wszystkim dowiadują się ostatni. – Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, zamknął je jednak z powrotem.

– Nie widziałeś go, prawda...? – spytała pani Burrows. – Podobno pojawił się tutaj około Bożego Narodzenia, lecz nikt nie chce tego potwierdzić na sto procent.

– Ja... – zaczął chłopiec, potem jednak znowu umilkł, jakby nagle zmienił zdanie. – Papieroska? – zaproponował.

Natychmiast pojawił się przy niej Bloggsy z otwartą paczką marlboro w dłoni. Kobieta wzięła jednego papierosa, a Speed podał jej ogień, po czym zapalił swojego.

Pani Burrows zaciągnęła się mocno.

– Posłuchaj, wszystko, co mi powiesz, zostanie między nami – obiecała. – Żadnej policji.

– Żadnej policji – powtórzył Speed. Rozejrzał się po ulicy, a potem pochylił ku matce Willa i zniżył głos do konfidencyjnego szeptu. – W listopadzie był tutaj z młodszym dzieciakiem...

– Z Mini-Me<sup>9</sup> i z tym wielkim pit bullem – wtrącił Bloggsy.

Kolega spiorunował go wzrokiem, a chłopiec natychmiast zamilkł.

– ... z młodszym dzieciakiem, który wyglądał tak samo jak on. Mieli też ze sobą jakiegoś wielkiego psa. Szli właśnie do metra, kiedy wpadliśmy na nich z Bloggsym. Wie pani, nigdy nie byliśmy z Willem dobrymi kumplami, więc nie zatrzymaliśmy się wtedy na pogawędkę.

Nieudolni, ale pełni zapachu policjanci, bohaterowie serii niemych filmów powstałych w latach 1912-1917.

Mini-Me to postać z drugiego i trzeciego filmu cyklu



opowiadającego o przygodach Austina Powersa (cykl ten jest parodią filmów o Jamesie Bondzie). Aktor grający Mini-Me, Verne Troyer, ma zaledwie 81 cm wzrostu.

– Więc widziałeś go tylko ten jeden raz?

– Tak – potwierdził Speed. – Słyszysz się na mieście, że podpadł jakimś kolesiom i myślał się ukryć, ale niedługo wróci i policzy się z nimi. Ma u nas za to duży szacun.

– Szacun – powtórzył Bloggsy.

– Jeśli go pani znajdzie, proszę mu powiedzieć... – mówił Speed, dźgając powietrze rozpalonym papierosem, co miało zapewne podkreślać wagę jego słów – ... że nie zawsze przepadaliśmy za sobą, ale to było kiedyś. Jeśli potrzebuje pomocy, wie, do kogo może pójść.

– Przekażę mu. Dziękuję – odparła pani Burrows.

Przez chwilę stała w miejscu, obserwując, jak obaj chłopcy oddalają się powoli, z rękami w kieszeniach.

Nie miała pojęcia, że i ona jest obiektem obserwacji prowadzonej przez mężczyznę ukrytego w starej, poobijanej furgonetce zaparkowanej przy placu. Drake wyostrzył obraz w lunecie, kierując ją na twarz pani Burrows.

– Uważaj, z kim rozmawiasz, Celio – mruknął cicho. – Możesz się boleśnie sparzyć.

Kobieta zaciągnęła się papierosem w zamyśleniu, a potem mu się przyjrzała.

– Nie skończysz go – odgadł Drake. – Za bardzo przypomina ci twoją siostrę Jean. Nie jesteś taka jak ona.

Pani Burrows podniosła papierosa do ust, jednak nagle się rozmyśliła. Pokręciła głową i wrzuciła niedopałek do studzienki kanalizacyjnej przy krawężniku, po czym odeszła w stronę komisariatu.

– Dobra dziewczynka – skinął głową renegat. Schował lunetę i

wysiadł z samochodu, by ruszyć jej śladem.

Dla Willa wszystko straciło sens. Już nawet nie grał w szachy – w ogóle nie mógł się skupić.

Uświadomił sobie też, że już od tygodni nie otwierał swojego dziennika. Z trudem zmuszał się do przełykania jedzenia, które podawała mu Marta. Miał także kłopoty z zasypianiem – gdy tylko kładł się do łóżka, dopadał go okropny ból głowy, który omal nie rozsadzał mu czaszki. Kiedy przebywał z Chesterem, nieustannie wisało między nimi niewypowiedziane pytanie: Czy powinniśmy odejść? Czy powinniśmy odejść?

Will wciąż powracał myślami do Elliott. Zastanawiał się, kiedy nadejdzie ten krytyczny moment, gdy będzie już zbyt chora, by się poruszać. Nie mógł spokojnie patrzeć na jej cierpienia; bezradność doprowadzała go do szaleństwa.

Przez jakiś czas rozważał, czy nie powinien zostawić nieprzytomnej dziewczyny w domu Marty i wyruszyć tylko z Chesterem. Jednak takie rozwiązanie budziło sporo wątpliwości. Co zrobią, jeśli im się powiedzie i znajdą jakąś formę ratunku dla Elliott, ale nie będą mogli odszukać drogi powrotnej do chaty? Albo jeśli wrócą z pomocą, ale będzie już za późno? A gdyby jakimś cudem znaleźli drogę wyjścia z Czeluści – skorzystaliby z niej czy wrócili do Marty? Nie, uznał w końcu Will, ekspedycja ratunkowa będzie miała sens tylko wtedy, gdy zabiorą ze sobą Elliott.

Wciąż jednak nie mógł zebrać się na odwagę i powiedzieć Chesterowi, że to już czas; nie był też pewien, jak przyjaciel na to zareaguje.

Jedynym zajęciem, które nadal pozwalało chłopcu oderwać się chociaż na moment od smutnej rzeczywistości, było grzebanie w skrzyniach z przedmiotami zabranymi ze statków.

Szedł właśnie do swojej ulubionej przybudówki, odprowadzany

przez podskakującego radośnie Bartleby ego, kiedy dobiegł go głos Rebeki: – Jak się czuje Elliott? Jest jakaś poprawa?

Will zerknął na komórkę na drewno i dojrzał w otwartych drzwiach twarz dziewczyny.

– Nie, jest raczej... – zaczął odpowiadać, jednak w porę ugryzł się w język. Był tak pochłonięty swoimi troskami, że zapomniał, kto go zaczepia. – Nie odzywaj się do mnie burknął, marszcząc brwi. – To nie twoja sprawa!

Wszedł do przybudówki i stanął przed stertą skrzyń i kufrów, do których jeszcze nie zaglądał.

Westchnął ciężko, pomyślał, że zostało ich już niewiele i że wkrótce będzie musiał poszukać sobie innej rozrywki. Wspiął się na najniższe skrzynie i sięgnął po drewnianą szkatułkę stojącą na samym szczycie sterty. Zeskoczywszy na ziemię, postawił pudełko na środku przybudówki, by spokojnie przejrzeć jego zawartość. Gdy przykląkł obok i uniósł wieko, Rebeka znów raczyła zaszczycić go swoją uwagą.

– Szukasz czegoś, Will? – spytała.

Chłopiec znieruchomiał na moment, po czym wstał, zastanawiając się, czy uwięziona dziewczyna widzi go przez szpary między deskami. Składzik na drewno, w którym zamknęła ją Marta, zbudowany był tak samo jak inne pomieszczenia: z grubych dębowych belek, do których przybito deski szerniałe ze starości. Z czasem jednak deski popękały i wypaczyły się do tego stopnia, że Rebeka zapewne bez większego trudu znalazła między nimi jakąś szczelinę. Jakież to do niej podobne. Zawsze węższy.

Willa ogarniała coraz większa złość. Było to jedyne miejsce, w którym mógł się ukryć przed wszystkimi troskami i zająć wyłącznie przeszukiwaniem starych skrzyń. Ostatnią rzeczą, na jaką miał w tej chwili ochotę, była rozmowa z jego fałszywą „siostrzyczką”.

– Zostaw mnie w spokoju, dobrze? – warknął.

Kiedy znowu ukląkł przy szkatułce i wyciągnął z niej kawałki ołowianej blachy, natknął się na mały plastikowy pojemnik. W środku znajdowało się coś, co wyglądało na zestaw całkiem współczesnych rapidografów, jakich zazwyczaj używają kreślarze lub kartografowie. W sumie było ich pięć, każdy o innym rozmiarze stalówki. Will wyjął jeden z nich i spróbował napisać coś na dłoni. Tusz jednak dawno już wysechł, ale chłopiec zaczął się zastanawiać, czy Marta nie ma czegoś, co mogłoby go zastąpić.

– Znalezione, nie kradzione – mruknął pod nosem i odłożył zestaw na bok.

W tym momencie znów odezwała się do niego Rebeka: – Nie wiem, czego szukacie, ale musi to być naprawdę coś ważnego, skoro i ty, i Marta zadajecie sobie tyle trudu.

– Mówiłem ci, żebyś się... – zaczął chłopiec, jednak przerwał w pół zdania. Wstał, wyszedł z przybudówki i udał się prosto do komórki na drewno. – Coś ty powiedziała...?!

spytał ostro.

– Nic takiego, tyle że Marta też tutaj była i czegoś szukała. Pomyślałam...

– Nie – przerwał jej Will, kręcąc głową. – Jej nie interesują te starocie; leżą tutaj od wieków. Musiało ci się coś pomylić – dodał na odchodnym.

– Nie, nic mi się nie pomyliło – obstawała przy swoim dziewczyna. – Przysięgam, że była tutaj ze trzy albo cztery razy... Przekładała te rzeczy, kilka nawet wyrzuciła.

Chłopiec się zawahał, a potem ponownie odwrócił się do uwięzionej Rebeki.

– Wyrzuciła? – powtórzył. – Co to były za rzeczy?

– Nie widziałam dokładnie, ale słyszałam jakiś brzęk.

– Ciekawe... – mruknął Will, zdziwiony, że Marta w ogóle mu o

tym nie wspominała.

Wzruszył ramionami, tłumacząc sobie, że przecież to wszystko i tak należy do niej, więc może robić z tym, co tylko zechce. W końcu jednak nie zdołał oprzeć się ciekawości i spytał: – Gdzie schowała te brzęczące rzeczy?

– Zakopała je trochę dalej, tam, za Bartlebym.

Chłopiec spojrzał na wielkiego kocura, który tarzał się z upodobaniem na grzbiecie, wydając przy tym pełne zadowolenia pomruki i chrząknięcia.

Tarzał się w tym samym miejscu już tyle razy, że wytarł w ziemi spore zagłębienie.

– Za Bartlebym... – powtórzył Will w zamyśleniu.

– Tak. Myślałam, że szukasz czegoś konkretnego, a Marta ci w tym pomaga.

– Bo tak właśnie jest. Pomaga mi – wymamrotał, udając, że to, co usłyszał od Rebeki, nie jest żadną nowością.

Jednak kiedy ruszył w stronę przybudówki z kuframi, zrozumiał, że musi sprawdzić te rewelacje. Minał wejście i szedł dalej w stronę kota, starając się, by wyglądało to całkiem naturalnie, przypuszczał bowiem, że dziewczyna wciąż go obserwuje.

– Idź dalej, jeszcze kawałek! – zawołała usłużnie Rebeka, czym tylko potwierdziła jego podejrzenia.

– Co ja robię, u diabła? – mruknął Will, zirytowany tym, że znów pozwala dziewczynie sobą manipulować.

Mimo to szedł dalej, mijając Barta, który na jego widok podniósł łeb i patrzył z ciekawością.

Dotarłszy do miejsca wskazanego przez Rebeke, chłopiec zaczął stapać mocniej po ziemi i przyglądać się bacznie jej powierzchni. Początkowo grunt wydawał mu się twardy i nienaruszony, lecz po chwili wyczuł pod piętą jakieś bardziej miękkie miejsce. Przykucnął i

zaczął rozgarniać luźną glebę. Bez wątpienia ktoś niedawno w niej kopał, więc nie było to szczególnie trudne zadanie.

Will zauważył, że Bartleby nadal uważnie mu się przypatruje, przekrzywiając przy tym łeb na bok.

– Zakopałem tutaj swoją ulubioną kość – zażartował, zwracając się do kota. Wcale nie wykluczał przy tym możliwości, że to właśnie Łowca wykopał ten dołek i że za chwilę spod ziemi wychynie jakiś niedojedzony gryzoń albo coś równie paskudnego.

Wybrał glebę do głębokości około pół metra i nachylał się właśnie do wnętrza dołka, gdy dostrzegł coś, co wyglądało jak małe, kolorowe paciorki. Najpierw pomyślał, że to jaja owadów lub jakieś nasiona. Później, kiedy przyjrzał im się dokładniej, zrozumiał, że to tabletki. Ostrożnie wybrał je z ziemi i ułożył na dłoni. W sumie znalazł trzy rodzaje pastylek: dwie były białe i różniły się rozmiarami, trzecia zaś różowa. Na każdej widniały odcisnięte litery, które jednak nie tworzyły całych słów.

Kiedy chłopiec znowu przystąpił do pogłębiania dołka, usłyszał jakiś grzechot.

– Co my tu mamy? – zwrócił się do Bartleby’ego.

Wyciągnął z ziemi trzy szklane słoiczki. Każdy z nich miał jakieś cztery centymetry wysokości i nagwintowaną szyjkę. Gdy Will pogrzebał jeszcze trochę, odnalazł trzy metalowe nakrętki. Wysypał ziemię z jednego pojemnika i dopasował do niego nakrętkę. Kiedy przyjrzał mu się ponownie, stwierdził, że przypomina buteleczki, które jego rodzice trzymali w szafce w łazience – stare lekarstwa, których nikomu nie chciało się wyrzucić.

Podczas gdy Bartleby wpychał nos w dołek, parszkając przy tym i sapiąc, chłopiec próbował odczytać napis na etykiecie przyklejonej do pojemnika. Znajdowało się tam jedno długie słowo, złożone po części z liter nienależących do alfabetu łacińskiego. Choć chłopiec nie umiał

go odczytać, był niemal pewien, że słoiczek pochodzi z powierzchni. Potem zauważył datę na dole etykiety.

– Dwa lata temu! – wykrzyknął.

Natychmiast sprawdził pozostałe buteleczki. Okazało się, że widnieją na nich zbliżone daty.

Oszołomiony, usiadł ciężko na ziemi i starał się zapanować nad natłokiem myśli wywołanych tym odkryciem. Przede wszystkim poczuł nagły przypływ nadziei: okazało się, że nawet tutaj, na dole, można znaleźć lekarstwa (i to współczesne), które mogą pomóc Elliott przezwyciężyć wysoką gorączkę.

Z drugiej jednak strony był głęboko poruszony. Skoro Marta wiedziała o lekarstwach, dlaczego nie wspomniała nich ani słowem? Dlaczego knuła coś za jego plecami próbowała je ukryć? Nie potrafił tego zrozumieć.

Zebrał pozostałe pigułki i wsypał je do odpowiednich słoiczków, które potem starannie zakręcił. Głęboko zamyślony, włożył wszystkie trzy pojemniczki do kieszeni spodni.

– Chodź, czas wracać – zwrócił się do Bartleby ego.

Nie chciał znów wdawać się w rozmowę z Rebeką, więc szybko przeszedł obok niej.

– Znalazłeś coś?! – zawołała za nim dziewczyna.

– Nie, nic – mruknął, wpatrując się uparcie w ścieżkę.

– Przyszedłeś akurat na kolację. Zrobiłam nam rosół poinformowała Marta, gdy Will wszedł do domu.

Stała odwrócona tyłem do pokoju i mieszała w garnku, podczas gdy Chester siedział przy stole i już jadł zupę.

– Dowiedziałaś się czegoś ciekawego od tej małej żmii? spytał, podnosząc łyżkę do ust i nie spoglądając nawet na przyjaciela.

– Owszem – odparł Will. – Czegoś bardzo dziwnego.

Nie usiadł przy stole, tylko wyjął z kieszeni buteleczki i ustawił je

w rzędzie na blacie.

– To kłamliwa kanalia, jak oni wszyscy – stwierdził z pogardą Chester. Podniósł łyżkę, zanim jednak włożył ją do ust, jego spojrzenie padło na pojemniki z lekarstwami.

– Nie ona jedna tu kłamie – odparł Will ponuro.

Marta niosła właśnie do stołu miskę z zupą. Nagle naczynie wysunęło się jej z dłoni i spadło na podłogę, rozlewając dokoła gorący rosół.

W pokoju zapadła całkowita cisza, przerywana jedynie trzaskiem ognia w palenisku.

Chester spojrzał na kolegę, a potem na kobietę, która stała nieruchomo jak posąg, ze spuszczoną głową.

– Co tu się dzieje, do cholery?! – Wskazał łyżką na słoiczki. – I co to jest, Will?

– Lekarstwa, jak sądzę. Spójrz na datę – odparł chłopiec, podając mu jeden z pojemników.

Chester wziął buteleczkę i przyjrzał jej się uważnie.

– Sprzed dwóch lat – stwierdził. – A napis jest po rosyjsku.

– Po rosyjsku? – zdziwił się przyjaciel. – Naprawdę?

– Jasne. Moja babcia pochodziła z Ukrainy. Nauczyła mnie kilku słów – wyjaśnił Chester, skonsternowany. – Ale co tu się właściwie dzieje? Skąd je wzięłeś?

Will podniósł inny słoiczek i potrząsnął nim energicznie.

– Były w nich tabletki, ale Marta wyjęła je ukradkiem ze skrzyni i zakopała pod ścianą jaskini. Zrobiła to po to, żebym ich nie znalazł. – Spojrzał gniewnie na gospodynię, która wciąż stała nieruchomo, wpatrzona w podłogę, po czym nagle palnął się otwartą dłonią w czoło. – Oczywiście, stetoskop! – wykrzyknął. – On też jest całkiem nowy, jak tabletki! Tam próbował mi to powiedzieć! Mówił, żebym posłuchał swojego serca! Chodziło mu o stetoskop!



Chester zerwał się na równe nogi i patrzył z przestraszonym na kolegę.

– Kurde, Will, co ty wygadujesz? Całkiem ci odbiło? Jak Tam mógł ci coś mówić?

Przecież on nie żyje już od ładnych paru miesięcy!

– Nieważne, zapomnij o tym – odrzekł przyjaciel nieco spokojniej, choć jego głos wciąż nabrzmiały był gniewem. – Ważne jest to, że Marta wiedziała o tych lekarstwach. Być może są wśród nich jakieś antybiotyki, które moglibyśmy podać Elliott. Ale ukryła je przed nami, Chester – dodał, po czym zwrócił się bezpośrednio do gospodyni: – Dlaczego to zrobiłaś, Marto?

Kobieta milczała, wciąż wpatrując się w podłogę.

– Marto? – wymamrotał Chester. – Czy to prawda?

Nie podnosząc głowy, gospodyni dowlokła się do krzesła przy stole i ciężko na nie opadła.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, pocierając kciukiem o wnętrze drugiej dłoni.

W końcu odezwała się głosem tak cichym, że chłopcy ledwie ją słyszeli.

– Kiedy wrócił Nathaniel... ?połamanymi zebrami... i gdy wdała się gorączka, czuł się coraz gorzej i gorzej...

– Tak, to już wiemy – przerwał Will, który nie potrafił jej już współczuć.

– Mówiłam wam, że znalazł metalowy okręt, jakieś osiem dni drogi stąd, w najdalszej z Siedmiu Sióstr. Kiedy jeszcze... – zaczęła kobieta zdławionym głosem, potem jednak zamilkła.

– Tak? – naciskał Will.

– Kiedy jeszcze mógł mówić – podjęła opowieść – opisał mi drogę do tego statku, żebym mogła wydostać z niego jakieś medykamenty.

Przyjaciele wymienili spojrzenia.

– Masz na myśli lekarstwa? – upewnił się Will.

– Tak, lekarstwa – potwierdziła Marta nieśmiało. – Ale to długa podróż; zabłądziłam po drodze i straciłam też część leków, kiedy zaatakowały mnie bielaki. Mają gniazdo przy okręcie. Ledwie uszłam z życiem.

– Bielaki? – powtórzył bezgłośnie Chester, zwracając się do kolegi, który w odpowiedzi tylko skinął głową.

– Mów dalej – rzucił do Marty Will.

– Kiedy wróciłam, Nathaniel już nie żył – westchnęła gospodyni. – Ale nawet gdybym dotarła tu wcześniej, niewiele by to zmieniło, bo nie miałam pojęcia, do czego służą te lekarstwa ani jak je stosować.

– Jasne, ale może Chester i ja moglibyśmy się tego dowiedzieć – odparł ostro chłopiec. – I wciąż nie wiem, dlaczego nas okłamałaś.

– Bo... bo ja nie chciałam, żeby coś wam się stało. Nie mogłabym stracić żadnego z was, tak jak straciłam Nathaniela. Nie przeżyłabym tego po raz drugi – wychrypiła Marta, bliska płaczu.

Will wskazał ręką na pokój Elliott.

– Nasza przyjaciółka walczy tam o życie, a wszystkie twoje kłamstwa być może pozbawiły ją szans na wygraną – stwierdził, po czym zwrócił się do przyjaciela: – Teraz już wiem, co powinniśmy zrobić: pakujemy się i ruszamy do metalowego okrętu.

Podszedł do kuszy, którą Marta zostawiła pod ścianą, i ją zabrał. Gest ten był wystarczająco wymowny – Will nie musiał już niczego dodawać.

Ich gospodyni, która widziała to kątem oka, tylko ciężko westchnęła.

– Przepraszam, Will – powiedziała ze smutkiem. – Nie zawiodę cię więcej.

– Chester, może byś przygotował Elliott do drogi? – zaproponował Will. – Marto, chcę, żebyś spakowała wszystkie zapasy jedzenia, które

tu masz.

– Muszę narwać w ogrodzie anyżkowego ognia – odparła kobieta, po czym powoli podniosła się z krzesła i ruszyła do drzwi.

Chłopcy obserwowali w milczeniu, jak zatrzymuje się pośrodku ogrodu i zaczyna zrywać rośliny. W miarę jak przerywała kolejne łodygi, błękitny blask wydzielany przez anyżkowy ogień przygasał, aż całkiem znikł.

– To było okropne – odezwał się w końcu Chester. – Nie mogę uwierzyć, że nas okłamywała.

Jeszcze przez chwilę obaj patrzyli na samotną postać w przetartym fartuchu, która pochylała się nad roślinami, odgarniając jednocześnie z twarzy niesforne kosmyki.

– Smutna, samotna kobieta – mruknął Will. Odciągnął ramiona do tyłu i wyprostował się, jakby chciał już zakończyć tę sprawę. – Może spróbujesz przeczytać, co jest w tych słoiczkach? – zaproponował. – Ja przygotuję nasze rzeczy, a zaraz potem ruszymy w drogę.

– A Rebeka? – spytał przyjaciel. – Co z nią zrobimy?

– Możecie na mnie liczyć. Chętnie wam pomogę – odpowiedziała mu dziewczyna, która wspięła się właśnie po schodach na werandę i weszła do pokoju. Will natychmiast spojrzał na jej nogi i zrozumiał, że sama usunęła krępujące ją kajdany. – Wiesz przecież, że jestem świetną organizatorką, prawda? – dodała łagodnie.

Chłopiec przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Więc... więc mogłaś uciec, gdy tylko chciałaś. Ale nie uciekłaś.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – odparła. – Nie mam dokąd pójść.

Will zauważył, że Chester zaciska pięści, jakby miał ochotę uderzyć Rebeke. Zaniepokojony, chciał ostrzec kolegę, by nie zrobił czegoś głupiego, gdy nagle przez ogród przemknął zdumiewająco silny powiew wiatru.

– Zdaje się, że nadchodzi Lewantyński Wiatr – stwierdziła dziewczyna.

Kiedy gdzieś w głębi domu trzasnęła okiennica, Will powiedział cicho: – Za każdym razem, gdy nadchodzi ten wiatr, dzieje się coś okropnego.

– Och, świetnie – mruknął Chester.

Wichura uderzyła znienacka w doktora Burrowsa i Rebekę. Siedzieli przy ognisku na środku szerokiego tunelu, nie mieli więc dokąd uciec, choć wiatr z każdą chwilą przybierał na sile.

Gwałtowne podmuchy niemal całkiem zgasiły ogień. Żadne z nich jednak tego nie widziało, ponieważ w ślad za wichrem nadciągnęła czarna, nieprzenikniona chmura pyłu.

Doktor Burrows przetoczył się na brzuch i zakrył głowę rękami, aby ochronić twarz przed uderzeniami wiatru. Leżąc w bezruchu i wydmuchując pył, który pchał mu się do nozdrzy, przyznał wreszcie przed samym sobą, że ma już serdecznie dość Rebeki. Bez ustanku naciskała na niego i domagała się konkretnych rezultatów. Nie mógł przecież strzelić palcami i znaleźć na zamówienie elementu łączącego mapę z tabliczkami. Cała ta sytuacja doprowadzała go do wściekłości. Był archeologiem, a nie jakimś poszukiwaczem przygód pokroju Davy ego Crocketta10!

Jakby tego było mało, mężczyzna czuł się też zastraszony przez żołnierza Styksów. Pod wszystkim, co mówiła Rebeka, kryła się zawołowana groźba, niewypowiedziana wprost sugestia, że w każdej chwili Granicznik może zrobić mu krzywdę. Stwierdzenie, że doktor czuł się z tym bardzo nieswojo, byłoby dużym niedopowiedzeniem.

Właściwie dotychczasowe relacje rodzic – dziecko zostały w tym przypadku całkowicie odwrócone. Teraz to dziewczyna rozdawała karty – on nie miał nic do powiedzenia. Nie, doktor nie mógł już dłużej tego znieść. Był zdesperowany do tego stopnia, że postanowił

zaryzykować i wziąć sprawy we własne ręce. Do podjęcia tej decyzji skłonił go też fakt, że Rebeka zapomniała odebrać mu tabliczki „na przechowanie”, jak to nazywała. Poklepał się po kieszeni, by sprawdzić, czy rzeczywiście tam są, po czym uśmiechnął się do siebie.

Ponieważ wiedział, że nieprzenikniony obłok pyłu skryje jego ruchy, zaczął powoli odsuwać się od ogniska. Sprawdził też jeszcze, czy zabrał bukłak; nie miał pojęcia, kiedy natknie się na jakiś podziemny strumień, wolał więc mieć ze sobą zapas wody.

Po jakimś czasie przestał się czołgać. Nic nie widział, a słyszał jedynie przeraźliwe wycie wiatru. Uznawszy, że skoro \_

10 David Crockett (1786-1836) – amerykański żołnierz, polityk i pionier, bohater legendarnych, często zmyślonych przygód. W latach pięćdziesiątych XX wieku wytwórnia Walta Disneya wyprodukowała serial telewizyjny o jego wyczynach, w którym stawiano go za wzór młodym widzom.

on nie widzi nikogo, to i jego nikt nie może zobaczyć, podniósł się z dna tunelu i zaczął iść.

Przygięty do ziemi potężnym wichrem, uszedł ledwie kilka kroków, nim wpadł na coś, co przypominało ciało wysokiego mężczyzny. Obok mężczyzny migotał jakiś blask. W świetle, pomiędzy smugami wirującego pyłu, doktor dostrzegł czyjąś twarz. Zrozumiał, że wszedł prosto na Granicznika i że tuż przy nim stoi Rebeka.

– Zabłądziłeś?! – spytała dziewczyna, przekrzykując wycie wiatru. Pochwyciła go za ramię i obróciła w kierunku, z którego przyszedł. – Podczas takiej burzy lepiej się nie oddalać – dodała. Po kilku krokach usiadła na ziemi, ciągnąc ojca za sobą. – Chyba nie chciałbyś, żeby stała ci się jakaś krzywda, prawda, tato?

# Rozdział piętnasty



**W**ill pakował już ostatnie rzeczy, gdy na werandę wyszedł Chester.

– Dziwna sprawa... – zaczął Will ze zdumioną miną.

– Bo widzisz... – Z bocznej kieszeni plecaka wyjął okular Drake'a i obejrzał go ze wszystkich stron. – Właśnie to wypróbowałem, żeby się upewnić, czy wszystko gra... ale urządzenie w ogóle nie działa.

– Jesteś pewien? – spytał Chester.

– Całkowicie. Nic nie widać, nawet najmniejszego błysku.

– Może zapomniałeś wyłączyć i wypalił się element światłoczuły, albo coś w tym rodzaju – zasugerował przyjaciel.

– Nie, dbałem o okular jak należy – pokręcił głową Will. – Mam nadzieję, że luneta na twoim karabinie działa; dobrze by było, żeby chociaż jeden z nas widział coś w ciemności.

Chester sięgnął po karabin i podniósł go do oka.

– A niech to diabli! – krzyknął, opuszczając broń i przyglądając się lunecie. – Też nie działa. – Pokręcił pierścieniem regulującym ostrość i raz jeszcze podniósł karabin do oka. – Nic. No zupełnie nic! – Zmarszczył brwi i spojrzał na kolegę. – Myślisz, że to ta dziewczucha...

Will zastanowił się nad tym przez chwilę.

-Co?

– Nie – stwierdził w końcu. – To nie mogła być ona. Wiem, że uwolniła się z kajdan, ale okular Drakea leżał w pokoju Elliott, a tam zawsze był któryś z nas.

– Cóż, pewnie masz rację – mruknął Chester, potrząsając karabinem, jakby to mogło naprawić zepsute urządzenie. – Czy Drake nie mówił czasem, że te lunety są zasilane świetlnymi kulami i mogą działać przez wiele lat?

– Zdaje się, że tak – westchnął ciężko Will i zamknął na moment oczy. – Typowe... Psują się akurat wtedy, kiedy są nam potrzebne. – Uniósł powieki. – Miejmy tylko nadzieję, że po drodze nie wpakujemy się w jakieś kłopoty. – Gdy wrócili do chaty, spojrzął na pojemniki z tabletkami, stojące na stole. – Udało ci się coś odczytać?

Chester podszedł do stołu i wziął jeden ze słoiczków.

– Tak, w tym jest aspiryna – stwierdził bez wahania.

– Brawo! To niesamowite! – wykrzyknął Will. – Naprawdę potrafisz czytać po rosyjsku!

Super! – Pewnie jeszcze dłużej zachwyciłby się umiejętnościami przyjaciela, ale dostrzegł znaczący uśmiezek na jego twarzy.

– Will – zaczął Chester, wskazując na sam dół etykiety spójrz tutaj. Między rosyjskimi słowami jest napisane „aspiryna”. Po angielsku.

– Rzeczywiście... Jakoś to przeoczyłem – wymamrotał kolega, zawstydzony swoim gapiostwem.

Porównując tabletki z napisem na etykiecie, szybko ustalili, które z nich to aspiryna. Potem zastanawiali się, czy mogą podać je chorej, zwłaszcza że przeleżały ponad tydzień w ziemi, a niektóre rozmiękły pod wpływem wilgoci. Ostatecznie doszli do wniosku, że lekarstwo może przynieść więcej korzyści niż szkody i że być może choć trochę zbije gorączkę trawiącą Elliott. Gdyby dzięki temu udało im się powstrzymać kolejny atak, warto było podjąć ryzyko.

Więc rozpuścili w wodzie kilka tabletek i napoili tym roztworem nieprzytomną dziewczynę.



Kiedy wszyscy wyszli w końcu za barykadę, Lewantyński Wiatr niemal całkiem ustał.

Jeszcze od czasu do czasu uderzały w nich od tyłu pojedyncze podmuchy.

Pierwsze godziny wędrówki upływały bez przeszkód, tunele były bowiem szerokie i ciągnęły się głównie w poziomie. Will modlił się, by cała podróż do metalowego statku była równie łatwa.

Ponieważ tylko Marta знаła drogę, to właśnie ona szła na czele. Za nią kroczyli chłopcy, którzy nieśli między sobą Elliott, ułożoną na prowizorycznych noszach. Dziewczyna była owinięta kocem i mocno przywiązana, by w razie potrzeby można było przesuwać nosze w pionie, choć na razie chłopcy starali się oszczędzić jej dodatkowych wrażeń i utrzymywać ją poziomo.

Will zerknął do tyłu, na Rebeke, która zamykała grupę. Towarzystwa dotrzymywał jej Bartleby, który sadził przez tunel dzikimi, radosnymi susami. Dziewczyna Styksów na własne życzenie niosła dwa plecaki ze znaczną częścią zapasów żywności i wody, po jednym na każdym ramieniu. Na powierzchni wędrówka z takim obciążeniem stanowiłaby dla niej prawdziwe wyzwanie, jednak w warunkach słabej grawitacji Rebeka radziła sobie z tym bez trudu. Mimo to coraz wyraźniej utykała na chorą nogę, co nie uszło uwagi Willa.

– Nie wiem, jak ona sobie poradzi... – powiedział cicho do Chestera.

– Pewnie jak zwykle – odparł kolega, patrząc na Elliott.

– Miałem na myśli Rebeke – wyjaśnił Will.

– Ach, ją odparł chłopiec cierpko, a jego zachowanie natychmiast się zmieniło. Widać było gołym okiem, że ta kwestia wcale go nie obchodzi. – Will, nie daj się jej nabrać. Mówię ci, to wszystko jedna wielka ścierna.

Jego kolega rozważał to przez moment.



– Jeśli to rzeczywiście jakaś sztuczka, co Rebeka chciałaby na tym zyskać?

– Nie mam pojęcia – odburknął Chester, poirytowany faktem, że przyjaciel zaczął dziewczynie pobłażać.

Will doskonale wiedział, że gdyby to zależało od jego towarzysza, Rebeka zostałaby ponownie skrepowana – tym razem należycie – i pozostawiona własnemu losowi w składziku na drewno.

– Ja też nie.

Choć nie zamierzał zwierzać się z tego Chesterowi, miał ogromny mętlik w głowie. Odkąd Rebeka zamieszkała z nimi w domu Marty, ani razu nie zachowała się z właściwą Styksom brutalnością. Wręcz przeciwnie – wydawała się niezwykle wrażliwa, krańcowo różna od innych Styksów i jak najdalsza od stosowania ich nieludzkiego okrucieństwa. Chłopiec bardzo chciał wierzyć, że wszystko, co mu powiedziała, jest prawdą – że była zmuszana do wykonywania rozkazów pod groźbą tortur lub śmierci. Może chciał w to wierzyć trochę za bardzo. Niemniej dziewczyna okazała się prawdziwym darem niebios, gdy przyszło do planowania wyprawy, doboru sprzętu i pakowania plecaków; zajęła się przygotowaniami z sobie tylko właściwą precyzją i efektywnością.

Will czuł się tak, jakby przeskoczył w czasie do tyłu, ponad wszystkimi okropnościami, których doświadczył z rąk Styksów w Kolonii i w Głębi, i odzyskał swoją siostrę – siostrę, którą znał ze starych, dobrych czasów w Highfield. W rzeczywistości tych dobrych chwil było w przeszłości bardzo niewiele i być może właśnie dlatego wryły mu się mocno w pamięć. Być może chciał wierzyć Rebecce także z tego powodu, że po śmierci ojca była jedynym członkiem jego rodziny z Highfield; oprócz pani Burrows, oczywiście, ale ona rysowała się w jego pamięci bardzo mgliście.

– W tej chwili bardziej martwi mnie Marta – powiedział Chester,

czym przerwał rozmyślenia przyjaciela. Obaj spojrzeli na korpulentną postać maszerującą z przodu. – Jest jakaś nieswoja – kontynuował. – Odkąd wyszliśmy z chaty, nie odezwała się prawie ani słowem. Wiem, że źle postąpiła, okłamując nas, ale chyba też rozumiem jej motyw.

W odpowiedzi Will wymamrotał niewyraźne „tak”. Lecz nie zamierzał pochośnie przebaczać.

– To, co zrobiła, było bardzo samolubne. Chciała poświęcić życie Elliott, żeby nie narażać naszego. Czy to jest właściwe postępowanie?

– Nie jest – odparł Chester powoli, jakby wciąż się zastanawiając, czy przebaczyć Marcie czy nie.

– A wracając do Elliott – odezwał się znowu Will. – Czy nie czas na następną porcję aspiryny?

– Myślę, że krótki postój zrobiłby dobrze nam wszystkim – zgodził się z nim przyjaciel.

Przywoławszy Martę, Will zsunął z ramion plecak i wyjął z niego manierkę. Podał naczynie koledze, który potrząsnął nim energicznie, a potem zdjął nakrętkę i zaczął po odrobinie wlewać płyn do ust Elliott.

– Ta aspiryna naprawdę działa – stwierdził, gdy położył dłoń na czole dziewczyny. – Nie jest już taka rozpalona.

Wszyscy zamarli nagle w bezruchu, gdy z oddali dobiegł ich przeraźliwy pisk – głos pajęczych małp.

– Tylko tego nam brakowało... – powiedział Will, krzyżując spojrzenia z Martą.

– To na pewno przez nią – odparła kobieta szeptem, wskazując na chorą. – Mówiłam wam... One wyczuwają słabość. Elliott przyciąga je jak magnes.

– Cóż, będziemy musieli użyć anyżkowego ognia i iść dalej – stwierdził chłopiec beznamiętnym tonem.

– Chcę dostać moją kuszę – zażądała kobieta, spoglądając na broń i

kołczan, przewieszono przez ramię Chestera.

Chester podniósł się i spojrzał na przyjaciela, czekając na jego wskazówki. Jednak ten milczał, niezdecydowany. Jakoś wcale nie podobał mu się ten pomysł.

– Ee... – zaczęła nieśmiało Rebeka, po czym szybko zamknęła usta.

– Chciałaś coś powiedzieć – zachęcił ją Will.

– Cóż... chodzi o to, że tylko ona zna okolicę i wie, na jakie niebezpieczeństwa możemy natknąć się po drodze. Powinna być uzbrojona, bo jeśli ją stracie, stracie też przewodnika i nigdy nie dotrzecie do okrętu.

Chłopiec wciąż się wahał.

– Hej, Will, wiem, że to twoja wyprawa, ale chciałam ci tylko powiedzieć, co o tym myślę – dodała dziewczyna niemal przeproszającym tonem.

– Nie, masz rację – zgodził się z nią chłopiec, po czym odwrócił się do Marty. – Przrzekasz, że nie wykręcisz żadnego numeru? Możemy ci zaufać?

Kobieta skinęła posępnie głową.

– Więc weź sobie tę kuszę – Will ostatecznie ustąpił.

– Ejże, chwileczkę! – wybuchł nagle Chester. – Słuchasz tego, co ma do powiedzenia ta cholerna dziewczucha Styksów, ale moja opinia już cię nie obchodzi! – Spojrzał z urazą na Rebeke.

– Przepraszam, Chester – mitygował się Will. – Śmiało... powiedz mi, co o tym myślisz.

Chłopiec wahał się przez chwilę.

– Tak... powinniśmy oddać Marcie kuszę.

Will wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, zgadzasz się z tą „cholerną dziewczuchą Styksów”, więc po co to całe zamieszanie?

Przyjaciel odwrócił się, mamrocząc pod nosem: – Moje zdanie też

powinno się liczyć, to wszystko.



– Najpierw koniecznie chcesz przeszukiwać Czeluść, a potem niespodziewanie zmieniasz plany i każesz nam iść za nim – mówił doktor Burrows, wskazując na Granicznika.

– I dokąd on właściwie prowadzi, u diabła? Czy za chwilę się nie okaże, że znów zabłądziliśmy?

– Nie zabłądzimy, dopóki będzie znajdował drogowskazy – zapewniła go Rebeka.

Weszli właśnie do nowego odcinka tunelu, a dziewczyna pochyliła się nad ziemią, szukając jednego ze znaków, których wspomniała przed momentem.

Po chwili dojrzała po prawej trzy kawałki grzyba ułożone w jednej linii. Odliczyła dziesięć kroków i oświetliła latarką dno korytarza po drugiej stronie, przed Burrowsem. W tym miejscu, u podstawy ściany leżały kolejne trzy przedmioty, tym razem małe kamienie, których nie dostrzegłby zapewne nikt, kto nie znał dobrze procedur operacyjnych Graniczników. Znaczniki te, pozostawione przez pierwszego żołnierza, wskazywały kierunek, w którym powinni kontynuować marsz.

Doktor nie wiedział oczywiście, że współpracuje z nimi drugi Granicznik, nie mógł więc zrozumieć, o czym właściwie mówi Rebeka.

– Drogowskazy? Nie widziałem tu żadnych drogowskazów – zaprotestował.

– Zaufaj mi – odpowiedziała dziewczyna.

Mężczyzna tylko westchnął wymownie.

W regularnych odstępach czasu Marta zarządzała przerwy na posiłek i odpoczynek. Rozpalała małe ognisko z materiałów, które zebrała po drodze, grzała na nim jedzenie czuwała, gdy chłopcy kładli

się na zmianę spać. Zawsze też rozsypywała garść anyżkowego ognia na obrzeżach ogniska, dzięki czemu ziele spalało się powoli, a jednocześnie wypełniało powietrze intensywnym zapachem.

– Najpierw koniecznie chcesz przeszukiwać Czeluść, a potem niespodziewanie zmieniasz plany i każesz nam iść za nim – mówił doktor Burrows, wskazując na Granicznika.

– I dokąd on właściwie prowadzi, u diabła? Czy za chwilę się nie okaże, że znów zabłądziliśmy?

– Nie zabłądzimy, dopóki będzie znajdował drogowskazy – zapewniła go Rebeka.

Weszli właśnie do nowego odcinka tunelu, a dziewczyna pochyliła się nad ziemią, szukając jednego ze znaków, których wspomniała przed momentem.

Po chwili dojrzała po prawej trzy kawałki grzyba ułożone w jednej linii. Odliczyła dziesięć kroków i oświetliła latarką dno korytarza po drugiej stronie, przed Burrowsem. W tym miejscu, u podstawy ściany leżały kolejne trzy przedmioty, tym razem małe kamienie, których nie dostrzegłby zapewne nikt, kto nie znał dobrze procedur operacyjnych Graniczników. Znaczniki te, pozostawione przez pierwszego żołnierza, wskazywały kierunek, w którym powinni kontynuować marsz.

Doktor nie wiedział oczywiście, że współpracuje z nimi drugi Granicznik, nie mógł więc zrozumieć, o czym właściwie mówi Rebeka.

– Drogowskazy? Nie widziałem tu żadnych drogowskazów – zaprotestował.

– Zaufaj mi – odpowiedziała dziewczyna.

Mężczyzna tylko westchnął wymownie.

W regularnych odstępach czasu Marta zarządzała przerwy na posiłek i odpoczynek. Rozpalała małe ognisko z materiałów, które zebrała po drodze, grzała na nim jedzenie czuwała, gdy chłopcy kładli

się na zmianę spać. Zawsze też rozsypywała garść anyżkowego ognia na obrzeżach ogniska, dzięki czemu ziele spalało się powoli, a jednocześnie wypełniało powietrze intensywnym zapachem.

Czwartego dnia wędrówki Will zauważył, że zmienił się grunt pod ich stopami – nie był to już twardy, chrzęszczący żwir ani sprężysty grzyb, lecz-,coś bardziej miękkiego.

– Jakby coś butwiało... stare liście, albo coś w tym rodzaju – stwierdził chłopiec, wciągając głęboko powietrze i próbując określić różne zapachy.

Potem zauważył coś jeszcze – jakiś ruch na sąsiedniej ścianie. Najpierw pomyślał, że zwodzą go oczy, ponieważ jest już bardzo zmęczony. Potem jednak zrozumiał, że nie jest to żadne złudzenie i że ruszają się właściwie całe ściany tunelu, a także jego dno i sufit.

– Stać! – krzyknął, zatrzymując się raptownie i zmuszając do tego samego Chestera, który trzymał nosze z chorą Elliott z drugiej strony.

Wyteżywszy wzrok, Will dojrzał mnóstwo białych stworzeń przypominających robaki, przemieszczających się po wszystkich powierzchniach korytarza. Jedno z nich przechodziło właśnie tuż przed czubkiem buta chłopca. Miało jakieś dziesięć centymetrów długości, wyglądało jak cienki, idealnie biały wąż pozbawiony oczu. Ciało robaka zakończone było z obu stron czymś w rodzaju przyssawki, dzięki czemu mógł on się poruszać, przerzucając jeden koniec nad drugim, jakby raz za razem wykonywał gwiazdę.

– Ohyda! – wykrzyknął Chester. – Jakie wielkie, paskudne robale! Blee!

Bartleby doskoczył do jednego z robaków i przygniótł zdobyczą łapą. Potem pochylił się nisko nad podłożem i zdołał pochwycić jeden koniec stworzenia między zęby. Pozostała część białego ciała zaczęła wirować coraz szybciej i szybciej, próbując w ten sposób uwolnić się z paszczy nieznanego drapieżnika. Łowca wybałuszył ślepie, starając się

nadażyć za tym ruchem, w końcu jednak zrobił tylko nieprawdopodobnego zeza. Nagle robak przestał się kręcić i przyłożył wolną przyssawkę do nosa Bartleby ego. Ten miauknął przeraźliwie, potrząsnął gwałtownie łbem i wypuścił robaka z pyska. To doświadczenie było dla niego nauką – z niepewnością spoglądał na poruszające się stworzenia i starał się nie nastąpić na żadne z nich, przez co był zmuszony przemieszczać się małymi skokami, niczym kucyk pokonujący przeszkody.

Po chwili do chłopców wróciła Marta zwabiona odgłosami zamieszania.

– Wężę pętłaki. Nie zrobią wam krzywdy – poinformowała, po czym zaczęła zdejmować stworzenia ze ścian i pakować je do swego plecaka.

– Wybacz, Marto, ale jeśli zamierzasz przygotować z nich posiłek, to mnie nie licz. Nie będę tu stał ani chwili dłużej – oświadczył Chester stanowczo i odsunął się na bok, by umknąć przed wężem, który właśnie próbował przyssać się do jego buta. Chłopiec wydał z siebie głęboki, gardłowy dźwięk, który miał wyrażać odrazę, po czym ruszył raptownie do przodu, pociągając za sobą kolegę. – Chodź, Will, zmywamy się stąd!

Jednak ten wcale nie miał jeszcze ochoty odchodzić i powstrzymywał przyjaciela, spoglądając na ziemię z zafascynowaniem.

– Ruszaj się, Will! – wrzasnął Chester, pociągając za nosze. – Nie czas teraz na lekcje przyrody!

Gdy poszli w głąb tunelu, Will obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Rebeka odstawia swoje plecaki. Zaczęła pomagać Marcie zbierać pętłaki. Jednak kobieta coś do niej powiedziała, a dziewczyna natychmiast odsunęła się na bok, bez słowa podniosła plecaki i ruszyła za chłopcami w głąb korytarza.

Will nie zobaczył już nic więcej, ponieważ Chester poderwał się do biegu, narzucając, mu to samo tempo. Przyczyna tego nagłego pośpiechu była oczywista – liczba pętlaków wzrosła do tego stopnia, że stąpali po nich niczym po grubym dywanie splecionym z białych, ruchomych palców. Węże były wszędzie – niektóre spadały z sufitu i lądowały na Elliott i noszach. Chcąc nie chcąc, chłopcy rozgniatali je butami. Pętlaki pękały z nieprzyjemnym, mlaszczącym trzaskiem, a z ich ciał tryskała gęsta, świecąca ciecz, która znaczyła jasnymi plamami drogę przemarszu chłopców.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie nie było już pętlaków, i tam poczekali na pozostałych.

Pierwsza dogoniła ich Rebeka.

– Co się tam stało... wiesz... z Martą? – wydyszał Will, zmęczony długim biegiem.

– Nic – wymamrotała dziewczyna, odwracając wzrok.

– Bzdura! – parsknął chłopiec. – Przyglądałem wam się. Widziałem, że coś do ciebie mówi.

– Chciałam jej pomóc przy zbieraniu pętlaków...

– Tak... i...? – dopytywał.

– Kazała mi się wynosić i powiedziała, że mnie zabije  
odpowiedziała Rebeka cicho.

– Naprawdę?! – warknął Will. – Nie martw się, Rebeko... Jeśli spróbuje coś ci zrobić, najpierw będzie miała do czynienia ze mną.

– Dlaczego ciągle tak się do niej zwracasz? – wtrącił wtedy Chester.  
– Ona się tak nie nazywa.

– Nie zaczynaj – ostrzegł go przyjaciel.

– Nie, ja naprawdę chciałbym wiedzieć, jak się nazywa. Rebece nazwali ją Górnoziemcy, więc to nie może być jej prawdziwe imię. Poza tym nikt chyba nie nadałby obu bliźniaczkom takiego samego imienia, prawda? Więc jak się w końcu nazywasz? – zwrócił się do



dziewczyny.

– I tak wam to nic nie powie – odparła. – To imię w moim języku.

– Spróbuj – nie poddawał się Chester.

Rebeka wypowiedziała krótkie słowo w języku Styksów, przypominające do złudzenia ujadanie hieny.

– Nie, masz rację – pokręcił głową chłopiec. – Nie będę cię nazywał ft... – umilkł, gdy chora zaczęła się wiercić na noszach. – Chyba nikt nie powinien używać języka Styksów w obecności Elliott – zauważył. – Zdaje się, że to źle na nią działa.

Siódmego dnia podróży pomimo zmniejszonej grawitacji ciężar noszy dawał się już chłopcom we znaki. Will nie miał pojęcia, ile kilometrów tuneli pokonali ani ile razy opuszczali się na dno pionowych szczelin. Pocieszał się tylko myślą, że zdaniem Marty powinni dotrzeć do statku już nazajutrz – pod warunkiem że nigdzie nie pomyliła drogi.

Kilka razy musieli zawracać, kiedy ich przewodniczka orientowała się poniewczasie, że wybrała niewłaściwy korytarz. Jednak w sumie kosztowało ich to nie więcej niż parę godzin.

Marta nie korzystała z mapy ani kompasu (Will nie był zresztą pewien, czy kompas w ogóle by tu działał), wydawało się jednak, że plan całej trasy ma w głowie.

Najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze były te odcinki marszruty, gdzie spuszczała się w wielkie rozpadliny skalne, zwłaszcza że musieli bardzo uważać na Elliott. Jednak dzięki temu, że wszyscy w takich chwilach zgodnie współpracowali, udało im się pokonać te liczne przeszkody. Nawet Marta i Rebeka zapominały wówczas o wzajemnych animozjach, każda z nich miała bowiem do odegrania swoją rolę.

Kilka razy zdarzyło się również, że musieli przeciskać się przez kilkaset metrów przerażająco klaustrofobicznych, ciasnych i niskich

korytarzy. Zmuszeni byli wówczas ciągnąć plecaki za sobą, a transport noszy z Elliott był w tych warunkach wyjątkowo trudny i męczący.

Potem weszli nagle w obszar, w którym powietrze było tak suche, że zaczęli sapać i zdejmować ubrania. Gdy wędrowali w dół skalnego zbocza, zrobiło się wręcz nieznośnie gorąco.

W pewnej chwili Will zauważył, że w głębi tunelu pojawił się przytłumiony, czerwony blask.

Wyglądał dość złowieszczo, chłopiec nie zdziwił się więc wcale, gdy Marta kazała im się zatrzymać.

– Co się dzieje? – spytał Chester.

Kobieta nie odpowiedziała, lecz wyjęła z plecaka dwa bukłaki z wodą. Potem przywołała Rebekeę do siebie.

– Wyjmij swoją wodę – rozkazała krótko.

Dopiero kiedy dziewczyna wykonała polecenie, przewodniczka wyjaśniła: – W pobliżu przepływa strumień lawy. Skały są bardzo gorące i niebezpieczne.

– Więc co zrobimy? – spytał Will.

– Nie możemy pójść jakąś inną drogą? – zapytał Chester w tej samej chwili.

Marta pokręciła głową.

– Nie ma innej drogi. Nie zatrzymujcie się pod żadnym pozorem, jasne? Jeśli to zrobicie, zginiecie.

– Hm... śmierć przez zgrillowanie – skomentował Chester z uśmiechem, potem jednak przestał się wygłupiać, zrozumiał, że to wcale nie było zabawne.

Marta pomogła Willowi owinać łapy Bartleby ego szmatami i obwiązać je sznurkiem. Kot z przyjemnością oddawał się tym zabiegom i mruczał rozkosznie, dopóki kobieta nie połała wodą jego łap i nowych butów. Warknął wówczas z oburzeniem, a chłopiec

musiał go przytrzymać, by można było dokończyć przygotowania.

Chester miał za zadanie zwilżyć nosze i Elliott. Był już bliski ukończenia pracy, gdy nagle znieruchomiał.

– Will – powiedział głośno.

– Tak, o co chodzi?

– Wiesz, że to należy do Elliott? – Wskazał na plecak przymocowany do noszy obok nóg dziewczyny.

Przyjaciel otworzył szerzej oczy.

– A niech to! Materiały wybuchowe! A w naszych karabinach jest amunicja! Marto, a jeśli to wszystko eksploduje?

– Karabinom nic nie będzie. Dopilnujcie, żeby plecak był mokry – poradziła im, otwierając bukłak i wylewając całą jego zawartość na siebie, głównie na nogi i stopy.

Kiedy już wszyscy byli mokrzy, przewodniczka ponownie przywołała ich do siebie.

– Pamiętajcie: cokolwiek by się wydarzyło, nie możecie się zatrzymywać. Pod żadnym pozorem. Inaczej zginiecie ostrzegła raz jeszcze.

Potem ruszyli w dalszą drogę. Pędem pokonali ostatnią część zbocza i wpadli w rozpalone powietrze. Wydawało się, że wszystko błyszczy czerwienią. Will dojrzał kłębowisko żaru tuż przed tym, jak w nie wkroczyli – przypominało konsystencją niemal ciało stałe, zupełnie jakby mieli uderzyć w lustro albo warstwę rtęci. Chłopcy mieli wrażenie, że płomienie liżą ich po twarzach.

– Jak w tyglu! – wychrypiał Will, nie ośmielając się wciągnąć głębiej powietrza. Czuł się tak, jakby trafił do wnętrza jednego z ceramicznych naczyń, które podgrzewali palnikami Bunsena na lekcjach chemii.

Skały tworzące ściany i dno tunelu poprzecinane były żyłkami lśniącej, jasnej czerwieni.

Przyjaciele instynktownie starali się nie stąpać po tych liniach – niczym dzieci, które omijają pęknięcia w chodniku. Will wyczuł zapach spalenizny i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy podeszwy ich butów wytrzymają wysoką temperaturę. Czuł też, jak wysychają jego ubrania, i widział, że to samo dzieje się z Chesterem, który zostawiał za sobą smugi pary.

Bartleby biegł posłusznie u boku Willa, kiedy jednak jego prymitywne buty zaczęły się palić, postanowił, że nie będzie już dłużej czekał na tych ślamazarnych ludzi, i pognał do przodu niczym spłoszony koń.

– Kurde! Ile jeszcze?! – zawołał Chester, zdyszany.

– A niech to! Materiały wybuchowe! A w naszych karabinach jest amunicja! Marto, a jeśli to wszystko eksploduje?

– Karabinom nic nie będzie. Dopilnujcie, żeby plecak był mokry – poradziła im, otwierając bukłak i wylewając całą jego zawartość na siebie, głównie na nogi i stopy.

Kiedy już wszyscy byli mokrzy, przewodniczka ponownie przywołała ich do siebie.

– Pamiętajcie: cokolwiek by się wydarzyło, nie możecie się zatrzymywać. Pod żadnym pozorem. Inaczej zginiecie ostrzegła raz jeszcze.

Potem ruszyli w dalszą drogę. Pędem pokonali ostatnią część zbrocza i wpadli w rozpalone powietrze. Wydawało się, że wszystko błyszczy czerwienią. Will dojrzał kłębowisko żaru tuż przed tym, jak w nie wkroczyli – przypominało konsystencją niemal ciało stałe, zupełnie jakby mieli uderzyć w lustro albo warstwę rtęci. Chłopcy mieli wrażenie, że płomienie liżą ich po twarzach.

– Jak w tyglu! – wychrypiał Will, nie ośmielając się wciągnąć głębiej powietrza. Czuł się tak, jakby trafił do wnętrza jednego z ceramicznych naczyń, które podgrzewali palnikami Bunsena na

lekcjach chemii.

Skały tworzące ściany i dno tunelu poprzecinane były żyłkami lśniącej, jasnej czerwieni.

Przyjaciele instynktownie starali się nie stąpać po tych liniach – niczym dzieci, które omijają pęknięcia w chodniku. Will wyczuł zapach spalenizny i natychmiast zaczął się zastanawiać, czy podeszwy ich butów wytrzymają wysoką temperaturę. Czuł też, jak wysychają jego ubrania, i widział, że to samo dzieje się z Chesterem, który zostawiał za sobą smugi pary.

Bartleby biegł posłusznie u boku Willa, kiedy jednak jego prymitywne buty zaczęły się palić, postanowił, że nie będzie już dłużej czekał na tych ślamazarnych ludzi, i pognał do przodu niczym spłoszony koń.

– Kurde! Ile jeszcze?! – zawołał Chester, zdyszany.

Zarówno on, jak i Will z coraz większym trudem utrzymywali nosze w dłoniach śliskich od potu. Wreszcie dotarli do chłodniejszej części tuntu, gdzie już czekali na nich Marta i Bart.

Zasapani, opadli ciężko na dno korytarza.

– Uf! – westchnął Will. – Lepiej niż w saunie. Straciłem pewnie ładnych parę kilo. – Zdjął z ramienia karabin i odpiął od pasa kord. – Po co to wszystko zabrałem? Noszę za dużo gratów – wydyszał.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się to przyda – skomentował Chester i łyknął wody z manierki.

– Mówisz tak samo jak mój tata. On też nigdy niczego nie wyrzucał; Rebekę doprowadzało to do szaleństwa zachichotał przyjaciel, przejmując manierkę, którą podał mu kolega. Zaczął pić, nagle jednak zakrztusił się i wypluł cały łyk wody, częściowo na swego towarzysza. – Boże! A gdzie jest Rebeka?! – zapytał, uświadomiwszy sobie, że dziewczyna jeszcze do nich nie dotarła. – Szła chyba tuż za nami?

– Tak mi się wydawało – przytaknął drugi chłopiec.

Podeszli nieco bliżej zbrocza i czekali, lecz Rebeka nadal się nie pojawiała.

– Może nie mogła już tego znieść i zawróciła – zasugerował Chester.

Nagle Will otworzył manierkę i wylał na siebie całą jej zawartość.

– Co ty wyprawiasz, u...? – zaczął Chester, nim jednak dokończył, przyjaciel wcisnął mu w rękę pustą manierkę. – Will?! – krzyknął, gdy ten ponownie wkroczył w żar.

Chłopiec nie dobiegł daleko, gdy dojrzał w rozdygotanym powietrzu jakiś kształt na środku tunelu i unoszące się wokół niego smugi dymu. Podeszedł bliżej i zobaczył Rebeke leżącą na plecach, które już zaczynały się tlić. Potrząsnął nią mocno, wykrzykując jednocześnie jej imię. Dziewczyna ledwo uniosła głowę i próbowała podać mu rękę.

Will podniósł Rebeke ze skał i zarzucił sobie na plecy, gotów ruszyć w drogę powrotną, potem jednak zawahał się na moment.

– Nie! Nie mogę ich zostawić! – wydyszał i niemal na oślep złapał paski plecaków.

Zaklął, gdy jego dłoń otarła się o rozpalone dno tunelu, zdołał jednak pochwycić oba pakunki.

Potem poderwał się do szaleńczego biegu; pędził tak szybko, jakby chciał się unieść nad gorącą skałę. Żar był nieubłagany – chłopiec oddychał coraz szybciej i płycej, ponieważ rozgrzane powietrze parzyło go w płuca.

Chester zapuścił się w głąb korytarza najdalej jak mógł i czekał niecierpliwie na przyjaciela.

Ujrawszy go z daleka, zawołał: – Do mnie! – A po chwili przejął od niego oba plecaki.

Dotarłszy do Marty, Will ułożył szybko Rebeke obok noszy z Elliott.

Wziął bukłak z wodą i wylał ją na półprzytomną dziewczynę. Potem posadził ją prosto i zmusił do wypicia kilku łyków. Wkrótce Rebeka doszła do siebie, choć wciąż była trochę oszołomiona.

– Co się stało? – spytał chłopiec.

– Potknęłam się. Nie mogłam wstać – odparła, przykładając dłoń do czoła. Potem podniosła na niego wzrok. – Dziękuję ci, Will – powiedziała cicho.

– Nie ma za co – odrzekł chłopiec z zakłopotaniem i powoli wstał.

Obejrzał oparzoną rękę, a potem odwrócił się do Chestera i Marty. Oboje patrzyli na niego z dezaprobatą, a przyjaciel kręcił jeszcze wymownie głową. Will przeniósł spojrzenie nieco dalej, na miejsce, gdzie porzucił plecaki.

– Hej, idioci! One się palą! – krzyknął, zauważywszy, że bagaże wciąż się tlą. – Szybko!

Chester i Marta natychmiast zaczęli wcierać ziemię w żarzącą się tkaninę.

– Nic im się nie stało? Straciliśmy coś? – spytał Will, obawiając się, że zawartość plecaków mogła ulec zniszczeniu.

– Nie, chyba nie – odrzekł Chester, zaglądając do jednego z nich. Potem podniósł wzrok na kolegę. – Nie powinieneś być wracać. Nie sam.

– Musiałem – stwierdził krótko chłopiec.

Przyjaciel nie wyglądał na przekonanego.

– To było szalone – powiedział.

Marta spojrzała z niechęcią na Rebeke.

– A przez tę dziewczuchę Styksów i jej wygłupy nie będziemy mieli wody, dopóki nie dotrzemy do najbliższego źródła – mruknęła, po czym spojrzała w głąb tunelu. – Powinniśmy iść.

Kilka kilometrów dalej Marta nieco zwolniła. Zbliżyła się do ściany tunelu, pogrzebała przy czymś, po czym otworzyła prymitywne

drewniane drzwi.

– Co to za miejsce? – spytał Chester, kiedy kobieta przez nie przeszła.

– Nazwaliśmy je Wilczymi Jaskiniami. To jest kryjówka, którą znalazł kiedyś Nathaniel.

Trzymał tu zapasowe pułapki na pająki.

Wciąż niosąc we dwóch nosze z Elliott, przyjaciele poszli za przewodniczką i znaleźli się we wnętrzu sporego pomieszczenia o dnie pokrytym miękkim piaskiem. Wydawało się, że zamienia się ono w tunel i ciągnie dużo, dużo dalej, Marta jednak najwyraźniej nie zamierzała kontynuować wędrówki, lecz zrzuciła bagaże na piasek. Po chwili Rebeka i Bartleby padli obok nich. Dziewczyna, która po ostatniej przygodzie wciąż nie odzyskała w pełni sił, po prostu położyła się na gołej ziemi.

– Dlaczego Wilcze Jaskinie? – spytał Chester, kiedy znaleźli z Willem płaski kawałek gruntu, na którym mogli ułożyć nosze.

– Z powodu wilków – wyjaśniła krótko Marta.

– Wilków? – wydukał nerwowo chłopiec. – Ja nic nie słyszałem.

– Bo ich nie słyhać. – Marta sprawdziła, czy drzwi są zamknięte i zabezpieczone, po czym zajęła się przygotowywaniem jedzenia. – Poruszają się jak duchy i zawsze polują w stadach, po trzy lub cztery osobniki – mówiła dalej. – Zwykle napadają na maruderów i unikają większych grup ludzi. – Usiadłszy na ziemi, zaczęła obcinać końcówki pętlaków, a potem obierać je z białej skóry. – Ledwie uszłam z życiem, kiedy ostatnio tędy wracałam.

Pamiętajcie więc, żeby nigdy nie oddalać się od grupy.

Marta poprosiła chłopców, by rozpalili ogień, a potem zawiesiła nad nim węże. Kiedy były już przypieczone, rozdała je wszystkim na cynowych naczyniach. Chester najwyraźniej zapomniał o wcześniejszych uprzedzeniach, ponieważ nie odmówił poczęstunku.



– No i co o tym myślisz? – spytał Will, gdy przyjaciel wgryzł się w pasek bladożółtego mięsa.

– Trochę jak węgorz w galarecie – zawyrokował kolega, przeżuwając. – Tyle że nie smakuje jak węgorz i nie jest w galarecie.

– Bardzo mi pomogłeś... – mruknął Will z przekąsem i odgryzł pierwszy kawałek.

Część trzecia

Zaginiony okręt

# Rozdział szesnasty



Po kilku godzinach wędrowcy opuścili Wilcze Jaskinie i na nowo podjęli przerwana podróż.

Will stracił już rachubę czasu, gdy w końcu Marta zwolniła nieco i pokazała na coś z przodu.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała.

Zbliżyli się do wiszącego mostu linowego. Chester gwizdnął przeciągle.

– Nie widać drugiej strony. Jaką on ma długość? – spytał z ciekawością.

– Może jakieś... dwadzieścia pięć... trzydzieści metrów ocenił jego przyjaciel, spoglądając na delikatną konstrukcję zawieszoną nad przepaścią.

– Ty to zbudowałaś? – spytał Martę Chester, położywszy z kolegą nosze na ziemi.

Przewodniczka weszła na most, który zakołysał się i zaskrzypiał złowieszczo pod jej ciężarem. Zrobiła kilka kroków, ostrożnie badając każdą z desek.

– Czy może Nathaniel? – pytał dalej chłopiec, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi.

– Ludzie ze statku – odparła wreszcie kobieta, wpatrując się z niepokojem w ciemność.

Potem dodała: – Wyczuwam ich obecność. Są gdzieś tam.

– Kto? – zdziwił się Will.

– Jesteśmy w pobliżu ich gniazd... kryjówek bielaków. – Pomimo upału panującego w tunelu Marta zadrżała. – Wyczuwam je... Są na górze, gotowe do ataku. – Odwróciła się do chłopca. – To przekłete miejsce. Nie powinno nas tutaj być. To i c h miejsce. – Przeniosła spojrzenie za jego plecy, jakby w ciemności dostrzegła kogoś albo coś, chociaż niczego tam nie było.

Will uświadomił sobie, że kobieta musi być bardzo zmęczona. On sam i Chester od czasu do czasu mieli okazję przespać się na nierównym, twardym dnie tunelu, ale ich przewodniczka nie pozwalała sobie nawet na tyle. Przez całe dziewięć dni, odkąd opuścili jej dom, zachowywała nieustającą czujność, strzegła ich od wszelkich niebezpieczeństw i prowadziła przez labirynt korytarzy z fenomenalną wręcz precyzją. Jej ubrania, zawsze trochę zapuszczone, były teraz sztywne od brudu i plam, zmęczenie poźłobiło jej twarz. Chłopiec obserwował, jak powieki kobiety wolno opadają.

– Hej, Marto – odezwał się łagodnie.

Otworzyła szybko oczy i odwróciła się do mostu.

– Przechodzimy pojedynczo. I nie rozmawiamy: musimy zachowywać się jak najciszej.

– Wyjęła garść anyżkowego ognia, ale go nie podpaliła. – Zachowaj to na później – powiedziała, jakby przypominając sobie samej, co powinna robić.

Potem ruszyła powoli do przodu, wprawiając most w kołysanie. Gdy znalazła się po drugiej stronie, przysła kolej na Chestera. Chłopcy uzgodnili między sobą, że to on – jako cięższy – nie będzie niósł noszy z Elliott, tylko zabierze jeden z lżejszych plecaków.

– Nie podoba mi się to – gderał, rozpoczynając przeprawę. – Ani trochę.

– Ten most jest całkowicie bezpieczny – zapewnił go Will z przekonaniem.

– Och, świetnie, traktujesz mnie jak głupiego dzieciaka. Przecież wiem, że to ryzykowne – jęknął Chester, podnosząc wzrok na przyjaciela.

Ten tylko kiwnął głową, życząc mu szczęścia.

Will widział ze swojego miejsca, że wisząca konstrukcja ugina się pod ciężarem Chestera.

Choć chłopiec posuwał się bardzo powoli, most linowy kołysał się niebezpiecznie i skrzypiał tak głośno, jakby lada moment miał się rozpaść. Chester przystawał co jakiś czas, czekając, aż konstrukcja znieruchomieje, i dopiero wtedy ruszał dalej. Dzięki temu w końcu dotarł bezpiecznie na przeciwną stronę.

Gdy już stanął na drugim brzegu przepaści, Will podniósł nosze z Elliott i poszedł śmiało w ślady przyjaciela. Zrobił dwadzieścia kroków i musiał się zatrzymać. Czekał przez chwilę nieruchomo jak posąg. Po obu stronach, na wysokości jego pasa, ciągnęły się poręcze z lin.

Chłopiec marzył tym, by uchwycić się jednej z nich, jednak nie mógł tego zrobić – obie ręce miał zajęte trzymaniem nieprzytomnej dziewczyny.

„Tu jest bardzo, bardzo wysoko” – przemówił nagle jakiś głos w jego głowie z taką siłą, że Will aż się wzdrygnął.

wtedy wydarzyło się to, czego obawiał się najbardziej. Powróciła irracjonalna pokusa, zupełnie jakby nagle stał się marionetką w czyichś rękach. Widział wyraźnie, niczym na filmie, jak przechodzi nad liną i leci w aksamitną ciemność. Wydawało mu się to całkiem naturalne i sensowne. Przez kilka sekund nie czuł nic prócz tego przemożnego pragnienia, prócz siły ciągnącej go w dół, w przepaść.

Nie myślał ani o Elliott, która zdana była teraz wyłącznie na niego, ani też o Chesterze i Marcie, którzy czekali po drugiej stronie; liczyła się tylko ta neodparta pokusa. W końcu jednak chłopiec zmusił tę

niewielką część mózgu, która wciąż pozostawała pod jego kontrolą, do pomyślenia o chorej dziewczynie i o tym, jak okrutnie by postąpił, gdyby zabrał ją ze sobą. Lecz to nie wystarczyło – irracjonalne pragnienie było zbyt silne.

– Proszę... – jęknął. – Proszę, nie...

W tym momencie coś go szturchnęło. Will odwrócił powoli głowę, by zobaczyć, co to. Ujrzał pysk Bartleby ego i jego wielkie ślepia, które spoglądały nań wyczekująco. Kot uznał najwyraźniej, że już nadeszła jego kolej, i nie mógł zrozumieć, dlaczego jego pan stoi jak posąg i blokuje drogę. Gdy chłopiec spojrział w ślepia Łowcy, Bartleby wydał z siebie ciche miauknięcie, przypominające niemal ludzki głos; można by śmiało pomyśleć, że był to koci odpowiednik pytania „dlaczego?”.

Will zamrugał, a dziwne pragnienie zamigotało niczym płomień świecy na wietrze, po czym zgasło. Chłopiec odwrócił głowę w stronę Chestera, czekającego na drugim brzegu przepaści.

Ponownie ruszył do przodu, poganiany przez kota, który trącał go od czasu do czasu łbem, dając mu w ten sposób znać, by ruszał się trochę szybciej.

Ponieważ Marta zakazała im rozmawiać, przyjaciel nic nie powiedział, kiedy Will znalazł się z powrotem na terra firma. Jednak w jego oczach było widać głęboką troskę. Will tymczasem przeszedł nieco dalej w głąb tunelu, ułożył Elliott na ziemi, a później sam usiadł obok noszy i ukrył twarz w dłoniach.

Kiedy dołączyła do nich Rebeka, mogli ruszyć w dalszą drogę. Nie uszli daleko, gdy zorientowali się, że znów chodzą po grzybie. Wkrótce potem musieli pokonać trzy kolejne pionowe szczeliny skalne. Will wciąż czuł się wyczerpany po incydencie na moście, a myśl o spuszczeniu noszy z Elliott w głąb przepaści niemal całkowicie pozbawiała go sił. Nie obawiał się nawrotu autodestrukcyjnej pokusy

– nie wiedzieć czemu, teraz wcale jej nie odczuwał – przerażał go raczej ogrom pracy związanej z wykonywaniem tych manewrów.

Zadania nie ułatwiało im również to, że znowu musieli stąpać po śliskiej powierzchni grzyba. Gdy wreszcie pokonali ostatnią z trzech szczelin, chłopiec niemal słaniał się na nogach ze zmęczenia, ale Marta za pomocą gwałtownych gestów i min pokazywała, że nie mogą sobie pozwolić ani na chwilę wytchnienia.

Godzinę później wędrowcy weszli do wielkiej jaskini. Will usłyszał właśnie odległy chłupot spadającej wody, gdy przewodniczka nagle zwolniła i skierowała przed siebie promień latarki. Wprost z powierzchni grzyba wyrastała lekko przekrzywiona wieża o wysokości około trzydziestu metrów. Widoczna była tylko jej górna część, pobłyskująca metalicznie w świetle lampy, podczas gdy dolna tonęła w grubej, pofalowanej warstwie grzyba.

– Metalowy okręt... – wyszeptał Will, uśmiechając się od ucha do ucha.

Wreszcie dotarli do celu! Miał ochotę krzyczeć z radości, wiedział jednak, że nie może tego zrobić.

Tymczasem Chester wymachiwał gwałtownie rękami, by ściągnąć na siebie uwagę kolegi, i pokazywał coś pod wieżą, po jej obu stronach. Promienie latarek nie sięgały daleko w ciemność, więc Will potrzebował trochę czasu, by zrozumieć, czym tak ekscytuje się przyjaciel. Kształt grzyba wskazywał na to, że pod jego powierzchnią kryje się coś jeszcze – i to coś ogromnego. Wydawało się, że ma cylindryczny kształt. Chłopiec starał się odgadnąć, jaki to rodzaj okrętu, choć nigdy nie interesował się statkami, prócz tych, które miały szczególne znaczenie historyczne, na przykład „Cutty Sark” (Najsłynniejszy dziewiętnastowieczny klipper (szybki żaglowiec używany do przewozu łatwo psujących się towarów) herbaciany, który pobił wiele rekordów prędkości. Jedyne zachowane klipery

herbaciany na świecie, obecnie w remoncie.)

Marta szybko podprowadziła grupę do podstawy wysokiej wieży. Chłopcy zakrywali twarze, żeby ochronić je przed podmuchami silnego wiatru, który niósł ze sobą krople wody. „Słona” – pomyślał Will, oblizawszy wilgotne wargi.

Za wieżą panowały nieprzeniknione ciemności, w których trudno było się dopatrzeć jakichkolwiek ukrytych kształtów. Will uznał, że okręt znajduje się na samej krawędzi jednej spośród Siedmiu Sióstr. Można by ją nawet wziąć za samą Czeluść, gdyby nie charakterystyczny, nieustający ryk spadającej wody.

Wszyscy z trudem wspięli się na zaokrąglony kadłub okrętu, ślizgając się i zsuwając po drodze, po czym stanęli w jednym miejscu, u podstawy wieży. Przewodniczka dźgała nożem grzyb, najwyraźniej czegoś szukając. Gdy ostrze w końcu zazgrzytało o metal, wsunęła rękę w plechę i pociągnęła z całych sił, głośno przy tym posapując, aż na powierzchni ukazało się kilka zardzewiałych ogniw – grzyb po prostu obrósł masywny żelazny łańcuch, podobnie jak niemal wszystko inne dokoła.

Wyteżywszy siły, Marta szarpnęła raz jeszcze. Łańcuch uwolnił się nagle spod grzyba i rozerwał jego wierzchnią warstwę. Gdy ciężkie ogniwa uderzyły o odsłoniętą metalową obudowę na szczycie wieży. Will zauważył, że łańcuch jest tam do czegoś przymocowany.

Kobieta pochwyciła go mocno i bez chwili wahania zaczęła się wspinać. Chłopiec dopiero wtedy pomyślał, że tym razem lepiej nie próbować wskoczyć na szczyt, ponieważ można by chybić i polecieć w przepaść.

Chester wspiął się następny, ciągnąc za sobą Elliott na noszach, po nim zaś na wieżę wdrapała się Rebeka. Bartleby nie był wcale zadowolony, gdy Will obwiązał go liną, by Marta mogła go wciągnąć na górę. Gdy chłopiec odprawił już wszystkich, sam wszedł na szczyt i



zobaczył, że została tam już tylko Marta. Nie zdążył nawet się zorientować, gdzie jest i dokąd poszli pozostali, gdy w ciszę wdarł się przeraźliwy, zawodzący pisk.

– To bielaki – powiedziała przewodniczka półszepem. W mgnieniu oka w jej dłoniach znalazła się kusza, gotowa do strzału.

Kiedy chłopiec odchylił głowę i spojrzał w górę, dostrzegł tylko odległe światła, niewyraźne i przyćmione, niczym świetliki widziane przez drobną siatkę. Nie był pewien, czy mrugnął czy też nie, ale nagle w obrębie światła rzucanego przez latarkę pojawił się jakiś duży obiekt.

Wydawało się, że wychynał nagle z nicości, tak dziwny i nierzeczywisty, że Will nie mógł uwierzyć, iż widzi go naprawdę.

Przede wszystkim rzucił mu się w oczy kolor stworzenia było niemal śnieżnobiałe. Jego szeroko rozpostarte skrzydła miały rozpiętość około dziesięciu metrów. Pomiedzy skrzydłami znajdował się tułów rozmiarów dorosłego człowieka, choć trudno byłoby się w nim doszukać jakichś ludzkich cech. Will od razu się domyślił, że jest to jakiś owad: świadczyły o tym budowa jego głowy i tułowia, a także dziwny odwłok, rozszczepiony na środku, jakby złożony z dwóch nóg pokrytych puchatymi piórami lub płytkami. Do tego rozszczepionego brzucha przywierały liczne czarne pajęczaki – maleńkie wersje pajęczych małp, co natychmiast zauważył chłopiec. Kanciaste skrzydła stworzenia do złudzenia przypominały skrzydła nietoperza, a wrażenie to pogłębiał dźwięk wydawany przy każdym ruchu przez rozpiętą na nich błonę.

Wtem jęknęła cięciwa kuszy, a wystrzelony pocisk przeszył ze świstem powietrze. Chociaż niesamowite zwierzę znajdowało się nie więcej niż dwadzieścia metrów nad wieżą, bełt trafił w pustkę.

Bielak po prostu znikł.

– Co...?! – wykrzyknął jedynie Will.

Był pewien, że nie mrugnął w tym momencie, a nawet gdyby to zrobił, tajemniczy drapieżnik musiałby być nadnaturalnie szybki.

Znowu usłyszał szelest skrzydeł. Zwierzę pojawiło się ponownie, tym razem na lewo od wieży i bliżej. Chłopiec akurat trzymał latarkę nad głową, a jej światło padało prosto na bielaka. Głowa olbrzymiego owada wielkością i kształtem przypominała piłkę do rugby. W samym jej środku znajdowała się owadzia trąbka zwinięta w spiralę, poniżej zaś otwór gębowy pełen przerażających, perłowobiałych zębów. Tuż nad trąbką widniała para srebrnych dysków – Will wiedział, że prawdopodobnie nie są to oczy, lecz podobne do uszu narządy, o których mówiła mu już wcześniej Marta, opisując pajęczą małą.

Tym razem chłopiec był tak zdumiony, że mrugnął. Jednak kiedy podniósł powieki, stworzenie wciąż tam było. Najdziwniejsze wydawało się Willowi to, że pysk owada tak bardzo przypomina ludzką twarz. Co więcej, na czubku jego głowy widniało coś, co wyglądało jak migoczący dysk – okrągły obiekt emitujący blask o zmiennym natężeniu.

Chłopiec domyślił się, że to swego rodzaju wabik, przyciągający ofiary ukryte w ciemności.

W tym momencie dostrzegł także, że owad odciągnął skrzydła do tyłu, jakby miał zamiar zanurkować.

Tak, nurkował prosto na niego i Martę.

Chłopiec stał nieruchomo, jakby nogi wrosły mu w powierzchnię okrętu. Marta na szczęście zachowała przytomność umysłu i ponownie strzeliła z kuszy. Po raz drugi stworzenie po prostu znikło, a Will wpatrywał się z otwartymi ustami w puste powietrze. Dopiero krzyk przewodniczki przywołał go do rzeczywistości.

– Do środka! – wrzasnęła, wpychając go do otworu pod swoimi stopami.

Latarka wyślizgnęła się chłopcu z dłoni i spadła. Po drodze odbijała

się z trzaskiem od metalu. On sam także poleciałby jej śladem, gdyby przypadkiem nie uchwycił się metalowej drabinki. Zdołał pokonać tylko kilka szczebli, zanim Marta, poruszająca się z wdziękiem galopującego hipopotama, nastąpiła mu na palce.

– Au! – krzyknął, wyrywając dłoń spod jej podeszwy.

Tymczasem kobieta zatrzasnęła klapę nad głową i przekreśliła mechanizm blokujący wejście.

– Co to było, do cholery?! – zawołał Will, rozprostowując obolałe palce i rozglądając się po ciasnym pomieszczeniu, do którego został wepchnięty. – Na pewno nie pajęcza małpa! – dodał, uświadomiwszy sobie, że znajduje się w „wieży” okrętu. Miała ona owalny kształt, a wzdłuż jej ścian biegly liczne rury i przewody.

– To był bielak – wydyszała kobieta. – Mówiłam ci, że mają tu gniazda. To coś zupełnie innego niż pajęcze małpy: potrafią latać.

– Co ty nie powiesz... – mruknął Will do siebie, schodząc jeszcze niżej i mijając po drodze kolejny właz.

Gdy zbliżał się do końca drabiny zauważył, że powietrze robi się zatęchłe, wyczuł też zapach wilgoci i pleśni. Jego stopy zastukały głośno o metalową podłogę, przechyloną nieco na bok, zapewne ze względu na sposób, w jaki ułożył się okręt po upadku w przepaść.

Kiedy chłopiec pochylił się, by podnieść swoją latarkę, podbiegł do niego Chester. Will chciał mu koniecznie opowiedzieć o latającym potworze.

– Posłuchaj, nie uwierzysz...

– Will! Will! – przerwał mu Chester, rozemocjonowany. – To nie jest jakiś stary statek.

To okręt podwodny. I do tego całkiem współczesny! – Podniósł swoją latarkę, by przyjaciel mógł się rozejrzeć dokoła.

– Niesamowite! – roześmiał się Will, zadziwiony zarówno niezwykłą sytuacją, jak i otoczeniem.

Spojrzał na elektroniczne tablice sterownicze, pokryte warstwą kurzu. Choć wydawały się nowoczesne i skomplikowane, tu i ówdzie tkwiły na nich resztki wypalonych świec, otoczone kałużami stopionego wosku, który zwieszał się również długimi pasmami ku podłodze.

– Nie mieli zasilania – stwierdził Will, a potem przeszedł na środek pomieszczenia, gdzie znajdowały się okrągła, ciemna kolumna, kryjąca zapewne peryskop, oraz małe biurko, nad którym wisiał arkusz ukryty za taflą pleksiglasu. Arkusz wyglądał na mapę, choć brakowało sporej jego części, a pleksiglas był rozbity. – Okręt podwodny – powtórzył, nie do końca ogarniając rozumem to, co mówił. – Więc weszliśmy tutaj przez kiosk. A to jest sterownia albo... albo mostek, czy coś takiego. Zgadza się?

– Chyba tak – wzruszył ramionami Chester.

– Ale powiedz mi, jak okręt podwodny mógł trafić aż tutaj? Jak do tego doszło?

– Może to ma związek z tym, o czym kiedyś opowiadałeś, no wiesz, o poruszających się płachtach? – zasugerował przyjaciel.

– Chyba o płytach – poprawił go kolega. Zaczął się przechadzać po sterowni i przyglądać różnym skomplikowanym urządzeniom. – Tak, tektonika płyt. Jakieś przesunięcie sejsmiczne na dnie morza... Być może ten okręt został po prostu wessany... – Dotarł do miejsca, w którym Chester zostawił Elliott, wciąż przywiązaną do noszy. Ten widok przypomniał mu o tym, co ich tu sprowadziło. – Potrzebujemy lekarstw. Marto, gdzie mamy ich szukać?

– Tędy – odparła kobieta, przechodząc przez okrągły właz o wysokim progu, a potem wzdłuż schodni po drugiej stronie.

Kiedy mijali otwartą kajutę, Will dostrzegł jakieś przedmioty unoszące się na wodzie. Ze względu na przechył kadłuba po jednej stronie okrętu woda podniosła się nad podłogę wykonaną z metalowej

kratownicy. Chłopiec wypatrzył ubrania, but z cholewą i kartonowe pudła porośnięte pleśnią.

– Poczekajcie chwilę, tutaj coś jest! – zawołał, pochylając się nad wodą.

– Gazeta – stwierdził Chester, gdy kolega wyciągnął i zaczął rozprostowywać mokre kartki. Woda zmieniła je częściowo w rozmoczoną papkę, jednak niektóre nadal były czytelne. Will dojrzał zdjęcie jakiegoś mężczyzny z wielkimi wąsami, obok zaś tekst wypisany cyrylicą.

Kiedy przyjaciel zajrzał mu przez ramię, Will wskazał na górną część jednej strony.

– Masz rację, to ruska gazeta... Potrafisz to odczytać? spytał. – Czy to data?

– eBpajib – przesylabizował Chester. – Hm... musiałbym się mocno postarać, żeby przypomnieć sobie, co to znaczy... To chyba jakiś miesiąc... ale spójrz na rok. Ta gazeta nie ma jeszcze nawet roku! – wykrzyknął, potem jednak zmarszczył brwi. – Choć prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jaka jest dzisiejsza data.

– Ja też nie – stwierdził Will. Przygryzł wargę, tknięty pewną myślą. – Nie wiadomo, może mam już piętnaście lat... Może przegapiłem swoje urodziny. – Spojrzał jeszcze raz na gazetę i wyrzucił ją. – Ale to w niczym nie pomoże Elliott. Chodźmy.

Ruszyli dalej wzdłuż schodni, przechodząc po drodze przez kilka grodzi, aż wreszcie stanęli przy drzwiach kajuty. Marta zawahała się, jakby nie chciała wejść do środka. Chester spojrzał na nią pytająco.

– Za dużo złych wspomnień – wyszeptała.

Drugi chłopiec tymczasem już wsunął głowę do wnętrza pomieszczenia.

– Straszny tu bałagan – oznajmił.

Kobieta skinęła głową.

– Kajuta już tak wyglądała, kiedy ją znalazłam.

– Ale co się stało z ludźmi, z załogą? Spotkałaś kogoś, gdy byłaś tu po raz pierwszy? – spytał Chester.

– Nie. Wydaje się, że opuścili pokład w wielkim pośpiechu. No dobrze, jeśli nie macie nic przeciwko temu, znajdę sobie jakiś spokojny kąt i trochę się prześpię – poinformowała, ruszając w drogę powrotną.

Will i Chester zajęli się przeszukiwaniem kajuty, w której znajdowały się stół lekarski i lampa na regulowanym wysięgniku, przymocowana do ściany. Na ścianach wisiało też kilka plasz przedstawiających ludzkie ciało. W rogu leżała sterta rzuconych byle jak krzeseł, a podłogę zaścielała warstwa potłuczonego szkła i przyrządów lekarskich. Tym, co natychmiast przyciągnęło uwagę chłopców, były wysokie szafki zajmujące w całości jedną ze ścian kajuty. Natychmiast je otworzyli i przekonali się, że w środku są liczne szuflady wyłożone gąbką. Will cmoknął z niezadowoleniem, kiedy zobaczył tylko puste wytłoczone miejsca na narzędzia. Chester miał więcej szczęścia. Znalazł buteleczki z tabletkami i płynami oraz całkiem sporo szczelnie zamkniętych szklanych fiolek.

Przyjaciele pracowali razem, wydobywając wszystko i układając na stole. Gdy to robili, Chester zwrócił uwagę na ciemne plamy na melaminowym blacie.

– Jak myślisz, co to jest? – spytał, dotykając ostrożnie jednej z nich.

– Może krew? – odparł Will, krzywiąc twarz.

Kolega wpatrywał się przez chwilę w blat, poruszony.

– Więc co się stało z załogą?

– Kto wie? Może wybiły ich wszystkich te latające stworzenia, które widziałem nad statkiem – rozmyślał głośno Will. – Inaczej chyba nie zostawiliby tutaj tyle sprzętu. – Pociągnął nosem, potem raz

jeszcze. – Czujesz to? Jakiś dziwny zapach...

– Hm... mam nadzieję, że to nie ja – oświadczył z powagą Chester i podniósł rękę, by powąchać się pod pachą.

Will uśmiechnął się do niego.

– Nie, nie mówiłem o nas. To jakiś chemiczny zapach. Jak chloroform, czy coś w tym rodzaju.

Chester potarł czoło, wyrażcie zatroskany.

– Tak sobie myślałem... A co, jeśli tu wcale nie ma tego, na czym nam najbardziej zależy, czyli antybiotyków? Jeśli zużyła je załoga albo zabrała ze sobą Marta? Mówiła, że straciła sporo rzeczy, kiedy wracała do Nathaniela. – Zamyślił się na moment. – Wiesz też chyba, że antybiotyki się psują, kiedy za długo leżą w ciepłe. Kiedy dostałem lekarstwa na zapalenie ucha, mama trzymała je w lodówce.

Will jednak nie tracił nadziei.

– Posłuchaj, tutaj musi coś być... cokolwiek, co pomoże Elliott. To niemożliwe, żebyśmy przeszli taki kawał drogi i niczego nie znaleźli.

Kiedy już ułożyli wszystkie lekarstwa na stole, Chester zaczął zmudny proces odczytywania napisów na etykietach, podczas gdy przyjaciel przyświecał mu latarką. W miarę upływu czasu ogarniało ich jednak coraz większe zniechęcenie; Chester nie rozumiał większości słów zapisanych po rosyjsku, a nawet jeśli znajdowały się wśród nich nazwy angielskie, i tak nic chłopcom nie mówiły.

Chester, zdenerwowany, raz jeszcze przeglądał wszystkie buteleczki i fiolki, Will zaś ponownie przeszukiwałabinę w nadziei, że coś przeoczyli. Kiedy zaczął wyciągać z rogu krzesła, dostrzegł jakiś przedmiot.

– Hurra! – wykrzyknął, sięgając po niego.

Był to pomarańczowy, plastikowy pojemnik. Will odpiął zatrzaski i podniósł wieko. W środku leżała sterta lekarstw, które natychmiast zaczęli przeglądać.

– Amoksycylina! – ucieszył się Chester, podnosząc buteleczkę z tabletkami. – Poznaje to! Lekarz dał mi ten lek, kiedy rozbiłem sobie kolano i rana zaczęła ropieć.

– Amoksycylina? Jesteś pewien? – spytał Will.

– Na sto procent. A data ważności nie minęła chyba aż tak dawno. Założę się, że nadal można ją bezpiecznie stosować powiedział. Raptem chwycił przyjaciela za ramię. – O Boże, Will! Rebeka! Zostawiliśmy ją z Elliott!

Kolega próbował go uspokoić.

– Nie gorączkuj się tak, zaraz do niej wrócimy. Myślę, że wszystko jest w porządku.

– Nie obchodzi mnie, co myślisz! Ona jest sama z Elliott! A ja zostawiłem tam też mój cholerny karabin! – zawołał Chester i rzucił się do wyjścia. Pędził tak szybko, że uderzył czołem o lampkę olejną zwisającą pod jedną z rur; pomimo to nie zwolnił.

Po chwili obaj chłopcy wpadli do sterowni okrętu. Chester podbiegł prosto do swojego karabinu i poderwał go z podłogi. Chora nadal leżała na noszach, nie była jednak przywiązana ani okryta kocem.

– Co jej zrobiłaś?! – warknął wściekle chłopiec, wskazując na nieprzytomną dziewczynę.

Rebeka cofnęła się o krok, wystraszona nagłym wybuchem i groźną miną Chestera, który na dodatek trzymał w dłoniach karabin.

Chłopiec ukląkł przy Elliott i przyłożył ucho do jej twarzy. Potem ujął ją za nadgarstek.

– Jest puls – rzucił do Willa.

– Umyłam ją. To wszystko. Znalazłam zbiornik z wodą i butelkę jodyny. Dzięki temu mogłam wysterylizować tę wodę wyjaśniła. – Nie powinniście jej pić, ale nadaje się do mycia.

– Chyba nic się jej nie stało – zwrócił się Chester do przyjaciela,



jakby w ogóle nie słyszał dziewczyny.

– Chester, ona ma świeże ubrania – odparł Will. – I umytą twarz. Spójrz tylko na nią!

– Nie zrobiłam jej nic złego – mówiła z naciskiem Rebeka, niemal ze łzami w oczach. – Próbowałam tylko pomóc.

Chester dojrzał małe ognisko w rogu sterowni.

– Więc co to jest, u diabła?! W co ty pogrywasz?!

– Gotuję zupę dla Elliott – odrzekła cicho dziewczyna. – Pomyślałam, że wy może też chcielibyście coś zjeść.

Chłopiec odchrząknął niepewnie, zrozumiałwszy w końcu, że Rebeka nie miała żadnych złych zamiarów.

– No tak – mruknął, nieco zawstydzony. – Jasne. Dzięki dodał burkliwie, podnosząc się.

– Nie ma za co – odpowiedziała. Dopiero teraz dojrzała buteleczkę w dłoni chłopca. – Znaleźliście coś! – zawołała, potem zaś odwróciła się do Willa. – Mogę zobaczyć? – spytała, podekscytowana.

– Nie, nie możesz – zareagował odruchowo Chester.

– Och, daj spokój, pokaż jej, co znaleźliśmy – zachnął się Will. – W końcu co w tym złego?

Chester z ociąganiem podał Rebecce buteleczkę. Dziewczyna wzięła ją do ręki i przyjrzała się etykietce.

– Amoksylicyna... tak, to świetny antybiotyk ogólnego zastosowania. Tutaj mamy tabletki po 250 miligramów, więc na początek można jej dać zwiększoną dawkę...

Powiedzmy trzy albo nawet cztery dziennie. To powinno wystarczyć, jeśli gorączka wywołana jest infekcją bakteryjną, ale nie przyniesie żadnego rezultatu, jeśli to wirus.

– Skąd ty to wiesz? – spytał Chester ze zdumieniem.

Will pokręcił głową i roześmiał się ironicznie.

– Jeśli zamierzasz zabić kilkaset milionów Górnoziemców,

powinieneś chyba coś wiedzieć o lekarstwach, których używają, nie sądzisz, Chester?

– Tak, głupie pytanie – zgodził się z nim przyjaciel.

# Rozdział siedemnasty



Elliott natychmiast zareagowała na antybiotyki. Chłopcy byli wniebowzięci, gdy trzy dni później otworzyła oczy i zaczęła z nimi rozmawiać.

Ułożyli ją w kajucie, która niegdyś należała zapewne do kapitana, sądząc po nieco szerszej koi, dębowym biurku i krześle oraz oprawionych w ramki zdjęciach okrętów podwodnych i liniowców, zdobiących ściany.

Chociaż chora wciąż była nieco oszołomiona, przyjaciele podnieśli ją do pozycji półsiedzącej, podkładając jej pod plecy zwinięte koce. Z niedowierzaniem i radością patrzyli, jak sama pije wodę.

Podniesieni na duchu tym cudownym ozdrowieniem, zaczęli opowiadać jej o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd wpadli do otchłani. Elliott była jednak jeszcze zbyt osłabiona, by przyjąć za jednym razem tak dużą dawkę informacji. Błądziła spojrzeniem po kajucie, jakby nie mogła się skoncentrować. Chłopcy uznali więc, że wystarczy jej wrażeń jak na jeden dzień i że powinni ją zostawić w spokoju, by odpoczęła.

Następnego dnia dziewczyna siedziała w towarzystwie Chestera, gdy za drzwiami kajuty przemknęła Rebeka.

– Kto to był? – spytała Elliott.

– Jedna z tych bliźniaczek, Rebeka – odparł kolega. – Nie pamiętasz? Mówiliśmy ci wczoraj, że pojawiła się...

– Ona jest Styksem! – wrzasnęła przeraźliwie Elliott. – Nie! Nie

tutaj! Nie wpuszczajcie jej tutaj!

Will, który przebywał w tym czasie w sterowni, usłyszał krzyki i natychmiast pobiegł do kajuty kapitana. Gdy tam dotarł, dziewczyna dyszała ciężko, ledwie żywa ze zdenerwowania.

Chester trzymał ją i próbował uspokoić.

– Co się stało? – spytał przyjaciel. – Dlaczego ona jest taka zdyszana?

– Zobaczyła Rebekę i wpadła w szal. Wydaje się, że nie pamięta niczego, co mówiliśmy jej wczoraj – wyjaśnił zaniepokojony Chester, podczas gdy chora po prostu osunęła się w jego ramiona i natychmiast zapadła w głęboki sen.

W drzwiach pojawiła się bliźniaczka.

– Po co tu przysłaś? Mało jeszcze narozrabiałaś?! – warknął Chester.

– Tego można się było spodziewać – odrzekła Rebeka. – Przez długi czas miała wysoką temperaturę, więc jej mózg jakby powoli się gotował... To całkiem normalne, że teraz dziwnie się zachowuje.

– Więc nie ma się czym martwić? – dopytywał się Will.

– Nie, tego bym nie powiedziała, bo nie wiemy jeszcze, czy gorączka nie spowodowała jakichś trwałych uszkodzeń. Ale zaglądałam jej do oczu i wiem, że źrenice reagują prawidłowo. Nie ma też powiększonych węzłów chłonnych.

– Naprawdę to zrobiłaś? – chłopiec był pod wrażeniem.

Rebeka skinęła głową.

– Raczej nie doszło do zapalenia żadnego z organów wewnętrznych. Musimy podawać jej stałą dawkę antybiotyków i poczekać z tydzień, aż wydobreje.

– Mówisz jak jakiś cholerny lekarz – burknął Chester, Will widział jednak, że również jemu zaimponowały wiedza i fachowość dziewczyny.

– Nie możemy tutaj zostać – powiedziała Marta, stając w drzwiach.  
– Nie wiem, czy o tym pamiętacie, ale mamy jeszcze do rozwiązania drobną kwestię wody i jedzenia. Mogę donosić wodę ze źródła na zewnątrz, ale potrzebujemy więcej jedzenia.

Ta informacja nie była dla nikogo wielkim zaskoczeniem. Oprócz Elliott wszyscy już od jakiegoś czasu musieli zadowalać się ograniczonymi racjami żywnościowymi. Marta robiła, co mogła, by jakoś ich wyżywić, jednak na okręcie nie znaleźli żadnego jedzenia prócz kilku cukierków wciśniętych w czubki trampek ukrytych w szafce.

Ponieważ bielaki stanowiły naprawdę duże zagrożenie, kobieta nie pozwalała nikomu wychodzić na zewnątrz. Od czasu do czasu prosiła Chestera lub Willa, by pilnowali włazu, podczas gdy ona szła po wodę do pobliskiego źródła, kryjąc się pod osłoną dymu z anyżkowego ognia. Każdego dnia otwierała też wąż na godzinę, by przewietrzyć wnętrze okrętu, ale zawsze wtedy pilnowała wejścia z kuszą w dłoni. Poza tymi chwilami, na jej wyraźne polecenie, wąż był szczelnie zamknięty.

Wszyscy milczeli przez chwilę, spoglądając po sobie. Wreszcie Marta znowu się odezwała: – Zawsze jest jeszcze kot.

– Nie możemy wypuścić go samego na polowanie. Bielaki mogą go dopaść równie łatwo jak nas – zaprotestował natychmiast Will.

Chester spojrzał na niego z ukosa.

– Will, Marta miała chyba na myśli coś innego – zauważył z przekąsem.

– Możemy przetrwać tu jeszcze przez tydzień tylko wtedy, gdy zjemy kota – potwierdziła kobieta.

– Zjeść Bartleby ego?! – chłopiec aż zachłysnął się z oburzenia, choć nie był pewien, czy Marta mówi całkiem poważnie. – Nie ma mowy!

– Nie możemy tutaj zostać – powiedziała Marta, stając w drzwiach.  
– Nie wiem, czy o tym pamiętacie, ale mamy jeszcze do rozwiązania drobną kwestię wody i jedzenia. Mogę donosić wodę ze źródła na zewnątrz, ale potrzebujemy więcej jedzenia.

Ta informacja nie była dla nikogo wielkim zaskoczeniem. Oprócz Elliott wszyscy już od jakiegoś czasu musieli zadowalać się ograniczonymi racjami żywnościowymi. Marta robiła, co mogła, by jakoś ich wyżywić, jednak na okręcie nie znaleźli żadnego jedzenia prócz kilku cukierków wciśniętych w czubki trampek ukrytych w szafce.

Ponieważ bielaki stanowiły naprawdę duże zagrożenie, kobieta nie pozwalała nikomu wychodzić na zewnątrz. Od czasu do czasu prosiła Chestera lub Willa, by pilnowali włazu, podczas gdy ona szła po wodę do pobliskiego źródła, kryjąc się pod osłoną dymu z anyżkowego ognia. Każdego dnia otwierała też wąż na godzinę, by przewietrzyć wnętrze okrętu, ale zawsze wtedy pilnowała wejścia z kuszą w dłoni. Poza tymi chwilami, na jej wyraźne polecenie, wąż był szczelnie zamknięty.

Wszyscy milczeli przez chwilę, spoglądając po sobie. Wreszcie Marta znowu się odezwała: – Zawsze jest jeszcze kot.

– Nie możemy wypuścić go samego na polowanie. Bielaki mogą go dopaść równie łatwo jak nas – zaprotestował natychmiast Will.

Chester spojrzał na niego z ukosa.

– Will, Marta miała chyba na myśli coś innego – zauważył z przekąsem.

– Możemy przetrwać tu jeszcze przez tydzień tylko wtedy, gdy zjemy kota – potwierdziła kobieta.

– Zjeść Bartleby’ego?! – chłopiec aż zachłysnął się z oburzenia, choć nie był pewien, czy Marta mówi całkiem poważnie. – Nie ma mowy!

– Więc nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do Wilczych Jaskiń albo do domu – podsumowała.

Will potarł brodę, analizując sytuację.

– Cóż... Możemy nieść Elliott na noszach, jak w drodze do okrętu, to żaden problem. A kiedy już dotrzemy do Wilczych Jaskiń, zastanowimy się, co robić dalej. Odpowiada ci to, Chester?

– Jasne – zgodził się przyjaciel. – Nie możemy siedzieć tu do czasu, aż z głodu zaczniemy jeść te przemoczone pudła. Jeśli mamy przeżyć, musimy się wynosić, i to szybko.

Postanowili więc, że opuszczą okręt w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Zostawiwszy Chestera przy Elliott, Will poszedł sprawdzić, czy plecaki są spakowane do drogi. Gdy skończył, przechadzał się przez chwilę bez celu, aż wreszcie trafił do największego pomieszczenia położonego na rufie. Znajdowały się tam dwie bliźniacze jednostki napędowe okrętu – olbrzymie silniki zamknięte w obudowach z polerowanej stali.

Niełatwo było poruszać się w tym miejscu, ponieważ większość metalowych schodni i trapów została usunięta. Z pewnością to właśnie tutaj syn Marty znalazł metalowe płyty, które przetransportował potem do jej siedziby.

Tuż obok silników znajdowało się dwoje grubych drzwi zaopatrzonych w potężne zamki. Po bliższych oględzinach Will stwierdził, że pasują do nich jakieś nietypowe klucze, nie miał jednak najmniejszego zamiaru ich otwierać, ponieważ wszędzie dokoła znajdowały się znaki ostrzegające przed podniesionym poziomem radioaktywności.

Zmierzając na drugi kraniec okrętu, minął Martę, która spała głęboko na materacu. Jej dłoń spoczywała na kuszy leżącej tuż obok.

Chłopiec przeszedł właśnie obok kajuty Elliott, gdy usłyszał jakiś

hałas. Odwrócił się i zobaczył, że idzie za nim Rebeka.

– Jak leci? – spytał, nieco zaskoczony, że spotkał ją w tym miejscu. Zastanawiał się, czego od niego chce.

– Świetnie – odparła słodkim głosem.

W towarzystwie dziewczyny Will dotarł do drzwi prowadzących do dziobowej części łodzi podwodnej. Spojrzał przez bulaj z grubego szkła na masę skłębionego, zgniecionego metalu.

Wyglądało na to, że ta część przyjęła na siebie całą siłę uderzenia, gdy okręt runął w przepaść.

– Założę się, że są tutaj torpedy – zauważyła Rebeka swobodnym tonem, stając na palcach i zaglądając Willowi przez ramię. – Prawdopodobnie z głowicami atomowymi.

– Naprawdę? – mruknął chłopiec, przecierając szybką rękawem. – Czyli coś, na czym twoi ludzie chętnie położyliby swoje łapska – dodał po namyśle.

Dziewczyna się roześmiała, lecz jej oczy pozostały zimne, jakby ją obraził.

– Nie, to nie w naszym stylu – stwierdziła rzeczowo, opierając się wygodniej o ścianę. – Chcemy naprawić tę planetę, a nie zamienić ją w pustkowie, na którym mogą żyć tylko szczury i karaluchy. Ale wygląda na to, że wy, Górnoziemcy, właśnie do tego dążycie. Nie interesuje was fakt, że zanieczyszczacie i niszcycie planetę, kawałek po kawałku, dzień po dniu. Nie obchodzi was to, dopóki macie trzy posiłki dziennie, telewizję i wygodne łóżko – mówiła ze zjadliwą pewnością siebie, którą znał dobrze z dawnych czasów, z surowością, której tak nie znosił i która tak go irytowała.

– Nie obwiniaj mnie o to, co się dzieje na świecie – odparował chłopiec. – Gdyby to zależało ode mnie, na pewno zrobiłbym coś, żeby zlikwidować zanieczyszczenia i powstrzymać globalne ocieplenie.



– Doprawdy? Ciekawe jak... Jesteś temu tak samo winny jak każdy spośród pozostałych siedmiu miliardów ludzi pełzających po skorupie ziemskiej jak żarłoczne żuki gnojaki – mówiła Rebeka, spoglądając w górę. – Nie widzisz, co zrobiliście? Próbowaliście uczynić ze świata „lepsze” miejsce dla siebie samych...

Próbowaliście kontrolować to, czego nie powinno się kontrolować. A teraz, gdy wszystko zaczyna się psuć, zmuszeni jesteście poddawać to jeszcze surowszej kontroli. Ale nie możecie i nie zrobicie tego. Jeśli spróbujecie nagiąć naturę do własnych wymagań, to w końcu natura nagnie was do swoich. Ty i cała reszta Górnoziemców zbliżacie się szybko do końca drogi...

dokładnie tak, jak opisano to w Księdze Katastrof.

Willowi wcale nie podobał się sposób, w jaki pouczała go Rebeka, i z trudem trzymał nerwy na wodzy. Wprost nie mógł uwierzyć w przemianę, jakiej nagle uległa dziewczyna, jakby dopiero teraz ukazywała swe prawdziwe oblicze. Lecz już w następnej sekundzie jej zachowanie diametralnie się zmieniło. Uśmiechnęła się, rozprostowała ręce skrzyżowane na piersiach i pomachała mu czymś przed nosem.

– Pomyślałam, że to może cię zainteresować. Znalazłam je przy jednej z koi – powiedziała miłym tonem i wręczyła chłopcu coś, co wyglądało na plik fotografii.

Will, nieco oszołomiony tą metamorfozą, wziął zdjęcia od Rebeki i zaczął je przeglądać. Było ich dziesięć, wszystkie czarnobiałe i poznaczone plamami wilgoci lub brudu. Wszystkie były nieco zamazane, przypominały mu pewne stare fotografie – zdaje się, że nazywano je zdjęciami polaroidowymi – które jego tata wykonał na długo przed jego narodzinami, gdy wędrował wzdłuż Muru Hadriana (Rzymski mur obronny w północnej Brytanii, wybudowany w latach 121-129, w czasach cesarza Hadriana, jako zaporę przed wojowniczymi plemionami Piktów, zamieszkujących tereny dzisiejszej

Szkocji.)

Fotografie przedstawiały grupę schludnych mężczyzn w ciemnych swetrach i wojskowych czapkach. Na zdjęciach znajdowały się również jakieś rosyjskie słowa wypisane niebieskim długopisem.

– Załoga...? – spytał chłopiec, zerkając na Rebekę.

Dziewczyna skinęła głową.

Na pierwszej fotografii mężczyźni stali na górnym pokładzie okrętu, na tle otwartego, błękitnego morza. Wszyscy się uśmiechali, a ich oczy były równie jasne jak niebo nad nimi.

Później Will natrafił na znacznie bardziej kontrastowe zdjęcia, wykonane we wnętrzu łodzi podwodnej albo pod ziemią. Wydawało się, że nadal wszyscy marynarze są w całkiem dobrej formie.

Ostatnie fotografie opowiadały jednak całkiem inną historię. Było na nich znacznie mniej ludzi, którzy wyglądali też zupełnie inaczej niż młodzi, uśmiechnięci mężczyźni z poprzednich zdjęć: ich brodate twarze były wychudzone i ponure, w oczach krył się strach.

– Biedacy. Widać, że nie było im łatwo – skomentował chłopiec.

Rebeka nie odpowiedziała od razu. Odepchnęła się plecami od ściany, jakby chciała już iść, a potem odezwała się ściszym głosem: – Will... jest coś... – zaczęła niepewnie, po czym znów zamilkła, jakby nie mogła się zdecydować.

– Co? – spytał, odrywając wzrok od fotografii.

– Zastanawiałeś się kiedyś, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi... z załogą okrętu?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Pewnie odeszli stąd albo dopadły ich bielaki.

Dziewczyna wpatrywała się w niego z powagą.

– Syn Marty wyniósł tonę sprzętu, nim umarł na gorączkę.

– I co z tego?

– Myślisz, że sam zaciągnął ten metal do chaty? A może ktoś z nim

był? Może ci marynarze pomogli mu wszystko przenieść? A jeśli tak było w istocie, to co się z nimi stało?

Will spojrział na nią z ukosa.

– Chcesz powiedzieć, że on... albo Marta... zrobili coś tym rozbitkom?

Rebeka wzruszyła ramionami.

– Czy chcesz powiedzieć, że ich zabili? – chłopiec spytał wprost.

W tym momencie zerknął na następną fotografię i zobaczył coś, co kazało mu na chwilę zapomnieć o Rebecce i jej przypuszczeniach. Mężczyzna na zdjęciu stał obok wysokiego głazu, na którym był wyryty jakiś symbol. Chłopiec przysunął odbitkę bliżej oczu, by się lepiej przyjrzeć temu znakowi. Zobaczył trzy pojedyncze linie rozchodzące się na boki, niczym ostrza trójzębu. Natychmiast sięgnął do piersi i dotknął ukrytego pod koszulą wisiora, który dostał od wuja Tama i na którym znajdował się dokładnie taki sam rysunek.

– Co właściwie przedstawia to zdjęcie? – spytał, pokazując fotografię Rebecce. – Znam ten symbol.

– Owszem, takie znaki można znaleźć na niektórych głazach w Głębi – odparła lekceważąco, jakby zirytowana, że Will nie słucha jej uważnie.

– Ale żaden z tych ludzi raczej nie był w Głębi – zastanawiał się chłopiec. – Więc musieli to znaleźć gdzieś tutaj.

– Jak już mówiłam, miej oczy otwarte – powiedziała dziewczyna, z uporem powracając do tematu poruszonego wcześniej.

– Marta nie jest tak... – zaczął Will, gotów bronić kobiety, która ich uratowała.

Rebeka zarechotała chrapliwie, bezceremonialnie przerywając mu w pół słowa.

– Marta i jej bachor byli renegatami. Ci ludzie są zdolni niemal do wszystkiego. Nie przyglądałeś się pewnie grobom za chatą, prawda?

Nie widziałeś, że niektóre są całkiem świeże?

– Nie... A tyje oglądałaś?

Ignorując jego pytanie, dziewczyna Styksów ciągnęła: – Wiesz, że ona potrafi kłamać, gdy jej to pasuje. Przecież przyłapałeś ją, kiedy odkopałeś lekarstwa. Nie zapomni ci tego. Jediną osobą spośród nas, na której choć trochę jej zależy, jest Chester.

– Tak, ale... – chciał zaprotestować Will.

– Zatrzymaj te zdjęcia, są twoje – przerwała mu ponownie Rebeka.

Odwróciła się i odeszła, kołysząc lekko biodrami. Wyglądało na to, że już zupełnie wyleczyła chorą nogę, nie utykała bowiem ani trochę. Zatrzymała się jeszcze na moment przy drzwiach.

– Uważaj na siebie, Will – powiedziała złowieszczym tonem, po czym uśmiechnęła się nieprzyjemnie. – Bo Marta może nasze zapasy po prostu zjeść i dla nas nic nie zostanie. To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. – Z tymi słowami wyszła z pomieszczenia, zostawiając chłopca ze zdjęciami w rękę i poważnymi wątpliwościami w sercu.

Po rozmowie z Rebeką Will nie mógł zasnąć. Gdy tylko zamykał oczy, widział wymizierowane, zrozpaczone twarze załogi okrętu. Co gorsza, jego wyobraźnia pracowała pełną parą i ukazywała Martę kopiącą nowe groby za domem i wrzucającą tam ciała.

Chłopiec starał się odegnąć od siebie ten obraz. Odzyskał wiarę w uczciwe zamiary kobiety, gdy pomogła im znaleźć okręt podwodny; tymczasem teraz znów zaczynały dręczyć go wątpliwości.

Rebeka miała rację – na pewno podpadł Marcie, kiedy zdemaskował jej kłamstwo. Czy w końcu pozbędzie się go i zatrzyma Chestera jako przybranego syna? Will bez trudu mógł wyobrazić sobie taką sytuację. Kobieta, co prawda, opiekowała się Elliott, ale tylko dlatego, że zależało na niej Chesterowi – Will miał wrażenie, że w gruncie rzeczy chora dziewczyna niewiele ją obchodziła. Czy zamierzała również doprowadzić do śmierci lub zaginięcia Elliott? W

przypadku Rebeki sprawa była oczywista – Marta chętnie wykorzystaby ją jako tarczę do ćwiczeń strzelania z kuszy.

Jeśli ich przewodniczka rzeczywiście była tak bezwzględna, chłopiec musiał liczyć się z tym, że w końcu zaatakuje jego lub kogoś z pozostałych. Musiał jakoś przewidzieć jej poczynania, więc wyteżył umysł, analizując wszelkie możliwości i scenariusze.

Przewracał się z boku na bok na wąskim materacu w jednej z kajut na dolnym pokładzie.

Znajdowały się tutaj trzy koje, ułożone jedna nad drugą. On spał na najwyższej, podczas gdy Bartleby ułożył się na samym dole i chrapał jak wściekły guziec, poruszając łapami przez sen.

Po raz kolejny Will pożałował, że nie może zamienić się z tym wielkim kotem i wieść nieskomplikowane, zwierzęce życie.

## Rozdział osiemnasty



Kiedy wszyscy znaleźli się na drabinie w kiosku okrętu podwodnego, Marta podpaliła sporą wiązkę anyżkowego ognia. Otworzyła właz, wyrzuciła żarzące się rośliny na zewnątrz i z powrotem zatrzasnęła klapę.

– Poczekajmy kilka minut – poleciała.

Kiedy wyczekiwali na jej znak, Will miał wrażenie, że Chester przygląda się kobiecie ukradkiem, jakby starał się dociec, co właściwie powinien o niej myśleć. Może zresztą tylko takie odniósł wrażenie, ponieważ wcześniej powiedział przyjacielowi, co o Marcie sądzi Rebeka. Spodziewał się wówczas, że kolega natychmiast podważy wszystkie te zarzuty – choćby dlatego, że za grosz nie ufał Rebecce – ale chłopiec wcale tak nie zareagował.

Wydawało się raczej, że sam nie ma zdania w tej kwestii, mamrotał bowiem raz za razem: „No nie wiem, nie wiem...”.

Po jakimś czasie Chester odkaszlnął głośno, przerywając pełne napięcia milczenie, i poprawił się na drabinie. Widać było, że chciałby już wyjść, a jednocześnie boi się tego, co może go spotkać na zewnątrz.

– Czy te dziwne bielaki naprawdę są takie niebezpieczne? – spytał Martę.

– Tak – skinęła głową kobieta. – Są bardzo niebezpieczne.

– Nie widziałeś ich, Chester – wtrącił Will. – Wyglądają naprawdę paskudnie.

– Ale anyżkowy ogień nas ochroni, prawda? – pytał z nadzieją kolega.

– Lepsze to niż nic – odparła Marta.

– Sama mówiłaś, że odstrasza pajęczę mały – przypomniał jej Will.

– Bielaki to co innego. Gdy już raz podejmą twój trop, nie odpuszczają. – Zapatrzyła się w dal, jakby sięgając pamięcią wstecz. – Od czasu do czasu pokazują się w Głębi, ale tam są cięższe, więc poruszają się wolniej. Kiedyś jeden tropił nas przez wiele mil, gdy wędrowaliśmy przez Wielką Równinę. Wiedzieliśmy, że musimy go dopaść, zanim on dopadnie nas. W końcu udało mi się trafić. Mówię wam, nawet gdy już leżał na ziemi, całkiem połamany, nie chciał zdechnąć. Czołgał się za nami i kłapał paszczą, dopóki nie wypłynęła z niego ostatnia kropla krwi. – Marta pokręciła głową. – Nie znam żadnego innego równie upartego i łapczywego zwierzęcia.

– Straszne – wzdrygnął się Chester.

Kobieta dotknęła strzały zatkniętej w kuszy.

– Niektórzy mówią, że są stare jak świat... że panowały na niebie na długo przed tym, zanim na świecie pojawili się Górnoziemcy.

Elliott jęknęła i poruszyła głową, jedyną częścią ciała, która nie była owinięta kocem i przywiązana do noszy.

– No, chyba już wystarczy – zdecydowała przewodniczka, kładąc dłoń na klapie. – Wszyscy gotowi?

Chłopcy odpowiedzieli jednym głosem, lecz Rebeka się nie odezwała.

– Kiedy już zejdziemy z okrętu, poruszamy się w zwartej grupie. I pamiętajcie: nie hałasujemy.

Podniosła klapę, po czym kolejno wyszli na platformę obserwacyjną, a potem zjechali po łańcuchu na ziemię.

– Spokojnie – szepnął Will, uwalniając Bartleby ego.

Jednak Łowca wcale nie odbiegł w ciemność, jak miał to w zwyczaju, lecz stał nieruchomo. Jego wielkie uszy obracały się niczym anteny satelitarne, namierzając jakiś niewidoczny obiekt. Marta spoglądała przez chwilę w górę, wypatrując bielaków; nagle odwróciła się w stronę jaskini. Podniosła rękę, dając znak, by wszyscy zostali na miejscach, po czym przekrzywiła głowę, jakby czegoś nasłuchiwała. Will nie mógł zrozumieć, czemu ma to służyć. Czyż to nie bielaki były dla nich w tej chwili największym zagrożeniem? Dlaczego nie prowadziła ich w głąb jaskini, z dala od okrętu, jak zapowiadała wcześniej?

Przyjaciele spojrzeli po sobie, zastanawiając się, o co może chodzić. Po chwili obaj jednocześnie usłyszeli szmer odległych głosów.

Po drugiej stronie jaskini, przy wyjściu z tunelu, zamigotało światło, w którym ukazały się dwie postacie. Will nie widział ich wyraźnie, zauważył tylko, że jedna z nich jest wyższa od drugiej. Dosłyszał również jakiś gniewny głos.

Marta stała nieruchomo jak posąg. Niemal nie ruszając ustami, rzuciła w ich stronę: – Kiedy każę wam uciekać, biegnijcie w tym kierunku. Jest tam tunel – dodała, zerkając na lewo. – I nie czekajcie na mnie – poleciła, podnosząc kuszę.

Kiedy dwie osoby podeszły nieco bliżej, wcale nie próbując się przed nimi kryć, Will usłyszał wyraźnie, co mówi wyższa z nich.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pytała z irytacją. – Całymi dniami wędrujemy przez tunele bez chwili odpoczynku, po czym nagle, bez powodu oświadczasz, że musimy poczekać. Siedzimy tu już tak długo i się objamy. Moglibyśmy spędzić ten czas, robiąc coś konstruktywnego.

– Tata? – wyszeptał Will ze zdumieniem, na tyle jednak głośno, że pozostali go dosłyszeli. – Czy to jest mój tata...?



– Niemożliwe – odparł Chester, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Jednak Will instynktownie wyczuwał, że rzeczywiście jest to doktor Burrows, i w pierwszym odruchu chciał do niego pobiec, lecz zamiast tego z powodów, których sam nie potrafiłby wyjaśnić, podniósł karabin i sprawdził, czy jest naładowany. Być może zrobił to dlatego, że dostrzegł, jak Rebeka zrzuca na ziemię plecaki i przesuwa się ukradkiem do przodu, jakby chciała ruszyć na środek jaskini; a może dlatego, że domyślił się niemal od razu, kim jest osoba towarzysząca ojcu. Tak czy inaczej, w głowie chłopca zabrzmiał dzwonek alarmowy, którego głos z każdą sekundą przybierał na sile.

Wyższy człowiek zatrzymał się nagle. Will dojrzał błysk światła odbity w jego okularach.

– Tato! – krzyknął. – Czy to naprawdę ty?!

Przybysz drgnął, zdumiony.

– WILL! – zawołał i ruszył szybko w stronę syna. – JEZU CHRYSSTE!  
WILL!

– O nie... – wyszeptała Marta, spoglądając raz w jedną, raz w drugą stronę.

Przy okręcie pojawili się nagle mężczyźni o wysokich, szczupłych sylwetkach; nie można było ich pomylić z nikim innym: to byli Granicznicy. Wynurzywszy się z cienia, stanęli na baczność niczym górnoziemscy żołnierze, trzymając w dłoniach włócznie gotowe do walki.

– Chyba mamy kłopoty – stwierdził Will.

Chester podniósł szybko swój karabin, wydając przy tym przeciągły jęk.

– No to nieźle wdepnęliśmy... – mruknął.

Doktora Burrowsa dzieliło od okrętu jeszcze jakieś trzydzieści metrów, gdy niższa postać u jego boku krzyknęła rozkazującym tonem: – Wystarczy!

Teraz Will widział już wyraźnie, że jego ojcu rzeczywiście towarzyszy druga Rebeka.

Bliźniaczka pochwyciła mężczyznę za ramię, zatrzymując go raptownie, a potem kopnęła go dokładnie pod kolanem. Noga doktora się ugięła, więc raptownie opadł na klęczki. Nim zdążył zareagować, dziewczyna złapała go jedną ręką za czubek głowy, drugą zaś przyłożyła mu do gardła noż.

– Co ty wyprawiasz?! Natychmiast przestań się wygłupiać, Rebeko!  
– krzyknął Burrows.

– Przestań w tej chwili!

Oszupiały Will nie ruszał się z miejsca, kiedy jednak zobaczył, że druga bliźniaczka, stojąca za jego plecami, zaczyna się przesuwać do przodu, natychmiast wkroczył do akcji.

– Nie tak szybko – powiedział.

Dziewczyna Styksów wrzasnęła przeraźliwie, kiedy pochwycił ją za włosy i obrócił przed sobą, wbijając jednocześnie lufę karabinu pod jej brodę.

– Will! Nie! Proszę, puść mnie – błagała. – To ona jest twoim wrogiem... nie ja!

– Jasne, już ci wierzę! Mówiłaś, że jesteś tutaj sama! warknął chłopiec. – Chester miał rację: to wszystko była jedna wielka ścierna!

Wtedy zachowanie Rebeki w mgnieniu oka diametralnie się zmieniło.

– Musisz przyznać, że szło mi całkiem nieźle, prawda? Jadłeś mi z ręki – dodała, ogromnie z siebie zadowolona. – Uwielbiałam grać w szkolnych przedstawieniach.

Fakt, że Rebeka przestała w końcu udawać, wcale nie poprawił Willowi humoru ani w niczym nie zmienił ich okropnej sytuacji. Bliźniaczki były najwyraźniej przekonane, że mają przewagę i mogą robić, co tylko zechcą.

– Druga... Rebeka...? – wybełkotał doktor Burrows, dojrzwawszy dziewczynę przytrzymywaną przez syna. – Jak...?

– Stary, biedny doktor Burak – przemówiła pieszczotliwie Rebeka za jego plecami. – Nigdy nie byłeś zbyt bystry.

-Ale jak...? – Mężczyzna próbował wstać, lecz ostrze noża wbiło się mocniej w jego szyję.

– Nie ruszaj się! – warknęła dziewczyna. – Ty stary, głupi capie, manipulowałyśmy tobą od początku, odkąd wysłałyśmy do muzeum Embersa ze świetlną kulą. Chciałyśmy, żebyś połknął haczyk, bo wiedziałyśmy, jak to się skończy. Wiedziałyśmy, że wcześniej czy później wywabimy Sarę Jerome.

– Sarę Jerome... – powtórzył za nią doktor Burrows, który nie miał pojęcia, o kim mówi bliźniaczka.

– Cała reszta w ogóle nas nie obchodziła. Nie jesteście nam do niczego potrzebni – dodała dziewczyna, zwracając się do Willa. – Jak miło... – powiedziała, uśmiechając się nieszczercze. – Zebrała się tu cała rodzinka. No prawie... Tatuś jest wreszcie ze swoim ukochanym syneczkiem.

Siostry zaczęły rozmawiać w języku Styksów.

– Zamknij się! – wrzasnął Will, wciskając mocniej lufę karabinu w gardło Rebeki, która towarzyszyła im w wędrówce. – Albo cię zastrzelę!

– Co, wsadzisz mi kulkę w łeb? Coś mi się nie wydaje odparła dziewczyna zduszonym głosem, po czym znów zaczęła mówić coś w języku Styksów.

– Nie żartuję – ostrzegł ją chłopiec. – Zrobię to!

– Nie zrobisz! – krzyknęła bliźniaczka stojąca za doktorem. – Jesteś palantem i mięczakiem. Nie odważysz się.

– Will, co ty robisz?! – zawołał ojciec. – Nie możesz...

– Nie wtrącaj się, tato – przerwał mu bezceremonialnie syn. – Nie

masz pojęcia, co się tu dzieje. – Potem zwrócił się do Rebeki stojącej za Burrowsem: – Jak mam cię nazywać? Nie możecie obie być Rebekami.

– Jak sobie chcesz – odparła szorstko dziewczyna.

– W porządku. Ee... Rebeko Druga, wygląda na to, że mamy impas. Czego właściwie chcecie?

– Na początek mógłbyś oddać nam fiolki. Weźmiemy też tę kobietę – oświadczyła.

– Dlaczego? – spytał Will, zastanawiając się, skąd Rebeka Druga wie o fiolkach.

– Bo tylko ona zna tę okolicę.

Will zerknął na Martę, która dyskretnie położyła dłoń na pęku anyżkowego ognia ukrytym w jej pasie. Kobieta spojrzała na niego pytająco. Chłopiec pokręcił głową, a Marta odsunęła rękę od pasa. Potem podniosła na moment wzrok, wskazując w górę. Tym razem chłopiec skinął głową. Dobrze wiedział, co przewodniczka próbuje mu przekazać. Cały ten hałas mógł ściągnąć bielaki. „Co w tej sytuacji wcale nie byłoby takie złe” – pomyślał Will.

– No już, zrobimy wymianę: oddamy twojego ojca za Martę i fiolki – kontynuowała Rebeka. – Reszta może odejść. Zależy nam tylko na niej.

– Zapominasz, że mam tu też twoją siostrę – odparował Will. – Nie wygląda mi to na uczciwą transakcję.

Kątem oka chłopiec dostrzegł, jak Marta powoli wyciąga nóż i przesuwa ostrzem po własnym przedramieniu, potem zaś opuszcza skaleczoną rękę, aby świeża krew kapiała na ziemię.

– Moja siostra się nie liczy. Możesz z nią zrobić, co chcesz parsknęła Rebeka Druga, zniecierpliwiona. – Coś mi się wydaje, że w ogóle mnie nie słuchasz, więc powiem to raz jeszcze: oddamy ci ojca za Martę i fiolki. Reszta może odejść.

– Ha! Myślisz chyba, że jestem głupi – prychnął chłopiec.

– Nie głupi, tylko słaby – odparła. Skinęła głową na Graniczników, którzy natychmiast ruszyli w jego stronę. – Nie masz szans, Will, więc proponuję, żebyś zgodził się na to, na co musisz się zgodzić. – Roześmiała się nieprzyjemnym, chropawym śmiechem.

Nagle Rebeka Pierwsza znów powiedziała coś w języku Styksów.

– Nie rób tego! Ostrzegałem cię! – wykrzyknął chłopiec, szarpiąc ją za włosy.

W tej samej chwili usłyszał groźne warczenie. Odwrócił się i aż otworzył usta ze zdumienia.

Bartleby, który do tej pory stał sobie spokojnie kilka metrów dalej, teraz przypadł do ziemi i napiął mięśnie, jakby szykował się do ataku.

– Bart! – wrzasnął chłopiec. – Co ty robisz?!

– To, co mu kazałam – odparła Rebeka Pierwsza.

Ostre pazury Łowcy były wysunięte, jego nozdrza drgały nerwowo.

– On tylko próbuje mnie bronić – stwierdził Will, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Chcesz się założyć? – roześmiała się drwiąco dziewczyna. – Mówiłam ci już, że opiekowałam się nim w Kolonii. Cóż, przyznam, że poddałam go dodatkowej specjalnej tresurze. I nie tylko jego – stwierdziła z paskudnym uśmieszkiem. Potem znów wypowiedziała jakąś komendę w języku Styksów, a Bartleby przysunął się bliżej.

– Ty... ty zdrajco! – wrzasnął Will na kota, krańcowo oburzony i zdumiony zarazem.

Łowca zachowywał się tak, jakby w ogóle go nie poznawał. Niczym ściągnięta sprężyna, która lada moment może się rozprostować, przypadł jeszcze niżej do ziemi i warczał. Jego szeroko otwarte ślepia wypełnione były szaleństwem, niepohamowaną żądzą krwi.

– Nie masz zbyt wielu przyjaciół, co? – kpiła Rebeka Pierwsza. – Wystarczy jedno moje słowo, a kot skoczy ci do gardła.

– Jeśli to zrobi, będzie po tobie – odrzekł chłopiec ponuro, przesuając dziewczynę tak, by osłaniała go przed Łowcą.

Nagle po jego lewej stronie wszczął się jakiś ruch. Will zerknął w tamtym kierunku i zobaczył, że jeden z Graniczników rusza do ataku.

– Anioł! – krzyknął raptem doktor Burrows.

Coś wielkiego i białego spadło na ziemię przed żołnierzem. Trzymając włócznię obiema dłońmi, Styks raz za razem wbijał jej ostrze w ciało bielaka, aż ten znieruchomiał.

Will ponownie zerknął na Martę. Jej plan działał – zapach świeżej krwi przyciągał bielaki niczym płomień ćmy.

Z góry dobiegł ich piskliwy krzyk. Kobieta natychmiast obróciła się w miejscu i zwolniła cięciwę kuszy. Pocisk pomknął ze świstem w ciemność, ale bielak już znikł. Plan Marty nie był doskonały – bielaki stanowiły takie samo zagrożenie dla Styksów, jak dla niej, chłopców i Elliott.

W górze rozległy się kolejne upiorne wizgi, a ciemności przecięły pasma bladego światła, do złudzenia przypominające spadające gwiazdy.

– Zaczyna się – powiedziała cicho przewodniczka.

– No, no... Macie tu ciekawe zwierzaki. Chętnie zabrałabym ze sobą jednego – stwierdziła Rebeka Druga, wydawało się jednak, że nie jest już taka pewna siebie. – Może dokonalibyśmy szybko naszej wymiany, Will, i wynieśli się stąd?

W tej samej chwili drugi Granicznik zerwał się do walki, lecz tym razem to bielak zwyciężył.

Wszyscy widzieli, jak latający potwór wbił zęby w głowę żołnierza i poderwał go z ziemi, by ulecieć ze zdobyczą w ciemność. Styks nie zdążył nawet krzyknąć. Jedyнным świadectwem jego niedawnej obecności była włócznia, która upadła z brzękiem.

Przez chwilę w jaskini panowała pełna zdumienia cisza, którą

przerwał głos Chestera: – To jakby wyrównuje nasze szanse.

– Bardzo zabawne, grubasie! – warknęła Rebeka Druga przez zęby.  
– Możesz być pewien, że kiedy wrócę na powierzchnię, złożę wizytę twoim rodzicom... osobiście.'

– Ee... ja... nie... – jękał się chłopiec, blady jak ściana.

– Nie mamy czasu na takie zabawy – ostrzegła ich Marta, spoglądając z niepokojem w ciemność. – Zrób to, Will. Zamieńcie się – ponagliła.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Tak – odparła kobieta z powagą. – Jestem im potrzebna żywa. Nic mi nie będzie.

Will wiedział, że jeśli wkrótce nie opuszczą jaskini, prawdopodobnie wszyscy padną ofiarą bielaków.

– W porządku, Rebeko Druga! – zawołał. – Pozwól mojemu tacie przyjść tutaj, a Marta pójdzie do ciebie.

– Nie ma mowy! Marta zostanie tam, gdzie jest. Ja podejść do niej – warknęła dziewczyna. – A ty możesz tutaj przyjść po doktora Buraka. Jasne?

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie zaczniesz do nas strzelać? – zapytał syn Burrowsa.

– Bo nie mamy dwóch karabinów i kuszy jak wy, baranie – drwiła Rebeka Druga.

Upewniwszy się, że pozostały przy życiu Granicznik stoi wystarczająco daleko i nie zrobi im krzywdy, chłopiec skinął głową.

– Dobrze, teraz zabawimy się w krzeselka do wynajęcia powiedziała głośno Rebeka. – No, dalej, idziemy spokojnie i powoli.

Will z pewnym ociąganiem wypuścił Rebeke Pierwszą, która potrząsnęła głową, by wyprostować w ten sposób włosy, a potem obdarzyła go gniewnym spojrzeniem.

Chłopiec odpowiedział jej tym samym.

– Nie powinienem był ratować ci życia – burknął.

Ponieważ wiedział, że to właśnie on będzie musiał zabrać ze sobą Elliott, Chester odwrócił się, by podnieść nosze, gdy nagle coś przeleciało między jego nogami. Czarny pojemnik potoczył się po ziemi w stronę doktora Burrowsa i Rebeki Drugiej, a potem zatrzymał się na środku jaskini. Will natychmiast go rozpoznał: był to jeden z ładunków wybuchowych, których Drake i Elliott używali w Głębi. Ten był jednak wyjątkowo duży, przypominał rozmiarami kilkilitrową puszkę z farbą.

– To jest dziesięciokilogramowy ładunek z dwudziestosekundowym lontem. Przy okazji uzbroiłam też pozostałe oświadczyła spokojnie Elliott, kładąc plecak obok noszy.

Siedziała prosto i wyglądała tak, jakby była już całkiem zdrowa. Korzystając z tego, że nikt nie zwracał na nią uwagi, rozwiązała sznur i przyciągnęła plecak pełen materiałów wybuchowych, przywiązany na końcu noszy.

Przyjaciele patrzyli na nią w osłupieniu.

– Szesnaście sekund i... BUM! – powiedziała, wyrzucając ręce w górę.

– Nie! – krzyknął Will, przekonany, że gorączka pomieszała jej zmysły. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo one zamierzają zabić was wszystkich, tak czy inaczej. Słyszałam, jak o tym rozmawiały – odparła Elliott.

Zdumiony Will wymienił spojrzenia z Chesterem i już miał otworzyć usta, by coś powiedzieć, jednak przyjaciel zdążył go uprzedzić.

– Ale... skąd możesz wiedzieć, o czym one mówią?

– Znam ich język, bo jestem półkrwi Styksem. Mój ojciec był Granicznikiem – wyjaśniła dziewczyna. By dowieść, że nie kłamie, wydała z siebie kilka nosowych dźwięków, kompletnie



niezrozumiałych dla Górnoziemców.

– Trzyście... dwanaście sekund – przetłumaczyła Rebeka Pierwsza.

Bliźniaczki wpatrywały się teraz w Elliott jak zakłęte.

– Jedenaście sekund – odliczała Elliott, ziewając szeroko.

– Naprawdę uzbroiłaś te ładunki? – spytał Will, ponieważ wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

Dziewczyna skinęła głową.

– Dziesięć sekund – dodała.

Nagle wszyscy poderwali się do działania.

Chester podniósł Elliott z ziemi, a Marta pchnęła ich oboje w stronę tunelu, o którym wspominała wcześniej.

Choć Will miał swój plecak na plecach, zawahał się na sekundę – nie był pewien, czy powinien zabrać też dwa plecaki porzucone przez Rebekę Pierwszą. Wciąż miał w pamięci, jak błąkał się po tunelach w Głębi, pozbawiony jedzenia Siedziąca prosto i wyglądała tak, jakby była już całkiem zdrowa. Korzystając z tego, że nikt nie zwracał na nią uwagi, rozwiązała sznur i przyciągnęła plecak pełen materiałów wybuchowych, przywiązany na końcu noszy.

Przyjaciele patrzyli na nią w osłupieniu.

– Szesnaście sekund i... BUM! – powiedziała, wyrzucając ręce w górę.

– Nie! – krzyknął Will, przekonany, że gorączka pomieszała jej zmysły. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo one zamierzają zabić was wszystkich, tak czy inaczej. Słyszałam, jak o tym rozmawiały – odparła Elliott.

Zdumiony Will wymienił spojrzenia z Chesterem i już miał otworzyć usta, by coś powiedzieć, jednak przyjaciel zdążył go uprzedzić.

– Ale... skąd możesz wiedzieć, o czym one mówią?

– Znam ich język, bo jestem półkrwi Styksem. Mój ojciec był Granicznikiem – wyjaśniła dziewczyna. By dowieść, że nie kłamie, wydała z siebie kilka nosowych dźwięków, kompletnie niezrozumiałych dla Górnoziemców.

– Trzyście... dwanaście sekund – przetłumaczyła Rebeka Pierwsza.

Bliźniaczki wpatrywały się teraz w Elliott jak zakłete.

– Jedenaście sekund – odliczała Elliott, ziewając szeroko.

– Naprawdę uzbroiłaś te ładunki? – spytał Will, ponieważ wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się działo.

Dziewczyna skinęła głową.

– Dziesięć sekund – dodała.

Nagle wszyscy poderwali się do działania.

Chester podniósł Elliott z ziemi, a Marta pchnęła ich oboje w stronę tunelu, o którym wspominała wcześniej.

Choć Will miał swój plecak na plecach, zawahał się na sekundę – nie był pewien, czy powinien zabrać też dwa plecaki porzucone przez Rebeke Pierwszą. Wciąż miał w pamięci, jak błąkał się po tunelach w Głębi, pozbawiony jedzenia i picia. Mimo że za nic w świecie nie chciałby ponownie znaleźć się w takiej sytuacji, uznał, że nie ma teraz czasu, i pochyliwszy nisko głowę, ruszył co sił w nogach w stronę ojca.

Kątem oka dojrzał, jak Bartleby rzuca się do ataku.

– Wnocha! – wrzasnął, zamachując się kolbą karabinu.

Być może dlatego, że Łowca był zdezorientowany i nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy wokół rozbiegają się w różnych kierunkach, nie zaatakował chłopca z właściwą sobie siłą i precyzją. Trafiony kolbą w łopatkę, miauknął żałośnie i odleciał do tyłu.

Will pędził prosto na Rebeke Drugą, która tymczasem biegła w stronę okrętu podwodnego.

Rebeka Pierwsza była już przy podstawie kiosku, obok Granicznika, który walczył z kolejnym bielakiem.

Doktor Burrows także zerwał się na równe nogi. Krzyczał z przejęciem: – Will, zatrzymaj tę Rebeke! Odbierz jej moje tabliczki!

Jego syn machinalnie zmienił kierunek biegu i uderzył prosto w Rebeke Drugą, przewracając ją na ziemię.

– Lewa kieszeń kurtki! Zabierz moje kamienne tabliczki! wrzasnął znowu doktor, gdy Will stanął nad oszołomioną dziewczyną.

Chłopiec natychmiast sięgnął do jej kieszeni i znalazł małą paczuszkę owiniętą brudną chusteczką. Ponieważ Rebeka powoli odzyskiwała świadomość i próbowała wyrwać mu zawiniątko, Will nie szukał już niczego więcej. I tak nie miał czasu.

– WYNOŚMY SIĘ STĄD! – zawołał do ojca, który wciąż nie ruszał się z miejsca.

– Masz je?! – odkrzyknął doktor. – Masz?!

Pędząc w stronę taty, Will nabrał takiej prędkości, że dosłownie unosił się nad ziemią. Gdy w końcu do niego dotarł, siła rozpędu poniosła ich obu nie w stronę głównego tunelu, lecz położonego obok małego korytarza. To wszystko działo się tak szybko, że mężczyzna nie zdążył nic powiedzieć, gdy jego syn porwał go ze sobą i uniósł z jaskini.

Chłopiec nie zwalniał tempa. Odliczył w myślach do zera, a potem liczył dalej, jednak nadal nic się nie działo. Zaczynał się już zastanawiać, czy Elliott rzeczywiście uzbroiła ładunki wybuchowe czy też był to tylko błąd, gdy nastąpiła potężna eksplozja.

Grunt zakółsał się pod jego stopami, zupełnie jakby zaczęło się trzęsienie ziemi.

Fala uderzeniowa rzuciła ich na dno tunelu, a tuż potem zasypał ich grad kawałków grzyba.

Choć wstrząsy wkrótce ustały, wydawało się, że huk wybuchu

nigdy nie ucichnie.

Ogłuszający dźwięk odbijał się echem od ścian przepaści za okrętem podwodnym. Gdy wreszcie ucichł w oddali, Will jęknął i zaczął się podnosić. Odsunął na bok kawałki grzyba, przekreślił się na plecy i usiadł prosto. Wciąż dzwoniło mu w uszach i musiał kilkakrotnie przełknąć ślinę, nim poczuł się w miarę normalnie.

– Tato?! – wołał dziwnie słabym, jakby odległym głosem.

Podniósł się powoli z ziemi, mrugając raz za razem, by oczyścić oczy z piekącego, śmierdzącego grzybowego soku. Zsunął z ramion plecak, odnalazł latarkę i zaczął szukać ojca. Nie mógł go nigdzie znaleźć i coraz bardziej się niepokoił, aż w końcu dojrzał but wystający spod sterty odłamków grzyba. Doktor był niemal całkiem zasypany, jednak Will szybko go odkopał. Zrozumiał, że ojcu nie stało się nic poważnego, gdy tylko ten zaczął pluć brązowym sokiem, klnąc przy tym jak szewc. Znikły gdzieś jego okulary, wydawało się jednak, że akurat to wcale go nie martwi.

– Gdzie są moje tabliczki? Daj mi moje tabliczki! – zażądał, mrużąc oczy w sposób typowy dla krótkowidza.

– Mówisz może o tym? – spytał Will, podając ojcu zawiniątko i zastanawiając się, dlaczego właściwie jest ono dla niego takie ważne.

Doktor Burrows odwinął chusteczkę i dotykał wszystkich tabliczek po kolei.

– Bogu dzięki, wszystkie są całe. Dobra robota, Will. Naprawdę dobra robota!

– Żaden problem, tato – odparł chłopiec, ale wciąż nie rozumiał, dlaczego ojciec bardziej przejmuje się jakimiś kawałkami kamienia niż innymi ludźmi, łącznie z synem.

– Gdzie są moje okulary? – zapytał głośno Burrows, po czym natychmiast opadł na kolana i zaczął ich szukać.

– Ale, tato, wciąż nie mogę w to uwierzyć! – wybuchł Will,

uświadomiwszy sobie w końcu, że mimo tylu przeciwności udało im się ponownie połączyć. – Znów jesteśmy razem!

Tak się cieszę, że cię widzę, kiedy...

– Tak, ale ja n i c nie widzę! – warknął doktor ze złością, wciąż grzebiąc w stercie kawałków grzyba.

Will stał przez chwilę przy ojcu, zastanawiając się, czy powinien mu pomóc, czy też raczej sprawdzić, co się dzieje z Chesterem i resztą.

– Tato, zaraz wrócę. Pomogę ci je znaleźć – powiedział i nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę jaskini.

Choć wyjście znajdowało się niedaleko, odłamki grzyba skutecznie utrudniały mu wędrówkę.

Dno tunelu pokrywała warstwa oleistego soku, na którym ślizgały się zarówno buty Willa, jak i większe kawałki grzyba, na których stawał. W pewnym miejscu korytarz był całkowicie zasypany, a przecież chłopiec musiał przedrzeć się na drugą stronę zatoru. Kiedy odrzucał na bok wielkie, śliskie płaty grzyba, uzmysłowił sobie, że to właśnie on prawdopodobnie uratował im życie – nie tylko pochłonał znaczną część siły uderzeniowej, lecz także znów zamortyzował upadek.

Gdy w końcu dotarł do wyjścia z tunelu, przywitały go dziwny spokój i martwa cisza. Miał już wejść do jaskini, ale spojrzał w dół. Aż zachłysnął się ze zdumienia i w ostatniej chwili zatrzymał się w pół kroku. Pod jego stopami ziała ogromna czarna dziura. Całe dno jaskini po prostu znikło, tu i ówdzie widać było jedynie niewielkie języki ognia, oświetlające kamienne ściany niczym świece w kościelnych wnękach.

Doktor Burrows, odnalazwszy w końcu okulary, podszedł do syna i stanął u jego boku. Przez chwilę razem wpatrywali się w milczeniu w wielką jaskinię, obserwując, jak fragmenty skał i grzyba odrywają się

od sufitu i spadają w ciemność. Potem usłyszeli niski, przeciągły zgrzyt.

– Okręt podwodny – wyszeptał Will, patrząc, jak statek drży na całej długości, a potem znowu nieruchomieje.

– Okręt podwodny? – powtórzył ojciec, jakby dopiero teraz zobaczył, co się kryje w głębi jaskini.

Był to rzeczywiście imponujący widok: wzdłuż całego okrętu płonęły mniejsze i większe ognie, a ponieważ eksplozja zerwała z niego warstwę grzyba, kadłub był widoczny w całej okazałości. Wydawało się jednak, że coś się z nim dzieje. Will i doktor wzdrygnęli się odruchowo, gdy jaskinię wypełnił ogłuszający trzask, a potem kolejne zgrzyty. Statek zadrżał i przesunął się odrobinę, potem zaś zaczął się wolno przewracać na bok.

– Zsuwa się! Spada! – krzyknął chłopiec.

Eksplozja najwyraźniej zniszczyła grzyb lub podłoże skalne, na którym spoczywał okręt – albo też jedno i drugie – i teraz nic już nie mogło powstrzymać jego dalszego osuwania się w otchłań.

Przy akompaniamencie ostatniego bardzo głośnego zgrzytu okręt podwodny przechylił się nad krawędzią przepaści i po chwili znikł im z oczu. Will i doktor Burrows słyszeli jeszcze odległe trzaski i zgrzyty, gdy spadający kadłub obijał się o skalne ściany.

– Ciekawe, czy były w nim Rebeki – powiedział cicho chłopiec. – Należało im się.

Ojciec spojrzał wymownie na syna.

– Będziesz się musiał gęsto tłumaczyć, mój chłopcze oświadczył z powagą.

-Co?!

– Mam tylko nadzieję, że wiesz, co zrobiłeś – dodał posępnie, wskazując na krater, po czym pokręcił głową z dezaprobatą. Jego nierówno przycięte włosy, zlepione grzybowym sokiem, sterczały na

wszystkie strony, jakby był jakimś podstarzałym punkiem. Wyglądał naprawdę absurdalnie.

– Co takiego?! – zachłysnął się ze zdumienia Will. – Nie wiem, jak nam się to udało, ale uszliśmy z ż y c i e m, a ty zachowujesz się jak... jak jakiś cholerny belfer! To chyba bardzo kiepski żart!

– Oczywiście, że nie – odparował ostro doktor Burrows. – Oczekuję od ciebie szczegółowych wyjaśnień i ostrzegam, że możesz mieć spore kłopoty.

Tego już było Willowi za wiele – najpierw parsknął z rozbawieniem, a potem wybuchł głośnym, niepowstrzymanym śmiechem.

– Spore kłopoty – powtórzył z niedowierzaniem i zerknął na ojca, by upewnić się, czy ten mówi poważnie.

– Zgadza się – potwierdził doktor.

Ku jego rosnącemu zdumieniu chłopiec zaczął jeszcze głośniejsze ryczeć ze śmiechu.

– Będę miał spore kłopoty!

Zanosząc się śmiechem, rozejrzał się dokoła, szukając jakiegoś miejsca, na którym mógłby usiąść. Oślepiiony łzami napływającymi do oczu, wybrał wyjątkowo śliski kawałek grzyba i natychmiast się z niego zsunął. To jednak wcale go nie powstrzymało; tarzał się po ziemi i śmiał tak mocno, że musiał trzymać się za boki.

## Rozdział dziewiętnasty



Po chwili Will przestał się śmiać, a w tunelu zapadło ponure milczenie. Zastanawiając się, co właściwie tak bardzo go rozśmieszyło, zostawił ojca i kilkakrotnie próbował zejść po ścianie krateru na dno jaskini. Jednak grzyb, uszkodzony wybuchem, łatwo się łamał, kawałki odrywały się i zostawały mu w dłoniach, gdy próbował się go chwycić, a odsłonięta skała, pokryta warstwą oleistego soku, była zbyt śliska, by się jej przytrzymać.

– Beznadziejna sprawa – wymamrotał chłopiec, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą tkwił okręt podwodny.

Wstrzymał oddech, dojrawszy bielaka przelatującego nad przepaścią, i pomyślał o tym, jak bardzo widok ten przypomina spadającą gwiazdę.

– Pomyśl życzenie – mruknął ponuro.

Will miał wrażenie, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Potem pochylił się nad brzegiem krateru, trzymając latarkę w ręce wyciągniętej do przodu. Gdyby udało mu się dostrzec jakąś skalną półkę lub występ, mógłby skorzystać ze słabej grawitacji i zeskoczyć niżej. Jednak lej wydawał się tak głęboki, że skok do jego wnętrza byłby równoznaczny z rzuceniem się w przepaść.

– Co teraz? – spytał chłopiec sam siebie.

Musiał jakoś dołączyć do Marty i pozostałych. Miał nadzieję, że zdołali dotrzeć do korytarza, który wcześniej im pokazała. Chyba że przeszkodził im w tym bielak...



– Plan B... potrzebuję planu B – rozmyślał głośno, wychylając się i wodząc spojrzeniem po ścianie jaskini położonej po lewej stronie.

Gdyby udało mu się jakoś dotrzeć do tunelu, którym tutaj przyszli, może znalazłby drogę powrotną do Wilczych Jaskiń. Wydawało się jednak, że i ten plan jest nierealny; po pierwsze, Will nie mógł się wspinać po śliskiej ścianie, a po drugie, nawet nie widział wejścia do tunelu. Eksplozja musiała całkiem je zakryć. Poza tym w głębi ducha chłopiec się obawiał, że znów będzie miał atak swej dziwnej przypadłości. Przebywanie na skalnej półce, zawieszanej tuż nad przepaścią, z pewnością nie służyło jego zdrowiu psychicznemu.

Wzruszył ramionami.

– Pozostaje plan C – wymamrotał, po czym zaczął nawoływać Martę i Chestera.

Od czasu do czasu milkł i nasłuchiwał w skupieniu, czekając na jakiś odzew.

Doktor przyglądał się z boku poczynaniom syna, ale nie próbował mu w żaden sposób pomóc. Właściwie w ogóle się do niego nie odzywał. Tymczasem Will wołał przyjaciół, dopóki nie ochryplł, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, machnął ręką i uznał, że nic w ten sposób nie wskóra. Zostawiwszy ojca przy wejściu, ruszył z powrotem w głąb tunelu i odszukał swój plecak. Zabrał go ze sobą i poszedł jeszcze dalej, aż dotarł do miejsca, w którym dno wolne było od odłamków grzyba. Zaczął rozpakowywać plecak. Nagle zastygł w bezruchu.

– Boże! Wirus! – wykrzyknął. W zamieszaniu zapomniał, że przez cały czas miał przy sobie fiołki z Dominium. – Boże, żeby tylko nie były rozbite – szeptał, wyciągając kapciuch.

Wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi, gdy się przekonał, że pojemniczki są całe. Potem odłożył je na bok i zaczął wyjmować z plecaka pozostałe przedmioty, by zrobić krótki przegląd stanu

posiadania. Miał jeszcze trochę jedzenia, choć był to raczej skąpy zapas, który mógł wystarczyć co najwyżej na kilka dni. W bocznej kieszeni odnalazł baton, który zabrał z ubrania Cala. Ukrył go przed Chesterem, zamierzał jednak zrobić przyjacielowi niespodziankę podzielić się z nim tym przysmakiem przy jakiejś wyjątkowej, godnej uczczenia okazji.

– Ale nie dziś... – stwierdził ze smutkiem, kładąc baton na stercie jedzenia.

W manierce przypiętej do pasa miał niewielki zapas wody. Wiedział, że taka ilość nie wystarczy im na długo, nie przejmował się tym jednak, ponieważ Marta zawsze znajdowała po drodze jakieś źródła. Gdy sięgał po manierkę, jego ręka natrafiła na przypięty do pasa kord. Wyjął go i usiadł na skale, uderzając płazem w otwartą dłoń i analizując w myślach sytuację.

Nie wyglądała zbyt dobrze.

Być może z powodu tego wniosku albo też wskutek nagłego spadku poziomu adrenaliny we krwi Will poddał się przygnębieniu, poczuciu beznadziei i bezsensu. Nawet gdyby udało mu się dotrzeć ponownie do głównego tunelu, zapewne nie zdołałby odnaleźć drogi powrotnej do Wilczych Jaskiń – był przekonany, że właśnie tam czekałaby na niego Marta. Potem rozważał wędrówkę do jej domu. Pokręcił głową z powątpiewaniem. Nie, nigdy nie trafiłby do chaty o własnych siłach, a poza tym wcześniej skończyłyby im się zapasy jedzenia.

Pomyślał o Chesterze. Powinien był słuchać przyjaciela, a nie pozwolić się omotać Rebecce Pierwszej. Był na siebie wściekły, że dał się tak oszukać. Może Rebeka Druga miała rację, kiedy stwierdziła, że jest słaby – może po prostu nie był w stanie wygrać z bliźniaczkami.

Na tym jednak nie kończyła się lista jego przewinień: nie powinien był nigdy zwątpić w uczciwość Marty. Owszem, zataiła przed nimi informacje, dzięki którym w końcu ocalili koleżankę, zrobiła to

jednak w trosce o niego i Chestera. A co do Bartleby ego... nawet ten wierny towarzysz zwrócił się przeciwko niemu.

Pozostawała jeszcze Elliott. Była półkwi Styksem! Powinien był się tego domyślić – przecież umiejętnościami, zręcznością i sprytem dorównywała każdemu Granicznikowi. Im dłużej chłopiec to rozważał, tym bardziej wydawało mu się to oczywiste. Dziewczyna nigdy właściwie nie powiedziała, dlaczego opuściła Kolonię, i choć rozmawiał z nią o jej matce, nigdy nawet nie wspomniała o ojcu. Była też uderzająco podobna do Styksów – wysoka i szczupła. Oczywiście, że w jej żyłach płynie krew Styksów.

Jednak te oszustwa i odkrycia nie dotknęły Willa tak mocno, jak powinny. Może po tym, co ostatnio przeszedł, tak naprawdę już nic nie mogło go poruszyć.

Kiedy jednak znowu się nad tym zastanowił, znalazł coś, co wstrząsnęło nim do głębi, sprawiło, że natychmiast miał ochotę się poddać. Oto w końcu nadszedł dzień, o którym tak długo marzył, którego nie mógł się doczekać. Ponownie połączył się z tatą i... przeżył ogromne rozczarowanie. Ojciec okazał się tylko jednym z wielu głupich, niewydarzonych dorosłych, którzy nie mieli pojęcia, co się dzieje wokół nich.

– Po co to wszystko? – mruknął Will, z trudem powstrzymując łzy cisnące mu się do oczu.

Doktor Burrows odchrząknął głośno, dając synowi znać, że jest przy nim.

– Mam to – oświadczył, wyjmując z kieszeni małe zawiniątko w zatłuszczonym papierze. – To mięso. Udało mi się zabrać trochę, kiedy nikt nie patrzył. Na wszelki wypadek. – Ostentacyjnie ułożył pakunek na stercie jedzenia, lecz syn nie zareagował ani słowem. Doktor stał przez chwilę w milczeniu, przestępując z nogi na nogę i niepewnie mlaskając. – To naprawdę był okręt podwodny?

Prawdziwy? spytał w końcu.

– Współczesny – odparł chłopiec, nie podnosząc głowy. – Rosyjski, z napędem atomowym. Załoga znikła bez śladu.

Mężczyzna gwizdnął przeciągle.

– Ale jak...?

– Pewnie wessała go któraś z przepaści... A może wpadł w szczelinę między płytami tektonicznymi na dnie morza. Kto wie?

– Przepaści...?

– Jest ich siedem. Nazywają je Siedmioma Siostrami. My wpadliśmy do Czeluści. Marta zabrała nas kiedyś do innej, Sapiącej Mary.

– Sapiąca Mary – powtórzył Burrows, marszcząc czoło. – A te latające stworzenia?

– Bielaki. Owady albo pajęczaki – wyjaśnił Will, wciąż siedząc z nisko pochyloną głową i dźgając czubkiem kordu kawałek grzyba.

– Wiesz... – zaczął ojciec z wahaniem, potem wziął głęboki oddech i powiedział już normalnym głosem: – Wiesz, że kiedy to stworzenie pojawiło się tak nagle, naprawdę wziąłem je za anioła – przyznał i roześmiał się z zakłopotaniem. – Pierwsze skojarzenie... a uważam się za człowieka wykształconego.

– Za anioła? – wymamrotał syn.

– Tak, pewnie ze względu na jego kolor i skrzydła, a także to światło nad głową; ono wyglądało zupełnie jak aureola.

Will skinął głową i wyciągnął ostrze kordu z plechy.

– Marta mówiła, że bielaki żyły na powierzchni na długo przed pojawieniem się ludzi.

– To bardzo interesujące – stwierdził doktor Burrows, przysiadając na pobliskim głazie. – Pomyśleć tylko... pomyśleć, że jeśli archetypiczne wyobrażenie anioła wywodzi się od prehistorycznego owada... a odległe wspomnienia tych niesamowitych stworzeń

przeniknęły do religijnych wizji i zakorzeniły się głęboko w naszej kulturze to... – przerwał na moment i zachichotał – to Gabriel i Piotr, pilnujący bram nieba, są w istocie odwzorowaniem wielkich drapieżnych owadów!

– Albo pajęczaków – uściślił chłopiec.

– Albo pajęczaków – zgodził się z nim ojciec, po czym zamilkł na kilka sekund. – Posłuchaj, Will, przyznam, że nie bardzo wiem, co się tu właściwie dzieje – przemówił ponownie. – Wiadomość, że twoja siostra jest Styksem, spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Podobnie jak ta, że ty jesteś Kolonistą. Naprawdę nie miałem o tym pojęcia. No a już to, że Rebeka ma siostrę bliźniaczkę... Dobry Boże! westchnął ciężko. – Może nie potrafię też normalnie myśleć, bo... jesteś tutaj... bo zszedłeś za mną pod ziemię, choć powinieneś być w domu, z matką.

– Tyle że ona nie jest moją matką – wymamrotał Will.

Jednak doktor Burrows nie usłyszał tego komentarza albo wolał go zignorować.

– Nie mam też najmniejszego pojęcia, jak udało się wam z Chesterem dostać aż tutaj – ciągnął. – Nigdy, przenigdy nie chciałem narazić was na takie niebezpieczeństwo. Na pewno przeżyłeś wiele trudnych chwil, podobnie jak ja. Nie powinienem był mówić ci tego, co przed chwilą powiedziałem... Postąpiłem zbyt pochopnie: dokonałem osądu, nie znając faktów.

Syn podniósł wreszcie wzrok i spojrzał na ojca, a potem skinął lekko głową. Wiedział, że jest to forma przeprosin i że jeśli tata nie zmienił się radykalnie w ciągu ostatnich kilku miesięcy, nie doczeka się z jego strony już niczego więcej. Nie zamierzał jednak żywić do niego urazy, zwłaszcza teraz, kiedy czekały ich znacznie ważniejsze sprawy, choćby takie, jak utrzymanie się przy życiu.

– Nasza sytuacja nie wygląda ciekawie – stwierdził. – Zostało nam

niewiele jedzenia i picia, a ja nie mam zielonego pojęcia, dokąd prowadzi ten tunel.

– Obawiam się, że nie pomogę ci w tej kwestii – przyznał doktor. – Przeprowadziła mnie tutaj Reb... dziewczyna, którą nazywasz Rebeką Drugą. Nigdy w życiu sam nie odnalazłbym drogi powrotnej do Czeluści.

– No to jesteśmy w kropce – podsumował chłopiec.

– Zdecydowanie – zgodził się z nim ojciec, choć wcale nie wyglądał na przybitego. – Ale musimy jakoś się z niej wydostać. Wstawaj, Will, nie ma sensu tu siedzieć.

Podszedł do syna i uściśnął lekko jego ramię. Członkowie rodziny Burrowsów nigdy nie okazywali sobie zbyt wylewnie uczuć, więc dla chłopca był to znaczący gest.

– Jasne, tato – odparł, ogarnięty nagle falą optymizmu. – Lepiej coś zrobić niż bezczynnie czekać.

Tak właśnie wyobrażał sobie wędrówkę z ojcem – jako zmaganie się z trudnościami i pokonywanie ich. Natychmiast spakował z powrotem plecak, po czym w milczeniu ruszyli w głąb tunelu.

Szybko się przekonali, że jest to nie tyle tunel, ile ułożona ukośnie szczelina o szerokości sięgającej czterdziestu metrów. Po chwili dotarli do małego korytarza odchodzącego na lewo, a Will stwierdził, że koniecznie muszą go zbadać. Miał nadzieję, że korytarz połączy się z przejściem, z którego korzystał wcześniej wraz z Martą i pozostałymi. Kiedy jednak uszli niecałe dwadzieścia metrów, chłopiec dostrzegł jakiś ruch – ciemne kształty przemykały po ścianach i suficie, a lekki wiatr kołysał czymś, co wyglądało na strzępy pajęczyny.

– Pajęczne mały – ostrzegł Will ojca.

Były to znacznie mniejsze i z pewnością młodsze osobniki, ale nie zamierzał ryzykować.

Wyjął z kieszeni szczyptę anyżkowego ognia i zapalniczkę. Nie skorzystał z niej jednak, ponieważ pająki nie próbowały iść ich śladem, gdy wycofali się powoli z korytarza.

– Przypuszczam, że to były ich młode. Pewnie dlatego nie rzuciły się na nas – stwierdził chłopiec.

Gdy wrócili do szczeliny, powiedział ojcu, że widział również takie mniejsze pająki uczepione tułowia bielaka, który zaatakował jego i Martę przy wejściu do kiosku okrętu.

– Więc albo mniejsze pająki są podgatunkiem większych i pasożytują na bielakach...

albo są to po prostu ich młode. Może pająki przeobrażają się w końcu w te latające stworzenia – rozmyślał doktor. – Jak gąsienice w motyle.

– Tak – zgodził się z nim syn. – A te korytarze to może ich wylęgarnia? – Rozejrzał się ostrożnie dokoła. – Miejsce, w którym dorastają i uczą się polować?

– To całkiem możliwe – skinął głową ojciec. – Być może właśnie tu jest ich lęgowisko, w którym dorastają, a potem rozchodzą się po wszystkich korytarzach w poszukiwaniu pokarmu.

Po dwudziestu minutach wędrówki w górę dotarli do innego bocznego tunelu, okazało się jednak, że i on zajęty jest przez małe pająki.

– Więc jak spotkamy się z resztą? – zirytował się Will.

– Nie wiem. Myślę, że powinniśmy po prostu iść w górę odparł doktor Burrows, starając się nie tracić ducha.

– Ale któryś z tych korytarzy mógłby doprowadzić nas do Marty i Chestera – kręcił głową chłopiec, niepokieszony.

Zastanawiał się, czy małe pająki stanowią dla nich realne zagrożenie, w końcu jednak uznał, że nie warto ryzykować spotkania z dorosłym osobnikiem albo, co gorsza, z przerażającym bielakiem,

więc wraz z ojcem kontynuował wędrówkę w górę zbocza.

Po drodze opowiadali sobie, co spotkało ich obu od czasu rozstania na powierzchni. Will wyjaśnił tacie, jak razem z ehesterem odnaleźli jego tunel w piwnicy i jak dotarli do Kolonii, gdzie zostali aresztowani. Opisał także, jak spotkał się ze swoim biologicznym ojcem i bratem i jak się dowiedział, że on sam również jest z urodzenia Kolonistą.

– Rebeka powiedziała mi o tym – przerwał mu doktor.

Od czasu do czasu chłopiec milkł na chwilę, przejęty bolesnymi wspomnieniami, by potem znowu podjąć opowiadanie. Mówił o Styksach i ich brutalności.

– Nie znałem ich z tej strony – podkreślił z mocą ojciec. – Nie traktowali mnie źle.

Pozwalali mi wszędzie chodzić. Prawdę mówiąc, więcej wycierpiałem z rąk Kolonistów, szczególnie w Slumsach, gdzie pobiły mnie jakieś miejscowe opryszki. Jeśli Styksowie są czasami surowi, to zachowują się tak zapewne ze względu na dobro Kolonistów, wśród których nie brakuje przecież malkontentów.

– Surowi? Nie wygłupiaj się, tato! – oburzył się Will. – Oni są źli do szpiku kości... To mordercy i oprawcy! Nie widziałeś, co robili z renegatami i Koproliitami w Głębi? Zabijali ich całymi dziesiątkami.

– Nie, nie widziałem. Skąd wiesz, że to byli Styksowie, a nie jakaś banda renegatów? Z tego, co wiem, to przecież ludzie wyjęci spod prawa, pozbawieni zasad moralnych.

Chłopiec tylko pokręcił głową.

– Powinieneś szanować inne kultury i nigdy nie osądzać ich według własnego systemu wartości – mówił dalej doktor Burrows. – Nie zapominaj, że jesteś tu obcy: to ty wtargnąłeś do ich świata, nieproszony. Jeśli potraktowali cię źle, to zapewne dlatego, że obraziłeś ich w jakiś sposób.



Will aż zaniemówił, usłyszawszy te słowa. Parsknął kilkakrotnie, jakby wypluwał z ust jakieś śmiecie.

– OBRAZIŁEM ICH?! – zdołał w końcu wykrztusić głosem zachrypniętym z wściekłości. – OBRAZIŁEM ICH?! – Wziął kilka głębokich oddechów, by się uspokoić. – Zachowujesz się jak ostatni dupek, tato!

Nie słyszałeś, co ci przed chwilą mówiłem?

– Proszę, uspokój się – namawiał go ojciec. – Zachowujesz się dokładnie tak, jak podczas kłótni z siostrą, gdy nagle traciłeś panowanie nad sobą.

– Ona nie była moją siostrą! – odparował gniewnie Will.

Jednak doktor Burrows nie dał się zbić z tropu.

– Ciągłe skakaliście sobie do oczu, ciągle się kłóciliście. Nic się nie zmieniło, prawda?

Chłopiec uświadomił sobie, że spieranie się z ojcem nie ma większego sensu i że powinien raczej opowiedzieć mu całą historię do końca. Zrelacjonował więc wszystkie wydarzenia z Głębi, podczas gdy doktor słuchał z uwagą.

– Śmiercionośne wirusy, strzelaniny i matka, której nigdy nie znałeś. To naprawdę niesamowita historia – stwierdził mężczyzna, przekonany, że syn już skończył.

Ale Will miał coś jeszcze do powiedzenia.

– Tato, pewna sprawa dręczy mnie od czasu, gdy znikłeś z domu.

– Co takiego?

– Tego wieczoru, kiedy wybiegłeś z salonu... o co pokłóciłeś się z mamą? – spytał.

– Próbowałem powiedzieć jej o swoich planach, ale ona nie chciała mnie słuchać...

wpatrywała się tylko w telewizor. Z twoją matką naprawdę trudno się czasem porozumieć i muszę przyznać, że wtedy traciłem już

cierpliwość.

– Więc co się stało? Powiedziałeś jej, dokąd idziesz? – dopytywał się Will.

– Owszem, przedstawiłem jej to, co sam wtedy wiedziałem. Ale jedynym sposobem, by w końcu zwróciła na mnie uwagę, było wyłączenie telewizora. Zrobiłem to, a wtedy matka rzuciła się na mnie jak lwica.

– Wyłączyłeś telewizor – powtórzył Will i aż gwizdnął.

Takich rzeczy po prostu nie robiło się Celi Burrows. Wyłączenie telewizora równało się złamaniu pierwszego i najważniejszego przykazania obowiązującego w ich domu: Nigdy nie będziesz przeszkadzał mi w oglądaniu.

– Chciałem jej tylko wyjaśnić, co zamierzam zrobić – szepnął słabo ojciec, jakby próbował się wytłumaczyć ze swego niecnego uczynku.

– Jeszcze jedna sprawa, tato... Mówisz ciągle, że ona jest moją matką. Ale ona nie jest moją prawdziwą matką, a ty nie jesteś moim prawdziwym ojcem. Dlaczego nigdy mi nie powiedzieliście, że jestem adoptowany?

Doktor milczał przez chwilę. Kiedy tak szli obok siebie, Will wyczuwał napięcie rosnące między nimi i zastanawiał się, czy ojciec mu odpowie. W końcu Burrows się odezwał: – Kiedy byłem mały, moi rodzice mieli przyjaciela, który składał nam regularne wizyty.

Nazywał się Jeff Stokes, ale dla mnie był wujem Stokesem. Ożenił się z właścicielką kilku stajni pod Londynem i miał dwójkę dzieci, ale nigdy nie przyprowadzał ich ze sobą. – Ojciec uśmiechnął się do wspomnień. – Był fascynującą postacią, moi rodzice uwielbiali jego towarzystwo. Wszyscy byli podekscytowani, kiedy przyjeżdżał z kolejną wizytą, zawsze w najnowszym modelu jakiegoś sportowego auta albo na motocyklu. Dla mnie te wizyty były wyjątkowe, jak Boże Narodzenie albo urodziny, bo wuj nigdy nie pojawiał się z pustymi

rękami: zawsze miał dla mnie jakieś wspaniałe prezenty. Samochodziki Matchboxa albo zestaw do magicznych sztuczek... Dał mi nawet mój pierwszy mikroskop, w małym, drewnianym pudełeczku z próbkami kryształów i motyli skrzydeł. Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczyły te prezenty, zwłaszcza że moich rodziców nigdy nie było stać na podobne rzeczy.

– Super – mruknął Will w roztargnieniu, zastanawiając się, do czego właściwie ojciec zmierza.

– Miałem około dziewięciu lat, gdy wuj przyniósł mi dwie białe myszki w klatce. Moi rodzice nie pozwalali mi trzymać zwierząt w domu, więc dosłownie skakałem z radości.

Siedziałem przy klatce do późnego wieczoru i przyglądałem się myszkom, dopóki tata nie zagonił mnie do łóżka. Kiedy się obudziłem, popędziłem od razu do miejsca, w którym zostawiłem klatkę. Nie było jej tam. Nie mogłem tego zrozumieć. Przeszukałem cały dom, ale nigdzie jej nie znalazłem. Tata zszedł do mnie z góry, bo głośno płakałem i nie mogłem się uspokoić. Powiedział mi, że to wszystko musiało mi się przyśnić, że nigdy nie było u nas klatki z myszkami. To samo twierdziła mama.

– Okłamali cię – wtrącił chłopiec.

– Tak, okłamali mnie. Moja matka panicznie bała się myszy, więc musieli je usunąć z domu. Ale uwierzyłem w to, co mi mówili, i dopiero wiele lat później domyśliłem się prawdy.

Ale nie miałem do nich żalu. Z pewnością znacznie trudniej przyszłoby mi świadomie rozstać się z myszkami niż uwierzyć, że to był tylko sen. – Doktor Burrows przerwał na moment i odchrząknął. – Will, zamierzaliśmy z matką powiedzieć ci o tym. Chcieliśmy jednak, żebyś do tego dorósł, żebyś zrozumiał, co to oznacza. Przyrzekam, że tak właśnie było. – Spojrzał synowi prosto w oczy. – Czy teraz, kiedy już wiesz, ma to jakieś znaczenie?

Chłopiec nie odpowiedział od razu.

– Tak, myślę, że ma – wyznał w końcu. – W głębi duszy zawsze czułem, że nie pasuję do ciebie i mamy, a już na pewno nie do Rebeki... a właściwie Rebek. Próbowałem się dostosować... czuć się częścią rodziny... Chyba wmawiałem sobie, że tak właśnie jest... Ale nie było, prawda? Nawet gdybym nigdy nie trafił do Kolonii i nie dowiedział się wszystkiego, nadal żyłbym w kłamstwie, czyż nie? – Wziął głęboki oddech, by uspokoić drżący głos. – A to nie było dobre, chyba się ze mną zgodzisz?

– Tak, Will, masz rację. Powinniśmy powiedzieć ci o tym wcześniej – przyznał doktor Burrows, po czym zmienił temat. – Zdaje się, że od długiego czasu idziemy ciągle w górę.

– Wybuch całkiem zatkał tunel – stwierdziła Marta, powróciwszy w głąb korytarza do Elliott i Chestera.

Spojrzała na dziewczynę, która siedziała po turecku na noszach, przeżuwała suszone mięso pająka i popijała wodą z manierki.

– Przepraszam – westchnęła Elliott, unosząc lekko brwi. – Nie widziałam innego wyjścia.

– Zrobiłaś, co należało – zapewniła ją kobieta. – Gdyby nie ty, moglibyśmy się tylko zastanawiać, kto dopadnie nas pierwszy: bielaki czy Granicznik. Ja postawiłabym na żołnierza; na pewno nie pozwoliliby nam ujść z życiem.

– Ta cholerna Rebeka! – warknął Chester, po czym westchnął ciężko. – Wiedziałem, że kłamię w żywe oczy, ale Will nie chciał mnie słuchać. Wszyscy Styksowie to śmierdzący kłamcy, bez wyjątku!

Marta chrząknęła znacząco, a chłopiec spojrzał na koleżankę, przypomniawszy sobie, co powiedziała im w jaskini.

– Ee... nie chciałem cię obrazić – wymamrotał, mocno zakłopotany.

Elliott przestała żuć i wbiła w niego stalowe spojrzenie.

– Górnoziemskie ścierwo! – wycedziła przez zęby.

Chester otworzył szeroko oczy, zdumiony, lecz dziewczyna wybuchła nagle śmiechem.

– Przecież żartuję. Chester! Mój ojciec co prawda był jednym z nich, ale nienawidzę ich równie mocno jak ty.

Chłopiec przełknął ciężko ślinę i próbował przywołać na usta uśmiech, choć wcale nie było mu wesoło.

– Moja matka pracowała w garnizonie Styksów, tam się z ojcem poznali – wyjaśniła koleżanka. – Kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, przeprowadziła się jak najdalej, do Zachodniej Jaskini. Sytuacja była naprawdę trudna; gdyby ktokolwiek odkrył ich sekret, matka zostałaby wygnana, a ojciec byłby skazany na śmierć. Dlatego też rzadko go widywałam, choć odwiedzał nasi gdy tylko mógł. Potem, kiedy miałam dziewięć lat, wizyty ustały. Podobno tata zaginął w akcji podczas jakiejś misji w Górnoziemiu.

– Nie czujesz się dziwnie? – odważył się spytać Chester. – No wiesz, mówisz językiem Styksów, jesteś półkrwi Styksem, a mimo to walczysz z nimi... i zabijasz ich, prawda?

– Nie, Chester, jestem Kolonistką z krwi i kości, jak moja matka. To ona mnie wychowała, a ja dobrze widziałam, jak Styksowie traktują ludzi takich jak ja. Nienawidzę ich z całego serca.

– Więc dlaczego opuściłaś Kolonię? – spytała Marta.

– Ktoś się dowiedział, kim był mój ojciec, i próbował wykorzystać to przeciwko matce.

Nie wiem, kto to był, mama nie chciała mi powiedzieć, ale okropnie się tym martwiła.

Pomyślałam więc, że jeśli odejdę, jej kłopoty się skończą.

– I skończyły się?

– Chyba tak – odparła Elliott ze smutkiem. – Choć od tamtej pory nie miałam z nią żadnego kontaktu.

Na jakiś czas w tunelu zapadło ponure milczenie, które przerwała w końcu Marta.

– Nie możemy tu dłużej siedzieć. To kraina pajaków.

– A co z Willem? – spytał Chester, marszcząc brwi. – Kiedy widziałem go po raz ostatni, pędził jak wicher. Myślicie, że zdążył uciec?

Kobieta wzięła głęboki oddech.

– Nawet jeśli zdążył, to teraz i tak nie może tu do nas przyjść. Moim zdaniem powinniśmy dostać się do Wilczych Jaskiń – dodała, spoglądając w głąb tunelu. – Jeśli do nich dotrzemy, możemy tam na niego poczekać.

– Jak to jeśli? – obruszył się Chester.

Część czwarta

Podziemna przystań

# Rozdział dwudziesty



**T**rzy dni później Will i doktor Burrows byli już ogromnie zmęczeni, a na dodatek zostały im jedynie resztki zapasów. Ukośna szczelina ciągnęła się bez końca, przerywana tylko co jakiś czas głębokimi, pionowymi uskokami. Gdyby te olbrzymie rozpadliny znajdowały się na powierzchni, nie byłoby w stanie ich pokonać, jednak tutaj dzięki obniżonej grawitacji mogli po prostu przeskoczyć z brzegu na brzeg.

Przekroczyli właśnie kolejny uskok, kiedy ojciec chłopca zaczął wygwizdywać przez zęby jakąś melodię. Maszerował z wysoko uniesioną brodą, jakby wybrał się właśnie na niedzielną przechadzkę. Wyglądało na to, że wcale nie przejmuje się trudną sytuacją, co ogromnie irytowało Willa. Jednak już chwilę później dotarli do końca ukośnej szczeliny, która zamieniła się w bardzo wąski skalny korytarz o poszarpanych ścianach. Doktor Burrows przestał gwizdać i zaczął ciężko sapać, przeciskając się przez ten ciasny, klaustrofobiczny tunel.

Pogwizdywanie działało Willowi na nerwy, ale sapania nie mógł już po prostu znieść.

Zatrzymał się raptownie, zmuszając do tego samego ojca, który szedł tuż za nim.

- Co ja właściwie robię?! – wybuchł, kopiąc ze złością jakiś kamyk.
- Dlaczego, do licha, idę tu z tobą?
- Jakiś problem? – spytał doktor.
- Owszem. Oprócz tego, że jestem głodny i wprost padam ze zmęczenia, doszedłem również do wniosku, że popełniłem ogromny



błąd. Powinienem był wrócić do Chestera i pozostałych. Nie dość się starałem. Jestem pewien, że będą na mnie czekali w Wilczych Jaskiniach.

– Tak, staraliśmy się – odparł spokojnie mężczyzna. – Ale tam po prostu nie było bezpiecznego przejścia.

Will pokręcił głową.

– Trzeba było zaryzykować i wejść do pierwszego tunelu z młodymi pajakami.

Najprawdopodobniej nic by nam się nie stało. Nie sprawdziliśmy też dobrze, czy nie ma jakichś korytarzy po drugiej stronie szczeliny. A jeśli było tam jakieś przejście do Wilczych Jaskiń? – Kopnął kolejny kamyk, który odbił się od skalnych ścian. – Głupi, głupi, głupi!

– Will, no przecież szukaliśmy przejść po drugiej stronie szczeliny, ale nic nie znaleźliśmy, pamiętasz? Uspokój się ojciec próbował przemówić mu do rozsądku.

– Nie uspokoję się! A jeśli oni zostali ranni? Chester może potrzebować mojej pomocy.

– Jestem pewien, że nic mu się nie stało. Ta starsza kobieta na pewno się nim zajmie, a i dziewczyna z materiałami wybuchowymi nie wyglądała mi na mimozę. Założę się, że doskonale sobie tu radzi – mówił doktor.

– Ona ma na imię Elliott – burknął Will, spoglądając na ojca z irytacją. – I czuje się tutaj równie zagubiona jak my. Tyle że my właściwie jesteśmy już podwójnie zagubieni.

– Nie sędzę – odrzekł krótko Burrows.

Chłopiec już miał zareagować jakąś przykrą uwagą, powstrzymał się jednak i spojrzał pytająco na tatę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ gdybyś przez ostatnich kilka kilometrów zwracał uwagę na otoczenie, zauważyłbyś to.

Mężczyzna przechylił latarkę i oświetlił górną część ściany. Choć miejscami farba łuszczyła się i odpadała od skały, na jej powierzchni wciąż widniał wyraźny, czerwony trójkąt, niczym strzałka wskazujący kierunek, w którym właśnie zmierzali.

– Na początku było ich niewiele, ale teraz rozmieszczone są regularnie co pięćset metrów.

– Myślisz, że zostawiła je załoga okrętu? – zaciekał się natychmiast syn.

– Być może – skinął głową Burrows. – Przekonamy się, kiedy dotrzemy do końca tego szlaku.

– Nie ma mowy... Muszę wracać do Chestera i pozostałych – nie dawał za wygraną Will, chociaż teraz mówił już z mniejszym przekonaniem. Ciekawość badacza najwyraźniej brała w nim górę. – Choć... właściwie nie zaszkodzi, jeśli pójdziemy jeszcze przez jakiś czas za tymi znakami.

Nie zastanawiając się dłużej, rażno ruszył w głąb ciasnego korytarza.

– Zuch chłopak – mruknął pod nosem ojciec.

Wędrowali tym wąskim tunelem jeszcze przez kilka kilometrów. Nagle odgłos ich kroków wyraźnie się zmienił, a odległe echo wskazywało na to, że zbliżają się do jakiejś większej jaskini.

– Światło... więcej światła – polecił doktor Burrows, gdy wyszli z tunelu i stwierdzili ze zdumieniem, że stoją na płaskiej, poziomej platformie.

Will posłusznie zwiększył natężenie światła w latarce i skierował promień pod nogi.

– To jest beton! – wykrzyknął mężczyzna, uderzając piętą w podłoże. Potem opadł na jedno kolano i przyjrzał się uważnie twardej powierzchni. – Beton... – mruczał. – Prawdopodobnie wylewany na zimno.

Chłopiec był jednak tak podekscytowany, że w ogóle go nie słuchał.

– Spójrz! Tam jest jakaś linia! – krzyknął, oświetlając teraz wnętrze jaskini.

Rzeczywiście, przed nimi ciągnęła się szeroka biała linia, ułożona prostopadle do kierunku, z którego przybyli. Tuż za nią połyskiwała ciemna powierzchnia.

Ojciec i syn natychmiast ruszyli w tę stronę.

– Ostrożnie – ostrzegł Willa tata.

– Spokojnie, to tylko woda – odparł chłopiec, gdy dotarli do linii i przystanęli.

Biały pas znaczył krawędź betonowej platformy. Gdy obaj wychylili się nieco do przodu, zobaczyli, że od powierzchni wody dzieli ich kilkumetrowy spadek. Zbiornik wydawał się dość głęboki, woda była jednak na tyle przejrzysta, że widzieli kamienie ułożone na dnie.

– Tak, to jakiś podziemny staw – potwierdził Burrows. – Ciekawe, co jeszcze tu znajdziemy...

Will oświetlił teraz tafłę wody. Blask odbity od drobnych zmarszczek kładł się półkolami na odległej ścianie po lewej stronie jaskini.

– To miejsce jest ogromne – stwierdził chłopiec. Zwiększył natężenie światła do maksimum, wodząc promieniem latarki wzdłuż skalnej powierzchni.

– Tak – zgodził się z nim ojciec, chociaż wydawało się, że bardziej interesuje go betonowa platforma pod ich stopami. – Skąd się tu wzięła wielka, betonowa płyta? Czemu ma służyć, u diabła? – zastanawiał się głośno.

– Sprawdzę, co jest tutaj – powiedział syn, idąc na lewo, wzdłuż białej linii. Gdy po chwili przekonał się, że betonowa platforma

prowadzi do ściany jaskini, krzyknął: – Tutaj niczego nie ma; to ślepa uliczka!

Wrócił do ojca, nie zatrzymał się jednak obok niego, lecz poszedł dalej. Po chwili dotarł do wielkiej sterty gruzu i pomyślał, że to już koniec platformy. Ale kiedy wspiął się na sam szczyt, zobaczył, że gładka betonowa powierzchnia ciągnie się daleko w ciemność, poznaczona jedynie gdzieś tam pęknięciami lub odłamkami skał.

– Tu jest coś jeszcze! – zawołał chłopiec, a potem odkrył, że dalsza część platformy kryje się za rogiem. – Pośpiesz się, tato! – krzyknął.

Gdy tylko mężczyzna go dogonił, ruszyli razem wzdłuż betonowego nabrzeża. Will skierował światło latarki do przodu. Obaj dostrzegli tam jaśniejszą plamę, a kiedy podeszli bliżej, przekonali się, że ma ona regularny kształt.

Chłopiec podniósł latarkę na wysokość oczu.

– Co to jest? – spytał głośno doktor Burrows, a potem wstrzymał oddech.

Na moment zastygli w bezruchu. W dali, pod ścianą, kryło się coś, co wyglądało na przysadzisty, betonowy budynek. Doktor natychmiast ruszył w tę stronę.

Kiedy już zbliżali się do budowli, syn nagle zwolnił. Przyszło mu do głowy, że radość z tego odkrycia może być całkiem nieuzasadniona.

– Hej, tato! – zawołał słabo.

Przypomniał sobie, co Cal mówił mu o Bunkrze w Głębi. Choć Will nie widział go na własne oczy, pamiętał, że i on wykonany był z betonu, więc pomyślał, że to miejsce także może mieć coś wspólnego ze Styksami. Może był to jeden z ich posterunków. W tej samej chwili uświadomił sobie jednak, że jest to bardzo mało prawdopodobne. Marta twierdziła z całym przekonaniem, że wpływy Białych Szyj nie sięgają tak daleko. Chłopiec pokręcił głową, zdecydowanie odrzucając

tę myśl. Nie, Styksowie na pewno nie mieli z tym nic wspólnego.

– O co chodzi, Will? – spytał w końcu doktor Burrows.

– Nic takiego – machnął ręką chłopiec, po czym podbiegł do przodu i dogonił ojca.

Po chwili stanęli przed parterową budowlą. Wzdłuż frontowej ściany ciągnął się rząd dziesięciu okien, zakończony pojedynczymi drzwiami. Syn w mgnieniu oka znalazł się przy nich. Gruba, metalowa płyta pomalowana była szaroniebieską farbą, upstrzoną tu i ówdzie brązowymi plamami rdzy. Na samym środku znajdowało się szerokie koło, połączone zapewne z mechanizmem otwierającym wejście.

Doktor zawiesił sobie latarkę na szyi i spróbował przekręcić koło, jednak ono nawet nie drgnęło.

– Musisz mi pomóc – rzucił do Willa, który przypiął swoją latarkę do kurtki i pośpieszył do niego.

Po kilku próbach dali za wygraną.

– Niech to diabli! – wrzasnął mężczyzna i kilkakrotnie kopnął w mechanizm, próbując go obluźować.

– Chwileczkę – powstrzymał go syn, dostrzegłszy metalową rurkę leżącą pod ścianą budynku. Podniósł ją i wsunął między pręty koła.

– Dźwignia! Dobry pomysł! – pochwalił go ojciec, po czym obaj z całych sił naporli na rurkę.

Koło obróciło się nagle, a rurka wyslizgnęła się z ich dłoni i upadła na podłogę, wypełniając jaskinię głośnym brzękiem. Chłopiec pochylił się po nią.

– Zostaw – rzucił do niego doktor. – Teraz chyba już pójdzie. – Stękając głośnie, naporł na koło, które obróciło się kilka razy i zatrzymało z hukiem. – Sezamie, otwórz się! zawołał, po czym pociągnął za drzwi.

Metalowe skrzydło przesunęło się nieco, a potem zazgrzytało o

betonowe podłoże i znieruchomiło.

– Will, spójrz tylko, te drzwi mają ponad pół metra grubości! – Mężczyzna szarpnął ponownie za metalowe koło, lecz drzwi ani drgnęły. – Odgarnijmy to wszystko – zaproponował, odrzucając kopniakiem kilka kamieni leżących pod dolną krawędzią skrzydła.

Syn pomagał mu z zapalem, odsuwając butem większe kawałki skał, później zaś przykląkł i rękami wymiótł drobniejsze odłamki.

pojedynczymi drzwiami. Syn w mgnieniu oka znalazł się przy nich. Gruba, metalowa płyta pomalowana była szaroniebieską farbą, upstrzoną tu i ówdzie brązowymi plamami rdzy. Na samym środku znajdowało się szerokie koło, połączone zapewne z mechanizmem otwierającym wejście.

Doktor zawiesił sobie latarkę na szyi i spróbował przekreślić koło, jednak ono nawet nie drgnęło.

– Musisz mi pomóc – rzucił do Willa, który przypiął swoją latarkę do kurtki i pośpieszył do niego.

Po kilku próbach dali za wygraną.

– Niech to diabli! – wrzasnął mężczyzna i kilkakrotnie kopnął w mechanizm, próbując go obluźnić.

– Chwileczkę – powstrzymał go syn, dostrzegłszy metalową rurkę leżącą pod ścianą budynku. Podniósł ją i wsunął między prety koła.

– Dźwignia! Dobry pomysł! – pochwalił go ojciec, po czym obaj z całych sił natarli na rurkę.

Koło obróciło się nagle, a rurka wyslizgnęła się z ich dłoni i upadła na podłogę, wypełniając jaskinię głośnym brzękiem. Chłopiec pochylił się po nią.

– Zostaw – rzucił do niego doktor. – Teraz chyba już pójdzie. – Stękając głośno, natarł na koło, które obróciło się kilka razy i zatrzymało z hukiem. – Sezamie, otwórz się! zawołał, po czym pociągnął za drzwi.

Metalowe skrzydło przesunęło się nieco, a potem zazgrzytało o betonowe podłoże i znieruchomiało.

– Will, spójrz tylko, te drzwi mają ponad pół metra grubości! – Mężczyzna szarpnął ponownie za metalowe koło, lecz drzwi ani drgnęły. – Odgarnijmy to wszystko – zaproponował, odrzucając kopniakiem kilka kamieni leżących pod dolną krawędzią skrzydła.

Syn pomagał mu z zapalem, odsuwając butem większe kawałki skał, później zaś przykląkł i rękami wymiótł drobniejsze odłamki.

– To chyba wystarczy. Spróbujmy raz jeszcze – stwierdził doktor Burrows. Wsunął dłonie w szparę między futryną a drzwiami i pochwycił je mocno. – Trzy... cztery! – krzyknął, po czym z całej siły szarpnął za ciężkie skrzydło. Will zaś w tej samej chwili pociągnął za koło.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej, na tyle, że obaj podekscytowani odkrywcy zdołali precyzyjnie przesuwać się do środka. Znaleźli się w prostokątnym pokoju o wymiarach dziesięć na dwadzieścia metrów. Na środku pomieszczenia stał niewielki rozkładany stół, otoczony krzesłami.

– Hej, tato, spójrz na to! – zawołał chłopiec, podniecony.

Na ścianie naprzeciwko wejścia znajdował się wielki pulpit sterowniczy z mnóstwem wskaźników i przełączników.

– O kurde, co to jest?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale wygląda na to, że grube drzwi spełniły swoją funkcję i zatrzymały wilgoć. Nie ma tu ani śladu korozji – zauważył Burrows.

W tej samej chwili zarówno on, jak i jego syn spojrzeli na dolny lewy róg panelu, gdzie znajdowało się pięć dużych wyłączników, a nad nimi napis „Główna tablica zasilania”.

Doktor zaczął fałszywie pogwizdywać, co oznaczało zazwyczaj, że się nad czymś zastanawia.

Potem się odezwał: – Dźwignie są w górnym położeniu, więc zasilanie jest odcięte... czyli wszystko jest wyłączone.

Ojciec i syn spojrzeli po sobie, tknięci tą samą myślą; wydawało się, że ten stary panel przyciąga ich jak magnes. Will skinął głową, czekając w napięciu na to, co zrobi tata.

Doktor Burrows sięgał już do pierwszej dźwigni, kiedy chłopiec dostrzegł nieco mniejszy napis z boku.

– Hej, tato! „Panel obsługują tylko upoważnieni członkowie personelu” – przeczytał głośno.

Mężczyzna się zawahał, a jego dłoń zawisła kilka centymetrów nad dźwignią. Przez chwilę nucił coś pod nosem i pocierał kciukiem o pozostałe palce, niezdecydowany.

– Więc jak, spróbujemy czy nie? – spytał Will.

Doktor wciągnął głośno powietrze, a potem powolutku je wypuścił.

– Wszystko to ma już pewnie ładnych kilkadziesiąt lat stwierdził. – Pewnie i tak nie działa... Czemu więc nie mielibyśmy spróbować?

– Tak, zrób to, tato – zgodził się szybko syn.

– Dobra – skinął głową Burrows, choć zazwyczaj nie używał tego słowa.

Położył dłoń na pierwszej dźwigni i przesunął ją w dół, aż wsunęła się z cichym trzaskiem na swoje miejsce. Rozejrzeli się dokoła, omiatając pokój promieniem latarki Willa, ale najwyraźniej nic się nie zmieniło. Słyszeli kapanie wody dochodzące z zewnątrz, poza tym wokół panowała cisza.

– Naprawdę myślisz...? – zaczął chłopiec, zastanawiając się, czy rzeczywiście powinni wypróbować działanie pozostałych przełączników.

Lecz doktor już chwycił drugą dźwignię i przesunął ją w dół. Ciemności przeszyła duża, niebieska iskra, a z miejsca połączenia styków dobiegło głośne skwierczenie. Ojciec i syn odsunęli się,



zaskoczeni. Sala w jednej chwili wypełniła się blaskiem lamp umocowanych na ścianach.

– Au, ależ jasno! – wykrzyknął Will, przesłaniając dłonią oczy wrażliwe na światło.

Chociaż musieli trochę odczekać, by przyzwyczać wzrok do światła, wkrótce widzieli dokładnie całe wnętrze. Doktor przełożył pozostałe trzy dźwignie i przekonał się, że dwie spośród nich działają, ponieważ i one rozbłysły na moment błękitnymi iskrami. Wskazówki zegarów wbudowanych powyżej drgnęły i przesunęły się nieco. Strzałka wielkiego wskaźnika umieszczonego pośrodku panelu także odchyliła się od pozycji wyjściowej.

– To pewnie wskaźnik stanu zasilania – stwierdził mężczyzna, ścierając kurz z szybki.

– Skąd wiesz? – zdziwił się chłopiec, który dobrze pamiętał, że obsługa każdego urządzenia elektrycznego bardziej skomplikowanego niż toster stanowiła dla jego ojca nie lada wyzwanie.

– Przypuszczenie graniczące z pewnością – odpowiedział z uśmiechem doktor. Wskazał na szereg liczb wypisanych pod wskaźnikiem. – Te wartości określone są w megawatach, więc raczej mam rację.

Will skinął głową i obejrzał uważniej całe pomieszczenie o betonowych ścianach i niskim suficie. Metalowy stół i składane krzesła stanowiły jedyne elementy wyposażenia.

– Tam – powiedział chłopiec, pokazując ręką.

Po drugiej stronie pokoju znajdowały się drzwi, co najmniej dwukrotnie szersze od tych, przez które weszli.

– Zostaw to na razie – przykazał mu ojciec, wciąż przyglądając się drgającym wskazówkom mniejszych wskaźników i zegarów. – Jak już mówiłem, ten panel ma co najmniej kilkadziesiąt lat, więc energia nie może pochodzić z akumulatorów. Całość jest co prawda w dobrym

stanie, ale nie wygląda na to, by ktokolwiek o to dbał, więc akumulatory dawno już by się rozładowały. Inne rozwiązanie to połączenie z zewnętrzną siecią energetyczną, ale i to wydaje mi się niemożliwe, bo...

– Bo jesteśmy za głęboko? – przerwał mu Will.

– Otóż to – skinął głową doktor Burrows i podrapał się po brodzie.  
– Więc mamy tu do czynienia albo z energią geotermiczną, albo hydroelektryczną. Biorąc pod uwagę, że tuż obok znajduje się podziemne jezioro, obstawiałbym tę drugą możliwość.

– Ale jedno chyba jest pewne: to nie ma nic wspólnego z Kolonią, prawda? – spytał chłopiec.

– Zgadza się, to nasza technologia, technologia z powierzchni – odrzekł ojciec, ścierając kciukiem kurz z pozostałych wskaźników. – Tyle że, sądząc po wyglądzie, sprzed ładnych paru lat. – Sięgnął do grubych dźwigni oznaczonych literami od A do K, nad którymi znajdował się napis: „Na zewnątrz”. – Skoro powiedziało się A, trzeba powiedzieć też B – oświadczył, po czym przesunął wszystkie naraz.

Wskazówka na dużym, głównym mierniku odchyliła się natychmiast w lewo, po czym powoli wróciła na środek i się zatrzymała.

Doktor Burrows odwrócił się do zakurzonych okien.

– Tak, o to właśnie mi chodziło – mruknął, gdy podszedł bliżej i przez szyby zobaczył rozświetloną jaskinię.

Obaj pośpiesznie wydostali się na zewnątrz przez uchylone drzwi. Lampy zawieszane na linie przeciągniętej pod sufitem jaskini wyciągnęły z mroku całą platformę oraz odchodzący od niej pomost o długości około piętnastu metrów, również wykonany z betonu. Wzdłuż pomostu, po obu stronach, stało szereg żelaznych, zardzewiałych pachołków. Na kilku z nich wisiały łańcuchy, choć nie wiadomo było, czemu miały służyć, ich końce nikły bowiem w

wodzie. Will podbiegł do brzegu, by przyjrzeć im się uważniej.

– Tato? Co to takiego? Łodzie? – spytał, dojrawszy kilka nieruchomych kształtów spoczywających na dnie.

Wszystkie wykonane były z plastiku albo z włókna szklanego, wszystkie były również mniej lub bardziej uszkodzone. Szczątki innych, całkowicie zniszczonych łodzi leżały wśród poszarpanych skał pod drugą ścianą jaskini, doskonale widoczną w blasku potężnych lamp.

– Bez wątpienia. Spójrz tam, Will! – zawołał nagle doktor Burrows.  
– To barka!

Gdy chłopiec popatrzył we wskazanym kierunku, dojrzał w odległym zakątku jaskini długi statek o burtach upstrzonych plamami rdzy. Wyglądało na to, że barka zerwała się z cumy i podryfowała aż pod przeciwległą ścianę jaskini, której dotykała teraz dziobem. Przy sterze znajdowała się mała kabina, reszta pokładu była odsłonięta i załadowana metalowymi skrzyniami.

– Dobry Boże, Will, to jest jakaś podziemna przystań! wykrzykiwał podekscytowany ojciec.

Natychmiast powiódł wzrokiem wzdłuż pozostałej części nabrzeża, które miało jeszcze co najmniej kilkaset metrów długości. Gdy tylko obaj dostrzegli inne budynki przytulone do ściany jaskini, ruszyli biegiem w stronę najbliższego z nich. Pierwszy zaopatrzony był w znane im już drzwi z metalowym kołem. Doktor Burrows, nie namyślając się wiele, natychmiast zaczął się z nimi zmagać.

– Chcesz, żebym ja teraz spróbował? – zaofiarował się z pomocą Will.

– Nie, lepiej zostaw to mnie – odparł mężczyzna, po czym splunął w dłonie i ponownie zabrał się do pracy. Naparł ze wszystkich sił na koło, które w końcu zaczęło się powoli obracać. Po chwili pociągnął za nie, a drzwi otworzyły się z sykiem.

– Rety! Blee! – skrzywił się Will, gdy weszli do środka. – To nie ty, tato, prawda?

– Oczywiście, że nie! – obruszył się Burrows. – To pachnie trochę jak gaz kopalniany...

jak metan. Musiało się go tu trochę zgromadzić.

– Wybacz... – mruknął syn i by ukryć zakłopotanie, zaczął uważnie oglądać wnętrze pomieszczenia.

Pokój o takich samych wymiarach jak poprzedni i ścianach metrowej grubości nie miał okien.

Lampy nie działały, więc chłopiec musiał polegać tylko na latarce. W kanale wyżłobionym na środku pomieszczenia stały trzy potężne silniki, otoczone kałużą jakiejś cieczy, która mieniła się w strumieniu światła wszystkimi kolorami tęczy.

– Generatory? – zastanawiał się głośno doktor Burrows. – Tak. Spójrz, tutaj widać rury doprowadzające paliwo, a tutaj są kable i panel sterowniczy.

– Ee... chyba już wiem, co tutaj tak paskudnie śmierdzi oznajmił Will, który zawędrował w róg pomieszczenia.

Promień jego latarki odsłonił termos pokryty wyblakłym kraciastym wzorem i otwarte plastikowe pudełko, w którym leżały zgniłe resztki.

– Ktoś zapomniał lunchu – uśmiechnął się doktor.

– Nie tylko, tato – odparł syn, zaglądając do wnętrza pudełka. – Tutaj jest też szczur...

który nie żyje już od bardzo długiego czasu.

– Pewnie ktoś go tu zamknął, a biedak miał do jedzenia tylko ten zapomniany lunch – stwierdził Burrows, gdy wyszli na zewnątrz i ruszyli do kolejnego budynku.

Kiedy po krótkich zmaganiach otworzyli drzwi, ujrzeli metalowe półki, ciągnące się wzdłuż betonowych ścian pokoju, na nich zaś

drewniane skrzynki. Mężczyzna podniósł jedną z nich, okazało się jednak, że nie jest w stanie jej utrzymać.

– Cholera! – krzyknął, odskakując do tyłu, kiedy ciężka skrzynka ześlizgnęła się z półki, runęła z hukiem na betonową podłogę i pękła.

Z pomocą syna doktor otworzył rozbitą pojemnik. W środku znajdował się jakiś duży przedmiot owinięty w poplamiony olejem materiał, który rozerwał się, gdy tylko spróbowali go zdjąć.

– Co to jest? – spytał Will.

– Silnik przyczepny do łodzi, jak sądzę – odparł ojciec, dotykając śruby. Kiedy starł warstwę smaru, spod spodu wyłonił się lśniący metal. – Tak. I to w świetnym stanie!

– Odwrócił się do chłopca i uśmiechnął szeroko. – To niesamowite. Zobaczmy, co jest gdzie indziej – powiedział, po czym obaj wyszli na zewnątrz.

Ruszyli dalej wzdłuż nabrzeża. Jednak gdy dotarli do następnego budynku, doktor Burrows wcale się nie zatrzymał. Przemaszerował również obok kilku następnych budowli.

Wydawało się, że ogromnie się śpieszy, jakby dostrzegł coś w głębi jaskini.

Po chwili stanęli przed dwoma wielkimi zbiornikami osadzonymi w skalnej ścianie. Każdy z nich miał około trzydziestu metrów wysokości, zaopatrzony był od dołu w jakieś rurki i kraniki. Mężczyzna odkręcił jeden z nich, wypuszczając odrobinę lotnej cieczy.

– Benzyna – powiedział Will, ponieważ natychmiast rozpoznał charakterystyczny zapach.

Doktor starannie zakręcił kurek.

– A to ropa – stwierdził, po tym jak podszedł do drugiego zbiornika i postukał w niego palcem. – Pewnie do generatorów.

– Czujesz jej zapach? – zdumiał się syn.

– Nie, widzę tylko, że na zbiorniku jest wielka litera D jak diesel – uśmiechnął się z zadowoleniem. – Chodź za mną! krzyknął nagle, wymachując gorączkowo rękami i niemal bełkocząc z podniecenia.

Will nie widział go w takim stanie już od wielu lat. Kiedy znowu ruszyli truchtem wzdłuż nabrzeża, doktor zaczął mówić nieco bardziej zrozumiale: – To miejsce... to naprawdę ogromne przedsięwzięcie...

Zatrzymał się przy niewielkim żurawiu przymocowanym do ściany jaskini i sięgającym nad wodę. Podobnie jak większość metalowych przedmiotów w tym miejscu, był on mocno zardzewiały, a wokół niego leżały płaty szaroniebieskiej farby.

– Tak... żuraw bramowy... do przenoszenia materiałów dostarczanych tu na barkach... – tłumaczył z przejęciem doktor Burrows. – No i oczywiście suwnica do transportu towarów wzdłuż nabrzeża – dodał, wskazując w górę.

Will podniósł wzrok i zobaczył, że wysoko nad ich głowami, pod sufitem jaskini, umocowana jest gruba, zardzewiała szyna.

– Tak... ale... wygląda na to... że nigdy nie zostało skończone! – wydyszał ojciec, wskazując na częściowo tylko wykończoną budowlę, obok której właśnie przebiegali. – Ciekawe dlaczego...

Chłopiec dostrzegł zardzewiałą betoniarę, piasek i dawno już stwardniały cement w poszarpanych papierowych workach.

– Urządzenia do filtracji powietrza, jak sądzę – stwierdził Burrows, gdy mijali sterty drewnianych skrzyń na paletach. Niektóre były już tak zbutwiałe, że skorodowane maszyny wypadły z nich i leżały w beładzie na platformie. – A co do energii hydroelektrycznej...

– Tak? – wysapał syn, starając się dotrzymać ojcu kroku.

– Potrzebne są turbiny i...

– Tak? – dopytywał chłopiec, coraz bardziej zaciekawiony.

Mężczyzna zatrzymał się raptownie.

– Słyszysz to, Will?

– Tak! – skinął głową, dosłyszawszy odległy pomruk.

– Rzeka! – zawołał ojciec i znów poderwał się do biegu.

Po chwili dotarli do końca nabrzeża i przeszli pod wzmocnionym łukiem przy wejściu na przystań. Przed nimi znajdował się kanał o szerokości co najmniej trzydziestu metrów, którym płynęła rzeka o rwącym nurcie. W pobliżu znajdowało się mnóstwo lamp, dzięki czemu obaj widzieli wszystko jak na dłoni.

Will spojrział na lewo, gdzie patrzył również jego ojciec. Niemal przez całą szerokość rzeki ciągnęła się ustawiona pod kątem metalowa kratownica, osadzona w solidnej, betonowej obudowie. Kratę pokrywała warstwa piany, a także różnego rodzaju śmieci, trudno więc było dojrzeć, co kryje się za nią, choć dochodziło stamtąd niskie buczenie, słyszalne nawet przez ryk pędzącej wody.

– Voila! To turbiny! – ucieszył się doktor Burrows, kiwając energicznie głową.

Nad wodą unosiła się gęsta mgiełka, mężczyzna musiał więc co chwila wycierać zaparowane okulary.

Chłopiec odwrócił się w drugą stronę i przeszedł kilka kroków wzdłuż nabrzeża, próbując dojrzeć, skąd płynie wartka rzeka. Blask lamp nie sięgał jednak zbyt daleko w górę kanału, chłopiec widział więc tylko nieprzeniknioną ścianę czerni.

– Czemu to ma służyć? – spytał, przekrzykując ryk wody. – Kto to zbudował, tato?

– Teraz to nieistotne – zbył go ojciec. – Nie rozumiesz, co to dla nas znaczy?

– Co? – zapytał Will, zaintrygowany.

– Jeśli, i jest to bardzo duże jeśli, uda nam się znaleźć sprawną łódź, a właściwie cokolwiek, co unosi się na wodzie, i jeśli uda nam się uruchomić silnik przyczepny... mówił doktor Burrows, kładąc ręce na biodrach i spoglądając w górę rzeki – ... wrócimy do gry.

Chłopiec wpatrywał się tępo w pędzącą wodę. Nie starał się już nawet zrozumieć, o czym właściwie mówi ojciec.

– Cóż... – odezwał się ponownie doktor, odwracając się do syna. – Chyba chcesz wrócić do domu, prawda?



# Rozdział dwudziesty pierwszy



– Pomyślałam, że właśnie tutaj pana znajdę – powiedziała pani Ęurrows, zastawszy Bena Wilbrahamsa w jego ulubionym miejscu, w czytelni Highfield.

– Tak, w domu zbyt wiele rzeczy mnie rozprasza – odparł. – Widzę, że z pani nogą już lepiej.

Kobieta skinęła głową i podała Amerykaninowi papierową torbę. Ten nie otworzył jej od razu, lecz spojrzał pytająco na swą rozmówczynię.

– Tamtego wieczoru – Celia Burrows zaczęła niepewnie kiedy opowiadał mi pan o tych wszystkich dziwnych zajściach w Highfield, pytał mnie pan o Rogera oraz o to, co on właściwie zamierzał. Przepraszam, ale nie powiedziałam panu wtedy zbyt wiele.

– O czym? – spytał krótko mężczyzna, ważąc przy tym torbę w dłoni.

– Sporo przemyślałam i doszłam do wniosku, że powinien pan wiedzieć wszystko. W tej torbie jest dziennik mojego męża. Opisuje jego poczynania aż do dnia, w którym znikł.

Chciałabym, żeby pan... – przerwała nagle, usłyszawszy głośnie syknięcie.

Odwróciła się i ujrzała starszego mężczyznę w za dużej koszuli i wielkiej muszce. Staruszek kręcił mocno głową z dezaprobatą. Przyłożył palec do ust i syknął znowu, niczym jakiś astmatyczny żółw.

Pani Burrows usiadła obok Bena Wilbrahamsa.

– Proszę rzucić okiem na te notatki – poprosiła.

Amerykanin wyjął dziennik i przekartkował całość, a potem przeczytał wybrane strony, podczas gdy kobieta przyglądała mu się wyczekująco.

– Fascynujące – stwierdził wreszcie, zamykając zeszyt.

– Tamtego wieczoru, kiedy wpadłam pod pański samochód... – Staruszek znów syknął na nią z irytacją, pani Burrows mówiła jednak dalej, ostentacyjnie go ignorując: – ... ścigało mnie dwóch bladych mężczyzn albo „mężczyzn w kapeluszach”, jak często nazywał ich Roger.

– Jest pani pewna? – spytał Wilbrahams.

– Całkowicie. Dobrze im się przyjrzałam. Nie mógłby pan wykorzystać tej informacji i tego, co znalazł pan w dzienniku, jako materiału do jednego ze swoich programów telewizyjnych?

Mężczyzna potarł w zamyśleniu skronie.

– Proszę posłuchać, pani Celio – zaczął. – Mogę bez problemów powoływać się na dziwne relacje z gazet sprzed dziesięcioleci, jednak przesadziłbym, wplątując w to panią albo sprawy, o których napisał pani mąż. Ponieważ jego zaginięcie jest przedmiotem trwającego śledztwa policyjnego, ja też mógłbym napytać sobie biedy, gdybym zaczął wysuwać oskarżenia niepoparte żadnymi dowodami. – Znów zamyślił się na moment, wpatrzony w dziennik doktora. – Ale chciałbym jeszcze raz, tym razem dokładnie, przejrzeć zapiski i zastanowić się nad wszystkim. Mogę?

– Oczywiście, że tak. Muszę już wracać do pracy, mają dziś ciężki dzień.

Pani Burrows wstała z krzesła i podążyła do wyjścia. Przechodząc obok staruszka, pochyliła się nad jego stolikiem i zabrała mu ołówek. Złamała go na pół, wypełniając czytelnie głośnym trzaskiem, po czym rzuciła obie części na blat.

– Sam bądź cicho – powiedziała i wyszła.

– Co za bezczelność! – oburzył się głośno staruszek, Ben Wilbrahams zaś zasłonił się książką, by ukryć uśmiech.

Will z ojcem przeszukali każdy zakątek przystani. W jednym z betonowych budynków znaleźli łódź z włókna szklanego, w całkiem przyzwoitym stanie.

– Więc może jednak uda nam się dopiąć swego – stwierdził doktor, zacierając z zadowoleniem ręce.

Pogwizdywał głośno, kiedy przeszli przez całe nabrzeże i wrócili do budynku z panelem sterowniczym. Już w środku zerknęli przelotnie na wskaźniki, po czym ruszyli do podwójnych drzwi na końcu pomieszczenia.

Mężczyzna przyglądał im się przez chwilę.

– Zaryzykowałbym twierdzenie, że to drzwi pancerne powiedział w końcu.

– Drzwi pancerne? – powtórzył Will. – Ale po co...?

– Sprawdźmy, co jest po drugiej stronie, zgoda? – przerwał mu doktor.

– Zgoda – mruknął syn, zerkając na ojca z irytacją. – Zdaje się, że teraz moja kolej na otwieranie? – spytał, ujmując rękami wielkie koło.

– Proszę bardzo – odparł Burrows, dotykając najwyższego spośród trzech masywnych zawiasów. Przyglądał się w milczeniu, jak syn obraca koło, dopóki nie zatrzymało się z trzaskiem.

– Ciężkie – stwierdził chłopiec, gdy szarpnął za wielkie drzwi, a te nawet nie drgnęły.

– To drzwi pancerne – powtórzył doktor Burrows, jakby droczył się z synem. – Pomogę ci.

Pociągnęli razem, a ciężkie skrzydło zaczęło się powoli otwierać, skrzypiąc przy tym głośno.

Do pomieszczenia wtargnął ze świstem podmuch powietrza, jakby

ciśnienie po drugiej stronie było wyższe.

Ojciec i syn skinęli do siebie głowami i przeszli przez drzwi. Tuż za nimi czekała ich pierwsza niespodzianka: znaleźli się w szerokim, kopulastym korytarzu o wysokości około piętnastu metrów.

– Tunel metra? – mruknął do siebie Will.

Ściany korytarza wyłożone były warstwą ciężkich, prostokątnych płyt z grubego żelaza, połączonych potężnymi śrubami. Szczeliny między poszczególnymi płytami wypełnione były jakąś czarną substancją. Ze środka sufitu zwieszały się lampy zamontowane w równym szeregu, które wypełniały korytarz jednolitym, mocnym światłem. Po obu stronach tego rzędu ciągnęły się różne kable i rurki, od których odchodziły cieńsze odnogi połączone z kratami.

To właśnie przez te kraty napływało do korytarza świeże powietrze; Will czuł wyraźnie chłodny powiew, gdy stanął pod jedną z nich. Poza tym, gdyby nie wentylacja, powietrze za hermetycznie zamkniętymi drzwiami byłoby zastałe i stęchłe.

– Hm... linoleum – stwierdził doktor Burrows, patrząc na szarą, lśniąca podłogę. – Spójrz tylko... tu prawie w ogóle nie ma kurzu. – Przeszedł nieco dalej w głąb tunelu, po czym przystanął i zerknął na syna. – Wygląda na to, że teraz wychodzimy już poza obręb samej jaskini. – Odwrócił się i podniósł ręce, układając dłonie na zewnątrz, jakby chciał pokazać, gdzie powinna się znajdować ściana grotty. – Jaskinia jest zapewne tworem naturalnym, ale to zostało wydrążone w skalnym podłożu.

– Tak – zgodził się z nim Will. – Ciekaw jestem, co kryje się tam – dodał, wskazując na lewą ścianę tunelu, gdzie ciągnął się szereg małych kabin z metalowymi drzwiami.

Zajrzeli razem do pierwszej z nich. Do wysokości pasa ściany kabiny pomalowane były ciemnoszarą farbą olejną, powyżej zaś zwykłą, nieco już przybrudzoną farbą w kolorze kości słoniowej.

Pomieszczenie było całkiem puste.

Doktor Burrows z synem wyszli ponownie na korytarz.

– „Radiooperator” – chłopiec przeczytał głośno napis, który umieszczono na drzwiach następnego budynku.

Kiedy znaleźli się w środku, przekonali się, że po drugiej stronie drzwi wisi harmonogram dyżurów obejmujący kilka miesięcy, z nazwiskami przypisanymi do konkretnych dni i godzin. Sam pokój był mniej więcej dwa razy dłuższy od poprzedniego. Pod najdłuższą ścianą ciągnęła się szeroka ława zastawiona sprzętem elektronicznym różnego rodzaju. Z ciemnoszarych metalowych skrzynek, wyposażonych w mnóstwo wskaźników, wychodziły kable, które łączyły się pod ławą w jedną wiązkę i znikwały w otworze w podłodze.

– Co to jest? – spytał syn, wskazując na szklane kopułki wystające z niektórych skrzynek.

– Lampy elektronowe. To technologia z czasów, gdy jeszcze nie było tranzystorów – wyjaśnił ojciec. – A tutaj, dla dopełnienia obrazu, mamy także mikrofon – dodał, odsuwając na bok płócienne krzesło z metalową ramą i podnosząc gruby przedmiot leżący na ławie. Zważył go w dłoni, a potem sięgnął po słuchawki położone obok.

Tymczasem Will wziął do ręki jakiś skoroszyt i zaczął przerzucać laminowane kartki, wypełnione różnymi kombinacjami cyfr i liter.

– Może to jakieś kody? – zasugerował doktor Burrows.

Syna jednak bardziej interesował stary monitor telewizyjny umocowany na ścianie po lewej.

Chłopiec poruszał przełącznikami, monitor jednak nie działał.

– Co to znaczy? – spytał, »dojrzawszy napis „ROTOR” na mapie obok monitora.

Mapa przedstawiała Wyspy Brytyjskie, pokryte siatką kręgów zachodzących na siebie.

Burrows wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może to jakiś akronim?

– Nie... Jestem przekonany, że te litery coś oznaczają... odparł Will, nie dostrzegając przelotnego uśmiechu na twarzy ojca. – Telefony! – wykrzyknął, ujrawszy czerwone i czarne aparaty zamocowane na przeciwległej ścianie, obok starej centrali telefonicznej z mnóstwem luźno zwisających kabli. – Może spróbujemy do kogoś zadzwonić? – zaproponował.

– Szkoda czasu; jestem pewien, że nie działają już od lat odparł doktor. – Chodźmy dalej – roześmiał się i gestem nakłonił syna do wyjścia.

Następny budynek miał te same rozmiary, z tym że był prawdziwą skarbnicą sprzętu wojskowego.

– To zbrojownia! – stwierdził Burrows, gdy tylko weszli do środka.

Cała ściana zastawiona była drewnianymi półkami. Mężczyzna pochylił się i przyjrzał uważnie karabinowi na najbliższej z nich. Chociaż broń pokryta była grubą warstwą brudu i smaru, natychmiast ją rozpoznał.

– To sten – oświadczył, zdejmując go z półki. – Pistolet maszynowy używany w latach czterdziestych. Produkowano je w Enfield i nazywano koszmarem hydraulika. Sam chyba widzisz dlaczego. Wygląda paskudnie, prawda?

– Owszem – zgodził się z nim Will, lecz w jego głosie słychać było raczej nuty zachwytu niż potępienia.

Reszta pomieszczenia również wypełniona była sprzętem wojskowym, ułożonym starannie na półkach lub w metalowych skrzyniach, ustawionych jedna na drugiej pod ścianami. Każda skrzynia oznaczona była liczbami i literami, na niektórych widniały też nazwy opisujące zawartość.

Will z ciekawością otworzył kilka z owych metalowych pojemników. W pierwszym kryły się kolejne pistolety maszynowe,

owinięte natłuszczonymi szmatami, a także spory zapas magazynków. Chłopiec odwinął jeden z karabinów i podał go ojcu.

– To też sten. Są w świetnym stanie – stwierdził Burrows, startszy warstwę smaru z lśniącej lufy. – Jak nowe.

– Moglibyśmy wziąć kilka – zaproponował Will.

– Raczej nie – odrzekł doktor, spoglądając surowo na syna. – Odłóż to tam, skąd wzięłeś.

W następnej skrzyni znajdowały się równie dobrze utrzymane pistolety opatrzone nazwą „Browning” oraz nasiąknięte tłuszczem kartony z pociskami i magazynkami.

– Browning Hi-Power – stwierdził doktor Burrows, spoglądając na pistolety. – Zgadza się. Pochodzą z tych samych czasów co steny.

– „Moździerze dwucalowe” – Will przeczytał napisy na największych skrzyniach, stojących w rogu pomieszczenia.

Potem przeszedł do następnej sterty pojemników. Obok wąskich, podłużnych skrzynek z amunicją znajdowały się również nieco krótsze, w kształcie sześcianu. Will otworzył jedną z nich, zdjął warstwę materiału i ujrzał stertę granatów ręcznych, ułożonych jeden na drugim.

Gwizdnął, zdumiony, i sięgnął po jeden z nich, jednak ojciec powstrzymał go w ostatniej chwili.

– Nie rób tego – ostrzegł. – Lepiej się tym nie bawić.

– Dlaczego? – zdziwił się chłopiec.

– Wiem, że tutaj jest sucho, ale z czasem materiały wybuchowe stają się niestabilne. Nie wiadomo też, do kogo to wszystko należy, choć wygląda, że zostało porzucone już dawno temu.

– Ale kto by porzucił tyle broni? I dlaczego?

– Jeszcze nie wiem – westchnął doktor Burrows. – Lecz na pewno jest tego dość, by rozpocząć małą wojnę. – Potarł czoło i zostawił na nim brudne, tłuste smugi. – Widzisz ten symbol wyrysowany na

wszystkich skrzynkach? Strzałkę z linią powyżej?

Will skinął głową.

– To oznacza, że kiedyś należały do Ministerstwa Obrony Narodowej... albo do armii.

Być może jest to jakaś zapomniana baza rządowa, chociaż nie wykluczam, że mógł zbudować to również ktoś inny.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Kto taki? Doktor Zło (Doktor Zło – czarny charakter z filmów o Austinie Powersie (będących parodią serii o Jamesie Bondzie), karykaturalny przywódca światowej organizacji przestępczej. Gra go ten sam aktor, który odtwarza postać Powersa – Milie Myers.)?

Ojciec skrzywił się z irytacją.

– Bez żartów. Mówię o anarchistach, skrajnej lewicy albo skrajnej prawicy... co tylko zechcesz. – Zmarszczył brwi. – Ale tak czy inaczej, wygląda to bardzo profesjonalnie. Ktoś musiał poświęcić mnóstwo czasu i pieniędzy... – Wydął usta w zamyśleniu. – To znaczy...

sama budowa elektrowni wodnej na tej głębokości to niezwykle wyczyn. Cała ta instalacja, wszystko, co tu widzieliśmy, jest bardzo solidne, przygotowane na długie lata działania.

Skłonny jestem przypuszczać, że to...

– Tak? – dopytywał się niecierpliwe Will.

– ... schron wojskowy... schron atomowy, dokładniej rzecz biorąc... może z czasów zimnej wojny, z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

– Zimnej wojny? – powtórzył syn, marszcząc brwi.

– Tak... to działo się na długo przed twoimi narodzinami. To nie była prawdziwa wojna, tylko raczej polityczne przepychanki między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim, ale ludzie naprawdę się bali, że dojdzie do konfliktu atomowego, który zniszczy cały świat. Każdy kraj miał więc przygotowany plan na wypadek



wojny, do którego należało między innymi budowanie schronów... nawet tutaj, w Anglii.

Doktor Burrows odwrócił się i ruszył do wyjścia. Will szedł za nim, wciąż ściskając w dłoni pistolet browning HP. Tymczasem jego ojciec z zapalem rozwijał swoją teorię, paplając bez ustanku: – Jeśli to naprawdę jest schron atomowy, to powinien być samowystarczalny. Musi mieć własne źródło wody pitnej, a w pobliżu powinny znajdować się kwatery mieszkalne.

Will i doktor nie zaciekawili się pozostałymi kabinami, tylko od razu przeszli do drzwi na końcu sali. Gdy je otwierali, znów przywitał ich podmuch powietrza. We wnętrzu sąsiedniego pomieszczenia panowały ciemności, lecz mężczyzna odszukał po omacku rząd przełączników na ścianie i włączył je wszystkie naraz.

Pod sufitem zapłonęły szeregi lamp.

– Dobry Boże! – wykrzyknął doktor.

Choć sufit był tutaj niższy, samo pomieszczenie wydawało się ogromne. Wzdłuż ścian ciągnęły się długie rzędy piętrowych łóżek.

– Założę się, że można by tu zakwaterować co najmniej stu ludzi! – stwierdził Burrows.

Tymczasem chłopiec podbiegł do najbliższego łóżka i dotknął poduszki. Podobnie jak wszystkie pozostałe, i to zaścielone było białym prześcieradłem i grubymi, brązowymi kocami.

– Prawdziwe łóżko! – Odchylił głowę do tyłu i wydał z siebie radosny okrzyk, który odbił się echem od sufitu. – Prześpię się dzisiaj w prawdziwym łóżku!

Potem przebiegł między rzędami do szarych drzwi po drugiej stronie sali, oznaczonych kolejnymi liczbami.

– Prysznice! – krzyknął, zaglądnąwszy za pierwsze z nich. – Toalety! – dodał, otworzywszy drugie. – Chwilę później, minąwszy kilkoro kolejnych drzwi, wrzasnął radośnie: – Jedzenie!

Tutaj jest jedzenie! – Po czym znikł we wnętrzu tego pomieszczenia.

Doktor Burrows przestał rozglądać się dokoła i natychmiast dołączył do syna.

Znajdowali się w sali, w której stały rzędem piecyki i długi ruszt; przypominało to kuchnię, jaką można zobaczyć w dużej restauracji. Jednak tym, co natychmiast przyciągnęło uwagę Willa, była olbrzymia liczba puszek ustawionych na półkach i w szafkach.

Chłopiec chwycił pierwszą z brzegu. Nie było na niej żadnej etykiety, tylko napis wymalowany niebieskimi literami bezpośrednio na metalu.

– „Peklowana wołowina” – przeczytał. – Myślisz, że to będzie jeszcze dobre?

– Być może – odparł ojciec, biorąc od syna puszkę i wypatrując na niej śladów rdzy lub nieszczelności. – Will, poszukaj no otwieracza do puszek, dobrze?

# Rozdział dwudziesty drugi



– Uwaga! – krzyknął nagle Chester, wskazując na jakiś cień za Martą, która właśnie weszła do Wilczych Jaskiń, gdzie czekali na nią z Elliott.

Rozległo się ciche parsknięcie i z ciemności wyłonił się Bartleby. Człapał z nisko pochyloną głową, jakby zawstydzony swoim niedawnym zachowaniem.

– To ten cholerny kot! – stwierdził chłopiec z irytacją.

– Spokojnie – odparła kobieta, przyzywając zwierzę.

Bartleby usiadł u jej stóp i podniósł na nią wzrok.

– Nie mogłam zostawić go tam samego na łasce wilków i pajaków – wyjaśniła.

– Ale przecież on atakował Willa! Chciał się na niego rzucić! – parsknął Chester, podnosząc karabin. – Nie wiadomo, co znów mu strzeli do łba.

– To przez tę dziewczuchę Styksów – powiedziała spokojnie Elliott, odgryzając kolejny kawałek pajęczego mięsa.

– Co masz na myśli? – spytał Chester.

– Kiedy złapali Bartleby ego, zabrali go z powrotem do Kolonii, prawda?

– Owszem, tak mówił Will. Ale co z tego?

– Być może poddali go działaniu Ciemnego Światła – tłumaczyła dziewczyna. – Jeśli tak się stało, to Bart nie miał innego wyjścia, musiał robić to, co kazała mu Rebeka. Za pomocą Ciemnego Światła

Styksowie potrafią łamać umysły najsilniejszych nawet ludzi i czynić z nich swoich niewolników, a Bartleby jest przecież tylko zwierzęciem. Poza tym może nam się jeszcze przydać – dodała.

– Wychodzi na to, że to ja jestem tępym zwierzęciem mruknął Chester, opuszczając broń i przyglądając się nieufnie kotu. – Powinniśmy byli zrobić z niego burgery, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w okręcie.

Marta pogłaskała łysy łeb Bartleby'ego, wciąż poplamiony sokiem grzyba.

– Nie, Elliott ma rację. To Łowca. Jeszcze może nam się przydać.

Kiedy doktor Burrows wszedł do kabiny radiooperatora, Will siedział rozparty na płóciennym krześle, z nogami na pulpicie. Włożył widelec do puszki, którą trzymał w dłoni, nabił kilka kawałków ananasa i podniósł je do ust.

– Mmm... dobre. To się nazywa życie, prawda, tato? mruknął, przeżuwając.

– Nie przesadzaj z tymi owocami. Twój organizm nie jest do tego przyzwyczajony – ostrzegł go doktor.

Położył na pulpicie wojskową menażkę i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej kilka paczuszek zapakowanych w folię. Will natychmiast usiadł prosto, zaintrygowany.

– Przyniosłem ci trochę krakersów – powiedział ojciec.

– Świetnie. A co jest w tym? – spytał syn, wskazując na menażkę, nad którą unosiły się kłęby pary.

– Herbata – odparł. – Spróbuj.

– Kolor ma odpowiedni – ocenił chłopiec. Pociągnął łyk i skrzywił się z niesmakiem. – Blee... okropna! Strasznie słodka!

– To przez skondensowane mleko. Uwielbiałem je, kiedy byłem dzieckiem.

Polewaliśmy nim brzoskwinie...

Doktor Burrows usiadł na sąsiednim krześle i bawiąc się jednocześnie przełącznikami na pulpicie, zaczął snuć wspomnienia o jakiejś ciotce, której Will nigdy nie znał. Gdy rozwodził się właśnie nad stekiem i puddingiem, które ciotka robiła specjalnie dla niego, wcisnął guzik w rogu pulpitu. W tym samym momencie wielki wskaźnik na środku tarczy zapłonął żółtym światłem. Tuż potem pomarańczowym blaskiem rozżarzyło się także kilka lamp na górze panelu. Z małego głośnika zamontowanego wysoko na ścianie wydobyły się trzaski, które po chwili ustąpiły miejsca szumowi, na przemian słabnącemu i przybierającemu na sile.

Przypominało to szum morskich fal. Doktor umilkł.

– Bogu dzięki – mruknął chłopiec, szczęśliwy, że ojciec wreszcie przestał opowiadać o swojej młodości.

– Och, tak, to może być nasz zbawca – odrzekł z powagą mężczyzna, opacznie zrozumiałwszy uwagę syna.

Sięgnął do tablicy i zaczął obracać największe pokrętło. Nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów prócz kolejnej fali szumów i trzasków, więc Burrows zaprzestał prób i pokiwał głową.

– Niektóre lampy pewnie nie działają – stwierdził, wskazując na żarówki, które nie świeciły się na pomarańczowo.

– Może spróbujemy to naprawić? – zaproponował Will.

– Chyba widziałem kilka zapasowych lamp w jednym z magazynów, ale nie mam pojęcia, od czego powinienem zacząć. To przerasta moje możliwości – mruknął ojciec, jakby zły na samego siebie. Westchnął ciężko, opadł na krzesło i odruchowo zaczął bawić się paczką krakersów. – Poza tym nie mam zielonego pojęcia, co oznaczają wszystkie te wskaźniki ani też jak właściwie działa to urządzenie dodał z żalem. Podniósł się z krzesła i cmoknął głośno. – Być może się okaże, że to tylko strata czasu, ale skoro już tutaj siedzisz, Will, to mógłbyś sprawdzić wszystkie częstotliwości. Ten

sprzęt służył pewnie do komunikacji w obrębie przystani, a ponieważ nie ma tutaj nikogo prócz nas... – nawet nie dokończył zdania, tylko wzruszywszy ramionami, wyszedł z pokoju radiooperatora.

Chłopiec przysunął się bliżej do panelu sterowania i zaczął powoli obracać pokrętłem, wypróbując też różne ustawienia przełączników. Jednocześnie mówił nieustannie do telefonu: „Halo, halo, jest tam kto?”, choć i tak zapewne nikt by go nie zrozumiał, ponieważ wciąż opychał się ananasem z puszki.

Po jakimś czasie, gdy z głośnika nadal wydobywały się tylko trzaski i szumy, a do tego skończył się ananas, chłopiec dał za wygraną.

– Nie – powiedział sam do siebie, bardzo rozczarowany. – To rzeczywiście strata czasu.

Rozerwał paczkę krakersów i pogryzając jeden z nich, rozglądał się powoli po kabinie. Jego spojrzenie padło na parę telefonów zawieszonych na ścianie. Wstał, podniósł słuchawkę czerwonego aparatu i przyłożył ją do ucha, by sprawdzić, czy przypadkiem nie usłyszy sygnału. W słuchawce panowała cisza, więc wybrał kilka numerów na chybił trafił, ciekaw, czy to cokolwiek zmieni.

– Gorąca linia nie działa – mruknął, nie usłyszawszy niczego, i odwiesił słuchawkę.

Zachichotał pod nosem, gdy sięgnął do drugiego, czarnego telefonu i zaczął wybierać numer do swojego domu w Highfield. Wsuwał palce w kolejne otwory i przeciągał obrotową tarczę.

– Jak ludzie mieli do tego cierpliwość? – zrzędził, czekając, aż tarcza wróci na miejsce, co umożliwi wykręcenie następnej cyfry.

Pomyślał, jak zdziwiliby się oboje, gdyby jego matka odebrała telefon. Byłaby to naprawdę niezwykła rozmowa.

Zamknął oczy i spróbował ją sobie wyobrazić.

Klik!

Cześć, mamó, tu Will.

Byłaby na pewno wściekła na niego i na ojca.

Gdzie wyście się podziewali tyle czasu, na miłość boską?! Nie macie pojęcia, przez co ja tu przeszłam! Samolubni smarkacze... WRACAĆ MI TU NATYCHMIAST DO DOMU! – wrzasnęłaby na cały głos.

Ee... mamó, to nie będzie takie proste. W tej chwili jesteśmy tysiące mil pod powierzchnią, w jakimś... tajnym obiekcie rządowym...

Will przerwał nagle tę wyimaginowaną rozmowę, ponieważ w słuchawce nadal panowała cisza.

– Nikogo nie ma w domu, nikogo nie ma w domu – mruknął i miał już odłożyć słuchawkę, jednak w ostatniej chwili postanowił spróbować raz jeszcze.

Przypomniał sobie numer telefonu komórkowego pani Burrows, choć wiedział, że matka rzadko włącza swój aparat. Kiedy skończył wykręcać numer, przyłożył słuchawkę do ucha.

Omam nie podskoczył ze strachu, gdy w głośniku rozległ się nagle mocny szum.

Celia Burrows siedziała w kancelarii prawniczej i pisała na maszynie. Miała słuchawki na uszach – odtwarzała nagrania z dyktafonu, przepisując list od jednego z partnerów kancelarii.

List dotyczył pewnej pary, która była w trakcie rozwodu i walczyła ze sobą o prawo do opieki nad pięcioletnią córką. Kiedy kobieta wyobrażała sobie, ile cierpień i łez kryje się za tym suchym prawniczym językiem, ogarniało ją przygnębienie.

Nagle usłyszała dzwonek swojego telefonu komórkowego. Zdjęła szybko słuchawki i sięgnęła po torbę. Telefon wciąż dzwonił, gdy go wyjęła. Nacisnęła odpowiedni guzik, przyłożyła aparat do ucha i usłyszała głośne trzaski.

– Halo? – powiedziała, lecz w tym momencie połączenie zostało przerwane. Spojrzała na numer dzwoniącego. Nie знаła go, z pewnością nie był to londyński numer. – Jakiś cholerny akwizytor... – mruknęła.

Wsunęła komórkę do torebki i wróciła do pracy.

Gdy szum w słuchawce przybrał nagle na sile, Will odsunął ją od ucha i zakończył połączenie.

– Co ja robię, u diabła? – spytał samego siebie, lecz mimo to postanowił spróbować jeszcze raz.

Usiłował przypomnieć sobie jakiś numer, ale w głowie miał całkowitą pustkę. Nie znał numeru do rodziców Chestera ani do ciotki Jean, pomyślał więc, że w ostateczności mógłby wykręcić któryś z numerów ratunkowych, na przykład 999. Wtedy przypomniał sobie liczby, które powtarzała nieprzytomna Elliott. Znał całą sekwencję na pamięć, więc nie namyślając się, sięgnął do tarczy i wybrał numer. I znów nie uzyskał żadnego połączenia – tym razem w słuchawce panowała całkowita cisza, więc powiedział tylko: – Mówi Will Burrows. Dzwonię z wnętrza Ziemi. Wkrótce do was wrócę. Dziękuję i do widzenia!

Odwiesił słuchawkę z trzaskiem i pogryzając krakersa, poszedł zobaczyć, co robi ojciec.

– Nie wiem, jak możesz pić to świństwo – stwierdził, stanąwszy obok taty.

Doktor Burrows popijał herbatę z manierki i pochylał się nad stołem, który ustawił w kwaterze sypialnej. Obok jego krzesła leżała sterta segregatorów, pudeł i luźnych kartek najwyraźniej zgromadził wszystkie dokumenty, które wydały mu się ciekawe, a teraz je przeglądał.

Niemal cały blat stołu zakrywał wielki plan, wykonany z szarego papieru, upstrzonego tu i ówdzie kolorowymi plamami. Kiedy



mężczyzna wypił herbatę i odstawił menażkę, uwagę Willa przyciągnął obszar w pobliżu naczynia. Odróżniał się od reszty mapy, ponieważ był wyjątkowo ciemny. Gdy chłopiec przyjrzał się tej ciemnej plamie, zrozumiał, że przedstawia ona przystań i cały kompleks, w którym przebywali. Od zaznaczonej przystani odchodziły wąska, niebieska wstążka rzeki oraz małe, żółte linie opatrzone czerwonymi trójkącikami. Will pomyślał, że są to zapewne znaczniki odległości, podobne do tych, które widzieli na ścianach i które doprowadziły ich do tego miejsca.

– Coś ciekawego? – spytał, pochylając się nad planem.

– Nie bardzo – odparł ojciec z roztargnieniem. – Domyślam się tylko, że szukali w tym rejonie źródeł wody pitnej.

W tym właśnie momencie syn dostrzegł małe kamienne tabliczki w brudnej chusteczce i natychmiast się nimi zainteresował, wcześniej bowiem nie miał okazji dobrze im się przyjrzeć.

– Mogę je obejrzeć? – spytał.

– Tylko ich nie upuść – mruknął doktor, pochłonięty zapisywaniem czegoś na kartce.

Chłopiec wziął do ręki jedną z tabliczek.

– O kurczę, mówiłeś, że te litery są małe, ale nie sądziłem, że aż tak! – zawołał, wpatrując się w maleńkie, misterne napisy i rysunki wyryte w kamieniu.

– Całymi godzinami ślęczę nad tymi napisami, ale nic z tego nie wynika. Po prostu nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać – westchnął z rezygnacją doktor Burrows i usiadł prosto. – Pamiętam kilka słów, ale to ciągle za mało. Potrzebuję pomocy kogoś, kto zna się na szyfrach i potrafi je łamać.

– Chcesz, żebym spróbował? – zaofiarował się syn.

– Nie, to zbyt skomplikowane – odparł ojciec. – Traciłbyś tylko czas.

– Jak myślisz, dokąd właściwie prowadzi ta trasa? – spytał Will, biorąc do ręki drugą tabliczkę i porównując ją z pierwszą.

Doktor przewrócił kartkę w notatniku i narysował coś szybko na nowej stronie. Później obrócił zeszyt tak, żeby chłopiec mógł zobaczyć rysunek. Przedstawiał on krąg i małe postacie maszerujące od wewnątrz po obwodzie. Pośrodku kręgu znajdowało się stylizowane słońce o licznych, poszarpanych promieniach.

– Popatrz, tak wyglądało malowidło ściennie, które odkryłem w pewnej starożytnej świątyni w Głębi. Przedstawia świat w świetle – wyjaśnił, po czym westchnął ciężko.

– Tak, widziałem już ten rysunek – skinął głową Will.

– Co?! – wrzasnął Burrows i zerwał się na równe nogi, przewracając przy tym krzesło.

– Mówiłem ci już, tato. Znaleźliśmy przy Czeluści trochę kartek z twojego notatnika – tłumaczył chłopiec.

– Tak, ale ja myślałem, że były całkowicie nieczytelne. Zniszczone przez wodę!

Syn wydawał się kompletnie zaskoczony.

– Nic takiego nie powiedziałem. Niektóre były naderwane, a inne trochę przemoczone, ale większość wyglądała dość przyzwoicie. W każdym razie dało się je czytać.

Ojciec zachwiał się lekko, jakby ktoś uderzył go w głowę. Chciał usiąść, w porę jednak się zorientował, że krzesła nie ma tam, gdzie powinno stać. Podniósł je ze złością i postawił, potem usiadł przy blacie i zaczął coś rysować w szalonym tempie. Gdy skończył, pokazał Willowi wypełnioną stronicę.

– Czy był tam taki rysunek? Rysunek kamiennej tablicy?

Will przyjrzał się uważnie obrazkowi złożonemu z trzech części wypełnionych jakimś tekstem. Litery wypisane przez doktora Burrowsa przypominały zgniecione komary.

– Tak, z pewnością widziałem i tę stronę; tekst złożony z trzech części – skinął głową.

– A gdzie teraz jest mój notatnik? – dopytywał się ojciec.

– Zostawiłem go w bezpiecznym miejscu, w domu Marty.

– W domu Marty – powtórzył powoli doktor, podkreślając każde słowo.

Po wielu miesiącach życia pod ziemią jego twarz była bardzo blada, ale chłopcu wydawało się, że teraz odpłynęła z niej cała krew.

– Dlaczego pytasz? Czy to ważne? – spytał niepewnie.

– Potrzebuję tej strony, strony z kamieniem doktora Burrowsa, by przetłumaczyć tekst z tabliczek. Tak, to ważne.

Will zmarszczył brwi, słysząc określenie kamień doktora Burrowsa, i zerknął ukradkiem na tatę, by sprawdzić, czy ten mówi poważnie. Potem ponownie sięgnął do płytek zawiniętych w brudną chusteczkę.

– Kamień Burrowsa jest jak kamień z Rosetty<sup>14</sup> – wyjaśnił ojciec. – Znajduje się na nim jeden tekst w trzech językach, w tym po fenicku. Dzięki temu mogę odczytać informacje zapisane w dwóch pozostałych językach, których prawdopodobnie nigdy nie znano na powierzchni. Gdybym miał ten kamień, mógłbym przetłumaczyć napisy na tabliczkach i... – umilkł nagle.

– I...? – powiedział Will, wodząc wzrokiem od jednej płytki do drugiej.

– I myślę, że to może być mapa pokazująca drogę do wewnętrznego świata, w który wierzyła ta starożytna cywilizacja: do Ogrodu Drugiego Słońca.

– Drugiego Słońca.... – powtórzył syn w roztargnieniu.

Ta mało entuzjastyczna reakcja chłopca zaskoczyła nieco doktora Burrowsa, ale Will był w tym momencie pochłonięty czym innym. Przesuwał tabliczki po blacie, wybierając kolejne z brudnej chusteczki, aż ułożył obok siebie wszystkie – oprócz tej, którą badał

tata.

– Mogę zabrać ją na chwilę? – zwrócił się do ojca, wskazując na tabliczkę w jego dłoni.

14 Zabytek piśmiennictwa staroegipskiego: kamienna płyta, na której wyryty został tekst dwujęzyczny w trzech wersjach, po egipsku pismem hieroglificznym i demotycznym oraz po grecku. Dzięki odkryciu tego kamienia stało się możliwe odszyfrowanie egipskich hieroglifów.

Doktor podał mu kamienną płytkę, a Will przyjrzał się badawczo jej krawędziom, po czym położył ją na blacie, obok innych.

– Domino – stwierdził. – Te tabliczki są jak kostki domina. Krawędzie są już trochę starte, ale wciąż widać na nich nacięcia. Spójrz – powiedział, pokazując tacie jedną z płytek. – Tutaj są trzy nacięcia, więc będzie pasowała do takiej, która również ma trzy nacięcia. – Odłożył tabliczkę na miejsce i się wyprostował.

– Geniusz! – krzyknął doktor Burrows w uniesieniu, potem jednak znów się przygarbił. – Więc teraz już wiem, jak je ułożyć, ale to i tak niczego nie zmienia. Wciąż potrzebuję mojego kamienia, by odczytać tekst. Musimy też wiedzieć, gdzie zaczyna się ta trasa.

Will podniósł rękę.

– Jeszcze nie skończyłem. Poczekaj tutaj! – zawołał i popędził do pryczy, na której zostawił plecak.

– Hm... raczej nigdzie się nie wybieram – stwierdził doktor z rozbawieniem.

Chłopiec wrócił biegiem, niosąc coś w dłoni. Nim jednak pokazał to ojcu, zwrócił jego uwagę na pierwszą z tabliczek w ułożonym szeregu.

– Spójrz, tato... Widzisz ten znak... o tutaj? – Wskazał na symbol trójzębu wyryty w górnym lewym rogu płytki.

– Jasne. – Doktor Burrows wzruszył ramionami, jakby nie widział

w tym nic szczególnego. – W Głębi natknąłem się na ten symbol już kilka razy – dodał, a syn tymczasem zaczął przeglądać plik fotografii, które znalazła na statku Rebeka Pierwsza.

– Te zdjęcia należały do marynarza z okrętu podwodnego. Spójrz tylko na ostatnie. – Will położył je na blacie, przed ojcem. – Ten sam symbol – oświadczył. – Marynarz musiał zrobić to zdjęcie gdzieś w pobliżu okrętu, na tyle blisko, że nie porwały go bielaki.

– No nie, nie! – krzyknął doktor. – Więc przez cały czas mogłem być we właściwym miejscu, a nie miałem o tym zielonego pojęcia!

– Więc... więc musimy tam iść, natychmiast! – zawołał Will, zarażając się entuzjazmem ojca.

Jednak mężczyzna pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie, synu, nie możemy.

– Dlaczego nie? – zdziwił się chłopiec.

– Ponieważ musimy znaleźć drogę powrotną do Górnoziemia, z której potem będziemy mogli skorzystać. Bo nie chcę, żebyśmy w razie jakiegoś wypadku znów byli odcięci od cywilizacji. Jeśli uda nam się przepłynąć w górę rzeki, wrócimy tu bez problemu. Pozwolimy po prostu, żeby rzeka niosła nas z prądem. – Doktor miał jeszcze coś powiedzieć, sapnął jednak tylko i potarł czoło. Kiedy wreszcie odezwał się ponownie, zniżył głos niemal do szeptu: – Muszę też sprawdzić, co się dzieje z twoją mamą. Pewnie umiera ze zmartwienia, w końcu zaginałem nie tylko ja, lecz także ty i Rebeka. Mama została zupełnie sama.

Burrows unikał wzroku syna, co natychmiast wzbudziło jego podejrzenia. Ojciec nigdy nie troszczył się szczególnie o swoją żonę, dlatego ten nagły niepokój mocno dziwił chłopca.

– Poza tym – dodał szybko doktor, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy – pomyślałem, że powinieneś przekazać komuś na powierzchni ten wirus. Mówiłeś, że to bardzo ważne, prawda?

– Tak mi się wydaje – westchnął Will, brutalnie ściągnięty na ziemię.

Perspektywa nowych przygód w towarzystwie ojca oczarowała go do tego stopnia, że zupełnie zapomniał o spisku Styksów. Sprzeczne emocje musiały malować się wyraźnie na jego twarzy, ponieważ zaniepokojony doktor zapytał: – O co chodzi?

– Nic takiego... Tyle że być może to nie jest Dominium odparł syn.  
– Być może zmarnuję tylko czas.

– Dlaczego tak uważasz?

Chłopiec jeszcze mocniej ściągnął brwi.

– Bo niemal wszystko, co Rebeki zrobiły lub powiedziały, okazało się kłamstwem. I wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego Rebeka Pierwsza dała mi te próbki. Jeszcze dziwniejsze było to, że Rebeka Druga o tym wiedziała. Pamiętasz, jak poprosiła mnie o nie przy okręcie podwodnym?

Burrows zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Wydawało się, że bardzo im zależy na odzyskaniu tych fiolek, więc może to jednak prawdziwy wirus? A jeśli rzeczywiście uważasz, że jest tak bardzo niebezpieczny, to musisz go oddać odpowiednim władzom i pozwolić, by się nim zajęły.

Will skinął głową, zrezygnowany. Ojciec miał całkowitą rację. Jeśli istniało choćby najmniejsze prawdopodobieństwo, że substancja w fiolce to wirus Dominium, jego obowiązkiem było przekazanie go w odpowiednie ręce, dzięki czemu spisek Styksów zostałby zdławiony w zarodku, a życie na powierzchni nie byłoby zagrożone.

– W porządku... Ale kiedy już dostaniemy się do Górnoziemia i zrobię, co należy z tymi fiolkami, wrócę tu z tobą, prawda? Chcę pomóc ci doprowadzić tę sprawę do końca mówił chłopiec z lekkim drżeniem w głosie.

– Oczywiście, oczywiście – odparł doktor Burrows, wciąż unikając

wzroku syna. Potem pochylił się i podniósł czarny folder leżący u jego stóp. – Ale w tej chwili mam dla ciebie inne zadanie.

Will wziął od niego gruby plik i spojrzał na popękaną, plastikową okładkę. Zobaczył tam jedynie zbiór liter i liczb, zajrzał więc do środka.

– Co to jest? – spytał, znalazłszy schemat jakiejś skomplikowanej maszyny. Zaraz też wrócił do pierwszej strony i przeczytał: – „Instrukcja obsługi silnika przyczepnego”? Chcesz, żebym to przejrzał?

– Wiesz, że wszelkie mechanizmy to dla mnie zagadka. Może spróbowałbyś się przez to przegryźć, podczas gdy ja przygotuję łódź. Jeśli to niewłaściwa instrukcja, możesz poszukać innych w bibliotece w magazynie dwadzieścia trzy. Leżą obok powieści Alistaira MacLeana... i instrukcji obsługi różnych rodzajów broni.

Ta ostatnia informacja wzbudziła żywe zainteresowanie Willa, więc ochoczo zapewnił: – Już się robi.

Przez następnych czterdzieści osiem godzin Will zgłębiał tajniki budowy i działania silnika przyczepnego. Od czasu do czasu wychodził na nabrzeże, by skonfrontować teorię z rzeczywistą maszyną, którą wcześniej wyciągnął z ojcem z magazynu. W wolnych chwilach w tajemnicy przed tatą wymykał się do zbrojowni, gdzie zapoznawał się z obsługą różnego rodzaju pistoletów i karabinów, które rozkładał i składał na kocu ułożonym w jednym z bocznych pomieszczeń schronu.

W tym samym czasie doktor Burrows realizował swoją część planu. Za pomocą przerdzewiałej przyczepy wyciągnął łódź z włókna szklanego na nabrzeże, a potem spuścił ją na wodę. Upewniwszy się, że jest mocno przywiązana do pomostu, zaczął załadowywać ją jedzeniem i kocami. Właśnie wracał do magazynu, gdy zderzył się w drzwiach z Willem.

– Jest ciepła woda – poinformował chłopiec.

Miał mokre włosy, a jego szczupła twarz po raz pierwszy od długiego czasu była naprawdę czysta. Will znalazł też świeże ubrania: oliwkową koszulę i dopasowane kolorem spodnie.

Ojciec otworzył usta ze zdumienia.

– Ubrania znajdziesz w magazynie numer trzydzieści jeden, a prysznic w dwadzieścia siedem. Zostawiłem ci tam mydło i szampon – poinstruował go beznamietnym tonem syn, zmierzając do wyjścia.

Kiedy doktor Burrows odprowadzał chłopca zdziwionym spojrzeniem, dostrzegł browninga wetkniętego w tylną kieszeń jego spodni.

– Mówiłem ci, żebyś nie...

– Nie jest nabity – rzucił przez ramię Will.

Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku ojca, uśmiechnął się do siebie i podrzucił pudełko z nabojami. Wiedział, że gdy tata znajdzie się w schronie, nie usłyszy żadnych strzałów.

– Ćwiczenie czyni mistrza – mruknął do siebie Will.

Nazajutrz przenieśli silnik do łodzi. Will zdołał przymocować go do rufy kilkoma grubymi śrubami. Uruchomienie maszyny okazało się jednak znacznie trudniejsze. Silnik zapalał na kilka sekund, po czym krztusił się i gasł. Chłopiec pociągał za linkę rozruchową tyle razy, że w końcu opadł z sił, a ojciec musiał go zastąpić. Spoceni i brudni od smaru, w końcu dopięli swego: przy którejś z kolei próbie silnik nie zgasł, lecz pracował nierówno przez kilka minut, wypływając kłęby czarnego dymu. Po jakimś czasie przestał wreszcie strzelać i prychać, a jego obroty się wyrównały. Doktor Burrows pokazał Willowi podniesione kciuki i roześmiał się głośno. Chłopiec przechylił silnik tak, by śruba dotykała tylko powierzchni wody, po czym zwiększył obroty. Zza rufy łodzi wystrzeliła w górę prawdziwa fontanna.

– Zadanie wykonane – oświadczył z dumą Will, gdy wyłączył



maszynę, a ostatnie echa głośnego terkotu ucichły w głębi jaskini.

– Wspaniale! – pogratulował mu ojciec. – Przypomnij mi, żebym zabrał trochę zapasowego paliwa, nim wyruszymy.

Kiedy już obaj wygramolili się z łodzi na brzeg, doktor spojrzął na syna.

– Tworzymy niezły team – powiedział, klepiąc go po ramieniu, po czym zgodnie ruszyli w stronę przygotowanych łózek.

Kiedy już porządnie się wyspali i zjedli śniadanie, poszli na pomost, do którego przycumowali łódź.

– Fajna kurtka, tato – stwierdził Will, podziwiając starą budrysówkę, którą ojciec wybrał sobie z magazynu. Kurtka z kapturem i przetyczkami z przodu wykonana była z grubego, wytrzymałego materiału w płowym kolorze.

– To klasyczny montgomery, uszyty z grubej wełny. Mój tata miał taki sam, kupił go z demobilu. Pamiętam, jak go nosił, gdy jeszcze byłem dzieckiem – westchnął z rozrzewnieniem doktor Burrows.

Gdy już skończył podziwiać swoją nową kurtkę, podniósł wzrok i zobaczył dwie wielkie torby podróżne w kolorze khaki, które niósł jego syn.

– Zapakowałeś wszystko, co trzeba?

– Wziąłem śpiwory i parę innych rzeczy, które mogą nam się przydać – odparł natychmiast Will, robiąc wszystko, by ojciec nie zauważył, jak ciężkie są torby.

– Myślę, że powinniśmy mieć trochę dodatkowego balastu, na wypadek gdyby nurt był niespokojny – pokiwał głową doktor.

Will zerknął w dół, na kieszeń koszuli, którą wziął sobie z magazynu.

– Jedyne, co mnie martwi, to fiolki z Dominium. Nie możemy ich stracić. W żadnym wypadku.

Przeszli nieco dalej wzdłuż nabrzeża, po czym chłopiec odezwał się

znowu: – Tato, wiesz, że fiołki to jedyny powód, dla którego płynę z tobą. Inaczej właśnie szedłbym do Chestera i Elliott. I na pewno wrócę do nich, gdy tylko przekażę komuś te próbki.

Doktor Burrows zatrzymał się raptownie.

– Will, powiedziałeś mi to już bardzo wyraźnie. Nie sądzisz chyba, że ja zamierzam zostać sam na górze, prawda? Ledwie prześlizgnąłem się po powierzchni tego, co się tutaj kryje. – Pokręcił głową. – Nie, ja też muszę wrócić na dół, żeby dokończyć to, co zacząłem. – Kiedy dochodzili już do pomostu, mruknął jeszcze pod nosem: – Jeśli w ogóle uda nam się dotrzeć do domu.

Po tym, jak wrzucili bagaże do łodzi, mężczyzna odwrócił się do syna.

– Byłbym zapomniał... – wyciągnął z kieszeni kurtki dwie czarne wełniane czapki. – Będzie nam ciepiej.

– Dobry pomysł, tato – odparł chłopiec, wkładając czapkę i uśmiechając się szeroko.

W czapce naciągniętej na oczy i z siwą, potarganą brodą doktor Burrows wyglądał jak prawdziwy wilk morski.

– W drogę! – zawołał mężczyzna, gdy Will w końcu uruchomił silnik.

Odbili od brzegu i kilkakrotnie okrążyli podziemne jezioro. Kiedy chłopiec nabrał wprawy w sterowaniu łodzią, zrobił to, co zasugerował ojciec: rozpędził się i przepłynął pod betonowym łukiem prosto na środek rzeki. Pomysł okazał się wielce trafny – trzeba było zwiększyć obroty niemal do maksimum, by pokonać rwący nurt rzeki.

Gdy już wypłynęli z oświetlonej części tunelu, doktor wziął do ręki lampę i zajął miejsce na dziobie łodzi, by oświetlać drogę. Pełnił też funkcję pilota, ostrzegając syna zawczasu o skałach wystających z wody lub o ostrych zakolach przed nimi.

Podróż pod prąd rzeki była trudniejsza, niż Will się spodziewał.

Rozcinana dziobem woda raz po raz opadała lodowato zimnymi bryzgami na ojca i syna. Chłopiec gratulował sobie w duchu przezorności, dzięki której włożył kilka dodatkowych warstw ubrań.

Rzeka ciągnęła się bez końca, wiała kilometr za kilometrem przez wnętrze Ziemi. Jedynym świadectwem obecności człowieka w tym miejscu były wielkie białe koła wymalowane na ścianach. Symbole te pełniły funkcję znaczników, pokazywały, którą odnogę należy wybrać, kiedy rzeka się rozgałęzia. Doktor Burrows wypatrywał owych znaków, podczas gdy Will kierował łódź w górę rzeki, wciąż w górę, do samego źródła.

Kiedy syn był już tak zmęczony, że nie mógł dłużej obsługiwać silnika, ojciec zamienił się z nim na miejsca. Will chętnie by się przespał, jednak nie mógł sobie na to pozwolić, ponieważ ktoś musiał oświetlać wodę przed łodzią inaczej płynęliby całkiem na oślep. Choć na dziobie nie było wcale cieplej niż na rufie, chłopiec przynajmniej dał trochę odpocząć zmęczonym rękom.

Podróżnicy płynęli bez przerwy, nie mogli bowiem znaleźć miejsca, w którym zdołaliby schronić się przed rwącym nurtem. Minał co najmniej cały dzień – doktor Burrows kilkakrotnie uzupełniał w tym czasie paliwo w baku silnika gdy Will zauważył nieco inny znak: białe koło z czarnym kwadratem w środku. Gestem nakazał ojcu, by sterował w tym kierunku. Kiedy minęli kilka podobnych znaków, zauważyli, że kanał znacznie się poszerzył – oba brzegi dzieliła teraz odległość co najmniej stu metrów – dzięki czemu prąd nieco osłabł, a sterowanie stało się łatwiejsze.

Po jakimś czasie dostrzegli w oddali niewyraźną, białą plamę. Doktor bez słowa skierował łódź w tamtą stronę. Okazało się, że jest to metalowa boja, niegdyś pomalowana na biało, a teraz w dużej mierze przeżarta rdzą. Nieco dalej znajdował się pomost wychodzący daleko w rzekę, za nim zaś mała przystań. Mężczyzna podpłynął do

nabrzeża i wyłączył silnik, pozwalając, by woda sama poniosła łódź.

– Mam! – krzyknął Will, pochwyciwszy metalowy reling, i zatrzymał łódkę.

Kiedy przywiązał starannie cumę, obaj wygramolili się na pomost.

– Jak dobrze znów być na łądzie – westchnął ojciec i przytupnął kilka razy, uradowany, że wreszcie znów czuje pod stopami stały grunt.

Zdjął wełnianą czapkę i wykręcił ją z wody, podczas gdy Will poszedł obejrzeć przystań.

Okazało się, że jest kilka razy mniejsza od tej, z której wypłynęli, wrócił więc już po kilku minutach.

– Nic ciekawego, tato. Tylko kilka zbiorników z paliwem i jakiś mały budynek z telefonem.

– Tak też myślałem – skinął głową mężczyzna. – To prawdopodobnie tylko coś w rodzaju stacji benzynowej. I bardzo dobrze, bo zużyliśmy już sporo paliwa. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy wystarczy nam go na dopłynięcie na samą górę.

– W takim razie lepiej sprawdźmy, czy w tych zbiornikach w ogóle jest jakieś paliwo – stwierdził Will i ruszył ponownie w głąb przystani. Ledwie uszedł kilka kroków, zatrzymał się jednak i odwrócił. – Tato, jesteśmy już prawie na miejscu, tak?

Doktor zachichotał i poruszał palcem w uchu, próbując opróżnić je z wody.

– Zadawałeś mi to samo pytanie, kiedy jeździliśmy samochodem na nasze wspólne wykopaliska. Nie mogłeś się doczekać, kiedy wreszcie dojedziemy na miejsce. Pamiętasz?

Chłopiec uśmiechnął się lekko.

– No więc jak, jesteśmy już prawie na miejscu?

– Trudno powiedzieć, ale moim zdaniem przepłynęliśmy około jednej czwartej drogi – odparł Burrows. – Może mniej. – Pomachał

rękami, a potem podskoczył kilka razy.

– Co ty robisz? – spytał Will, zaintrygowany.

– Zauważyłeś, że wszystkie ruchy są teraz jakby spowolnione? – Wziął do ręki torbę, którą zabrał ze sobą z łodzi, i podniósł ją powoli.

– Nawet bagaż wydaje się cięższy. Nim dotrzemy do powierzchni, będziemy się czuć tak, jakbyśmy byli z ołowiu.

– Wracamy do pełnej grawitacji. Nie pomyślałem o tym westchnął syn. – Utracimy naszą nadnaturalną moc.

Urządzili obóz w pustym budynku. Rozpalili ogień w maszynie benzynowej, by się ogrzać i wysuszyć przemoczone ubrania. Potem zjedli ciepły posiłek, wsunęli się do śpiworów i natychmiast zapadli w głęboki sen.

Will obudził się, gdy ojciec przesunął mu przed nosem menażkę z jakimś gorącym, parującym płynem.

– Brrr! Nie chcę tej twojej herbaty – jęknął. – Nie mógłbym się przespać jeszcze chociaż z godzinę? Padam ze zmęczenia.

– Wstawaj, leniu. Czas ruszać w drogę – odparł doktor, podnosząc się z kucek.

Pomimo protestów chłopca zwinęli obóz, wsiedli do łodzi i popłynęli w górę rzeki. Po drodze napotkali jeszcze kilka podobnych stacji benzynowych, aż wreszcie, półtora dnia później, zatrzymali się w znacznie większej przystani.

– Myślę, że wreszcie jesteśmy na miejscu! – krzyknął doktor Burrows od steru.

## Rozdział dwudziesty trzeci



Mężczyzna otworzył drzwi swojego domu na przedmieściach Cardiff i wszedł do środka.

Wewnątrz panowały całkowite ciemności, jednak nie zapalał światła. Odłożył parasol na stół w przedpokoju i przeszedł do kuchni. Sięgnął po czajnik elektryczny, sprawdził, czy jest pełny, a potem go włączył. Wydawało się, że przez cały czas patrzy na czerwoną kontrolkę u podstawy urządzenia, czekając, aż wrząca woda w jego wnętrzu zacznie głośno bulgotać. Po chwili podniósł głowę, sięgnął w górę, do szafki, i wyjął z niej kubek.

– Sam – odezwał się Drake w ciemności.

Mężczyzna zachłysnął się ze zdumienia i aż wypuścił z dłoni kubek, który spadł na podłogę i rozbił się na drobne kawałki.

– O kurde... Drake! To ty, Drake?!

– Cześć, Sam! Przepraszam, że cię tak wystraszyłem, ale skoro nie zapaliłeś światła...

– Myślałem, że ty nie żyjesz – przerwał mu mężczyzna, a w jego głosie pojawiły się gniewne nuty. – Co tu robisz?! Nie powinienes się do mnie zbliżać. Mogą nas obserwować.

– Spokojnie, wszystko sprawdziłem. Jesteśmy bezpieczni.

– Nigdy nie jesteśmy bezpieczni – warknął Sam.

– Zawsze byłeś trochę strachliwy – stwierdził Drake, kręcąc przy tym głową. – Jak tam rodzina?

– Nie wiem; ty mi to powiedz. Ja nie mam już z nimi żadnego

kontakty. Musiałem odejść, żeby nie narażać ich na niebezpieczeństwo. – Mężczyzna przeszedł do zlewu, stąpając po odłamkach rozbitego kubka. – Mam tylko nadzieję, że nikt nie widział, jak tutaj wchodziłeś – dodał, wciąż wyraźnie zdenerwowany. – Wiesz, że zlikwidowali całą siatkę, prawda? I że większość członków starego zespołu nie żyje albo schowała się tak głęboko, jakby już właściwie nie żyła.

– Tak – odparł Drake beztrąsko, co jeszcze bardziej rozsierdziło Sama.

– Och, przepraszam, nie wiedziałem, że wpadłeś na pogawędkę. Poczestowałbym cię kawą, ale właśnie rozbiłem mój jedyny kubek.

– Potrzebuję pomocy – oświadczył krótko renegat.

– Skąd mogę wiedzieć, czy cię nie przekupili? – spytał Sam. – Nie było cię przez... ile to już... ponad trzy lata. To oni mogli cię tu przysłać. Skąd mam mieć pewność, że mogę ci zaufać?

– Mógłbym cię spytać o to samo. Skąd mam mieć pewność, że mogę zaufać tobie? – odparował Drake.

– Nie potrzebujesz takiej pewności. Ja już nie bawię się w podchody. Jestem innym człowiekiem, a ty musisz polegać tylko na sobie, kolego – odrzekł Sam, po czym westchnął ciężko. – Nie wiem, jak mogliśmy przypuszczać, że kiedykolwiek uda nam się wygrać. Oni są na to za sprytni i za dobrze zorganizowani. To nierówna walka.

– Na miłość boską, człowieku! Boisz się nawet powiedzieć wprost, o kogo ci chodzi?

Mówisz o tych cholernych Styksach – warknął renegat.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zrobił kolejny krok w stronę okna i oparł się o zlew. Światło latarni wpadające przez szyby było na tyle jasne, że Drake widział jego profil. Dopiero teraz zauważył, że jego rozmówca nosi ciemne okulary.

– Coś ci się stało? – spytał.

– Oślepiłi mnie, Drake. Nic nie widzę.

– Jak?! Co się stało?!

– Przypuszczam, że używają poddźwięków, czegoś w rodzaju Ciemnego Światła, tylko na znacznie większą skalę odparł. – Jechałem do bazy na północ od Highfield, kiedy zatrzymałem się na skrzyżowaniu. Usłyszałem jakiś niski, głęboki dźwięk, jakbym był pod wodą; czułem się tak, jakby coś wibrowało we wnętrzu mojej głowy. Nie mogłem poruszyć żadnym, najmniejszym nawet mięśniem. Nie wiem, co wydarzyło się potem, ale ocknąłem się kilka dni później w szpitalu, z bandażem na głowie. Styksowie zabrali mi oczy – powiedział, po raz pierwszy wymawiając głośno tę nazwę, a właściwie wypluwając ją, jakby miał w ustach najgorszą truciznę. – Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie nie zabili.

– Może chcieli w ten sposób przekazać informację reszcie członków siatki – powiedział cicho Drake. – Ostrzeżenie.

– Może – powtórzył Sam. – Ale nie mogę wrócić do czynnej służby, nie w takim stanie.

Nawet gdybym chciał.

– Przepraszam, nie miałem o tym pojęcia. Dopiero niedawno wróciłem z Głębi.

– No tak, skąd mógłbyś wiedzieć – odrzekł Sam głucho.

– Ciekaw jestem bardzo, kogo ściągnęli z Górnoziemia, żeby opracował dla nich tę technologię poddźwiękową – zastanawiał się Drake.

– Może to ich własne dzieło. Może doszli do tego ich naukowcy z Kolonii.

Renegat odchrząknął niepewnie.

– Muszę iść – poinformował.

– Jeszcze jedno: pamiętasz to urządzenie, które zamontowałem w zdalnym serwerze na uniwersytecie, kiedy nasza szyby było na tyle



jasne, że Drake widział jego profil. Dopiero teraz zauważył, że jego rozmówca nosi ciemne okulary.

– Coś ci się stało? – spytał.

– Oślepiłi mnie, Drake. Nic nie widzę.

– Jak?! Co się stało?!

– Przypuszczam, że używają poddźwięków, czegoś w rodzaju Ciemnego Światła, tylko na znacznie większą skalę odparł. – Jechałem do bazy na północ od Highfield, kiedy zatrzymałem się na skrzyżowaniu. Usłyszałem jakiś niski, głęboki dźwięk, jakbym był pod wodą; czułem się tak, jakby coś wibrowało we wnętrzu mojej głowy. Nie mogłem poruszyć żadnym, najmniejszym nawet mięśniem. Nie wiem, co wydarzyło się potem, ale ocknąłem się kilka dni później w szpitalu, z bandażem na głowie. Styksowie zabrali mi oczy – powiedział, po raz pierwszy wymawiając głośno tę nazwę, a właściwie wypluwając ją, jakby miał w ustach najgorszą truciznę. – Wciąż nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie nie zabili.

– Może chcieli w ten sposób przekazać informację reszcie członków siatki – powiedział cicho Drake. – Ostrzeżenie.

– Może – powtórzył Sam. – Ale nie mogę wrócić do czynnej służby, nie w takim stanie.

Nawet gdybym chciał.

– Przepraszam, nie miałem o tym pojęcia. Dopiero niedawno wróciłem z Głębi.

– No tak, skąd mógłbyś wiedzieć – odrzekł Sam głucho.

– Ciekaw jestem bardzo, kogo ściągnęli z Górnoziemia, żeby opracował dla nich tę technologię poddźwiękową – zastanawiał się Drake.

– Może to ich własne dzieło. Może doszli do tego ich naukowcy z Kolonii.

Renegat odchrząknął niepewnie.

– Muszę iść – poinformował.

– Jeszcze jedno: pamiętasz to urządzenie, które zamontowałem w zdalnym serwerze na uniwersytecie, kiedy nasza sieć zaczynała działalność? Ten bezpieczny kanał kontaktowy, o którym nikt nie miał wiedzieć?

– Jasne – potwierdził Drake.

– Okazuje się, że jednak ktoś o nim wie – odrzekł Sam.

– Co masz na myśli?

Mężczyzna potarł czoło.

– Nie wiem, dlaczego właściwie nie zlikwidowałem tego połączenia, kiedy wszystko inne się rozpadło, ale od czasu do czasu ciągle je sprawdzam. Kilka dni temu ktoś zostawił tam wiadomość dla ciebie. Było strasznie dużo szumów, ale zdaje się, że zostawił ją jakiś Will Burrows. Mówi ci coś to nazwisko?

– Will Burrows... – powtórzył Drake z namysłem, udając całkowitą obojętność, choć serce zabiło mu szybciej. – Nie, nie znam nikogo takiego, ale tak czy inaczej, dziękuję za informację. Połączę się z serwerem i odsłucham wiadomość. I przepraszam raz jeszcze, że wpadłem tak niespodziewanie. Powodzenia, Sam.

– Może mógłbym coś jeszcze dla ciebie zrobić? Zjadłbyś coś? – spytał Sam, lecz renegat już wyszedł.

– Ale rzeka płynie dalej – powiedział Will do ojca, gdy szli w ociekających wodą ubraniach wzdłuż nabrzeża, głośno mlaszcząc przemokniętymi butami. – Nie powinniśmy płynąć dalej?

– Być może ta rzeka w ogóle nie dociera do powierzchni – odparł doktor Burrows, wzruszając ramionami. – Poza tym spójrz na te wszystkie budynki... i żuraw. – Obaj przystanęli, by przyjrzeć się budowiom ustawionym wzdłuż nabrzeża. – To z pewnością strefa załadunku łodzi płynących w dół. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę tododał, wskazując na wielki łuk przy końcu nabrzeża, pokryty

białą, błyszczącą farbą.

Obaj podeszli bliżej.

– Dość duży, by zmieściła się pod nim ciężarówka – zauważył doktor.

– Nie teraz – mruknął Will,, stukając palcem w ceglana ścią, która całkowicie zamykała przestrzeń pod łukiem.

Jednak Burrows już maszerował energicznym krokiem w stronę dużych, podwójnych drzwi ukrytych w cieniu. Gdy chłopiec go dogonił, przekonał się, że podobnie jak łuk, betonowa ościeżnica pomalowana jest na biało.

– Prawdopodobnie jest to wejście dla personelu – ocenił ojciec.

To przejście także zostało zamurowane. Doktor położył dłoń na powierzchni muru, a potem w niego postukał.

– Pustaki – stwierdził.

Przyjrzał się uważnie zaprawie murarskiej wypływającej tu i ówdzie spomiędzy pustaków.

Zacisnął palce na jednym z takich wystających fragmentów, szarpnął mocno i oderwał go od ściany.

– Fuszerka – mruknął. – Ktoś musiał robić to w wielkim pośpiechu.

– I co teraz? – spytał Will.

– Jeśli nie uda nam się znaleźć innego wyjścia, powinniśmy bez większego problemu przebić się przez ten mur.

Przeszukawszy szybko pozostałe budynki nabrzeża, zrozumieli, że rzeczywiście jest to jedyne rozwiązanie.

Doktor Burrows klasnął w dłonie.

– Przynieś narzędzia, dobrze?

Chłopiec wrócił do łodzi i zszedł na jej pokład. Spojrzał na dwie torby z ekwipunkiem. Jeśli tata rzeczywiście chciał zburzyć ścią, to on miał na to szybszy sposób. Brutalniejszy, ale szybszy.

– Narzędzia! – wrzasnął ojciec, zniecierpliwiony.

Will pomyślał, że jednak rozsądniej będzie nie wspominać o materiałach wybuchowych, które sobie przywłaszczył. Wygramolił się z łodzi i pobiegł do zamurowanego wejścia, niosąc ze sobą starą płócienną torbę z narzędziami, które doktor zabrał z magazynu kwatermistrza w schronie.

Mężczyzna grzebał przez chwilę w torbie, aż wyciągnął z niej długi łom. Natychmiast zabrał się do pracy. Uderzał płaskim końcem narzędzia w zaprawę między pustakami.

– Miękkie jak cukier puder – mruknął do siebie, gdy się okazało, że zaprawa niemal bez oporu ustępuje pod ciosami metalowego pręta. Kiedy wyłupał spoiwo wokół jednego pustaka, wbił w szczelinę łom i zaczął podważać bloczek. – Proszę bardzo! – zawołał, gdy pustak wysunął się ze ściany i spadł na podłogę. – I już mamy dziurę! A ta ściana ma tylko jedną warstwę!

Doktor Burrows podniósł świetlną kulę i zajrzał wraz z Willem do otworu wybitego w ścianie, lecz zobaczyli tylko ciemność.

– Musimy to poszerzyć – oświadczył, wręczając synowi łom. Nim chłopiec zdążył zaprotestować, ojciec mruknął: – Potrzebuję trochę czasu, żeby to przemyśleć – po czym odwrócił się i odszedł.

– Przemyśleć co?! – zawołał za nim Will, ale Burrows udał, że nie słyszy, i ukrył się szybko w ciemnościach.

Will dobrze wiedział, że tata idzie się po prostu zdrzemnąć i zostawia mu czarną robotę.

– Nic się nie zmienia – narzekał chłopiec, zabierając się do wyważania następnego pustaka. – Naprawdę nigdy nic się nie zmienia...

Will poszerzył otwór na tyle, by obaj mogli się przez niego przedostać, po czym poszedł po ojca. Mężczyzna leżał przy maszynie benzynowej i drzemał.

– Jak idzie myślenie? – spytał syn.

-Umf... całkiem nieźle – odparł sennie doktor. – A jak tam dziura w ścianie?

– Gotowa. Po drugiej stronie jest jakiś pokój.

Na wyraźne życzenie Burrowsa wyjęli bagaże z łodzi, wyciągnęli ją z wody i ułożyli na nabrzeżu. Potem spakowali rzeczy, które postanowili zabrać ze sobą, i przeszli do otworu wydrążonego przez chłopca.

– Młodszy przodem – zaproponował doktor.

Prowadząc za sobą ojca, Will przecisnął się przez dziurę i wszedł do pomieszczenia, które okazało się korytarzem wypełnionym pustymi beczkami i starymi deskami. Wkrótce dotarli do solidnych, metalowych drzwi z dwoma uchwytyami umieszczonymi po jednej stronie. Przez jakiś czas zmagali się z nimi, na przemian ciągnąc, kopiąc i głośno przeklinając, aż wreszcie zdołali ustawić oba uchwyty w odpowiedniej pozycji i mocno szarpnęli.

– Nie, tylko nie woda! – krzyknął Will, kiedy zza drzwi wypłynęła fala śmierdzącej cieczy gęstej jak zupa.

Krztusząc się i parszając, weszli do pokoju o szerokości około dwudziestu metrów. Wzdłuż ścian po obu stronach pomieszczenia ciągnęły się rzędy szafek, a po przeciwległej stronie znajdowały się następne drzwi. Syn i ojciec próbowali je otworzyć, były jednak tak zardzewiałe, że wkrótce się poddali. Poza tym zaczęło im już kręcić się w głowach od gryzącego, paskudnego zapachu.

– Tato! – zawołał chłopiec przytłumionym głosem, ponieważ trzymał się za nos.

Odkrył właśnie, że coś, co wyglądało na szafkę, było w istocie drugim wejściem. Boczny pokój, do którego prowadziły owe drzwi, miał około dwóch metrów kwadratowych powierzchni. W ścianie tkwiły metalowe szczeble. Will bez namysłu wspiął się na nie i przebił przez warstwę zgniłych desek tworzących sufit.

Przedarł się przez krzak jeżyn.

Stanął na nogach.

Był na otwartym powietrzu.

– Górnoziemie – wyszeptał.

Zachwiał się, odchyliwszy głowę do tyłu i spojrzawszy na niebo. Miał ochotę przypaść do ziemi i się skulić – ten widok wydał mu się dziwnie przytłaczający.

– Ciekawe, jaka to pora dnia? Zmierzch? – zastanawiał się Burrows, który właśnie pojawił się obok. – A może świt? dodał przygaszonym głosem, spoglądając na ciemne niebo.

Will odwrócił się do niego.

– Tato! Wyszliśmy na powierzchnię! Udało nam się! Udało! – krzyczał. Nie mógł uwierzyć, że ojciec nie skacze z radości. – Wróciliśmy do domu!

Doktor nie odpowiedział mu od razu, a gdy w końcu przemówił, jego głos przesycony był gorzkim rozczarowaniem.

– Nie jest to taki grand retour<sup>15</sup>, o jakim marzyłem, Will. Po tym wszystkim, co widziałem na dole, i po wszystkim, co zrobiłem... – umilkł na moment, wpatrzony w ziemię – ... chciałem wrócić z czymś, co zadziwiłoby świat... Chciałem pokazać coś, co zwałiby innych archeologów z nóg. – Burrows wciągnął głośno powietrze i zatrzymał je na kilka sekund. – A tymczasem jedyne, co mogę im zaprezentować, to torba narzędzi z okresu zimnej wojny... – dodał, rzucając torbę pod nogi. – I jedna z najgorszych fryzur w historii. Nie, jeśli nie przedstawię niezbitych dowodów, moi szacowni koledzy będą musieli uwierzyć mi na słowo, a... cóż... to raczej mało prawdopodobne, czyż nie?

Will skinął głową. Teraz już rozumiał, dlaczego ojciec jest w tak kiepskim nastroju.

Zastanawiał się, czy powinien w tej chwili poruszać temat Styksów.

Doktor Burrows najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że nie mógłby tak po prostu ogłosić przed światem wszystkich swoich odkryć, wśród których nie brakowało również tajemnic pilnie strzeżonych przez Styksów. Białe Szyje nigdy by mu na to nie pozwoliły. Chłopiec wiedział jednak, że gdyby wspomniał 15 Wielki powrót (z francuskiego).

Zachwiał się, odchyliwszy głowę do tyłu i spojrzawszy na niebo. Miał ochotę przypaść do ziemi i się skulić – ten widok wydał mu się dziwnie przytłaczający.

– Ciekawe, jaka to pora dnia? Zmierzch? – zastanawiał się Burrows, który właśnie pojawił się obok. – A może świt? dodał przygaszonym głosem, spoglądając na ciemne niebo.

Will odwrócił się do niego.

– Tato! Wyszliśmy na powierzchnię! Udało nam się! Udało! – krzyczał. Nie mógł uwierzyć, że ojciec nie skacze z radości. – Wróciliśmy do domu!

Doktor nie odpowiedział mu od razu, a gdy w końcu przemówił, jego głos przesycony był gorzkim rozczarowaniem.

– Nie jest to taki grand retour, o jakim marzyłem, Will. Po tym wszystkim, co widziałem na dole, i po wszystkim, co zrobiłem... – umilkł na moment, wpatrzony w ziemię – ... chciałem wrócić z czymś, co zadziwiłoby świat... Chciałem pokazać coś, co zwałiby innych archeologów z nóg. – Burrows wciągnął głośno powietrze i zatrzymał je na kilka sekund. – A tymczasem jedyne, co mogę im zaprezentować, to torba narzędzi z okresu zimnej wojny... – dodał, rzucając torbę pod nogi. – I jedna z najgorszych fryzur w historii. Nie, jeśli nie przedstawię niezbitych dowodów, moi szacowni koledzy będą musieli uwierzyć mi na słowo, a... cóż... to raczej mało prawdopodobne, czyż nie?

Will skinął głową. Teraz już rozumiał, dlaczego ojciec jest w tak

kiepskim nastroju.

Zastanawiał się, czy powinien w tej chwili poruszać temat Styksów. Doktor Burrows najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że nie mógłby tak po prostu ogłosić przed światem wszystkich swoich odkryć, wśród których nie brakowało również tajemnic pilnie strzeżonych przez Styksów. Białe Szyje nigdy by mu na to nie pozwoliły. Chłopiec wiedział jednak, że gdyby wspomniał o tym teraz, prawdopodobnie wdałby się w kolejną kłótnię z tatą, a nie miał na to ochoty. Był zbyt zmęczony.

Pochylił się, zerwał listek z pobliskiego krzaka i zgniół go w dłoni, sycąc się zapachem jego zieloności. Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni widział coś takiego.

– Jak myślisz, gdzie właściwie jesteśmy? – spytał.

– Cóż, na pewno nie jest to wygasły wulkan na Islandii uśmiechnął się doktor Burrows, wodząc dokoła promieniem latarki, który ukazywał zielone korony otaczających ich zewsząd drzew.

Will zrobił kilka kroków do przodu.

– To może nawet nie jest Anglia. Dotarliśmy naprawdę bardzo daleko.

– Prawdę mówiąc, wątpię, żeby było to aż tak daleko.

Korzystając z resztek światła dziennego, zaczęli przedzierać się przez zarośla.

Wkrótce odkryli, że w pobliżu na stosunkowo niewielkim obszarze stoi wiele nieużywanych budynków. Między nimi biegła kiedyś asfaltowa droga, choć teraz porastało ją tyle krzewów i traw, że trudno było odróżnić ją od otoczenia.

Niemal wszystkie okna ceglanych, parterowych lub piętrowych budowli były wybite. Will i ojciec mogli bez kłopotu wejść do środka, ponieważ drzwi były otwarte lub wyrwane z futryny. Podłogi w pokojach pokryte były czymś, co przypominało cienką warstwę



konfetti, a przy bliższych oględzinach okazało się, że są to płatki farby, które odpadły od sufitu.

Obaj zwiedzali właśnie piętro jednego z budynków, gdy dostrzegli w oddali światła jakiegoś samochodu pędzącego przez coraz gęstszą ciemność.

– Nie wiem, kto to jest – wyszeptał doktor Burrows. – Ale jakoś nie mam ochoty na żadne spotkania. Moim zdaniem powinniśmy się trochę przespać, a raniem wszystko sobie dokładnie obejrzymy.

– Jasne – zgodził się syn.

Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że ojciec zaproponuje właśnie takie rozwiązanie, ponieważ ze zmęczenia słał się na nogach.

Znaleźli sobie suche miejsce w jednym z pokoi na parterze i wsunęli się szybko do śpiworów. Na podłodze, między sobą, zostawili świetlną kulę, jednak częściowo ją przykryli, by zbyt silny blask nie zwabił nikogo do ich kryjówki.

Will jeszcze przez jakiś czas przez półprzymknięte powieki obserwował gałąź drzewa, która wrosła do wnętrza domu przez wybite okno. W końcu zamknął oczy i napełnił płuca rześkim, nocnym powietrzem. Być może wynikało to z faktu, że pochodził z Kolonii, a może z tego, że tak długo przebywał pod ziemią, ale zrobił się niezwykle wrażliwy na rytmy wyczuwalne na powierzchni. Nie chodziło tu o głosy owadów czy trzepot skrzydeł jakiegoś nocnego ptaka, lecz o niesłyszalne rytmy natury. Czuł niemal fizycznie, jak dokoła rozrasta się roślinność w przeróżnych formach i kształtach.

Co więcej, tęsknił za rytmemi, które stanowiły część jego życia głęboko we wnętrzu Ziemi – ledwie wyczuwalne osiadanie skał i gleby, a także zapachy wychwytywane wyczulonym nosem wydawały się pierwotne, elementarne i bezpieczne. Choć nie zamierzał mówić o tym ojcu, już zaczynał tęsknić za podziemnym życiem. Z tą właśnie myślą pogrążył się w głębokim śnie.

Will przekręcił się na plecy i otworzył oczy. Krzyknął przeraźliwie, gdy poraził go blask poranka, i natychmiast schował się w cieniu, zaciskając mocno powieki. Po chwili ponownie wsunął się w strefę światła, lecz twarz osłaniał dłonią. Gdy wychodził ze śpiwora i zakładał buty, miał wrażenie, że każdy ruch wymaga od niego zwiększonego wysiłku. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to rezultat oddziaływania grawitacji. Normalnej grawitacji.

– Dzień dobry – powitał go radośnie ojciec, który właśnie wszedł do pokoju, stąpając z chrzęstem po rozbitym szkłe.

– Dobry... – mruknął chłopiec i ziewnął szeroko.

– Zmęczony? – spytał doktor Burrows, zerkając na niego z uśmiechem.

– Tak – odparł syn i ziewnął ponownie.

– To może być coś w rodzaju jet lag, no wiesz, zmęczenia po długiej podróży powietrznej. Tyle że w tym wypadku była to hm... podróż podziemna – stwierdził doktor z uśmiechem, po czym rozpałił maszynkę benzynową i nastawił wodę na herbatę. Spojrzał na zegarek, a potem na Willa. – Nie masz pojęcia, jak długo spałeś ani która jest godzina, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Zdajesz sobie chyba sprawę, że pod ziemią trzymałeś się rytmu, w którym doba trwała dłużej niż dwadzieścia cztery godziny? Teraz twój rytm dobowy będzie całkiem zaburzony.

– Co masz na myśli? – spytał chłopiec. (Właściwie niewiele go to obchodziło, ale wiedział, że ojciec oczekuje od niego takiego pytania).

– Gdy brakuje światła słonecznego, poziom melatoniny w mózgu człowieka nie podlega normalnym wahaniom. Powinien wzrastać, kiedy zachodzi słońce, żebyś czuł senność. – Doktor Burrows sięgnął po świetlną kulę i przyglądał się przez chwilę zamkniętej w środku cieczy, która w blasku dnia stała się całkiem czarna. – Pod ziemią mamy tylko to. Światło emitowane przez kule jest zbliżone do światła

słonecznego, ale nigdy nie gaśnie i nie naśladuje rytmu nocy i dnia, do którego jesteśmy przyzwyczajeni...

– Och, tato, możesz opowiedzieć mi o tym wszystkim kiedy indziej? – spytał Will, straciwszy w końcu cierpliwość. – Naprawdę nic z tego nie rozumiem...

Mężczyzna zamilkł, urażony, i odezwał się ponownie dopiero wtedy, gdy pili przesłodzoną herbatę.

– Dzień dobry – powitał go radośnie ojciec, który właśnie wszedł do pokoju, stąpając z chrzęstem po rozbitym szkłe.

– Dobry... – mruknął chłopiec i ziewnął szeroko.

– Zmęczony? – spytał doktor Burrows, zerkając na niego z uśmiechem.

– Tak – odparł syn i ziewnął ponownie.

– To może być coś w rodzaju jet lag, no wiesz, zmęczenia po długiej podróży powietrznej. Tyle że w tym wypadku była to hm... podróż podziemna – stwierdził doktor z uśmiechem, po czym rozpałił maszynkę benzynową i nastawił wodę na herbatę. Spojrzał na zegarek, a potem na Willa. – Nie masz pojęcia, jak długo spałeś ani która jest godzina, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Zdajesz sobie chyba sprawę, że pod ziemią trzymałeś się rytmu, w którym doba trwała dłużej niż dwadzieścia cztery godziny? Teraz twój rytm dobowy będzie całkiem zaburzony.

– Co masz na myśli? – spytał chłopiec. (Właściwie niewiele go to obchodziło, ale wiedział, że ojciec oczekuje od niego takiego pytania).

– Gdy brakuje światła słonecznego, poziom melatoniny w mózgu człowieka nie podlega normalnym wahaniom. Powinien wzrastać, kiedy zachodzi słońce, żebyś czuł senność. – Doktor Burrows sięgnął po świetlną kulę i przyglądał się przez chwilę zamkniętej w środku cieczy, która w blasku dnia stała się całkiem czarna. – Pod ziemią mamy tylko to. Światło emitowane przez kule jest zbliżone do światła

słonecznego, ale nigdy nie gaśnie i nie naśladuje rytmu nocy i dnia, do którego jesteśmy przyzwyczajeni...

– Och, tato, możesz opowiedzieć mi o tym wszystkim kiedy indziej? – spytał Will, straciwszy w końcu cierpliwość. – Naprawdę nic z tego nie rozumiem...

Mężczyzna zamilkł, urażony, i odezwał się ponownie dopiero wtedy, gdy pili przesłodzoną herbatę.

– No dobrze – zaczął. – Już jesteś gotów mnie wysłuchać?

Will wymamrotał niewyraźne „tak”.

– Jesteśmy w porzuconej bazie lotniczej. Nie mam pojęcia, gdzie konkretnie, ale na pewno w Anglii. Teren bazy patrolują jacyś strażnicy, ale nie są to żołnierze; prawdopodobnie jakaś firma ochroniarska. Spakujmy to, co będzie nam potrzebne, a resztę ukryjmy tutaj.

– Dlaczego? Skąd ten pośpiech? – zdziwił się chłopiec.

– Bo jedziemy do Londynu – odrzekł Burrows.

Zrobili sobie krótką wycieczkę po bazie. Ojciec oprowadzał Willa niczym przewodnik, bezustannie dzieląc się z nim swoimi przypuszczeniami dotyczącymi przeznaczenia poszczególnych budynków. Jeden z nich otoczony był wałem ziemnym i wzmocniony murem; doktor stwierdził, że to dodatkowa ochrona przed bombami. Wnętrze budowli było niemal całkiem puste, zostały w nim tylko elementy starego systemu klimatyzacji i kilometry kabli. Burrows poinformował syna, że było to zapewne centrum dowodzenia. Po drugiej stronie tego budynku znajdowało się inne wejście, prowadzące do pomieszczenia o bardziej makabrycznym przeznaczeniu. Wzdłuż jednej ze ścian długiej, prostokątnej sali ciągnął się rząd metalowych półek ułożonych na trzech poziomach. Przy każdej z nich znajdował się numer wymalowany na pobielonej powierzchni ściany.

– Środek dezynfekujący – stwierdził Will, wciągając powietrze w

nozdrza. – Tutaj był pewnie szpital, albo coś w tym rodzaju.

– Raczej kostnica – sprostował ojciec.

– Co? Trupiarnia? – wzdrygnął się chłopiec.

Doktor skinął tylko głową, po czym obaj bez słowa wyszli na zewnątrz. Burrows wskazał na wieżę kościoła widoczną w oddali.

– Pójdziemy w tamtą stronę. Na pewno gdzieś w pobliżu będzie droga.

Doszli do szerokiego pasa asfaltu, popękanego i pokrytego stertami odłamków betonu.

– To pewnie był pas startowy? – spytał Will, spoglądając najpierw na warstwę asfaltu, a potem na stojące obok wielkie budynki.

– Nazywano je chyba hangarami klasy C – powiedział doktor Burrows, zauważywszy, w którą stronę patrzy syn. – Wszystko to pochodzi z czasów tuż po drugiej wojnie światowej, podobnie jak ten podziemny schron.

Przeszli przez pole, pokonali żywopłot i dotarli do wąskiej drogi, która zaprowadziła ich do małej wioski. Ojciec bez wahania ruszył w stronę jedyne go sklepu w wiosce, łączącego funkcje małego sklepu spożywczego i poczty.

Nim weszli do środka, Will chwycił doktora za ramię.

– Pieniądze! Nie mamy pieniędzy!

– Czyżby? – uniósł brwi Burrows.

Demonstracyjnie rozpiął i zdjął pasek. Potem rozsunął zamek błyskawiczny ukryty po wewnętrznej stronie paska i wyjął torebkę foliową owiniętą gumką. W torebce znajdował się zwitek banknotów. Mężczyzna przeliczył je starannie i schował do kieszeni.

– Musi nam jeszcze wystarczyć na podróż, więc nie szalej – ostrzegł syna, po czym obaj weszli do środka.

Na dźwięk dzwonka zawieszono go nad drzwiami z zaplecza przycłapał tęgi sprzedawca.

Will wybrał sobie paczkę chipsów i napój z lodówki, podczas gdy doktor Burrows bez wahania sięgnął po batony czekoladowe, do których po krótkim namyśle dołożył też gazetę.

– Zapowiada się ładny dzień – zagadnął ekspedient lekko świszczącym głosem. Miał na sobie brązową koszulę w kratę i tkany krawat, który wyglądał tak, jakby wykonano go z materiału na skarpetki.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim doktor. Odchrząknął niepewnie, po czym spytał: – Czy zechciałby nam pan powiedzieć, gdzie właściwie jesteśmy?

– Jak to: gdzie jesteśmy? – Mężczyzna, który podliczał właśnie ich zakupy, znieruchomiał i podniósł wzrok na kupującego.

– Jak się nazywa ta wioska?

– West Raynham – odparł, nieco zdziwiony.

– West Raynham, West Raynham... – powtórzył Burrows kilkakrotnie, jakby usiłował przypomnieć sobie, gdzie słyszał tę nazwę. – A co to za hrabstwo?

– Norfolk... północny Norfolk – wyjaśnił sprzedawca, spoglądając na klientów z coraz większym zdumieniem.

– Jesteśmy w długiej podróży, trafiliśmy tu trochę przypadkiem – wyjaśnił doktor Burrows.

– Aha – skinął głową mężczyzna i wrócił do podsumowywania transakcji.

– Jak możemy dostać się stąd do Londynu? – spytał ponownie doktor, wręczając sprzedawcy wymięty banknot dwudziestofuntowy.

– Samochodem? – spytał mężczyzna, prostując banknot między swymi grubymi palcami i przyglądając mu się pod światło. Usatysfakcjonowany, włożył go pod tackę w kasie.

– Nie, autobusem albo pociągiem.

– W takim razie musicie się jakoś dostać do najbliższego miasta,

Fakenham, jakieś sześć mil stąd. – Sprzedawca wskazał im właściwy kierunek, po czym przyłożył dłoń do ust i zakasłał. Wciągnąwszy kilka astmatycznych oddechów, odezwał się ponownie: – Stamtąd możecie pojechać autobusem do Norwich i przesiąść się do pociągu. Dwa razy dziennie jest też bezpośredni autobus z Fakenham do Londynu. Trochę się ślimaczy, ale jest tańszy.

– W takim razie pojedziemy autobusem – postanowił doktor Burrows. – Dziękuję panu bardzo – dodał, zabierając resztę.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim doktor. Odchrząknął niepewnie, po czym spytał: – Czy zechciałby nam pan powiedzieć, gdzie właściwie jesteście?

– Jak to: gdzie jesteście? – Mężczyzna, który podliczał właśnie ich zakupy, znieruchomiał i podniósł wzrok na kupującego.

– Jak się nazywa ta wioska?

– West Raynham – odparł, nieco zdziwiony.

– West Raynham, West Raynham... – powtórzył Burrows kilkakrotnie, jakby usiłował przypomnieć sobie, gdzie słyszał tę nazwę. – A co to za hrabstwo?

– Norfolk... północny Norfolk – wyjaśnił sprzedawca, spoglądając na klientów z coraz większym zdumieniem.

– Jesteśmy w długiej podróży, trafiliśmy tu trochę przypadkiem – wyjaśnił doktor Burrows.

– Aha – skinął głową mężczyzna i wrócił do podsumowywania transakcji.

– Jak możemy dostać się stąd do Londynu? – spytał ponownie doktor, wręczając sprzedawcy wymięty banknot dwudziestofuntowy.

– Samochodem? – spytał mężczyzna, prostując banknot między swymi grubymi palcami i przyglądając mu się pod światło. Usatysfakcjonowany, włożył go pod tackę w kasie.

– Nie, autobusem albo pociągiem.

– W takim razie musicie się jakoś dostać do najbliższego miasta, Fakenham, jakieś sześć mil stąd. – Sprzedawca wskazał im właściwy kierunek, po czym przyłożył dłoń do ust i zakasłał. Wciągnąwszy kilka astmatycznych oddechów, odezwał się ponownie: – Stamtąd możecie pojechać autobusem do Norwich i przesiąść się do pociągu. Dwa razy dziennie jest też bezpośredni autobus z Fakenham do Londynu. Trochę się ślimaczy, ale jest tańszy.

– W takim razie pojedziemy autobusem – postanowił doktor Burrows. – Dziękuję panu bardzo – dodał, zabierając resztę.

– Rzeczywiście – zgodził się z nim doktor. Odchrząknął niepewnie, po czym spytał: – Czy zechciałby nam pan powiedzieć, gdzie właściwie jesteście?

– Jak to: gdzie jesteście? – Mężczyzna, który podliczał właśnie ich zakupy, znieruchomiał i podniósł wzrok na kupującego.

– Jak się nazywa ta wioska?

– West Raynham – odparł, nieco zdziwiony.

– West Raynham, West Raynham... – powtórzył Burrows kilkakrotnie, jakby usiłował przypomnieć sobie, gdzie słyszał tę nazwę. – A co to za hrabstwo?

– Norfolk... północny Norfolk – wyjaśnił sprzedawca, spoglądając na klientów z coraz większym zdumieniem.

– Jesteśmy w długiej podróży, trafiliśmy tu trochę przypadkiem – wyjaśnił doktor Burrows.

– Aha – skinął głową mężczyzna i wrócił do podsumowywania transakcji.

– Jak możemy dostać się stąd do Londynu? – spytał ponownie doktor, wręczając sprzedawcy wymięty banknot dwudziestofuntowy.

– Samochodem? – spytał mężczyzna, prostując banknot między swymi grubymi palcami i przyglądając mu się pod światło. Usatysfakcjonowany, włożył go pod tackę w kasie.



– Nie, autobusem albo pociągiem.

– W takim razie musicie się jakoś dostać do najbliższego miasta, Fakenham, jakieś sześć mil stąd. – Sprzedawca wskazał im właściwy kierunek, po czym przyłożył dłoń do ust i zakasłał. Wciągnąwszy kilka astmatycznych oddechów, odezwał się ponownie: – Stamtąd możecie pojechać autobusem do Norwich i przesiąść się do pociągu. Dwa razy dziennie jest też bezpośredni autobus z Fakenham do Londynu. Trochę się ślimaczy, ale jest tańszy.

– W takim razie pojedziemy autobusem – postanowił doktor Burrows. – Dziękuję panu bardzo – dodał, zabierając resztę.

Will otwierał właśnie drzwi przed ojcem, gdy nagle znieruchomiał i zmarszczył brwi, jakby przypomniał sobie coś ważnego. Odwrócił się do sprzedawcy, który nadal stał za ladą, i spytał: – Tak dla pewności... W ostatnim czasie nie było w Anglii jakiejś epidemii, prawda?

– Epidemii? – powtórzył mężczyzna, skonsternowany.

– Jakiejś zarazy, śmiertelnej choroby zakaźnej – wyjaśnił Burrows.

– Nie, nic takiego się nie działo – odrzekł mężczyzna po krótkim namyśle. – Ludzie chorowali tylko na jakąś paskudną biegunkę, to wszystko.

– Tak też myślałem. Dziękuję raz jeszcze – skinął głową doktor. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, pochylił się do syna. – No i co z tą twoją straszliwą zarazą Styksów, która miała uśmiercić większość ludności Anglii? – spytał teatralnym szeptem, jakby ujawniał tym samym jakąś okropną tajemnicę.

– Wcale nie mówiłem, że ta zaraza już wybuchła – bronił się Will. – 1 nie wybuchnie, jeśli to będzie zależeć ode mnie; a będzie, dopóki mam przy sobie te fiołki.

– No tak... – mruknął ojciec bez przekonania. – Zdążysz jeszcze uratować świat.

Will zostawił tę uwagę bez komentarza. Obaj przysiedli na murku przed sklepem i sięgnęli po zakupy. Chłopiec aż przymykał oczy, delektując się każdym kęsem chipsów, które popijał niskokaloryczną colą.

– Nigdy nie przypuszczałem, że tak bardzo będzie mi brakowało takich drobiazków – stwierdził.

Doktor Burrows pochłaniał w milczeniu swoje batony.

– Dobrze powiedziane – przytaknął, przełknąwszy ostatni kęs, po czym zeskoczył z murku. – No, kolego, kołujemy na start! – zawołał, wykonując obszerny gest rękami. Kiedy syn spojrzał na niego ze zdumieniem, uśmiechnął się głupawo i dodał: – Żartuję, Will, nie rozumiesz? Jesteśmy w pobliżu lotniska, a zaraz musimy ruszać w drogę, podkołować na start, jak samolot! To taki żart.

– Dobrze się czujesz, tato? – spytał chłopiec, zatroskany.

Ojciec rzadko kiedy żartował, a już na pewno nie zachowywał się w taki sposób.

Doktor Burrows zmarszczył brwi.

– Pewnie nagle podniósł mi się poziom cukru we krwi stwierdził. – Może przesadziłem z tymi batonami...

– Też tak sędzę – mruknął Will, zeskakując z murku.

Jednak mężczyzna wciąż był nienaturalnie ożywiony i nie chciał nawet sprawdzić, czy do najbliższego miasteczka nie jeździ jakiś autobus.

– Spacer na pewno dobrze nam zrobi – oświadczył. – Naprzód, do Fakenham! – zawołał pompatycznie i ruszył energicznym krokiem.

Gdy wreszcie dotarli do miasta, zgrzani i zmęczeni, okazało się, że trafili na dzień targowy.

Kupcy prezentowali swoje towary na straganach i popijali herbatę ze styropianowych kubków. Doktor Burrows odszukał przystanek autobusowy i sprawdził, o której jest najbliższe połączenie z

Londynem. Okazało się, że mają jeszcze kilka godzin, pokręcili się więc trochę po placu targowym, na który przybywało coraz więcej ludzi. W miarę jak gęstniał tłum, Will robił się coraz bardziej niespokojny. Bez ustanku oglądał się za siebie, sprawdzając, czy wśród przechodniów nie kryje się jakiś agent Styksów, choć wiedział, że najpewniej i tak nie zdołaliby go wypatrzeć.

– Tato – powiedział, wskazując na kawiarnię przy drodze.

– Czemu nie? Zabiłbym dla filiżanki kawy – zgodził się doktor, potem jednak się zawahał. – Will, uważaj, co jesz przestrzegł syna z powagą. – Widziałeś, co się ze mną stało.

Powinniśmy unikać cukru i tłuszczów, bo nie jesteśmy do nich przyzwyczajeni.

Więc pomimo błagań syna, który marzył o pełnym angielskim śniadaniu, zamówili tylko tosty i coś do picia, po czym usiedli przy stoliku w rogu kawiarni.

Po jakimś czasie chłopiec zauważył, że pozostali goście kawiarni przyglądają im się nieufnie, stwierdził jednak, że przyczyną tej podejrzliwości nie są wcale ich ubrania w kolorze khaki, które nie rzucały się tu szczególnie w oczy, lecz brudne i zapuszczone włosy. Will sięgnął odruchowo do swej skołtunionej fryzury i spojrzał na zlepione brudem strąki na głowie ojca.

Doktor Burrows, pochylony nad gazetą, wyglądał jak podstarzały punk.

Chłopiec nachylił się do niego.

– Nie uważasz, że powinniśmy zrobić coś z włosami? Chyba rzucamy się w oczy, a przecież nie chcemy ściągnąć na siebie policji, prawda? Pamiętaj, że oficjalnie obaj jesteśmy uznani za zaginionych.

Doktor Burrows zastanowił się nad tym przez moment, a później skinął głową.

– Niezły pomysł, Will – stwierdził.

Dopił kawę, podszedł do lady i spytał o najbliższy zakład fryzjerski. Obaj udali się we wskazanym kierunku.

Will nie był zachwycony, gdy ojciec poprosił, by fryzjer ostrzygł ich obu na jeża. Z przerażeniem obserwował w lustrze, jak bezlitosne ostrza maszynki ścinają jego białe włosy – choć później, kiedy obaj byli już gotowi, okazało się, że ich nowe fryzury świetnie pasują do wojskowych ubrań.

Prosto od fryzjera udali się na przystanek i już po chwili wsiedli do autokaru, który przyjechał dokładnie o czasie. Podróż do Londynu była wyjątkowo długa; autobus zatrzymywał się w każdym miasteczku. Will i doktor Burrows i tak przespali większość postojów. Gdy utknęli w korku przy wjeździe do Londynu, chłopiec otworzył jedno oko i ogarnął spojrzeniem długie rzędy samochodów na sąsiednich pasach oraz panoramę miasta rysującą się w oddali.

– Za dużo ludzi – wymamrotał sennie i ponownie zapadł w drzemkę.

Po południu autobus zatrzymał się wreszcie na dobre, a drzwi otworzyły się z głośnym sykiem.

– Dworzec Euston! Wszyscy wysiadać! – wołał kierowca.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – mruknął Will, gdy przepychali się do holu w przedniej części dworca, gdzie kłębiły się tłumy ludzi i skąd dobiegał nieustanny warkot samochodów pędzących po Euston Road. Wydawało się, że ojcu wcale to nie przeszkadza.

– Szybko, tamten autobus! Dojedziemy nim do Highfield! – zawołał, wskazując ręką.

Nagle zmarszczył brwi, skonsternowany. – Ale gdzie są wszystkie piętrusy?

Część piąta

Znowu w Highfield

## Rozdział dwudziesty czwarty



Gdy wysiedli z autobusu w Highfield, doktor Burrows nieoczekiwanie skręcił w dół High Street, a nie w górę.

– Chciałem tylko zerknąć na muzeum, Will – wyjaśnił.

– Tato... to nie jest bezpieczne. Nie powinniśmy... – zaczął się sprzeciwiać syn, jednak widząc, jak ojciec maszeruje energicznym krokiem i z wysoko uniesioną głową, zrozumiał, że jego opór na nic się nie zda.

Dotarłszy do muzeum, doktor wszedł na schody i zamaszyście otworzył drzwi. Chłopiec dreptał tuż za nim. Pomyślał właśnie, że główny hol wydaje się oświetlony mocniej niż zwykle, kiedy ojciec przystanął raptownie. Mężczyzna rozglądał się przez chwilę dokoła, niczym właściciel kontrolujący swoje włości, aż jego spojrzenie padło na jakiś przedmiot w odległym rogu.

– A cóż to ma być?! – wykrzyknął i natychmiast ruszył w tym kierunku.

Skrzypiąc butami na wypolerowanym parkiecie, przemaszerował przez hol i zatrzymał się przed wysoką gablotą. W środku stał manekin ubrany w mundur sapera z czasów drugiej wojny światowej.

– Ale co się stało z moją ekspozycją wojskową? – mruknął skonsternowany Burrows, szukając wzrokiem dwóch starych gablot, w których powinna się znajdować kolekcja zaśniedziałych guzików, wojskowych naszywek i zardzewiałych szpad.

Will tymczasem przeszedł do rzędu nowych szaf ustawionych za

manekinem.

– „Pamięci bohaterów Highfield” – przeczytał głośno, gdy ojciec dołączył do niego.

Obaj pochylili się nad ukośną płaszczyzną gablot, w których wystawiono karty identyfikacyjne i żywnościowe, maski gazowe i inne przedmioty z czasów wojny – wszystkie starannie oznaczone i opisane.

Doktor Burrows wypuścił z sykiem powietrze, wyprostował się i spojrzał na ekran telewizyjny, osadzony w obudowie z białej melaniny, zamontowany obok nowych szaf.

– „Aby uruchomić, naciśnij przycisk” – wymamrotał, czytając instrukcję, po czym sięgnął do guzika.

Na ekranie natychmiast pojawiła się sekwencja czarnobiałych filmów, przypominających urywki ze starych kronik filmowych. Pierwszy fragment nakręcony został nocą i ukazywał strażaków z węzami, którzy próbowali ugasić płonące domy.

– Pamiętam to wszystko tak dokładnie, jakby wydarzyło się wczoraj – przemówił drżący głos starca komentującego pokazywany film. – Mój ojciec jako jeden z pierwszych mieszkańców Highfield zgłosił się do cywilnej obrony lotniczej – wspominał dalej.

Po tych słowach na ekranie pojawił się kolejny urywek. W przymglonym blasku słońca widać było ludzi w zakurzonych mundurach, którzy w pośpiechu zbierali odłamki gruzu rozsiane po chodnikach i ogródkach przed domami.

– Najcięższe bombardowania miały miejsce w lutym roku 1942, gdy bomby spadły prosto na Lyons Tea Rooms w południowym rzędzie sklepów. Pamiętam, że... herbaciarnia była pełna ludzi, gdy trafiła w nią niemiecka mina lądowa.

To było straszne... wszędzie zabici i ranni... Tego samego wieczoru był kolejny nalot, jeszcze gorszy niż pierwszy.

Will wpatrywał się z uwagą w monitor ukazujący dwóch starszych mężczyzn, którzy siedzieli na krzesłach pośród ruin zniszczonego domu, palili papierosy i patrzyli tępo w kamerę.

Wyglądali na wyczerpanych i przygnębionych. Chłopiec próbował wyobrazić sobie ich cierpienie – podczas bombardowania stracili zapewne nie tylko domy i cały dobytek, lecz także rodziny. Ich ciężki los wzruszył go nagle do głębi. Uświadomił sobie również, że wszystko, przez co sam przeszedł, nie mogło być gorsze od tego, co podczas wojny wycierpieli ci ludzie i setki tysięcy im podobnych. Wsłuchał się ponownie w komentarz.

– Mój ojciec pracował przez dwie doby, żeby odnaleźć...

Burrows stanowczym ruchem wyłączył ekran.

– Oglądałem to, tato! – zirytował się Will.

Doktor obdarzył go lodowatym spojrzeniem, po czym ruszył w stronę drzwi po drugiej stronie holu, gdzie znajdowały się archiwa i jego stare biuro. Jednak kiedy był już blisko celu, zza drzwi wyszedł jakiś młody człowiek, który stanął mu na drodze.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie może pan tam wejść. Zwiedzający nie mają tu wstępu – poinformował mężczyzna uprzejmym, lecz stanowczym tonem. – To pomieszczenia przeznaczone tylko dla personelu.

Ubrany był w elegancki, jasnoniebieski garnitur ze znaczkiem „Kustosz” wpiętym w klapę.

Wyglądał bardzo młodo, nawet jak na oko Willa.

– Jestem... – zaczął Burrows i umilkł raptownie, gdy syn dźgnął go ukradkiem w plecy.

Doktor odchrząknął, a młody kustosz cofnął się o krok. Dopiero teraz Will uświadomił sobie, jak dziwnie musiał wyglądać jego ojciec, ubrany w budrysówkę zapiętą po szyję i wełnianą czapkę mocno naciągniętą na czoło.



– W czym mogę panu pomóc? Widziałem, że oglądał pan naszą nową interaktywną ekspozycję. Z przyjemnością oprowadzę pana po innych wystawach. – Młody człowiek rozejrzał się dokoła i zniżył głos do szeptu, jakby dzielił się z przybyszem jakąś niezwykle ważną tajemnicą. – Obawiam się, że niektóre są dość... przeciętne. Być może zauważył pan, że to muzeum wymaga... ee... jak to ująć... modernizacji. Poprzedni zarząd dopuścił się wielu zaniedbań. – Wziął głęboki oddech, jakby przygotowywał się do trudnego zadania. – Teraz jednak ja stoję u steru tego przybytku i zamierzam zmienić go od samych podstaw. Udało mi się zdobyć na ten cel naprawdę okazałe środki.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, oczekując entuzjastycznej reakcji gościa. Jednak przestał się uśmiechać, gdy tylko usłyszał odpowiedź. Na pewno nie takiego komentarza się spodziewał.

– A mnie się tu podoba tak, jak jest – oświadczył Burrows zdławionym głosem.

Will całym sercem był po stronie ojca. Ogromna praca, którą włożył on w rozwój muzeum, została zdyskredytowana w kilku zdaniach rzuconych od niechcienia. Doktor opuścił głowę, jakby nagle uszła z niego cała energia. Chłopiec chciał coś powiedzieć, lecz nie umiał znaleźć właściwych słów. Uważał, że – jak na ironię – ojciec absolutnie nie ma się czego wstydzić.

Dzięki niezliczonym i niezwykłym odkryciom, których dokonał w Kolonii i Głębi, któregoś dnia doktor Burrows mógł zostać uznany za wielkiego badacza i wybitnego naukowca, być może największego w całym stuleciu. Wydawało się jednak, że w tej chwili nie ma to dla niego żadnego znaczenia: stał przygarbiony i przybity, jakby dotknięty gorzkim rozczarowaniem.

Will nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec wciąż tak bardzo się przejmuje tą trzeciorzędną placówką, która nigdy przecież nie

mogłaby konkurować z bogatszymi muzeami w centrum Londynu.

– Nawet pan nie wie, jak dużo czasu i wysiłku poświęcono na przygotowanie tych ekspozycji – odezwał się Burrows. – Uważam, że są bardzo dobre.

– Cóż, w swoim czasie zapewne spełniały swą funkcję bronił się kustosz. – Ale współczesność ma inne wymagania. Teraz stawiamy przede wszystkim na interaktywność i zaangażowanie lokalnej społeczności. Sztuka polega na tym, by pokazać dzieciakom coś, co je zacieka, by przyciągnąć okolicznych mieszkańców, zapraszając ich do „machiny czasu” i podobnych urządzeń. Tak, interakcja i uczestnictwo przekładają się na zainteresowanie i dochód.

Spoglądając na wnętrze holu, Will zastanawiał się, czy wizje i plany nowego kustosza sprawdzą się w Highfield. Być może to zakurzone i zaniedbane muzeum było prawdziwym obrazem ducha tej dzielnicy.

– Mieszka pan gdzieś w okolicy? – spytał młody pracownik, przerywając kłopotliwą ciszę.

– W pewnym sensie – mruknął Burrows.

– Cóż, gdyby był pan zainteresowany, zawsze chętnie podejmuję ludzi, którzy chcą mi pomóc w prowadzeniu muzeum, wie pan, szczególnie w...

– Weekendy – wtrącił doktor. – Tak, może sobotnie przedpołudnia.

Na te słowa kustosz wyraźnie poweselał i uśmiechnął się szeroko, przekonany, że znalazł nowego pomocnika.

– Przypuszczam, że co tydzień zjawia się tu major Joe, poza tym Pat Robbins, Jamie Dodd... – wyliczał Burrows. – No i Franny Bartok.

Młody mężczyzna kiwał potakująco głową przy każdym wymienianym nazwisku. Will przysunął się bliżej ojca i dostrzegł tajemniczy błysk w jego oku. Tata najwyraźniej miał jakiś chytry plan...

– Ach, no i jakże mógłbym zapomnieć o jedynym i niepowtarzalnym Oscarze Embersie – dorzucił.

– Oscar Embers? – Kustosz przestał potakiwać. – Nie, nie przypominam sobie nikogo o tym nazwisku.

– Nie? Jest pan pewien...? Był emerytowanym aktorem, zawsze bardzo angażował się w pracę muzeum.

Kustosz nie mógł nie zauważyć porozumiewawczego spojrzenia, które chłopiec wymienił z tatą.

– Nie, nigdy go nie poznałem – stwierdził stanowczo, po czym przymrużył oczy, jakby nagle nabrał jakichś podejrzeń. – Jeśli wolno spytać, to skąd pan tyle wie o moich pomocnikach, skoro nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy?

– Byłem... – zaczął ojciec Willa, przerwał jednak, gdy syn głośno zakasłał, ostrzegając go w ten sposób, by nie powiedział zbyt wiele. – Pomagałem pańskiemu poprzednikowi i...

dosyć dobrze go znałem.

– Ach, mówi pan o doktorze... – młody człowiek zmarszczył brwi, szukając w pamięci właściwego nazwiska – Bellowsie albo Bustowsie, czy jakoś tak.

– To był Burrows, doktor Burrows – warknął doktor.

– Ano właśnie! Pewnie pan wie, że ten biedak zaginął. Stało się to, zanim przejąłem tę placówkę, więc nie miałem okazji go poznać.

– To był wspaniały człowiek – stwierdził krótko były kustosz. – A my, niestety, musimy już iść.

– Na pewno nie chce pan zobaczyć nowych wystaw?

– Może innym razem. Tak czy inaczej, dziękuję pięknie i życzę powodzenia w realizacji pańskich planów – odparł doktor i odwrócił się do wyjścia. Przez cały czas mruczał coś pod nosem, jednak dopiero kiedy znaleźli się na zewnątrz, wybuchł głośno: – Interaktywność, dobre sobie! Ten żółtodziób wyrzuci w błoto całe tysiące funtów!

Potem skończą się pieniądze, muzeum zostanie zamknięte na dobre, a moje zbiory przepadną na wieki. – Szedł, stukając obcasami w chodnik z taką siłą, że odgłos jego kroków niósł się po całej ulicy. Był wściekły.

– Tato, uspokój się, dobrze? – prosił Will, ponieważ się obawiał, że takie zachowanie ojca ściągnie na nich czyjąś uwagę. – Wiem, dlaczego pytałeś o Oscara Embersa – przyznał, starając się skierować myśli doktora na inne tory. – To naprawdę dziwne, że kustosz nigdy o nim nie słyszał. Zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu, prawda?

– Tak – przyznał mężczyzna. – To bardzo dziwne.

– Więc Rebeka nie skłamała, gdy powiedziała, że Oscar Embers to wtyczka Styksów.

Powinniśmy się stąd wynosić; mówię ci, nie jesteśmy bezpieczni w Highfield.

Doktor Burrows wyduł usta w zamyśleniu, po czym nagle podniósł palec, tknięty pewną myślą.

– Wiem! Oscar musiał po prostu umrzeć, zanim ten nowicjusz przejął muzeum – stwierdził z mocą. – W końcu nie był już młodzieniaszkiem! Możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób.

– W jaki? – dopytywał się chłopiec, lecz ojciec ruszył energicznie naprzód, nie odpowiadając.

Przeszli wzdłuż całej High Street. Przystanęli tylko na moment obok sklepu, z którego grupa robotników wносиła całe wyposażenie. Doktor spojrział na stertę zielonych półek ułożonych na chodniku przed budynkiem.

– Zamknęli Ciarke'a! Czy nie ma już żadnych świętości? – spytał retorycznie, odnosząc się do likwidacji sklepu z warzywami i owocami, który działał w tym miejscu od niepamiętnych czasów. – Wszystko przez te cholerne supermarkety! – irytował się głośno.

Will domyślił się od razu, że przyczyny zamknięcia sklepu są

bardziej złożone. Już miał powiedzieć ojcu o szczególnych relacjach łączących braci Clarke'ów z Kolonią, jednak prawie natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Doktor Burrows nie umiał pogodzić się z informacjami, które poznał do tej pory, więc chłopiec wolał nie komplikować spraw jeszcze bardziej.

Opuściwszy High Street, przemaszerowali obok starego klasztoru żeńskiego i wkrótce dotarli do Gladstone Street. Mężczyzna przystanął przed rzędem małych domów.

– Co my tu robimy, tato? – spytał syn.

– Sprawdzamy fakty – odparł doktor.

Ruszył w stronę wąskiej alejki między dwoma domami. Wydawało się, że dobrze wie, dokąd zmierza, chociaż Will czuł się dość niepewnie, kiedy wszedł za nim w mroczne, zacienione przejście. Zwolnił na sekundę, potrąciwszy stopą pustą butelkę po mleku, która potoczyła się z brzękiem po bruku.

Gdy weszli ponownie w światło dnia, chłopiec zobaczył, że po obu stronach alejki ciągną się mury ogrodów, a sama uliczka dochodzi do ściany starego budynku fabrycznego o wysokich oknach. Wyglądało na to, że mogli się stąd wydostać tylko tą samą drogą, którą przyszli. Will nie rozumiał, dlaczego ojciec interesuje się takimi miejscami. Tymczasem doktor Burrows podszedł do murku po prawej i zajrzał na drugą stronę.

– Kto tutaj mieszka? – spytał chłopiec, stanąwszy obok i spojrzawszy na zapuszczony ogród.

Po kępach oklapniętej trawy stąpał gruby kot, który starannie omijał porozstawiane wszędzie plastikowe miseczki z brudną wodą.

Will przypomniał sobie nagle, co przeczytał w dziennikach ojca, na które natknął się z Chesterem przed kilkoma miesiącami.

– Tu właśnie znaleziono świetlną kulę, prawda? – chciał się upewnić.

– Tak. To dom pani Tantrumi.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Więc co tu robimy?

– Pani Tantrumi była przyjaciółką Oscara Embersa – wyjaśnił doktor Burrows.

– Chcesz ją zapytać, co się z nim stało?

– Taki miałem zamiar – potwierdził. – Poza tym było tu coś więcej niż tylko świetlna kula.

Will spojrział na ojca pytająco.

– Co masz na myśli?

– Kulę znaleziono w piwnicy, tuż za tamtymi schodami odparł doktor, patrząc na ciemne drzwi. – Ale stała tam też szafa pełna płaszczy Kolonistów.

– Płaszcy Kolonistów – powtórzył chłopiec, po czym uświadomił sobie, co właśnie powiedział. – Jezu, tato! – wybuchł. – Ty chyba oszalałeś! – Rozejrzał się nerwowo dokoła. – To prawdopodobnie zejście do Kolonii. W tym domu mogą być Styksowie!

– Nie, mieszka tu tylko przemiła starsza pani – odpowiedział spokojnie Burrows.

– Ale, tato... – jęknął Will, tupiąc ze złością nogą.

Był ogromnie sfrustrowany, że ojciec nie chce go słuchać; poczuł się nagle niczym pięcioletnie dziecko, z którym nikt się nie liczy. Pochwycił tatę za ramię, jakby chciał na siłę odciągnąć go od murku.

– To szaleństwo! Musimy się stąd wynosić... – błagał. – Musimy!

Doktor Burrows odwrócił się i zmierzył chłopca surowym spojrzeniem.

– Puść mnie, Will.

Syn posłusznie puścił jego ramię. Znał ten stanowczy ton i wiedział, że nic nie wskóra.

– Już zbyt wiele lat powstrzymywałem się od tego, co powinienem

był zrobić – oznajmił mężczyzna z powagą. – Zawsze łatwo znaleźć wymówkę, by odłożyć ważne sprawy na następny dzień. Dobry Boże, sam wiem o tym chyba najlepiej. Lecz w tym momencie muszę sprawdzić to, co powiedziała twoja siostra... jedna z bliźniaczek – poprawił się po chwili. – Muszę się dowiedzieć, czy Oscar był agentem Styksów. Muszę osobiście poznać fakty.

– Pewnie masz rację, tato – przyznał niechętnie Will.

– Dobrze – skinął głową Burrows, po czym podciągnął się na murek i przeskoczył na drugą stronę.

Kiedy wylądował, poślizgnął się w błocie i usiadł prosto na jednej z plastikowych misek.

Trzask pękającego plastiku odbił się echem od muru. Gdy w ogrodzie znowu zapadła cisza, doktor zaklął głośno i podniósł się z ziemi, otrzepując budrysówkę z glonów.

– Znowu to samo – wymamrotał do siebie.

Chłopiec, pełen złych przeczuć, pozostał na swoim miejscu i obserwował z daleka, jak ojciec podchodzi do tylnych drzwi domu i w nie puka.

– Pani Tantrumi! – zawołał głośno. – Jest pani tam?! To ja... Roger Burrows.

Ktoś uchylił lekko drzwi, zza których wypadła wielka kula czarnobiałego futra. Przemknęła między nogami doktora i popędziła w głąb ogrodu.

– Kot? – mruknął mężczyzna, przestraszony, i cofnął się odruchowo o krok.

Za drzwi wyjrzała pomarszczona twarz o zamglonych oczach krótkowidza.

– Halo?! Kto tam?!

– Pani Tantrumi, to tylko ja, Roger Burrows.

-Kto?

– Doktor Burrows... W zeszłym roku wpadłem do pani z wizytą, żeby wypytać o tę dziwną kulę, którą przyniósł mi Oscar Embers. Pamięta pani?

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. W progu stanęła staruszka. Miała rzadkie, siwe włosy i przepasana była krzywo zawiązanym fartuchem w rzędy wielkich, żółtobiałych kwiatów, które układały się pod dziwnymi kątami.

Wydawało się, że nie ma sił, by ustać na nogach – kurczowo trzymała się futryny. Poprawiła okulary, z trudem skupiając wzrok na twarzy przybysza.

– Tak, oczywiście, że pana pamiętam – odpowiedziała w końcu. – Pan jest z muzeum. To pan napisał do mnie ten cudowny list.

– Zgadza się – odrzekł doktor Burrows z ulgą.

– To wspaniale, że znów zechciał pan do mnie wpaść rozjaśniła się w uśmiechu starsza pani. – Musi pan napić się ze mną herbatki.

– Z przyjemnością – odpowiedział przybysz uprzejmie, gdy staruszka podreptała do kuchni.

Został przy drzwiach i pochylił się, by pogłaskać starego, przeraźliwie chudego kota o rudej sierści. Ku jego zdumieniu kot syknął ze złością i uderzył go łapą.

– Orlando! Zachowuj się jak należy, ty urwisie! Tak mi przykro, doktorze Burrows. On nie jest przyzwyczajony do obcych. Mam nadzieję, że pana nie podrapał.

– Tylko troszeczkę – odparł mężczyzna, pocierając palec w miejscu, gdzie pazur przesunął się po skórze. Zmarszczył brwi i spojrzał gniewnie na kota, który wciąż stał zjeżony w drzwiach, niczym nieustępliwy wartownik. – Hm... pani Tantrumi, właściwie przyszedłem, żeby spytać o Oscara Embersa. Jak on się miewa?

Stara kobieta odsunęła się od zlewu, nie zakręciwszy wody, i zacisnęła dłoń na ręczce czajnika z taką siłą, że pobieleły jej knykcie.



– Nie najlepiej. Biedak potknął się na chodniku i złamał rękę – staruszka przerwała na moment i spojrzała na wodę płynącą szerokim strumieniem do odpływu. – Potem podłapał w szpitalu jakąś paskudną infekcję i ciężko się rozchorował. Później poczuł się trochę lepiej, ale lekarze stwierdzili, że nie jest w stanie sam się sobą zajmować, i oddali go do domu starców.

Dlatego już się z nim nie widuję.

– Nie wie pani, do którego domu starców trafił? – spytał Burrows.

– Nie, naprawdę nie wiem, a poza tym przez te moje biodra i tak nie mogłabym go odwiedzać – odrzekła kobieta płaczliwym tonem. – Bardzo za nim tęsknię. Był moim dobrym przyjacielem.

– Ogromnie mi przykro – powiedział doktor, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Naprawdę nie wie pani, dokąd go zabrali?

– Nie, kochany, nie wiem.

Pani Tantrumi naląła w końcu wody do czajnika, a potem przeszła powoli do kuchenki, postępując i pojękując raz za razem, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

– Biedny, stary Oscar – westchnął gość, po czym odwrócił się i spojrzał na drzwi piwnicy. – Miałaby pani coś przeciwko, gdybym zajrzał jeszcze raz tam, gdzie znaleziono tę świetlną kulę?

– Świetlną kulę, kochanieńki? A cóż to takiego? – zdziwiła się staruszka.

– Mówię o tej szklanej kuli, którą oddała pani do muzeum. Pamięta pani?

Kobieta zamyśliła się na dłuższy moment, zaciskając kruche, drżące dłonie.

– Ach, już wiem, oczywiście – stwierdziła wreszcie. – Tak, proszę bardzo, może pan tam zajrzeć, jeśli tylko ma pan ochotę. – Sięgnęła po wielkie, cynowe pudełko stojące na kredensie. – Może najpierw

poczęstuje się pan ciasteczkami? – spytała, z trudem zdejmując wieko.

Ściskając w dłoni ciastko z porzeczkami, Burrows zerknął przez okno na Willa, który wyglądał zza krawędzi ogrodowego muru. Uniósł brwi w niemym pytaniu, po czym ruszył w dół omszałych schodów prowadzących do piwnicy. Gdy tylko się tam znalazł, przeszedł do pomieszczenia leżącego pod przednią częścią domu.

– Nie wie pani, do którego domu starców trafił? – spytał Burrows.

– Nie, naprawdę nie wiem, a poza tym przez te moje biodra i tak nie mogłabym go odwiedzać – odrzekła kobieta płaczącym tonem. – Bardzo za nim tęsknię. Był moim dobrym przyjacielem.

– Ogromnie mi przykro – powiedział doktor, chociaż nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. – Naprawdę nie wie pani, dokąd go zabrali?

– Nie, kochany, nie wiem.

Pani Tantrumi nalała w końcu wody do czajnika, a potem przeszła powoli do kuchenki, postępując i pojękując raz za razem, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

– Biedny, stary Oscar – westchnął gość, po czym odwrócił się i spojrzał na drzwi piwnicy. – Miałaby pani coś przeciwko, gdybym zajrzał jeszcze raz tam, gdzie znaleziono tę świetlną kulę?

– Świetlną kulę, kochanieńki? A cóż to takiego? – zdziwiła się staruszka.

– Mówię o tej szklanej kuli, którą oddała pani do muzeum. Pamięta pani?

Kobieta zamyśliła się na dłuższy moment, zaciskając kruche, drżące dłonie.

– Ach, już wiem, oczywiście – stwierdziła wreszcie. – Tak, proszę bardzo, może pan tam zajrzeć, jeśli tylko ma pan ochotę. – Sięgnęła po wielkie, cynowe pudełko stojące na kredensie. – Może najpierw poczęstuje się pan ciasteczkami? – spytała, z trudem zdejmując wieko.

Ściskając w dłoni ciastko z porzeczkami, Burrows zerknął przez okno na Willa, który wyglądał zza krawędzi ogrodowego muru. Uniósł brwi w niemym pytaniu, po czym ruszył w dół omszałych schodów prowadzących do piwnicy. Gdy tylko się tam znalazł, przeszedł do pomieszczenia leżącego pod przednią częścią domu.

W piwnicy zalegała cisza przerywana jedynie odgłosem kroków doktora.

Gdy oczy mężczyzny przywykły do ciemności, przekonał się, że duża szafa, którą widział niegdyś w tym miejscu, znikła bez śladu.

– Co, u licha? – mruknął. – Ktoś ją podwędził!

Wciąż mruczając pod nosem, przyjrzał się badawczo staremu pianinu. Zauważył, że instrument oparty o wilgotną ścianę jest w jeszcze gorszym stanie niż wtedy, gdy widział go po raz ostatni. Jeden bok się oderwał, a całe pianino się przechyliło, jakby lada chwila miało runąć na ziemię. Doktor uniósł klapę, nacisnął kilka klawiszy i stwierdził z niesmakiem, że niektóre z nich nie wydają już żadnego dźwięku. Uderzając mocno stopami o podłogę, okrążył całe pomieszczenie, przekonany, że gdzieś znajdzie ukryty właz. Wydawało się, że podłoga jest wszędzie jednakowo solidna, więc postanowił sprawdzić ściany, gdy nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk.

Obrócił się w miejscu.

W blasku światła wpadającego z ogrodu ujrzał jakąś postać, która właśnie zamierzała się do ataku. Dostrzegł również, że osoba ta trzyma w dłoni coś, co lśni niczym polerowana stal.

– NIE BĘDZIESZ TU WIĘCEJ WĘSZYŁ! – wrzasnął przeraźliwie tajemniczy napastnik.

– Pani Tantrumi! – krzyknął Burrows, rozpoznawszy ją.

Prędkość, z jaką poruszała się schorowana starsza pani, kompletnie zaskoczyła doktora. Wykrzywiając twarz w paskudnym grymasie, kobieta rzuciła się na niego z nożem w dłoni, jakby w okamgnieniu

opuściły ją wszelkie choroby i niedomagania.

Wtem rozległ się ogłuszający hałas, a dokoła rozsypały się ciastka z porzeczkami. Pani Tantrumi znieruchomiała, wypuściła nóż z ręki i osunęła się na ziemię.

– Will! – wydyszał wystraszony Burrows, ujrzawszy na schodach swego syna.

Wyglądało na to, że chłopiec szedł tuż za oszalałą staruszką i dlatego zdołał ją unieszkodliwić.

Zaatakowany mężczyzna stał przez chwilę w absolutnym bezruchu, próbując ogarnąć myślami to, co wydarzyło się przed momentem.

– Ona... chciała mnie pchnąć nożem. – Popatrzył z wdzięcznością na syna. – Dziękuję ci, Will.

– Proszę bardzo. Nie wiedziałem tylko, czy mam ją ogłuszyć tym – tu chłopiec podniósł wygiętą i pustą już puszkę po ciastkach – czy doniczką.

Obaj spojrzeli na panią Tantrumi, która leżała nieruchomo na boku. Choć cios zadany przez chłopca pozbawił ją świadomości, szybko dochodziła do siebie. Pomasowała się po głowie, po czym natychmiast spróbowała odzyskać nóż.

– I co teraz zrobimy? – spytał Burrows, obserwując, jak ręka staruszki sunie w stronę groźnego narzędzia.

– Nie pozwolimy, żeby nas zabiła...? – zasugerował syn.

Podszedł do kobiety i postawił nogę na jej nadgarstku, przygniatając jej rękę do ziemi.

– Wynocha! – Wydawało się, że pani Tantrumi już w pełni odzyskała siły, zachowywała się bowiem jak jeden z jej zdziczałych kotów: syczała i pluła na nich obu. – Wasz koniec jest bliski! – wymyślała im. – Nikt nie ucieka z Kolonii!

– Tylko przemiła starsza pani, co? – wycedził Will.

Kręcąc głową, doktor Burrows obserwował z fascynacją, jak

kobieta próbuje uwolnić rękę spod stopy syna.

– Nie mogę w to uwierzyć – mruknął.

– Lepiej uwierz – poradził mu chłopiec.

– Ale...

– Posłuchaj mnie, tato, oni wszędzie mają swoich ludzi. Skoro ta straszna babcia jest ich agentem, to na pewno był nim też Oscar Embers; Rebeka nie kłamała. Styksowie mają szpicli nawet w policji i rządzie, nie możemy ufać nikomu. Od tej pory działamy bardzo ostrożnie. Zrozumiałeś?

– JUŻ JESTEŚCIE MARTWI! OBAJ JUŻ JESTEŚCIE MARTWI! – wrzeszczała pani Tantrumi, gdy Will pochylił się i podniósł nóż.

– Nie sądzę – uśmiechnął się drwiąco. – Co więcej, powstrzymamy ciebie i twoich chorych przyjaciół, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką uda nam się zrobić.

– NIE UDA WAM SIĘ! – wrzeszczała nadal staruszka. – JEST NAS ZBYT WIELU!

– Chodźmy, tato, zostawmy tę śmierdzącą wiedźmę.

Krzywiąc się z odrazą, Will wyrzucił nóż przez otwarte drzwi piwnicy. Niemal natychmiast w ogrodzie rozległo się pełne skargi miauknięcie.

– Oj, zdaje się, że trafiłem w dziesiątkę – stwierdził, a pani Tantrumi zaczęła wydzierać się z taką energią, że doktor aż zatkał uszy.

Chłopiec wreszcie zdjął stopę z nadgarstka kobiety i wycofał się szybko. Ojciec szedł tuż obok niego, nie miał bowiem najmniejszej ochoty zostać sam na sam z oszalałą staruchą.

Kiedy obaj wspinali się na schody do ogrodu, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, z muru zeskoczył jakiś człowiek i zręcznie ominął plastikowe pojemniki z wodą.

– Co się tam stało? – spytał zaniepokojonym szeptem.

Will nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Drake! – wykrzyknął.

– Drake...? – powtórzył doktor Burrows.

– Powiedz mi szybko, co się tam stało – ponaglił Drake, wskazując głową na piwnicę. – Kto tam jest?

– Agentka Styksów – odparł chłopiec. – Nie mogę... muszę... musisz... wirus... jak ty? – mówił nieskładnie, próbując przekazać mężczyźnie wszystko naraz.

– Nie teraz! – uciął krótko renegat. Wyjął z kieszeni pistolet i wręczył go chłopcu. – Weź to. Jest odbezpieczony.

– Nie trzeba; mam własny – odrzekł chętnie Will, odchylając połę kurtki i pokazując browninga wciśniętego w kieszeń spodni.

Doktor Burrows od razu pokręcił głową z dezaprobatą, lecz Drake uśmiechnął się tylko.

– Świetnie! A przy okazji: podoba mi się twój nowy wygląd. – Obrzucił spojrzeniem ubranie i fryzurę Willa.

Potem szybko przystąpił do działania. Przemknął obok doktora i ostrożnie wszedł na schody.

– To starsza kobieta, ale może być groźna – chłopiec próbował ostrzec Drake'a, ale ten znikł już w ciemnym wnętrzu piwnicy.

– Co on zamierza zrobić? Zastrzelić ją? – spytał ojciec.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale wasza staruszka zwiła – poinformował ich renegat z poziomu schodów. – Teraz Białe Szyje się dowiedzą, że wróciliście do gry, i zaczną was ścigać.

Will nie wierzył własnym uszom.

– Uciekła?! Przecież to niemożliwe!

– Stamtąd nie ma żadnego wyjścia – dodał stanowczo Burrows, spoglądając sceptycznie.

– Sam to sprawdziłem. – Ruszył w stronę piwnicy, lecz Drake pochwycił go za ramię i obrócił w miejscu.

– Nie warto. To byłaby strata czasu: nigdy nie znajdziecie tego przejścia – warknął. – Słyszałem już wcześniej, że gdzieś w okolicy ukryty jest portal – dorzucił, zerkając na Willa. – Ktoś mi o tym mówił.

Chłopiec, zaintrygowany, popatrzył na niego pytająco.

– Musimy się stąd wynosić, i to szybko – zwrócił się renegat do obrażonego doktora Burrowsa. Potem podszedł do jego syna i uśmiechnął się od ucha do ucha. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę, Will. Właściwie to prawdziwy cud! Więc dokonaliście niemożliwego! Wszyscy wyszliście z Czeluści?

– Tak... nie... my... – zaczął Will, zaniemówił jednak, gdy Drake opadł nagle na jedno kolano i wycelował pistolet w drzwi kuchni.

Chłopiec także wyjął swojego browninga, lecz nie miał takiej wprawy jak mężczyzna, więc zajęło mu to znacznie więcej czasu. Uchylone drzwi kuchenne poruszyły się lekko.

Wstrzymał oddech, odetchnął jednak z ulgą, gdy zza futryny wyjrzał wyliniały, czarny kocur, który popatrzył na nich obojętnie i ponownie znikł we wnętrzu domu.

– Tak, musicie uważać na jej koty: to podstępne bestie. Jeden naprawdę paskudnie mnie podrapał – stwierdził cierpko Burrows, spoglądając na Drakea i syna.

– Ostrożności nigdy za wiele. W tym miejscu aż roi się od Styksów – odparł renegat, podnosząc się z ziemi. Zmierzył doktora zimnym spojrzeniem, po czym znowu zwrócił się do chłopca: – Rozumiem, że to twój ojciec, ten nieustraszony podróżnik?

Will skinął głową.

– I wróciłeś do Highfield, żeby zobaczyć się ze swoją matką – dodał Drake.

– Z moją żoną, tak, oczywiście – wtrącił doktor, nim syn zdążył odpowiedzieć.

Renegat schował pistolet.

– Cóż, jeśli sądzicie, że znajdziecie ją w waszym starym domu, to tylko tracicie czas.

Sprzedła go.

– Co zrobiła?! Niemożliwe! – Burrows aż zachłysnął się ze zdumienia.

Will, który już otrząsnął się po pierwszym szoku wywołanym spotkaniem z Drakiem, uzmysłowił sobie nagle, że coś mu tu nie pasuje.

– Ale skąd wiedziałeś, że tutaj przyjdziemy? Skąd w ogóle mogłeś wiedzieć, że żyję? – spytał.

– Kiedy zadzwoniłeś pod tamten numer, twoja wiadomość została zachowana na tajnym serwerze w Walii.

– Numer? Wiadomość? – powtórzył Will, marszcząc brwi, potem jednak wszystko zrozumiał: Drake owi chodziło zapewne o to, co powiedział do słuchawki jednego ze starych telefonów w schronie. – Więc jednak ta linia była czynna! A to twój numer! – stwierdził, kręcąc głową. – Nie miałem pojęcia, co to za liczby.

– Mogła ci je przekazać tylko Elliott, więc zakładam, że ona też żyje. Nic jej nie jest?

Chłopiec skinął głową.

– Mam nadzieję. Rozdzieliliśmy się po tym, jak Elliott zdetonowała duży ładunek.

– Typowe – zachichotał Drake. – A co z Chesterem?

– Powinien być z Elliott, ale Cal... coś straszego...

– Wiem, co się stało z Calem – przerwał mu łagodnie mężczyzna. – Byłem tam.

Wszystko widziałem.

– Byłeś tam?! – zdumiał się po raz kolejny Will. – Przy Czeluści?

-Tak, z Sarą... Widziałem też jej ostatnie chwile...



– Nie... – wyszeptał chłopiec. – Więc i ona nie żyje?

Drake odwrócił wzrok, jakby wiedział, że to, co za chwilę powie, może sprawić Willowi wielki ból.

– Sara rzuciła się w Czeluść, zabierając ze sobą bliźniaczki. Przypuszczam, że zrobiła to, ponieważ czuła się winna względem ciebie i uznała, że to będzie jakaś forma zadośćuczynienia.

– O Boże... – westchnął Will.

Do tej pory miał nadzieję, że jego prawdziwa matka przeżyła, jednak Drake pozbawił go wszelkich złudzeń. Próbował coś powiedzieć, zadać jeszcze jakieś pytania, lecz miał tak ściśnięte gardło, że nie mógł wydobyć ani słowa.

Doktor Burrows nie miał pojęcia, co czuł w tym momencie jego syn; nie wiedział, jak bardzo poruszyło go wspomnienie śmierci Cala i wiadomość o poświęceniu Sary. Wciąż zirytowany faktem, że został tak bezceremonialnie potraktowany przez Drake'a, a jeszcze bardziej wieścią, że jest teraz bezdomny, odezwał się z nietypową dla siebie śmiałością: – Hej, rewolwerowcu, mówiłeś, zdaje się, że nie powinniśmy się tu kręcić?

Renegat nie oderwał spojrzenia od Willa, ale lekki ruch jego powiek zdradził irytację, którą wzbudziła w nim ta opryskliwa uwaga.

– Nazywam się Drake. Owszem, powiedziałem, że powinniśmy się stąd zmywać.

Zabiorę was w bezpieczne miejsce. Będziecie mogli zatrzymać się tam na chwilę, a ty, być może, będziesz miał okazję zobaczyć się z żoną.

– Wiesz, gdzie ona jest? – spytał natychmiast Burrows.

– Chodźmy, Will – powiedział cicho Drake, kładąc dłoń na ramieniu przybitego chłopca i kierując go w stronę ogrodzenia. – Musimy sobie wiele wyjaśnić, ale nie tutaj. Chodźmy.

– Doskonale! – zawołał za nimi doktor, gdy odwrócili się do niego

plecami i ruszyli w stronę muru. Choć nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą, czuł się głęboko dotknięty faktem, że jego miejsce w sercu syna zajął ten groźny nieznajomy, którego najwyraźniej łączyły z Willem wyjątkowo silne więzi.

# Rozdział dwudziesty piąty



Drake poszedł przodem, by sprawdzić, czy droga jest wolna, potem gestem przywołał do siebie Willa i doktora Burrowsa. Gdy prowadził ich coraz dalej i dalej od domu pani Tantrumi, chłopiec wciąż nie mógł się nacieszyć myślą, że znów są razem. Wcześniej nie miał pojęcia, jak poradzą sobie z ojcem, zwłaszcza że ten wciąż nie chciał przyjąć do wiadomości, jak wielkie zagrożenie stanowią Styksowie. Miał tylko nadzieję, że incydent z panią Tantrumi w końcu otworzył mu oczy.

Drake pokazał Willowi, by został z tyłu, sam zaś przeszedł na koniec drogi. Zwolnił, wyjrzał za róg, a potem znikł im z pola widzenia. Mimo że byli w Londynie, zachowywał się równie ostrożnie jak w Głębi.

– Czy ta maskarada rodem z filmów płaszczka i szpady naprawdę jest konieczna? – burknął doktor. – Co może nam się tu przydarzyć? To jest H i g h f i e l d, na miłość boską!

– Któregoś dnia próbowali porwać mnie i Chestera, kiedy wracaliśmy ze szkoły. Na szczęście to byli tylko Koloniści. Gdyby przyszli po nas Granicznicy... – syn nie dokończył zdania, jakby konkluzja była oczywista.

Doktor Burrows wypowiedział prawie bezgłośnie lekceważące „phi!”, ale razem z Willem dogonił Drake’a, który kazał im przejść przez żelazną bramę, a później poprowadził ich w głąb wąskiej alei.

– Martineau Square. Właśnie tam idziemy, prawda? – spytał ojciec

Willa, gdy zobaczył, że alejka biegnie za długim szeregiem georgiańskich domów.

– Tak, ale zajdziemy tam od tyłu – odparł mężczyzna.

Po obu stronach ciągnęły się wysokie mury z czerwonej cegły, sama zaś uliczka wyłożona była wyszlizganymi kamieniami, spomiędzy których wyrastały kępy trawy i różnego zielska.

Raz po raz musieli przeciskać się między starymi pojemnikami na odpadki i pokonywać sterty kartonowych pudeł. W pewnym momencie doktor Burrows poślizgnął się na tłustym opakowaniu po pizzy i runął jak długi.

– Szybciej – syknął Drake, gdy mężczyzna się podnosił.

Po chwili renegat stanął przed drewnianymi drzwiami, nadgniętymi od dołu i pokrytymi warstwą popękanej, czarnej farby. Przeszli prędko na drugą stronę i znaleźli się na małym, wybetonowanym podwórku. W jego rogu stała niepozorna budka, która niegdyś pełniła zapewne funkcję wychodka. Drake otworzył kluczem tylne drzwi domu i wpuścił ich do holu o ścianach wymalowanych ponurą brązową farbą.

Ogarnawszy spojrzeniem niewielkie pomieszczenie, Will doszedł do wniosku, że nikt nie remontował go już od dziesięcioleci.

Razem wspięli się na skrzypiące schody z żeliwnymi barierkami, a gdy dotarli na sam szczyt, renegat wskazał wymownie na drzwi tak niskie, że musieli się mocno schylać, by przez nie przejść. Znaleźli się w obskurnym pokoju o małym okienku zasnutym pajęczynami. Chłopiec się domyślił, że trafili na strych jednego z domów przy Martineau Square.

Drake zamknął za nimi wejście, zatrzasnął dwie zasuwę i natychmiast przeszedł po gołej drewnianej podłodze do okienka w dachu. Zatrzymał się jednak kilka kroków przed nim i z tej odległości wyjrzał na zewnątrz.

– Co tam jest? – spytał doktor Burrows, po czym natychmiast podszedł bliżej i przycisnął twarz do szyby.

Renegat błyskawicznie odciągnął go do tyłu.

– Na miłość boską, człowieku, nie pokazuj się tak wszystkim! – warknął.

Doktor gniewnym ruchem strącił z ramienia dłoń mężczyzny, a potem stanął z nim twarzą w twarz, jakby szykował się do bójki.

– Nie waż się mnie dotykać! – syknął z wściekłością. – Nie wiem, jaką grę tu prowadzisz, ale jeśli jeszcze raz tak mnie potraktujesz, gorzko tego pożałujesz!

Will nigdy nie widział, aby ojciec zachowywał się w ten sposób; zawsze schodził innym z drogi, byle uniknąć konfrontacji. Był przecież o kilkanaście centymetrów niższy od Drakea, więc chłopiec nie potrafił sobie wyobrazić, by mógł stoczyć równorzędną walkę z kimkolwiek, nie mówiąc już o tym człowieku, który wielokrotnie stawał przeciwko Granicznikom – i wygrywał. Mimo to Burrows drżał na całym ciele, niczym kogucik szykujący się do ataku.

Obydwaj mężczyźni mierzyli się w milczeniu wzrokiem, emanując tłumionym gniewem, który wypełniał cały pokój. Obserwujący ich Will miał wrażenie, że znów znalazł się w towarzystwie Chestera i Cala, którzy wielokrotnie ścierali się ze sobą, a on musiał ciągle łagodzić spory. Ta sytuacja także wcale mu się nie podobala i czuł, że powinien jak najszybciej zainterweniować.

– Tato, musisz być ostrożny – odezwał się. – To, co się stało w domu pani Tantrumi, to nie był przypadek. Ta starucha próbowała cię zabić!

Krzywiąc usta w gniewnym grymasie, doktor Burrows odwrócił sztywno głowę od Drake'a i spojrzał na syna.

– Nie wiesz, kim naprawdę jest ten człowiek ani co robi. Przypomnij sobie, co mówiłem ci o obcych: nigdy, ale to nigdy nie

powinieneś...

– On nie jest obcy! Uratował mi życie w Głębi! – wybuchł Will. – Opiekował się tam nami. Wie, co się tu dzieje.

– Doktorze Burrows, jak mogę pana przekonać, że życie każdego z nas jest w niebezpieczeństwie? – spytał renegat spokojnym tonem.

– Proszę, posłuchaj go, tato – błagał syn.

Doktor parsknął, po czym wycofał się w kąt i usiadł ciężko na starej skrzyni.

Drake, który zachowywał się tak, jakby ta sprzeczka nie wywarła na nim najmniejszego wrażenia, odwrócił się do Willa i uśmiechnął.

– No dobrze, opowiedz mi teraz, co się z wami działo.

– Jasne – odparł chłopiec, zerkając w ciemny kąt strychu, na naburmuszonego ojca. – Mam coś dla ciebie.

– Najpierw usiądź wygodnie. Czekają nas długa rozmowa powiedział renegat, siadając po turecku na podłodze.

Will zrobił to samo, po czym sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej kapciuch zawierający dwie fiołki i rozwinął otulającą je szmatkę.

– To chyba nie jest to, o czym myślę, prawda? – spytał Drake ze zdumieniem, spoglądając na pojemniczki.

– A jednak – odparł Will z dumnym uśmiechem, podnosząc fiołkę zamkniętą czarnym korkiem. – To jest wirus.

Mężczyzna z największą ostrożnością wziął od niego kruche szklane naczynko.

– Dominium – powiedział cicho, podnosząc pojemniczek do światła wpadającego przez okienko. – Więc ta druga fiołka to zapewne szczepionka?

Chłopiec skinął głową i podał Drake owi fiołkę z białym korkiem, a ten delikatnie położył ją na podłodze.

Doktor Burrows odchrząknął głośno, a Will aż podskoczył w miejscu, przestraszony.

– Rozumiem, że i ty, Drake, wierzysz w ową absurdalną historię o podłym spisku Styksów? Naprawdę myślisz, że chcą uśmiercić nas wszystkich przy pomocy jakiegoś groźnego wirusa?

– Nie, nie wszystkich – pokręcił głową renegat. – Chcą tylko wyludnić Górnoziemie, a potem wyjść na powierzchnię i przejąć to, co zostanie.

– Nigdy nie słyszałem równie wielkiej bzdury – parsknął doktor z cienia. – Proszę, nie mów mi tylko, że naprawdę w to wierzysz.

– Kiedy byliście pod ziemią, na powierzchni szalał tak zwany ultrawirus. To była tylko próba generalna Styksów przed uwolnieniem czegoś znacznie paskudniejszego i bardziej niebezpiecznego. Tym czymś jest Dominium. A plan Styksów jest naprawdę bardzo sprytny.

Za pomocą czynnika biologicznego mogą uśmiercić większość Górnoziemców, nie niszcząc przy tym całej infrastruktury. Będą mogli wtedy przejąć wszystko, co im potrzebne: budynki, drogi, transport kolejowy. A kiedy wyjdą ze swoimi wojskami na powierzchnię, będzie nas zbyt mało, byśmy mogli stawić im skuteczny opór.

– Ale dlaczego robią to dopiero teraz? – wtrącił Will. – Żyją pod ziemią od wielu stuleci, prawda?

– Mam dwie teorie na ten temat. Albo namnożyło się ich tylu, że nadszedł już czas, by poszukali sobie nowych terenów do życia... – zaczął Drake.

– Albo? – ponaglał go chłopiec.

– Albo... i to wyjaśnienie wydaje mi się bardziej prawdopodobne: ze względu na coraz liczniejsze rozbiórki starych budynków w Highfield Kolonia traci kanały wentylacyjne i zaczyna im brakować dostępu do powietrza. Jednocześnie wzrasta ryzyko, że w końcu ktoś się dowie, co kryje ziemia pod Londynem, a więc dojdzie do Odkrycia, jak nazywają to Koloniści.

– Tak, Odkrycie... – mruknął Will, przypominając sobie, co mówiła

babcia Macaulay.

– Ale żeby wykorzystywać wirus jak jacyś terroryści? – Doktor Burrows kręcił głową z niedowierzaniem. – Czy oni w ogóle mają takie możliwości?

– Oczywiście. To nic nowego. Styksowie już kilkakrotnie uciekali się do tej sztuczki – odparł Drake. – Słyszeliście na pewno o wielkich epidemiach, na przykład o grypie azjatyckiej czy hiszpańskiej; to wszystko robota Białych Szyj.

– Lubię ludzi z wyobraźnią – roześmiał się cynicznie doktor. – Ale to już przesada!

– W pewnym sensie sami Styksowie nie różnią się zasadniczo od wirusa – stwierdził w zamyśleniu renegat, spoglądając na fiolkę, którą trzymał przed sobą. – Znasz się na wirusach, doktorze? Wiesz, jak działają?

– Nie za bardzo – mruknął mężczyzna bez większego zainteresowania.

– Cóż, są to maleńkie organizmy; tak maleńkie, że trzeba specjalnych filtrów, żeby je złapać. Nie przypominają niczego innego, co żyje na naszej planecie. Właściwie są podobne do miniaturowych statków kosmicznych, można je nawet skryzalizować. Trudno powiedzieć, czy żyją w takim sensie, w jakim my rozumiemy to słowo. I bardzo trudno zidentyfikować każdy ich nowy rodzaj.

– Więc w czym właściwie przypominają Styksów? – przerwał mu Burrows.

– Atakują komórkę żywiciela, przyczepiając się do jej błony – kontynuował Drake, jakby nie słyszał tej uwagi. – Później wstrzykują swój materiał genetyczny do środka komórki i ją przejmują. Wykorzystując jej wewnętrzną strukturę, namnażają się w szalonym tempie, aż jest ich tyle, że komórka rozpada się, po prostu pęka. Wtedy miliony identycznych wirusów wydostają się na zewnątrz, by



poszukiwać kolejnych komórek, które mogłyby przejąć. – Fiolka z Dominium zakołysała się lekko, gdy mężczyzna trącił ją palcem. – Szczury zatapiają okręt.

– Mówisz o organizmach czy też o cząsteczkach, które zabijają ludzi – stwierdził doktor gniewnym tonem. – A wydaje się, że je podziwiasz.

– Podziwiam ich prostą, niepowstrzymaną wolę przeżycia. Ich celem nie jest zabijanie; w gruncie rzeczy śmierć komórki żywiciela to dla nich kłopot. Sprytne wirusy utrzymują swoich żywicieli przy życiu... bo są od nich zależne.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Ze Styksowie są jak wirus, bo wykorzystują ludzi...

wykorzystują ludzi do własnych celów? – spytał Burrows, unosząc z powątpiewaniem brwi. – Interesująca koncepcja, ale mało prawdopodobna.

Drake miał już najwyraźniej dość rozmowy z doktorem, odwrócił się bowiem do Willa.

– Mogę jedynie powiedzieć, że jestem pod wrażeniem powiedział do chłopca, potem zmarszczył brwi, jakby tknięty niepokojącą myślą. – Poczekaj... mogłeś znaleźć te fiolki jedynie...

– Jedynie przy jednej z bliźniaczek – dokończył za niego Will. – Zgadza się.

– Więc... zabrałeś je siłą?

– Nie. Sama mi je dała – odrzekł Will nieco drżącym głosem. – Rebeki próbowały odebrać mi je z powrotem przy okręcie podwodnym, ale im się nie udało.

– Mówisz o Styksach, a wszystko to brzmi podejrzenie prosto. Jesteś pewien, że fiolki zawierają wirus Dominium?

– Mam nadzieję – odparł chłopiec z powagą.

– Musisz opowiedzieć mi o wszystkim, co wam się przydarzyło od

momentu, gdy wpadliście do Czeluści – stwierdził stanowczo Drake. –  
I nie śpiesz się, mamy dużo czasu.

## Rozdział dwudziesty szósty



**W**ill i Drake rozmawiali przez kilka godzin, aż wreszcie mężczyzna wstał, by rozprostować nogi.

– Więc nie widziałeś, co się właściwie stało z Rebekami i Granicznikiem – stwierdził, kręcąc głową. – Nie podoba mi się to. Zbyt wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

Chłopiec był zaskoczony jego reakcją.

– Cóż, albo wszyscy zostali rozszarpani na kawałeczki, albo jeśli udało im się schronić w okręcie podwodnym, są teraz bardzo, bardzo głęboko – powiedział. – Mam tylko nadzieję, że Marta zdążyła zabrać Elliott i Chestera do drugiego...

– Och, przestańcie w końcu, mam już tego dość! Miałeś mi pokazać, gdzie mieszka teraz moja żona – przerwał im zniecierpliwiony doktor Burrows, który od konfrontacji z Drakiem nie ruszał się ze skrzyni, w tej chwili jednak wstał i spojrzał wyzywająco na renegata.

– Owszem, miałem – spokojnie przyznał mężczyzna.

Sięgnął po rozkładaną drabinę opartą o ścianę i postawił ją na środku pokoju. Potem wspiął się na szczeble, otworzył właz na górze i wyszedł na zewnątrz. Doktor z synem poszli jego śladem i już po chwili znaleźli się na dachu wyłożonym ołowianą blachą, pod kopułą ciemniejszego nieba.

Burrows nawet nie spojrzał na plac widoczny w dole; najwyraźniej znacznie bardziej interesował go komin wznoszący się z boku dachu.

Stanął na palcach i dotknął jednej z wielkich ceramicznych nasad kominowych.

– Wysnułem kiedyś teorię, że w tych kominach wbudowane są kanały wentylacyjne, dostarczające powietrze do Kolonii – mruknął, jakby mówił tylko do siebie.

– Więc miałeś całkowitą rację – stwierdził Drake. – Wentylatornie wydmuchują przez niektóre z nich zastaje powietrze, innymi zaś pobierają świeże. W zasadzie wszystkie domy przy tym placu, a także niektóre budynki w starszej części miasta zostały wzniesione przez ludzi Martineau i skrywają różnego rodzaju urządzenia. Ale ten właśnie plac, Martineau Square, to dla Styksów miejsce o kluczowym znaczeniu.

– Więc dlaczego nas tutaj przyprowadziłeś, na miłość boską?! – zirytował się doktor Burrows.

– Po pierwsze, jest to ostatnie miejsce, w którym Styksowie by nas szukali, a po drugie... – renegat umilkł nagle, nie dokończywszy zdania. Wcześniej podniósł rękę, by im coś pokazać, teraz jednak opuścił ją i przyglądał się uważnie Willowi. – Nie podchodź zbyt blisko krawędzi, ktoś może cię zobaczyć – ostrzegł chłopca.

Tymczasem Will, od momentu gdy tylko ujrzał krawędź dachu, zmagął się z przemożnym impulsem, który kazał mu tam podejść. Druga część jego jaźni, silna i dominująca, znów przejmowała kontrolę nad ciałem. Chłopiec niczym automat przeszedł kilka kroków, potem jednak zdołał się opanować.

– Pomóż mi – wyszeptał, zlany potem, i osunął się na płaską powierzchnię dachu.

– Co się dzieje? – z troską w głosie spytał Drake, który natychmiast znalazł się obok chłopca. – Nie wiedziałem, że masz lęk wysokości.

– Bo nie mam – wychrypiał Will. – Albo nie miałem. – Spojrzał błagalnie na mężczyznę, starając się zapanować nad

obezwładniającym go strachem. – To coś innego. Wciąż mam takie dziwne uczucie... jakbym chciał... musiał skoczyć. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Renegat przykucnął obok.

– Kiedy to się zaczęło?

– Niedawno. Zupełnie jakbym chciał się zabić! Czy ja tracę zmysły?

– O co chodzi, Will? – spytał doktor Burrows, który także stanął obok syna. – Co się stało?

– Hm... wydaje mi się, że wiem, w czym rzecz – powiedział Drake, łagodnie ujmując chłopca pod rękę. – Przesłuchiwali cię przy pomocy Ciemnego Światła, prawda?

– Tak – odparł Will, drżąc na całym ciele i wciąż zmagając się z siłą, która nakłaniała go, by wstał i rzucił się z dachu. Wyglądało to tak, jakby w każdej części jego ciała toczyła się zażarta walka, jakby grupy wrogich sobie mięśni napinały się i próbowały działać antagonistycznie. – W więzieniu. Kilka razy – wydyszał.

– Więc to nie twoja wina. Zrobili ci to Styksowie – stwierdził renegat.

– Co zrobili?! – krzyknął doktor.

– Nie wtrącaj się i mów ciszej! – wściekle warknął na niego Drake.

– Will, Styksowie wprowadzili to do twojego umysłu. Hm... zaprogramowali cię. Wytworzyli w tobie pewien odruch... można powiedzieć, że urobili cię na swój sposób. Kiedy cię przesłuchiwali, zostawili coś w twojej podświadomości, jakby zatrutą pigułkę, która aktywuje się w chwili, gdy opuszczasz Kolonię.

Will wpatrywał się w mężczyznę szeroko otwartymi oczami, nie do końca pojmując sens jego słów.

– To nie ty! Pamiętaj o tym. O n i to zrobili. I możesz to zwalczyć. Chodź ze mną.

Pomógł chłopcu wstać, objął go ramieniem w pól i podprowadził

do krawędzi dachu.

Zatrzymali się na skraju, nad trzypiętrową przepaścią, a wtedy renegat przytrzymał Willa jeszcze mocniej.

– Czy to na pewno bezpieczne...? – zaczął protestować Burrows.

– Mówiłem ci, żebyś się do tego nie wtrącał, doktoru znowu zgasił go Drake. – Will, spójrz w dół, na drogę. W twoim umyśle pojawił się pewien obraz, prawda? Bardzo wyraźny obraz...

Chłopiec skinął głową. Nie mógł już dłużej pohamować łez, które napływały mu do oczu.

– Przypuszczam, że widzisz teraz samego siebie leżącego na asfalcie. Wydaje ci się, że tak właśnie byłoby najlepiej, że to odpowiedź na wszystkie twoje pytania, rozwiązanie największych problemów...

– Tak... – odparł chłopiec ochryłym głosem. – Skąd to wiesz?

– Nieważne. Will, musisz być tutaj ze mną, słuchać uważnie tego, co do ciebie mówię. – Drake przerwał na moment i przyłożył dłoń do jego czoła. – Musisz zrozumieć, że ten obraz, który wszczepili w twój umysł, jest z natury fałszywy, zły. Nie czujesz bólu... nie czujesz niczego... nie czujesz straty, prawda?

Will pokiwał głową twierdząco.

– Tak, nie czuję niczego.

– Styksowie przeprogramowali twój umysł, kazali ci myśleć w ten sposób. Ale to nieprawda. Musisz się temu sprzeciwić, odrzucić tę wizję. Jest błędna. Pomyśl raczej o tym, jak czułby się twój tata i jak czułbym się ja, gdybyś rzeczywiście skoczył. Postaw się na naszym miejscu i poczuj to, co my byśmy czuli. Robisz to?

– Próbuję – wychrypiał Will.

Drake wypuścił chłopca z uścisku i cofnął się o krok.

– Jesteś teraz sam, ale to ty masz władzę nad swoim ciałem, nie Styksowie. Powiedz mi, jak się czujesz?

– Lepiej... tak, jakbym odzyskał samego siebie... jakby ten głos w mojej głowie osłabł – odparł Will, ocierając oczy. – Mogę teraz patrzeć w dół, a ten obraz nie jest już tak wyraźny.

Och, to takie głupie...

– Wcale nie – zaprzeczył renegat, ponownie obejmując chłopca w pól. – Będziemy powtarzali to ćwiczenie, aż całkowicie pokonasz ten odruch. Pomogę ci go zwalczyć.

– Ale nie czułem niczego takiego, zanim nie znalazłem się w Głębi. Dlaczego głos w mojej głowie pojawił się dopiero teraz? – spytał Will, zwieszając głowę, jakby był kompletnie wyczerpany.

– O to właśnie chodziło Styksom – wzruszył ramionami Drake. – To rodzaj zabezpieczenia na wypadek, gdybyś im uciekł. Taka bomba z opóźnionym zapłonem.

Doktor Burrows syknął głośno z dezaprobatą.

– Co za brednie! – wykrzyknął. – Myślę, że to ty potrzebujesz pomocy, Drake. Masz jakieś przerażające urojenia, którymi karmisz innych.

Renegat odwrócił się w końcu do niego.

– Nie, to ty nie chcesz przyjąć do wiadomości tego, co się dzieje dokoła, choć widzisz to na własne oczy. Ta staruszka chciała cię zabić. Jak to wytłumaczysz?

– Ona... – zaczął doktor, ale zaraz umilkł.

– Pani Tantrumi jest agentem Styksów albo też poddano ją praniu mózgu. W tym drugim wypadku jest tylko jedną z wielu podobnych jej ofiar Białych Szyj. W całym kraju są setki, jeśli nie tysiące ludzi, którzy zostali do pewnego stopnia zaprogramowani. Niektórzy z nich zajmują bardzo wpływowe stanowiska, są biznesmenami, członkami parlamentu, wysokimi oficerami w policji i wojsku. Wystarczy jakieś słowo klucz lub sygnał ze strony Styksów, by posłusznie zaczęli wykonywać ich rozkazy.

– Jesteś teraz sam, ale to ty masz władzę nad swoim ciałem, nie Styksowie. Powiedz mi, jak się czujesz?

– Lepiej... tak, jakbym odzyskał samego siebie... jakby ten głos w mojej głowie osłabł – odparł Will, ocierając oczy. – Mogę teraz patrzeć w dół, a ten obraz nie jest już tak wyraźny.

Och, to takie głupie...

– Wcale nie – zaprzeczył renegat, ponownie obejmując chłopca w pól. – Będziemy powtarzali to ćwiczenie, aż całkowicie pokonasz ten odruch. Pomogę ci go zwalczyć.

– Ale nie czułem niczego takiego, zanim nie znalazłem się w Głębi. Dlaczego głos w mojej głowie pojawił się dopiero teraz? – spytał Will, zwieszając głowę, jakby był kompletnie wyczerpany.

– O to właśnie chodziło Styksom – wzruszył ramionami Drake. – To rodzaj zabezpieczenia na wypadek, gdybyś im uciekł. Taka bomba z opóźnionym zapłonem.

Doktor Burrows syknął głośno z dezaprobatą.

– Co za brednie! – wykrzyknął. – Myślę, że to ty potrzebujesz pomocy, Drake. Masz jakieś przerażające urojenia, którymi karmisz innych.

Renegat odwrócił się w końcu do niego.

– Nie, to ty nie chcesz przyjąć do wiadomości tego, co się dzieje dokoła, choć widzisz to na własne oczy. Ta staruszka chciała cię zabić. Jak to wytłumaczysz?

– Ona... – zaczął doktor, ale zaraz umilkł.

– Pani Tantrumi jest agentem Styksów albo też poddano ją praniu mózgu. W tym drugim wypadku jest tylko jedną z wielu podobnych jej ofiar Białych Szyj. W całym kraju są setki, jeśli nie tysiące ludzi, którzy zostali do pewnego stopnia zaprogramowani. Niektórzy z nich zajmują bardzo wpływowe stanowiska, są biznesmenami, członkami parlamentu, wysokimi oficerami w policji i wojsku. Wystarczy jakieś



słowo klucz lub sygnał ze strony Styksów, by posłusznie zaczęli wykonywać ich rozkazy.

– Bartleby – przypomniał sobie Will. – Kiedy byliśmy przy okręcie podwodnym, Rebeka powiedziała coś do niego. Zachowywał się wtedy, jakbym był jego najgorszym wrogiem.

Więc to działa też na zwierzęta?

Drake skinął głową.

– Na to wygląda.

– A Sara, Sara Jerome? Co z nią? – spytał nagle chłopiec. – Czyją także zmusili w ten sposób, by mnie ściagała?

– Znałem ją krótko, ale nie odniosłem takiego wrażenia. Myślę, że Styksowie zorientowali się, że nie jest podatna na ich sztuczki, i ją oszukali.

– Oszukali...? – powtórzył Will.

– Tak. Jeśli nie potrafią skłonić ludzi do podporządkowania się ich woli groźbami, łapówkami i oszustwami, uciekają się do pomocy Ciemnego Światła i kontroli umysłu.

Trzeba jednak wielu tygodni, jeśli nie lat, tego rodzaju zabiegów, by wyrobić w przeciętnym człowieku coś więcej niż zwykły odruch.

Will zmarszczył brwi, jakby miał kłopoty ze zrozumieniem tego, co usłyszał.

– Chodzi o krótkotrwałe zmiany w zachowaniu, impulsywne działanie; nakłanianie człowieka do robienia czegoś w reakcji na słowo klucz lub jakiś inny bodziec, w twoim przypadku: na widok przepaści.

Chłopiec wciąż nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Ale naprawdę mogę to przezwyciężyć?

– Oczywiście, że tak. Wygląda na to, że pracowali nad tobą tylko przez kilka tygodni, więc przy odpowiednim zaangażowaniu uda nam się wyeliminować ten odruch. Niektórzy nie mają tyle szczęścia i są

tak mocno zaprogramowani, że nic nie można już dla nich zrobić. – Drake umilkł na moment i wziął głęboki oddech. – Zostaniemy tu przez jakiś czas – powiedział. – Dasz sobie radę?

– Tak myślę – skinął głową chłopiec.



Czekali pół godziny. Drake wyglądał bez przerwy zza krawędzi dachu i raz po raz zerkał na zegarek, podczas gdy miasto ogarniała już przedwieczorna szarówka.

Nagle renegat podniósł głowę i gestem przywołał do siebie Burrowsa.

– Tam jest twoja żona – powiedział, pokazując na ulicę dochodzącą do rogu placu.

– Celia? – zdumiał się doktor, podnosząc się pośpiesznie.

– Co ona tam robi? – spytał Will, stając obok Drakea.

– Widzicie ten dom, trzeci od końca? – Renegat wskazał na przeciwległy bok placu.

– Aha – przytaknął chłopiec.

– Twoja matka wynajmuje tam mieszkanie na pierwszym piętrze. Podjęła pracę na pół etatu, żeby mieć z czego opłacić czynsz.

– Podjęła pracę? – powtórzył Will powoli. Na jego twarzy malował się wyraz krańcowego niedowierzania. – Chcesz powiedzieć, że moja mama pracuje?

– Owszem – potwierdził mężczyzna. – I co rano chodzi na siłownię.. Całkiem się zmieniła, jakby chciała otworzyć nowy rozdział w swoim życiu. Chodzi też do miejscowego archiwum i bada historię Highfield oraz Martineau, szukając informacji, które mogłyby mieć związek z waszym zaginięciem. Jest bardzo skrupulatna, mówię wam. Dlatego Kolonia ma ją cały czas na oku.

– Jasne, teraz chcesz nam wmówić, że Styksowie ścigają także

japarsknął doktor. Wraz z Willem obserwował uważnie, jak jego żona wchodzi na plac i zbliża się do domu. – Ona jest z kimś! – wykrzyknął nagle. – Z jakimś mężczyzną! – dodał, coraz bardziej poruszony.

– Owszem, z człowiekiem, któremu nie można ufać – poinformował go Drake.

– Muszę z nią porozmawiać! – gorączkował się Burrows. – Muszę do niej pójść!

– Przykro mi, doktorze, ale nie możesz tego zrobić. Nie teraz – odrzekł renegat stanowczo.

Jednak mężczyzna nie zamierzał mu się podporządkować. Przyłożył dłonie do ust i wrzasnął z całych sił: – Celia!

Drake w mgnieniu oka odciągnął go od krawędzi dachu, a gdy doktor próbował z nim walczyć, jednym płynnym ruchem przewrócił go na plecy i zamknął jego głowę i usta w żelaznym uścisku.

– Ty cholerny głupcze! – warknął, po czym zwrócił się do Willa: – Sprawdź, czy ktoś to słyszał! A jeśli coś ci strzeli do głowy i skoczysz, sam cię zabiję!

– Słyszał to pan?

Pani Burrows już miała otworzyć drzwi, odwróciła się jednak i powiodła spojrzeniem po pustym placu.

– Co takiego? – spytał Ben Wilbrahams.

– Wydawało mi się, że ktoś krzyczał... że ktoś wołał mnie po imieniu – dokończyła kobieta, zakłopotana. – To brzmiało zupełnie jak...

– Niczego nie słyszałem – przerwał jej bezceremonialnie mężczyzna – oprócz wycia wiatru.

Więc pani Burrows tylko wzruszyła ramionami, otworzyła drzwi i weszła wraz z gościem do środka, nieświadoma, że na placu pojawiło się nagle kilku wysokich, szczupłych mężczyzn, a na dachu przeciwległego budynku wszczął się jakiś ruch.

Will zapomniał o wszelkich problemach z wysokością, gdy zobaczył, co się dzieje w dole.

– Kłopoty! – zawołał do Drake’a. – Co najmniej czterech Styksów idzie w naszą stronę, i to szybko.

– Lepiej zachowuj się przyzwoicie, doktorku – warknął renegat, po czym wypuścił Burrowsa i stanął obok chłopca, na krawędzi dachu.

Kiedy Will wychylił się lekko do przodu, aby zajrzeć w uliczki odchodzące od placu, poczuł raczej, niż usłyszał, że coś upadło tuż obok jego stóp. Spojrzał w dół.

W miejscu, gdzie dach opadał pod kątem czterdziestu stopni ku rynnie, w ołowianej blasze pojawił się mały, okrągły otwór. W tym momencie blacha znów lekko drgnęła, a tuż obok ukazał się drugi otwór.

– Ee... Drake...! – wykrztusił chłopiec, wskazując na podziurawiony dach.

Mężczyzna zareagował błyskawicznie.

– Snajper! – syknął, odsuwając się do tyłu i pociągając Willa za sobą.

Doktor Burrows, wprost dysząc z oburzenia, podniósł się z dachu i zamierzał właśnie powiedzieć renegatowi, co myśli o nim i jego zachowaniu, gdy tuż obok rozległ się huk.

Wzdrygnął się, kiedy zobaczył, że jedna z nasad kominowych, znajdująca się zaledwie kilkanaście centymetrów od jego twarzy, po prostu wybuchła i zamieniła się w obłok drobnych odłamków i pyłu.

– Co, u diabła...? – wykrztusił, po czym rzucił się na dach i zakrył głowę rękami.

Nie pozostał w tej pozycji zbyt długo, tylko zaczął się wycofywać, roztrzając po drodze odłamki zniszczonej nasady kominowej.

Drake przebiegł na drugą stronę dachu i spojrział w dół, na alejkę na tyłach domu.

– Trzymajcie się blisko siebie i nie podnoście głów – przykazał Willowi i jego ojcu, po czym wspiął się na gzyms i przeszedł na sąsiedni dach.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś do nas strzela? – spytał doktor, ocierając twarz z ceglanego pyłu.

– Owszem, bo zdradziłeś naszą pozycję! Czy ty zawsze musisz robić wszystko po swojemu, tato? – irytował się Will, idąc śladem Drake'a.

Nisko pochyleni, przechodzili z dachu na dach, przesuając się wzdłuż szeregu domów.

– Ale nie słyszałem żadnych strzałów – szepnął Burrows.

– Bo używają tłumików albo amunicji poddźwiękowej odparł syn.

– Brawo, Will! Naprawdę przeczytałeś te wszystkie wojskowe podręczniki, prawda? – uśmiechnął się Drake.

Kiedy dotarli do ostatniego domu w szeregu, renegat podczołgał się do krawędzi i podniósł klapę włazu. Potem wsunął się do środka i opadł na stertę starych pudeł zalegających na strychu. Will z ojcem poszli jego śladem.

– Co teraz zrobimy? Na pewno otoczyli cały plac – mówił chłopiec, rozglądając się jednocześnie po pustym strychu i wyobrażając sobie armię Kolonistów i Styksów, rozstawionych wokół domu.

Drake wyjął małą latarkę. Trzymając ją w zębach, podszedł do miejsca, gdzie przewód kominowy łączył się ze ścianą, i zaczął ją ostukiwać.

– Nigdy nie dopuszczaj do sytuacji, w której nie masz co najmniej dwóch dróg ucieczki – mruknął, przesuając się wzdłuż ściany i nadal ją opukując.

Choć na jej powierzchni trudno było dopatrzeć się jakichkolwiek różnic, dźwięk wyraźnie się zmienił – stał się głuchy, jakby pod spodem kryła się pusta przestrzeń. Drake mocno naparł na ścianę, a pod jego naciskiem otworzyły się nagle małe drzwiczki. Will i doktor

Burrows natychmiast znaleźli się obok renegata i zajrzeli w głąb kanału wentylacyjnego. Do jego wewnętrznej ściany przymocowana była zardzewiała drabina.

Chłopiec odetchnął z ulgą, zrozumiał, że jednak mają jakąś drogę ucieczki.

– Taki ukryty tunel to naprawdę świetna sprawa! – wykrzyknął.

– Tak, możemy podziękować za to panu Martineau – skinął głową Drake.

– Sir Gabrielowi Martineau? – upewnił się doktor.

– Oczywiście. Uwielbiał tajne przejścia i co chwila kazał swoim ludziom budować jakieś dodatkowe tunele. Zwykle jednak miał tyle spraw na głowie, że zapominał nanosić te korytarze na planach.

– Więc Styksowie nie wiedzą o tym tunelu? – spytał Will.

– Mam nadzieję. – Renegat odwrócił się do Burrowsa. – Doktorze, potrzebujesz jeszcze bardziej przekonujących dowodów, że Styksowie są śmiertelnie niebezpieczni? – spytał z przekąsem. – Może kuli w głowie?

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale nie odpowiedział.

– Świetnie. Weźcie teraz swoje rzeczy i idźcie na dół. Tam skręćcie w lewo – poinstruował Drake.

Will i ojciec zeszli po starej drabinie, a potem ruszyli w głąb korytarza wykładanego kamieniem, dość wysokiego, by mogli się swobodnie wyprostować. Środkiem przejścia płynął strumień brązowej wody, a ściany i sufit pokryte były warstwą lśniącej, czarnej mazi. Po chwili obaj się przekonali, że brudne ściany kryją coś więcej, niż im się początkowo wydawało.

– Spójrz, jakieś malowidło! – wykrzyknął raptem chłopiec. – Człowiek z łodzią!

– Przypuszczam, że to Noe i jego arka – stwierdził doktor Burrows, oświetliwszy ścianę świetlną kulą i ściągawszy z niej warstwę

glonów. – Ale to nie malowidła, tylko płaskorzeźby, obrazy wyryte w kamieniu.

– A tutaj są mężczyzna i kobieta – powiedział Will, spoglądając na drugą stronę korytarza.

– Zapewne Adam i Ewa. To sceny biblijne, wyrzeźbione z niezwykle precyzją.

Prawdziwe arcydzieło!

Wydawało się, że Drake, który pozostał na górze, nie śpieszy się z zamykaniem wjazdu. Kiedy jednak dogonił chłopca i jego ojca, zapatrzonych w kamienne płaskorzeźby, zaledwie kilka metrów od drabiny, naprawdę się zirytował.

– Mówiłem wam, żebyście stąd poszli! – warknął.

– Ale to jest ważne odkrycie – bronił się doktor Burrows. – Dlaczego ktoś umieścił tutaj płaskorzeźby?

Renegat zerknął ostrożnie w głąb korytarza.

– Trzy wieki temu to zapomniane dziś przejście prowadziło do domu Martineau.

Chodziło o to, żeby Martineau mógł w czasie deszczu przejść prosto do kościoła i nie zmoknąć wyjaśnił, po czym wziął mężczyznę za rękę i pchnął go lekko do przodu. – A teraz, panowie, jeśli nie macie nic przeciwko temu, na dzisiaj zakończymy zwiedzanie.

Ruszyli zwawym tempem naprzód i po chwili zauważyli, że korytarz zaczyna się podnosić.

Potem doszli do rozwidlenia i skręcili w lewo, jednak po kilkuset metrach dotarli do ściany blokującej dalszą drogę. Drake przeszedł do przodu, przekazał Willowi latarkę i odszukał po omacku dwa kamienne bloki wsunięte w głąb muru.

– Założę się, że gdzieś tutaj jest ukryta zapadka, a może inny mechanizm otwierający następne drzwi – wyszeptał chłopiec do ojca.

Jednak ku zdumieniu Willa renegat odsunął się o krok, a potem

kopnął z całej siły w kamienie.

– Ukryta zapadka, tak? – mruknął Burrows, gdy Drake wymierzył w ścianę jeszcze kilka potężnych kopniaków.

Nagle spora część muru osunęła się z hukiem na ziemię. Renegat wziął od Willa swoją latarkę i poświecił w otwór. Gdy tylko chmura kurzu i pyłu nieco opadła, ujrzeli ludzką czaszkę.

Później dostrzegli porozrzucane kości i odłamki trumny, którą przewrócił Drake.

– Gdzie my jesteśmy? – spytał chłopiec przytłumionym szeptem, gramoląc się za przewodnikiem.

– Nie musisz szeptać, nie zbudzisz ich – odparł renegat normalnym głosem.

Gdy przeszli nieco dalej w głąb korytarza, coś zachrząściło pod ich stopami.

– O bogowie! – wykrzyknął Burrows, spojrzawszy na warstwę ludzkich szczątków zalegających na ziemi.

Potem podniósł świetlną kulę i zobaczył trumny ułożone na kamiennych półkach wzdłuż ścian. Zauważył, że znajdują się w pomieszczeniu o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych i bardzo wysokim suficie, jakby w swego rodzaju wielkiej studni.

– Jesteśmy w komorze grobowej! – uświadomił sobie.

– Brawo, doktorze. Kiedy Martineau uznał, że jednak nie potrzebuje tego podziemnego przejścia, pozwolił jednemu z przyjaciół urządzić w nim rodzinne mauzoleum. Wygląda na to, że wszyscy tu są. – Drake przeszedł do przeciwległej ściany i zaczął się wspinać na kamienne półki, aż dotarł do najwyższej z nich. – Poświećcie mi tutaj – poprosił, przesuwając się wzdłuż muru. Odszukał krótki pręt z zardzewiałego żelaza, osadzony w kamieniu, i przekręcił go do pozycji pionowej.

– To drzwi? – spytał Will, zadzierając głowę.



– Oczywiście. I tak się szczęśliwie składa, że można je otworzyć od wewnątrz – odparł Drake. – Pewnie na wypadek gdyby któryś z tych ludzi chciał stąd wyjść...

Odwrócił się bokiem do ściany i z całych sił naparł na nią ramieniem. Ciężkie, kamienne drzwi odsunęły się powoli ze zgrzytem.

– Hej, na co czekacie?! – zawołał do chłopca i doktora, po czym znikł im z oczu.

Will zaczął się wspinać na kamienne półki, wybierając przy tym starannie miejsca, na których kładł dłonie. Niektóre trumny rozpadły się już ze starości, a on nie miał najmniejszej ochoty dotykać oślizgłych ludzkich szczątków.

Dotarłszy na górę, Will wyszedł z mauzoleum. Zacerpnął haust rześkiego nocnego powietrza i rozejrzał się dokoła. Zobaczył przed sobą rząd kamieni nagrobnych, podświetlonych blaskiem latarni stojącej za ogrodzeniem cmentarza. W pobliżu wznosił się budynek z wysoką wieżą.

– Kościół w Highfield – mruknął do siebie chłopiec.

– Tędy – powiedział Drake.

Wszyscy zaczęli przedzierać się przez gąszcz małych drzew i splątanych skrzypów, aż w końcu dotarli do mniej zarośniętej części cmentarza.

– Rozsiądźcie się wygodnie, panowie, zatrzymamy się tu na chwilę – poinformował renegat.

Will i jego ojciec z chęcią przysiedli na omszałym kamieniu, aby dać odpocząć zmęczonym nogom – teraz, gdy musieli radzić sobie z normalną grawitacją, zmęczenie dopadało ich szybciej niż w głębi Ziemi.

– Wiedziałeś, że to grobowiec rodziny Martineau? – spytał doktor Burrows, wskazując na nagrobek ozdobiony figurkami dwóch ludzi trzymających kilof i łopatę.

Chłopiec bywał już wcześniej na tym cmentarzu, ale nigdy w nocy. Teraz, gdy czuł pod dłońmi zimny, wilgotny dotyk kamienia i wpatrywał się w nagrobek, na który wskazywał ojciec, to miejsce wydało mu się dziwnie znajome. Gdzieś w głębi jego umysłu budziło się wspomnienie, tak odległe, że gdy próbował je przywołać, czuł się równie bezradny, jak gdyby chciał złapać w dłonie smugę dymu. Wzruszył ramionami i zaczął nucić pod nosem jakąś melodię, jednocześnie skrobiąc paznokciem omszały kamień.

– I co pan sądzi o tym dzienniku? – spytała pani Burrows Bena Wilbrahamsa, przenosząc dwie sterty książek z fotela na stół, by jej gość miał gdzie usiąść. – Przepraszam, to rzeczy mojego męża – wyjaśniła, gdy mężczyzna zaczął przyglądać się okładce jednej z książek.

– „Siła własnego JA: wzmacnianie wiary we własne możliwości” – odczytał i uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Cóż, kilka pozycji należy też do mnie – wzruszyła ramionami speszona kobieta.

W tej samej chwili pokój wypełnił się jasnym blaskiem, choć zasłony były zaciągnięte. Potem rozległ się huk potężnej eksplozji. Jedna z zasłon wydeła się do wnętrza salonu, jakby uderzona podmuchem wiatru, czemu towarzyszył brzęk tłuczonego szkła.

– Co to było, u diabła?! – wykrzyknęła pani Burrows, podbiegając do okna i rozsuwając zasłony.

Dach domu stojącego na końcu szeregu po drugiej stronie placu był całkiem zniszczony, z połamanych belek strzelały w górę języki ognia. Alarmy samochodowe wyły jak opętane, podczas gdy na plac spadały jeszcze odłamki gruzu, resztki drewna i blachy.

– Ktoś może potrzebować pomocy – powiedział szybko Ben Wilbrahams. – Idę tam.

Celia Burrows wodziła wzrokiem wzdłuż chodnika przed płonąącym

domem.

– Chyba nikomu nic się nie stało. Ale co to mogło być, na miłość boską? – zastanawiała się głośno.

Dopiero teraz zauważyła, że podmuch powietrza powstały w wyniku eksplozji wybił jedną szybę także w jej oknie.

– Nie wiem. Może wyciek gazu – odparł Amerykanin.

W oddali słyhać już było syreny radiowozów i karettek pogotowia.

– Nie rozumiem tego – mówił do Drake’a Burrows. – Tak dużo wiesz na temat Styksów i Kolonii, że mógłbyś ich wszystkich wydać. Dlaczego po prostu nie pójdziesz z tym do odpowiednich władz?

– Wciąż nie ogarniasz skali tego problemu, prawda, doktorze? Jest już na to za późno, bo Styksowie żyją pośród Górnoziemców od wieków – odparł Drake. – Mają swoich ludzi na wszystkich szczeblach władzy, czy to w policji, czy w rządzie.

– Więc idź z tym do gazet, niech o tym napiszą – zasugerował Burrows. – Postaraj się nagłośnić tę sprawę.

– Wielu już próbowało. Niestety, dowody znikają w tajemniczych okolicznościach, a ludzie giną – powiedział renegat. – Dobrzy ludzie.

W tym momencie rozległ się huk potężnej eksplozji. Will i doktor zerwali się na równe nogi i spojrzeli w stronę łuny, która ukazała się na nocnym niebie.

– Czy to na Martineau Square? – spytał Burrows.

– Tak, zostawiłem ładunek wybuchowy przy wejściu do kanału wentylacyjnego – potwierdził Drake.

Gdy jasne światło nad dachami miasta nieco przygasło, ustępując miejsca ciemnościom nocy, ojciec Willa przemówił drżącym głosem: – Ale... przecież nie możesz wysadzać budynków w powietrze... to jest Highfield... to jest L o n d y n... a nie jakieś pole bitwy!

– Mylisz się, doktorze – spokojnie odpowiedział Drake. – To właśnie jest pole bitwy.

## Rozdział dwudziesty siódmy



**D**rake zawiózł Willa i doktora Burrowsa do ponurego domu bliźniaka w sąsiedniej, podmiejskiej dzielnicy Londynu. Choć podróż nie trwała długo, chłopiec i jego ojciec byli tak zmęczeni, że usnęli podczas jazdy. Obudzili się, kiedy mężczyzna zaparkował za wysokim żywopłotem. Wprowadził ich do ciemnego budynku, szczelnie zasunął wszystkie zasłony i dopiero wtedy zapalił światło. Wnętrze mieszkania było brudne i niemal całkiem puste, jeśli nie liczyć poplamionego dywanu i kilku zniszczonych mebli.

– Chyba nie mieszkasz tutaj na stałe? – spytał Burrows z niedowierzaniem, gdy dowlóknął się do obskurnego salonu i rzucił swoje rzeczy na podłogę.

– Ja nigdzie nie mieszkam na stałe – odparł Drake, który już zmierzał do drzwi wyjściowych. – Zatrzymamy się tu tylko na jedną noc. Na sofie leżą śpiwory i koce, w lodówce jest jedzenie.

– Pomóc ci w czymś? – spytał Will i ziewnął szeroko.

– Nie, dziękuję. Skontaktuję się ze starym przyjacielem i poproszę, żeby zbadał zawartość tych fiolek – powiedział mężczyzna, klepiąc się po kieszeni marynarki.

– Czy po wszystkim, co wydarzyło się w Highfield, to miejsce jest naprawdę bezpieczne? – spytał doktor.

Renegat skinął głową.

– Tak, na jakiś czas. Tylko nie odstawiajcie okien – upomniał ich. Miał już wyjść, kiedy strzelił palcami i odwrócił się do chłopca. –

Pomyślałem sobie, że mógłbyś dać mi trochę tej rośliny... jak ona się nazywa... anyżkowe...

– Anyżkowy ogień – podsunął Will.

– No właśnie, anyżkowy ogień – powtórzył Drake. – Przy okazji mój przyjaciel sprawdzi i to.

– Jasne! – odparł chłopiec, choć w gruncie rzeczy nie rozumiał, dlaczego Drake owi wydaje się to takie ważne.

Zaczął rozpakowywać plecak i od razu trafił na pudełko amunicji do pistoletu. Postawił je na podłodze tak, by nie widział go ojciec, po czym ponownie sięgnął do plecaka i wyjął z niego okular.

Renegat się uśmiechnął.

– Ach, jest i stary przyjaciel, mój zapasowy okular. Elliott ci go dała?

– Tak, ale nie działa.

– Wystawiałeś go na działanie mocnego światła?

Will pokręcił głową.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie używałem go przez kilka tygodni, a kiedy spróbowałem znowu, już nie działał – wyjaśnił, rozplątując kabel, który owinął wokół urządzenia.

– Pozwól, że zerknę – poprosił Drake.

Chłopiec podał mu okular, po czym znów sięgnął do bagaży. Wyjmował kilka gałązek anyżkowego ognia, gdy dojrzał przedmiot leżący na samym dnie plecaka.

– Ależ ze mnie głupiec! – wykrzyknął. Natychmiast wyjął aparat fotograficzny i pokazał go ojcu. – Całkiem o tym zapomniałem!

Doktor Burrows uniósł leniwie brwi.

– O czym?

– O aparacie! Zrobiłem trochę zdjęć w Kolonii i Głębi, ale co ważniejsze...

sfotografowałem również niektóre strony z twojego dziennika.

Ostatni film wykorzystałem w chacie Marty i jestem pewien, że znajduje się na nim też twój rysunek kamienia doktora Burrowsa.

Sens słów wypowiedzianych przez syna dotarł do ojca dopiero po kilku sekundach.

Mężczyzna natychmiast zapomniał o senności i zerwał się na równe nogi.

– Will... – Był tak uradowany, że przez chwilę nie mógł wydobyć głosu. – Naprawdę jesteś geniuszem! – roześmiał się głośno. – I głupcem, skoro przypomniałeś sobie o tym dopiero teraz. Ale przede wszystkim geniuszem.

– Możemy je wywołać? – Will zwrócił się do Drake'a. – I powiększyć?

– Tak sądzę – odparł. – Co jeszcze mogę dla was zrobić? Wyprasować ubrania, a może wypastować buty... – spytał z uśmiechem.

Gdy renegat wyszedł, Will skierował się prosto do lodówki, z której zabrał kilka kanapek i karton mleka. Kiedy wrócił do salonu, ojciec leżał wygodnie na sofie, okryty kocem, i przeglądał kamienne tabliczki.

– Może jeszcze uda mi się je odczytać, synu – powiedział, zamyślony.

– Dobranoc, tato – mruknął chłopiec, szukając jak najwygodniejszego miejsca na podłodze.

Will i doktor Burrows spali smacznie do samego rana. Obudził ich dopiero powrót Drake'a.

– Bułki z bekonem – powiedział renegat, stawiając na stole papierową torbę i dwa kubki ze styropianu.

– Super! – odparł chłopiec, wysuwając się ze śpiwora. Gdy podszedł na bosaka do stołu, przypomniał sobie, dlaczego właściwie Drake opuścił ich poprzedniego wieczoru. – Sprawdziłeś fiołki?

Mężczyzna wyglądał na ogromnie zmęczonego, jakby nie spał przez całą noc.

– Nie, to potrwa kilka dni – wyjaśnił.

Doktor stanął obok syna, sięgnął do torby po bułkę i natychmiast zaczął ją pożerać.

– A co ze zdjęciami? – spytał.

Renegat podał mu małą paczkę.

– Dziesięć na osiem. Mam nadzieję, że to wystarczy?

Burrows w szalonym pośpiechu rozerwał papier i zaczął przeglądać zdjęcia, odkładając te, które przedstawiały strony z jego dziennika. Nagle znieruchomiał, po czym pochylił głowę, by przyjrzeć się uważniej jednej fotografii.

– Tak – mruknął pod nosem, przysuwając zdjęcie bliżej oczu. – Tak! – powtórzył z satysfakcją, podnosząc wizerunek kamienia Burrowsa, żeby Will mógł go dobrze zobaczyć.

Potem, nie podziękowawszy Drake owi ani słowem, wrócił na sofę, zabierając ze sobą odbitkę i niedokończoną bułkę. – Gdybym jeszcze miał szkło powiększające, mógłbym to odczytać – wymamrotał.

– Pewnie chcesz, żebym poszedł do miasta i kupił lupę? spytał renegat.

– Tak, gdy tylko będziesz mógł – odparł doktor, całkowicie już pochłonięty pracą. – A przy okazji również kilka ołówków i trochę papieru.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – stwierdził sarkastycznie Drake.

Will zaczął przeglądać fotografie, które jego ojciec rozrzucił na stole. Jedna z nich została wykonana w domu Jerome'ów i przedstawiała uśmiechniętego Cala, siedzącego na łóżku.

Chłopiec nie mógł na nią patrzeć, więc szybko przeniósł spojrzenie na inną. Zdjęcie ukazywało ulicę w Ćwiartce, a zrobione zostało tego

odległego i pamiętnego dnia, kiedy z Chesterem weszli do tunelu pod domem Burrowsów. Następne niemal w całości wypełnione było wielkim okiem. Will zachichotał, potem jednak umilkł.

– Nie powinienem się śmiać – stwierdził.

– A cóż cię tak bawi? – spytał zaciekawiony Drake i pochylił się nad stołem.

– Drugi oficer. Oślepiłem go lampą błyskową, kiedy próbowałem uwolnić Chestera z aresztu.

– Nie, naprawdę potrzebuję szkła powiększającego – odezwał się Burrows. – Jaki dziś mamy dzień? – spytał.

– Piątek – odparł Drake.

– Więc Celia pracuje?

– Tak.

– W takim razie zobaczę się z nią jutro, kiedy będzie w domu. A ty mi na pewno w tym nie przeszkodzisz oświadczył z mocą.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło – parsknął renegat. – A dlaczego nie miałbyś zrobić tego wieczorem?

– Nie, jutro wystarczy – odrzekł doktor i zaczął cicho pogwizdywać.

Raz po raz przenosił wzrok ze zdjęcia na tabliczki i z powrotem, robiąc przy tym notatki. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, jakie są jego priorytety.

– Zapowiada się pracowity dzień – mruknął Drake, otwierając gazetę.

– Skończyłem! – wykrzyknął Burrows następnego ranka.

Will drzemał na podłodze, gdy tata podbiegł do niego.

W dłoni trzymał plik kartek, którymi gorączkowo potrząsał mu przed nosem.

– Oto moja trasa, teraz muszę tylko znaleźć początek.

– Moja trasa? – spytał syn. – Powiedziałeś: moja trasa?



– Ee... oczywiście, chciałem powiedzieć: nasza trasa – poprawił się szybko ojciec. – Hej, Drake! – zawołał. – Chciałbym teraz zobaczyć się z żoną.

Renegat wyszedł z sąsiedniego pokoju, potrząsając kluczykami do samochodu.

– W takim razie chodźmy – odrzekł krótko.

Gdy wyszli przed dom, poranne słońce świeciło z taką mocą, że Will i doktor musieli przesłonić oczy.

– Trzeba trochę czasu, żeby się do tego z powrotem przyzwyczaić – skomentował Drake, kiedy otworzył samochód i wpuścił ich do środka.

– W sumie dla mnie to nigdy nie było normalne – mruknął chłopiec. – Wiem to teraz.

Renegat sięgnął po komórkę i zadzwonił do kogoś.

– W porządku – stwierdził, zakończywszy rozmowę. Odwrócił się do Burrowsa, który siedział obok niego, na przednim fotelu. – Celia jest w domu Wilbrahamsa.

– Co takiego?! – wybuchł mężczyzna. – Musisz mnie tam zabrać! Natychmiast!

– Oczywiście, doktorze – przytaknął mu Drake, po czym wyjął ze schowka ciemne okulary. – Włóż to. Nie zapominaj, że policja byłaby bardzo zainteresowana, gdyby ktokolwiek ciebie rozpoznał. A jeśli znajdzie cię policja, to znajdą cię i Białe Szyje. – Poprawił wsteczne lusterko, tak by widzieć Willa siedzącego z tyłu. – A ty pochyl nisko głowę.

Zanim jeszcze samochód zatrzymał się przed wielkim wiktoriańskim domem, doktor Burrows wyskoczył z auta i wbiegł na schody. Zaczął walić do drzwi i nie przestawał, dopóki nie otworzył mu zdumiony Ben Wilbrahams. Doktor odsunął go na bok i wpadł do środka.

– Myślisz, że to był dobry pomysł? – spytał Will z tylnego siedzenia.

– I tak nie miałem innego wyjścia; chyba musiałbym twojego ojca związać albo ogłuszyć, bo inaczej na pewno nikt by go nie powstrzymał.

Niecałą minutę później Burrows wybiegł z domu, ścigany przez żonę.

– To... to mama! – wykrzyknął podekscytowany chłopiec i przysunął się do okna, żeby mieć lepszy widok. – Ho, ho, całkiem nowa mama! Wygląda naprawdę inaczej... Wygląda świetnie! – Przez opuszczoną szybę Will słyszał tyradę matki. – Ale raczej nie jest zadowolona...

– Myślisz, że możesz tak po prostu się pokazać, a później znowu odejść?! Gdzieś ty był przez cały ten czas?! Gdzie są dzieci?! Gdzie są Will i Rebeka?! Co z nimi zrobiłeś?! Co z nimi zrobiłeś, do cholery?! – wrzeszczała pani Burrows, biegnąc za mężem, który pośpiesznie umykał do samochodu.

Ben Wilbrahams podszedł do frontowych drzwi, ale nie próbował jej ścigać.

Tymczasem chłopiec wysiadł z auta.

– Mamo! Mamo! – zawołał.

Pani Burrows zatrzymała się w pół kroku i zamilkła. Przez moment stała nieruchomo, zszokowana, po czym doskoczyła do syna i zamknęła go w uścisku.

– Jezu Chryste! Nie uwierzyłam mu! Ty naprawdę tu jesteś! – krzyczała.

Chłopiec był kompletnie zaskoczony tym niezwykłym wybuchem czułości. Jego dawna matka była zwykle obojętna i odległa. Teraz nie tylko wyglądała jak inny człowiek, lecz tak się także zachowywała.

Doktor zasiadł już z powrotem na przednim fotelu, gdy Drake

opuścił szybę i zawołał do Willa i jego matki: – Nie możemy tu zostać!

– Kto to jest? – spytała kobieta, przyglądając się podejrzliwie Drake'owi. – Czy to człowiek, który porwał...

– Nie, on uratował mi życie – przerwał jej szybko syn.

– Wsiadajcie oboje, prędko! – warknął renegat. – To nie miejsce na rodzinne pojednania.

Drake zabrał ich z Londynu i wywiózł daleko na wieś. Will raz po raz musiał przymykać oczy, oślepiany słońcem, ale nie przestawał mówić do matki. Pani Burrows słuchała go uważnie, pozwalając sobie tylko od czasu do czasu na westchnienia lub okrzyki niedowierzania. Nie mogła jednak milczeć, kiedy syn opowiadał o Rebecce i okrucieństwie Styksów oraz o tym, jak dowiedział się nad Czeluścią, że w rzeczywistości istnieją dwie Rebeki.

– Moja Rebeka... dwie Rebeki... kłamliwe oszustki... a nawet morderczynie? Nie, to niemożliwe! – powtarzała zduszonym głosem.

Wreszcie, kiedy Will przerwał, aby napić się wody, pani Burrows wypuściła głośno powietrze i zerknęła na męża, który siedział nieruchomo na przednim siedzeniu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i obrażoną miną.

– Jeśli wszyscy nie oszaleliście i nie wymyśliliście razem tej absurdalnej historii, to muszę założyć, że mówicie prawdę – stwierdziła, po czym zmarszczyła brwi. – Nie próbujecie mi zrobić jakiegoś głupiego kawału, prawda?

– A niech to, przejrzała nas, Will – powiedział doktor głosem przepojonym sarkazmem.

– Coś ty powiedział?! – spytała jego żona, choć nie mogła go nie usłyszeć.

– Tak, to wszystko fikcja. Wyjechałem sobie na pięć miesięcy do Disneylandu, podczas gdy ty sprzedałaś nasz dom i znalazłaś sobie nowego przyjaciela.

Will zauważył, jak oczy matki zamieniły się w wąskie szparki, i od razu zrozumiał, że nie jest to dobry znak.

Miał rację. Kobieta zacisnęła dłonie, pochyliła się i bez najmniejszego ostrzeżenia uderzyła męża w tył głowy, przy czym omal nie straciła mu okularów z nosa.

– Ty głupi sukinsynu! – wrzasnęła wściekle. Potem uderzyła go znowu, tym razem prosto w niewielką łysinę na czubku głowy.

– Hej, uspokójcie się oboje! – warknął Drake, próbując osłonić doktora przed kolejnymi ciosami. – Nie w samochodzie i nie przy Willu!

– Za co? Za co? – zaczął biadolić Burrows, rozcierając obolałą głowę.

– Za co...? – powtórzyła jego żona. – Jeszcze pytasz?! Ty samolubny łajdaku! Wybierasz się na jakąś niewydarzoną wycieczkę i nawet nie raczysz się z nikim pożegnać, a potem wciągasz w to jeszcze swojego syna i jego przyjaciela! Przecież obaj mogli zginąć!

– Mamo, proszę – chłopiec starał się ją uspokoić. – Tata nie mógł wiedzieć, co się wydarzy.

– Doprawdy...? – mruknęła matka bez przekonania.

Przez chwilę wszyscy milczeli i patrzyli na krajobraz przesuwający się za szybami. W końcu Drake skręcił w jednopasmową drogę, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się wysokie, zapuszczone żywopłoty. Przejechali przez bród, a pokonawszy kilka kolejnych kilometrów, samochód zwolnił i wyjechał na pole. Will zorientował się, że stoją u podnóża wzniesienia porośniętego gęstą, świeżą trawą.

Kiedy wszyscy wysiedli z auta, pani Burrows chwyciła męża za kołnierz.

– Ty pójdziesz ze mną! – oświadczyła z taką siłą, że doktor aż się skulił.

Chłopiec zrobił krok w ich stronę, lecz Drake stanął mu na drodze.

– Niech sobie pogadają – powiedział.

Will obserwował, jak matka pcha ojca w górę wzniesienia. Doktor wyglądał jak człowiek, którego prowadzą na egzekucję. Z kolei jego żona bezustannie poruszała głową i nie zamykała jej się usta.

– Szkoda mi go – stwierdził Will. – Kiedy po raz ostatni byli razem w Highfield, zanim to wszystko się zaczęło, okropnie się pokłócili. Tata próbował powiedzieć, dokąd idzie, ale mamy wcale to nie interesowało; była za bardzo pochłonięta tym, co pokazywali właśnie w telewizji. W zasadzie tylko tym się zajmowała: oglądaniem telewizji.

Obaj przeszli w cień wysokiego dębu. Drake usiadł na trawie i oparł się o pień drzewa.

– Moi rodzice nigdy nie powiedzieli do siebie złego słowa. Ani jednego – westchnął. – Dusili to wszystko w sobie. Przypuszczam, że właśnie dlatego mój ojciec tak młodo umarł. – Wskazał głową na oboje Burrowsów, którzy przystanęli na szczycie wzgórza i gestykulowali energicznie. – W twoich przynajmniej tli się jeszcze trochę życia.

Drake zebrał kilka gałęzi leżących na ziemi, wyjął nóż i zaczął zdzierać z nich korę, a potem zastrugał je na końcach. Will oparł się o pień i przyglądał jego poczynaniom. Skończywszy, mężczyzna schował nóż i spojrzał na okorowane gałązki.

– Co się stanie, jeśli potrzysz o siebie dwa patyki? – spytał, stukając o siebie dwiema spośród mniejszych gałęzi.

– Co takiego?

– Rozpalisz ogień. Tak przynajmniej mówili w Slumsach. W końcu ten ogień ich pożarł... Biedacy. – Umilkł i przez chwilę wpatrywał się w dal niewidzącym wzrokiem.

– Te patyki przypominają mi chwile, gdy byliśmy na wyspie – odezwał się chłopiec. – Elliott upiekła nam nad ogniskiem

Anomalocarisa, nazywała go nocnym krabem, i trochę paznokci diabła.

– Mój przysmak – mruknął Drake nieobecny głosem.

– Jedliśmy żywe skamieliny – pokręcił głową Will. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co go spotkało. Zachichotał pod nosem, potem jednak spoważniał. – Dobrze zostawić za sobą ciemność i wilgoć, choćby tylko na chwilę. To dziwne, ale mam wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się wieki temu. – Zamknął oczy, wystawił twarz ku promieniom słońca przefiltrowanym przez listowie dębu i wciągnął w płuca świeże powietrze. – Śniłem o takim miejscu, kiedy byłem w Głębi. Widziałem wysoką trawę i białe chmury na niebie, a słońce świeciło tak jak teraz... To dziwne, ale w tym śnie ktoś ze mną był... dziewczyna... ale nie wiem jaka. Nie widziałem jej twarzy.

– Może Elliott? – podsunął renegat.

– Ha! – wykrzyknął Will. – To mało prawdopodobne.

– Nie powiedziałbym. Ona bardzo cię lubi.

Chłopiec roześmiał się głośno.

– W takim razie okazuje to w dość dziwny sposób.

– Takie właśnie są kobiety... i dziewczyny – roześmiał się także Drake. – Wiem, że pokłóciliście się podczas patrolu na Wielkiej Równinie, ale ona szanowała cię za to, że się jej postawiłeś.

W tym momencie usłyszeli za sobą podniesione głosy.

Pani Burrows maszerowała w stronę drzewa, a mąż dreptał jej śladem. Kobieta krzyczała: – Will! Will, chodź tutaj! Musimy z tobą porozmawiać!

– Wygląda na to, że jestem pilnie potrzebny – wyszeptał chłopiec do Drake'a, nim oddalił się od drzewa.

– Fajnie jest być potrzebnym – odparł mężczyzna, kiwając smętnie głową.

Rodzice chłopca zatrzymali się po drugiej stronie drzewa. Twarz

matki była czerwona i gniewna, ojciec zaś wpatrywał się w ziemię, zastraszone.

– Omówiłam z twoim ojcem pewne ważne kwestie i razem postanowiliśmy, że nie wrócimy do punktu wyjścia oświadczyła.

– Nie, nie wrócimy – powtórzył doktor, wciąż ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Rozumiem, tak – skinął głową Will, zastanawiając się, do czego zmierzają rodzice.

– Twój ojciec uważa, że ma jakieś niedokończone sprawy pod ziemią, więc zamierza tam wrócić, gdy tylko będzie to możliwe, ale sam.

– Nie...! – zaczął chłopiec, lecz matka nie dała mu dojść do słowa.

– Postanowiliśmy, że ty zostaniesz ze mną – oznajmiła.

– Nie ma mowy! – warknął syn. – Wracam po Chestera i Elliott. Nie możesz mi mówić, co mam robić, już nie! Nie masz pojęcia, co...

– Możemy na pewno znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, z dala od tych Styksów. Może gdzieś na wybrzeżu... na przykład w Brighton...

– Wykluczone! – wrzasnął Will. – Brighton? Czyś ty oszalała? Znajdą nas tam w ciągu kilku sekund!

Kobieta aż zachłysnęła się z oburzenia.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić!

Tym razem to Drake musiał jej przerwać.

– To nie jest takie proste, pani Burrows.

Dotknął czubka głowy, jakby w ten sposób dawał komuś sygnał, a zza żywopłotu na skraju pola wyszedł człowiek, który ruszył w ich stronę równym, szybkim krokiem.

– Kto to jest? I dlaczego się tutaj skrada? – zapytała ostro kobieta.

– Był tu z nami przez cały czas. Może go pani nazywać Drzewcem.

– Jak dla mnie może być nawet Królową Śnieżką! Nie obchodzi mnie to nic a nic – parsknęła w odpowiedzi. – Skąd on jest i co tu

robi?

– Pochodzi z Fidzi. Przez jakiś czas był w moim oddziale.

– Co? W oddziale wojskowym, czy coś takiego? – syknęła pani Burrows, wykrzywiając usta w grymasie wściekłości.

Will cofnął się o krok w obawie, że matka straci panowanie nad sobą i zacznie okładać go pięściami.

Drake pokręcił głową.

– Można raczej powiedzieć, że pracowaliśmy dla rządu jako swego rodzaju nieoficjalna i samodzielna jednostka, dopóki ta współpraca nie została przerwana przez naszych drogich przyjaciół Styksów. Więcej nie musi pani o tym wiedzieć – zakończył chłodno.

Tymczasem mężczyzna zbliżył się do renegata i stanął obok, jakby czekając na rozkazy.

Wyższy od Drake'a o całą głowę, wydawał się równie wielki i niewzruszony jak pień starego dębu rosnącego w pobliżu. Miał krótkie, czarne włosy i starannie przycięte wąsiki. Jego skóra była spalona na brąz, jakby pół życia spędził pod gołym niebem. Will uzmysłowił sobie, jak bardzo przybysz przypomina korę drzewa, i uśmiechnął się pod nosem, pomyślawszy, że imię Drzewca – pasterza drzew z powieści Tolkiena – pasuje do niego jak ulał. Mężczyzna ubrany był w dżinsy i płaszcz sięgający kolan. Gdy Drake skinął na niego głową, Drzewiec rozchylił poły okrycia, a chłopiec dojrzał krótką, ciężką broń zawieszoną u jego boku.

– Karabin szturmowy? – spytał.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– Obrzyn, kaliber dwanaście – wyjaśnił, po czym wyjął coś z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Był to cyfrowy aparat fotograficzny.

– Chciałeś coś powiedzieć – warknęła pani Burrows do Drakea. Najwyraźniej przybycie Drzewca nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, podobnie jak to, że był uzbrojony.



Renegat wziął aparat od swego towarzysza i odsłonił mały wyświetlacz.

– No więc powiedz mi wreszcie, dlaczego nie mogę zabrać Willa gdzieś daleko od całego tego zamętu? – dopytywała się niecierpliwie kobieta.

– Z powodu tego – odparł Drake, podnosząc aparat tak, by mogła zobaczyć wyświetlacz.

– Ben? To Ben...? – Wyrwała aparat z ręki mężczyzny i przyjrzała się uważnie. – To...

Szpiegowaliście Bena! Nie macie prawa tego robić!

Przez moment Will zdołał dojrzeć mały ekran, choć matka ścisnęła go w drżących rękach.

Zdjęcie przedstawiało nie tylko przyjaciela pani Burrows, lecz także dwóch krępych mężczyzn w płaskich kapeluszach i ciemnych okularach. Potem na wyświetlaczu pojawił się kolejny obrazek, tym razem ukazujący Bena Wilbrahamsa z jakimś Styksem.

– Więc ten człowiek jest agentem? – spytał chłopiec.

– Bez wątplenia. Wybaczcie kiepską jakość – powiedział z powagą Drzewiec, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Te spotkania odbywały się w nocy, a ja nie mogłem ryzykować i podejść bliżej.

Pani Burrows wzruszyła ramionami.

– No dobrze, więc ci ludzie rozmawiali z Benem. Czego to dowodzi? To mogły być przypadkowe spotkania, mogli podejść do każdego człowieka na ulicy.

– Przy sześciu różnych okazjach...? W odludnych miejscach? – pytał retorycznie Drzewiec. – Nie sądzę, siostró.

– Nie jestem twoją siostrą, panie Drzewiarzu, czy jak się tam nazywasz – warknęła pani Burrows. Potem raz jeszcze spojrzała na wyświetlacz i pokręciła głową. Najwyraźniej fotografie wykonane przez mężczyznę jej nie przekonały. – Powiedz mi, kiedy dokładnie je

zrobiłeś? – spytała.

– Już mówiłem. Przy sześciu okazjach, zawsze w nocy. Pierwsze ze spotkań odbyło się tuż po tym, jak wróciłeś do domu Wilbrahamsa; tej nocy, gdy ścigali cię Koloniści.

– Mamo? – zaczął Will, spoglądając na nią z troską.

– Wróciłeś do jego domu? – powtórzył doktor Burrows. – W nocy? Sama?

Kobieta obdarzyła męża lodowatym spojrzeniem, potem rzuciła aparat Drake’owi, wkładając w ten ruch znacznie więcej siły, niż było to konieczne.

– Więc już od dawna wiedziałeś o Benie, prawda? – oskarżyła renegata.

– Mieliśmy pewne podejrzenia – przyznał.

– A mimo to pozwoliłeś mu zobaczyć mojego męża i syna. Pozwoliłeś Rogerowi przyjść do mnie, jakbyś chciał powiadomić Bena, że wrócił z Willem do Highfield.

mężczyzn w płaskich kapeluszach i ciemnych okularach. Potem na wyświetlaczu pojawił się kolejny obrazek, tym razem ukazujący Bena Wilbrahamsa z jakimś Styksem.

– Więc ten człowiek jest agentem? – spytał chłopiec.

– Bez wątpienia. Wybaczcie kiepską jakość – powiedział z powagą Drzewiec, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Te spotkania odbywały się w nocy, a ja nie mogłem ryzykować i podejść bliżej.

Pani Burrows wzruszyła ramionami.

– No dobrze, więc ci ludzie rozmawiali z Benem. Czego to dowodzi? To mogły być przypadkowe spotkania, mogli podejść do każdego człowieka na ulicy.

– Przy sześciu różnych okazjach...? W odludnych miejscach? – pytał retorycznie Drzewiec. – Nie sądzę, siostró.

– Nie jestem twoją siostrą, panie Drzewiarzu, czy jak się tam

nazywasz – warknęła pani Burrows. Potem raz jeszcze spojrzała na wyświetlacz i pokręciła głową. Najwyraźniej fotografie wykonane przez mężczyznę jej nie przekonały. – Powiedz mi, kiedy dokładnie je zrobiłeś? – spytała.

– Już mówiłem. Przy sześciu okazjach, zawsze w nocy. Pierwsze ze spotkań odbyło się tuż po tym, jak wróciłaś do domu Wilbrahamsa; tej nocy, gdy ścigali cię Koloniści.

– Mamo? – zaczął Will, spoglądając na nią z troską.

– Wróciłaś do jego domu? – powtórzył doktor Burrows. – W nocy? Sama?

Kobieta obdarzyła męża lodowatym spojrzeniem, potem rzuciła aparat Drake’owi, wkładając w ten ruch znacznie więcej siły, niż było to konieczne.

– Więc już od dawna wiedziałeś o Benie, prawda? – oskarżyła renegeata.

– Mieliśmy pewne podejrzenia – przyznał.

– A mimo to pozwoliłeś mu zobaczyć mojego męża i syna. Pozwoliłeś Rogerowi przyjść do mnie, jakbyś chciał powiadomić Bena, że wrócił z Willem do Highfield.

Mężczyzna skinął głową.

– Styksowie i tak już o tym wiedzieli, ale owszem, podjąłem ryzyko i pozwoliłem doktorowi się ujawnić, bo chciałem wywabić Styksów z ukrycia.

– Dlaczego? – zdziwił się Will.

Odpowiedział mu Drzewiec. Podniósł rękę, w której trzymał dwie fiołki zawieszane na sznurku.

– Bo sprawdziliśmy to. Dałeś się nabrać, Will. W jednej jest ultrawirus, w drugiej zaś szczepionka na tę chorobę. Przykro mi, ale nie ma tu Dominium, ani w jednej, ani w drugiej fiołce.

– O Boże... – jęknął chłopiec. – Więc oszukiwały mnie od samego

początku i nie przestały kłamać nawet przy okręcie, kiedy chciały dostać fiołki z powrotem. Czy te wstrętne krowy kiedykolwiek mówiły prawdę?!

Drzewiec zwrócił się do pani Burrows: – W obecnej sytuacji to nieważne, czy Styksowie wiedzą, że twój mąż jest na powierzchni czy nie. Twoje dni i tak są policzone.

– Co takiego?! – zdziwiła się kobieta, straciwszy nieco ze zwykłej pewności siebie.

– Niedługo i tak by cię sprzątnęli... Kopałaś zbyt głęboko, że pozwolę sobie na taki żarcik – mówił mężczyzna bez cienia uśmiechu.

– Ale teraz, gdy spotkałaś się z doktorem i Willem, uznają, że i tak wiesz już o wszystkim, więc jesteś skończona. Jedyne, co ci teraz zostało, to ucieczka. Tylko nie wiesz, jak przechytryć Styksów, a możesz mi wierzyć, nie jest to łatwe. Prędzej czy później dopadną cię i zabiją. To tylko kwestia czasu. – Wziął od Drake'a aparat i schował go w kieszeni płaszcza. – Tak to już jest, siostró.

– Równie dobrze możecie więc spróbować szczęścia pod ziemią, wszyscy troje – dorzucił renegat.

– Pod ziemią? – powtórzyła pani Burrows, a na jej twarzy pojawił się wyraz niekłamane przerażenia. – Ja?!

– Świetnie – ucieszył się Will, zerkając na ojca. – Właśnie tego chcieliśmy, tato, prawda?

Wrócić na dół.

– Zamknij się, Will – wycedziła kobieta, która aż drżała ze zdenerwowania.

– Nie, chłopak ma rację – poparł go Drake. – Jeśli on i doktor zdołali wydostać się z Czeluści, to niewykluczone, że Rebeki dokonają tego samego. Być może już nie żyją, ale ktoś musi to sprawdzić. Jeśli przeżyły eksplozję ładunku Elliott, to wciąż mają przy sobie wirus. A na to nie możemy pozwolić. – Zamilkł na moment i spojrzał w dal,

jakby przyszła mu do głowy jakaś myśl. – Jest jednak coś, co mogłabyś zrobić dla mnie tutaj, na powierzchni, Celio.

– Co takiego? – wychrypiała pani Burrows.

– Coś mi się wydaje, że nie masz ochoty grzebać się w ziemi i włóczyć po jakichś ciemnych korytarzach, co?

Matka Willa w jednej chwili pobladła i zachwiała się, jakby miała zemdleć.

Część szósta

W drogę

## Rozdział dwudziesty ósmy



Will i jego ojciec siedzieli po jednej, a pani Burrows z Drakiem po drugiej stronie stołu w przydrożnym barze „Little Chef”. Kelnerka przyniosła im już zamówione dania, ale matka Willa nawet nie tknęła swojej porcji. Odsunęła talerz i patrzyła za okno, na niekończący się strumień samochodów płynący autostradą.

Drake powiedział im wcześniej, że kiedy skończą jeść, zawiezie chłopca i doktora Burrowsa z powrotem do Norfolk, a Drzewiec – choć nie było go nigdzie w pobliżu – miał zabrać panią Burrows do Londynu. Był to więc pożegnalny posiłek, po którym ich drogi musiały się rozejść.

Przy pozostałych stolikach siedzieli kierowcy ciężarówek, którzy w milczeniu pochłaniali zamówione dania, a w rogu usadowiła się młoda para z małym, hałaśliwym dzieckiem. Kiedy jedna z kelnerek upuściła na podłogę stertę talerzy, pani Burrows wzdrygnęła się mimowolnie. Widać było gołym okiem, że jej nerwy napięte są do granic wytrzymałości.

Pociągnęła pośpiesznie łyk wody i drżącą dłonią odstawiła szklanę na stół.

– Musiałeś wtrącić się do spraw, których nie rozumiałeś, prawda? Gdybyś dał sobie z tym spokój, nic złego by nas nie spotkało – powiedziała cicho.

– Kto... ja? – zdumiał się jej mąż, który właśnie podnosił widelec do ust.

– A któż by inny, do cholery?! – odparła pani Burrows zgryźliwie.

– Proszę, nie bij go już – poprosił Will ze znużeniem, przyciągając do siebie talerz z frytkami.

Matka oparła głowę na dłoniach i westchnęła ciężko.

– Nie, Will, nie mam już na to siły – wyznała, a potem podniosła wzrok na chłopca. – Tak naprawdę tu nie chodzi mnie ani o twojego ojca. My mamy już za sobą większość życia, które sami sobie spapraliśmy. Ale ty jesteś młody. Wszystko przed tobą. Tak mi przykro, Will. – Wyciągnęła rękę i uściśnęła przedramię syna. – Tak mi przykro, że zostałeś w to wszystko wciągnięty.

Chłopiec otarł kroplę keczupu z kącika ust.

– Mamo, ja przecież jestem w tym wszystkim od dawna. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że moja prawdziwa... – urwał raptownie.

– Twoja prawdziwa matka – pomogła mu pani Burrows.

– Tak... że Sara Jerome znów się pokaże. Do tego właśnie zmierzali Styksowie. – Podniósł palcami frytkę do ust przeżuwał ją powoli. Potem dodał jeszcze: – Ja też stanowiłem dla nich spory problem.

Wcześniej czy później i tak zostałbym porwany i zabity. Nie mam racji? – spytał, zwracając się do Drake'a.

Renegat odstawił ostrożnie filiżankę z kawą i skinął potakująco głową.

– Styksowie działają powoli, ale skutecznie. Dopadliby cię na pewno.

Niemowlę zaczęło nagle przeraźliwie wrzeszczeć. Kierowcy ciężarówek poruszyli się na krzesłach i mamrotali coś pod nosem, jakby przebudzili się z głębokiego snu.

– Nie mogę tego dłużej znieść – oświadczyła nagle pani Burrows, wstając od stołu. – Wychodzę.

– Kiedy będziesz już na zewnątrz, idź w stronę stacji benzynowej.



Drzewiec podjedzie tam białą furgonetką. Wsiądź do niej – polecił jej Drake.

– Niech tak będzie – odparła.

Doktor i Will także wstali.

Pani Burrows wyciągnęła rękę do męża. Po krótkim wahaniu mężczyzna ujął ją i uścisnął.

– Powodzenia – powiedziała żona.

– Nawzajem – odparł krótko mąż, po czym szybko usiadł z powrotem.

Pożegnanie jego rodziców wyglądało tak sztywno i oficjalnie, że Will nie bardzo wiedział, jak właściwie powinien się zachować. Stał, niezdecydowany, więc matka sama podeszła do niego.

– Chodź tu, ty... – szepnęła, obejmując go czule.

Płakała bezgłośnie, a i chłopiec z najwyższym trudem powstrzymywał łzy. Tuliła go mocno przez dłuższy czas, jakby już nigdy nie chciała wypuścić go z ramion.

– Uważaj na siebie, Will. Zawsze pamiętaj, że cię kocham – powiedziała wreszcie zachrypniętym głosem, po czym ruszyła do drzwi, ocierając po drodze oczy.

– Ja też cię kocham, mamó – odpowiedział syn, lecz pani Burrows była już na zewnątrz i maszerowała energicznym krokiem przez parking.

Will opadł ciężko na krzesło. Spojrzał na resztkę frytek, a potem odwrócił wzrok. Nie pamiętał, kiedy ostatnio matka przemawiała do niego z taką czułością ani kiedy wypowiadała takie słowa. Wiedział, że musiała to robić, kiedy był młodszy, nie przypominał sobie jednak ani jednej takiej sytuacji. Gdy dziecko w rogu sali znów zapłakało głośno, uświadomił sobie, że trzeba było wszystkich tych koszmarnych wydarzeń, by wyrwać ich z letargu, jakim było ich górnoziemskie życie, i ukazać, co naprawdę czuje do niego matka. I

co on czuje do niej.

Ogarnęło go nagle ogromne wzruszenie, a zarazem bolesne poczucie straty.

Kiedy kelnerka przyniosła zamówione lody, trzy gałki smaku czekoladowym, truskawkowym i waniliowym, Will natychmiast podniósł łyżeczkę do ust, nie chciał bowiem, by Drake i ojciec widzieli, jakie targają nim emocje. Lecz smak lodów tylko pogorszył sytuację – zapomniany smak dzieciństwa i utraconych lat.

Chłopiec zerwał się od stołu pobiegł do drzwi, by jeszcze raz porozmawiać z matką przed rozstaniem.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, nie zobaczył ani jej, ani białej furgonetki, która miała ją zabrać. Poszedł na stację benzynową, a potem przeszukał parking przed barem, lecz pani Burrows już tam nie było. Spóźnił się.

Wiedział, że Drake i ojciec czekają na niego przy stoliku, w tej chwili był jednak zbyt poruszony, by do nich wrócić. Zaszył się w rogu parkingu i przykucnął za wielkim pojemnikiem na śmieci, gdzie nikt go nie widział. Podniósł oczy ku niebu i gorzko zapłakał.

Późnym popołudniem dojechali na skraj starego lotniska. Drake skręcił w jakąś boczną drogę i zatrzymał auto. Will siedział na fotelu z przodu, obok kierowcy, podczas gdy doktor Burrows leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu. Chłopiec i renegat słyszeli jego miarowe pochrapywanie.

– W porządku, Will? – spytał cicho Drake.

– Tak myślę.

– Kiedy już będziesz na dole, musisz przede wszystkim spotkać się z Elliott – przykazał mu mężczyzna.

– To właśnie zamierzałem zrobić – skinął głową chłopiec. – Odnaleźć Elliott i Chestera.

-Tak, oczywiście. Kiedy ją znajdziesz, przekaz jej wszystkie moje

polecenia. Musimy mieć pewność, że Rebeki i ich Granicznik nie stanowią już zagrożenia i że nie ma takiej możliwości, by Dominion trafiło ponownie w ręce Styksów. Ty, Elliott i Chester musicie zrobić, co tylko w waszej mocy, żeby do tego nie dopuścić. Nie pozwólcie, żeby cokolwiek wam przeszkodziło. – Umiął na moment, gdy doktor Burrows poruszył się nagle i wymamrotał coś cicho przez sen. – Ani ktokolwiek – dodał, zerkając znacząco na tylne siedzenie. Potem westchnął ciężko. – Poszedłbym z wami, ale mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Will skinął w milczeniu głową.

– Później, kiedy już szczęśliwie wrócicie do Górnoziemia, na pewno coś razem wymyślimy. Nie mówię, że będzie to łatwe, ale...

– Dzięki – przerwał mu chłopiec, reszta była bowiem oczywista. – A co z tatą?

– Mam wrażenie, że po tym, co zaszło między nim a twoją mamą, chciałby trzymać się jak najdalej od powierzchni. Nie sądzę, żeby marzył o powrocie do Górnoziemia jeszcze przez jakiś czas. – Drake zerknął na zegarek. – W porządku, lepiej obudźmy naszą śpiącą królową. Musicie przygotować sprzęt i ruszać w drogę.

Renegat otworzył bagażnik rangę rovera i jeszcze raz sprawdził, czy Will i doktor Burrows mają wszystko, czego potrzebują w podróży głęboko pod powierzchnię. Wcześniej zapakował ekwipunek do plecaków, które nazywał bergenami, znacznie pojemniejszych od plecaka używanego do tej pory przez chłopca.

– A teraz przechodzimy do najciekawszej części – oświadczył w końcu. Przyciągnął do siebie wielką torbę podróżną i rozsunął suwak. – Tu jest twój okular. Will. Teraz działa już jak należy.

– A co się z nim stało?

Mężczyzna pokazał mu miejsce, w którym kabel owinięty był warstwą świeżej izolacji.

– Ktoś zrobił tutaj małe nacięcie i przerwał obwód. Na pewno nie był to wynik normalnego zużycia. Ktoś przy tym majstrował.

– Rebeka Pierwsza – powiedział powoli chłopiec. – Cholera jasna! To ona musiała zepsuć okular i lunetę karabinu. Chester miał rację, kiedy ją o to podejrzewał. Ta mała, podła gnida nie chciała, żebyśmy zobaczyli, że idzie za nami Granicznik!

– Zgadza się – skinął głową Drake, a potem wyjął z plecaka pudło zawierające całą baterię aerozoli w szarych, nieoznaczonych pojemnikach. – Zbadaliśmy próbkę anyżkowego ognia. Okazało się, że podczas utleniania uwalniają się z niego duże ilości N,Ndietylomtoluamidu.

– A cóż to za potwór? – roześmiał się Will.

– W skrócie DEET. To popularny środek owadobójczy, stosowany też do odstraszania owadów. Te aerozole zawierają DEET w stężeniu przemysłowym. Przyda się wam, jeśli zaatakują was pająki. Możecie też popryskać ubrania i sprzęt. Wtedy na pewno nie zbliży się do was żaden pająk. Uważajcie tylko, żeby nie aplikować tego na gołą skórę. Jasne?

– Jasne – skinął głową chłopiec.

– A co z paliwem do łodzi? – wtrącił się jego ojciec.

– Wszystko w swoim czasie, doktorze. Jeszcze nie skończyłem. – Drake rozsunął szeroko torbę, by Will mógł zobaczyć, co jeszcze jest w środku. – Dałem wam też kilka lin do wspinaczki. A ponieważ wiem, że lubisz fajerwerki, dorzuciłem parę rac i trochę innych drobiazków. – Przyciągnął jeden z plecaków i otworzył klapę.

– Materiały wybuchowe – stwierdził chłopiec, rozpoznając pojemniki, których Drake i Elliott używali w Głębi.

– Z jedną tylko różnicą: tym razem nie jest to sprzęt domowej roboty, tylko C4, plastik.

Oddasz to Elliott, musisz jej tylko powiedzieć, żeby bardzo uważała

na te maleństwa, bo są znacznie silniejsze od wszystkiego, czego używała – Ktoś zrobił tutaj maleńkie nacięcie i przerwał obwód. Na pewno nie był to wynik normalnego zużycia. Ktoś przy tym majstrował.

– Rebeka Pierwsza – powiedział powoli chłopiec. – Cholera jasna! To ona musiała zepsuć okular i lunetę karabinu. Chester miał rację, kiedy ją o to podejrzewał. Ta mała, podła gnida nie chciała, żebyśmy zobaczyli, że idzie za nami Granicznik!

– Zgadza się – skinął głową Drake, a potem wyjął z plecaka pudło zawierające całą baterię aerozoli w szarych, nieoznaczonych pojemnikach. – Zbadaliśmy próbkę anyżkowego ognia. Okazało się, że podczas utleniania uwalniają się z niego duże ilości N,N-dietyloltoluamidu.

– A cóż to za potwór? – roześmiał się Will.

– W skrócie DEET. To popularny środek owadobójczy, stosowany też do odstraszania owadów. Te aerozole zawierają DEET w stężeniu przemysłowym. Przyda się wam, jeśli zaatakują was pająki. Możecie też popryskać ubrania i sprzęt. Wtedy na pewno nie zbliży się do was żaden pająk. Uważajcie tylko, żeby nie aplikować tego na gołą skórę. Jasne?

– Jasne – skinął głową chłopiec.

– A co z paliwem do łodzi? – wtrącił się jego ojciec.

– Wszystko w swoim czasie, doktorze. Jeszcze nie skończyłem. – Drake rozsunał szeroko torbę, by Will mógł zobaczyć, co jeszcze jest w środku. – Dałem wam też kilka lin do wspinaczki. A ponieważ wiem, że lubisz fajerwerki, dorzuciłem parę rac i trochę innych drobiazgów. – Przyciągnął jeden z plecaków i otworzył klapę.

– Materiały wybuchowe – stwierdził chłopiec, rozpoznając pojemniki, których Drake i Elliott używali w Głębi.

– Z jedną tylko różnicą: tym razem nie jest to sprzęt domowej

roboty, tylko C4, plastik.

Oddasz to Elliott, musisz jej tylko powiedzieć, żeby bardzo uważała na te maleństwa, bo są znacznie silniejsze od wszystkiego, czego używała do tej pory. I jeszcze jedno... – zaczął, wyjmując z bocznej kieszeni plecaka pudełeczko z lśniącego, czarnego plastiku, nie większe od talii kart. Z boku pojemnika wychodził długi kabel. – To jest radiolatarnia – wyjaśnił, po czym podniósł kabel, by Will i doktor Burrows mogli lepiej mu się przyjrzeć. – Wysyła sygnał radiowy zwany VLF, co oznacza fale bardzo długie. Ta technologia wciąż jest w powijakach i nikt tak naprawdę nie zna zasięgu tych fal, ale jeśli będziecie zostawiać te nadajniki w najważniejszych punktach trasy, łatwiej wam będzie zorientować się w terenie.

– Jak Jaś i Małgosia, którzy rzucali na ścieżkę okruszki chleba, żeby znaleźć drogę powrotną do domu – skomentował Burrows cierpkim tonem.

– Coś w tym rodzaju, tyle że to są cyfrowe okruszki z bateriami, które wystarczą na dwadzieścia lat. Dałem wam piętnaście radiolatarni i kilka urządzeń namierzających dodał Drake, po czym odwrócił się do mężczyzny. – A paliwo do łodzi czeka już na was na dole, doktorze. Drzewiec zaniósł je tam wczoraj wieczorem.

– Tak po prostu przyjechał tu i znalazł wejście? – zdumiał się doktor.

Renegat zapiął klapę plecaka i podał go Willowi.

– Nie jesteśmy amatorami – odrzekł krótko.

– Nie, bez wątpienia – parsknął Burrows, zirytowany. – Macie dostęp do broni, nowoczesne laboratoria, najwyższej jakości sprzęt elektroniczny i inne urządzenia, o których nigdy nawet nie słyszałem. Kim wy właściwie jesteście? chciał się dowiedzieć. – Do tej pory nie wspomniałeś o tym ani słowem.

– Słyszeliście kiedyś o Iluminatach? – spytał Drake.

– Oczywiście. To tajne stowarzyszenie działające w Niemczech w osiemnastym wieku – odparł doktor z ogromną pewnością siebie, zerkając jednocześnie na Willa, by sprawdzić, czy jego wiedza zrobiła na synu wrażenie.

– Zgadza się. Założył je Adam Weishaupt w 1776 roku w Bawarii – potwierdził mężczyzna, po czym westchnął przeciągle. – Cóż, można powiedzieć, że łączą nas z nimi pewne podobieństwa. Tworzymy tajną sieć naukowców, wojskowych i członków rządu.

Jednak w odróżnieniu od Iluminatów nie chcemy realizować jakichś bliżej nieokreślonych, złowrogich celów. Wręcz przeciwnie, mamy jeden, prosty program: walczyć ze Styksami w każdy możliwy sposób.

– To niewiele wyjaśnia.

W odpowiedzi Drake puścił do doktora oko i zniżył głos do teatralnego szeptu: – I o to właśnie chodzi.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty



Łódź, niesiona prądem rzeki, w zasadzie nie potrzebowała wsparcia silnika, który pracował leniwie na niskich obrotach. Will tylko od czasu do czasu dodawał gazu, by utrzymać ich na środku kanału. Choć doktor Burrows ponownie zajął miejsce na dziobie, chłopiec miał teraz do dyspozycji okular Drake'a i sam doskonale widział, co znajduje się przed nimi.

Minęli pierwszą stację benzynową. Zatrzymali się dopiero przy drugiej, by się wysuszyć, odpocząć i coś zjeść. Renegat zaopatrzył ich w imponujący zapas lekkich porcji żywnościowych, spośród których wybrali curry.

Gdy odpoczywali po posiłku, grzejąc ręce przy maszynie benzynowej, Will zwrócił się do ojca.

– Kiedy byliśmy w Górnoziemiu, nie miałeś najmniejszego zamiaru zabierać mnie tutaj ze sobą, prawda? – spytał oskarżycielskim tonem.  
– Chciałeś zostawić mnie z mamą. Właściwie to jedyny powód, dla którego chciałeś wrócić do domu, prawda? Zamierzałeś się mnie pozbyć. Okłamałeś mnie, to proste jak dwa razy dwa. Zupełnie jak z tymi myszkami, co?

Doktor Burrows zamknął na moment oczy, a potem je otworzył.

– Robiłem to dla twojego dobra, Will. Chciałem dla ciebie jak najlepiej.

Syn spojrział na niego z ukosa.

– A wczoraj bardziej zależało ci na odczytaniu tych twoich



tabliczek niż na spotkaniu z biedną mamą. Ona wcale cię już nie obchodzi, zgadza się?

– Jak by ci to powiedzieć, Will? – zaczął tłumaczyć się ojciec, zmieszany. – To trochę jak z moją pracą w muzeum. Musiałem to robić, bo potrzebowaliśmy pieniędzy na życie, ale to nigdy nie byłem prawdziwy ja. Zawsze wiedziałem, że mógłbym zrobić coś lepszego... coś wyjątkowego. Czasami związki, małżeństwa, wyglądają podobnie. Ludzie trzymają się tego, co mają, choć w rzeczywistości nie są szczęśliwi. Przykro mi, ale twoja matka i ja już dawno oddaliliśmy się od siebie. Sam to zapewne widziałeś.

– Ale przecież nie musi tak być! – wykrzyknął Will, poruszony do głębi tymi słowami. – Nie możesz tak łatwo się poddawać. Nie starałeś się dość mocno!

– Staram się teraz – odparł doktor. – Staram się zrobić coś, dzięki czemu ludzie byłiby ze mnie dumni. Chcę, żebyś ty był ze mnie dumny.

– Nie rób sobie kłopotu – parsknął chłopiec pogardliwie, postawił kołnierz kurtki i skrzyżował ręce na piersiach.

Przespali się obaj, a potem, zamieniwszy zaledwie kilka słów, wsiedli do łodzi, by kontynuować podróż. Minęli kolejną stację benzynową, ponieważ wiedzieli, że jeśli się postarają i nie będą robić przerw, dotrą do podziemnej przystani w ciągu niecałej doby.

I tak po monotonnej półtoradniowej podróży ujrzeli przed sobą barierę skrywającą turbiny hydroelektrowni. Will pełnił dyżur na dziobie łodzi, ale z powodu zmęczenia nie był dość ostrożny. Zauważył kratownicę w ostatniej chwili. Ostrzegł ojca krzykiem, ale Burrows nie miał już zbyt wiele czasu na manewry. Dodał gwałtownie gazu, żeby ominąć przeszkodę i wpłynąć do przystani, po drodze jednak uderzył o betonowy łuk i rozbił górną część dziobu. Gdy już dostali się na spokojne wody, okazało się, że uszkodzenie nie jest zbyt

poważne, więc doktor wyłączył silnik i pozwolił, by łódź sama dopłynęła do pomostu.

Mrużąc oczy z powodu blasku lamp rozwieszonych pod sufitem jaskini, Will chwycił się pachołka, a potem jednym płynnym ruchem wyskoczył na pomost.

– Na pewno od razu poczułeś się lepiej, gdy odzyskałeś swoje nadnaturalne moce – zauważył ze śmiechem mężczyzna, starając się jakoś rozładować napięcie. – Wynieśmy bagaże na brzeg, a potem wysuszmy się trochę.

– Tato... – zaczął chłopiec, kucając na skraju pomostu. Wciąż był zły na ojca, wiedział jednak, że musi z nim współpracować, jeśli chce cokolwiek osiągnąć. – Udało nam się tu wrócić, ale tak naprawdę nie mamy żadnego planu, prawda?

– Oczywiście, że mamy – obruszył się doktor. – Rozpracowałem już niemal całą mapę.

– Tyle że nadal nie wiesz, w którym miejscu jest początek tej trasy...

– Początek drogi z tabliczek znajduje się w miejscu „spadającego morza” i „przy pojedynczym kamieniu”, jeśli dobrze przetłumaczyłem tekst. Prawdopodobnie jest to gdzieś przy okręcie podwodnym, bo „pojedynczy kamień” to zapewne ten sam głaz, który uwiecznił na zdjęciu marynarz. Mówiłeś też, że w dół tamtej przepaści spada morska woda. Wydaje mi się, że to dość obiecujące poszlaki.

– Jasne, tyle że tam już nie ma okrętu, a Elliott wysadziła większość jaskini w powietrze. Poza tym zanim zajmę się czymkolwiek innym, muszę najpierw odszukać przyjaciół, a potem upewnić się, że Rebeki i Granicznik już wypadli z gry.

Doktor Burrows, nieco urażony, podniósł wzrok na syna i westchnął głęboko.

– W takim razie mamy mnóstwo pracy – powiedział.

Drake czekał u podnóża schodów, podczas gdy pani Burrows zapukała do drzwi domu Bena Wilbrahamsa. Po chwili Amerykanin otworzył; był ubrany w jedwabny szlafrok i kapcie.

– Celia! – wykrzyknął ze zdumieniem i zsunął na nos okulary, spoczywające do tej pory na czubku jego głowy. – Nie spodziewałem się... zobaczyć... – umilkł nagle, gdy jego spojrzenie spoczęło na Drake’u, który przyglądał mu się lodowatym wzrokiem z wysokości chodnika.

– Dajmy sobie spokój z uprzejmościami – powiedziała kobieta kategorycznym tonem.

Włożyła dłonie do kieszeni wojskowej kurtki i rozejrzała się po ulicy, krzywiąc usta w pogardliwym grymasie. Potem, nie spoglądając nawet na Bena Wilbrahamsa, jakby sam jego widok sprawiał jej przykrość, odezwała się ponownie: – Powiedz swoim przyjaciołom, że mamy coś, na czym im zależy. Mamy informacje o bliźniaczkach i wirusie, który zabrały ze sobą.

– Przyjaciołom...? O wirusie...? – powtórzył Amerykanin, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Nie mam ochoty na zabawy! – warknęła pani Burrows, patrząc w końcu w twarz rozmówcy. – Więc nie marnuj mojego czasu. Dobrze wiesz, o czym mówię. Jestem gotowa spotkać się ze Styksami. Powiedz im, że mogą dostać Dominium i bliźniaczki, ale w zamian mają zostawić mnie i moją rodzinę w spokoju. Będę rozmawiać tylko z kimś, kto może mi udzielić odpowiednich gwarancji, więc umów mnie na spotkanie z panem ważniakiem.

Wilbrahams zamrugał gwałtownie, ale milczał.

– Wiem dobrze, jak wygląda ten siwy Styks, więc przekaz im, żeby nie próbowali podsunąć nam jakiegoś pionka.

Nie damy się na to nabrać – dorzucił Drake. Było to wierutne kłamstwo, ponieważ widział owego starca tylko raz i to z dużej

odległości, gdy ten wydawał rozkazy nad brzegiem Czeluści. – I lepiej, żeby się pośpieszyli. Jeśli tego nie zrobią, za czterdzieści osiem godzin skrócimy męczarnie bliźniaczek i zniszczymy wirus.

Renegat podniósł dwie fiołki, by mężczyzna mógł je zobaczyć, po czym schował je ponownie w kieszeni.

– Jeśli się zgodzą, przywiąż swoją perukę do tego – powiedziała pani Burrows, wskazując na mosiężną kołatkę na drzwiach. – Wtedy skontaktujemy się z tobą i ustalimy szczegóły.

Ben Wilbrahams odruchowo sięgnął do ciemienia.

– Skąd wie...?

– Och, daj spokój, widziałam ładniejsze wycieraczki na pchlim targu w Highfield – uśmiechnęła się drwiąco kobieta, potem obróciła się na pięcie i zeszła ze schodów. Gdy już oddalała się z Drakiem od domu Amerykanina, zawołała jeszcze przez ramię: – I pamiętaj, mają tylko czterdzieści osiem godzin!

Kiedy jechali do kryjówki, renegat spojrział z podziwem na panią Burrows.

– Nie ćwiczyliśmy nawet połowy tego, co powiedziałaś Wilbrahamsowi, ale to było naprawdę świetne. Sam nie zrobiłbym tego lepiej – pogratulował jej. – Jesteś świetną aktorką.

Gdzie się tego nauczyłaś?

– Och, tu i tam... – wzruszyła ramionami, spoglądając na wystawę sklepu z telewizorami, który właśnie mijali. – Ale nie uważasz, że trochę za bardzo ryzykujemy?

Wsadziliśmy kij w mrowisko... Boję się, że teraz spróbują dopaść nas za wszelką cenę.

– Jasne, że spróbują, ale wcześniej my spróbujemy dopaść tego pana ważniaka, jak go nazwałaś, i w ten sposób zyskać ważną kartę przetargową. W tej chwili nie mamy właściwie żadnych atutów: ani Dominion, ani bliźniaczek, choć...

– Choć oni o tym nie wiedzą – dokończyła za niego. – A co zrobimy, jeśli Styksowie nie zgodzą się na spotkanie?

– Cóż, to będzie oznaczać, że już mają wirus i nie potrzebują nas. Wtedy będziemy wiedzieć, że mamy kłopoty. Poważne kłopoty.

– Rozumiem – skinęła głową pani Burrows. – A dopóki się tego nie dowiemy, pozostaje nam tylko cierpliwie czekać.

# Rozdział trzydziesty



– Drake, to ja. Chciałem cię tylko poinformować, że dotarliśmy do podziemnej przystani – powiedział Will do słuchawki czarnego telefonu w budce radiooperatora. Umilkł i nasłuchiwał przez chwilę, ale odpowiedziały mu tylko cisza i jakieś odległe trzaski. – Proszę, powiedz też mamie... – zaczął niepewnym głosem, po czym przełknął ciężko ślinę. – Powiedz mamie, że kocham ją najbardziej na świecie i że wkrótce się z nią zobaczę.

W chwili gdy odkładał słuchawkę, zza drzwi wyjrzał doktor Burrows.

– Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz – stwierdził. – Co się dzieje?

– Zostawiłem wiadomość dla Drakea – wyjaśnił Will.

Ojciec wyglądał na rozczarowanego.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że ten człowiek nas wykorzystuje? Zmusił cię, żebyś zajmował się bliźniaczkami i tym wirusem; nie wiadomo też, do czego nakłonił Celię. Mówię ci, on po prostu traktuje ludzi jak narzędzia, za pomocą których realizuje sobie tylko wiadome cele.

– Drake jest moim przyjacielem! Ufam mu całkowicie. Gdyby nie on, już byś nie żył! – warknął chłopiec, definitywnie kończąc rozmowę.

Następnych dwanaście godzin dzielili między przygotowanie sprzętu i sen. Gdy wreszcie byli gotowi do wędrówki, zatrzasnęli za

sobą potężne, metalowe drzwi i stanęli przed panelem sterowniczym.

Will wpatrywał się w drżącą wskazówkę głównego miernika, podczas gdy ojciec sięgnął do pierwszego przełącznika i przesunął go w górę. Potem zrobił to samo z pozostałymi, a przystań ponownie pogrążyła się w ciemnościach.

– Naprawdę musimy to wyłączyć? – spytał syn.

– Zostawiaj wszystko w takim stanie, w jakim sam chciałbyś to zastać – odparł doktor Burrows belferskim tonem. – Nigdy nie wiadomo, kiedy znów będziesz musiał z tego skorzystać.

Kiedy tak stali obok siebie w całkowitych ciemnościach, świetlna kula Styksów, zamknięta w latarce chłopca, nagle ożyła, a emitowany przez nią blask z każdą chwilą przybierał na sile, aż w końcu całe pomieszczenie wypełniło się zieloną poświatą.

– Znowu się zaczyna – mruknął Will, kierując strumień światła na swoją dłoń.

Kiedy wyszli z budynku i ruszyli wzdłuż nabrzeża, obaj nieśli wielkie plecaki ze znacznie większą ilością sprzętu niż te, których wcześniej używali na powierzchni. I choć Will targał ze sobą dwa bergeny, po jednym na każdym ramieniu, a prócz tego torbę i stena, dzięki mniejszej sile grawitacji nie czuł prawie żadnego ciężaru.

Niestety, nie był to jedyny efekt oddziaływania zmniejszonego przyciągania.

– Znowu jest mi niedobrze – poskarżył się ojcu chłopiec.

– Tak, już zauważyłem, że wyglądasz trochę niewyraźnie. Ja też to czuję, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy znalazłem się w Czeluści. Ale nie ma się czym przejmować; wynika to z faktu, że twój układ trawienny jest przyzwyczajony do normalnej siły ciężenia, wspomagającej ruchy robaczkowe, wywoływane skurczami mięśni dwunastnicy, które marszczą się i przesuwają przetrawione jedzenie w dół...

– Tato, proszę, mówiłem, że jest mi niedobrze! – jęknął syn, przykładając dłoń do ust.

Kiedy dotarli do wąskiej skalnej szczeliny, Will przymocował do ściany pierwszą radiolatarnię Drake’a.

– Okruszek numer jeden – powiedział.

Był późny ranek, strumienie słonecznego blasku wypełniały wnętrze pustego pokoju. Pani Burrows siedziała na macie w pozycji lotosu, gdy z dołu dobiegł ją głos Drake’a. Bardzo brakowało jej codziennych sesji na siłowni, więc starała się je zastąpić ćwiczeniami jogi, które wykonywała na podłodze hotelowego pokoju, jej tymczasowej kryjówki. Pochwyciwszy w biegu ręcznik i butelkę wody, zbiegła po schodach; tam już czekali na nią Drake i Drzewiec. W holu było całkiem pusto, nie licząc kilku stolików i krzeseł rozstawionych wokół nich. Obaj mężczyźni stali przy głównym wejściu.

– Cześć, chłopaki! – przywitała ich Celia. – Co się dzieje?

– Łysol Wilbrahams wystawił swój tupecik na kołatkę oświadczył Drzewiec ze śmiertelnie poważną miną.

– Niemożliwe! – krzyknęła kobieta z niedowierzaniem, po czym wybuchła głośnym śmiechem, do którego przyłączyli się Drake i Drzewiec.

Renegat, wciąż uśmiechnięty, podał jej komórkę.

– A to oznacza, że nasz plan wchodzi w życie. Musisz do niego zadzwonić i ustalić czas i miejsce spotkania – powiedział cicho.

Pani Burrows przestała się śmiać i wzięła do ręki aparat.

Gdy Marta załomotała do drzwi Wilczych Jaskiń, Chester poruszył się niespokojnie na skrawku miękkiego podłoża, na którym właśnie drzemał. Jęknął cichutko, podniósł się, podrapał po plecach i jęknął raz jeszcze. Otarłszy twarz z ziemi i odgarnąwszy do tyłu długie, brudne włosy, mruknął pod nosem: „jestem jaskiniowcem” i ruszył w



stronę wejścia. Odsunął zasuwę i otworzył drzwi, żeby wpuścić kobietę do środka. Od razu dostrzegł Bartleby ego, który kręcił się niecierpliwie przed grotą.

– Zabieraj stąd tego wstrętnego kocura! – warknął.

Dopiero po chwili zauważył, że Marta uśmiecha się znacząco od ucha do ucha.

– Zgarnęliśmy główną wygraną – oświadczyła radośnie.

Chester zobaczył, co leży na ziemi obok niej, i odskoczył szybko do tyłu.

– Blee!

Z ciemnej, zmierzwionej sierści wypływały wstęgi pary. Trudno było określić kształt upolowanego stworzenia, rzuconego na skałę – wyglądało jak futrzany dywan, z którego wystawał gruby pysk.

– To wilk?

– Oczywiście – potwierdziła Marta. – Złapał się w jedną z moich pułapek. Prawdziwa bestia. Wpakowałam mu aż trzy kule w tył łba, nim w końcu padł.

– Trzy kule – powtórzył Chester automatycznie, podczas gdy kobieta się pochyliła, by pochwycić wilka za tylną łapę i wciągnąć go do jaskini.

Chłopiec przyglądał się jej poczynaniom, kiwając przy tym głową.

– Jestem jaskiniowcem – westchnął z rezygnacją.

Już miał zamknąć drzwi, gdy przypomniał sobie, że na zewnątrz czeka Bartleby. Kocur z niepokojem wpatrywał się w niego ślepiami wielkimi jak spodki – wiedział, że ostatnio nie zasłużył sobie na szczególne względy. Chłopiec parsknął z oburzeniem, potem machnął przyzwalająco ręką. Bart najwyraźniej zrozumiał ten gest, ponieważ ostrożnie przemknął obok, po czym weselszym już krokiem pobiegł za Martą.

Chester także ruszył jej śladem i stwierdził ze zdumieniem, że

kobieta nie zatrzymała się tam, gdzie zazwyczaj przebywali, czyli na obszarze wysypanym miękką ziemią i piaskiem. Kiedy w końcu dogonił ją nieco dalej, w głębi kompleksu jaskiń, już oprowiała schwytane zwierzę, podczas gdy Elliott obserwowała uważnie każdy jej ruch.

Marta wyłupiła jedno oko wilka, nacięła je lekko i włożyła do ust. Potem zacisnęła mocno zęby i wciągnęła głośno płyn wypływający z gałki, który pociekł również cienką strużką po jej brodzie.

– Boże... – jęknął chłopiec.

Kobieta wyssała do końca pierwsze oko, a potem zajęła się drugim. Wyłupiła je i nacięła, po czym podała Elliott.

– Dobre źródło płynu – poinformowała, gdy dziewczyna włożyła oko do ust.

– Jeny! – znowu jęknął Chester i opadł ciężko na podłogę.

– Całkiem dobre – stwierdziła Elliott, zerkając na kolegę. – Następnym razem też powinienesz spróbować.

Chłopiec tylko wydał z siebie jakiś bulgoczący dźwięk, co dziewczyna skwitowała chichotem. Chester najpierw się oburzył, potem jednak i on dojrzał zabawną stronę tej sytuacji. Uśmiechając się pod nosem, kręcił głową, podczas gdy przyjaciółka ponownie zajęła się obserwacją poczynań Marty, która z wprawą oprowiała drapieżnika.

Wyzdrowienie dziewczyny graniczyło z cudem. Antybiotyki okazały się wyjątkowo skuteczne, a ona wróciła do poprzedniej formy – chociaż zdaniem Chestera nie była już tą dawną, małomówną Elliott z Głębi. Teraz wydawała się bardziej rozmowna, a nawet beztroska.

Być może stało się to, o czym mówiła Rebeka Pierwsza, i gorączka „ugotowała jej mózg”.

Chester wolał jednak myśleć, że koleżanka była po prostu wdzięczna jemu, Willowi i Marcie, że zrobili wszystko co w ich mocy,

by uratować jej życie. Tak czy siak, umiała Chesterowi przymusowy pobyt w Wilczych Jaskiniach, gawędząc z nim godzinami i grając w kółko i krzyżyk, które rysowali patykami na miękkim podłożu.

Elliott rozmawiała bez końca również z Martą, starając się uzyskać od niej jak najwięcej praktycznych informacji. Uparła się, by kobieta nauczyła ją oprawiać i gotować pajęczę małpy, a po jakimś czasie nabrała takiej wprawy, że zajmowała się tym zawsze, gdy Marta przynosiła z polowania świeże mięso. A teraz uczyła się oprawiać jaskiniowego wilka.

Grota wypełniła się na moment paskudnym odgłosem darcia, kiedy Marta oderwała przednią łapę zwierzęcia. Z uszkodzonego tułowia trysnął strumień krwi.

– Marto, dlaczego przy taszczyłaś to bydlę aż tutaj? – spytał Chester, odwracając głowę i rozglądając się po nieznannej mu części jaskini.

– Bo zapach przyciągnie inne wilki... i pająki – odpowiedziała mu Elliott, biorąc od Marty oderwaną kończynę i kładąc ją na skale. – A jeśli masz ochotę nam pomóc, to może rozpalibyś ogień?

– Jasne – skinął głową chłopiec.

Wilk był pyszny i stanowił miłą odmianę od pajęczego mięsa, którym posilali się od wielu już dni. Wszyscy najedli się do syta i zadowoleni rozsiedli wygodnie. Chester nie mógł się jednak odprężyć. Z każdym dniem coraz bardziej niepokoił się o Willa i coraz bardziej niecierpliwił, że nawet nie próbują go szukać. Wykorzystując chwilę spokoju, postanowił ponownie zagadnąć o to Martę.

– Więc co zrobimy? – zwrócił się do niej, gdy siedziała oparta plecami o ścianę jaskini, z Bartlebym u boku. – Nie możemy zostać tutaj na zawsze.

– Teraz, gdy Elliott jest już silniejsza... – zaczęła kobieta, jakby oczekiwała tego pytania – ... możemy wrócić do chaty.

Zostało nam niewiele anyżkowego ognia, ale jeśli będziemy go oszczędzać, powinno wystarczyć na drogę powrotną.

Chłopiec pokręcił głową.

– Być może Will już tam jest – dodała szybko. – Nie zdołałby przeżyć, gdyby ciągle przebywał przy przepaści.

– Przeżył w całkowitych ciemnościach, bez jedzenia i picia grubo ponad dobę, gdy pogubiliśmy się w Głębi. Tym razem miał ze sobą plecak, no i swojego tatę. Will nie jest mięczakiem – stwierdził Chester z mocą.

– Cóż, w takim razie możemy wrócić nad przepaść i przeszukać okolicę. Nigdy nie wiadomo, może Bartleby zwęszy jego trop i pomoże nam go odnaleźć. Ale równie dobrze możemy na nic nie trafić, a przez cały czas będziemy narażać się na niebezpieczeństwo. Jeśli Will przeżył tę eksplozję, to mogli ją przeżyć także bliźniaczki i Granicznik. Nie zapominaj też o bielakach. Prawdę mówiąc, wolałabym...

– Pójdę go szukać, nawet gdybym musiał robić to całkiem sam – przerwał jej Chester.

Elliott podeszła bliżej i przysłuchiwała się rozmowie.

– Co o tym myślisz? – zwrócił się do niej chłopiec.

– Idę z tobą. My nigdy nie zostawiamy naszych ludzi na pastwę losu – odrzekła bez wahania.

W tym momencie Chester uzmysłowił sobie, jak bardzo dziewczyna przypomina Drake'a.

Świadomość, że wróciła do formy i że tak bardzo zależy jej na odzyskaniu przyjaciela, ogromnie podniosła go na duchu.

– Dopóki jest choćby najmniejsza szansa, że Will żyje, będziemy go szukać – dodała. – On zrobiłby dla nas to samo.

– Tak jest – zgodził się z nią Chester. – Dobry, stary Will...

– Pośpiesz się albo zostawię cię samego! – ostrzegł Will ojca, który

znowu został z tyłu, by podziwiać coś, co przykuło jego uwagę. Tym razem była to jakaś formacja skalna na ścianie szczeliny.

– Te bladożółte złoża, które co jakiś czas mijamy... jestem przekonany, że to elektrum – powiedział doktor, odwracając się do syna. – Wiesz, co to jest?

– Jakiś minerał? – spytał chłopiec bez cienia entuzjazmu.

– Nie „jakiś” minerał, mój chłopcze. To stop złota i srebra, i to ze sporą zawartością złota!

– Nie mamy na to czasu! – warknął syn. – Chodźmy już!

Mężczyzna się wyprostował.

– Skąd ten nagły pośpiech? Nie było nas tu przez prawie tydzień. Zanim dotrzemy na dół, twoich przyjaciół już dawno tam nie będzie.

Widać było wyraźnie, że los Chestera, Elliott i Marty ani trochę nie obchodzi doktora Burrowsa. Will pominął tę uwagę milczeniem, lecz aby dać ujście frustracji, odbezpieczył stena, którego zabrał ze sobą pod ziemię zamiast długiego i nieporęcznego karabinu. Poza tym wydawało mu się, że sten dużo lepiej pasuje do jego nowego, militarnego wyglądu.

– Nie ma pośpiechu – dodał doktor.

Kiedy odwrócił się ponownie do ściany i zaczął pogwizdywać w ten swój irytujący sposób, Will z najwyższym trudem trzymał nerwy na wodzy.

– Baw się dobrze ze swoim elektrum – syknął przez zaciśnięte zęby i ruszył w dół szczeliny.

Zauważywszy, że mija właśnie jeden z bocznych tuneli, odruchowo dotknął aerozolu, który wcześniej przymocował do ręki taśmą samoprzylepną. Uzbrojony w środek owadobójczy, pistolet maszynowy i okular Drake’a, czuł się gotowy na wszystko, z ojcem u boku czy też bez niego.

– Hej, Will! Poczekaj na mnie! – krzyknął doktor Burrows,

podrywając się do biegu.

# Rozdział trzydziesty pierwszy



– Nie byłam tu od lat – zauważyła pani Burrows, kiedy przeszła wraz z Drakiem pod metalowym łukiem przy wejściu na Błonia Highfield.

Luk ten, stanowiący najnowszy element wyposażenia parku, był nieznośnie wręcz nowoczesny. Składał się z kilku rurek z nierdzewnej stali, wygiętych na kształt tarczy i porośniętych bluszczem. Połączenie roślin i metalu nie wyglądałoby może najgorzej, gdyby nie co najmniej kilkanaście par znoszonych trampek związanych sznurówkami i przerzuconych nad wierzchołkiem łuku. Kilka par majtek rozwieszonych obok butów jeszcze pogłębiało wrażenie zaniedbania i bylejakości.

Jednak pani Burrows nawet tego nie zauważyła, pogrążona w zadumie i odległych wspomnieniach.

– Kiedyś chodziłam tu z dziećmi na spacer, przywoziłam je w wózku, gdy były jeszcze małe – westchnęła. Nagle, tknięta pewną myślą, podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę. – Woziłam tu młodego Kolonistę. Nie, gorzej, woziłam małego Kolonistę i Styksa. I NIE MIAŁAM O TYM NAJMNIEJSZEGO POJĘCIA! – wykrzyknęła.

– Spokojnie, Celio – ostrzegł ją Drake. – Nie chcemy przyciągać uwagi.

Wskazał na ścieżkę wysypaną żwirem, prowadzącą na trawiaste zbocze. Ruszyli powolnym krokiem w górę alejki, mijając po drodze dwóch chłopców, którzy próbowali uwolnić latawiec zaplątany w krzewach.

– Za słaby dziś wiatr – skomentował renegat.

Zarówno on, jak i pani Burrows spojrzeli odruchowo na pogodne, błękitne niebo, upstrzone tu i ówdzie białymi obłoczkami.

– To dziwne, ale człowiek zaczyna doceniać pewne rzeczy... – przemówiła kobieta, opuszczając wzrok i sycąc się bujną zielenią trawy i drzew – ... dopiero gdy przypuszcza, że wkrótce je straci. – Odwróciła głowę w stronę Broadlands Avenue, gdzie nad grzbietem wzgórza i wierzchołkami drzew widać było dachy domów. – Albo już je stracił.

Na szczycie wzniesienia znajdował się wylany asfaltem krąg, pośrodku którego stał granitowy wiktoriański wodotrysk z pitną wodą. Drake podszedł do niego i nacisnął zaśnieżony, mosiężny guzik. W tym momencie z metalowego kraniku, umieszczonego na środku wielkiej misy, powinien był trysnąć strumień krystalicznie czystej wody. Nic takiego jednak nie nastąpiło, ani kropla wody nie spadła do misy, w której zalegała warstwa gnijących liści, a do tego zgnieciona puszcza po cocacoli.

– Więc jutro o tej porze będę tu czekała na Styksów – powiedziała pani Burrows, zerkając na zegarek. Zmarszczyła brwi i zlustrowała przestrzeń u podnóżu zbocza. – Naprawdę jesteśmy tu teraz bezpieczni? Mogą obserwować to miejsce i spróbować nas porwać...

– Mało prawdopodobne – pokręcił głową Drake. – Zbyt wielu świadków.

– A jednak... – zaczęła Celia.

– Spokojnie. Wiedzą, że nie jesteśmy tak głupi, by nosić fiolki przy sobie, więc nic nie zrobią. A przynajmniej nie dzisiaj. Ty natomiast powinnaś dobrze zapoznać się z terenem. Wskazał na ścieżkę wysypaną żwirem, prowadzącą na trawiaste zbocze. Ruszyli powolnym krokiem w górę alejki, mijając po drodze dwóch chłopców, którzy próbowali uwolnić latawiec zaplątany w krzewach.



– Za słaby dziś wiatr – skomentował renegat.

Zarówno on, jak i pani Burrows spojrzeli odruchowo na pogodne, błękitne niebo, upstrzone tu i ówdzie białymi obłoczkami.

– To dziwne, ale człowiek zaczyna doceniać pewne rzeczy... – przemówiła kobieta, opuszczając wzrok i sycąc się bujną zielenią trawy i drzew – ... dopiero gdy przypuszcza, że wkrótce je straci. – Odwróciła głowę w stronę Broadlands Avenue, gdzie nad grzbietem wzgórza i wierzchołkami drzew widać było dachy domów. – Albo już je stracił.

Na szczycie wzniesienia znajdował się wylany asfaltem krąg, pośrodku którego stał granitowy wiktoriański wodotrysk z pitną wodą. Drake podszedł do niego i nacisnął zaśniedziały, mosiężny guzik. W tym momencie z metalowego kraniku, umieszczonego na środku wielkiej misy, powinien był trysnąć strumień krystalicznie czystej wody. Nic takiego jednak nie nastąpiło, ani kropla wody nie spadła do misy, w której zalegała warstwa gnijących liści, a do tego zgnieciona puszcza po cocacoli.

– Więc jutro o tej porze będę tu czekała na Styksów – powiedziała pani Burrows, zerkając na zegarek. Zmarszczyła brwi i zlustrowała przestrzeń u podnóży zbocza. – Naprawdę jesteśmy tu teraz bezpieczni? Mogą obserwować to miejsce i spróbować nas porwać...

– Mało prawdopodobne – pokręcił głową Drake. – Zbyt wielu świadków.

– A jednak... – zaczęła Celia.

– Spokojnie. Wiedzą, że nie jesteśmy tak głupi, by nosić fiołki przy sobie, więc nic nie zrobią. A przynajmniej nie dzisiaj. Ty natomiast powinnaś dobrze zapoznać się z terenem W DROGĘ

i przygotować do tego spotkania. – Renegat skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o wodotrysk. – Nie reaguj w żaden sposób na to, co ci teraz powiem: Drzewiec ma już tutaj swoich ludzi. Kryją się w

kępach krzaków wokół wzgórza.

– Naprawdę? – spytała kobieta z powątpiewaniem.

– Owszem, jest ich dziesięciu – odparł Drake.

Pani Burrows zerknęła przelotnie na krzewy.

– Tutaj? Teraz? Jak to możliwe? Nikogo nie widzę...

– Są dobrze ukryci. Prawdopodobnie w tej chwili obserwują nas przez lunety. Jutro rozmieścimy jeszcze więcej ludzi w strategicznych punktach wokół wzgórza. Chcę, byś wiedziała, że robimy wszystko, co możemy, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Mogę mieć jedno, oczywiste pytanie? – zaczęła pani Burrows.

– Wal śmiało.

– Czy Styksowie mają tutaj tunele? Z tego, co mi mówiłeś, wynika, że sieć ich korytarzy sięga niemal wszędzie.

– Zdążyliśmy przeprowadzić badania geofizyczne i znaleźliśmy kilka niewyraźnych cieni. Oznacza to, że kiedyś były tu prawdopodobnie jakieś podziemne przejścia i komnaty, ale zostały zasypane albo same się zawaliły.

Pani Burrows uśmiechnęła się pod nosem.

– Zupełnie jak w tym serialu Wyprawy w czasie<sup>16</sup>.

Drake odsunął się od wodotrysku, po czym oboje ruszyli w drogę powrotną, wciąż rozmawiając.

– Posłuchaj, nawet jeśli Styksowie spróbują zagrać nieczysto, będziemy przygotowani – mówił mężczyzna, zacierając ręce, jakby cieszyła go ta perspektywa. – Już sobie wyobrażam, jakie będą mieli głupie miny, kiedy ich zaskoczymy i porwiemy ich wysłannika.

<sup>16</sup> Brytyjski serial dokumentalny (tytuł oryginalny: Time Team) prezentujący grupę archeologów, którzy podczas wykopalisk odkrywają tajemnice przeszłości.

– Nie przypuszczasz, żeby rzeczywiście na spotkanie przyszedł sam pan ważniak, prawda? – spytała Celia.

– Nie znam go, więc nie mógłbym go rozpoznać, nawet gdyby rzeczywiście się tutaj pojawił. Ale bez względu na to, kogo przyślą, i tak go dopadniemy i przesłuchamy. Dzięki temu zbierzemy trochę nowych informacji i poznamy lepiej metody ich działania. Jednak nawet nie to jest najważniejsze. Fakt, że w ogóle zgodzili się na spotkanie, mówi nam niemal wszystko, czego chcielibyśmy się dowiedzieć: potwierdza, że nie mają wirusa.

Pani Burrows wzruszyła ramionami.

– Może to kolejny podwójny blef. Może już mają wirus, tylko chcą sprawdzić, co m y wiemy, albo nas uciszyć.

Drake nie odpowiedział na tę sugestię.

## Rozdział trzydziesty drugi



Pani Burrows czuła nieprzyjemny ucisk w piersiach, kiedy następnego dnia szła w górę zbocza. Wzięła kilka głębokich oddechów, starając się w ten sposób poskromić narastający niepokój. „Celio, będzie dobrze. Wkrótce będzie już po wszystkim” – próbowała się uspokajać. „Jasne, tak czy inaczej, będzie po wszystkim” – odpowiedziała jej zjadliwie inna część umysłu.

Choć nie mówiła o tym Drake owi, była śmiertelnie przerażona. Z tego, co słyszała do tej pory o Styksach, wynikało, że musi stawić czoła wrogowi zdolnemu do aktów największego okrucieństwa i przemocy; wrogowi, który nie zawaha się zabić każdego, kto stanie mu na drodze. Czuła, że w ogóle nie jest na to przygotowana, jakby zrzucono ją między linie wrogich armii w jakimś obcym kraju i nie miała pojęcia, gdzie właściwie czai się nieprzyjaciel.

Pocieszała się myślą, że przynajmniej w ten sposób pomaga Willowi. Jej syn prawdopodobnie był już głęboko we wnętrzu Ziemi, gdzie być może znów musiał zmagać się z bezwzględnyimi bliźniaczkami. Ta myśl ani trochę nie pomogła pani Burrows się uspokoić. Jako matka powinna była walczyć do utraty tchu, by chłopiec nie wrócił do podziemnego świata. Nie zrobiła tego jednak, więc wyrzuty sumienia sprawiały jej teraz niemal fizyczny ból. Zbrodnią było wymagać tak wiele od tak młodego człowieka – świadomość tego nie dawała kobiecie spokoju.

Z rozmyślań wyrwało ją zaciekle ujadanie małego psa. Spojrzała w

dół zbocza i odszukała wzrokiem zwierzę i jego właściciela, który rzucał mu piłkę. Maszerując zwawo w górę ścieżki, powiodła spojrzeniem dokoła, przyglądając się innym ludziom, którzy tego dnia przybyli do parku.

Mniej więcej trzydzieści metrów dalej, na pledzie rozłożonym na trawie siedziały dwie nastolatki. Nie zwracały uwagi na panią Burrows ani też na nikogo innego, wpatrzona w książki. Potem kobieta usłyszała jakieś podniesione głosy i przesunęła spojrzenie nieco dalej na trzech kloszardów siedzących na ławce po wschodniej stronie wzgórza. Przekazywali sobie butelkę i palili papierosy. Drake mówił jej, że Styksowie często przebierają się za bezdomnych, więc przypatrywała im się przez kilka sekund. Przypomniała sobie postacie chudego Styksa i przysadzistych Kolonistów, które widziała na zdjęciach wykonanych przez Drzewca. Nie, ci ludzie wyglądali na prawdziwych kloszardów. Właściwie wszyscy wyglądali całkiem normalnie, nikt nie wydawał się podejrzany.

Zerknęła na zegarek. 14:55.

Jeszcze pięć minut.

Może zupełnie niepotrzebnie się denerwowała. Może ten ważny Styks, którego chciał schwytać Drake, przejrzał ich plan i w ogóle nie zamierzał się pojawić na spotkaniu. „I dobrze” – pomyślała w duchu. A skoro operacja miała być tylko stratą czasu, powinna się zrelaksować i cieszyć miłym popołudniem na zielonych Błoniach. Kiedy jednak zacisnęła dłoń na fiolkach, które trzymała w kieszeni, zrozumiała, że nie jest to możliwe.

Sytuacja była na to zbyt niesamowita.

Pani Burrows miała wrażenie, że w przeciągu ostatnich sześciu miesięcy przeniosła się do jakiejś zupełnie innej rzeczywistości. Najpierw jej spokojne życie stanęło na głowie, gdy doktor Burrows opuścił dom, by wyruszyć w swoją szaloną podróż. Potem, w

Humphrey House, kiedy wydawało jej się, że budzi się z jakiegoś głębokiego snu i powoli odzyskuje kontrolę nad własnym życiem, okazało się, że znikł nie tylko Will, lecz zaginęła także jej córka, a właściwie dwie fałszywe córki. Kobieta znalazła się w sytuacji równie dziwnej i nieprawdopodobnej jak te, które do tej pory widziała jedynie w filmach – zwykle zresztą nawet nie oglądała do końca tego rodzaju historii.

14:58.

– Wszystko w porządku? – zabrzmiał głos Drake’a w małej słuchawce ukrytej w uchu pani Burrows, równie czysty i wyraźny, jakby renegat stał tuż obok niej.

– Tak – odparła, dochodząc właśnie do wylanego asfaltem placu na szczycie wzgórza.

Przechadzając się swobodnie wokół wodotrysku, spoglądała w dół, raz jeszcze sprawdzając, czy nie dzieje się tam nic podejrzanego. Kiedy znalazła się po północnej stronie wzniesienia, dojrzała mężczyznę w sportowej koszulce i spodniach, który przebiegał obok rozpadającej się estrady, potem zaś minął stojącą w pobliżu parę starszuchów. Wszystko to wyglądało całkiem niewinnie.

Pani Burrows podniosła rękę do twarzy, jakby chciała się podrapać po brodzie, i przemówiła do mikrofonu ukrytego w rękawie: – Nie widzę nic podejrzanego. Nic a nic.

15:00.

– A to już godzina duchów – dodała.

– Miej oczy szeroko otwarte – odparł Drake.

Renegat krył się w zniszczonej furgonetce przy wejściu na Błonia wraz z Drzewcem i dwójką swych pomocników – byłych żołnierzy z oddziału Drzewca. W środku samochodu znajdowały się trzy czarnobiałe monitory, ukazujące obraz z bezprzewodowych kamer umocowanych na drzewach wokół wzgórza. Drzewiec i jego

towarzysze obserwowali uważnie otoczenie.

– Nie obejrzymy wyścigu na drugim kanale – mruknął jeden z żołnierzy z udawanym żalem, nie odrywając jednak spojrzenia od nieco zaśniewzonego obrazu pani Burrows na najbliższym ekranie.

Drake spojrział na zegarek.

– 15:02. Wygląda na to, że nic z tego nie będzie – stwierdził z rozczarowaniem.

– Poczekajmy jeszcze chwilę – zaproponował Drzewiec. – Nigdzie się nie śpieszymy.

Renegat skinął głową.

– Sprawdźmy, czy wszyscy są na miejscach – polecił.

Drzewiec przełączył krótkofalówkę na inną częstotliwość i skontaktował się z żołnierzami ukrytymi na zewnątrz, podczas gdy Drake ponownie zajął się obserwacją wzgórze przez tylne okna furgonetki.

Pani Burrows przechadzała się powoli wokół wodotrysku. Usłyszała odległe buczenie i podniosła głowę. Na niebie przesunął się powoli samolot pasażerski, zostawiając za sobą cienką, białą smugę. „Dałabym wszystko, żeby w nim teraz być” – pomyślała tęsknie.

15:05.

Po jednej z niżej położonych ścieżek przemknął na rowerze mężczyzna w jasnoczerwonym dresie. Starsza para opuściła swoje miejsce przy estradzie i ruszyła powoli w górę zbocza, w stronę wodotrysku. Celia zaczęła im się baczniej przyglądać. Staruszka pchała przed sobą torbę zakupową na kółkach, staruszek zaś dreptał niepewnie obok niej. Jedną ręką opierał się na ramieniu towarzyszki, w drugiej zaś trzymał laskę, którą również się podpierał. Oboje W DROGĘ

poruszali się tak powoli i mozolnie, że kobieta aż uśmiechnęła się do siebie. Ta para z pewnością w niczym nie przypominała

krwiożerczych Styksów.

– Dwoje emerytów idzie w moją stronę. Poza tym wszędzie spokój  
– powiedziała pani Burrows do mikrofonu, udając, że poprawia fryzurę.

– Okay – odparł Drake. – Czekamy dalej. Dajmy im jeszcze kilka minut.

15:08.

Celia odgoniła jakąś natrętną muchę, która usiadła jej na czole. Przeszła na drugą stronę wodotrysku i spojrzała w dół południowego zbocza. Mężczyzna i jego pies znikli. Ktoś szedł ścieżką na dole, lecz oddalał się od wzgórza.

Pani Burrows odszukała wzrokiem furgonetkę Drakea i przyciemnione szyby, zza których obserwował ją jego zespół. Potem przeszła na wschodnią stronę i popatrzyła na dwie nastolatki, wciąż pogrążone w lekturze. Uparta mucha znów podleciała bliżej i kobieta odgoniła ją zniecierpliwionym gestem.

Przeszła dalej. Wzruszająca para staruszków zbliżała się powoli do szczytu, choć starszy pan wyglądał tak, jakby lada moment miał runąć na ziemię i utrzymywał się na nogach tylko dzięki pomocy swej towarzyszki.

15:10.

Pani Burrows usłyszała jakieś krzyki i przekleństwa. Przeszła na wschodnią stronę. Dwaj kloszardzi wstali z ławki, trzeci jeszcze na niej siedział. Nagle zerwał się na równe nogi i zaczął wymachiwać pięściami, grożąc swym kompanom, po czym chwiejnym krokiem ruszył za nimi. Celia odprowadzała włóczęgów wzrokiem, dopóki nie minęli furgonetki Drake'a.

„To na pewno nie Styksowie” – pomyślała ponownie.

Ścieżką w dolnej części zbocza szła kobieta z dwoma chartami afgańskimi – wielkimi, chudymi i długonogimi psami, które



wyglądały tak, jakby miały na sobie kosztowne futrzane kostiumy.

Uparta mucha znów zaatakowała panią Burrows, omal nie wpadając jej do oka.

– Co za cholera!

– Co się stało? – spytał zaniepokojony Drake.

– Nic, to tylko mucha.

W tym momencie usłyszała piskliwe skrzywienie.

Odgłos ten wydobywał się z kółek wózka, który pchała przed sobą staruszka. Pani Burrows przeszła na północną stronę wzgórza. Starsza para znajdowała się w odległości około dziesięciu metrów od wodotrysku i zbliżała do niego w ślimaczym tempie.

Pani Burrows spojrzała przelotnie na staruszków i przeszła dalej, wciąż patrząc w dół z boczna.

15:11.

– Mam towarzystwo. Emeryci dowlekli się na górę – przekazała Drake'owi.

– Tak, mamy ich na obrazie z kamery, a dwa zespoły obserwują ich przez lunety – odrzekł mężczyzna. – Ja ich nie widzę, bo są po drugiej stronie wodotrysku.

– Nie martw się, jakoś sobie z nimi poradzę – zapewniła go pani Burrows z uśmiechem.

Opuściła rękę, gdy starsi państwo przeszli na stronę, po której stała, nie chciała bowiem, by widzieli, jak rozmawia z własnym rękawem.

Skrzypu, skrzypu. Kółka torby na zakupy. I rytmiczny stukot laski uderzającej o asfalt.

Pani Burrows odciągnęła ramiona do tyłu i wzięła głęboki oddech, udając, że przyszła tutaj, by nawdychać się świeżego powietrza. Wykonując długi, powolny wydech, zerknęła na starszą parę, szybko jednak odwróciła wzrok. Staruszka przypatrywała jej się zza grubych

szkieł okularów. Miała nieprzyjemne, małe oczka.

psami, które wyglądały tak, jakby miały na sobie kosztowne futrzane kostiumy.

Uparta mucha znów zaatakowała panią Burrows, omal nie wpadając jej do oka.

– Co za cholera!

– Co się stało? – spytał zaniepokojony Drake.

– Nic, to tylko mucha.

W tym momencie usłyszała piskliwe skrzypienie.

Odgłos ten wydobywał się z kółek wózka, który pchała przed sobą staruszka. Pani Burrows przeszła na północną stronę wzgórza. Starsza para znajdowała się w odległości około dziesięciu metrów od wodotrysku i zbliżała do niego w ślimaczym tempie.

Pani Burrows spojrzała przelotnie na staruszków i przeszła dalej, wciąż patrząc w dół z bocza.

Mucha znów przeleciała tuż przed twarzą pani Burrows, ta jednak nawet nie próbowała jej odgonić.

Poczuła dziwny niepokój.

Znowu zerknęła na staruszkę.

Siwe włosy starszej pani stanowiły gęstą masę ciasno splecionych loków, jakby dopiero co zostały poddane trwałej ondulacji. Górna warga jej wąskich ust naciągnięta była przez zbyt daleko wysunięte sztuczne zęby, co nadawało jej nienawistny, gniewny wygląd. Pani Burrows spuściła oczy, potem jednak podniosła je ponownie, tym razem spoglądając na starszego mężczyznę. Wyglądał na siedemdziesiąt kilka lat i miał w obu uszach coś, co zdaniem kobiety wyglądało na aparaty słuchowe. On także spojrzał na nią śmiało, a potem zmrużył oczy, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie podoba mu się jej wzrok. Pani Burrows natychmiast się odwróciła i przeszła nieśpiesznie kilka kroków, starając się zachować nonszalancką pozę.

Napomniła się w duchu, mówiąc sobie, że zachowuje się idiotycznie i że jest to tylko starsze małżeństwo, które wybrało się na przechadzkę po parku albo na bingo, albo na zakupy. Coś jednak nie dawało jej spokoju i kazało ponownie odwrócić się w ich stronę.

Starszy pan pochylał się nad torbą na zakupy. Dopiero teraz kobieta zauważyła, że torba jest większa, niż można by się spodziewać – znacznie większa od przeciętnych toreb na zakupy, które starsi ludzie pchają lub ciągną za sobą po chodnikach. W odróżnieniu od takich właśnie pojemników, wykonana była z ciemnobrązowego materiału, a nie tkaniny w kwiaty lub kratę.

Miała też większe i mocniejsze kółka.

Mucha usiadła na półeczku pani Burrows, ta jednak nawet tego nie zauważyła.

Patrzyła prosto na staruszkę, która właśnie wkładała do uszu aparaty słuchowe. Po chwili starsza pani podniosła wzrok i spojrzała prosto w twarz nieznajomej.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie pani Burrows, nieco zmieszana, jakby została przyłapaną na czymś mocno wstydlwym.

– Uważasz się za spryciarza? – warknęła staruszka.

Pani Burrows nie odpowiedziała. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy uwaga ta nie została skierowana do partnera starszej pani – przecież w małżeństwach o długim stażu często można było usłyszeć tego rodzaju cierpkie przymówki.

Potem jednak zobaczyła, że starszy mężczyzna, pochylony nad wózkiem, lecz zwrócony w jej stronę, wyciąga przed siebie palec, jakby chciał nacisnąć guzik.

Czy miał tam bombę?

W tym momencie Celia go rozpoznała.

– Oscar Embers! – wyszeptała.

Był on jednym z sobotnich pomocników jej męża w muzeum. A

Will powiedział, że pewnie jest agentem Styksów. To oznaczało, że staruszka najpewniej nazywa się...

– Tant... Tant... Tantrum! – wykrztusiła pani Burrows, usiłując przypomnieć sobie jej imię.

– Powtórz to – poprosił ją Drake. – Co mówisz...?

15:15.

– Kon... KONTAKT! – zdołała wreszcie wykrzyknąć pani Burrows.

Żołnierze w czarnych uniformach wyskoczyli ze swoich kryjówek wokół wzgórza.

– Pośpiesz się! – wrzasnął Drake, gdy jeden z jego ludzi zaczął się szarpać z tylnymi drzwiami furgonetki.

Drzewiec odsunął go na bok, by osobiście się tym zająć, ale stracił przy tym kilka cennych sekund.

– Głupcy! – krzyknął Oscar Embers i z uśmiechem na ustach nacisnął jakiś guzik w torbie.

Powietrze przeszył niski dźwięk, który bardzo szybko zaczął przybierać na sile.

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie pani Burrows, nieco zmieszana, jakby została przyłapaną na czymś mocno wstydlwym.

– Uważasz się za spryciarza? – warknęła staruszka.

Pani Burrows nie odpowiedziała. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy uwaga ta nie została skierowana do partnera starszej pani – przecież w małżeństwach o długim stażu często można było usłyszeć tego rodzaju cierpki przy mówki.

Potem jednak zobaczyła, że starszy mężczyzna, pochylony nad wózkiem, lecz zwrócony w jej stronę, wyciąga przed siebie palec, jakby chciał nacisnąć guzik.

Czy miał tam bombę?

W tym momencie Celia go rozpoznała.

– Oscar Embers! – wyszeptała.

Był on jednym z sobotnich pomocników jej męża w muzeum. A Will powiedział, że pewnie jest agentem Styksów. To oznaczało, że staruszka najpewniej nazywa się...

– Tant... Tant... Tantrum! – wykrztusiła pani Burrows, usiłując przypomnieć sobie jej imię.

– Powtórz to – poprosił ją Drake. – Co mówisz...?

Nie słuchając już nawet gorączkowych krzyków Drake'a, pani Burrows przygotowała się na najgorsze. Najpierw pomyślała, że za chwilę dojdzie do wybuchu – w torbie musiała być ukryta bomba. Potem uświadomiła sobie, że nie zdąży uciec przed eksplozją.

Przegrała.

Dźwięk stał się tak głośny, że kobieta zaczęła mimowolnie dzwonić zębami. Potem obniżył się o jedną oktawę, potem o następną, a później o jeszcze kilka, aż stał się całkiem niesłyszalny.

Oczy pani Burrows obróciły się białkami do góry; czuła się tak, jakby ktoś przeciągał nożem po jej kręgosłupie i wprawiał każdą z kończyn w niekontrolowane drżenie. Ten dźwięk, niesłyszalny dla ludzkiego ucha, był nie do zniesienia.

Wtedy Oscar Embers nacisnął inny guzik.

Płachty materiału po obu stronach wózka odpadły i odsłoniły niezwykłą maszynę. Jej boki wykonane były z lśniącego czarnego materiału, w którym osadzono kilka wklęsłych, talerzowatych kręgów o różnych rozmiarach i błyszczącej powierzchni podobnej do rtęci.

Wtedy nastąpiła eksplozja, ale nie taka, jakiej spodziewaliby się Drake i jego żołnierze.

Pani Burrows osunęła się nieprzytomna na ziemię.

Czarne urządzenie wyrzuciło z siebie ogłuszającą falę, niewidzialną ścianę dźwięku, która oddziaływała tylko na żywe stworzenia.

Wszyscy żołnierze, którzy przed momentem wyskoczyli z kryjówek, nawet nie zdążyli wkroczyć do akcji, lecz padli bez przytomności na

ziemię. Spacerująca kobieta i jej dwa charty stracili świadomość. Dwie nastolatki dotychczas pogrążone w lekturze po prostu przewróciły się na plec. Tuż obok opadło na trawnik stado szpaków, również ogarnięte ogłuszającą falą.

Mieszkańcy budynków przy Broadlands Avenue (o tej porze na szczęście większość z nich przebywała poza domem) też stracili przytomność. Także wszystkie samochody znajdujące się w zasięgu uderzenia fali dźwiękowej albo zatrzymały się gwałtownie, albo wjechały w inne auta zaparkowane wzdłuż ulicy, gdy ich kierowcy stracili kontakt z rzeczywistością.

Drake, Drzewiec i dwaj pozostali żołnierze, którzy nie zdołali na czas otworzyć drzwi, leżeli jeden na drugim z tyłu furgonetki.

– Wystarczy – rozkazał stary Styks, który pojawił się na szczycie wzgórza, obok Oscara Embersa i pani Tantrumi. Oscar Embers posłusznie wyłączył tajemnicze urządzenie. – Posprzątajcie tutaj, zanim przyjedzie górnoziemska policja – polecił, wyjmując zatyczki z uszu. Teraz już ich nie potrzebował.

Poskrzypując swym długim, skórzanym płaszczem, podszedł do miejsca, gdzie na ziemi leżała nieprzytomna pani Burrows. Nie patrzył jednak na nią, tylko na Graniczników, którzy kręcili się po rozciągniętym poniżej trawniku niczym stado karaluchów. Potem, gdy podbiegło do niego dwóch żołnierzy, wskazał na kobietę. Granicznicy podnieśli bezwładne ciało, jeden za ręce, drugi za nogi.

– Czekaście! – warknął stary Styks. – Najpierw trzeba ją przeszukać.

Jeden z nich znalazł w kieszeni pani Burrows dwie fiołki i pokazał je dowódcy. Ten skinął głową.

– Dobrze. Dajcie je do zbadania, a potem zabierzcie ją do aresztu – to powiedziawszy, dowódca obszedł granitowy wodotrysk, obserwując poczynania swoich żołnierzy, którzy odciągali na bok

nieprzytomnych ludzi. Inni zasypywali kryjówki wykopane w ziemi i ściągali kamery zainstalowane na drzewach. Już po kilku chwilach wokół wzgórza nie pozostał żaden ślad operacji.

Powróciwszy na południową stronę zbocza, starzec zerknął na furgonetkę zaparkowaną przy wejściu na Błonia. Granicznicy jeszcze do niej nie dotarli, wydawało się jednak, że tylne drzwi są otwarte. Stary Styks był pewien, że kiedy Embers uruchomił maszynę, furgonetka była zamknięta.

Coś tu nie pasowało.

W tym momencie dojrzał w pobliżu samochodu jakąś wysoką, ciemną postać – wyglądała jak jeden z jego ludzi, ale była ubrana na czarno. Zmarszczył brwi.

To niemożliwe.

Tego dnia był tu jedynym Styksem, który nie miał na sobie munduru Granicznika.

Ruszył pośpiesznie w dół ścieżki wysypanej żwirem, w stronę białej furgonetki.

Drzewiec właśnie przekręcał klamkę tylnych drzwi, kiedy w auto uderzyła fala dźwięku.

Drake wiedział już, że są obiektem ataku, ponieważ pani Burrows wypowiedziała wcześniej ustalone hasło.

Ściany furgonetki nie stanowiły żadnej ochrony przed poddźwiękową falą, co gorsza – jeszcze potęgowały jej działanie. Nie minęła nawet sekunda, odkąd Oscar Embers uruchomił urządzenie Styksów, a Drake i jego towarzysze upadli bezwładnie na podłogę.

Drake nie widział więc, jak mężczyzna z zatyczkami w uszach, które pani Burrows wzięła mylnie za aparat słuchowy, otwiera drzwi furgonu i wchodzi do środka. Nie czuł nic, gdy ów mężczyzna, którego bez wątplenia wziąłby za Styksa, wyciąga jego ciało spośród ciał nieprzytomnych kolegów, a potem niesie je do samochodu.

Archiwum Muzeum Highfield Dwudziestka z Błoni w Highfield wychodzi ze szpitala. Oficjalne oświadczenie Ministerstwa Zdrowia.

Ministerstwo Zdrowia wydało krótki komunikat dotyczący dziwnych wydarzeń, które miały miejsce w ostatni poniedziałek na Błoniach Highfield oraz na dwóch sąsiednich ulicach, gdzie znaleziono w sumie dwadzieścia nieprzytomnych osób.

W poniedziałek, około godziny 15:45 służby ratunkowe otrzymały pierwsze zgłoszenia z tego terenu. Jedenaście osób, które leżały nieprzytomne na samych Błoniach, zostało natychmiast przewiezionych do szpitala miejskiego w Highfield. Służby porządkowe przeszukały również domy przy Broadlands Avenue i Denewood Road – ulicach sąsiadujących z Błoniami, gdzie znalazły kolejnych dziewięć ofiar. Na tym samym obszarze znaleziono również wiele nieprzytomnych zwierząt, w tym szpaki i gołębie, a także dwa charty afgańskie: Tippy'ego i Topy'ego, zwycięzców licznych konkursów i wystaw. Ludzie spacerujący w owym czasie w pobliżu High Street w Highfield skarżyli się też na napady nudności i kłopoty ze wzrokiem.

Na szczęście nie było żadnych ofiar śmiertelnych prócz złotej rybki w domu przy Denewood Road, która najprawdopodobniej się utopiła.

Dwudziestka z Błoni w Highfield, jak nazwano ofiary tego dziwnego wydarzenia, odzyskała przytomność po kilku godzinach, choć niektórzy 7 chorych skarżyli się na dokuczliwe Lole głowy, trwające jeszcze przez kilka kolejnych dni. Wszyscy poszkodowani przeszli też kwarantannę w szpitalu miejskim w Highfield i poddani zostali badaniom, które miały określić, co było przyczyną ich zaślabnięcia. Badania wykluczyły jednoznacznie takie czynniki, jak promieniowanie czy też zatrucie wody lub jedzenia. Trzech pacjentów wymagało dodatkowego leczenia ze względu na obrażenia, które odnieśli, kiedy samochody prowadzone przez nich wpadły na inne



pojazdy.

Omar Ashmi wew. 2213

Trzy dni po incydencie pozwolono wrócić do domów mieszkańcom ewakuowanym z budynków graniczących z Błoniami. Wszyscy jednakże będą się musieli przyzwyczaić do widoku naukowców z Ministerstwa Zdrowia badających Błonia w Highfield, które jeszcze przez kilka tygodni pozostaną zamknięte dla mieszkańców. Rzecznik policji oświadczył, że przyczyna tego niewyjaśnionego zjawiska znajdowała się zapewne na samych Błoniach, nie potrafił jednak podać żadnych konkretnych argumentów na poparcie tej hipotezy.

Ministerstwo Zdrowia stanowczo odrzuciło sugestie, że przyczyną ową mógł być nowy przekaźnik telefonii komórkowej, zamontowany na dachu remizy przy Pitt Street. Miejskowa grupa nacisku, która przybrała nazwę „Żadnych Masztów w Highfield”, prowadzi od zeszłego roku kampanię na rzecz usunięcia wyżej wspomnianego masztu. Ruth Cook, rzeczniczka grupy, powiedziała: „Nie przeprowadzono szczegółowych badań dotyczących wpływu fal emitowanych przez te maszty na organizmy nasze i naszych dzieci. To, co robią firmy telefoniczne, jest oburzające. Ich zarządy dopuszczają się przestępstwa i powinny stanąć przed sądem”.

Charty afgańskie Tippy i Topy wróciły już w pełni do zdrowia i wezmą udział w zbliżającej się wystawie psów „Crufts”.

T.K. Martin, Highfield

## Rozdział trzydziesty trzeci



– Halley jako pierwszy sformułował teorię pustej Ziemi oświadczył ni stąd, ni zowąd doktor Burrows. – A było to już w roku 1692.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Will, ocierając rękawem pot z czoła.

Korzystając z dużego nachylenia podłoża, maszerowali w szybkim tempie w dół szczeliny.

– Edmund Halley, no wiesz... ten astronom, którego nazwiskiem została nazwana kometa. Twierdził, że Ziemia jest zbudowana z czterech koncentrycznie ułożonych sfer, jak rosyjska matrioszka, no wiesz: kilka lalek włożonych jedna w drugą. Potem, w osiemnastym wieku, do tej hipotezy wrócił niejaki Symmes. Uważał... AU! – doktor Burrows przerwał monolog i wrzasnął przeraźliwie, poślizgnąwszy się na skalnym podłożu. Przejechał na podeszwach spory dystans, nim wreszcie zdołał się zatrzymać. – Niewiele brakowało! Ależ ze mnie niezdara...

– Przez grzeczność nie zaprzeczę... – mruknął Will.

– Na czym to ja stanąłem? Ach tak, no więc Symmes uważał, że na biegunach znajdują się wielkie otwory w skorupie ziemskiej i że wydobywający się z nich gaz powoduje powstawanie zorzy polarnej. A może to była teoria Halleya...?

– Tato, już to wszystko słyszałem, więc po co znów mi tym opowiadasz? – spytał syn, zniecierpliwiony.

– Bo starożytny lud, którego ślady znalazłem na Wielkiej Równinie,

musiał dokądś pójść. To niemożliwe, żeby wszyscy ci ludzie po prostu wskoczyli do Czeluści i innych przepaści, choć wiedzieli, że skończy się to dla nich śmiercią. To nie był jakiś atak zbiorowego szaleństwa, w wyniku którego cały naród postanowił popełnić samobójstwo, niczym stado lemingów.

– Ale ta historia o lemingach to bzdura; one wcale nie popełniają samobójstwa – zauważył chłopiec. – To bajka.

Doktor Burrows mówił jednak dalej, jakby wcale nie usłyszał tej uwagi: – Nie, w przypadku tych ludzi musiało chodzić o coś więcej... Zbudowali nawet świątynię na cześć tego drugiego świata, który ich zdaniem krył się we wnętrzu Ziemi i który nazwali Ogrodem Drugiego Słońca. Tryptyk, który widziałem w tej świątyni, pokazuje jednoznacznie, że ich zdaniem było to jakieś idylliczne miejsce.

– Może zeżarły ich pająki? – podsunął Will złośliwie.

– To nie ma sensu: nie zawracaliby sobie głowy sporządzaniem mapy na kamiennych tabliczkach albo rzeźbieniem symbolu trójzębu w pobliżu okrętu podwodnego, czy gdzie on tam jest. Nie, byli świetnie zorganizowani... wędrowali dokądś... Tylko dokąd?

Syn nie próbował odpowiedzieć na to pytanie, przez jakiś czas szli więc w milczeniu, aż doktor odezwał się ponownie: – W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pewien szalony profesor twierdził, że wewnątrz Ziemi zamieszkuje jakaś wysoko rozwinięta rasa, która ma latające talerze.

Chłopiec miał już dość.

– W porządku, więc Symmes i jemu podobni byli stukniętymi naukowcami, którzy mieli różne szalone teorie.

co chcesz przez to powiedzieć? – spytał obcesowo.

– Że być może jednak wcale nie byli tacy stuknięci – odparł Burrows.

– Chwileczkę – powiedział Will, zatrzymując się nagle.

Ojciec spojrział wyczekująco na syna, przekonany, że ten doznał jakiegoś olśnienia i za moment podzieli się z nim przemyśleniami, które pozwolą im odgadnąć, dokąd udała się starożytna rasa.

Doktor Burrows czuł się tak, jakby w jego głowie toczyła się bitwa między dwiema przeciwstawnymi ideologiami, przeciąganie liny, w którym udział biorą dwa zespoły.

Silniejsza drużyna, dowodzona przez siwowłosego Karola Darwina, składała się z naukowców, historyków i wielkich myślicieli, na których wzorował się sam doktor i którym próbował dorównać przez całe dorosłe życie. Do drugiej drużyny należały postacie nieco mniej konwencjonalne, między innymi Halley i Symmes, a jej przywódcą był Lukrecjusz, który w pierwszym wieku przed naszą erą przekonywał wszystkich, że świat jest płaski jak naleśnik.

Oczywiście, w innych okolicznościach Burrows kibicowałby zespołowi Karola Darwina, teraz jednak, gdy obie drużyny wyteżały wszystkie siły, a lina aż trzeszczała, czuł dziwną sympatię do drużyny niekonwencjonalnej. Wyglądało na to, że zaczyna poważnie traktować teorię pustej Ziemi.

– O co chodzi, Will? Wymyśliłeś coś? – spytał ojciec z nadzieją i wstrzymał oddech.

Jednak zamiast rzucić światło na losy starożytnej rasy, chłopiec skierował promień latarki na pobliski korytarz, odchodzący na prawo od szczeliny. Później ruszył ostrożnie w jego stronę.

– Jeśli jesteśmy już blisko miejsca, w którym leżał okręt podwodny, to być może jest to jeden z tuneli, do których baliśmy się wejść ze względu na młode pająki? – Wyłączył latarkę i opuścił okular Drake'a, by obejrzeć wewnątrz korytarza. – Tato, czy ten tunel nie wygląda znajomo?

– Myślę, że... chyba... tak – odpowiedział powoli doktor Burrows, pocierając brodę.

Will był pod wrażeniem.

– Naprawdę?

– Tak, kiedy patrzę na tę wiszącą skałę pod sufitem... wydaje mi się, że już ją widziałem.

– Zdumiewające! Naprawdę ją zapamiętałeś? – dopytywał się przejęty syn.

– Tak, jest wyjątkowa. Tak, przypuszczam, że to skała ignoragmowa... Tak, to może być głupotanit.

– Ignoragmowa? Chyba magmowa... – Will odwrócił głowę i spojrzał ze zdumieniem na ojca. – Głupotanit? Nie ma czegoś takiego!

– Ha! – wykrzyknął doktor. Był ogromnie rozczarowany, że chłopiec nie potraktował poważnie teorii pustej Ziemi, i postanowił sobie z niego zażartować.

– Głupotanit – powtórzył beznamiętnie syn, a potem z rozczarowaniem pokręcił głową.

– Posłuchaj, Will, widziałem tu już setki tuneli i wszystkie wyglądają dla mnie tak samo. Naprawdę sądzisz, że mogłem zapamiętać ten właśnie, a nie tysiąc innych?

Jednak chłopiec już go nie słuchał. Odwrócił się z powrotem do tunelu i wciągnął powietrze w nozdrza.

– Pająki. Wyczuwam pająki.

Zsunął plecak z ramienia, postawił go na ziemi i wyjął jedną z radiolatarni od Drake'a.

Uruchomił ją i położył na skalnej półce.

– Zostawiasz to tutaj, żeby twój kumpel znalazł bez problemu drogę? – spytał ojciec zjadliwym tonem.

– Drake?

– A jak myślisz, po co dał ci te urządzenia? Tylko po to, żeby mógł za nami pójść, kiedy najdzie go ochota.

Mężczyzna pochylił się szybko nad plecakiem Willa, chwycił jedną

z radiolatarni i schował ją do kieszeni.

– Po co ci to? – spytał chłopiec, zamykając klapę bergena i podnosząc go z ziemi.

– Po prostu chciałem mieć coś takiego – odrzekł doktor dziecinnie.

– Dlaczego?

– Na wypadek gdybyśmy się rozdzielili. Wtedy będziesz mógł znaleźć mnie.

Kręcąc głową z dezaprobatą, Will podniósł stena i wszedł powoli do korytarza.

– Pająki, powiadasz? Niczego nie czuję – stwierdził ojciec, ruszając śladem syna i ostentacyjnie pociągając nosem.

Przeszli kilkaset metrów, kiedy nagle coś poruszyło się przed nimi i uciekło w ciemność.

– Tak, pająki – wyszeptał syn. – Miałem rację. I przysłoń trochę świetlną kulę, bo popsujesz mi okular.

– Może byśmy wrócili do głównego korytarza i spróbowali wejść do innej odnogi? – marudził Burrows. Ignorując prośbę Willa, nie przesłonił świetlnej kuli, lecz podniósł ją wyżej, by przyjrzeć się otworom w suficie korytarza. Każdy z nich był na tyle duży, że mogła kryć się w nim dorosła pajęczka mała. – Nie chciałbym zostać tutaj na zawsze...

W tym właśnie momencie coś wychynęło z ciemności i runęło w stronę Willa. Chłopiec zdążył tylko zobaczyć świecący krąg na głowie pająka, nim ten wylądował tuż przed nim, na skraju kręgu światła rzucanego przez kulę ojca.

– Dobry Boże! – wykrzyknął ze zgrozą doktor, kiedy Will otworzył ogień.

Seria z pistoletu maszynowego dosłownie rozszarpała potwora na strzępy. Pociski jednak nie utknęły w jego ciele, lecz odbijały się rykoszetem od ścian tunelu.

– Will! Dostyc! – zawołał mężczyzna, a chłopiec posłusznie zdjął palec ze spustu.

Kiedy podeszli do szczątków drapieżnego stworzenia, Will zachichotał.

– Masz za swoje, potworze! – prychnął, wkładając nowy magazynek do stena.

– To było wielkie bydlę – stwierdził doktor Burrows, trącając stopą fragment owłosionego korpusu. – Trzeba było sporo kul, żeby je zabić. Jak tak dalej pójdzie, zużyjesz całą amunicję, nim dotrzemy do końca tego tunelu – zauważył.

Will skinął głową.

– To prawda, zużyłem cały magazynek, czyli trzydzieści dwa pociski. Lepiej sprawdźmy, czy działa na nie ten aerozol, który dał nam Drake.

– A właściwie jak zamierzasz to sprawdzić? – zainteresował się ojciec.

– Cóż... zdążyłem już trochę poznać zwyczaje pajaków i wiem, że zapach krwi przyciągnie tu zaraz całą chmurę tych milutkich stworzeń.

– Hm... jesteś pewien, że tego właśnie...? – zaczął nerwowo Burrows, nie dokończył jednak zdania, gdy Will wyjął jeszcze swojego browninga i odciągnął kurek.

– Jest odbezpieczony – powiedział, wręczając ojcu pistolet. Powtórzył bezwiednie słowa, które kiedyś skierował do niego Drake.

– To nie jest zabawa w kotka i myszkę – mruknął doktor pod nosem.

Will oderwał aerozol, który przymocował wcześniej do ręki taśmą samoprzylepną, i skierował rozpylacz do przodu, podobnie jak lufę stena. Przez chwilę czekali w milczeniu, wpatrzeni w ciemność.

Doktor Burrows robił się coraz bardziej niespokojny.

– To był kiepski pomysł – stwierdził w końcu.

– Pst! – syknął chłopiec, dosłyszawszy stukot kamieni. – UWAŻAJ!

– krzyknął tuż potem, gdy z ciemności wypłynęło kilka świecących kręgów.

Will miał rację: krew zabitego pająka szybko zwabiła jego pobratymców.

– ZJEDZCIE TO! – wrzasnął i nacisnął rozpylacz, kierując go na pajęczę mały.

Efekt był porażający: gdy tylko wielkie stworzenia dotarły do chmury gazu, zerwały się do panicznej ucieczki, omal nie gubiąc po drodze nóg. Gdy już znikły w głębi korytarza, chłopiec potrząsnął aerozolem i się uśmiechnął.

– Działa rewelacyjnie – stwierdził. – Naprawdę dobra robota, Drake.

Żelazne drzwi celi uderzyły w ścianę z ogłuszającym hukiem. W wejściu stanął potężnie zbudowany mężczyzna, który przesłonił niemal całe drzwi.

– Wstawaj, złociutka – burknął. – Nie udawaj. I tak wiem, że mnie słyszysz.

Choć pani Burrows już kilka godzin wcześniej odzyskała świadomość, przypuszczała, że ktoś może ją obserwować, i nie ruszała się z wilgotnej, ołowianej półki.

– Wstawaj, górnoziemska zarazo! – warknął ponownie mężczyzna.  
– Wstawaj albo sam cię stąd wyciągnę! – ryknął w końcu.

Gdy kobieta odzyskała przytomność, czuła się naprawdę strasznie, jakby ktoś obił ją ze wszystkich stron. Zastanawiała się, jakie właściwie skutki wywołało urządzenie ukryte w wózku Oscara Embersa. Nie pamiętała, co się stało po tym, jak boki torby nagle odpadły.

Wiedziała jednak z całą pewnością, że tajemnicze urządzenie



przyprawiło ją o okropny ból głowy. Z pękającą głową i paskudnym smakiem w ustach leżała w ciemnej celi i próbowała ogarnąć sytuację. Im dłużej nad tym myślała, tym gorsze wydawały jej się perspektywy na przyszłość – jeśli w ogóle miała przed sobą jakąś przyszłość.

Powietrze w celi przesycone było zapachem stęchlizny, co utwierdziło panią Burrows w przekonaniu, że Styksowie zabrali ją pod ziemię. To zaś oznaczało, że w zasadzie nie ma żadnych szans na ucieczkę. Wiedziała też, że Styksowie nie zamierzają puścić jej wolno ani też serdecznie ugościć. Nie po tym, jak korzystając z pomocy Drake'a, sama planowała ich potraktować.

Choć położenie wydawało się beznadziejne, pani Burrows nie poddawała się rozpaczcy ani strachowi. Teraz za późno już było na żale. Zgodziła się odgrywać rolę przynęty, chociaż wiedziała, że może przypłacić to życiem – Styksowie na pewno zamierzali się jej pozbyć, przyspieszyła więc to, co i tak było nieuniknione. Leżąc na półce i oddychając głęboko, zrozumiała, że nie ma innego wyjścia, jak tylko przyjąć wszystko, co gotował jej los. Płacz i narzekania niczego by nie zmieniły, nie miały więc najmniejszego sensu. Jej sytuacja i tak nieco się poprawiła, ponieważ dzięki głębokim, wyregulowanym oddechom pozbyła się wreszcie okropnego bólu głowy.

– Doigrałaś się! – warknął olbrzymi mężczyzna i ruszył ciężkim krokiem, wyciągając ku niej rękę.

Pani Burrows usiadła prosto.

– Dzień dobry – powiedziała, ujmując jego dłoń i ściskając ją mocno. – Jestem Celia Burrows. A jak pan się nazywa?

Mężczyzna, zaskoczony jej grzecznym zachowaniem, oddał uścisk dłoni.

– Jestem... ee... drugim policjantem – wyjąkał.

– Wiedziałam, że jest pan policjantem – ucieszyła się kobieta, zerkając na złotą gwiazdę naszytą na jego marynarce. – Ma pan

piękny mundur.

– Hm... dziękuję – odparł mężczyzna, wypuszczając jej rękę i nadymając klatkę piersiową, tak że wyglądała jak balon wypełniony gorącym powietrzem.

Potem przypomniał sobie, po co tu właściwie przyszedł.

– No już! Wstawaj! – znów warknął.

– Dlaczego jest pan taki niemły? – upomniała go pani Burrows. – Dobre maniery to prawdziwy skarb.

– Powiedziałem...

– Słyszałam, co pan powiedział.

Kobieta nieśpiesznie podniosła się z półki, poprawiła ubranie i minawszy policjanta, wyszła na korytarz. Gdy stanęła przed celą, zauważyła, że na jednym końcu holu znajduje się biurko oświetlone przysłoniętą kulą, na drugim zaś są otwarte drzwi.

– Gdzie ja właściwie jestem? – spytała, gdy dołączył do niej drugi policjant.

– W pudle.

– Tak, tego zdążyłam się domyślić – powiedziała z uśmiechem. – Chodziło mi raczej o to, czy jesteśmy w Kolonii.

– Kolonia jest kilka mil dalej. To jest Ćwiartka – odparł funkcjonariusz.

– Ćwiartka – powtórzyła pani Burrows. – Zdaje się, że mój syn coś o tym wspominał...

– Twój syn! – syknął drugi oficer, czerwieniąc się nagle. – Powiem ci coś o twoim synu.

Secie Jeromie, czy jak on się tam nazywał w Górnoziemiu.

– Will – wtrąciła. – Will Burrows.

– Tak, cholerny Will Burrows – prychnął pogardliwie oficer. – Ten mały gnojek walnął mnie łopata – stwierdził z oburzeniem, przesuwając ręką po łysej głowie, jakby tamta rana wciąż sprawiała

mu ból.

– Dlaczego? Czy także wobec niego zachowywał się pan jak ostatni cham? – spytała kobieta słodkim głosem.

– Ja... – zaczął, potem jednak jego twarz uległa nagłemu przeobrażeniu, wykrzywając się we wściekłym grymasie. – Nie waż się tak do mnie...

– Skoro pan jest drugim, to gdzie jest pierwszy oficer? przerwała mu bezceremonialnie pani Burrows. – Odpoczywa na wybiegu dla naczelnych?

Mężczyzna nie miał pojęcia, o czym mówi kobieta, odpowiedział jednak: – Ma dyżur przy głównym wejściu. A co to właściwie jest „wybieg dla naczelnych”?

Nigdy o tym nie słyszałem.

– To całkiem zrozumiałe, choć pan doskonale by tam pasował. W Górnoziemiu to miejsce, gdzie osobniki pana pokroju jedzą banany. Ludzie bardzo lubią tam przychodzić; przyglądają się temu całe tłumy.

– Lubię banany – rozpromienił się funkcjonariusz.

– Tak też sobie pomyślałam... – mruknęła pani Burrows pod nosem.

Kiedy dotarli do drzwi na końcu korytarza, zatrzymała się, by zerknąć na inne cele.

– Trzymacie tu kogoś jeszcze? Drake’a albo Drzewca?

– Nie, w tej chwili jesteś tylko ty – odparł mężczyzna.

Matka Willa, zaniepokojona tą informacją i pełna najgorszych obaw, pozwoliła, by drugi policjant zaprowadził ją do holu o pobielanych ścianach. Choć po długim pobycie w celi jej wzrok wciąż nie mógł przywyknąć do jasnego światła, widziała przez moment główne wejście komisariatu. Zobaczyła też biurko i siedzącego za nim policjanta młodszą wersję drugiego oficera, przyglądającego jej się z

zaciekawieniem. Jednak drugi oficer poprowadził ją szybko na prawo, w głąb korytarza, wzdłuż którego ciągnął się szereg zamkniętych drzwi.

– Okropnie chce mi się pić; czy mogłabym dostać trochę wody? – spytała pani Burrows.

– Przed Ciemnym Światłem lepiej mieć pusty żołądek – poradził jej funkcjonariusz, kiwając powoli głową.

Pani Burrows nie podobały się ani jego ton, ani to, co mówił. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, co Will opowiadał o Ciemnym Świecie, podczas gdy drugi policjant prowadził ją kolejnym korytarzem, uderzając ciężko buciorami o wypolerowaną podłogę.

Potem zobaczyła otwarte drzwi. Z pokoju wylewała się smuga światła. Kobieta zgarbiła się lekko i przygotowała w duchu na najgorsze, gdy drugi oficer wprowadził ją do pomieszczenia.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, było krzesło – masywny mebel wykonany z mocnego drewna, pociemniałego ze starości. Stało przed stołem, na którym spoczywało jakieś dziwne urządzenie; pani Burrows od razu uznała, że to właśnie jest Ciemne Światło. Nie poświęciła mu jednak zbyt wiele uwagi, ponieważ nieco dalej, za urządzeniem czekali dwaj Styksowie w całej swej przerażającej okazałości. Już wcześniej widziała Styksów na zdjęciach Drzewca, lecz nigdy nie znajdowała się tak blisko ludzi, którzy zdaniem Willa i Drake'a byli wcielonym złem. „Z wyjątkiem Rebek” – poprawiła się w duchu. Teraz jednak miała przed sobą dorosłych Styksów, od których nie mogła oderwać oczu. Przesuwała spojrzeniem po nakrochmalonych białych kołnierzach i płaszczach ciemnych jak noc.

Wpatrywała się w lśniące, gładko zaczesane włosy i blade twarze o surowym, nieprzejednanym wyrazie. Zaglądała w ich oczy, które płonęły jakąś nieziemską mocą i mroziły jej krew w żyłach.

Drugi oficer pomógł jej usiąść na krześle i skórzanymi pasami przywiązał jej ręce do poręczy.

Pani Burrows była tak zaabsorbowana widokiem tych dziwnych istot, że zdała sobie sprawę z tego, co robi policjant, dopiero gdy ten obwiązywał jej nogi. Napięła mięśnie przedramion skrzepowanych skórzanymi pasami i uświadomiła sobie, że jest w pełni zdana na łaskę i niełaskę tych ludzi. Tymczasem drugi oficer oplótł skórzanym paskiem także jej głowę, przyciągając ją do specjalnej podpórki z dwiema wyściełanymi obejmami. Podpórka zbudowana była tak, że kobieta nie miała żadnej możliwości ruchu i mogła patrzeć jedynie prosto przed siebie, na Styksów czekających za stołem.

Usłyszała, jak policjant wychodzi i zamyka drzwi. Została teraz sama z dwoma Styksami, a w pokoju zapadła przejmująca, niczym niezmacona cisza. Mężczyźni wpatrywali się w panią Burrows w milczeniu, a ich ciemne źrenice lśniły niczym czarne brylanty. Kobieta miała wrażenie, że lada moment ktoś krzyknie: „Cięcie!”, a ona zobaczy ukryte do tej pory kamery i ekipę filmową... że to wszystko nie dzieje się naprawdę, lecz jest tylko sceną z filmu. Odsunęła od siebie te myśli. Nie! Znowu próbowała nią ośwładnąć stara Celia Burrows – ona właśnie w ten sposób próbowałaby radzić sobie z tego rodzaju sytuacją. Nie mogła na to pozwolić; musiała stawić czoło okropnej rzeczywistości. Musiała stawić czoło swoim demonom. Tym demonom.

Nagle obaj Styksowie się poruszyli i odwrócili do siebie, pochyleni lekko do przodu.

Gestykulując gwałtownie, zaczęli rozmawiać w przedziwnym języku, którego pani Burrows nigdy wcześniej nie słyszała. Dźwięki wydawane przez nich można było przyrównać tylko do odgłosu dartego papieru. Brzmiało to bardzo nieprzyjemnie i wprawiło kobietę w jeszcze większe zdenerwowanie.

– Może byście wreszcie zaczęli? – odezwała się wyzywającym tonem. – Pokażcie, na co was stać, bydlaki.

Styksowie przerwali rozmowę i odwrócili się do niej.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział jeden z nich nosowym głosem i natychmiast sięgnął do urządzenia stojącego na stole. Obsługiwał je szybkimi, niemal gadzimi ruchami. Jego blade palce wcisnęły przełącznik na małym czarnym pudełku, połączonym za pomocą powyginanego brązowego kabla z tajemniczym urządzeniem. Choć ogólnie rzecz biorąc, przypominało ono lampkę, zamknięta w nim żarówka wyglądała naprawdę dziwnie – była ciemnofioletowa, tak ciemna, że niemal czarna.

Pudełko leżące na stole zaczęło drżeć, lecz po chwili znieruchomiało. Styks poprawił jakieś kontrolki za lampą. Pani Burrows była niemal pewna, że kiedy odsunął rękę, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. W tej samej chwili lampa rozpałała się pomarańczowym blaskiem, a potem ponownie przygasła.

Nagle pokój pogrążył się w ciemnościach, chociaż żaden ze Styksów nie ruszył nawet palcem. Uwięziona kobieta napięła odruchowo mięśnie, ogarnięta dziwnym uczuciem, jakby spadała z dużej wysokości. Potem zatkały się jej uszy, jakby jechała szybką windą. Zaczęła mimowolnie szczekać zębami. „Więc znów się zaczyna” – pomyślała. Przypomniała sobie, że doświadczała podobnych doznań w chwili, gdy Oscar Embers uruchomił maszynę ukrytą w torbie.

Choć w ciemności nie widziała Styksów, słyszała ich głosy. Potem dotarło do niej ciche kliknięcie, jakby ktoś wcisnął jakiś przełącznik, i ujrzała coś, co wyglądało jak miliony maleńkich iskierek opadających na taflę spokojnego, nocnego morza. Próbowali przestraszyć ją tymi efektami specjalnymi? „Nie jest tak źle” – uznała.

Ale potem zrobiło się gorzej.

Czuła się tak, jakby coś próbowało dostać się do środka jej głowy, niczym wygłodniały robak, który chce przegryźć się przez skórę dojrzałej brzoskwini. To coś było jednak znacznie większe od robaka, rozmiarem przypominało raczej jeża, całkiem jednak odmiennego od pocziwych jeży, które można znaleźć w stercie liści. Nie, ten egzemplarz miał stalowe kolce ostre jak nóż i żadnych oporów przed zadawaniem bólu. I zadawał ból. Pani Burrows krzyknęła przeraźliwie, gdy wbił się nagle w jej czaszkę, by potem przeskakiwać z jednej półkuli mózgowej do drugiej. Następnie przemieścił się do przodu i ulokował tuż za jej lewym okiem, zmuszając je do niekontrolowanego, nieustannego mrugania. Chwilę później wrócił na środek czaszki. Celia wykrzywiła twarz w grymasie cierpienia: ból głowy powrócił mocniejszy i gorszy niż kiedykolwiek, przyprawiał ją o wymioty.

Wtedy Styksowie zasypali ją gradem pytań: – Jak się nazywasz?

– Co robisz?

– Czy jesteś z człowiekiem o imieniu Drake?

– Jakie masz plany?

– Gdzie jest Will Burrows?

– Gdzie jest twój mąż, Roger Burrows?

– Gdzie są dziewczyny, które znasz jako Rebeki?

– Gdzie są fiolki z Dominium?

– Nazwisko? Plany?

– Gdzie są fiolki z Dominium?

Wydawało się, że każde pytanie wylatuje gdzieś z daleka i pędzi ku niej niczym płonąca kometa, spadająca z bezgwiazdznego nieba. A gdy w końcu w nią uderzało, przenikał ją straszliwy ból. Napinała odruchowo wszystkie mięśnie i zmagiała się ze skórzanymi paskami, które oplatały jej kończyny i głowę; krople potu rosily jej czoło i spływały grubymi strużkami po całym ciele.

Styksowie wciąż zasypywali ją pytaniami, powtarzali je w nieustającym cyklu, od czasu do czasu dorzucając nowe. Każde kolejne pytanie było niczym jeszcze większa kometa, kula rozpalonej do białości plazmy, która uderzała prosto w jej ciało.

Przez cały czas szalony jeź kręcił się w środku jej głowy i zaglądał, gdzie tylko chciał. Przed oczami pani Burrows przesuwały się wspomnienia z różnych momentów jej życia: dzień, w którym wprowadziła się wraz z mężem do nowego domu w Highfield, potem kolacja w indyjskiej restauracji, gdy doktor został mianowany kustoszem muzeum. Przypomniła sobie popołudnie, gdy po raz pierwszy przywieźli do domu Willa, wówczas jeszcze całkiem małego chłopca, i włożyli go do nowiutkiego kojca.

Wspomnienia te pojawiały się i znikły tak szybko, że pani Burrows nie mogła za nimi nadążyć. Zastanawiała się, czy to znak, że wkrótce umrze, słyszała bowiem, że ludzie tuż przed śmiercią widzą całe swoje życie. Potem jednak zrozumiała, że ten kalejdoskop wspomnień wywołało monstrum zamknięte w jej głowie. Sięgało wszędzie, gdzie chciało, a ona nie mogła go w żaden sposób powstrzymać. Czuła się mentalnie gwałcona.

Starła się trzymać myśli, że przynajmniej próbowała pomóc Drakeowi, pomóc mu w walce z tymi ludźmi, a tym samym pomóc swojemu synowi Willowi. Nie udało jej się, ale przynajmniej próbowała. Była z tego dumna, nawet jeśli wkrótce rzeczywiście miała umrzeć.



## Rozdział trzydziesty czwarty



Po kilku godzinach wędrówki bocznym korytarzem Will i jego ojciec dotarli do miejsca, gdzie skałę pokrywała warstwa grzyba.

– Nigdy nie przypuszczałem, że ucieszę się na widok tego paskudztwa – stwierdził chłopiec z uśmiechem, obecność grzyba oznaczała bowiem, że zbliżają się do rejonu, gdzie kiedyś leżał okręt podwodny.

Chwilę później usłyszeli szmer spadającej wody i doszli do końca korytarza.

– Przepaść – powiedział Will.

Przez chwilę razem wpatrywali się w ciemność, dysząc ciężko. Chłopiec położył oba plecaki na ziemi i wychylił się w otchłań, by sprawdzić, co znajduje się poniżej.

– Znalazłeś coś? – spytał doktor Burrows, gdy syn wsunął się z powrotem do tunelu.

– Nie. Wydaje mi się, że jesteśmy na jakiejś półce, więc niewiele stąd widać.

– Cudownie – skrzywił się mężczyzna. – To znaczy, że musimy wrócić do szczeliny i szukać innego korytarza, tak?

Will już wyciągał z plecaka linę do wspinaczki.

– Tak będzie szybciej – powiedział, rozglądając się dokoła i szukając jakiegoś dobrego punktu zaczepienia. Powoli przesuwał się w głąb korytarza, aż zauważył duży głaz. Owinął wokół niego linę i zrobił mocny węzeł. Później podszedł na skraj przepaści i rzucił linę w

dół. – Powinieneś wziąć to – zwrócił się do ojca, podając mu aerozol.

Potem opryskał się własnym sprejem i ponownie przymocował go do ręki za pomocą taśmy.

– Masz mojego browninga? – spytał.

Doktor Burrows skinął głową.

– Świetnie. Poczekaj tu na mnie – polecił chłopiec i ruszył w stronę krawędzi.

– Mam nadzieję, że zapomniałeś już o tych absurdalnych strachach, no wiesz, o tym twoim lęku wysokości? – spytał nagle ojciec.

– Wolałbym, żebyś mi o tym nie przypominał – westchnął syn. – Ale rzeczywiście, chyba nic mi nie jest.

Istotnie, nie czuł już nawet cienia irracjonalnych pragnień, które prześladowały go wcześniej.

Dzięki obniżonej grawitacji bez najmniejszego problemu schodził po pionowej ścianie przepaści, choć obserwację otoczenia utrudniała woda, która nieprzerwanym strumieniem lała mu się na głowę. Raz za razem Will oglądał się przez ramię, by sprawdzić, czy nie zbliża się do niego jakiś pajak lub bielak. Wykorzystał już mniej więcej trzy czwarte długości liny, gdy dostrzegł z boku wylot tunelu. Otwór znajdował się na tym samym poziomie co on sam, tyle że około trzydziestu metrów w bok. Chłopiec próbował się do niego doczołgać, powierzchnia grzyba była jednak zbyt śliska. Postanowił więc rozhuścić się niczym wahadło i po kilku próbach zdołał wreszcie wskoczyć do tunelu.

Najpierw sięgnął po stena i aerozol. Wydawało się, że korytarz jest pusty, jednak na wszelki wypadek psiknął kilka razy na ściany. Właśnie kończył, gdy z tyłu doszedł go jakiś dźwięk.

Trzepot skrzydeł.

Odwrócił się.

To był bielak.

Unosił się w powietrzu ledwo kilka metrów dalej, rozkładając skrzydła i pokazując rząd zębów ostrych jak brzytwa.

– BOŻE! – wrzasnął Will.

Kierowany instynktem, nacisnął sprej i rozpylił strumień gazu prosto na bielaka.

Spodziewał się, że monstrualny owad natychmiast rzuci się do ucieczki, lecz ten wcale tego nie zrobił. Przez kilka sekund długich jak wieczność tkwił w bezruchu. Potem wydarzyło się coś przedziwnego. Chłopiec mógł to porównać tylko do sytuacji, gdy posypuje się solą ślimaka, a biedne stworzenie najpierw się pieni, a później zamienia w bezkształtną papkę. Coś podobnego przytrafiło się bielakowi, tyle że odbyło się znacznie szybciej.

Ze wszystkich stawów na ciele zwierzęcia zaczęła się sączyć paskudna, gęsta ciecz, a sam owad trząsał się jak w febrze, by po chwili rozpaść się na kawałki. Najpierw z nieprzyjemnym mlaskiem oderwał się jego rozdwojony brzuch. Później tułów z przyczepionymi do niego skrzydłami poszybował w dół i obracając się wokół własnej osi, znikł w ciemnościach.

Will, który dopiero po chwili otrząsnął się z szoku, wybuchł głośnym śmiechem.

– Brawo, Drake, spisałeś się na medal! – zawołał.

Niczym cichy głos, przebijający się przez mgłę zalegającą w jej mózgu, dotarła do pani Burrows pewna myśl. Kobieta wciąż kontrolowała oddech, zaczęła go więc pogłębiać, dłużej zatrzymując powietrze przed każdym wydechem. Część jej umysłu oczyściła się na moment, jakby wiatr przewiał gęstą mgłę. Pochwyciła się wspomnienia tego, czego uczył ją mistrz jogi. Najpierw była to tylko odległa, ulotna myśl, kiedy jednak Celia wyteżyła całą siłę woli, zdołała ją pochwycić.

– Nie pozwolę, by ludzie wokół mnie naruszyli mój spokój ducha –

zaczęła powtarzać, choć nie miała pojęcia, czy robi to tylko w myślach, czy też na głos.

Wciąż czuła się tak, jakby jej ciało było kawałkiem drewna wygiętym w łuk i bliskim złamania; wydawało się jednak, że zły jeź w jej głowie stracił nieco werwy.

– Nie pozwolę, by ludzie wokół mnie naruszyli mój spokój ducha...

Powtarzała po raz kolejny tę mantrę i utrzymywała regularny oddech, a wtedy wydarzyło się coś przedziwnego.

W miejsce ciemności pojawiło się światło.

Pani Burrows poczuła się tak, jakby wrzucono ją do całkiem innej rzeczywistości, tej, którą zostawiła za sobą, kiedy Styksowie uruchomili Ciemne Światło. Zobaczyła, że siedzi w jasno oświetlonym pokoju. Spojrzała na Styksów. Jeden z nich powtarzał nieustannie serię pytań, podczas gdy jego towarzysz wypytywał o coś zupełnie innego. Nagle kobieta uświadomiła sobie ze zdumieniem, że odpowiada na te pytania dobrowolnie, i to szczegółowo.

Dobrowolnie, ale nie świadomie.

Chcieli usłyszeć wszystko, co wiedziała o Drake'u; co jej powiedział, gdy była z nim w Górnoziemiu; dokąd ją zabrał; czy poznała innych ludzi z jego siatki.

„Wystarczy” – postanowiła ta część umysłu pani Burrows, która przebywała w jasno oświetlonym pokoju, a przesłuchiwana urwała zdanie w połowie. Styks zmarszczył brwi i popatrzył na nią krzywo.

– Mów dalej! – warknął.

– Odchrzań się! Nic więcej ode mnie nie wyciągniecie! wrzasnęła kobieta, a potem mocno zacisnęła usta.

Drugi Styks przestał nagle powtarzać serię pytań i spojrzał ze zdumieniem na swego towarzysza. Ten pochylił się nad lampką i poprawił coś, a żarówka rozbłysła jeszcze jaśniej.

Zły jeź rozrósł się do rozmiarów kota i nabrał mocy, jego kolce

skwierczały czystą energią. Pani Burrows, która wciąż powtarzała w myślach swoją mantrę, czuła, jak jeż krąży wokół jej głowy. Wydawało się jednak, że tym razem nie potrafi dostać się do środka.

Styks znów zwiększył natężenie pomarańczowego światła emitowanego przez żarówkę. Jeż przybrał rozmiary psa, przesłuchiwana przekonała się jednak, że nadal może go powstrzymać i pozostać jednocześnie w oświetlonym pokoju. Czuła się mniej więcej tak, jakby jechała na rowerze i jednocześnie zonglowała. „Jeśli kobiety rzeczywiście górują czymś nad mężczyznami, to właśnie podzielnością uwagi” – pomyślała radośnie.

Styks zwiększał natężenie Ciemnego Światła jeszcze kilkakrotnie, aż Celia nie mogła już tego znieść.

– Nie pozwolę, by ludzie wokół naruszyli mój spokój ducha – oświadczyła z mocą (wiedziała, że wypowiada słowa mantry na głos), po czym zemdląca, zupełnie wyzuta z sił.

Do pokoju natychmiast wszedł drugi oficer, tym razem w towarzystwie nieco młodszego pierwszego oficera. Zaczął rozpinąć pasy krępujące przesłuchiwaną.

– Dowiedzieliście się wszystkiego, czego chcieliście? spytał młodszy funkcjonariusz, wyczuwając, że coś nie poszło po myśli Styksów.

– Nie dopuszczaliśmy do siebie – odparł jeden z nich.

Obaj policjanci spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Ale nikomu jeszcze się to nie udało – stwierdził drugi oficer, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Styksowie milczeli.

– Więc jeszcze z nią nie skończyliście? – odważył się spytać pierwszy oficer.

– Nie. Za kilka godzin, gdy odzyska przytomność, zaczniemy od nowa. Będziemy to robić dopóty, dopóki nie powie nam wszystkiego –

oświadczył Styks stojący za lampą.

– Złamiemy ją – zgodził się jego towarzysz.

– Nawet jeśli to ją zabije? – spytał drugi oficer.

Obaj Styksowie wzruszyli obojętnie ramionami.

– Co za różnica... – powiedzieli jednym głosem.

Will wspiał się z powrotem do miejsca, w którym czekał na niego ojciec, i przekonywał go przez dłuższy czas, że jednak powinni przenieść się do niższego korytarza. Narzekając głośno, doktor Burrows zgodził się w końcu i zszedł po linie. Syn odbył tę samą podróż kilka razy, przenosząc cały sprzęt. Zakończywszy to żmudne zadanie, umocował przy wejściu do tunelu kolejną radiolatarnię, po czym obaj ruszyli w drogę. Wkrótce dotarli do rozwidlenia.

Wybrali korytarz na chybił trafił, lecz już po chwili natknęli się na kolejne rozgałęzienie, potem na jeszcze następne i wkrótce już nie mieli pojęcia, dokąd właściwie idą.

Jednak, co ważniejsze, napotykali na swej drodze bardzo strome pochyłości.

– Myślę, że jesteśmy już poniżej poziomu szczeliny – zauważył Will, zeskakując z kolejnej stromizny.

Doktor Burrows nie był zadowolony. Uważał, że stanowczo zbyt wczesnie opuścili szczelinę.

– Nie wiemy, dokąd idziemy, nie wiemy, dokąd idziemy powtarzał z goryczą.

-Nigdy nie wiemy dokąd... – zaczął odpowiadać chłopiec, gdy nagle obaj usłyszeli niski dźwięk, podobny do cichego pomruku, dochodzący gdzieś z przodu.

Will natychmiast podniósł aerzol, a doktor wygrzebał z kieszeni browninga.

– Spokojnie, tato, nie widzę żadnych robali – wyszeptał syn, zaglądnąc w głąb tunelu przez swój okular.

Obaj zamarli w bezruchu, nasłuchując.

Po chwili tajemniczy dźwięk rozległ się ponownie, tym razem nieco głośniejszy. Okazało się, że nie był to pomruk, lecz ludzki głos. Will natychmiast go rozpoznał.

– To brzmi jak głos Chestera! – krzyknął z radością.

– Ostrożnie. To może być ten Granicznik – ostrzegł go szeptem doktor Burrows. – Może to pułapka.

– Nie, to na pewno Chester – stwierdził chłopiec, nie posiadając się z radości. Potem zrobił srogą minę i zawołał niskim, zachrypniętym głosem: – Chesterze Rawls, to ty?!

Cisza.

– Will?! – odezwał się w końcu Chester.

– Chester! – wykrzyknął Will normalnym już głosem. – Pewnie, że ja! Jesteśmy tu obaj z tatą, cali i zdrowi!

– Bogu dzięki! Wiedziałem, że nic się wam nie stanie! Elliott i Marta są ze mną, też całe i zdrowe. Ale gdzie wy właściwie jesteście? Słyszę cię całkiem wyraźnie, ale nie widzę was.

– No właśnie, ja was też nie. Mój okular już działa, więc przyjdziemy do was – zaproponował Will. – Tylko nie przestawaj mówić, to trafimy jak po sznurku.

– Jasne, nie umilknę ani na chwilę – zapewnił go przyjaciel. – „A czy te stopy dawnymi czasy deptały zielen angielskich...”<sup>17</sup> – zaczął śpiewać, tak przy tym fałszując, że aż bolały uszy.

Potem wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Kiedy ojciec i syn ruszyli w głąb labiryntu tuneli, głos Chestera zaczął słabnąć, aż całkiem ucichł. Will i doktor, zdezorientowani, wrócili do punktu, z którego zaczęli poszukiwania, gdzie ponownie usłyszeli fałszującego Chestera.

– „Naprzód, żołnierze Chrystusa...”<sup>18</sup> – śpiewał chłopiec na cały głos.

„And did those feet in ancient times...” – fragment poematu Williama Blakea, znanego później jako hymn „Jeruzalem”, który stał się jedną z najpopularniejszych angielskich pieśni patriotycznych.

„Onward Christian soldiers...” – urywek hymnu autorstwa Sabinea Baring-Goulda, angielskiego powieściopisarza żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Hymn ten stał się później jedną z ulubionych pieśni Armii Zbawienia, wykorzystywany był podczas różnych wydarzeń politycznych, a także w wielu filmach.

– Chester, słyszysz mnie?! Przestań się na chwilę wydzierać! – zawołał Will.

– Pewnie, że cię słyszę! Gdzie wyście byli? Stoimy tu jak kołki w płocie, a mnie zaczyna już boleć gardło!

– Chester, tu doktor Burrows – odezwał się nagle ojciec Willa. – Chyba już wiem, skąd to zamieszanie. Zachodzi tu zjawisko wykorzystywane w galeriach szeptów; można się z nim spotkać w dużych kościołach, na przykład w katedrze Świętego Pawła w Londynie. Chodzi o to, że tunele porośnięte grzybem odbijają nasze głosy i przenoszą je na dużą odległość.

Prawdopodobnie jesteście od siebie znacznie dalej, niż sądzimy; być może dzieli nas nawet kilka mil, ale dzięki temu zjawisku doskonale się słyszymy.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście – odpowiedziała mu krótko Marta.  
– Tym razem my was poszukamy.

Minęło ponad dziesięć minut, nim w głębi korytarza ukazali się Chester, Elliott i Marta.

– Chester! – wykrzyknął radośnie Will, dojrzwawszy całą trójkę przez okular.

– To było naprawdę dziwne. Grzybowe radio! Teraz już chyba nic mnie nie zaskoczy! – odparł przyjaciel.

Kiedy jednak podszedł bliżej i zobaczył nowe ubrania Willa i



doktora Burrowsa, a także ich broń i wyposażenie, aż zaniemówił z wrażenia.

– Chester, nigdy nie uwierzysz, gdzie byliśmy! Znaleźliśmy schron przeciwatomowy, podziemną przystań i rzekę, którą dopłynęliśmy na powierzchnię – mówił Will, podekscytowany. – Wróciliśmy do Highfield. Byliśmy w domu.

– W domu...? – powtórzył głucho przyjaciel, nie wierząc własnym uszom.

– Tak! Elliott, dowiedziałem się też, do czego służy ten numer, który powtarzałaś, kiedy leżałaś w malignie.

– Numer? – dziewczyna zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć, o czym właściwie mówi chłopiec. – Ach, numer alarmowy! – zawołała w końcu. – Więc widziałeś się z nim! Drake żyje!

Will skinął głową.

– Jak najbardziej. Cekał na nas w Highfield.

Nagle zza pleców Chestera wyskoczył jakiś ciemny kształt, który pędem ruszył w stronę Willa.

– Uwaga! – krzyknął chłopiec i nacisnął rozpylacz, strzelając chmurą gazu w stronę zbliżającego się stworzenia.

Bartleby przyhamował raptownie, omal nie wywracając się na śliskim dnie, natychmiast zawrócił i pognał w głąb tunelu, miaucząc przy tym rozpaczliwie.

– Myślałem, że to pajak – wyjaśnił Will bez cienia skruchy. – Widzę, że przygarnęliście zdrajcę z powrotem.

– Może i jest zdrajcą, ale to on doprowadził nas do ciebie – odparł Chester. – Poza tym przyganiał kocił garnkowi: przecież to właśnie ty przyjąłeś z powrotem tę kłamliwą bliźniaczkę.

Chłopcy mierzyli się przez chwilę wzrokiem, marszcząc groźnie brwi, w końcu jednak obaj wybuchli śmiechem.

Chester podszedł do przyjaciela i uściskał go serdecznie.

– Jak dobrze znów cię widzieć, Will – powiedział. – Ale nie wiem, czy kiedykolwiek ci wybaczę, że wybrałeś się beze mnie na krótkie wakacje do Górnoziemia.

– Wybaczysz, kiedy pokażę ci jedzenie, które zabraliśmy ze sobą. Masz ochotę na curry?

– A czy dwa razy dwa jest cztery? – zachichotał Chester.

Marta rozpałała ognisko, by podgrzać jedzenie, a Elliott zajęła się przeglądaniem zawartości plecaka, który przygotował dla niej Drake. Podczas gdy doktor Burrows gryzmolił coś pilnie w notatniku, Will opowiedział przyjacielowi o podziemnej przystani i wyprawie na powierzchnię.

– Więc wystarczy iść śladem tych radiolatarni, żeby wrócić do domu? Tak po prostu? – nie mógł uwierzyć Chester. – I nie musimy już więcej zaglądać do Kolonii ani do Głębi? Hurra! – krzyknął, unosząc ręce w triumfalnym geście.

-Tak, ale nie zapominaj o tym, co mówił Drake. Najpierw musimy zająć się Dominium – przypomniał mu Will.

Chłopiec uniósł brwi.

– A niby jak mamy to zrobić? Jeśli Styksowie nie zdążyli się schować w okręcie podwodnym, ale jakoś przeżyli wybuch, to pewnie zjadły ich pająki albo bielaki, albo...

– Albo ciągle gdzieś tu się kręcą – dokończył Will.

Przyjaciel spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Mogą być teraz daleko stąd. A jeśli jednak schronili się w okręcie, to pewnie są gdzieś daleko w dole. Daj spokój, wszystko wskazuje na to, że już wypadli z gry, prawda?

– Drake chce, żebyśmy to sprawdzili – odrzekł kolega.

– Więc to właśnie zrobimy – wtrąciła stanowczym tonem Elliott. Przysłuchiwała się rozmowie chłopców, oglądając jednocześnie z zachwytem dwa zapasowe steny, które zabrał ze sobą Will. –

Przejdziemy się po okolicy i sprawdzimy, czy Bartleby nie znajdzie jakiegoś śladu. Jeśli okręt zatrzymał się gdzieś na ścianie przepaści, być może nie będziemy musieli nawet daleko szukać.

– A jeśli spadł na samo dno? – spytał Chester.

Nie uzyskał odpowiedzi na to pytanie, ale wcale się tym nie przejął, ponieważ w tej samej chwili Marta poinformowała, że jedzenie jest gotowe.

Badali kolejne tunele prowadzeni przez Martę, trzymającą na smyczy Bartleby ego, który węszył dokoła z przejęciem, niczym rasowy pies tropiciel. Schodzili coraz niżej i niżej, aż dotarli do olbrzymiej jaskini, wyrwanej w ścianie tunelu podczas eksplozji wywołanej przez Elliott. Korzystając z lin do wspinaczki, przedostali się na drugą stronę jaskini, minęli miejsce, gdzie wcześniej leżał okręt podwodny, i weszli do jednego z tuneli.

Przez jakiś czas maszerowali w głąb tego korytarza, a gdy Marta stwierdziła, że prawdopodobnie zbliżają się już z powrotem do przepaści, chłopcy dokonali odkrycia, które miało wszystko zmienić.

– Tato, musisz to zobaczyć! – zawołał Will.

– O co znów chodzi? – spytał Burrows zrzędlwym tonem.

Mężczyzna włókł się przez cały czas na końcu grupy, rzekomo po to, by chronić ją przed atakiem pajaków. Wyglądało jednak na to, że nie był zbyt czujny, ponieważ nawet nie wyjął aerozolu z kieszeni kurtki. Przez kilka ostatnich godzin był też wyjątkowo małomówny.

Dołączywszy do syna i Chestera, doktor zobaczył, że z warstwy grzyba wyrasta wysoki głaz, na którym widnieje symbol trójzębu.

– Tak! – krzyknął i w pośpiechu zsunął z ramion plecak. Sięgnął do jego wnętrza i wyjął czarnobiałe zdjęcie wykonane przez marynarza.

– Bingo! To ten sam – stwierdził, podnosząc fotografię i porównując ją z głazem.

– Masz rację, Marto, wróciliśmy do przepaści – powiedział Will.

Przez chwilę patrzył w milczeniu w ciemność, w którą spadały strumienie słonej wody, i zastanawiał się, gdzie ostatecznie trafił okręt podwodny. Potem odwrócił się do ojca. – Co właściwie oznacza ten znak, tato? Ze jesteśmy dopiero na początku trasy z twojej mapy? To nie ma sensu, bo odeszliśmy od Czeluści naprawdę daleko.

Doktor Burrows nie odpowiedział. Pochylony nad głazem, przesuwał palcami wzdłuż linii wyrytych w jego powierzchni.

– Tato, jak się nad tym zastanowić, to przecież to nie może być początek mapy, prawda?

Mężczyzna podniósł wzrok i uśmiechnął się, kiwając głową z aprobatą.

– Brawo, chłopcze! Widzę, że ty też na to wpadłeś. Kiedy już ułożyłeś tabliczki w odpowiedniej kolejności, założyłem, że przedstawiają one trasę od lewej do prawej. Popełniłem błąd, trzymając się naszych zachodnich zwyczajów, choć powinienem był mieć bardziej otwarty umysł. W rzeczywistości ta trasa przebiega od prawej do lewej. Założenie, że ten głaz oznacza początek, było błędne.

W istocie wskazuje koniec.

– Skoro już się zatrzymaliśmy, to może zrobię herbaty? zaproponowała Marta, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Doktor Burrows już zakładał z powrotem plecak, jakby gdzieś się wybierał.

– Nie rozumiem. Skoro tu jest koniec trasy, to co z dalszą drogą? – pytał Will. – Dokąd się udała ta starożytna rasa?

– Wiara – odrzekł krótko ojciec.

– Co takiego?

– Weźmy na przykład fizykę... Tylko mniejszej sile ciężenia zawdzięczamy to, że wciąż żyjemy po upadku z wysokości kilkudziesięciu, jeśli nie kilkuset mil – mówił doktor, podrzucając świetlną kulę i czekając, aż opadnie powoli na dłoń. Potem pochwycił

sznurek, do którego przymocowana była kula, i owinął go sobie ciasno wokół ręki. – Wynika z tego, że im bardziej zbliżamy się do środka jakiegoś dużego ciała, na przykład tej planety, tym ciężenie jest mniejsze. Być może w końcu spada do zera, co daje stan całkowitej nieważkości.

– Przykro mi, tato, ale nic z tego... – próbował wtrącić Will.

– Ale nie mówię tylko o wierze w prawa fizyki. Mówię o wierze we własne przekonania, poglądy. Zbyt długo już brakowało mi tej wiary, a przecież wiara może przenosić góry, może również otworzyć człowiekowi oczy na całkiem nowe światy.

– Więc jak, robimy tu przerwę czy nie? – spytała ponownie Marta.

Doktor mówił jednak dalej z dużym przejęciem, patrząc tylko na syna: – Sądzisz, że jestem nieczuły i samolubny, ale niektóre sprawy i idee są zbyt ważne, by rezygnować z nich ze względu na innych ludzi. Przykro mi, jeśli uważasz, że byłem dla ciebie złym ojcem, ale któregoś dnia to zrozumiesz. – Podszedł do chłopca, wyjął z kieszeni radiolatarnię i pomachał mu nią przed nosem. – Jeśli zechcesz, będziesz mógł mnie znaleźć.

To już twój wybór.

– O czym ty mówisz? – zdumiał się Will.

Tymczasem Burrows przeszedł obok niego, a kiedy stanął na skraju półki, bez wahania zrobił krok do przodu i runął w ciemną przepaść.

– Tato! – krzyknął Will, rzucając się za ojcem i próbując złapać go za ubranie, ale było już za późno.

– Nie... – wyszeptał Chester.

Marta i Elliott podbiegły na brzeg skalnej półki i obserwowały, jak doktor opada spiralnym lotem w głąb otchłani. Świetlna kula, którą trzymał w dłoni, oddalała się coraz bardziej, aż wreszcie znikła w ciemnościach.

– Po prostu rzucił się w przepaść – mruknęła z niedowierzaniem

kobieta. – Czy on oszalał?

Otrząsnąwszy się z szoku, wszyscy wbili wzrok w nieprzeniknione ciemności. Nagle Will zaczął pogwizdywać przez zęby, tak samo, jak robił to jego ojciec, gdy się nad czymś zastanawiał.

– Tata jest może czasami nieobliczalny, ale nie szalony powiedział w końcu, zerkając na Martę. – To, co mówił o grawitacji, miało sens.

– Will, dobrze się czujesz? – spytał Chester, zaniepokojony, i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Martwił go spokój, z jakim chłopiec przyjął samobójczy skok swego ojca. Nie takiej reakcji się spodziewał.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa grawitacja w pobliżu środka Ziemi powinna być jeszcze mniejsza niż tutaj, prawda? – zastanawiał się głośno Will.

– No i co z tego? – parsknął Chester. – Chyba nie będziemy tego sprawdzać, co?

Przyjaciel skinął głową, jednak nie w odpowiedzi na to pytanie, lecz tak, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Marto, nie mówiłaś nam jeszcze, jak nazywa się ta przepaść, prawda? Każda z Siedmiu Sióstr ma przecież imię, na przykład Sapiąca Mary albo Czeluść, zgadza się? – spytał, ściągając plecak i szukając czegoś w środku.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie zdążyliśmy wymyślić z Nathanielem nazwy dla tej przepaści, a po jego śmierci nie chciałam mieć z nią nic wspólnego – wyjaśniła.

Will uśmiechnął się do siebie.

– A jednak powinna mieć jakąś nazwę. Wszystko przecież jakoś się nazywa. Może nazwiemy ją „Kopca Jean” na cześć mojej ciotki Jean, bo jej mieszkanie to też swego rodzaju czarna dziura?

Wyjął z plecaka kilka radiolatarni i dwa urządzenia namierzające, a potem z powrotem go założył i odwrócił się do Chestera, Marty i

Elliott.

– Powiedz mi, Will, co chcesz z tym zrobić, u diabła? spytał kolega, marszcząc brwi.

Chłopiec podniósł jedno z urządzeń namierzających. Na pierwszy rzut oka przypominało pistolet o grubej lufie, ale było dodatkowo wyposażone w niewielką antenę w kształcie spodka i licznik. Will włączył aparat i skierował ku przepaści. W reakcji na sygnał emitowany przez radiolatarnię doktora Burrowsa, wskazówka drgnęła, a z urządzenia wydobyło się powolne, rytmiczne tykanie.

– To mój tata – poinformował Will. Potem odwrócił się w miejscu. Wychylenie wskazówki było tym razem mniejsze, a tykanie powolniejsze. – A to droga do schronu przeciwoatomowego. – Podszedł do głazu z symbolem trójzębu. – Zaznaczymy jeszcze to miejsce, co? – powiedział i od razu uruchomił kolejną radiolatarnię, a potem wsunął ją w szparę w głazie. – I jeszcze po jednej dla każdego – wyjaśnił, rozdając nadajniki Chesterowi, Marcie i Elliott. Zrobił to tak szybko, że nawet nie zdążyli zaprotestować.

– Do czego nam to potrzebne? – spytała dziewczyna, podnosząc swoją radiolatarnię.

– Will? – odezwał się znowu Chester, któremu najwyraźniej już kończyła się cierpliwość.

– Och, byłbym zapomniał; będziecie też potrzebowali tego – dodał Will, wręczając przyjacielowi urządzenie namierzające. – Idźcie śladem okruszków, a traficie do domu.

– Nie wygłupiaj się! Nigdzie bez ciebie nie pójdę! – warknął Chester, nieźle już rozzłoszczony. Kiedy próbował oddać koledze urządzenie namierzające, przechwyciło ono sygnał nadajnika z głazu i zaczęło bardzo głośno tykać. – Nie chcę tego!

Wydawało się jednak, że Will przebywa już w jakimś innym świecie i nie słyszy, co się do niego mówi.

– Przypuszczam, że bliźniaczki zdążyły się ukryć w okręcie podwodnym i teraz są gdzieś w Kopczącej Jean. – Zachichotał pod nosem. – To zabawne... Styksowie zrobili mi pranie mózgu i uwarunkowali tak, bym rzucił się w przepaść, ale Drake pomógł mi to zwalczyć. Teraz, kiedy już mi przeszło, właśnie to...

Chester zauważył dziwny błysk w jego oku, co zawsze oznaczało kłopoty.

– Will, jeśli zaraz nie... – zaczął, przerywając przyjacielowi, nie zdążył jednak dokończyć zdania.

Will włączył drugie urządzenie namierzające i ruszył biegiem w stronę przepaści.

Odbił się od krawędzi i poleciał w otchłań.

– Neeee! Ty idioto! – wrzasnął przeraźliwie Chester.

Jednak przyjaciel już go nie słyszał, ponieważ jego uszy wypełniał szum powietrza.

Podczas wielu lat służby w komisariacie drugi oficer widział i słyszał rzeczy, jakich zwykły człowiek nie mógłby znieść. Po jakimś czasie uodpornił się na nie, zbudował wokół siebie mur i odgrodził się od tych okropności.

Teraz jednak, kiedy czekał na korytarzu, wydawało się, że ta bariera przestała go chronić.

Krzyki dobiegające zza zamkniętych drzwi mroziły mu krew w żyłach – krzyki ludzkiej duszy rozdzieranej na pół. Niosły się po pustych korytarzach komisariatu od nieprawdopodobnie długiego czasu, przetykane jedynie krótkimi przerwami na zaczerpnięcie oddechu.

Nagle za drzwiami zapadła cisza, jeszcze bardziej przerażająca niż krzyk.

Mężczyzna usłyszał kroki pierwszego oficera zmierzającego w stronę pokoju przesłuchań.



Policjant dotarł jednak tylko do połowy długości korytarza, po czym przystanął i zerknął na zamknięte drzwi. Skrzywił się, niezadowolony, że przesłuchanie trwa tak długo, a potem zawrócił i ruszył prawdopodobnie do swego biurka przy wejściu, na wypadek gdyby na komisariacie pojawiło się więcej Styksów.

Drugi oficer otarł pot z czoła, zadowolony, że został sam. Na moment jego twarz wykrzywiła się w żalonym grymasie, jakby miał się rozpłakać. Nie wiedział, dlaczego właściwie tak się czuje, być może jednak miał już dość cierpień i bólu wypełniających to miejsce. Wyprostował się i przybrał zwykłą służbową minę – jak się okazało w samą porę, w tym bowiem momencie otworzyły się drzwi pokoju przesłuchań, a ze środka wymaszerował stary Styks w towarzystwie młodego asystenta.

– Udało się? – spytał drugi oficer.

Starzec podniósł na niego wzrok, nieco zaskoczony tym zainteresowaniem.

– Dostaliśmy to, czego chcieliśmy – uciął. – Jak zawsze.

– Ee... czy... czy ona... to znaczy... czy ona jeszcze...? – zaczął funkcjonariusz niepewnie.

Stary Styks uniósł brwi i przerwał mu.

– Jeśli chcesz zapytać, czy kobieta jeszcze żyje, mogę ci tylko odpowiedzieć, że jej serce wciąż bije, a płuca pracują – wyjaśnił, po czym odsunął się od drzwi. – Zobacz sam.

Drugi oficer zajrzał do pokoju wypełnionego światłem. Widział tył krzesła, na którym wciąż siedziała pani Burrows. Jeden ze Styksów odwiązał skórzany pasek na jej głowie, która zwisała teraz bezwładnie, pochylona do przodu. Za stołem stało trzech Styksów, którzy pakowali cały zestaw Ciemnych Świąteł. Było ich tam co najmniej sześć lub siedem, lecz policjant był tak zdenerwowany, że nie mógł ich nawet policzyć.

– To był twardy orzech do zgryzienia – skomentował młody asystent beznamietnym tonem lekarza, który dyskutuje o historii choroby jednego z pacjentów. – Jeden z najtwardszych do tej pory.

– Tak – zgodził się z nim stary Styks. – Niezwykła odporność. – Wskazał na nieruchome ciało kobiety. – To, co tu widzisz, to tylko skorupa. Obawiam się, że wewnątrz zostało naprawdę niewiele: musieliśmy zniszczyć niemal wszystko, żeby dostać się do środka.

Szkoda, bo miałem nadzieję, że będziemy mogli jeszcze wykorzystać ją w przyszłości.

– Prawdopodobnie nie przeżyje nocy – dodał asystent.

– Zastanawiałem się... – zaczął drugi oficer, ale umilkł, gdy spoczęło na nim surowe spojrzenie starca.

-Tak?

– Skoro zostało jej już niewiele życia, mógłbym się nią zaopiekować – wypalił oficer.

Stary Styks pochylił lekko głowę, jakby czekając na wyjaśnienia. Stwierdzenie, że prośba policjanta była niezwykła, byłoby dużym niedomówieniem.

– Dostaliśmy to, czego chcieliśmy – uciał. – Jak zawsze.

– Ee... czy... czy ona... to znaczy... czy ona jeszcze...? – zaczął funkcjonariusz niepewnie.

Stary Styks uniósł brwi i przerwał mu.

– Jeśli chcesz zapytać, czy kobieta jeszcze żyje, mogę ci tylko odpowiedzieć, że jej serce wciąż bije, a płuca pracują – wyjaśnił, po czym odsunął się od drzwi. – Zobacz sam.

Drugi oficer zajrzał do pokoju wypełnionego światłem. Widział tył krzesła, na którym wciąż siedziała pani Burrows. Jeden ze Styksów odwiązał skórzany pasek na jej głowie, która zwisała teraz bezwładnie, pochylona do przodu. Za stołem stało trzech Styksów, którzy pakowali cały zestaw Ciemnych Świąteł. Było ich tam co

najmniej sześć lub siedem, lecz policjant był tak zdenerwowany, że nie mógł ich nawet policzyć.

– To był twardy orzech do zgryzienia – skomentował młody asystent beznamiętnym tonem lekarza, który dyskutuje o historii choroby jednego z pacjentów. – Jeden z najtwardszych do tej pory.

– Tak – zgodził się z nim stary Styks. – Niezwykła odporność. – Wskazał na nieruchome ciało kobiety. – To, co tu widzisz, to tylko skorupa. Obawiam się, że wewnątrz zostało naprawdę niewiele: musieliśmy zniszczyć niemal wszystko, żeby dostać się do środka.

Szkoda, bo miałem nadzieję, że będziemy mogli jeszcze wykorzystać ją w przyszłości.

– Prawdopodobnie nie przeżyje nocy – dodał asystent.

– Zastanawiałem się... – zaczął drugi oficer, ale umilkł, gdy spoczęło na nim surowe spojrzenie starca.

-Tak?

– Skoro zostało jej już niewiele życia, mógłbym się nią zaopiekować – wypalił oficer.

Stary Styks pochylił lekko głowę, jakby czekając na wyjaśnienia. Stwierdzenie, że prośba policjanta była niezwykła, byłoby dużym niedomówieniem.

– To znaczy, nie chciałbym, żeby umierała w więzieniu. Chociaż była z Górnoziemia, wyglądała mi... wyglądała na dobrego człowieka – wydusił funkcjonariusz, po czym zacisnął usta i wbił wzrok w podłogę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Jeden ze Styksów wyszedł z pokoju, niosąc ze sobą Ciemne Światło.

Starzec uśmiechnął się w końcu, nikt jednak nie nazwałby tego miłym grymasem: był to uśmiech człowieka, który dowiedział się czegoś, co mógł wykorzystać w przyszłości.

– Mieszkasz z kimś jeszcze? – spytał. – Ktoś musi się nią zajmować,

kiedy ty będziesz na służbie.

– Z matką i siostrą – odrzekł oficer.

– Więc możesz ją zabrać, chociaż chyba lepiej byłoby pozwolić jej umrzeć w więzieniu – powiedział stary Styks, po czym ruszył w głąb korytarza.

Młody asystent szedł za nim krok w krok, niczym cień.

– „I wszyscy konni, i wszyscy dworzanie złożyć go w całość nie byli już w stanie” – wyrecytował Styks, nie oglądając się za siebie.

Drugi oficer poczekał, aż obaj się oddalą, po czym wsunął palec za kołnierz mokry od potu i poluzował go nieco. Nie miał pojęcia, co go napadło. Nigdy nie powinien był mówić takich rzeczy. Czuł jednak, że musiał to zrobić.

Wziął głęboki wdech i wszedł do jasnego pokoju.

# Rozdział trzydziesty piąty



**T**ym razem Will przez cały czas był przytomny.

Lecąc w dół przepaści, wpadł w niekontrolowany korkociąg. Wyszedł z niego na chwilę, potem jednak znów zaczął się obracać w kółko. Siła grawitacji była tak duża, że kręciło mu się w głowie i zbierało na wymioty. Szybko jednak odkrył, że jeśli szeroko rozłoży ręce, niczym spadochroniarz, przestanie wirować, a spadanie będzie znacznie łagodniejsze.

Układając ręce i nogi pod odpowiednim kątem, mógł też kierować lotem i uniknąć zderzenia ze ścianą – i to pomimo ciężkiego plecaka oraz broni, które miał przy sobie.

Will spadał i spadał, i spadał. Miał mnóstwo czasu, by się zastanowić, czy kiedykolwiek nastąpi koniec tego opadania i czy będzie to szczęśliwe zakończenie.

– Co ja właściwie zrobiłem?! – krzyczał wśród strumieni wody, które spadały razem z nim i okrywały jego twarz warstwą słonej wilgoci.

Próbował wytrzeć okular, by zobaczyć wyraźniej, co się dzieje wokół, lecz ruch ten zaburzył jego równowagę i zakłócił trajektorię lotu. Więc szybko wyprostował rękę. Leciał z taką prędkością, że przemykające obok ściany przepaści zlewały się w jedną niewyraźną plamę, jednak mimo to próbował wypatrywać okrętu podwodnego. Przecież obiecał Drake'owi, że zajmie się Rebekami oraz Granicznikiem, i nie zamierzał zawieść.

Widział, jak igła wskaźnika na urządzeniu namierzającym przesuwa się raz w jedną, raz w drugą stronę, słyszał też miarowe tykanie. Jego ojciec był gdzieś poniżej.

Ojciec...

A jeśli doktor Burrows jednak się mylił? Jeśli grawitacja wcale nie malała albo – co istotniejsze – otchłań nie była na tyle głęboka, by sięgnąć obszarów, gdzie rzeczywiście panowało mniejsze ciężenie?

O Boże, nie pomyślał o tym!

Kiedy rzucał się w przepaść, wydawało mu się, że postępuje właściwie... Wziął sobie do serca to, co ojciec mówił wierze – wydawało mu się to całkiem sensowne. Po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę zrozumiał, dlaczego tata zachowuje się tak samolubnie. W tamtym momencie on chciał pokazać, że nie brak mu wiary, wiary we własnego ojca.

Jednak teraz... teraz uznał, że musiał całkiem zwariować, kiedy zdecydował się skoczyć.

Posunął się o jeden szlachetny gest za daleko.

Po chwili Will zauważył, że pęd powietrza owiewającego jego twarz jakby osłabł. Nie zapierał mu już tchu w piersiach. I choć chłopiec nie miał co do tego pewności, ponieważ wszystko zmieniało się stopniowo, miał wrażenie, że nie spada już tak szybko.

Urządzenie namierzające wciąż tykało miarowo, jednak w dole nadal nic nie było widać – tylko nieprzeniknione ciemności. W pewnej chwili otoczył go karmazynowy blask żarzących się skał, obok których właśnie przelatował. Przez moment poczuł bijący od nich żar i usłyszał syk wody, która w zetknięciu z rozpaloną powierzchnią natychmiast zamieniała się w parę.

Potem Will nabrał już całkowitej pewności, że nie spada tak prędko jak na początku lotu.

Wytarł wilgotny okular, nie wpadając przy tym w szalony

korkociąg. Dzięki temu mógł teraz spokojnie przypatrywać się mijanym skałom i podziwiać wzory tworzone przez krople wody lecące razem z nim.

Jakiś czas później chłopiec odniósł wrażenie, że właściwie unosi się w powietrzu, a nie opada.

Uświadomił sobie jednak, że może to tylko złudzenie wywołane bardzo długim lotem. W tej samej chwili usłyszał też niski, dudniący dźwięk. Być może ów odgłos docierał doń już wcześniej, Will był jednak zbyt przejęty, by zwrócić na niego uwagę.

Kiedy wyteżył słuch, przekonał się, że niski pomruk przybiera na sile, staje się znacznie głośniejszy niż szum powietrza. Spojrzał w dół.

Co mogło być źródłem tego dźwięku?

W umyśle chłopca pojawił się absurdalny obraz ogromnych przekładni i kół zębatych – być może było to odległe wspomnienie jakiejś bajki, którą czytał w dzieciństwie. Próbował zbyć go śmiechem, lecz obraz nie znikał. A jeśli rzeczywiście zmierzał do maszynowni Ziemi, pełnej gigantów obsługujących olbrzymie maszyny?

Will pokręcił głową, próbując odegnać od siebie te nedorzeczne myśli.

Z powodu nieustającego dudnienia nie słyszał już tykania urządzenia namierzającego, widział jednak, że jego wskazówka po prostu oszalała.

Spojrzał w dół.

Tak!

Kątem oka dostrzegł maleńki punkcik światła daleko, daleko w dole.

Kiedy nagle uderzył w Willa silniejszy podmuch wiatru, który obrócił go w miejscu, chłopiec stracił z oczu ów tajemniczy punkt. Zaczął się nawet zastanawiać, czy widział go naprawdę, czy też było

to tylko złudzenie. Z pewnością nie była to lawa – światło miałoby wtedy inny kolor.

Potem znowu dostrzegł jasny punkt, a kiedy wymierzył w jego stronę urządzenie naprowadzające, wskazówka wychyliła się mocniej. Will ułożył odpowiednio ręce i skierował lot ku temu miejscu.

Gdy światło zaczęło się rozrastać, znowu opadły go wątpliwości. Czy to rzeczywiście był dobry pomysł? Chociaż urządzenie namierzające wskazywało, że ojciec znajduje się gdzieś w pobliżu jasnego punktu, równie dobrze mogła to być pułapka Styksów.

Tymczasem prędkość opadania zmalała do tego stopnia, że chłopiec czuł się raczej jak bańka mydlana unoszona podmuchami wiatru.

Światło było coraz bliżej. Przyzywało go do siebie błękitnym blaskiem, choć nie potrafił oszacować, jak daleko od niego się znajduje.

Upewniwszy się, że sten jest odbezpieczony, zmierzał prosto w kierunku niebieskiego punktu.

W ostatniej chwili dostrzegł pod sobą długi, smukły kształt, jednak już nie zdążył wyhamować i spadł prosto na niego. Nie było to twarde lądowanie, ale Will uderzył się w głowę i na moment stracił orientację.

Ktoś pomógł mu wstać.

– Wynocha! – krzyknął chłopiec, zakładając od razu, że to Styks. Próbował odepchnąć tego kogoś od siebie, ale dostrzegł błysk światła odbity w szklach okularów.

To był jego ojciec.

Nieco dalej intensywnie płonęło błękitne światło: doktor Burrows najwyraźniej zapalił jedną z flar Drake'a. Dopiero po kilku sekundach Will uświadomił sobie, że stoi na okręcie podwodnym. Nie rozpoznał go od razu, bo kadłub był przechylony na bok. Chłopiec stał w



poblizu któregoś z krańców, nie był jednak pewien, czy jest to dziób czy rufa.

Ogarnięty euforią – która mogła wynikać zarówno z tego, że wciąż żyje, jak i ze świadomości, że nie jest już sam w tym odizolowanym miejscu na dnie świata – rzucił się w ramiona ojca.

Nawet ten drobny ruch sprawił, że obaj przelecieli spory odcinek wzdłuż kadłuba okrętu.

Takie są uroki stanu nieważkości!

Kiedy Will podniósł się w końcu na nogi, znowu omal nie poleciał w górę. Zobaczył, jak ojciec grozi mu palcem, a potem łączy palec wskazujący z kciukiem, tworząc koło. Zero grawitacji – to właśnie próbował mu powiedzieć. Nie było to całkowite zero, chłopiec musiał jednak bardzo uważać przy każdym ruchu, by znowu nie pofrunąć na środek przepaści. Skinął głową, pokazując tacie, że go rozumie, a potem próbował z nim porozmawiać, lecz dudniący dźwięk całkowicie zagłuszył jego głos.

Will – wciąż nieco oszołomiony – pozwolił, by doktor Burrows zaprowadził go do kiosku, który ze względu na ułożenie statku wystawał teraz w głąb otchłani. Potem ojciec pokazał mu coś głęboko w dole. Chłopiec pochylił się i wyteżył wzrok. W oddali pojawiały się i znikwały błyski światła, przypominające pioruny ukryte za horyzontem.

Doktor nachylił się do ucha syna i usiłował mu coś powiedzieć. Will tylko wzruszył ramionami – dudniący hałas skutecznie wszystko zagłuszał.

Mężczyzna wyjął z kieszeni kawałek papieru i coś na nim napisał, po czym pokazał kartkę chłopcu. Znajdowało się na niej tylko jedno słowo.

– Tryboluminescencja? – wypowiedział bezgłośnie Will, zwracając się do doktora Burrowsa, który pokiwał energicznie głową.

Will wiedział, co to oznacza – ojciec zademonstrował mu kiedyś to zjawisko, pocierając o siebie dwoma kryształami kwarcu. Chłopiec, zamknięty wówczas w ciemnej piwnicy ich domu w Highfield, podziwiał niesamowite błyski, które wypełniały mleczne kryształy. Chociaż wydawało mu się wtedy, że to jakieś czary, w rzeczywistości zjawisko to miało coś wspólnego z energią uwalnianą podczas pęknięcia wiązań w strukturze kwarcu.

Ale w takim razie poniżej musiały się znajdować olbrzymie odłamki kwarcu, które bezustannie się o siebie ocierają. Hipoteza ta wyjaśniała również, skąd bierze się ów ogłuszający, dudniący hałas.

Chłopiec zastanawiał się, czy tam właśnie kryje się cel ich podróży – środek Ziemi.

Niesamowity spektakl migotliwych świateł rozchodzących się na wszystkie strony i tworzących gęste, skomplikowane sploty – wyglądało to jak naelektryzowana wata – zafascynował zarówno ojca, jak i syna, którzy stali nieruchomo na kadłubie okrętu i przez dłuższą chwilę przyglądali się temu zjawisku w niemym zachwycie. Jednak Will miał również inne sprawy na głowie, więc w końcu oderwał wzrok od świateł i spojrzał na grubą, metalową skorupę pod swoimi stopami. Patrząc na strumienie wody ciekące po matowej powierzchni, myślał z niepokojem o tym, że tuż obok może kryć się troje Styksów. Troje Styksów i wirus Dominionum. Być może nie miało to teraz żadnego znaczenia – przypuszczalnie ani doktor Burrows, ani Styksowie i tak nie mogli już w żaden sposób wrócić na powierzchnię, więc zagrożenie zostało skutecznie zneutralizowane. Jednak skoro chłopiec już dotarł w to miejsce, postanowił to sprawdzić.

Wyjął z plecaka linę do wspinaczki i przywiązał jeden koniec do metalowej drabinki z boku kiosku. Lepiej dmuchać na zimne – wystarczyło, by poślizgnął się na wilgotnym metalu, a poleciałby w głąb przepaści, prosto ku olbrzymim kryształom na dnie. Trzymając

się mocno liny, przeszedł ostrożnie do miejsca, które byłoby szczytem kiosku, gdyby okręt spoczywał w normalnej pozycji.

Zerknąwszy na ojca, który przyglądał się uważnie tym poczynaniom, Will zaczął wdrapywać się na platformę obserwacyjną, aby stamtąd dostać się do wnętrza kiosku. Wykonywanie poszczególnych ruchów wymagało od niego minimalnego nakładu sił – w tym dziwnym miejscu ciążenie w zasadzie nie istniało.

Jednak gdy tylko chłopiec znalazł się na platformie, znieruchomiał.

Niecały metr dalej tkwił jakiś obiekt trudny do opisanie, uczepiony metalowej kratownicy, która ze względu na położenie okrętu znajdowała się teraz w płaszczyźnie pionowej, a nie poziomej. Łagodne podmuchy powietrza kołysały pogiętymi skrzydłami.

– Bielak! – syknął Will przez zaciśnięte zęby.

Jednak kiedy przyjrzał się lepiej, odkrył, że wielki owad nie ma sporej części brzucha ani głowy. Szpony na końcu długiego tułowia zaciskały się na kratownicy, dzięki czemu martwy drapieznik nie spadł na dno otchłani.

Will nie miał ze sobą aerozolu ze środkiem owadobójczym, zostawił go bowiem w plecaku, który leżał teraz obok doktora Burrowsa. Sięgnął więc po stena i dźgnął bielaka lufą. Nic. Był całkiem pewien, że wielki owad nie żyje – sądząc po obrażeniach, Granicznik uśmiercił go jednym celnym strzałem. Chłopiec raz jeszcze dźgnął stworzenie pistoletem, po czym przeszedł do włazu i spróbował go otworzyć, lecz ciężka kłapa nawet nie drgnęła. Zerkając co jakiś czas na bielaka, zaczął obracać koło na środku kłapy. Gdy znalazło się już w krańcowej pozycji, sprawdził, czy sten jest odbezpieczony. Tym razem był przygotowany na spotkanie z bliźniaczkami. Tym razem nie zawahałby się ani sekundy – zamierzał otworzyć ogień, gdy tylko zobaczy którąkolwiek z nich albo Granicznika.

Will zamknął na moment oczy, przygotowując się do tego spotkania.

Jednak kiedy sięgnął do kłapy, czyjaś drobna dłoń chwyciła go za nadgarstek.

Podniósł głowę.

To była Elliott.

Nie wierzył własnym oczom. Czy dziewczyna skoczyła za nim ze względu na rozkazy Drake'a? Nie wyobrażał sobie, by mogła to zrobić z jakiegokolwiek innego powodu. Spojrzał za jej plecy, ciekaw, czy zobaczy tam również Chestera i Martę. Ale Elliott była sama.

Najpierw pokazała Willowi, że powinien odsunąć się na bok, a potem uchyliła lekko klapę i przesunęła palcami po jej wewnętrznej powierzchni. Nagle znieruchomiała i zerknęła na kolegę. Później sięgnęła do kieszeni, wyjęła zwój sznurka i przywiązała jeden koniec do czegoś, co kryło się tuż pod krawędzią kłapy. Nie zwracając najmniejszej uwagi na martwego bielaka, przymocowała drugi koniec linki do metalowej kraty tuż obok jego nieruchomego korpusu. Upewniwszy się, że sznur jest mocno napięty, wyjęła parę zardzewiałych cążek, wsunęła je pod klapę i przez chwilę poruszała nimi na oślep, pomagając sobie przy tym obiema rękami. Dopiero gdy skończyła, z jej twarzy znikł wyraz napięcia.

Will podniósł karabin, gotowy do strzału, podczas gdy Elliott bardzo powoli odchyliła klapę.

Pokazała palcem na jakiś przedmiot ukryty tuż poniżej włazu, paczkę wielkości cegły, z której wystawał drut – a przynajmniej to, co zostało z drutu, który dziewczyna przecięła przed momentem. Chłopiec nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień, by zrozumieć, że jest to ładunek wybuchowy. Granicznik musiał założyć tu coś w rodzaju miny pułapkowej, którą zbudował z materiałów znalezionych w okręcie. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło Willowi do

głowy.

Chłopiec wszedł za Elliott do wnętrza kiosku. Dziewczyna nakazała mu gestem, by chwilę tutaj poczekał, sama zaś ponownie wyszła na zewnątrz. Trzymając się jedną ręką drabinki. Will rozglądał się czujnie dokoła, wypatrując Styksów. Elliott wróciła po niecałej minucie, prowadząc ze sobą doktora Burrowsa i Bartleby ego, którego uwiązała wcześniej na smyczy. Zamknęła główny włącznik, po czym wszyscy przeszli po drabinie na mostek okrętu.

Metalowe ściany tłumiły nieustające dudnienie, więc wreszcie mogli normalnie porozmawiać.

– Niewiele brakowało... – powiedział Will, kręcąc głową. – Jeszcze sekunda, a zdetonowałbym tę bombę. Dzięki!

Elliott przyłożyła palec do ust.

– Nie tak głośno – wyszeptała, rozglądając się ostrożnie. – Nie dotykajcie niczego! – syknęła w stronę doktora, który zaczął przeglądać sprzęt zgromadzony na mostku. – Mogli tu gdzieś założyć drugą pułapkę.

– A co z Chesterem i Martą? – spytał Will. – Nie skoczyli razem z tobą?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie. Tylko ja i Łowca.

Z pomocą Bartleby ego przeszukała dokładnie wszystkie pomieszczenia, wypatrując szczególnie drutów rozciągniętych nad podłogą. Chłopiec szedł tuż za nią, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Ułożenie okrętu i to, że nie mogli korzystać ze schodni, nie miało większego znaczenia, unosili się bowiem w powietrzu, niczym nurkowie pływający we wnętrzu zatopionego wraku. Nie znalazłszy żadnych śladów bliźniaczek ani Granicznika, wrócili na mostek, gdzie czekał na nich doktor Burrows.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że skoczysz za mną – powiedział

Will do Elliott. – Nie musiałaś tego robić.

– Miałaś szczęście, że zrobiłam – odparła dziewczyna, ale nie wyjaśniła powodów tej decyzji.

– A co z Chesterem? Wiesz, co zamierzał? – spytał kolega.

– Nie, nic o tym nie mówił, choć przypuszczam, że spróbuje wrócić do Górnoziemia.

Powiedział mi jednak, że gdy znowu się zobaczycie, spierze cię na kwaśne jabłko, i że powinieneś być przynajmniej się z nim naradzić, zanim skoczyłeś w otchłań.

– Bałem się, że spróbuje mnie powstrzymać – mruknął w odpowiedzi Will.

Jednak Elliott myślała już o czym innym.

– Więc Styksów tu nie ma, ale ponieważ założyli tę pułapkę na głównym włączniku, wiemy, że przynajmniej jeden z nich żyje. Zatem albo ukryli wirus gdzieś w łodzi, albo...

– Zabrali go ze sobą – dokończył chłopiec.

– Zgadza się – skinęła głową dziewczyna. – A to oznacza, że wciąż nie wykonaliśmy do końca naszego zadania.

– Założę się, że była to jedna z tych nowoczesnych łodzi podwodnych z bezszelestnym napędem, które zbudowali ostatnio Amerykanie i Rosjanie – odezwał się nagle doktor Burrows. – Może Rosjanie szpiegowali nas z jej pomocą na Morzu Północnym, a kiedy doszło do przesunięcia płyt tektonicznych, woda wessała okręt do przepaści.

– Do Kopca Jean... Nazwałem tę przepaść Kopca Jean – wtrącił Will.

– Na cześć siostry Celi... bardzo trafne – uśmiechnął się na moment ojciec, po czym powrócił do swojej teorii na temat łodzi podwodnej. – I może nikt nawet nie wie o zaginięciu tego okrętu, bo przecież rosyjski rząd nie chciałby tego nagłaśniać, a...

– Skupmy się! – przerwała mu ostro Elliott. – Musimy się zastanowić, co dalej. Nie ma sensu, żebyśmy zatrzymywali się tutaj na dłużej. Założę ładunki, które zniszczą wewnątrz łodzi, na wypadek gdyby bliźniaczki jednak zostawiły tu wirus. Potem musimy się dowiedzieć, dokąd poszły.

– Ale jak? – spytał Will, po czym spojrzał na Bartleby ego, który zajmował się właśnie czyszczeniem intymnych części ciała. – Wytropimy je z pomocą Barta zdrajcy?

Dziewczyna skinęła głową.

– Przeszukamy dokładnie teren wokół okrętu – zaproponowała. – Będzie szybciej, jeśli się podzielimy. Ja sprawdzę obszar pod spodem. Will, ty zajmiesz się skalną półką po obu stronach kadłuba, a...

– Nie ma mowy! – przerwał jej raptownie chłopiec.

– Dlaczego nie?

– Bo za każdym razem, kiedy robią to na filmach, dzieje się coś strasznego. Będziemy trzymać się razem. I trzeba dobrze pilnować Bartleby’ego, bo jeśli odbiegnie i ktoś będzie musiał go odszukać, też nie będzie wesoło.

– Jesteś nieodrodnym synem swojej matki – zauważył cierpko doktor Burrows.

Elliott zmarszczyła brwi i spojrzała na mężczyznę, a potem na Willa.

– Nie wiem, o czym mówicie, ale jeśli ci na tym zależy, możemy trzymać się razem – westchnęła. – A teraz wynoście się stąd. Będę zakładała ładunki.

Gdy wyszli z okrętu, Elliott powiązała wszystkich liną. Will obserwował dziewczynę ukradkiem. Chociaż podjęła ogromne ryzyko, by dotrzeć tak niewyobrażalnie głęboko do wnętrza Ziemi, i choć być może nie miała już szans na powrót, robiła wszystko z nieprawdopodobną determinacją. Myślała tylko o tym, by wykonać

swój obowiązek i znaleźć Styksów. Will czerpał z tego siłę i otuchę. Może działał pod wpływem impulsu, skacząc za tatą, był jednak dumny, że i on sam zaryzykował życie, by zrobić to, co do niego należało.

Razem przeszukali dokładnie grzybową półkę, na której spoczywał okręt podwodny. Bartleby nie znalazł żadnego tropu, więc po ścianie przepaści zeszli pod półkę, by tam poszukać jakichś jaskiń lub otworów – czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że Styksowie przeszli tą samą drogą. Kiedy dotarli do następnej, kocur zrobił się dziwnie niespokojny. Will zastanawiał się, czy może jest to wpływ nieustającego dudnienia, nie wyglądało bowiem na to, by zwierzę znalazło trop Styksów.

Kiedy dotarli jeszcze niżej, przekonali się, że pod spodem nie ma już grzybowych półek i że trzeba się trzymać nagiej skały. Musieli przy tym zachowywać największą ostrożność, wystarczyło bowiem, by któreś z nich wykonało jakiś gwałtowny ruch, a wszyscy spadliby w głąb otchłani.

Kiedy ładunki założone przez Elliott w okręcie podwodnym w końcu detonowały, wędrowcy oddalili się od niego na tyle, że nawet nie usłyszeli huku eksplozji. Gdy przystanęli na moment, by popatrzeć na krótki rozbłysk światła, Will poczuł się dziwnie osamotniony – po zniszczeniu okrętu nie mieli już całkiem dokąd wracać. Byli zupełnie sami w tym obcym środowisku, w którym poszukiwania trójki Styksów równoważne były z szukaniem trzech igieł w ogromnym stogu siana, i to w środku nocy.

Po dłuższej chwili dziewczyna się zatrzymała i pokazała, że powinni zmienić kierunek wędrówki i ruszyć w górę. Najwyraźniej uznała, że już wystarczająco oddalili się od okrętu podwodnego i teraz powinni przeszukać obszar w górze przepaści.

W tym właśnie momencie jedno z nich wykonało zbyt gwałtowny



ruch.

Nim zrozumieli, co się dzieje, oderwali się od ściany i po-żeglowali w stronę środka otchłani.

Will dojrzał przerażoną twarz Elliott i jej usta otwarte w niesłyszalnym krzyku, potem zaś uświadomił sobie, że sam zachowuje się identycznie. Jedyne, co mogli zrobić w tej sytuacji, to trzymać się razem i ciągnąć za sobą Bartleby ego, uwiązanego na kilkumetrowej smyczy.

W końcu opór powietrza sprawił, że przestali się przesuwać. Nie oznaczało to jednak, że zastygli w bezruchu.

Wciąż unosili się w pustej przestrzeni na środku otchłani, niczym pozbawiona napędu łódka dryfująca na falach.

Bartleby był kompletnie zdezorientowany i wciąż poruszał łapami, próbując zbliżyć się z powrotem do ściany. Will i Elliott przyłączyli się do niego i energicznie wymachiwali rękami i nogami, okazało się jednak, że ich zabiegi nie przynoszą żadnego skutku. Mijały godziny, a oni nie mogli nawet porozumieć się ze sobą; nie mieli zresztą pojęcia, co mogliby zrobić w tej sytuacji. W pobliżu nie było żadnych grzybowych półek, do których można by zmierzać, poza tym nie mieliby jak się do nich dostać. Chociaż Willa i Elliott ogarniała rosnąca panika, doktor Burrows wydawał się dziwnie spokojny.

Płynęli w stronę wielkiego głazu, który obracał się powoli wokół własnej osi, i w końcu zdołali się go uchwycić. Jego powierzchnia była podziurawiona i chropawa, niczym powierzchnia asteroidy. Przez chwilę trzymali się wielkiego kamienia, a potem, idąc za sugestią doktora, odepchnęli się od niego, niczym nurkowie skaczący do basenu. „Równe i przeciwnie skierowane siły” – pomyślał Will, gdy oni polecili w jedną stronę, a kamień – w drugą. Jednak to w niczym nie zmieniło trudnej sytuacji. Wykorzystując okular Drake’a, chłopiec rozglądał się nieustannie dokoła i modlił się w duchu, by ktoś

przyszedł im z pomocą. Co jakiś czas uderzali o jakieś głązy i odłamki skał lub wlatywali w chmury żwiru, lecz poza tym nic się nie działo.

Will wciąż rozglądał się dokoła, gdy nagle uświadomił sobie z przestraszeniem, że już nie widzi ścian przepaści. Wydawało się, że całkiem znikły. Dopiero gdy obejrzał się przez ramię, zobaczył, że Kopcąca Jean została za nimi i oddala się z każdą sekundą.

Zrozumiał, że wylecieli poza obszar przepaści.

Zaczął gwałtownie wymachiwać rękami i pokazywać to ojcu, ten jednak tylko wzruszył ramionami. Powoli, lecz nieustannie przemieszczali się w całkiem nowy obszar w ciemność rozdieraną błyskami tryboluminescencji.

Will oblał się zimnym potem, gdy zobaczył, że przed nimi ciągnie się tylko nieprzenikniony mrok. Wyglądało to tak, jakby znaleźli się nagle poza stratosferą, w kosmosie, choć przecież wciąż tkwili we wnętrzu Ziemi.

Jedyne, co mogli zrobić, to przyglądać się tryboluminescencji, poddając się jednocześnie prądowi powietrza, który niósł ich w stronę pasa latających gór kryształu. Gdy te olbrzymie odłamki skalne uderzały o siebie, przez pas przebiegał krótkotrwały rozbłysk światła. Dzięki temu Will mógł zobaczyć, że kryształy ciągną się na prawo i lewo jak okiem sięgnąć.

Jedynym obrazem, do którego mógł porównać ten widok, były satelitarne zdjęcia pierścieni Saturna. Światła te miały w sobie coś onirycznego, niemal hipnotyzującego. Chłopiec pomyślał, że to jeden z nieznanych cudów świata, choć zdawał sobie sprawę, że być może nigdy nie będzie miał okazji podzielić się z kimś tą wiedzą.

Nie był też w stanie ocenić odległości. Raz po raz przenikały go fale mdłości, wynikających nie tylko z braku grawitacji. Wydawało mu się, że opada prosto na światła z ogromnej wysokości. Kiedy indziej znów miał wrażenie, że światła znajdują się tuż obok niego, i

wyciągał rękę, by ich dotknąć. Potem zamieniały się w łańcuch chińskich latarni, które na przemian zapalały się i gasły. Jednak gdy w końcu odzyskał poczucie perspektywy, zrozumiał, że od pasa kryształowych gór dzieli ich zapewne ogromny dystans. Zastanawiał się, czy umrą z głodu, dryfując w ciemności, czy też w końcu dotrą do kryształowych gór, które zgniotą ich na miazgę.

Potem doktor Burrows przyciągnął Willa i Elliott do siebie i próbował im coś wytłumaczyć, sporządzając rysunki i gestykulując energicznie. W końcu poddał się i po prostu wziął od syna pistolet maszynowy. Odbezpieczył go i bez żadnego ostrzeżenia wystrzelił. Przyniosło to efekt podobny do odpalenia rakiety. Bartleby wystraszył się, ujrawszy ogień strzelający z lufy broni, a dziewczyna musiała się nieźle namęczyć, żeby go utrzymać, ale przynajmniej znów się przesuwali. Siła odrzutu, powstała po wystrzale ze stena, nadała im całkiem przyzwoitą prędkość, tyle że nie lecieli w stronę przepaści, lecz jeszcze głębiej w obszar, w którym powoli obracały się kryształowe góry.

Will nie miał pojęcia, co w ten sposób chce osiągnąć ojciec, ale nie próbował go powstrzymać. Wydawało się, że przynajmniej ma jakiś plan. Doktor wciąż strzelał ze stena, a chłopiec i Elliott pomagali mu co jakiś czas wymieniać magazynki. Czasami strzały wprawiały ich w ruch obrotowy, od którego zbierało im się na wymioty, zwykle jednak Burrows robił wszystko jak należy, dzięki czemu przesuwali się ze stałą prędkością w jednym kierunku.

Will zupełnie stracił rachubę czasu. Od dawna już nie jedli ani nie spali, lecz ogrom tego miejsca był tak zdumiewający i przerażający, że żadne z nich o tym nie myślało.

Słowa, takie jak „góra” czy „dół” albo „prawo” i „lewo”, nie miały tutaj żadnego zastosowania – jedynym punktem orientacyjnym był kryształowy pas.

Być może podróż w ciemności trwała już cały dzień chłopiec naprawdę nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło gdy wlecieli w obszar, gdzie drobiny kurzu i krople wody unoszące się w powietrzu znacznie ograniczały widoczność. Wiele godzin później – jak się wydawało – opuścili tę przestrzeń i zaczęli się oddalać od pasa kryształów. Kiedy Will zastanawiał się, czy ów ogromny obłok kurzu znajdował się na skraju pasa rozbłyskujących odłamków skalnych, dostrzegł coś, do czego zapewne zmierzał ojciec.

W oddali widać było smugę światła. Ten blask różnił się wyraźnie od tryboluminescencji – nie przygasał ani nie przybierał na sile. I dawał im wszystkim nadzieję.

Siła odrzutu po kolejnych strzałach ze stena niosła ich w stronę tego promyka nadziei. Kiedy Will obejrzał się za siebie, zrozumiał, że rzeczywiście ów kryształowy pas zostawiają z tyłu.

Doktor Burrows wciąż nie przestawał strzelać, więc chłopiec zaczął się martwić, że wkrótce wyczerpie się amunicja. Potem zrozumiał, że właściwie już dotarli do smugi tajemniczego światła. Wydawało mu się ono równie jasne i ciepłe jak blask słoneczny, choć przecież jego źródłem nie mogło być słońce.

Doktor prowadził ich prosto ku tej światłości, aż nagle przestał strzelać i ożywił się ogromnie, wskazując na kryształowy pas. Kolumna światła przenikała go niczym promień reflektora, dzięki czemu mogli zobaczyć, że składa się on nie tylko z olbrzymich ruchomych kryształów.

Nie, między kryształami wisiała woda, gigantyczne krople jak jeziora, a nawet morza. Być może było to tylko złudzenie, ale wszyscy twierdzili później, że dostrzegli ogromne stworzenia podobne do węży i ryby większe od wielorybów.

Burrows nieustannie kierował ich w stronę światła, które przybrało na sile do tego stopnia, że Will wyłączył swój okular. Zobaczył, że

Elliott się uśmiecha, a po chwili zrozumiał dlaczego.

Okazało się, że wreszcie opuścili obszar nieprzeniknionych ciemności i wpłynęli do czegoś, co wyglądało jak nowa przepaść. Widzieli wyraźnie otaczające ich skalne ściany, kiedy sunęli w kierunku źródła blasku, coraz głębiej i głębiej. Powoli wzrastała też siła ciężenia, dudniący dźwięk zaś wyraźnie słabł.

Ze względu na olbrzymie rozmiary trudno było objąć wzrokiem całą tę przestrzeń, wydawało się jednak, że ma ona kształt stożka o mocno nachylonych bokach. Ojciec Willa skierował ich do jednej ze ścian. Zauważyli, że nie porasta jej wcale wszechobecny grzyb, lecz coś zupełnie innego – między skałami widać było plamki zieleni. Były to alpejskie rośliny wyrastające kępkami pośród skalnego rumowiska. Im dalej płynęli, tym liczniejsze stawały się owe skrawki zieleni, aż w końcu pojawiły się obok nich małe drzewa o powykręcanych pniach i skąpym listowiu, wczepione kurczowo w skalną powierzchnię. Kiedy jakiś czas później Elliott dostrzegła grań na bocznej ścianie, doktor powiodł ich w tamtą stronę.

Niczym rozbitkowie, którzy wreszcie dotarli do suchego lądu, wspięli się na górski grzbiet, po czym padli na ziemię i dyszeli ciężko, szczęśliwi, że znów mają pod stopami terra firma.

Elliott wykazała się przytomnością umysłu i przywiązała wszystkich do drzewa – ostatnią rzeczą, jakiej by teraz chcieli, była ponowna podróż w nieznane.

Napili się wody i choć dudniący dźwięk osłabł na tyle, że mogli spokojnie porozmawiać, zamienili zaledwie kilka słów, żadne z nich nie wiedziało bowiem, co powiedzieć. Szczęśliwi, że żyją, poddali się zmęczeniu i zasnęli.

– „I tak znikają książęta z ziemi, znikają z oczu człowieczych dusz”<sup>20</sup> – deklamował stary Styks na krawędzi Czeluści.

Nieco dalej żołnierze ustawieni w długich szeregach podchodzili

kolejno i skakali do przepaści. Gdy chwilę później otwierali spadochrony, upodabniali się do niesionych wiatrem nasion, dryfujących powoli w głąb otchłani. Każdy ze Styksów obładowany był sprzętem, a niektórzy mieli też przywiązane do stóp wielkie worki, które poruszały się niespokojnie i warczały.

– Zabierają ze sobą psy? – spytał ktoś ze zdumieniem. – Dlaczego tyłu żołnierzy skacze do tej dziury? Albo to jest jakaś samobójcza misja, albo wiecie coś, czego ja nie wiem.

– „Lecz choć ukryta, taka jest postać anielskiej krainy”<sup>21</sup> dokończył Styks.

William Blake, „America, a Prophecy” („Ameryka, przepowiednia”).

Tamże.

Potem odwrócił się i spojrzał na przygarbionego człowieka o głowie okrytej brudną chustą, który pojawił się nagle u jego boku.

– Ciekaw byłem, kiedy się tu przywleciesz, Cox – powiedział Styks.

Cox milczał przez kilka sekund, a gdy znowu się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały nuty oburzenia: – Nikt mi o tym nie powiedział. Co wy kombinujecie? I po co tym Granicznikom psy?

– Dowiedzieliśmy się całkiem niedawno, że bliźniaczki wciąż żyją.

, – W Czułości? – zdumiał się mężczyzna. – Przecież to niemożliwe.

– Możliwe. To sprawdzone informacje. Wciąż mamy duże szanse na odzyskanie Dominium.

– Ach, to świetnie. Więc... – zaczął Cox, stary Styks uciszył go jednak spojrzeniem ostrym jak stal.

– Pozwól, że dokończę. Przeżyły nie tylko bliźniaczki, lecz także ten młody Burrows, a tym samym i Elliott.

– Burrows? Elliott? – Cox przełknął ciężko ślinę i odsunął się o krok od starca, poruszając przy tym głową niczym spłoszony ptak. Widać było, że ta informacja ogromnie go zaniepokoiła.

– Tak, oboje są gdzieś tam, w dole – powiedział Styks, pocierając w roztargnieniu brodę.

– O ile dobrze pamiętam, zgodnie z umową miałeś nam dostarczyć Burrowsa oraz wszystkich, którzy się z nim skontaktowali, czego, jak widać, nie dopełniłeś. Jakby tego było mało, Drake działa na wolności w Górnoziemiu. Zdążył nam już narobić trochę kłopotów.

Po tych słowach mężczyzna podniósł dłoń okrytą czarną rękawicą, a po obu stronach Coksa natychmiast stanęło dwóch Graniczników, którzy ujęli go pod ręce i podnieśli nad ziemię.

– Ale nie jestem okrutny – uśmiechnął się szeroko dowódca. – Gotów jestem dać ci jeszcze jedną szansę na wypełnienie twojej części umowy.

– Nie, proszę, nie... – jęczał Cox, uświadomiwszy sobie, do czego zmierza Styks.

– Księga Izajasza, rozdział dwudziesty ósmy, wers piętnasty: „Zawarliśmy przymierze ze Śmiercią i z Szeolem weszliśmy w układ” – wyrecytował starzec.

– Nie chcecie tego zrobić! Nie skrzywdzicie waszego starego przyjaciela Coksa!

– Umowa to umowa – odrzekł krótko Styks.

Na ten sygnał Granicznicy wrzucili Coksa do Czeluści. Kiedy leciał w dół przepaści, kręcąc się w ciasnym korkociągu, brudna chusta trzepotała za nim na wietrze, upodabniając go do wyjątkowo paskudnego czarownika, który zapomniał zabrać ze sobą miotłę.

– Surowa sprawiedliwość, nie tak mówiłeś, Cox?! Surowa sprawiedliwość! – krzyknął za nim stary Styks, a jego głos odbił się echem od ścian otchłani.

– Ale nie jestem okrutny – uśmiechnął się szeroko dowódca. – Gotów jestem dać ci jeszcze jedną szansę na wypełnienie twojej części umowy.

– Nie, proszę, nie... – jęczał Cox, uświadomiwszy sobie, do czego zmierza Styks.

– Księga Izajasza, rozdział dwudziesty ósmy, wers piętnasty: „Zawarliśmy przymierze ze Śmiercią i z Szeolem weszliśmy w układ” – wyrecytował starzec.

– Nie chcecie tego zrobić! Nie skrzywdzicie waszego starego przyjaciela Coksa!

– Umowa to umowa – odrzekł krótko Styks.

Na ten sygnał Granicznicy wrzucili Coksa do Czeluści. Kiedy leciał w dół przepaści, kręcąc się w ciasnym korkociągu, brudna chusta trzepotała za nim na wietrze, upodabniając go do wyjątkowo paskudnego czarownika, który zapomniał zabrać ze sobą miotłę.

– Surowa sprawiedliwość, nie tak mówiłeś, Cox?! Surowa sprawiedliwość! – krzyknął za nim stary Styks, a jego głos odbił się echem od ścian otchłani.

– Ale nie jestem okrutny – uśmiechnął się szeroko dowódca. – Gotów jestem dać ci jeszcze jedną szansę na wypełnienie twojej części umowy.

– Nie, proszę, nie... – jęczał Cox, uświadomiwszy sobie, do czego zmierza Styks.

– Księga Izajasza, rozdział dwudziesty ósmy, wers piętnasty: „Zawarliśmy przymierze ze Śmiercią i z Szeolem weszliśmy w układ” – wyrecytował starzec.

– Nie chcecie tego zrobić! Nie skrzywdzicie waszego starego przyjaciela Coksa!

– Umowa to umowa – odrzekł krótko Styks.

Na ten sygnał Granicznicy wrzucili Coksa do Czeluści. Kiedy leciał w dół przepaści, kręcąc się w ciasnym korkociągu, brudna chusta trzepotała za nim na wietrze, upodabniając go do wyjątkowo paskudnego czarownika, który zapomniał zabrać ze sobą miotłę.



– Surowa sprawiedliwość, nie tak mówiłeś, Cox?! Surowa sprawiedliwość! – krzyknął za nim stary Styks, a jego głos odbił się echem od ścian otchłani.

## Rozdział trzydziesty szósty



Will otworzył oczy. Leżał na brzuchu, z głową wśród kamieni, a zaledwie kilkanaście centymetrów przed jego oczami znajdowało się coś naprawdę niezwykłego. Było to dość małe, powolne stworzenie, które pod wieloma względami przypominało dużego ślimaka pozbawionego muszli. Jednak tym, co odróżniało je od zwykłych ślimaków, były pasy ciemnej i jasnej zieleni ciągnące się wzdłuż ciała i pulsujące jasnym światłem.

Chłopiec przestał robić zeza i podniósł się z ziemi, by lepiej przyjrzeć się niezwykłemu ślimakowi. Zwierzę wyczuło jego ruch i natychmiast się zatrzymało.

– Witaj! – powiedział Will.

Kiedy stworzenie nadal tkwiło w bezruchu, dmuchnął na nie leciutko. W tym momencie ślimak jakby zwinął się do środka, a jaskrawe barwy na jego ciele zamieniły się w matową szarość, niemal identyczną z powierzchnią skały, po której pełzł. Potem skurczył się i zwinął w kulkę. Gdyby Will nie widział go wcześniej, pomyślałby, że to zwykły, okrągły kamyk.

Ponieważ ślimak nadal udawał martwego – albo kawałek skały pozbawionej życia – chłopiec znów dmuchnął na niego. Nie doczekał się żadnej reakcji, więc zrobił to jeszcze raz.

Wtedy rozległ się cichy trzask, zwierzę podskoczyło pionowo do góry, niczym pchła, i znikło.

– Co, u...?! – wykrzyknął Will, siadając prosto.

Kiedy rozejrzał się dokoła, zobaczył, że Elliott i Bartleby jeszcze śpią. Nie spał za to jego ojciec, który siedział oparty o pień paproci drzewiastej.

– Widziałeś to? – spytał syn.

Doktor skinął głową, lecz jego oczy płonęły blaskiem, który nie miał nic wspólnego z odkryciem dziwnego ślimaka.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego... To musi być jakiś całkiem nowy gatunek – stwierdził Will.

Burrows podniósł rękę.

– Will, to nieważne... nie teraz.

– Co masz na myśli?

– Rozejrzyj się tylko wokoło. Nie domyśliłeś się jeszcze, gdzie jesteśmy? Udało nam się... Jesteśmy w środku naszej planety. Jesteśmy we wnętrzu Ziemi!

Chłopiec nie odpowiedział od razu. Przechylił głowę, wystawiając twarz na działanie światła padającego z góry.

– Ale... to nie jest światło słoneczne – powiedział w końcu niepewnie.

– Owszem, Will, to jest światło słoneczne, ale nie naszego Słońca – odparł doktor Burrows. – Ta starożytna rasa jednak wiedziała to i owo: znalazła drogę do tego miejsca, a my przeszliśmy ich śladem. Dotarliśmy aż tutaj, jak oni. Udało nam się!

Syn zmarszczył brwi, tknięty pewną myślą.

– Tato... kiedy oderwaliśmy się od ściany i wylecieliśmy na środek przepaści, myślałem, że zrobił to Bartleby... że to on nas tam popchnął. – Podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy ojca. – Ale to wcale nie był on, prawda? To byłeś ty.

Elliott wymamrotała coś przez sen, a doktor Burrows przyłożył palec do ust.

– Pst...! Nie tak głośno, Will.

Ale chłopiec wcale nie zamierzał milczeć.

– Robiłeś wszystko, żebyśmy nie mogli zawrócić. A kiedy strzelałeś z mojego stena, nie wiedziałeś wcale, dokąd nas prowadzisz, prawda? Nie miałeś bladego pojęcia, czy gdzieś dotrzemy, czy też po prostu umrzemy w tym okropnym miejscu?

– Nie, rzeczywiście nie miałem najmniejszego pojęcia przyznał doktor. – To był strzał w ciemno. – Uśmiechnął się, zadowolony z tej niezamierzonej gry słów, i powtórzył jeszcze raz: – Strzał w ciemno.

– Ty...! – warknął Will, zdumiony i przerażony zarazem, że ojciec gotów był ryzykować nie tylko swoje życie, lecz także ich i że mówił o tym z kompletną beztróską.

– Masz pełne prawo do takiej reakcji, synu, ale spójrz tylko, co osiągnęliśmy – powiedział cicho Burrows, zerkając ponownie na Elliott. – I radziłbym nie emocjonować się zbyt, bo teraz naprawdę będziemy musieli wziąć się w garść i wejść na górę. Jeśli zaczniesz się awanturować razem z tą młodą Ellie, w niczym nam to nie pomoże.

– Ona nazywa się Elliott, a ty jesteś zdrowo szurnięty! Przez te twoje chore pomysły wszyscy mogliśmy zginąć! oskarżył go Will.

– Ale nie zginęliśmy, prawda? – odparował ojciec. – Jak myślisz, ile byśmy jeszcze pożyli, gdybyśmy zostali na dnie tamtej przepaści? – Podniósł oczy w stronę światła. – Posłuchaj, Will, jeśli dotrzemy na górę i okaże się, że nie ma tam nic prócz wypalanej słońcem pustyni, będziesz mógł sobie pogratulować proroczych zdolności... kiedy wszyscy umrzemy z głodu albo zachorujemy na raka skóry. – Doktor skinął głową. – Niczym Ikar za bardzo zbliżymy się do słońca.

Chłopiec nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Jego ojciec znowu odwrócił kota ogonem i teraz wyglądało na to, że jeśli racja będzie po stronie syna, to ich los jest przesądzony. Will ułożył się więc z powrotem na ziemi, a gdy w końcu obudziła się Elliott, nie wspomniał ani słowem o tym, do czego przyznał się jego tata. Cóż by to zresztą

zmieniło?

Wciąż powiązani liną, wspinali się w górę wewnętrznego zbocza olbrzymiego krateru.

Powietrze robiło się coraz cieplejsze, a światło – coraz jaśniejsze. Ściana krateru pochylona była pod kątem czterdziestu pięciu stopni, lecz ze względu na zmniejszone ciężenie wspinaczka nie sprawiała im wiele trudu. Jednak kiedy weszli wyżej, rosnąca grawitacja przygięła ich mocniej do ziemi i spowodowała, że poruszali się ociężale, jakby przedzierali się przez gęsty syrop. Wędrówki nie ułatwiała im również coraz bujniejsza roślinność. W końcu zdecydowali się rozwiązać łączącą ich linę, która raz po raz zaczepiała o drzewa i większe krzewy. Wtedy się okazało, że co chwila któreś z nich traci równowagę i leci bezwładnie w dół stromego zbocza. W takiej sytuacji należało rozłożyć szeroko ręce i chwycić się jakiejś rośliny, aby w ten sposób uniknąć stoczenia się po pochyłości.

W miarę jak światło przybierało na sile, Elliott miała coraz większe kłopoty ze wspinaczką.

Znikła gdzieś kocia zręczność, z którą poruszała się wcześniej, co jednak nie zdziwiło Willa szczególnie. Dziewczyna nigdy przedtem nie była narażona na działanie tak jasnego światła, lecz miała nadzieję, że z czasem zdoła się do tego przyzwyczaić.

Po jakimś czasie dotarli do obszaru pozbawionego roślinności. Zbocze pokryte było tutaj ciemnobrązowym osadem, który szczelnie oblepiał skały i wnikał w glebę.

– Coś w rodzaju plamy ropy? – spytał Will ojca.

Spojrzał do przodu, wypatrując czegoś, co mogło być przyczyną tego zanieczyszczenia.

Doktor Burrows roztarł między palcami i powąchał lepłą substancję.

– Tak, w pewnym sensie. Myślę, że to bitum.

– Co? To jest smoła, której się używa do budowy dróg? zdumiał się syn.

– Tak, ale tutaj jest to zjawisko naturalne. Ta smoła wypływa zapewne spomiędzy warstw skał. Według niektórych teorii bitum powstaje w miejscach, gdzie zebrały się duże ilości pierwotnych, mikroskopijnych organizmów, rozłożonych potem przez bakterie. – Mężczyzna wytarł palce w spodnie. – Swoją drogą, starajcie się nie dotykać tej substancji; podobno zawiera arszenik i inne paskudztwa.

– Trochę za późno – mruknął Will, spoglądając na swoje ręce, po czym znowu zaczął się wspinać.

Po kilku dniach wędrówki przez coraz bujniejszą roślinność, przetykaną złożami smoły, w końcu wyszli z krateru i stanęli na równym gruncie.

– Nieprawdopodobne! – wykrzyknął Burrows. – Jesteśmy na miejscu!

– Czymkolwiek jest to miejsce – mruknął Will. – Myślałem, że już nigdy tu nie dojdziemy. – Przeciągnął się, zadowolony, że znów może stać prosto.

Jego ojciec zsunął plecak z ramion.

– Chyba już nie będę tego potrzebował. Nie w tym klimacie – stwierdził, zdejmując budrysówkę. Potem wyjął z plecaka lornetkę. – Spójrzcie tylko, tu jest naprawdę pięknie!

zawołał z entuzjazmem.

Will zmrużył oczy i spojrzał na pasma wzgórz ciągnące się we wszystkich kierunkach, potem zaś na żyzną, czerwoną glebę, na której stali.

Elliott zrobiła kilka chwiejnych kroków i podniosła rękę, osłaniając twarz przed palącymi promieniami.

– Strasznie gorąco – wydyszała.

– Dlatego, że słońce zawsze stoi w zenicie – poinformował ją

doktor Burrows. – Tutaj zawsze jest południe.

– O czym ty mówisz?! – prychnął Will.

Ojciec jeszcze raz spojrzął na kompas, a potem ponownie podniósł wzrok.

– Ziemia nie krąży wokół tego Słońca; ono wisi na niebie przez cały dzień... Właściwie tu jest tylko dzień... Nigdy nie robi się ciemno i nie zapada noc.

– Tylko dzień – powtórzyła Elliott, spoglądając na kolegę.

Chłopiec uzmysłowił sobie, jak dziwna musiała jej się wydawać ta informacja. Całe dotychczasowe życie spędziła pod powierzchnią ziemi i znała tylko wieczną ciemność podziemnych krain. Teraz musiała przenieść się z jednej skrajności w drugą.

– Ogród Drugiego Słońca – powiedział głośno doktor Burrows, wciąż rozglądając się po okolicy. – Nazwę to miejsce Krainą Rogera Burrowsa!

Tego już było Willowi za wiele.

– Przykro mi, tato, ale nie wierzę w te brednie o drugim Słońcu – oświadczył gniewnie, kręcąc głową. Wskazał palcem na rozciągający się przed nimi krajobraz. – Spójrz na te lasy i wzgórza. – Wzruszył ramionami. – Wszystko wygląda całkiem normalnie. Jak możesz twierdzić, że znajdujemy się we wnętrzu planety, kiedy wszystko wydaje się takie normalne?

I powiedz mi coś jeszcze: jeśli masz rację, to dlaczego nie widzimy, jak linia horyzontu zakrzywia się do góry?

– Cóż, nawet gdyby te wzgórza nie zasłaniały nam widoku... – tłumaczył cierpliwie mężczyzna – ... ze względu na olbrzymią skalę tego świata, a także drzenie rozgrzanego powietrza, nie moglibyśmy sięgnąć wzrokiem tak daleko. Jednak może w sprzyjających warunkach uda nam się dojrzeć choćby zarys przeciwległej ściany tej kuli. , Will ponownie pokręcił głową.

– Więc według ciebie czym właściwie jest ta wielka, płonąca rzecz na niebie?

– Już ci mówiłem. To drugie Słońce. Powstało zapewne w tym samym czasie co nasza planeta, u zarania dziejów. Tkwi tutaj przez cały czas, ukryte przed naszym wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że to rodzaj gwiazdy? – spytał Will, marszcząc brwi z niedowierzaniem.

– Tak. Gwiazda zamknięta we wnętrzu planety. Przypuszczam, że nie jest to odosobniony przypadek i że we wszechświecie istnieje mnóstwo tego typu ciał, choć oczywiście nie możemy ich obserwować – stwierdził ojciec. – Zdrowy rozsądek podpowiada, że ta gwiazda jest znacznie mniejsza niż Słońce, które znajduje się pośrodku naszego układu planetarnego, inaczej po prostu by się tutaj nie zmieściła.

– Och, daj już spokój! – zachnął się Will. – Prawda jest taka, że jakimś cudem zdołaliśmy się wspiąć w górę jednej z przepaści i wyszliśmy z powrotem na powierzchnię.

Wiem, że te rośliny są trochę dziwne... – zawahał się na moment, gdy jego spojrzenie padło na wielki, niebieski kwiat wielkości piłki plażowej – ... ale może trafiliśmy do Afryki albo jakiegoś równie egzotycznego miejsca. Posłuchaj tych świerszczy, na pewno takie same są w Afryce.

Przez chwilę razem milczeli, wsłuchani w rytmiczne dzwonienie dochodzące ze wszystkich stron.

– To cykady – uznał w końcu doktor. – To głos cykad, które żyją w tropikalnych obszarach...

– Mówiłem ci – przerwał mu syn. – Wróciliśmy na powierzchnię.

– Doprawdy? – uśmiechnął się ojciec. – Skoro tak, to co z grawitacją? Proszę bardzo, spróbuj.

– W porządku, spróbuję – odrzekł chłopiec, przyjmując wyzwanie.

Odbił się kilkakrotnie od podłoża i za każdym razem osiągał coraz



większą, nieprawdopodobną wręcz wysokość. Gdy w końcu przestał skakać, na jego twarzy malował się wyraz niepewności.

– Chyba jest trochę słabsza niż normalnie.

– Dziękuję – powiedział doktor Burrows z nutą drwiny w głosie. – W rzeczywistości jest znacznie słabsza. Przy gruncie utrzymuje nas siła odśrodkowa, mniejsza niż siła grawitacji, do której przyzwyczajeni jesteśmy na powierzchni.

Mężczyzna umilkł, gdy nagle usłyszeli jakieś szczebiotanie, a obok przeleciało stado ognistoczerwonych ptaków. Wielkością dorównywały gołębom, wyglądały jednak znacznie szlachetniej, miały długie ogony, zakrzywione dzioby o długości około dziesięciu centymetrów oraz – co najdziwniejsze – po dwie pary skrzydeł. Jeden z ptaków podleciał do wielkiego, niebieskiego kwiatu, zawisł nad nim niczym koliber i wsunął do wnętrza długi dziób, by zebrać nektar.

– Widziałeś kiedyś takie ptaki? – spytał doktor syna.

– Prawdę mówiąc, nie – niechętnie przyznał Will.

Kiedy ruszyli w stronę odległych wzgórz, Bartleby skoczył do kwiatu i pochwycił zębami ognistoczerwonego ptaka.

– Bartleby! Nie! Zostaw! – krzyknął chłopiec, było już jednak za późno.

Elliott poprowadziła ich między dwa wzgórza, co okazało się słuszną decyzją, ponieważ znaleźli tam przełęcz. Pomimo że nie musieli się już wspinać, czekała ich inna, niemiła niespodzianka: las, o którym wspominał Will, był w rzeczywistości gęstą dżunglą. By pokonać choćby krótki dystans, musieli godzinami przedzierać się przez zwartą ścianę roślinności. Gdy w końcu dotarli na drugą stronę bujnego lasu, znaleźli się na skraju pasa buszu o szerokości około kilometra. Po drugiej stronie tego obszaru wznosiła się ściana dżungli, jeszcze wyższej i gęstszej niż ta, z której właśnie wyszli.

– Ciekawe, dlaczego akurat to miejsce nie zarosło drzewami –

zastanawiał się głośno doktor Burrows, po czym przykląkł i zaczął grzebać w ziemi, mruczając coś o pionierskich koloniach roślinności.

– Hej! – zawołał Will ojca, kiedy zobaczył w oddali stado zwierząt pasące się na olbrzymiej łące.

Mężczyzna natychmiast podniósł się z kolan i sięgnął po lornetkę.

– Bawoły – stwierdził po krótkiej obserwacji. – Ale spójrz tam – dodał, wskazując na odległy kraniec pasa buszu.

– Zebry? – spytał chłopiec, dojrawszy z daleka czarnobiałe pasy.

– Wyglądają jak zebry, ale mają pasy tylko do połowy ciała... Will... to chyba są kwaggi! – wykrzyknął doktor, po czym zachichotał histerycznie.

– Ależ skąd, przecież kwaggi dawno już wymarły – parsknął lekceważąco syn. – Ostatnia zginęła w zoo...

– Wiem, wiem, w 1883 roku w Amsterdamie... – Burrows odsunął lornetkę od oczu. – Ale tutaj nie zostały wytępione! Zupełnie jakby los dał im drugą szansę.

– Chcesz powiedzieć, że los dał nam drugą szansę – poprawił go chłopiec.

Mężczyzna milczał, ponieważ jego uwagę przykuło już coś innego. Podał lornetkę synowi.

– Tuż nad wierzchołkami drzew... co tam widzisz?

– Wygląda jak dym. Cała chmura dymu – stwierdził Will.

– Tak – skinął głową ojciec. – Przypuszczam, że to pożar buszu. Roślinność jest tak nagrzana, że dochodzi do samozapłonu. Przyjrzałem się uważniej glebie w tym miejscu i zauważyłem, że pod warstwą nowej roślinności zalega popiół. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Ale nie miałem na myśli dymu. Spójrz tam jeszcze raz, Will.

Chłopiec posłusznie podniósł lornetkę do oczu i ustawił ostrość. Przez chwilę milczał, po czym opuścił przyrząd i popatrzył na tatę.

– Piramidy... dwie...

– Tak – skinął głową mężczyzna. – Wyglądają jak...

– ... jak piramidy Majów – dokończył syn. – Mają płaskie wierzchołki.

– Tak, piramidy Majów – zgodził się z nim Burrows. – Ale ja naliczyłem trzy.

Powinniśmy iść w stronę najbliższej postanowił od razu.

Kiedy maszerowali przez wielką polanę, stada pasących się tam zwierząt nie zwracały na nich najmniejszej uwagi, jakby w ogóle nie bały się ludzi. Will nie miał jednak siły, by się nad tym zastanawiać, czuł się bowiem coraz gorzej. Spojrzał na swoje odsłonięte przedramię.

– Co się dzieje? – spytał ojciec.

– To przez słońce. Nie wytrzymam już długo: pali jak diabli – wyjaśnił syn.

Na szczęście byli już blisko dżungli i wkrótce chłopiec mógł się schronić w cieniu drzew.

– Lepiej? – spytał doktor, gdy przystanęli, by napić się wody.

Później ruszyli w dalszą drogę. Przedzierali się przez gęstą, niemal nieprzebytą ścianę roślinności. Doktor Burrows porównywał ją do amazońskich lasów deszczowych, zaznaczając jednocześnie, że tutejsze drzewa są kilkakrotnie wyższe od tych, które można znaleźć w górnoziemskich lasach równikowych. Na szczęście po jakimś czasie dotarli do obszaru, gdzie zrobiło się luźniej i gdzie mogli nieco odsapnąć. Niezwykle gęste korony drzew zatrzymywały w tym miejscu większość światła, dzięki czemu na dnie lasu było znacznie ciemniej i znacznie chłodniej. Mogli teraz poruszać się niemal całkiem swobodnie, na drodze stały im bowiem tylko grube pnie drzew oraz nieliczne małe krzewy, obsypane egzotycznymi owocami. Elliott, która odzyskała w tych warunkach dawny wigor, przejęła prowadzenie i zmusiła ich do przyśpieszenia tempa.

Od czasu do czasu wędrowcy dostrzegali między drzewami antylopy i gazy. Elliott wypatrzyła także wielkiego kolorowego gada, owiniętego wokół gałęzi wysoko nad ich głowami. Chociaż wąż tkwił w bezruchu i wydawał się całkiem niegroźny, woleli nie ryzykować i nie przechodzić bezpośrednio pod nim. Tymczasem na dnie lasu, wśród krzewów i ściółki leśnej, kryły się różne mniejsze gady jaskrawo ubarwione jaszczurki – i płazy przypominające żaby.

Stworzenia te dostarczały rozrywki Bartleby emu, który obwąchiwał je z zaciekawieniem i podskakiwał radośnie, gdy uciekały przed nim w popłochu.

Doktor Burrows pogwizdywał fałszywie, przyglądając się różnym okazom miejscowej fauny, nagle jednak umilkł i wyprzedził Elliott. Maszerował energicznym, zamaszystym krokiem, uznawszy najwyraźniej, że to on powinien prowadzić całą grupę. Kiedy jednak omal nie wszedł prosto do rwącej rzeki, ukrytej pod grubą warstwą roślinności, wycofał się potulnie i pozwolił, aby dziewczyna prowadziła ich dalej. Od tej pory wszyscy patrzyli uważniej, gdzie stawiają stopy.

Kierując się kompasem doktora, w końcu dotarli na skraj dżungli i wyszli na polanę. W odległości pięćdziesięciu metrów znajdowała się najbliższa piramida.

Will i jego ojciec zatrzymali się raptownie. Mężczyzna podniósł do oczu lornetkę i chłonał chciwie każdy szczegół piramidy, przesuwając spojrzenie w górę poszczególnych tarasów, aż do samego szczytu.

– Boże wszechmogący... Spójrz tylko na to! Widzisz te płaskorzeźby? Coś niesamowitego! – wykrzyknął. – Will, widzisz, jakie to jest wielkie?! Szczyt sięga daleko ponad wierzchołki drzew!

– Co to jest? – spytała Elliott, spoglądając na niebo.

Wysoko w górze gromadziły się gęste, ciemne chmury, które wkrótce całkiem przesłoniły słońce, jakby nagle zapadł zmierzch.

Jednocześnie ucichły głosy cykad i ptaków, a wokół zapadła dziwna cisza.

– Nie martw się, to tylko chmury. W Górnoziemiu też je mamy – wyjaśnił Will dziewczynie.

Nagle niebo przecięła oślepiająca błyskawica, a potem runął na nich ulewny deszcz.

– To deszcz monsunowy – roześmiał się beztrząsowo doktor Burrows.

Chłopiec rozłożył szeroko ramiona, pozwalając, by woda spływała po nim gęstymi strugami.

– Właśnie tego mi było trzeba! – zawołał, przekrzykując burzę. Jednak kilka minut później ulewa przybrała na sile do tego stopnia, że zaczęła przygniatać ich do ziemi. – Au, boli! – krzyknął, cofając się pośpiesznie pod osłonę liści. – To było trochę więcej, niż mi trzeba – poskarżył się.

Kiedy wszyscy troje przyglądali się nawałnicy spod osłony drzew, usłyszeli nagle głośny trzask, jakby coś spadało przez gałęzie. Wkrótce odkryli, co było tego przyczyną – jakieś dwadzieścia metrów za nimi na dno lasu runął potężny konar.

– Drzewom też nieźle się obrywa – stwierdził doktor, gdy Will i Elliott przyglądali się złamanej gałęzi.

Chłopiec zmarszczył brwi, pochylił się niżej i coś od niej oderwał, używając do tego obu rąk.

– Jabłko... wielkie jak arbuz...? – spytał, pokazując ojcu duży owoc.

Rzeczywiście, przypominał on do złudzenia olbrzymie jabłko o gładkiej, apetycznie zarumienionej skórce. Will wyjął nóż Cala i wyciął z owocu fragment miększości.

– Pokaż mi to – poprosiła Elliott, a chłopiec podał jej wyciętą część. Najpierw dziewczyna powąchała ją ostrożnie, a potem ugryzła. – Dobrze – mruknęła z uznaniem. – Spróbuj – dodała, oddając owoc

Willowi, który także odgryzł kawałek.

– Dobrze? Jest po prostu pyszne! – zawołał chłopiec i poczęstował ojca.

– Nie, musimy działać metodą małych kroków – pokręcił głową Burrows. – Jeśli zjemy tę samą rzecz, a potem się okaże, że jest szkodliwa, wszyscy się pochorujemy. W końcu to nie jest nasze naturalne środowisko.

– Według mnie to smakuje całkiem naturalnie – odparł Will i znowu wgryzł się w wielkie jabłko.

Gdy deszcz wreszcie ustał, wyszli z dżungli. Z zachwytem przyglądali się kroplom wody, które wisiały na krawędziach liści i lśniły w blasku słońca niczym drogocenne klejnoty.

– Cóż za cudowne miejsce! – zachwycił się doktor. – Piękne i niewinne. Jak ukryty Eden.

– To dopiero była ulewa – pokręcił głową Will, ocierając do sucha twarz.

Mokra trawa ugięła się z mlaskiem pod ich stopami, jednak intensywne promienie słońca już zaczynały osuszać wilgotną glebę.

– Tak, takie opady ugasiłyby każdy pożar. Może tak to właśnie wygląda – zastanawiał się głośno doktor.

– Co masz na myśli?

– Może to niekończący się cykl ognia i wody, śmierci i odradzania. Tak, to miałoby sens, bo w tym świecie przecież nie ma pór roku. A „noc” zapada tylko wtedy, gdy chmury przesłonią słońce, jak sami widzieliśmy przed chwilą. – Burrows umilkł i spojrzał surowo na syna.

– No i jak, Will, wierzysz już teraz, że nie wróciliśmy na powierzchnię?

– Chyba muszę – westchnął chłopiec.

– Dobry chłopak! – uśmiechnął się szeroko ojciec, kładąc dłoń na jego ramieniu. Potem odwrócił się do piramidy. – Przyjrzymy się jej z

bliska, prawda? – zaproponował.

Wstrzymując oddech, obaj podeszli do podnóża budowli.

– Symbol trójzębu! – zawołał nagle mężczyzna.

– Tak, i to na każdym piętrze – przytaknął Will.

Wodził spojrzeniem wzdłuż poszczególnych tarasów i szukał znaków wrytych na kamieniach. Symbole były tak duże, że chłopiec nie potrzebował lornetki, by je dostrzec. Ponownie pomyślał o wisiorze z takim samym znakiem, który dostał od wuja Tama i który wciąż nosił na szyi. Zastanawiał się, jak ów wisior trafił w ręce wuja oraz czy ten wiedział o tajemniczej krainie ukrytej w środku Ziemi. Wcale by się nie zdziwił, gdyby tak było.

– Więc ten zapomniany lud, starszy od cywilizacji Egipcjan i Fenicjan, budował prawdopodobnie takie właśnie piramidy – rozmyślał głośno doktor Burrows. – Może gdzieś w pobliżu kryje się zaginione miasto Atlan... – urwał raptownie, gdy Elliott zagwizdała niczym ptak.

Odwrócili się w stronę dziewczyny, która stała przy jednym z rogów piramidy.

– Co ona próbuje nam powiedzieć? – spytał doktor.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Will.

Zdjął z ramienia stena, otarł go starannie z wody i odbezpieczył. Potem ruszył razem z ojcem ku Elliott. Kiedy już podeszli bliżej, zobaczyli, że dziewczyna stoi przed trzema wbitymi w ziemię palami, na których zatknięto ludzkie czaszki. Kości pozbawione były skóry i wysuszone słońcem do białości.

– Ludzkie? – spytał chłopiec.

– Tak, ale muszą tu wisieć już od dłuższego czasu – zauważył Burrows, jakby to mogło stanowić jakieś pocieszenie.

– Ta ma ranę na kości skroniowej – zauważyła Elliott, wskazując na środkowy pal.

Doktor i Will podeszli jeszcze bliżej i przyjrzeni się nieregularnemu otworowi z boku czaszki.

– Nie byłbym taki pewny – oświadczył w końcu mężczyzna, kręcąc głową. – Taka rana mogła też powstać w wyniku upadku z dużej wysokości. A te paliki to być może pozostałości jakiegoś rytualnego pochówku.

– To dziura po kuli – odparła Elliott stanowczo. – Po drugiej stronie czaszki jest otwór wylotowy.

Will obejrzał się nerwowo przez ramię, jakby nagle gęstą ścianę dżungli zobaczył w zupełnie innym świetle.

– Dlaczego ktoś zostawił tutaj te czaszki? – spytał.

– To znak... ostrzeżenie – stwierdziła dziewczyna.

Chłopiec natychmiast odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

Użyła dokładnie tych samych słów, kiedy w mrokach Głębi natknęli się na przymocowane do pali ciała Koprolitów i renegatów, zamordowanych przez Styksów. Will zareagował wtedy w sposób, który poróżnił ich na dłuższy czas. Teraz jednak czuł się tak, jakby miał szansę powrócić do tamtej chwili i zacząć wszystko od nowa.

Oderwawszy spojrzenie od Elliott, zwrócił się do ojca: – Nie wiemy, co zabiło tych ludzi, tato, ale wiemy z całą pewnością, że nie jesteśmy tu sami – powiedział cicho. – Trudno odgadnąć, kto trafił tu oprócz nas: może marynarze z okrętu podwodnego, może piraci z galeonu, a może ktoś znacznie, znacznie bardziej niebezpieczny.

Doktor Burrows uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Może to jednak wcale nie jest taki raj... – dokończył chłopiec.



## Rozdział trzydziesty siódmy



– Will mówił, że zużyli tonę benzyny, żeby dopłynąć do domu! – krzyknął Chester, gdy już zgasił silnik, a w przystani ponownie zapadła cisza.

– Nie przejmuj się, skarbie, przyniosę jeszcze kilka kanistrów – zaofiarowała się Marta.

Stała na krawędzi nabrzeża i przyglądała się z czułością chłopcu, który siedział w łodzi.

Potem uśmiechnęła się do niego i ruszyła w stronę zbiorników z paliwem.

– Skarbie? – mruknął Chester, kręcąc głową.

Marta coraz bardziej go przerażała. Odkąd zostali tylko we dwoje, bez Elliott i Willa, przelewała na niego wszystkie swoje uczucia macierzyńskie, a jemu wcale się to nie podobało. Ciągle gapiła się na niego tymi swoimi sarnimi oczami, co napełniało go rosnącym niepokojem.

Najgorsze nastąpiło wówczas, gdy szli w górę szczeliny, kierując się sygnałami radiolatarni pozostawionych przez Willa. Kiedy zatrzymali się na odpoczynek, kobieta zaproponowała, że będzie trzymała straż i pozwoli Chesterowi przespać się kilka godzin. Chłopiec przebudził się nagle, pewien, że ktoś głaskał go po głowie. Nim otworzył oczy, dostrzegł spod przymrużonych powiek, jak Marta szybko cofa rękę. Był wtedy zbyt speszony i – prawdę mówiąc – zbyt zaniepokojony, by spytać wprost o ten incydent. Nawet teraz, gdy

wracał do niego myślami, dostawał gęsiej skórki.

Z pewnością nie zdecydowałby się na samotną wędrówkę do schronu przeciwatomowego; miał też świadomość, że będzie potrzebował kogoś do pomocy podczas żeglugi w górę rzeki; jednak nigdy na towarzysza podróży nie wybrałby Marty, zwłaszcza gdyby wiedział, że będzie się zachowywała w tak dziwny i nieobliczalny sposób.

Podniósł się powoli, by nie rozkołysać zbyt mocno łodzi, i odprowadził wzrokiem pulchną sylwetkę kobiety. Gdy tylko znikła w jednym z budynków, przystąpił do działania.

– Ruszaj się – mruknął do siebie, wyskakując z łodzi.

Pobiegł w przeciwną stronę nabrzeża, do schronu. Potem przeszedł szybko do kabiny radiooperatora i zamknął za sobą drzwi.

– Czarny telefon... czarny telefon... Will mówił o czarnym telefonie – powtarzał nieprzytomnie, sięgając po słuchawkę. Przyłożył ją do ucha i nasłuchiwał przez chwilę. – Nie ma sygnału... Ale Will mówił, że nie będzie sygnału – przypomniał sobie i zaczął wykręcać numer, który podawała Elliott pogrążona w gorączce.

W pośpiechu włożył palec w niewłaściwy otwór i wybrał zły numer. Spanikowany, spojrzął na plakat wiszący na ścianie. Wielkie, czarne litery wypisane na białym tle głosiły: ZACHOWAJ SPOKÓJ I TRZYMAJ SIĘ PROCEDUR. Chester wziął sobie tę radę do serca, odetchnął głęboko i ponownie wykręcił numer.

– Proszę, działaj, proszę...

Odczekał chwilę, na wypadek gdyby połączenie nie nastąpiło od razu. Gdy w słuchawce rozległ się jakiś trzask, zaczął mówić, wyrzucając z siebie potok słów: – Drake, to ja, Chester. Właśnie wyruszam w górę rzeki i... i musisz spotkać się ze mną na powierzchni. Musisz... – powtórzył zduszonym głosem. Umilkł na moment, ponieważ wydawało mu się, że z korytarza dobiegł jakiś

dźwięk. Zniżył głos do szeptu i dodał błagalnym tonem: – Liczę na ciebie, Drake. Sam nie dam...

Tym razem był już pewien, że ktoś idzie korytarzem, więc odłożył słuchawkę i opadł na pobliskie krzesło. Wyciągnął nogi na ławę i opuścił głowę na piersi, jakby drzemał.

Drzwi za jego plecami otworzyły się powoli.

– Skarbie, jesteś tu...? Ach, jesteś – stwierdziła Marta, nieco zaskoczona.

Chłopiec się przeciągnął i ziewnął teatralnie.

– Musiałem się zdrzemnąć – skłamał.

Kobieta bez większego zainteresowania ogarnęła spojrzeniem sprzęt leżący na ławie.

– Już przyniosłam paliwo i zastanawiałam się, czy nie chciałbyś czegoś zjeść – dodała, drapiąc się w pośladek.

– Ee... nie... dziękuję, Marto – odrzekł Chester. – Pomyślałem, że później sam sprawdzę wszystkie zapasy. Ale ty możesz przecież wziąć sobie coś do jedzenia. O mnie się nie martw.

– Jak sobie życzysz, kochany – odparła Marta, nie kryjąc rozczarowania, i oddaliła się, szurając głośno nogami.

Chłopiec pozostał w kabinie radiooperatora, zastanawiając się po raz kolejny, czy nie mógłby jakoś pokonać ostatniego etapu tej podróży w pojedynkę. Myśl o ucieczce spod nadopiekuńczych ramion Marty była bardzo kusząca, jednak z tego, co mówił Will, wynikało, że do obsługi łodzi potrzebne są dwie osoby. Chester zaklął bezgłośnie – nie, nie byłby w stanie dokonać tego sam.

Nie miał też pojęcia, jak sobie poradzi, gdy w końcu uda mu się wrócić do Górnoziemia.

Wiedział, że przyjdzie mu żyć w atmosferze ciągłego zagrożenia ze strony Styksów, lecz mimo to za wszelką cenę pragnął zobaczyć się z rodzicami. Musiał jakoś dać im znać, że żyje.

Czy jednak nie przeszkodzi mu w tym towarzystwo Marty? Czuł się teraz tak, jakby nagle zyskał trzeciego rodzica, kochającego, ale zarazem obłąkanego. Nagle w jego umyśle pojawił się przerażający obraz: w obrazie tym Marta zżerana zazdrością i obłądem mierzyła z kuszy do jego rodziców.

– O Boże, nie... – mruknął, pocierając czoło. – Will, nie wiem, gdzie teraz jesteś, ale kiedyś mi za to wszystko zapłacisz – powiedział, po czym zaczął się nagle śmiać. – Will, Will, Will – powtarzał, kręcąc głową i wciąż się śmiejąc.

## Rozdział trzydziesty ósmy



**W**ill musiał się zgodzić z ojcem – wyglądało na to, że trafili do jakiegoś podziemnego raju.

Choć odkrycie czaszek zatkniętych na palach mąciło nieco ten idylliczny obraz, szybko o tym zapomnieli, poddając się nowemu rytmowi życia. Ta nieskomplikowana, sielska wręcz egzystencja pozwoliła im wreszcie odpocząć i odbudować siły nadwątlone długą wędrówką.

Podczas jednej z pierwszych wycieczek w głąb dżungli Will z ojcem natknęli się na ruiny miasta. Choć bujna, tropikalna roślinność już dawno zaanektowała ten obszar, liczne pozostałości dowodziły, że miasto było niegdyś naprawdę ogromne i zajmowało co najmniej kilka kilometrów kwadratowych powierzchni. Doktor Burrows był przekonany, że tu właśnie osiedlił się wędrowny lud, którego ślady znalazł w Głębi. Płaskorzeźby i napisy na piramidach świadczyły o tym, że Starożytni – tak nazywał ich doktor – stworzyli cywilizację, która przynajmniej o kilka wieków wyprzedzała kultury istniejące w tym samym czasie w Górnoziemiu. Ich osiągnięcia w dziedzinach nauki, takich jak filozofia, medycyna czy matematyka, były wręcz zdumiewające.

Doktor Burrows twierdził, że to właśnie Starożytni dali początek legendzie o Atlantydzie. Był przekonany, że Platon w trzecim wieku przed naszą erą słyszał jakieś pogłoski o tej ukrytej cywilizacji, a potem napisał o niej w swoich dialogach, nigdy jednak nie dowiedział

się, gdzie tak naprawdę istniała. Dlatego też późniejsze teorie na ten temat – że Atlantyda znajdowała się na Oceanie Atlantyckim lub Morzu Śródziemnym, na wyspie, która potem została pochłonięta przez wodę – nie miały nic wspólnego z prawdą. Doktor był przekonany, że prawdziwa Atlantyda znajdowała się właśnie tu, przez wieki ukryta głęboko pod powierzchnią Ziemi.

Will nie zastanawiał się szczególnie nad takimi sprawami, szczęśliwy, że może pracować z ojcem i dokonywać wraz z nim kolejnych odkryć. Czuł się tak, jakby jego marzenia wreszcie się urzeczywistniły.

Elliott szybko nauczyła się żyć w słońcu, a jej skóra wręcz błyskawicznie okryła się brązową opalenizną. Chłopiec przypisywał to jej pokrewieństwu ze Styksami, pamiętał bowiem, że Rebeki równie łatwo przystosowały się do życia w Górnoziemiu.

Dziewczyna zbudowała dla wszystkich schronienie w gałęziach wielkiego drzewa nieopodal piramid. Uzbrojona w łuk i strzały, co jakiś czas wybierała się z Bartlebym na długie polowania. Wielki kot okazał się wielce pomocny w tropieniu zwierzyny – kiedy już udało się go przekonać, by nie uganiał się wyłącznie za gryzoniami i małymi gadami. Elliott zniknęła z nim czasem nawet na kilka dni, zapuszczając się w głąb dżungli, by polować na gazy i antylopy. W związku z tym mieli pod dostatkiem mięsa i skór, które dziewczyna umiała odpowiednio przygotować dzięki umiejętnościom nabytym podczas pobytu w Głębi. Odkryła też, że przez dżunglę płynie kilka dużych rzek, a chłopiec pomagał jej czasem zakładać sieci, w które chwytało się mnóstwo wielkich, smakowitych ryb. To właśnie podczas jednej z takich wypraw wydarzyło się coś nieoczekiwane.

Zabrawszy ze sobą Bartleby ego (doktor Burrows oświadczył, że nie może się nim zajmować, ponieważ ma zbyt dużo pracy, by tracić czas na niańczenie jakiegoś kocura), Will i Elliott wybrali się na ryby nad

największą z rzek płynących przez dżunglę. Rzeka ta była odległa od ich obozu o cały dzień marszu, jednak chłopiec chętnie skorzystał z okazji, by побыć trochę z dziewczyną i zmienić na jakiś czas otoczenie.

Oboje poruszali się niemal bezszelestnie, kiedy wędrowali po grubym dywanie liści zalegających na dnie lasu. Elliott prawie wcale nie odzywała się do Willa. Wydawało się, że nie potrafi wyzbyć się nawyków, które stanowiły o jej przetrwaniu w Głębi. Jej towarzysz uważał, że nie ma potrzeby zachowywać ciągłej czujności, i przechadzał się swobodnie po dżungli, obserwując naturę lub rozmyślając o różnych sprawach.

Wędrowali już przez kilka godzin, gdy nagle dziewczyna uniosła dłoń zaciśniętą w pięść – znak, że powinni natychmiast się zatrzymać. Will nie zauważył tego gestu i przeszedł jeszcze kilka kroków, nim do porządku przywołał go gniewny syk Elliott. Chłopiec zmarszczył brwi i odwrócił się ku niej.

– Co się dzieje?

Dziewczyna szybko zdjęła karabin z ramienia i bez słowa wskazała na Bartleby'ego. Wielki kot przypadł nisko do podłoża i wyprężył długi, chudy ogon. Łowca, stosując się do nauk, które wpojono mu w Kolonii, najwyraźniej na coś wskazywał.

Will skinął głową.

– Pewnie zwęszył jakieś zwierzę, którego jeszcze nie zna. Może Hefalumpa – zachichotał.

Elliott była jednak śmiertelnie poważna.

– Nie chcę, żeby gdzieś pobiegł. Założę mu smycz – wyszeptała. Zsunęła z ramion plecak i wyjęła z niego linkę, w którą obwiązała wokół szyi Barta. – Odbezpiecz stena – poleciała przyjacielowi.

Will spojrzał uważnie na ciągnącą się przed nimi dżunglę. Listowie nad ich głowami było tak gęste, że przebijały się przez nie tylko

pojedyncze smugi słonecznego światła. Pomiędzy olbrzymimi pniami drzew migotało mnóstwo takich laserowych promieni, niektóre znikwały na pewien czas, kiedy mocniejszy powiew wiatru poruszał gałęziami. Wszystko to wyglądało całkiem spokojnie i niewinnie. Jednak chłopiec pamiętał, że Elliott widziała niedawno jakiegoś olbrzymiego drapieżnika, który zdaniem doktora Burrowsa – ogromnie podnieconego tym odkryciem – mógł być tygrysem szablozębnym. Chłopiec zdawał sobie też sprawę, że czasami w tym obcym świecie pełnym niespodzianek zachowuje się ze zbytnią pewnością siebie. Westchnąwszy ciężko, zdjął pistolet maszynowy z ramienia, sprawdził, czy jest naładowany, a potem go odbezpieczył.

– Tędy – wyszeptała Elliott, pozwalając, by Bartleby ciągnął ją za sobą.

– Hej, chwileczkę – sprzeciwił się Will. – Naprawdę chcesz iść za tym śladem? Może dalibyśmy sobie z tym spokój i poszli prosto do rzeki?

Jednak dziewczyna była nieugięta.

– Nie, powinniśmy sprawdzić, co to jest. Musimy jak najlepiej poznać to miejsce, jeśli nie chcemy, żeby spotkała nas jakaś przykra niespodzianka.

– Dobrze już, jak sobie chcesz – odrzekł Will i wydał z niezadowolaniem usta.

Wydawało mu się, że podchody z bronią w ręku należą już do innych czasów – czasów, które z radością zostawił za sobą. I żadna siła na ziemi ani we wnętrzu planety nie mogła go skłonić, by dobrowolnie wrócił do tych dni wypełnionych strachem.

Bart pędził naprzód z nosem przy ziemi. Wydawało się, że ślad omija smugi światła, w których leniwie brzęczały muchy i inne owady. Wkrótce usłyszeli symfonię ptasiego śpiewu i coraz głośniejsze dzwonięcie cykad.



– Byłaś tu kiedyś? – spytał Will.

Elliott drgnęła, wystraszona, ponieważ odezwał się do niej normalnym głosem, po czym pokręciła głową z niezadowoleniem. Chłopiec nie miał pojęcia, czy miało to oznaczać, że nigdy wcześniej nie dotarła do tego miejsca, czy też że jest na niego zła, ponieważ nie zachowuje się cicho. Przypuszczał jednak, że chodzi o to drugie.

„Proszę bardzo, skoro chcesz się bawić w żołnierzy... pomyślał. – Zaczynamy podchody”.

Pochylił się niżej i naśladowując przyjaciółkę, zaczął delikatnie, niemal bezgłośnie stąpać po warstwie liści.

Niebawem dostrzegli z przodu większe plamy światła, co oznaczało, że zbliżają się do skraju gęstej zasłony liści. Po chwili rzeczywiście doszli do obszaru porośniętego kolczastymi akacjami o gałęziach obwieszonych ciężkimi strąkami. Te rośliny były niższe niż olbrzymie drzewa dżungli, a ich listowie rzadsze – właściwie akacjowy las do złudzenia przypominał lasy rosnące w Górnoziemiu.

Will spojrzął na oślepiająco białe niebo, a gdy opuszczał głowę, jego wzrok padł na urwisko wznoszące się przed nimi pionowo.

– Chyba nie będziemy się wspinać na tę ścianę, prawda? burknął do Elliott.

Oboje podeszli bliżej, by przyjrzeć się skałom. Były utworzone z białego kamienia, miały około czterdziestu metrów wysokości. Na ich szczycie ponownie wyrastała gęsta, pierwotna dżungla.

– Wydaje mi się, że w pobliżu nie widać żadnego innego przejścia – zauważyła dziewczyna, rozglądając się bacznie na boki.

Rzeczywiście, pionowa ściana ciągnęła się w obie strony jak okiem sięgnąć.

Will natychmiast się domyślił, że musi to być jakaś linia uskoku, miejsce, w którym pękła skorupa ziemską. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić do myśli, że Ziemia ma dwie skorupy – zewnętrzną, na

której spędził większość życia, i wewnętrzną, niczym biały miąższ w skorupie kokosa. Godzinami rozmawiał z ojcem o tym, co jeszcze mogą znaleźć w tym nowym świecie. Zastanawiali się razem, czy istnieją tutaj wysokie pasma górskie albo niezmierzone morza. Teraz doszedł do wniosku, że mają przed sobą linię uskoku, co oznaczało, że albo ziemia, na której stał wraz z Elliott, osiadła, albo też ziemia po drugiej stronie skarpy się podniosła, albo też zaszły tu oba te zjawiska. Z tych rozmyślań wyrwał go nagle szept dziewczyny, która przywoływała go do siebie.

Nisko pochylona, przyglądała się skrawkowi gruntu pokrytemu błotem i liśćmi. Wyglądała na zaniepokojoną. Will nie miał zielonego pojęcia, czym ona się tak ekscytuje.

Elliott powiodła palcem wokół jakiegoś kształtu na ziemi, a potem zaczęła przesuwac się w kółko, omal nie dotykając nosem warstwy liści. Nie zwracając uwagi na Bartleby ego, który najwyraźniej miał wielką ochotę iść dalej, przesunęła się jeszcze o kilka metrów, wciąż uważnie patrząc pod nogi. Nagle spojrzała na Willa. Podniosła trzy palce, a potem wskazała naprzód.

Był to kolejny ze znaków, którym posługiwała się z Drakiem w Głębi.

Will wiedział aż za dobrze, co to oznacza.

Poczuł nagły przypływ adrenaliny, serce zaczęło mu bić mocniej. Oszołomiony, wciąż stał w bezruchu, gdy dziewczyna podniosła się z ziemi i podeszła do niego.

– Ludzie. Trzy osoby: jeden dorosły i dwójka dzieci – potwierdziła.

Chłopiec pokręcił głową, jakby nie chciał tego słuchać, jakby nie chciał zrozumieć, co mówi do niego koleżanka.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, mocno zaciskając dłonie na pistolecie.

– Ludzie...? – powtórzył zdrętwiałymi wargami. – Czy może

Styksowie? Chcesz powiedzieć, że to bliźniaczki i Granicznik?

Elliott zwróciła się w stronę, w którą wiodły ślady.

– Jeden ze śladów na pewno pasuje wielkością do butów mężczyzny, jest też dość słaby.

To typowy odcisk stopy wyszkolonego żołnierza.

– Stąpanie na palcach – mruknął Will, przypomniawszy sobie, jak przyjaciółka próbowała go uczyć, jak należy poruszać się po Wielkiej Równinie.

– Tak, zgadza się – potwierdziła. – Ale ślady dwóch pozostałych osób są znacznie mniejsze i mają taki sam rozmiar – dodała.

– O mój Boże... – jęknął Will. – I co teraz zrobimy?

– To, o co poprosił nas Drake. Musimy dopilnować, żeby bliźniaczki i Granicznik na dobre wypadli z gry, a zagrożenie Dominium zostało zneutralizowane – odparła krótko.

– Wypadli z gry... zneutralizowane... – powtórzył Will.

Brzmiało to całkiem normalnie, jeśli skupiał się tylko na słowach – kilku zwykłych, prostych słowach, które można przeczytać w gazecie lub książce. To jednak nie była książka, lecz rzeczywistość. By wypełnić rozkazy Drake'a, musieli robić rzeczy, które nie były proste ani zwyczajne. On sam był zmuszony zrobić coś, do czego być może nie był zdolny, już nie. Coś, co zmieniłoby go na zawsze. Oczywiście, Elliott miała rację. Ich zadaniem było dopilnować, by wirus nie przedostał się do Górnoziemia – powinni tego dokonać za wszelką cenę, wszelkimi dostępnymi środkami.

Kiedy jednak patrzył na dziewczynę, wydawało mu się, że gotowa jest natychmiast przystąpić do działania, że nic jej przed tym nie powstrzyma, podczas gdy on sam wciąż miał mnóstwo wątpliwości.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami, mocno zaciskając dłonie na pistolecie.

– Ludzie...? – powtórzył zdrętwiałymi wargami. – Czy może

Styksowie? Chcesz powiedzieć, że to bliźniaczki i Granicznik?

Elliott zwróciła się w stronę, w którą wiodły ślady.

– Jeden ze śladów na pewno pasuje wielkością do butów mężczyzny, jest też dość słaby.

To typowy odcisk stopy wyszkolonego żołnierza.

– Stąpanie na palcach – mruknął Will, przypomniawszy sobie, jak przyjaciółka próbowała go uczyć, jak należy poruszać się po Wielkiej Równinie.

– Tak, zgadza się – potwierdziła. – Ale ślady dwóch pozostałych osób są znacznie mniejsze i mają taki sam rozmiar – dodała.

– O mój Boże... – jęknął Will. – I co teraz zrobimy?

– To, o co poprosił nas Drake. Musimy dopilnować, żeby bliźniaczki i Granicznik na dobre wypadli z gry, a zagrożenie Dominium zostało zneutralizowane – odparła krótko.

– Wypadli z gry... zneutralizowane... – powtórzył Will.

Brzmiało to całkiem normalnie, jeśli skupiał się tylko na słowach – kilku zwykłych, prostych słowach, które można przeczytać w gazecie lub książce. To jednak nie była książka, lecz rzeczywistość. By wypełnić rozkazy Drake'a, musieli robić rzeczy, które nie były proste ani zwyczajne. On sam był zmuszony zrobić coś, do czego być może nie był zdolny, już nie. Coś, co zmieniłoby go na zawsze. Oczywiście, Elliott miała rację. Ich zadaniem było dopilnować, by wirus nie przedostał się do Górnoziemia – powinni tego dokonać za wszelką cenę, wszelkimi dostępnymi środkami.

Kiedy jednak patrzył na dziewczynę, wydawało mu się, że gotowa jest natychmiast przystąpić do działania, że nic jej przed tym nie powstrzyma, podczas gdy on sam wciąż miał mnóstwo wątpliwości.

Spoglądając w kierunku, w którym prowadziły ślady, przyznał przed samym sobą, że ucieszyłby się ogromnie, gdyby Styksowie byli już daleko stąd, a Elliott nie zdołała ich odnaleźć. Wiedział jednak, że

jest to mało prawdopodobne – tropy musiały być stosunkowo świeże, inaczej rozmyłyby je deszcz.

Elliott przywiązała Bartleby ego do drzewa, a potem wyjęła z plecaka zrolowaną sieć i schowała ją pod gałęziami. Will wiedział, że przygotowuje się do walki, sprawdziła bowiem sprzęt ułożony na dnie plecaka i dopiero potem włożyła go z powrotem na ramiona.

– Idziemy odtąd gęsiego, w odległości czterech kroków od siebie – poleciała, po czym powoli ruszyła naprzód, wpatrując się w ślady stóp.

Chłopiec rozglądał się wokół z rosnącym przerażeniem. Drzewa i liście nie wydawały mu się już tak spokojne i niewinne – za każdym krzewem krył się Granicznik, a za każdym pniem jedna z upiornych Rebek, gotowych zabić go przy pierwszej okazji. Umysł Willa tętnił myślami, głośniejszymi jak wystrzały karabinowe. Nie mogę tego zrobić. Nie jestem gotowy. Nie teraz. Czuł się tak, jakby lada chwila miała mu pęknąć głowa.

Razem podeszli do podnóża urwiska i spojrzeli w górę. Na skalnej ścianie prawie nie było roślinności – tu i tam w szczelinie zakotwiczyły jakiś krzew lub trawa, korzenie pojedynczych drzew i wysuszone kępy trawy zwieszały się niczym jasnozielone falbany.

Elliott zaprowadziła Willa pod samą ścianę uskoku.

– Tu zatrzymali się na chwilę, pewnie żeby odpocząć od słońca – wyszeptwała koledze do ucha, zerkając pod stopy.

Potem oboje ruszyli ostrożnie wzdłuż urwiska, wspinając się od czasu do czasu na odłamki, które odpadły od ściany. Co jakiś czas widzieli również tunele sięgające w głąb skały, były to jednak tylko wąskie korytarze, zarośnięte gęstą roślinnością. Elliott nawet do nich nie zaglądała, widziała bowiem, że tropy prowadzą dalej.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie w skarpie otwierało się znacznie większe przejście – korytarz z pionowych białych ścian, szeroki na mniej więcej dwadzieścia metrów. Nawet Will dostrzegł, że ktoś tędy

przechodził i zostawił wyraźne ślady w gęstej trawie.

– Trzymaj się blisko mnie – przykazała Elliott szeptem, gdy skierowali się w głąb przejścia.

Chłopiec nie miał zamiaru robić czegokolwiek innego.

Dziewczyna, pochylona nisko nad ziemią, badała każde ułamane źdźbło trawy i każdy przydeptany krzaczek. Kiedy wyszli z za łagodnego zakrętu, pokazała przyjacielowi, by przypadł do podłoża. Oboje położyli się na brzuchach, a Elliott wskazała palcem na ucho.

Will wyteżył słuch. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że słyszy jakiś głos.

Głos dziewczyny.

Elliott zaczęła się powoli czołgać, uważając, by nie przygnieść niczego ciałem. Trzask łamanej gałązki mógłby zdradzić ich obecność. Po chwili znieruchomiła na kilka sekund, a potem odwróciła się do chłopca. Wskazała na oko, po czym poklepała ziemię obok siebie.

Gdy Will zrównał się z nią, odszukał wzrokiem to, co chciała mu pokazać.

Korytarz, którym się podkradali, rozszerzał się, tworząc obszerną polanę w kształcie koła o średnicy około czterdziestu metrów i pionowych ścianach. Przypominało to przybrzeżną zatoczkę, połączoną ze światem zewnętrznym tylko tym przejściem, którym tu dotarli. Ze ścian urwiska zwieszały się warkocze wysuszonej roślinności; drzewa i krzewy porastające polanę także wydawały się suche i zbrązowiałe. Will domyślił się, że dzieje się tak, ponieważ zatoczka o białych ścianach skupia promienie słoneczne niczym soczewka: z pewnością było tutaj znacznie cieplej niż w akacjowym lesie.

Potem chłopiec dostrzegł coś, co zupełnie nie pasowało do tego miejsca. Niemal na środku okrągłej polany stała mała chata z płaskim dachem. Ściany budynku były rudawobrązowe i pełne dziur, jakby

przeżarte rdzą.

„Blacha falista – pomyślał Will. – Skąd to się tutaj wzięło, u diabła?”

Potem, pomimo głośnego śpiewu cykad, usłyszał wyraźnie głos jednej z Rebek. Mówiła w niezrozumiałym, nosowym języku Styksów.

Jeśli wcześniej serce chłopca biło szybko, to teraz przyśpieszyło do tego stopnia, że pulsowanie krwi w jego uszach brzmiało równie głośno jak strzały z karabinu.

Obrócił lekko głowę, aby przyjrzeć się metalowemu budynkowi, i dostrzegł Rebekę. Siedziała na jakimś podwyższeniu, może gładzie, niedaleko chaty. Po chwili poruszyła nogami, a do uszu Willa dobiegł cichy chłupot. Potem rozległ się znacznie głośniejszy plusk, a w polu widzenia pojawiła się druga Rebeka, która stanęła dokładnie naprzeciwko siostry. Ociekała wodą, wilgotne włosy kleiły się do jej twarzy i ramion. Odrzuciła je do tyłu, rozsiewając dokoła krople, które lśniły w blasku słońca niczym maleńkie klejnoty. Czyżby pływały lub myły się w stawie? Will nie mógł uwierzyć, że zachowują się z taką swobodą – lecz przecież nie miały pojęcia, że i jemu udało się dotrzeć do wewnętrznego świata. Zmniejszyły czujność, ponieważ uważały, że tutaj nic im nie grozi. Ale gdzie był Granicznik?

Tymczasem druga Rebeka ponownie znikła chłopcu z oczu, zanurzając się, jak sądził, w wodzie. Choć jej nie widział, słyszał, że rozmawia z siostrą. Co jakiś czas dochodziły go pojedyncze angielskie słowa. Nagle przeniósł się myślami do tych letnich dni, które spędzał w swoim domu w Highfield. Okno jego sypialni wychodziło na mały ogród na tyłach domu, gdzie Rebeka często rozkładała koc na trawniku i się opalała, podczas gdy on, ze względu na wrażliwą skórę, musiał kryć się przed słońcem w swoim pokoju. Czasami, gdy nie wychodził nigdzie kopać i leżał na łóżku, czytając książkę, słyszał głos Rebeki śpiewającej razem z radiem.

Elliott trąciła kolegę, przywołując go do rzeczywistości. Coś mu pokazywała. Trudno było dostrzec, o co jej chodzi, ponieważ brązowy kamuflaż zlewał się niemal w jedno z przerdzewiałymi ścianami, ale były tam... dwie kurtki Graniczników... zawieszona przy rogu chaty.

Kurtki bliźniaczek!

Will nie mógł w to uwierzyć.

Spojrzał na Elliott. Wiedział, że oboje myślą o tym samym – gotów był założyć się o każdą sumę, że skoro dziewczyny postanowiły popływać, to zostawiły fiolki w jakimś bezpiecznym miejscu. A co mogło być schowkiem lepszym od ich kurtek? Chwileczkę, mogły przecież zostawić je pod opieką żołnierza. „Gdzie jest ten cholerny Granicznik?” pomyślał ponownie chłopiec.

Kiedy Elliott dała sygnał do odwrotu, Will w duchu odetchnął z ulgą. Cieszył się, że nie musi dłużej przebywać tak blisko bliźniaczek i ukrytego gdzieś żołnierza. Gdy czołgał się do tyłu, czuł się tak, jakby przed chwilą włożył głowę do paszczy wyjątkowo złego lwa i mimo to uszedł z życiem.

Kiedy tylko znaleźli się za zakrętem korytarza, z dala od zatoczki, Elliott zdjęła szybko plecak i zaczęła w nim czegoś szukać. Wyjęła dwa duże ładunki wybuchowe z mechanizmem zegarowym, które Drake przygotował dla niej w Górnoziemiu.

Potem dziewczyna przysunęła się bliżej Willa i wyszeptała mu do ucha: – Założę je tutaj. Wróć na początek korytarza i stań tam na straży. Jeśli jeden z tych ładunków wybuchnie albo usłyszysz strzały, uciekaj, i to szybko. Bartleby zna drogę powrotną.

Zaprowadzi cię do obozu.

Chłopiec skinął głową, po czym odczołgał się w stronę wyjścia. Gdy był już na zewnątrz, znalazł sobie wygodną kryjówkę za drzewem i obserwował stamtąd wylot korytarza, czekając na Elliott.

W miarę upływu czasu czuł się coraz bardziej nieswojo. W jego



umyśle wciąż rozbrzmiewały słowa przyjaciółki. Wyglądało na to, że wzięła wszystko na swoje barki, żeby on nie musiał się w ogóle narażać na niebezpieczeństwo. Co więcej, wydawało się, że gotowa jest poświęcić życie, by zakończyć sprawę Styksów i Dominium. Kiedy Will przemyślał sobie to wszystko, uznał, że nie może do tego dopuścić. To była także jego wojna i on również powinien odegrać w niej swoją rolę.

Odetchnął z ulgą, gdy Elliott pojawiła się przy wyjściu z korytarza – zaczynał się już zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy ją żywą.

Dziewczyna podeszła bliżej i wyszeptała mu do ucha: – Dwa ładunki z dwudziestominutowym opóźnieniem, umocowane wysoko nad ziemią, żebym w razie potrzeby mogła też do nich strzelić. Spróbuję wspiąć się na urwisko i obserwować wszystko z góry.

– A może to ja...? – zaczął pytać Will.

– Nie, lepiej sama to zrobię. Wiem, jak się tym posługiwać – przerwała mu, poklepując karabin z lunetą. – Chcę, żebyś ty popilnował tego miejsca.

– A jeśli oni wyjdą? – ponownie spytał chłopiec.

– Wygarnij do nich ze stena. Zrób wszystko, co będziesz mógł, żeby zatrzymać ich w tym przejściu – dodała, zerkając na szeroką szczelinę w ścianie urwiska. – Ja spróbuję powybić ich pojedynczo, zaczynając od Granicznika. Kiedy się go pozbedziemy, łatwiej nam będzie dopaść te obrzydliwe bliźniaczki.

Will skinął posępnie głową, a Elliott podeszła do skarpy, szukając dogodnej trasy wspinaczki.

Chłopiec znalazł sobie wygodniejsze miejsce za pnem akacji i ułożył się na ziemi. Chwycił mocniej broń, aż zostawił smugi potu na gładkiej powierzchni stali.

– Zatrzymaj ich w tym przejściu za wszelką cenę – powtórzył

jeszcze raz głośno, wpatrując się w korytarz tak intensywnie, że po chwili wydał mu się nierealny niczym ilustracja w książce.

Próbował się zrelaksować, poruszając ramionami, ale i to nie podziałało. Podrywał się z miejsca przy najmniejszym ruchu, a w pewnym momencie omal nie strzelił do liścia, który spadł z gałęzi drzewa. Czuł, jak słońce grzeje go w plecy. Nagle uświadomił sobie, że jest to jeden z momentów zwrotnych w jego życiu, jedna z tych chwil, gdy może pokazać, ile naprawdę jest wart. Gdyby tego nie zrobił, gdyby coś się nie udało, musiałby żyć z tą świadomością, a sądził, że w jego krótkim życiu wydarzyło się już zbyt wiele rzeczy, których musiał gorzko żałować. Nie, nie zamierzał siedzieć tutaj beczynnie i pozwalać, by inni wykonywali wszystko za niego. Musiał coś zrobić.

– Do roboty! – mruknął do siebie.

Nie wiedział, co właściwie powinien zrobić, jednak kiedy opuścił swoją pozycję i wszedł do korytarza, w jego głowie zaczął się formować pewien pomysł. „Dwadzieścia minut” – przypomniał sobie, kiedy zauważył ładunki Elliott umocowane w gałęziach drzew po obu stronach przejścia. Musiał przyznać, że był to sprytny plan – eksplozja obu ładunków zamknie jedyną drogę ucieczki, a Styksowie zostaną uwięzieni w okrągłej zatoczce – chyba że umieli wspinać się po pionowych ścianach.

Kiedy Will doczołgał się powoli do miejsca, z którego przed chwilą obserwowali z Elliott polanę, zobaczył, że bliźniaczki siedzą teraz obok siebie. Strach ścisnął mu żołądek, chłopiec wiedział bowiem dobrze, że nie może się tutaj zatrzymać.

„Co właściwie mam teraz zrobić?” – zapytał sam siebie. Zakładał, że koleżanka nie dotarła jeszcze na szczyt urwiska, a do wybuchu ładunków zostało jeszcze dobrych piętnaście minut.

W końcu postanowił, co robi.

Przełknął ciężko ślinę i zaczął czołgać się na prawo. Ostrożnie przemieszczał się wzdłuż trasy, która miała zaprowadzić go na tyły chaty. Uznał, że może się tam dostać niezauważony przez Rebeki, które znajdowały się po drugiej stronie domku i na dodatek były pogrążone w rozmowie.

Odsuwając na bok suche liście i gałązki, czołgał się w jednostajnym tempie. Zatrzymywał się tylko co jakiś czas, by sprawdzić, czy wokół nic się nie zmieniło. Co chwila zerkał na kurtki bliźniaczek. Wyobraził sobie, jak dochodzi do chaty i sięga po nie – to był jego cel, jego nagroda.

„Gdzie jest Granicznik?” – pomyślał po raz kolejny.

Krople potu spływały mu do oczu, nie ocierał ich jednak, ponieważ każdy nieostrożny ruch mógł go zdradzić, a każda zmarnowana sekunda mogła zadecydować o zwycięstwie lub przegranej. Cały czas trzymał się blisko ziemi i wybierał drogę pomiędzy krzewami, które ukryłyby go, w razie gdyby któraś z bliźniaczek zamierzała przejść za chatę. Albo gdyby zdecydował się na to żołnierz.

Z każdą chwilą Will zbliżał się do celu. Został mu już niewielki dystans do pokonania, ale roślinność palona niemiłosiernym blaskiem słońca była tutaj wyjątkowo sucha. Musiał jeszcze bardziej uważać na wszelkie gałązki i patyki – gdyby narobił hałasu, gra byłaby skończona.

Od kurtek dzieliło go już tylko kilka metrów.

Dotarł aż tak daleko!

Rozejrzał się szybko dokoła, nie zauważył jednak niczego podejrzanego. Bliźniaczki wciąż siedziały po drugiej stronie chaty i rozmawiały; nadal też nigdzie nie było widać Granicznika.

Will ostrożnie podniósł się z ziemi, nisko pochylony podszedł do kurtek i zdjął je z zardzewiałego gwoźdźca.

Zastanawiał się, czy Elliott dotarła już na szczyt skarpy i czy

obserwuje go przez lunetę karabinu. Jeśli tak, to co sobie teraz myśli? Pewnie klnie jak szewc...

Ułożył kurtki na wysuszonej trawie, ukląkł obok i przeszukał szybko wszystkie kieszenie, wyciągając ich zawartość na zewnątrz. Kawałki papieru, świetlne kule, jakieś przedmioty zamknięte w małych, skórzanych futerałach, które postanowił zabrać ze sobą, na wypadek gdyby zawierały fiolki. Nie miał czasu, by je teraz otwierać.

Wreszcie w wewnętrznej kieszeni znalazł to, czego szukał. Kieszeń zamykana była na zatrzask, który kliknął cichutko, gdy go otworzył. Will wstrzymał oddech i nasłuchiwał przez moment, słyszał jednak tylko przytłumione głosy rozmawiających bliźniaczek. Sięgnął do wnętrza kieszeni i natrafił palcami na dwa małe przedmioty. Wyjął je i zobaczył dwie fiolki owinięte kawałkiem brązowego materiału. Nie mógł w to uwierzyć. Usłyszał śmiech Rebek i pomyślał, że nie będzie im tak wesoło, kiedy odkryją, co zrobił. Ostrożnie schował fiolki do swojej kieszeni i przeszukał kurtki do końca, na wypadek gdyby kryły się tam jeszcze inne ciekawe pojemniki. Nie chciał, by skończyło się na tym, że znów będzie musiał się zadowolić fiolkami, zawierającymi próbki ultrawirusa.

Skończył. Kręciło mu się w głowie, a jego twarz ociekała potem, kiedy ruszył wreszcie w drogę powrotną.

Odczołgał się o jakieś dwadzieścia metrów, trzymając się tej samej trasy, którą przybył do chaty, gdy usłyszał przeraźliwy krzyk jednej z bliźniaczek. Odwrócił się, ogarnięty nagłym strachem.

Jedna z Rebek, ociekająca jeszcze wodą, stała obok kurtek, które zostawił na ziemi. Krzywiła twarz we wściekłym, nienawistnym grymasie i patrzyła prosto na niego.

– Ty gnido! – wrzasnęła, podnosząc zakrzywiony nóż, jakby zamierzała się do rzutu. – Tego już za wiele!

Will przeturlał się na plecy, sięgając jednocześnie po stena. Już

trzymał palec na spuście.

Nie wahał się ani przez moment. Czuł się tak, jakby widział wszystko w czerni i bieli. Musiał to zrobić. Nie miał pewności, czy zdobył fiołki z prawdziwym Dominium, nie mógł więc pozwolić, by którekolwiek ze Styksów uszło z życiem. Gdyby tak się stało, wciąż nie wykonałby zadania.

Ogarnięty paniką, zaczął strzelać, zanim jeszcze dobrze wycelował. Grad pocisków uderzył w ziemię, w skały urwiska i w ścianę chaty, w której wybił kilka dziur. Kiedy chłopiec przesunął lufę pistoletu na bok, bliźniaczka już bezwładnie leżała na trawie.

Will nie mógł dłużej czekać. Zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki.

Usłyszał kolejny krzyk.

Tym razem był to głos mężczyzny.

Will obejrzał się za siebie.

Granicznik z włócznią uniesioną nad głową biegł w jego stronę niczym jakaś maszyna, sadząc wielkie, równe kroki. Krzyknął ponownie, a jego słowa brzmiały jak głos drapieżnego ptaka, tak ostry i przenikliwy, że zdawało się, iż przecina powietrze, zostawiając w nim głębokie rany.

Chłopiec nie wiedział, jak daleko zdążył dobiec, ale nie widział jeszcze wyjścia z korytarza. I jeszcze nie wykonał swojego zadania.

Zatrzymał się i odwrócił, kierując broń na Granicznika.

Wszystko działo się tak szybko, że umysł Willa ledwie zdążył to zarejestrować.

W jednej chwili rozległy się dwa dźwięki, których źródła Will nie mógł początkowo zlokalizować: ostry, przenikliwy trzask i świst przecinanego powietrza. Nagle włosy na czubku głowy żołnierza nastroszyły się dziwnie, a on sam runął na ziemię, wciąż przebierając nogami, jakby zamknięta w jego ciele maszyna nie mogła przestać

działać.

Jeśli zaś chodzi o świst przecinanego powietrza... Will poczuł nagły ból w ramieniu i opuścił bezwładną rękę, z której wypadł pistolet maszynowy.

Potem korytarz wypełnił się oślepiającym blaskiem, a ciało chłopca oderwało się od ziemi.

Być może była to zasługa mniejszej grawitacji, wydawało się jednak, że podmuch powietrza poniósł go do tyłu na wręcz nieprawdopodobną odległość. Czuł, jak przelatuje przez krzewy i trawy, nim w końcu opadł na trawę i znieruchomiał.

Próbował się podnieść, jednak ból w ramieniu był zbyt dojmujący. Spojrzał na nie i zobaczył, że całe jest pokryte krwią. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno – nie mógł zrozumieć dlaczego, skoro słońce wciąż świeciło. „Tutaj słońce świeci zawsze” – przypomniał sobie szybko.

Potem ponownie zebrał siły i zdołał się podnieść na jednej ręce. Spojrzał w stronę korytarza.

Dwadzieścia metrów dalej widać było jedynie ścianę ognia i gęstego, czarnego dymu, odcinające się wyraźnie od białego tła urwiska.

– Nieźle – mruknął, zanim stracił przytomność.

Ocknął się chwilę później. Podniósł głowę i zauważył, że jego ramię jest już zabandażowane.

– Ty cholerny głupcze! Tylko amator mógł się porwać na coś takiego i ujść z życiem – powiedziała Elliott, która pojawiła się w jego polu widzenia. – Następnym razem trzymajmy się planu, dobrze?

Will spojrzał na nią mętным wzrokiem.

– O Boże, znowu cię zdenerwowałem, tak? Zawsze mi się to przydarza, kiedy próbuję się dogadać z dziewczynami, zawsze powiem albo zrobię coś...

– Zamknij się, Will, dobrze? – poprosiła Elliott.

Próbował poruszyć zranioną ręką, ale było to zbyt bolesne.

– Co się właściwie stało? – spytał.

– Granicznik trafił cię włócznią, zanim go zastrzeliłam. Przepraszam, ale za szybko się ruszał i nie mogłam go namierzyć – odparła, klękając obok rannego chłopca i poprawiając mu bandaż.

– A co z bliźniaczkami?

– Wydaje mi się, że ty załatwiłeś jedną, a druga i tak nie miała żadnych szans. Sam zobacz.

Elliott pomogła mu usiąść prosto. Przypomniawszy sobie, że zanim stracił przytomność, widział płomień i dym, teraz jednak się przekonał, że u podnóża urwiska szaleje ogromny pożar.

Nad skałami wznosił się słup dymu, podobny do tych, jakie czasem widzieli przez lornetkę nad innymi częściami dżungli.

– Kiedy oba ładunki eksplodowały, korytarz się zawalił, a druga bliźniaczka została w środku. Wszystko było tam tak wysuszone, że w jednej chwili stanęło w ogniu. Jej siostra też tam była, więc nawet jeśli tylko ją postrzeliłeś, i tak nie miała szans – mówiła dziewczyna. – Obserwowałam całą sytuację z góry i co prawda nie widziałam żadnej z nich, ale wiem, że nie mogły ujść stamtąd z życiem. To pewne.

– Więc udało nam się?

Elliott skinęła głową.

– A ty nie jesteś na mnie zła – dodał Will, spoglądając pytająco na koleżankę.

Podniosła dwie fiolki.

– Jak mogłabym być na ciebie zła? – uśmiechnęła się.

Potem się pochylała i pocałowała go w policzek.

Will także się uśmiechnął, zapominając na chwilę o bólu w zranionym ramieniu.

– Granicznik trafił cię włócznią, zanim go zastrzeliłam.

Przepraszam, ale za szybko się ruszał i nie mogłam go namierzyć – odparła, klękając obok rannego chłopca i poprawiając mu bandaż.

– A co z bliźniaczkami?

– Wydaje mi się, że ty załatwiłeś jedną, a druga i tak nie miała żadnych szans. Sam zobacz.

Elliott pomogła mu usiąść prosto. Przypomniawszy sobie, że zanim stracił przytomność, widział płomień i dym, teraz jednak się przekonał, że u podnóża urwiska szaleje ogromny pożar.

Nad skałami wznosił się słup dymu, podobny do tych, jakie czasem widzieli przez lornetkę nad innymi częściami dżungli.

– Kiedy oba ładunki eksplodowały, korytarz się zawalił, a druga bliźniaczka została w środku. Wszystko było tam tak wysuszone, że w jednej chwili stanęło w ogniu. Jej siostra też tam była, więc nawet jeśli tylko ją postrzeliłeś, i tak nie miała szans – mówiła dziewczyna. – Obserwowałam całą sytuację z góry i co prawda nie widziałam żadnej z nich, ale wiem, że nie mogły ujść stamtąd z życiem. To pewne.

– Więc udało nam się?

Elliott skinęła głową.

– A ty nie jesteś na mnie zła – dodał Will, spoglądając pytająco na koleżankę.

Podniosła dwie fiolki.

– Jak mogłabym być na ciebie zła? – uśmiechnęła się.

Potem się pochyliła i pocałowała go w policzek.

Will także się uśmiechnął, zapominając na chwilę o bólu w zranionym ramieniu.



# Rozdział trzydziesty dziewiąty



Pani Burrows siedziała z zamkniętymi oczami na fotelu, w małym szeregowym domu w Kolonii. Jej nogi okrywał gruby szary koc, a poduszki ułożone po obu stronach oparcia podpirały głowę, nie była bowiem w stanie utrzymać jej prosto o własnych siłach. Prawdę mówiąc, nie miała władzy w żadnej części ciała.

Na innym fotelu, bliżej kominka, w którym płonął ogień, siedziała starsza pani, która cerowała skarpetkę i mówiła do siebie jednostajnym tonem: – To wstyd, żeby policjant dostawał tak niską pensję, zwłaszcza jeśli ma na utrzymaniu starą matkę, siostrę, a teraz... a teraz również kalekę. – Oderwała się na moment od pracy i spojrzała na chorą. Nie było to spojrzenie niezyczliwe, jednak zacisnęła mocniej usta, wyraźnie zatroskana. – Mówiłam mu: jasne, można się bawić w dobrego samarytanina, ale to całkiem tak, jakby wziął pod opiekę dziecko, wielkie dziecko, które być może nigdy nie dorośnie. Ale on nie chciał mnie wcale słuchać... Chyba robi się sentymentalny na starość... – Staruszka ponownie zajęła się cerowaniem skarpetki. – Nie wiem, jak to wszystko się potoczy. Nie wiem, jak zwiążemy koniec z końcem przy tych jego marnych zarobkach...

Starsza pani wciąż mamrotała coś pod nosem, nie usłyszała więc, że oddech pani Burrows nagle się zmienił. Stał się głęboki i wysilony, jakby nieprzytomna kobieta próbowała dokonać czegoś, co w jej stanie było herkulesowym, niemal niewykonalnym czynem. Przez

kilka minut utrzymywała ten rytm oddechu, przygotowując się do owego zadania. W końcu na moment wstrzymała oddech i zebrała wszystkie siły.

Niczym dzikie zwierzę zamknięte w jaskini zasypanej śniegiem, była zupełnie odcięta od świata zewnętrznego. W ciemnościach pojawiały się czasem pojedyncze iskierki, ślady jakichś ulotnych myśli lub wspomnień, znikwały jednak, nim zdążyły rozpaść się na dobre.

Lecz teraz czuła, że musi coś zrobić. Gotowa była rzucić na szalę resztki sił, jakie kołatały się jeszcze w jej ciele. Gdzieś w głębi duszy pani Burrows pojawiła się na nowo wola przetrwania, wola zwycięstwa.

Kobieta zdobyła się na nadludzki wysiłek.

Wciąż wstrzymując oddech, zdołała minimalnie unieść powiekę i utrzymać ją w tej pozycji.

Blask ognia odbił się w odsłoniętym fragmencie oka i przeniknął do siatkówki, aktywując ukryte tam komórki. Małe impulsy elektryczne powędrowały wzdłuż nerwu wzrokowego do mózgu, który również zdobył się na wysiłek i je przeanalizował. Część tych sygnałów dotarła do kory mózgowej, dzięki czemu pani Burrows nie tyle zobaczyła, ile wyczuła czerwoną poświatę w pokoju.

Jednak dla niej było to coś niezwykle ważnego, coś, co przyszło spoza mrocznego podziemnego świata. Uchwyciła się tego doznania ze zwierzęcą wprost determinacją, czerpiąc z niego nadzieję.

Potem, całkiem wyczerpana z sił i energii, pozwoliła, by powieka opadła na swoje miejsce.

Wypuściła powietrze z płuc i ponownie zapadła w głęboki sen, podczas gdy starsza pani, nie zauważywszy nawet cudu, który wydarzył się tuż obok niej, nadal mamrotała coś do siebie.

Will i Elliott długo dyskutowali o tym, co powinni zrobić z fiołkami. Zastanawiali się nawet, czy nie należy zaryzykować podróży

powrotnej do Górnoziemia, by dostarczyć wirus Drakeowi. W rzeczywistości jednak żadne z nich nie brało na poważnie tej możliwości, uważali bowiem, że szanse na powodzenie takiej misji są minimalne. Co więcej, podczas podróży mogło dojść do jakiegoś wypadku, podczas którego fiolki uległyby uszkodzeniu, a wirus by się uwolnił. Doktor Burrows mówił im o globalnym systemie prądów powietrznych i ostrzegał, że istnieje niewielkie, choć realne prawdopodobieństwo, że wirus mógłby wydostać się na powierzchnię.

Nie mogli podejmować takiego ryzyka, więc w końcu Will postanowił, że zakopie fiolki w miejscu, które uzna za bezpieczne. Wciąż musiał nosić rękę na temblaku, ale rana nie dokuczała mu już zbyt. Któregoś dnia wybrał się więc na samotną wycieczkę po dżungli.

W pewnej chwili dojrzał w cieniu grupy drzew coś, co wyglądało jak ludzka sylwetka. Włosy zjeżyły mu się na głowie nie tylko dlatego, że dobrze wiedział, iż nie mogą to być Elliott ani ojciec, lecz także dlatego, że postać ta do złudzenia przypominała wuja Tama.

Kiedy podszedł bliżej do kępy drzew, zrozumiał, że w rzeczywistości nikogo tam nie ma, a tajemnicza postać to zapewne tylko wiązka lian zwisających z gałęzi. Pomyślawszy, że poddał się temu złudzeniu tylko dlatego, iż ostatnio dużo rozmyślał o wuju Tamie, postanowił zbadać, co kryje się za drzewami, i odkrył tam małe źródło wypływające pomiędzy kilku szarych głazów.

Źródło otaczał krąg krótkiej, ale soczystej zielonej trawy. Miejsce to wydawało się tak cudownie spokojne i odosobnione, że Will postanowił zakopać fiolki właśnie tutaj. Włożył trochę trawy do butelki, którą zabrał z izby chorych w okręcie podwodnym, ułożył na niej fiolki i przysypał trawą. Wykopawszy dołek w żyznej ziemi, upewnił się jeszcze, czy butelka jest dobrze zakręcona, po czym ją zakopał. Później położył na świeżym kopczyku kilka okrągłych

kamieni, by zaznaczyć to miejsce i zabezpieczyć fiołki przed ciekawskimi zwierzętami.

Od tego czasu często odwiedzał swój magiczny zakątek. Nie było prawie dnia, by tam nie zajrzał. Świeża woda przyciągała najpiękniejsze okazy motyli i ważek, które przysiadają na omszałych kamieniach, aby się napić i ochłodzić. Willowi wydawało się to paradoksalne, wiedział bowiem, że w tym samym miejscu ukryty jest wirus Dominium groźna broń biologiczna, która oznaczała śmierć i zniszczenie. Tymczasem źródło i jego otoczenie napełniało go prawdziwym spokojem – tutaj mógł się odprężyć i pomyśleć o straszliwych wydarzeniach z niedawnej przeszłości. I zaczął leczyć swą sponiewieraną duszę.

Po drugiej stronie źródła, naprzeciwko kamieni znaczących miejsce, gdzie zostały zakopane fiołki, Will ułożył trzy większe sterty głazów i kamieni, a potem na każdej z nich postawił krzyż. Choć nie było tutaj ich ciał, wyrył na krzyżach imiona wuja Tama, Sary Jerome i Cala. Czerpał wielkie pocieszenie z tych cichych chwil, gdy siedział na trawie przy kamieniach i podziwiał wielobarwne motyle przelatujące nad źródłem. Bliźniaczki w końcu zapłaciły za swe zbrodnie, dzięki czemu chłopiec czuł, że wreszcie może zamknąć ten rozdział. Nie musiał już żyć w cieniu obu Rebek, już nie kierowało nim pragnienie zemsty.

Czuł się wyzwolony. Zakończył tę sprawę i mógł spokojnie wspominać członków swej rodziny, którzy zginęli z rąk Styksów.

Pewnego dnia siedział na trawie obok źródła, pogrążony w myślach, gdy nagle ktoś odchrząknął niepewnie za jego plecami. Will aż podskoczył i obejrzał się za siebie.

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedziała Elliott. – Chciałam zobaczyć, gdzie ukryłeś fiołki.

Przyjaciel pokazał jej to miejsce, jednak dziewczynę bardziej

interesowały trzy pomniki, które wzniósł na pamiątkę członków swojej rodziny.

– Nie wiedziałam, że zrobiłeś tu coś takiego – stwierdziła cicho. – Ja... ee... to dobry pomysł.

Will skinął głową, po czym oboje milczeli przez dłuższy czas, wpatrzeni w krzyże. Chociaż raz Elliott wydawała się onieśmielona. Nerwowym gestem odgarnęła kruczoczarne włosy – odkąd opuścili Głębię, nie miała już problemu z wszami i mogła pozwolić sobie na dłuższą fryzurę. Teraz, gdy włosy sięgały jej już niemal do ramion, chłopiec nie mógł sobie przypomnieć, jak wyglądała ostrzyżona na jeża.

– Nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje czy umarła, ale może mogłabym zrobić coś podobnego dla mojej mamy? – spytała w końcu dziewczyna.

– Oczywiście – odrzekł Will, szczerze uradowany.

Nagle pomyślał o własnej matce, a właściwie o swojej matce górnoziemskiej – pani Burrows. Miał nadzieję, że nic złego jej się nie stało, w czym utwierdzał go fakt, że znajdowała się pod opieką Drake'a.

Kiedy nazajutrz ponownie przyszedł do źródelka, przekonał się, że Elliott już postawiła krzyż w niewielkiej odległości od jego nagrobków. Dziewczyna podeszła bliżej i usiadła obok kolegi. Podczas gdy Bartleby wygrzewał się w słońcu filtrowanym przez gałęzie drzew i pogryzał leniwie trawę, Elliott zaczęła otwierać się przed Willem. Od czasu incydentu ze Styksami stali się sobie o wiele bliżsi, ale to było jeszcze coś innego. Opowiadała o swoim dzieciństwie w Kolonii i o tym, jak musiała odejść, gdy ktoś zaczął szantażować jej matkę.

Wspomniała też o swoim ojcu, Graniczniku, choć – jak przyznała – wiedziała o nim bardzo niewiele.

Nagle zwróciła się bezpośrednio do Willa: – Czujesz się winny po

tym, co zrobiliśmy z bliźniaczkami? Czujesz się źle, kiedy o tym myślisz?

Chłopiec spojrział na nią z ukosa, kompletnie zaskoczony tym pytaniem.

– Tak i nie. Jestem pewien, że zrobiliśmy, co należy, ale nie jest to rzecz, o której można zapomnieć, prawda?

– Owszem – zgodziła się. – O czymś takim chyba nigdy się nie zapomina.

Dziewczyna umilkła i sięgnęła po dwa kamyki leżące nad źródłem. Ułożyła je w obu dłoniach, jakby chciała sprawdzić, który z nich jest cięższy.

– Mogę cię o coś zapytać? – odważył się Will.

– Jasne – wzruszyła ramionami.

– Zastrzeliłaś Granicznika, a przecież twój tata był jednym z nich.

Elliott nie zareagowała na te słowa. Sięgnęła po trzeci kamień, ale ponieważ miała już zajęte ręce, wrzuciła go do wody. Głośny plusk sprawił, że Bartleby usiadł prosto i rozejrzał się dokoła, jakby pomyślał, że przegapił jakąś rybę albo płaza, którego mógł schrupać.

– A gdyby tak naprawdę to był twój tata? Potrafiłabyś go zastrzelić? – spytał Will.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odparła szybko. – Mój ojciec od dawna nie żyje, więc to niemożliwe.

W zatłoczonym pubie w sercu Soho, przy bocznym stoliku siedział przygarbiony mężczyzna w grubym płaszczu. Miał brudne, zmierzwiłone włosy i nieogoloną twarz. Mocno już pijany, podniósł niezdarnie pustą szklankę i zajrzał do środka. Wymamrotał coś i walnął pięścią w stół z taką siłą, że szklanka podskoczyła, spadła na podłogę i rozbiła się w drobny mak. Potem podniósł głowę.

– Styksowie! – warknął, po czym zaczął krzyczeć bełkotliwie: – Do diabła z nimi!

Gwar rozmów w pubie nie przycichł ani na moment – nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na pijanego mężczyznę. Ten potoczył mętным wzrokiem po tłumie klientów, którzy po drodze z pracy do domu wpadli na szybkiego drinka. Uśmiechnął się krzywo.

– I do diabła z wami wszystkimi! Jesteście ślepi! Nie macie pojęcia, co tu się dzieje!

I znów nikt nie zwrócił na niego uwagi – nikt, oprócz szczupłego, wysokiego mężczyzny o zapadłych policzkach, który pojawił się nagle przy stoliku.

– Weź się w garść, Drake! Jeśli będziesz się tak zachowywał, w końcu cię aresztują. A wiesz, co to oznacza – chrapliwym głosem ostrzegł go wysoki mężczyzna. Pochylił się niżej, by nikt go nie usłyszał. – Pomogłem ci, bo mam wobec ciebie dług wdzięczności za uratowanie córki, ale nie jestem dobrą wróżką. Drugi raz może mi się nie udać.

Drake otarł zaślinione usta wierzchem dłoni.

– Czasami myślę, że to Elliott uratowała mniewybełkotał, podnosząc wzrok na Granicznika, który tamtego dnia na Błoniach wyciągnął go z furgonetki.

Nagle cała agresja renegata zamieniła się w przygnębienie. Przygarbił się jeszcze bardziej i wbił wzrok w stół.

– Białe Szyje pobiły mnie na każdym polu. Zawiodłem Celię i Drzewca. Zawiodłem ich wszystkich. I ciągle nie wiem, czy Styksowie mają wirus. Równie dobrze mogę rzucić to wszystko w diabły. Jestem skończony... wszyscy jesteśmy skończeni. – Spojrzał z rozpaczą na Granicznika. – Co mi jeszcze zostało? Co mogę teraz zrobić?

– Och, coś wymyślimy – odparł żołnierz z przekonaniem, pomagając Drakeowi podnieść się na nogi. – A na razie zabiorę cię do domu.

# Rozdział czterdziesty



– Mam dość na dzisiaj – uznał Will.

– Naprawdę? Już...? – wymamrotał doktor Burrows, zajęty szkicowaniem.

– Trochę boli mnie ramię – dodał syn, choć rana zadana przez Granicznika dawno już się zagoiła.

– Wracasz do Elliott? – spytał znacząco doktor.

Chłopiec zignorował to pytanie i podniósł oczy ku niegasnącemu słońcu.

– Po prostu nie chcę znów przesadzić – powiedział, poprawiając kapelusz z szerokim rondem, który dziewczyna uszyła mu ze skóry.

Pracował wraz z ojcem na ścianie piramidy i choć kapelusz zapewniał mu pewną ochronę przed słońcem, musiał uważać, by nie oślepił go blask odbity od kamieni.

– Jasne – odparł ojciec, podnosząc wzrok znad kartki.

Will potarł oczy i mrugnął kilkakrotnie.

– Spośród wszystkich miejsc, do jakich mogliśmy trafić, to jest najgorszym koszmarem albinosa. Tato, myślisz, że następnym razem mógłbyś dla nas znaleźć świat, w którym będzie trochę więcej chmur?

– Zobaczę, co da się zrobić. Idź już, jeśli chcesz – rzucił pośpiesznie Burrows.

Bardzo liczył na pomoc syna przy realizacji olbrzymiego projektu, jakim było kopiowanie napisów i rysunków wyrytych na poszczególnych tarasach piramidy. Wszystkie te napisy sporządzone



były w jednym z języków z kamienia doktora Burrowsa, próbował je więc przetłumaczyć. Wraz z Willem zaczął od samego podnóża piramidy i systematycznie przesuwał się w górę. Pamiętał przy tym, że zostały im prócz tego dwie piramidy, których jeszcze nawet nie mieli okazji obejrzeć.

– Zobaczymy się w obozie, tato – powiedział chłopiec i ruszył na dół.

– Tak... – mruknął mężczyzna.

Odprowadził wzrokiem syna, który pokonywał kolejne tarasy budowli, wykonując potężne skoki, o jakich w Górnoziemiu mógłby tylko pomarzyć. Potem pochylił się ponownie nad sekwencją liczb, która na razie wydawała mu się całkiem bezsensowna.

Po chwili podniósł głowę, usłyszawszy jakieś odległe brzęczenie. Pomyślał, że to jedna z gwałtownych burz, które tak często przetaczały się nad tropikalnym lasem. Wydawało się, że jest zbyt daleko, by musiał się tym przejmować i szukać sobie schronienia. Potem jednak dźwięk rozległ się ponownie, tym razem głośniejszy, i wcale już nie przypominał odgłosu burzy lub wiatru. Doktor otarł spocone czoło i wstał, by spojrzeć na niebo.

Nie dojrzał niczego niezwykłego, szybko jednak uświadomił sobie, że stoi w złym miejscu, zaczął więc przeskakiwać kolejne tarasy, aż dotarł na szczyt piramidy. Przeszedł przez płaską, kamienną płytę, mijając po drodze radiolatarnię, którą zostawił tu wcześniej Will.

– Co za widok – westchnął doktor, jak zawsze zachwycony krajobrazem widocznym ze szczytu budowli.

Znajdował się teraz powyżej wierzchołków drzew tworzących las deszczowy, który ciągnął się przed nim niczym wielkie, zielone morze, upstrzone tylko plamami dwóch pozostałych piramid.

– Gdzie ta burza? – mruknął do siebie, spoglądając na bezchmurne niebo. Jednak po chwili dostrzegł w oddali coś innego. Przeszedł na

drugą stronę piramidy i przysłonił oczy. – Co to jest, u diabła?

Coś przesunęło się po czystym, białym niebie.

Coś, co po bliższych oględzinach wydało mu się przerażająco znajome.

Doktor zachwiał się i omal nie spadł ze szczytu piramidy.

Kiedy ów obiekt zmienił kierunek i zaczął zbliżać się do niego, doktor Burrows usłyszał wyraźnie warkot pojedynczego silnika śmigłowego.

– Samolot? Tutaj? – spytał bezgłośnie.

Wyteżył wzrok, żałując, że nie zabrał ze sobą lornetki.

Nie miał już jednak wątpliwości.

To rzeczywiście był samolot.

I to samolot, który wydawał mu się dziwnie znajomy. Doktor rozpoznał charakterystyczne „złamane” skrzydła.

Samolot był jeszcze dosyć daleko, kiedy jednak wszedł w lot nurkowy, do uszu mężczyzny dotarł głos syreny – jeden z najbardziej znanych i najbardziej przerażających dźwięków drugiej wojny światowej.

– Niemiecki bombowiec... – wyszeptał doktor Burrows, omal ponownie nie tracąc równowagi. – Sztukas!

# Od autorów



**R**OTOR, napis, który Will i doktor Burrows zobaczyli na mapie w kabinie radiooperatora, to nazwa rozległego radarowego systemu obrony przeciwlotniczej (rozmieszczonego w sześćdziesięciu sześciu miejscach), zbudowanego w latach pięćdziesiątych minionego wieku przez rząd Wielkiej Brytanii w odpowiedzi na zagrożenie ze strony Związku Radzieckiego. Nie jest to akronim, co dowodzi, że doktor Burrows nie wie jednak wszystkiego.

Wykorzystano fragmenty wiersza „East Coker III” autorstwa T.S. Eliota, piosenki „From Safety to Where...?” z repertuaru zespołu Joy Division oraz powieści „Free Fall” autorstwa Williama Goldinga, w tłumaczeniu Janusza Ochaba (inne cytowane teksty – jeśli nie podano inaczej – również w przekładzie Janusza Ochaba).

Wydawcy uczynili wszystko, co w ich mocy, by skontaktować się z właścicielami praw autorskich do cytowanych dzieł, i w razie potrzeby gotowi są sprostować wszelkie pomyłki lub uzupełnić braki przy najbliższej nadarzającej się okazji.

# Spis treści



## Część pierwsza Blżej, dalej

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

## Część druga Chata Marty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

## Część trzecia Zaginiony okręt

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

## Część czwarta Podziemna przystań

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Część piąta Znowu w Highfield  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Rozdział dwudziesty piąty  
Rozdział dwudziesty szósty  
Rozdział dwudziesty siódmy  
Część szósta W drogę  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi  
Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Rozdział trzydziesty siódmy  
Rozdział trzydziesty ósmy  
Rozdział trzydziesty dziewiąty  
Rozdział czterdziesty  
Od autorów